

CLIVE

BARKER

POTEPIENICZA

GRA

PODZIĘKOWANIA

Moje podziękowania należą się Mary Roscoe, która niestrudzenie przepisywała rękopis, znajdując przy tym czas na zaoferowanie bardzo wielu niezwykle precyzyjnych uwag krytycznych; a także Da-vidowi T. Cunninghamowi, który przepisał sporą ilość późniejszych uzupełnień. Spośród czytelników książki, których entuzjazm i intuicja okazały się dla mnie nieocenioną pomocą, podziękować pragnę Julie Blake, Johnowi Gregsonowi i Vernonowi Conwayowi. Jestem również niezmiernie wdzięczny Douglasowi Bennettowi za zorganizowanie dla mnie niezapomnianej wyprawy do zakładu karnego, a także Alasdai-rowi Cameronowi, który zlecił mi napisanie dwóch sztuk, pozwalając tym samym przetrwać w czasie, gdy pisałem tę książkę. I wreszcie nie mniej szczerze podziękowania dla Barbary Broote oraz dla Nann du Sautoy z wydawnictwa Sphere Books.

Jednak niewolny wciąż - choć nimi włada -Od trafu, śmierci, zmienności

P.B. Shelley „Prometeusz wyzwolony” (przełożył Leszek
Elektorowicz)

Część pierwsza

*Piekło jest dla tych, którzy się zaparli; Plon zbiorą z tego, co sami zasiali,
Dryfować będą po Jeziorze Pustki
I Las Nicości przewędrują cały, Tęskniąc do materii.*

W.B. Yeats, „Klepsydra”

1

Tego dnia, gdy złodziej przemierzał miasto, powietrze było naelektryzowane. Miał pewność, że dziś w nocy, po wielu tygodniach niepowodzeń, zlokalizuje wreszcie karciarza. To nie była łatwa wędrówka. Osiemdziesiąt pięć procent terytorium Warszawy zostało zrównane z ziemią, już to przez ostrzał z moździerzy, poprzedzający wyzwolenie miasta przez Rosjan, już to przez planowe wyburzanie, podjęte przez wycofujących się Niemców. Niektóre dzielnice były nieprzejezdne dla wszelkich pojazdów. Sterty gruzu - pod którymi wciąż dojrzewały ciała zmarłych niczym cebulki kwiatów, gotowe wykiełkować, gdy tylko nastanie cieplejsza wiosenna pogoda - zagradzały ulice. Nawet w bardziej dostępnych miejscach eleganckie niegdyś fasady domów słaniały się niebezpiecznie, a ich fundamenty wydawały groźne pomruki.

Wszelako po trzech miesiącach uprawiania swego rzemiosła pośród ruin złodziej nauczył się bezbłędnie poruszać w tym miejskim pustkowiu. Ba, zdewastowane piękno miasta stało się dlań źródłem niemałej przyjemności: horyzont przesłonięty liliową mgiełką pyłu wciąż opadającego ze stratosfery; place i parkowe aleje, tak nienaturalnie ciche; i owo poczucie, które zyskał, gdy po raz pierwszy wkroczył na to terytorium, że tak właśnie będzie wyglądał koniec świata. W ciągu dnia

dawało się jeszcze dostrzec jakieś punkty orientacyjne - zapomniane drogowskazy, z biegiem czasu systematycznie usuwane - wedle których wędrowiec mógł wytyczyć swą marszrutę. Opoдал mostu Poniatowskiego wciąż rozpoznawało się bryłę gazowni, podobnie ogród zoologiczny na drugim brzegu rzeki; widoczna też była kopuła wieży zegarowej Dworca Głównego, choć zegar zniknął dawno temu; i jeszcze garść innych naznaczonych bliznami pomników niegdysiejszego miejskiego piękna Warszawy - ich chwiejna obecność wzruszała nawet złodzieja.

Nie mieszkał tu. W ogóle nie miał domu, już od dziesięciu lat. Był nomadą i padlinożercą, a przez krótką chwilę Warszawa oferowała wystarczająco dużo łupów, by go tu zatrzymać. Gdy już odzyska siły uszczuplone podczas niedawnej włóczęgi, ruszy w dalszą drogę. Ale teraz, kiedy pierwsze oznaki wiosny szeleściły w powietrzu, zwlekał z wyjazdem, sycąc się wolnością, jaką dawało to miasto.

Istniało oczywiście ryzyko, ale gdzież go nie ma dla człowieka jego profesji; nadto wojna zdołała wyszlifować w nim umiejętność przetrwania do takiej perfekcji, że niewiele było w stanie go zastraszyć. Czuł się tu bezpieczniej niż większość autentycznych mieszkańców Warszawy, tych nielicznych ocalałych z zagłady, którzy zdezorientowani, przenikali powoli z powrotem do miasta w poszukiwaniu utraconych domów, zaginionych twarzy. Grzebali w ruinach albo wystawali na rogach ulic, słuchając pieśni żałobnych, śpiewanych przez rzekę, i czekając, aż zrobią na nich obławę w imię Karola Marksa. Co dzień budowano nowe barykady. Wojskowi powoli, ale systematycznie przywracali ład i porządek, dzieląc miasto na sektory, sektory na mniejsze dzielnice - to samo w swoim czasie uczynią z

całym krajem. Jednakowoż godzina policyjna i punkty kontrolne w niewielkim tylko stopniu krępowały ruchy złodzieja. Pod podszewką świetnie skrojonego płaszcza miał ukryte wszelakiego rodzaju dowody tożsamości - niektóre podrobione, większość skradziona; na każdą sytuację znalazł się odpowiedni. Jeśli zdarzyło się, że ktoś zakwestionował ich wiarygodność, wówczas złodziej radził sobie za pomocą błyskotliwych ripost i papierosów - jednych i drugich miał zresztą pod dostatkiem. Cięty język i papierosy - to było wszystko, czego człowiek potrzebował - owego roku, w tamtym mieście - by czuć się panem świata.

12

A cóż to był za świat! Przeróżne pragnienia i wszelka ciekawość znajdowały tu zaspokojenie. Najskrytsze sekrety ciała i duszy odsłaniały się przed każdym, kogo korciło, by je zgłębiać. Czyniono z nich zabawy. Za ledwie w zeszłym tygodniu złodziej posłyszał historię o młodym człowieku, grającym w prastarą grę w trzy kubki („teraz widzimy piłeczkę, a teraz jej nie widzimy”), z tym że zamieniono, dla obłąkańczego żartu, kubki i piłeczkę na trzy wiaderka i główkę niemowlęcia.

To była błahostka; niemowlę było martwe, a zmarli wszak nie cierpią. Istniały wszelako inne rozrywki dostępne w mieście, rozkosze, gdzie surowiec stanowili żyjący. Dla spragnionych tego typu uciech - dla tych, których na nie było stać - zaczął się handel ludzkim ciałem. Okupująca kraj armia, nieniekochana już bitwami, odkrywała na nowo seks, a z tego dało się czerpać zyski. Za pół bochenka chleba można było kupić dziewczynę z grona uchodźców - nierzadko tak młodą, że ledwie miała piersi nadające się do ugniatania - i używać jej po wielekroć pod osłoną

mroku; skarg nikt nie słuchał albo - gdy dziewczyna traciła wdzięk - uciszano je pchnięciem bagnetu. Takiego banalnego zabójstwa nie zauważano w mieście, w którym zginęły dziesiątki tysięcy. Przez kilka tygodni - pomiędzy końcem panowania jednego reżimu a początkiem władzy następnego - wszystko było możliwe: żaden czyn nie wydawał się karygodny, żadna nieprawość nie stanowiła już tabu.

Na Żoliborzu otwarto burdel z chłopcami. Tutaj, w podziemnym salonie o ścianach obwieszonych ocalałymi z wojennej pożogi obrazami, można było przebierać w pisklakach od sześciu, siedmiu lat w górę, apetycznie wychudzonych z niedożywienia i odpowiednio ciasnych, słowem, takich, jakimi nie pogardziłby żaden koneser. Burdel cieszył się ogromną popularnością wśród kadry oficerskiej, ale dla szarż podoficerskich, jak szemrana wieść niosła, pozostawał zbyt drogi. Leninowska zasada równości najwidoczniej nie dotyczyła pederastii.

Sport, swoistego rodzaju, był dostępny już za niewielkie pieniądze. Walki psów cieszyły się w tym sezonie wyjątkowym wzięciem. Na bezpańskie kundle, powracające do mia-

13

sta, by skubnąć trochę mięsa z ciał swoich niegdysiejszych panów, zastawiano pułapki, schwymane karmiono, by nabrały sił, a następnie wystawiano do walki na śmierć i życie. Było to przerażające widowisko, ale miłość do hazardu przyciągała na nie złodzieja raz za razem. Pewnej nocy sporo zarobił, obstawiając cherlawego, acz sprytnego teriera, który pokonał trzy razy większego brytana, odgryzając mu jądra.

A jeśli z czasem zbrzydły ci psy, chłopcy i kobiety, miasto oferowało bardziej wyrafinowane rozrywki.

W prowizorycznym teatrze, wykopanym pośród gruzów Bastionu Najświętszej Marii Panny, złodziej oglądał raz „Fausta” Goethego, część pierwszą i drugą, w wykonaniu nieznanego mu z nazwiska jednorękiego aktora. Choć niemiecki złodzieja daleki był od doskonałości, przedstawienie wywarło na nim niezatarte wrażenie. Znał tę historię na tyle dobrze, by śledzić akcję: pakt z Mefistofelem, debaty, czarodziejskie sztuczki, a potem, gdy zbliżało się zapowiedziane potępienie - rozpacz i trwogę. Większość użytych w sporze argumentów pozostała niezrozumiała, ale przejmująca gra aktora w obu bliźniaczych rolach - w jednej chwili jako kusiciela i w następnej jako kuszonego - robiła wrażenie i złodziej opuścił teatr prawdziwie poruszony.

Dwa dni później powrócił, by obejrzeć sztukę po raz drugi, albo przynajmniej pomówić z aktorem. Ale bisów nie przewidziano. Entuzjazm aktora dla Goethego poczytano za pronazistowską propagandę; złodziej znalazł go - radość szezła - powieszzonego na telegraficznym słupie. Wisiał nagi. Bose stopy zostały zjedzone przez zwierzęta, a oczy wydłubane przez ptaki; tors miał podziurawiony kulami jak sito. Widok ten uspokoił podniecenie złodzieja. To, co się stało, można było bowiem uznać za dowód, że pomieszane uczucia, jakie wywołał aktor, były niegodziwe; jeśli do tego stanu przywiodła go jego sztuka, z pewnością był łajdakiem i blagierem. Rozdziawił usta, ale ptaki wydziobały mu język podobnie jak oczy. Niewielka strata.

Istniały rozrywki o wiele bardziej satysfakcjonujące. Kobiety, które można było wziąć lub porzucić, albo chłopcy - ale

Więc z powrotem na walkę psów, by spróbować szczęścia na jakimś kundlu. A jeśli nie tam, to na grę w kości w jednym z baraków albo - w desperacji - szybki zakład ze znużonym wartownikiem o prędkość, z jaką przemknie po niebie jakiś obłoczek. Metoda i okoliczności niewiele złodzieja obchodziły; liczyła się tylko gra. Od czasu dojrzewania była to jego jedyna prawdziwa słabostka; właśnie by móc sobie na nią pozwolić, został złodziejem. Przed wojną grywał w kasynach całej Europy; ulubioną grą była chemin de fer, ale nie miał też nic przeciwko ruletce. Teraz spoglądał wstecz na tamte lata przez woal, którym przesłoniła je wojna, i przypominał sobie tamte gry, jak wspomina się sny po przebudzeniu: jako coś bezpowrotnie utraconego i oddalającego się z każdym oddechem.

To poczucie straty zgasło, gdy dowiedział się o karciarzu - ponoć nazywał się Mamoulian - który, powiadano, nigdy nie przegrał i który pojawiał się i znikał w tym podstępny mieście jak postać nie całkiem rzeczywista.

Po Mamoulianie nic już nie miało być takie samo.

2

I yle głosiła plotka; a wiele z tej plotki nie miało nawet korzeni w prawdzie. Zwyczajne kłamstwa opowiadane z nudów przez żołnierzy. Wojskowe umysły, jak zauważył złodziej, były zdolne do inwencji znacznie bogatszej niż wyobraźnia poety i bardziej zabójczej.

Kiedy więc usłyszał opowieść o szulerze-mistrzu, który przybywa znikąd, wyzywa każdego, kto chce zostać hazardzistą, i niezmiennie wygrywa, podejrzewał, że ta historyjka jest... historyjką właśnie, niczym

więcej. Ale było coś w uporczywym powracaniu owej apokryficznej opowieści, co przeczyło utartym schematom. Nie zblakła bowiem, by ustąpić miejsca kolejnej, jeszcze bardziej niedorzecznej bujdzie. Wciąż powracała w rozmowach mężczyzn przy walkach psów, w plotkarskich pogaduszkach, w napisach na murach. Co więcej, choć w kolejnych relacjach zmieniały się imiona postaci, najistotniejsze fakty pozostawały niezmiennie. Złodziej zaczął podejrzewać, że mimo wszystko w tej historii tkwi ziarno prawdy. Zapewne rzeczywiście działał gdzieś w mieście jakiś wspaniały gracz. Oczywiście nie mógł być absolutnie nie do pokonania; nikt nie jest. Ale ten człowiek, jeśli istniał, był na pewno kimś wyjątkowym. Mówiono o nim zawsze z atencją, niemal nabożną czcią; żołnierze, którzy, jak sami twierdzili, widzieli go podczas gry, wspominali o jego elegancji i hipnotycznym niemal opanowaniu. Przywołując postać Mamouliana, byli niczym chłopcy prawiący o szlachcicu, i złodziej - nigdy nieskłonny do przyznania wyż-

16

szości jednemu człowiekowi nad drugim - do innych powodów, jakie miał, by odszukać karciarza, dodał jeszcze palącą chęć zdetronizowania tego króla.

Lecz w obrazie, jaki udało mu się poskładać z informacji z trudem zebranych pocztą pantoflową, mało było szczegółów. Wiedział, że aby móc zacząć oddzielać prawdę od domysłu, musi wpierw odnaleźć i przepytac kogoś, kto istotnie przy karcianym stoliku zmierzył się z owym ideałem.

Znalezienie takiego człowieka zajęło mu dwa tygodnie. Nazywał się Konstantin Wasiliew, był podporucznikiem i, jak powiadano, stracił

wszystko, co posiadał, grając przeciwko Mamoulianowi. Rosjanin był byczej postury; złodziej poczuł się przy nim jak karzeł. Lecz w przeciwieństwie do tych wielkich mężczyzn, którzy posiadają ducha dość ekspansywnego, by wypełnić ich rozbuchaną anatomię, Wasiliew wydawał się wewnątrz niemal pusty. Jeśli nawet kiedyś posiadał męski temperament, teraz nie został po nim choćby ślad. W środku olbrzymiej cielesnej skorupy tkwiło kruche i niespokojne dziecko.

Dopiero po godzinie przymilnych próśb, po wypiciu przez Wasiliewa prawie całej butelki czarnorynkowej wódki i wypaleniu połowy paczki papierosów, udało się go nakłonić do udzielania odpowiedzi dłuższych niż monosylaby, ale kiedy już puściły tamy, wyznania lały się z niego z siłą rwącego strumienia, niczym spowiedź człowieka stojącego na krawędzi całkowitego załamania. W jego słowach było sporo uzalania się nad sobą, był i gniew; ale przede wszystkim wyczuwało się cuchnącą woń strachu. Wasiliewa porażała śmiertelna trwoga. Na złodzieju wywarło to wielkie wrażenie: nie łzy rozpacz, ale fakt, że Mamoulian potrafił złamać siedzącego teraz przed nim giganta. Niby pocieszając go, niby udzielając przyjacielskich rad, złodziej przystąpił do metodycznego wydobywania z Rosjanina każdego strzępu informacji, do wyszukiwania znaczących szczegółów, dzięki którym chimera, jaką ścigał, stałaby się istotą z krwi i kości.

- Więc mówisz, że wygrywa za każdym razem?
- Zawsze.

- Jaka zatem jest jego metoda? W jaki sposób oszukuje?

Wasiliew oderwał się od kontemplowania nagich desek pod

łogi i podniósł wzrok.

- Oszukuje? - powtórzył z niedowierzaniem. - On nie oszukuje. Całe życie grałem w karty, z najlepszymi i z najgorszymi. Widziałem każdą karcianą sztuczkę, jaką wymyślono na tym świecie. I powiadam ci, on gra czysto.
- Nawet największym szczęśliwcom zdarza się od czasu do czasu przegrana. Rachunek prawdopodobieństwa...

Wyraz niewinnego rozbawienia przemknął po twarzy Wasi-liewa i na moment złodziej ujrzał przed sobą człowieka, który niegdyś zamieszkiwał tę fortecę z ciałą, zanim jeszcze popadł w obłąd.

- Rachunek prawdopodobieństwa nie stosuje się do niego. Nie rozumiesz? To nie jest człowiek jak ty czy ja. Jakim cudem istota ludzka mogłaby stale wygrywać, nie mając władzy nad kartami?
- Wierzysz w to?

Wasiliew wzruszył ramionami i ponownie zapadł się w siebie.

- Dla niego - powiedział, niemal zatopiony w zadumie nad własnym bezgranicznym przerażeniem - wygrana jest rodzajem piękna. Jak samo życie.

Pusty wzrok żołnierza powrócił do śledzenia słoików w surowych deskach podłogi, podczas gdy w umyśle złodzieja wciąż rozbrzmiewały słowa: „Wygrana jest rodzajem piękna. Jak samo życie”. To były dziwne zdania i zasiały w nim niepokój. Nim jednak zdążył dokopać się do ich znaczenia, Wasiliew pochylił się ku niemu z pełnym lęku westchnieniem i chwyciwszy wielką dłonią za jego rękaw, przemówił ponownie:

- Poprosiłem o przeniesienie, mówiłem ci już o tym? Za kilka dni będę daleko stąd i nikt niczego się nie dowie. W swoim kraju dostanę

medale. To dlatego mnie przynoszą - ponieważ jestem bohaterem, a bohaterowie dostają to, o co proszą. Zniknę i on mnie nigdy nie odnajdzie.

- Dlaczego miałby cię szukać?

18

Dłoń trzymająca rękaw zacisnęła się w pięść; Wasiliew przyciągnął złodzieja ku sobie.

- Jestem mu winien nawet tę koszulę, którą mam na grzbiecie - oznajmił. - Jeśli zostanę, zabije mnie. Zabijał już innych, on i jego kamraci.
- Nie jest więc sam? - spytał złodziej. Wyobrażał sobie karciarza jako kogoś nieposiadającego współników; po prawdzie, na swoje podobieństwo takim go w wyobraźni stworzył.

Wasiliew wysmarkał się w garść i rozparł w krześle. Oparcie zatrzęszczało pod jego ciężarem.

- Ech! Któż to wie, co jest prawdą, a co kłamstwem w tej historii? - rzekł, a oczy mu zwilgotniały. - Czy gdybym ci po wiedział, że towarzyszą mu zmarli, uwierzyłbyś? - spytał i za raz sam sobie odpowiedział na to pytanie: - Nie. Uznałbyś, że jestem szalony...

Niegdyś, pomyślał złodziej, ten człowiek był zdolny do głoszenia stanowczych sądów, do działania, może nawet do heroizmu. Teraz cała ta szlachetność gdzieś uleciała - bohater został zredukowany do rozczulającego się nad sobą strzępu człowieka, wygadującego nedorzeczności. W duchu złodziej przyklaskiwał błyskotliwemu zwycięstwu Mamoulia. Zawsze nienawidził bohaterów.

- Ostatnie pytanie... - zaczął.

- Chcesz wiedzieć, gdzie go można znaleźć?

-Tak.

Rosjanin przyglądał się nasadzie swego kciuka, wzdychając głęboko. To wszystko było takie nużące.

- Co zyskasz, jeśli uda ci się z nim zagrać? - spytał i po
nownie sam udzielił sobie odpowiedzi: - Wyłącznie poniżenie.

Może śmierć.

Złodziej wstał z krzesła.

- Zatem nie wiesz, gdzie go szukać? - powiedział, udając, że chce włożyć do kieszeni do połowy pełną paczkę papierosów, leżącą na stole pomiędzy nimi.

- Czekaj. - Wasiliew sięgnął po paczkę, nim zniknęła mu z oczu. -
Poczekaj.

19

Złodziej położył papierosy z powrotem na stole, a Wasiliew nakrył je dłonią w geście przejęcia na własność. Spojrzał na swego rozmówcę i powiedział:

- Ostatnim razem, gdy o nim słyszałem, był podobno na północ od nas. W okolicach placu Muranowskiego. Znasz to miejsce?

Złodziej skinął głową. Nie był to teren, który odwiedzał z radością, ale znał go.

-I jak go tam znajdę? - zapytał.

Rosjanin wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem.

- Nawet nie wiem, jak on wygląda - próbował złodziej pomóc Wasiliewowi zrozumieć, o co chodzi.

- Nie potrzebujesz go szukać - odparł Wasiliew, rozumiejąc wszystko aż nazbyt dobrze. - Jeśli będzie chciał z tobą zagrać, sam cię znajdzie.

3

Następnej nocy, pierwszej w długim szeregu podobnych, złodziej wyruszył na poszukiwanie karciarza. Choć nastał już kwiecień, pogoda była tej wiosny wyjątkowo dokuczliwa, wraca więc do swojego pokoju, wynajętego w na poły zrujnowanym hotelu, zdrętwiały z zimna, frustracji i - do czego z trudem przyznawał się nawet przed samym sobą - lęku. Obszar wokół placu Muranowskiego był piekłem w piekle. Leje po bombach sięgały w wielu miejscach głęboko, aż do kanalizacji miejskiej, i dobywający się z nich fetor był z daleka rozpoznawalny. W innych kraterach, używanych jako doły do spalania zwłok rozstrzelanych mieszkańców miasta, wciąż od czasu do czasu wybuchały jasnym blaskiem płomienie, gdy tylko ogień natrafił na wzdęty gazami brzuch czy większą masę ludzkiego tłuszczu. Każdy krok na tym nowo odkrytym lądzie był przygodą, nawet dla złodzieja. Śmierć w swych niezliczonych postaciach czaiła się wszędzie. Siedziała na brzegu krateru, grzejąc nad płomieniami stopy; krążyła obłąkana pośród zgliszcz i rumowisk; radośnie igrała w ogrodach z kości i szrapneli.

Pomimo strachu powracał do tej dzielnicy kilkakrotnie. Ale karciarz się nie pojawiał. I z każdą nieudaną próbą, z każdą zakończoną niepowodzeniem wyprawą złodziej zdawał się coraz bardziej zaabsorbowany tymi poszukiwaniami. W jego umyśle pozbawiony twarzy hazardzista zaczął nabierać mocy legendy. Zobaczyć tego człowieka w

ciele, potwierdzić jego fizyczną egzystencję w tym samym świecie, który on, złodziej,

21

zamieszkiwał, stało się dlań nakazem wiary. Sposobem na potwierdzenie, z bożą pomocą, własnego istnienia.

Po dziesięciu dniach bezowocnych poszukiwań wrócił, by ponownie odnaleźć Wasiliewa. Rosjanin nie żył. Jego ciało, z gardłem poderżniętym od ucha do ucha, znaleziono dzień wcześniej na Woli, płynące twarzą w dół jednym z udrażnianych przez armię kanałów ściekowych. Nie był sam. Towarzyszyły mu trupy trzech innych osób, zgładzonych w podobny sposób; zwłoki podpalono i płonęły teraz niczym brandery dryfujące wypełniającą tunel rzeką ekskrementów. Jeden z żołnierzy, ten, który znajdował się w kanale, w chwili gdy pojawiła się ta flotylla, opowiedział złodziejowi, że ciała zdawały się żeglować w ciemności. Przez jedno wstrzymanie oddechu wyglądało to jak powolne zbliżanie się aniołów.

Później, oczywiście, nastąpił koszmar. Gaszenie płomieni na płonących zwłokach, ich włosach, plecach; odwracanie ich i twarz Wasiliewa, uchwycona w świetle latarki, z wyrazem zdziwienia, jak u dziecka przepełnionego mieszaniną zachwyty i przerażenia na widok jakiegoś zabójczego magika.

Papiery potwierdzające przeniesienie bohatera przybyły tego samego popołudnia.

To właśnie owe papiery, jak się wydaje, tak naprawdę spowodowały biurokratyczną pomyłkę, która zamknęła tragedię Wasiliewa komiczną nutą. Ciała - po identyfikacji - zostały pogrzebane w Warszawie.

Wyjątkiem był podporucznik Wasiliew - ten bowiem swymi wojennymi

dokonaniami zasłużył sobie na mniej zdawkowe potraktowanie. Planowano przetransportowanie zwłok do ojczystej Rosji, gdzie zmarły zostałby pochowany z państwowymi honorami w swym rodzinnym mieście. Ale ktoś, komu wpadły w ręce papiery dotyczące przeniesienia, uprzytomnił sobie, że dotyczą one martwego już, a nie żywego Wasiliewa. Ciało zniknęło zatem w tajemniczy sposób. Nikt nie poczuwał się do odpowiedzialności; zwłoki zostały po prostu oddelegowane na nową placówkę.

Śmierć Wasiliewa powiększyła tylko ciekawość złodzieja. Fascynowała go buta Mamoulia. Oto padlinożerca żerujący

22

na słabości innych, którego powodzenie uczyniło na tyle zuchwałym, by odważyć się mordować - lub zlecać zabójstwa - tych, którzy mu się narazili. Złodziej był roztrzęsiony przez to wyczekiwanie. Nawet w snach - jeśli zdołał zasnąć - błąkał się po placu Muranowskim. Miejsce wypełniała mgła jak coś żywego, obiecującego w dowolnej chwili rozewrzeć się i ukazać karciarza. Złodziej był niczym zakochany.

4

Tego popołudnia pękło nad Europą sklepienie brudnych chmur: nad głową złodzieja otwierał się blady, lecz coraz szerszy pas błękitu. Teraz, pod wieczór, niebo było doskonale czyste. Tylko na południowym zachodzie wielkie cumulusy o kalafiorowatych głowach, zabarwionych ochrą i złotem, nabrzmiwały burzą, ale myśl o ich gniewie jedynie

podniecała złodzieja. Powietrze było naelektryzowane, a on czuł absolutną pewność, że tego wieczoru odnajdzie karciarza. Ta pewność nasza go, gdy się zbudził o świcie, i nie opuściła aż do tej chwili.

Kiedy zaczęło zmierzchać, skierował swe kroki na północ, w stronę placu, prawie się nie zastanawiając, dokąd zmierza, tak doskonale znana mu już była ta trasa. Minął dwa punkty kontrolne, gdzie nikt go nie niepokoił - zdecydowany krok wystarczył za hasło-przepustkę. Tego wieczoru pewność siebie złodzieja była niezachwiana. Jego prawa do przebywania w tym miejscu, do oddychania wonnym, liliowym powietrzem, do oglądania gwiazd migoczących w zenicie były niepodważalne. Poczł elektryczność podnoszącą włoski na grzbiecie dłoni i uśmiechnął się. Zobaczył mężczyznę, który trzymał coś nierozpoznawalnego w swych ramionach i krzyczał w kierunku jednego z okien; złodziej znów się uśmiechnął. Gdzieś niedaleko Wisła, wzdęta od deszczu i topniejących lodów, z rykiem pędziła w stronę morza. Był równie niepowstrzymany jak ona.

Złoto spłynęło z cumulusów; świetlisty błękit, ciemniejąc, zmierzał ku nocy.

24

Już niemal wchodził na plac Muranowski, gdy coś zamigotało przed jego oczami, a wiatr zawirował wokół niego i nagle powietrze wypełniło się białym konfetti. To chyba niemożliwe, żeby odbywało się tu jakieś wesele? Jeden z wirujących skrawków osiadł mu na powiece, więc zdjął go palcami. To nie było konfetti, lecz płatek kwiatu. Mężczyzna ścisnął go między opuszkami palców. Zapachniało olejkiem wytłoczonym ze zgniecionej tkanki.

Szukając źródła tego deszczu płatków, zrobił jeszcze kilka kroków, a gdy wynurzył się zza rogu i wszedł na plac, ujrzał drzewo-ducha: cudownie obsypaną kwieciem, zawieszoną w powietrzu bryłę. Ze swą koroną, śnieżnobiałą w świetle gwiazd, i pniem skrytym w cieniu, drzewo wydawało się nie mieć korzeni. Złodziej wstrzymał oddech, wstrząśnięty tym pięknem, i zbliżył się do drzewa, tak jakby podchodził do dzikiego zwierzęcia: ostrożnie, by go nie spłoszyć. Coś przewróciło mu się w żołądku. To nie był trwożliwy respekt wobec kwitnącego drzewa ani resztką radości, z jaką szedł w to miejsce. Ta powoli zamierała. Inne doznania dopadły go na placu.

Był już tak przywykłym do potworności człowiekiem, że od dawna sam siebie zaliczał do nieustraszonych. Dlaczegoż więc stał teraz kilka stóp przed drzewem, z trwogą wbijając w dłonie pedantycznie utrzymane paznokcie, byleby tylko kwietny parasol nie odsłonił najgorszego? Przecież nie było się czego lękać. Zwyczajne płatki kwiatów w powietrzu, cień na ziemi. A jednak oddech złodzieja stał się płytki, przyśpieszony, a on usiłował przekonać samego siebie, że jego lęk jest bezpodstawny.

Dobrze już, pomyślał. Jeśli masz mi coś do pokazania, czekam.

W odpowiedzi na tę bezgłosną zachętę wydarzyły się dwie rzeczy. Gardłowy głos za jego plecami spytał po polsku: „Kim jesteś?”. Na jedno uderzenie serca zaskoczenie rozproszyło jego uwagę, wzrok wymierzony w drzewo stracił głębię ostrości - i w tym samym momencie jakaś postać ruszyła do przodu i wyłoniwszy się spod obciążonych kwieciem konarów, przez

kilka chwil stała przygarbiona w świetle gwiazd. W łudzącym mroku

złodziej nie miał pewności, co widzi: zmasakrowaną twarz, patrzącą tępo, prawdopodobnie w jego kierunku; doszczętnie spalone włosy; pokryte strupami cielsko, potężne jak u byka; wielkie dłonie Wasiliewa.

Widział to wszystko albo nie widział zgoła nic; postać już zaczęła się wycofywać do swej kryjówki za pniem drzewa, poraniona głowa ocierała się o gałęzie. Deszcz płatków spłynął na zwęglone barki.

- Słyszałeś, co mówię? - spytał głos.

Złodziej nie odwrócił się. Wciąż wpatrywał się w drzewo, mrużąc oczy, próbując oddzielić to, co rzeczywiste, od złudzenia. Ale mężczyzna, kimkolwiek był, odszedł. To oczywiście nie mógł być tamten Rosjanin, rozsądek się temu sprzeciwiał. Wasiliew nie żyje, znaleziono go w kanale ściekowym, z twarzą zanurzoną w nieczystościach. Jego ciało było już najprawdopodobniej w drodze do jakiegoś odległego zakątka rosyjskiego imperium. Tu go nie było; nie mogło go być. A jednak złodziej poczuł palącą potrzebę podążenia za nieznajomym, po to tylko, by położyć mu dłoń na ramieniu, skłonić, by się odwrócił, spojrzeć w jego twarz i przekonać się, że to nie Konstantin. Za późno; osoba stojąca za nim chwyciła go gwałtownie za ramię, domagając się odpowiedzi. Gałęzie drzewa przestały drzeć, płatki przestały spadać, mężczyzna zniknął.

Wzdychając ciężko, złodziej odwrócił się ku natrętowi.

Postać naprzeciwko niego uśmiechała się zachęcająco. Okazała się kobietą, czego bynajmniej nie zapowiadał chrapliwy głos, ubraną w za duże spodnie, przewiązane sznurem, a poza tym nagą. Miała ogoloną głowę; ale polakierowane paznokcie u nóg. Ogarnął cały ten obraz zmysłami wyostrzonymi przez szok wywołany widokiem drzewa i wyczulonymi na przyjemność oglądania kobiecej nagości. Lśniące półkule

piersi były doskonale; rozwarł zaciśnięte dotąd pięści i poczuł mrowienie wewnątrz dłoni, pragnienie dotknięcia kuszących krągłości. Lecz może ten zachwyty nad jej ciałem był zbyt szczery? Spojrzał ponownie w twarz dziewczyny i zauważył, że ta nadal się

26

uśmiecha. Rzeczywiście; ale tym razem zawiesił na niej wzrok na dłużej niż w pierwszej chwili i wówczas zdał sobie sprawę, że to, co brał za uśmiech, było stałym wyrazem tego oblicza. Kobiecie obcięto bowiem wargi, odsłaniając zęby i dziąsła. Na policzkach miała upiorne blizny, pozostałości ran, które naruszyły ścięgna i wywołały sztuczny grymas, utrzymując usta w ciągłym rozwarciu. Jej wygląd przerażał.

- Chcesz... - zaczęła.

Czy chcę? - pomyślał, a jego wzrok przesunął się z powrotem na jej piersi. Nieskrępowana nagość podnieciła go pomimo oszpeconej twarzy dziewczyny. Myśl, że mógłby ją osiąść, napełniała go obrzydzeniem - całowania bezwargich ust nie zrekompensowałyby orgazm - a jednak, gdyby zaproponowała, przystałby na to, i do diabła z obrzydzeniem.

- Chcesz... - powtórzyła tą swoją niewyraźną mową, niebę-
dącą ani głosem męskim, ani żeńskim. Trudno jej było formu-
łować i wypowiadać słowa bez pomocy warg, jednak wyrzuciła
z siebie dalszy ciąg pytania: - Chcesz grać w karty?

W ogóle mu to nie przyszło do głowy. Nie interesowała się nim -jak się okazuje - ze względu na seks czy cokolwiek innego. Była po prostu posłańcem. Gdzieś tam czaił się Mamoulian. Prawdopodobnie nie dalej niż na splunięcie. I niechybnie przez cały czas go obserwował.

Przez to pomieszanie uczuć przygasło uniesienie, jakie złodziej

powinien w tym momencie przeżywać. Miast radować się triumfem, zmagał się z wypełniającymi mu głowę, wzajemnie przeciwstawnymi obrazami: ukwiecone drzewo, biust kobiety, ciemność; twarz spalonego mężczyzny, zbyt krótko zwrócona ku niemu; żądza, lęk; pojedyncza gwiazda, pojawiająca się na krawędzi chmury. Niewiele się zastanawiając nad tym, co mówi, odpowiedział:

- Tak, chcę zagrać w karty.

Kobieta skinęła głową, odwróciła się i ruszyła przed siebie, mijając ukwiecone drzewo z gałęziami wciąż rozkołysanymi od dotknięcia mężczyzny, który nie był Wasiliewem, po czym przeszła na drugą stronę placu. Ruszył w ślad za nią. Z łatwoś-

27

cią można było zapomnieć o twarzy wysłanniczki, gdy widziało się, z jaką gracją stawia bose stopy - zdawała się nie zwracać uwagi na to, po czym stąpa. Ani razu się nie zachwiała pomimo odłamków szkła, cegieł i szrapneli pod nogami.

Poprowadziła go do ruiny po okazałym gmachu po przeciwnej stronie placu. Jego zniszczona, niegdyś imponująca, fasada wciąż tkwiła na swoim miejscu; zachował się nawet otwór drzwiowy, choć samych drzwi nie było. Gdy zajrzało się przez ten otwór, widać było migotanie ogniska. Gruz wysypywał się ze środka i blokował do połowy wejście, zmuszając wchodzących do schylenia się i pięcia w górę po osuwisku. W ciemności złodziej zahaczył o coś rękawem płaszcza i rozerwał sukno. Jego przewodniczka nie obejrzała się, by sprawdzić, czy się nie zranił, mimo iż głośno zaklął. Po prostu prowadziła go dalej przez zwały cegieł i zerwanych desek z dachu, a on kuśtykał za nią, czując się żałośnie

niezdarny. W świetle ogniska mógł oszacować rozmiary wnętrza; niegdyś musiał to być okazały dom. Ale niewiele było teraz czasu na zwiedzanie. Kobieta minęła ognisko i wspinała się już w stronę klatki schodowej. Szedł za nią spocony. Ogień trzaskał. Złodziej odwrócił się, by na niego spojrzeć, i dostrzegł po drugiej stronie ogniska kogoś przesłoniętego przez płomienie. Gdy próbował mu się lepiej przyjrzeć, osobnik ów dorzucił drewno do ognia i ku nocnemu niebu wystrzeliła konstelacja sinich drobin popiołu.

Kobieta wspinała się tymczasem po schodach. Pośpieszył za nią; jego cień - rzucany przez płomienie - był olbrzymi. Znajdowała się już na szczycie, nim on dotarł do połowy biegu, a teraz minęła kolejne odrzwia i zniknęła mu z oczu. Podążył za nią tak szybko, jak tylko mógł, i znalazł się w tym samym pomieszczeniu, co ona.

Światło od ogniska tylko miejscami przenikało do wnętrza i w pierwszej chwili z trudem można było cokolwiek w nim dostrzec.

- Proszę zamknąć drzwi - ktoś powiedział.

Minęło kilka sekund, nim złodziej zorientował się, że to do niego skierowano te słowa. Obejrzał się za siebie i próbował na-

28

macać klamkę. Nie znalazł żadnej, więc pchnął drzwi, a te zamknęły się, jęcząc na zawiasach.

Potem znów spojrzął w głąb pomieszczenia. Kobieta stała jakieś dwa, trzy jardy przed nim, jej wiecznie uradowana twarz, z szarym sierpem uśmiechu, zwrócona była w jego stronę.

- Pański płaszcz - powiedziała i wyciągnęła ku niemu ramiona, by pomóc mu zdjąć palto. Odebrawszy od niego okrycie,

wycofała się poza zasięg wzroku złodzieja, w polu widzenia pojawił się natomiast obiekt jego długich poszukiwań.

W pierwszej chwili jednak to nie Mamoulian przykuł uwagę przybysza, lecz oparty o ścianę za plecami tamtego, rzeźbiony w drewnie tryptyk ołtarzowy, gotyckie arcydzieło, błyszczące, nawet w półmroku, złotem, szkarłatem i błękitem. Łup wojenny, pomyślał złodziej; więc to na to idzie fortuna łajdaka. Dopiero teraz spojrzął na człowieka przed ołtarzem. Na stole, przy którym mężczyzna siedział, kopcił się zanurzony w oleju pojedynczy knot. Poświata, jaką rzucał na twarz karciarza, była jasna, lecz niestabilna.

- A zatem, Pielgrzymie - rzekł mężczyzna - znalazł mnie pan. Nareszcie.
- To pan mnie znalazł, jestem tego pewien - odparł złodziej; było dokładnie tak, jak przewidział Wasiliew.
- Słyszałem, że ma pan ochotę na partyjkę lub dwie. Czy to prawda?
- Czemu nie? - Złodziej starał się, by jego głos brzmiał możliwie nonszalancko, choć serce waliło mu w klatce piersiowej dwakroć szybciej niż zwykle. Znalazłszy się w obecności karciarza, poczuł się nagle rozpaczliwie nieprzygotowany. Pot przykleił mu włosy do czoła, dłonie pokrywał ceglany pył; za paznokciami miał brud. Pewnie wyglądam jak złodziej, zawstydził się złodziej.

W odróżnieniu od niego Mamoulian prezentował się znakomicie. Nic w jego stonowanym odzieniu - czarny krawat, szary garnitur - nie zdradzało spekulanta, ten człowiek-legenda wyglądał jak makler giełdowy. Twarz, podobnie jak ubiór, była nieskazitelnie zwyczajna - jej napięta i drobno grawerowana

skóra w pozbawionym powabu świetle lampki oliwnej sprawiała wrażenie nawoskowanej. Wyglądał mniej więcej na sześćdziesiąt lat; policzki miał lekko zapadnięte, nos duży, arystokratyczny; czoło szerokie i wysoko sklepione. Łysina sięgała potylicy; to, co pozostało z włosów, było białe i pierzaste. W jego postawie nie wyczuwało się ani słabości, ani zmęczenia. Siedział wyprostowany na krześle, a jego zwinne dłonie z czułą zażyłością to rozkładały w wachlarz, to znów składały razem talię kart. Tylko oczy należały do snu, który przyśnił się złodziejowi - żaden makler giełdowy nie ma tak nagich oczu. Tak lodowatych, niewybaczających oczu.

- Miałem nadzieję, że przyjdiesz, Pielgrzymie - powiedział.

Jego angielski był pozbawiony obcego akcentu.

- Spóźniłem się? - spytał złodziej półżartem.

Mamoulian odłożył karty. Zdawał się traktować pytanie całkiem serio.

- Zobaczymy. - Zrobił przerwę, nim dodał: - Oczywiście, wie pan, że gram o bardzo wysokie stawki.
- Słyszałem.
- Jeśli ma pan ochotę się wycofać, nim przejdziemy dalej, doskonale to zrozumiem. - W tym krótkim przemówieniu nie było śladu ironii.
- Nie chce pan, bym z panem zagrał?

Mamoulian zacisnął wąskie, suche wargi i zmarszczył czoło.

- Przeciwnie - powiedział. - Bardzo tego pragnę.

Pobrzmiwała w tych słowach - a może nie pobrzmiwała?

- nutka patosu. Złodziej nie był pewien, czy to niekontrolowana szczerłość, czy niezwykle subtelną teatralną sztuczką.

- Ale nie mam współczucia... - kontynuował karciarz - dla tych, co nie spłacają swoich długów.

- Ma pan na myśli porucznika - zaryzykował złodziej.

Mamoulian patrzył na niego przez chwilę.

- Nie znam żadnego porucznika - oświadczył stanowczym głosem. - Znam wyłącznie hazardzistów, takich jak ja. Kilku

30

jest dobrych, większość kiepska. Oni wszyscy przychodzą tu, by wystawić na próbę swą odwagę. Pan robi to samo.

Ponownie wziął do ręki talię, a karty zaczęły poruszać się w jego dłoni, jak gdyby były żywymi istotami. Pięćdziesiąt dwie ćmy trzepoczące skrzydłami w niemrawym świetle, każda z nieco innym rysunkiem na skrzydłach niż pozostałe. Karty okazały się wręcz gorsząco piękne; ich połyskliwe figury były najbardziej niedościgłą rzeczą, jaką oczy złodzieja oglądały od miesięcy.

- Chcę grać - rzekł, opierając się hipnotycznemu ruchowi kart.
- A zatem usiądź, Pielgrzymie - odparł Mamoulian, jakby ta kwestia nigdy nie podlegała dyskusji.

Kobieta prawie bezgłośnie ustawiła krzesło za plecami złodzieja. Siadając, napotkał spojrzenie hazardzisty. Czy krył się w tych pozbawionych radości oczach jakikolwiek zamiar wyrządzenia mu krzywdy? Nie. Nie było w nich nic, czego należałoby się obawiać.

Mamrocząc podziękowania za zaproszenie, przygotowywał się do gry - odpiął guziki przy mankietach koszuli i podwinął rękawy.

Po chwili zaczęli grać.

Część druga

AZYL

Diabeł nie jest bynajmniej najgorszą z istot; wolałbym prowadzić interesy z nim raczej niż z niejednym przedstawicielem rodzaju ludzkiego. W skrupulatnym przestrzeganiu zawartych porozumień zdecydowanie góruje nad rzeszami oszustów zamieszkujących powierzchnię naszej planety. By rzec prawdę, gdy nadchodzi pora zapłaty, przybywa punktualnie, z dwunastym uderzeniem zegara, zabiera należną mu duszę i wraca do siebie, do piekła, jak na dobrego diabła przystało. Zachowuje się niby człowiek interesu, i to jest właściwe podejście.

J.N. Nestroy, „Hóllenangst"

I

Opatrzność 5

Przez sześć lat odbywania kary w Wandsworth Marty Strauss zdążył przyzwyczać się do czekania. Każdego ranka czekał na swoją kolej, by się umyć i ogolić; czekał, by zjeść, i czekał, by się wypróżnić; czekał na wolność. Sporo czekania. Ono też było częścią kary, to jasne; podobnie jak rozmowa, na którą wezwano go owego ponurego popołudnia. I choć czekanie z czasem zaczęło wydawać się rzeczą łatwą do zniesienia, rozmowy nie stały się takie nigdy. Nie cierpiał tego biurokratycznego prześwietlania: segregatora z napisem ZWOLNIENIE WARUNKOWE, wypchanego sprawozdaniami dyscyplinarnymi, raportami o sytuacji

domowej, ocenami psychiatrycznymi; tego obnażania się co kilka miesięcy przed jakimś gburowatym urzędnikiem państwowym, który mówi ci, jakim paskudnym osobnikiem jesteś. Marty'ego raniło to głęboko - wiedział, że nigdy się z tego nie wyleczy; nigdy nie zapomni przegrzanych pomieszczeń, pełnych niedomówień i pogrzebanych nadziei. Będą mu się śniły już zawsze.

- Wejź, Strauss.

Pokój nie zmienił się od jego ostatniej wizyty; tylko powietrze było w nim jeszcze bardziej zatęchłe. Mężczyzna u drugiego końca stołu nie zmienił się również. Nazywał się Somervale i w Wandsworth znalazłoby się paru więźniów, którzy co noc modlili się o jego rychłe starcie na proch. Tym razem nie sam siedział za stołem o plastikowym blacie.

- Usiądź, Strauss.

35

Marty spojrzał na mężczyznę, który towarzyszył Somervale'owi. To nie był pracownik więzienia. Nosił zbyt elegancki garnitur i miał zbyt zadbane paznokcie. Wyglądał na człowieka w sile wieku, był solidnej budowy i miał lekko przekrzywiony nos, zapewne niegdyś złamany i niestarannie nastawiony. Somervale przystąpił do prezentacji:

- Strauss. To jest pan Toy...
- Dzień dobry - powiedział Marty.

Mężczyzna o opalonej twarzy odwzajemnił jego spojrzenie - z wyrazem niekłamane go zainteresowania w oczach.

- Miło mi pana poznać - rzekł.

W jego badawczym przypatrywaniu się było coś więcej niż zwykła ciekawość. A cóż tu, pomyślał Marty, może być do oglądania? Facet z

wyrokiem wypisanym na twarzy, na dłoniach; ciało ociążałe od nadmiaru złego jedzenia i z braku ruchu; niezdarnie przycięty wąsik; para szklących się nudą oczu. Nie był wart drugiego spojrzenia. A jednak jasnobłękitne oczy tamtego przyglądały mu się z wyraźną fascynacją.

- Myślę, że możemy od razu przejść do sprawy - zwrócił się Toy do Somervale'a. Położył dłonie płasko na stole. - Jak wiele już pan powiedział panu Straussowi?

Panu Straussowi. Marty niemal zapomniał, że istnieje taka forma grzecznościowa.

- Nic mu nie powiedziałem - odparł Somervale.
- Powinniśmy zatem zacząć od samego początku - rzekł Toy. Odchylił się do tyłu na krześle, nie zdejmując dłoni ze stołu.
- Jak pan sobie życzy - zgodził się Somervale, w widoczny sposób szykując się do dłuższej przemowy. - Pan Toy... - zaczął.

Ale gość przerwał Somervale'owi, nim ten zdążył wypowiedzieć kolejne słowo.

- Za pozwoleniem - rzekł. - Może mnie uda się przedstawić sytuację najzwyczajniej.
- Jak panu pasuje - odparł Somervale. Pogrzebał w kieszeni marynarki w poszukiwaniu papierosów, z trudem maskując uczucie zawodu. Toy nie zwracał na niego uwagi. Niesymetryczna twarz nie przestawała przyglądać się Marty'emu.

- Moim pracodawcą - zaczął Toy - jest człowiek nazwiskiem Joseph Whitehead. Nie jestem pewien, czy mówi coś panu to na

zwisko. - Nie czekając na odpowiedź, ciągnął. - Jeśli nawet nie słyszał pan o nim, niewątpliwie jest panu znana założona przez niego firma Whitehead Corporation. To jedna z największych potęg farmaceutycznych w Europie...

Na dźwięk tej nazwy w głowie Marty'ego odezwał się daleki dzwoneczek, pojawiły się skojarzenia z jakimś skandalem. Były jednak zwodniczo mgliste, a on nie miał czasu na dociekania, gdyż oto Toy zaczął rozwijać skrzydła.

- Mimo iż pan Whitehead zbliża się do siedemdziesiątki, nadal zachował kontrolę nad korporacją. Rozumie pan, sam doszedł do wszystkiego i całe życie poświęcił swemu dziełu. Postanowił jednak nie być tak bardzo na widoku, jak bywał niegdyś...

W wyobraźni Marty'ego ukazała się nagle fotografia z okładki jakiegoś pisma. Mężczyzna zasłaniający się dłonią przed błyskiem flesza - chwila prywatności złowiona przez przyczajonego paparazzo i przeznaczona do masowej konsumpcji.

- Unika rozgłosu w stopniu niemal całkowitym, a od śmierci żony nie przepada za życiem towarzyskim...

Strauss przypomniał sobie, że wraz z tamtym mężczyzną przedmiotem niepożądanego zainteresowania fotografa stała się kobieta, której uroda była oszałamiająca nawet w niekorzystnym świetle lampy błyskowej - zapewne wspomniana przez Toya żona jego mocodawcy.

- Zamiast tego postanowił kierować korporacją, pozostając w cieniu i w wolnych chwilach poświęcając się sprawom społecznym. Takim jak przepełnienie w zakładach karnych

i ogólne pogorszenie sytuacji w więziennictwie.

Niewątpliwie ostatnia uwaga była z założenia kąśliwa; dosięgła Somervale'a z bezbłędną precyzją. W popielniczce z folii cynowej zgniótł wypalonego do połowy papierosa i rzucił Toyowi cierpkie spojrzenie.

- Gdy przyszła pora zaangażować nowego osobistego ochro-
niarza - kontynuował Toy - pan Whitehead, miast skorzystać

37

z pośrednictwa zwyczajnej agencji, postanowił poszukać odpowiedniego kandydata wśród mężczyzn ubiegających się o zwolnienie warunkowe.

Nie może przecież chodzić o mnie, pomyślał Strauss. Perspektywa zbyt piękna, by zaprzętać sobie nią głowę, i zbyt niedorzeczna. A jednak, jeśli to nie o mnie chodzi, czemu Toy jest tutaj, po co ta cała gadanina?

- Pan Whitehead poszukuje mężczyzny, który zbliża się do końca odbywania kary. Kogoś, kto zasługuje, w ocenie zarówno jego, jak i mojej, na szansę powrotu do społeczeństwa z zapewnioną od razu pracą i niejakim poczuciem własnej wartości, które się z tą pracą wiąże. Pańska sprawa przykuła moją uwagę, Martin. Czy mogę tak się zwracać do pana?
- Zwykle mówią mi Marty.
- Doskonale. Niech zatem będzie Marty. Szczerze mówiąc, nie chciałbym robić panu wielkich nadziei. Prowadzę rozmowy z kilkoma innymi kandydatami oprócz pana i może się oczywiście zdarzyć, iż pod koniec dnia uznam, że żaden z kandydatów nie jest zadowalający. Na tym etapie chciałbym się jedynie upewnić, czy byłby pan zainteresowany proponowanym rozwiązaniem, gdyby okazało się dla pana dostępne.

Marty zaczął się uśmiechać. Nie zewnątrz, ale w głębi ducha; Somervale nie mógł tego dostrzec.

- Czy rozumie pan, o co pytam?
- Tak. Rozumiem.
- Joe... pan Whitehead... potrzebuje kogoś, kto będzie całkowicie oddany sprawie jego bezpieczeństwa; kto byłby gotów raczej zaryzykować własne życie, niż pozwolić, by pracodawcy stała się krzywda. Zdaję sobie sprawę, że to duże wymagania.

Marty zmarszczył brwi. To rzeczywiście były spore oczekiwania, zwłaszcza po sześciopółrocznej lekcji polegania wyłącznie na samym sobie, jaką otrzymał w Wandsworth. Toy błyskawicznie wyczuł wahanie Marty'ego.

- Niepokoi to pana - bardziej stwierdził, niż spytał.

Marty nieznacznie wzruszył ramionami.

38

- Tak i nie. To znaczy, nigdy wcześniej nie proszono mnie o nic takiego. Nie chcę tu wciskać kitu, że chętnie dam się za kogoś zabić, bo tak nie jest. Łgałbym jak z nut, gdybym tak powiedział.

Toy skinieniem głowy zachęcił Marty'ego, by mówił dalej, lecz ten dodał tylko:

- To byłoby wszystko.
- Czy jest pan żonaty? - spytał Toy.
- W separacji.
- Jeśli wolno spytać, czy można w niedalekiej przyszłości spodziewać

się postępowania rozwodowego?

Marty skrzywił się. Nie znoślił o tym mówić. To była jego rana, jego i niczyja więcej, i chciał sam sobie z nią radzić, sam się nią trapić. Żaden współwięzień nigdy nie wydobył z niego nic na ten temat, nawet podczas tych pełnych zwierzeń rozmów o trzeciej nad ranem, jakie prowadził z poprzednim towarzyszem niedoli, jeszcze zanim zjawił się Feaver, gadający wyłącznie o jedzeniu i kobietach z pisemek dla panów. Lecz teraz musiał coś powiedzieć. I tak na pewno mieli wszystkie szczegóły gdzieś w aktach. Toy prawdopodobnie wiedział więcej niż Marty o tym, co Charmaine obecnie robi i z kim.

- Charmaine i ja... - Próbował znaleźć właściwe słowa na odanie tych wszystkich powikłanych uczuć, ale nie pojawiło się nic poza banalnym zdaniem: - Nie sądzę, by istniały wielkie szanse na to, że kiedyś znów będziemy razem, jeśli o to pan pyta.

Toy wyczuł szorstką nutę w głosie Marty'ego; podobnie Somervale. Po raz pierwszy od pojawienia się na arenie Toya funkcjonariusz okazał zainteresowanie przebiegiem rozmowy. Chce widzieć, jak gadaniem zawałam sprawę, pomyślał Marty; dostrzegł wyraz oczekiwania na twarzy Somervale'a. Dobrze więc, chrzanić go, nie dam mu tej satysfakcji.

- To żaden problem... - rzekł stanowczym głosem. - A jeśli nawet, to wyłącznie mój własny. Wciąż przyzwyczajam się do faktu, że jej nie będzie, gdy wyjdę. To wszystko, naprawdę.

Toy uśmiechał się teraz, i był to przyjazny uśmiech.

•Marty... - powiedział. - Nie chcę się wtrącać w nie swoje sprawy.

Zależy mi jedynie na tym, by mieć pewność, że w pełni rozumiemy całą sytuację. Jeśli zostałby pan zatrudniony przez pana Whiteheada, oczekiwalibyśmy, że zamieszka pan w posiadłości razem z nim, i to, iż nie wolno panu opuszczać posiadłości bez wyraźnej zgody pana Whiteheada lub mojej, byłoby koniecznym warunkiem pańskiego zatrudnienia. Innymi słowy, nie wyszedłby pan na bezwarunkową wolność. Wręcz przeciwnie. Być może uzna pan nawet pobyt w posiadłości za swego rodzaju otwarte więzienie. Jest dla mnie ważne poznanie wszelkich pańskich powiązań, które mogłyby uczynić te rygory kusząco łatwymi do zlekceważenia.

- Tak, rozumiem.
- Ponadto, jeśli z jakiegokolwiek powodu pańskie relacje z panem Whiteheadem nie byłyby satysfakcjonujące; gdyby któryś z panów uznał, że ta praca nie jest dla pana odpowiednia, wówczas, obawiam się...

- ...wróciłbym tutaj, by odbyć resztę kary.

-Tak.

Zapadło kłopotliwe milczenie, podczas którego Toy cicho westchnął. Szybko jednak odzyskał równowagę ducha i poprowadził rozmowę w innym kierunku.

- Jest jeszcze kilka pytań, które chciałbym panu zadać. Tre nował pan boks, czy to prawda?

- Trochę. Jakiś czas temu... Toy wydawał się rozczarowany.
- Zrezygnował pan?
- Tak - odparł Marty. - Później krótko podnosiłem ciężary.

- Czy ma pan jakieś doświadczenie w sztuce samoobrony?

Dzudo? Karate?

Marty zastanawiał się przez moment, czy nie skłamać; ale czy kłamstwo miałyby sens? Wystarczyło wypytać klawiszy w Wandsworth i Toy poznałby prawdę.

- Nie - odpowiedział.
- Szkoda.

Marty poczuł, jak kurczy mu się żołądek.

40

- Jestem jednak dobrego zdrowia - próbował ratować sytuację. - I dość silny. Mogę się nauczyć. - Zauważył, że jakieś nieproszone drzenie pojawiło się ni stąd, ni zowąd w jego głosie.
- Obawiam się, że nie potrzebujemy ucznia - zaznaczył So-mervale; ledwo był w stanie ukryć nutę triumfu.

Marty pochylił się nad stołem, próbując w ten sposób usunąć poza nawias rzeczywistości przyklejonego do niej jak pijawka Somervale'a.

- Nadaję się do tej pracy, panie Toy - oświadczył z naciskiem.

- Wiem, że się nadaję. Proszę mi tylko dać szansę...

Drzenie pogłębiało się; żołądek wykonywał akrobatyczne ewolucje. Lepiej zakończyć to teraz, nim Marty powie lub zrobi coś, czego będzie żałował. Ale słowa i uczucia napływały same.

- Niech mi pan da sposobność, by to udowodnić. To chyba nie taka wielka prośba, prawda? A jeśli schrzanię sprawę, będzie to wyłącznie moja wina, rozumie pan? Jedna szansa - o nic więcej nie proszę.

Toy spojrział na niego ze współczuciem - albo czymś, co przypominało

współczucie. Czy zatem wszystko przepadło? Czyżby już zdecydował -jedna nieprawidłowa odpowiedź i całą sprawę diabli wzięli - czyżby w myślach pakował już swój neseser i oddawał segregator z napisem „Strauss M.” w wilgotne łapy Somervale'a, by ten odłożył go pomiędzy akta dwóch innych zapomnianych przez świat skazańców?

Marty ugryzł się w język i usiadł prosto na niewygodnym krześle, zawieszając wzrok na swych drżących dłoniach. Nie był w stanie patrzeć na szlachetną, pomimo kontuzji, twarz Toya, nie teraz, gdy tak bardzo się przed nim otworzył. Toy wejrzałby, o tak, wejrzałby we wszystkie jego rany i pragnienia, i tego właśnie Marty nie mógł znieść.

- Podczas pańskiego procesu... - odezwał się Toy.

Co znowu? Po co przedłużać tę agonię? Wszystko, czego Marty pragnął, to znaleźć się w celi, gdzie Feaver będzie siedział na pryczy, bawiąc się swymi lalami, gdzie w znajomej mono-

41

tonii będzie można znaleźć bezpieczny azyl. Ale Toy jeszcze nie skończył; chciał całej prawdy, i tylko prawdy.

- Na procesie zeznał pan, że najważniejszym motywem wzięcia udziału w rabunku była konieczność spłaty poważnych długów z hazardu. Czy mam rację?

Marty przeniósł wzrok ze swych dłoni na buty. Miał nie -zawiazane sznurówki; choć były dość długie, by zrobić na nich podwójne kokardki, nie miał nigdy cierpliwości do skomplikowanych węzłów. Preferował pojedynczą pętelkę. Jeśli chciałeś rozsypać węzeł jednym pociągnięciem sznurka, patrz -czary-mary i nie ma pętelki.

• Czy to prawda? - zapytał ponownie Toy.

- Tak, to prawda - odparł Marty. Zaszli tak daleko; dlaczego nie dokończyć tej historii? - Było nas czterech. I dwa pistolety. Próbowaliśmy przejąć furgonetkę z pieniędzmi. Sprawy wymknęły nam się z rąk. - Oderwał na moment wzrok od butów; Toy słuchał z uwagą. - Kierowca dostał postrzał w brzuch. Zmarł wkrótce potem. To wszystko jest w aktach, no nie? - Toy przytaknął. - A o furgonetce? Czy to też jest w aktach?

Toy nie odpowiedział.

- Była pusta - rzucił się Marty. - Spartaczyliśmy robotę od samego początku. Pieprzona furgonetka była pusta.

- A dług?

- Co?

- Pański dług wobec Macnamary. Czy wciąż pozostaje nie spłacony?

Facet zaczynał naprawdę działać Marty'emu na nerwy. Co go może obchodzić, że on jest winien kilka patoli tu czy tam? To tylko takie udawane współczucie, kamuflaż, żeby wycofać się z godnością.

- Odpowiedz panu Toyowi, Strauss - wtrącił się Somervale.
- Czemu to pana interesuje?
- Ciekawość - odpowiedział Toy szczerze.
- Rozumiem.

Pieprzyć jego ciekawość, pomyślał Marty; żeby się nią **nie** zadławił. Otrzymali tyle zwierzeń, ile mieli dostać.

42

- Czy mogę już iść? - spytał.

Podniósł wzrok. Nie na Toya, lecz na Somervale'a, który uśmiechał się ironicznie zza chmury tytoniowego dymu, rad, że rozmowa kończy się fiaskiem.

- Sądzę, że tak, Strauss - odezwał się. - O ile pan Toy nie ma więcej pytań.

- Nie - rzekł Toy martwym głosem. - Nie mam; to mi w pełni wystarcza.

Marty wstał, nadal unikając wzroku Toya. Małe pomieszczenie pełne było nieprzyjemnych dźwięków. Nogi krzesła drapiące o podłogę, charkot nikotynowego kaszlu Somervale'a. Toy składał swoje papiery. Już było po wszystkim.

- Możesz odejść - rzucił Somervale.

- Miło mi było pana poznać, panie Strauss - powiedział Toy do pleców Marty'ego, gdy ten dotarł do drzwi.

Marty odwrócił się, nie spodziewając się, że zobaczy uśmiech na twarzy tamtego i wyciągniętą na pożegnanie dłoń. Miło mi było pana poznać, panie Strauss.

Marty skinął głową i uścisnął dłoń mężczyzny.

- Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas - dorzucił jeszcze przybysz.

Marty zamknął za sobą drzwi i ruszył z powrotem do swojej celi, eskortowany przez Priestleya, oficera dyżurnego, odpowiedzialnego za jego piętro. Szli w milczeniu.

Marty obserwował ptaki nurkujące spod dachu hali i przysiadające na balustradach galerii w poszukiwaniu smakołyków. Przylatywały i odlatywały, kiedy im pasowało, znajdowały wnęki na gniazda i uważały swą suwerenność za daną raz na zawsze. Nie zazdrościł im. A jeśli nawet - to nie

była dobra pora, by się do tego przyznać.

6

Minęło trzynaście dni i nie było żadnych wieści ani od Toya, ani od Somervale'a. Nie żeby Marty oczekiwał jakichkolwiek. Szansa została zaprzepaszczone; sam zainscenizował jej utratę, odmawiając rozmowy na temat Macnamary. Tym sposobem, dławiąc wszelką nadzieję w zarodku, spodziewał się uniknąć ciężkiej próby wyczekiwania. Nie powiodło mu się. Bez względu na to, jak bardzo się starał, nijak nie potrafił zapomnieć rozmowy z Toyem. Spotkanie wybiło go ze stanu równowagi i ten brak stabilności dokuczał nie mniej niż jego przyczyna. A przecież Marty był pewien, że już nauczył się sztuki zobojętnienia, w taki sam sposób, w jaki dzieci uczą się, że gorąca woda parzy - przez bolesne doświadczenie.

Takich doświadczeń było wiele. Przez pierwsze dwanaście miesięcy odsiadki walczył przeciwko wszystkiemu i przeciw każdemu, kto stanął na jego drodze. Nie zdobył wówczas przyjaciół ani nie zrobił dobrego wrażenia na administracji; wszystko, co zyskał za te udręki, to siniaki i przykre chwile. W drugim roku, utemperowany porażką, zszedł ze swą prywatną wojną do podziemia; zaczął podnosić ciężary i trenować boks, skoncentrował się na budowaniu ciała i utrzymaniu go w formie, by służyło mu, gdy nadejdzie czas wyrównania rachunków. Ale w połowie trzeciego roku dała o sobie znać samotność - ból, którego żadna dawka samoudręki (codzienne doprowadzanie mięśni do progu bólu, a nawet poza ten próg) nie potrafiła przesłonić. Tego roku zawarł rozejm - z samym sobą i z miejscem,

w którym się znalazł. To nie był łatwy pokój, ale sprawy od tamtego momentu jeły powoli ulegać poprawie. Zaczął nawet czuć się jak u siebie w domu w wypełnionych echem korytarzach i w swojej celi oraz w kurczącej się enklawie własnej głowy, gdzie najprzyjemniejsze doświadczenia były teraz odległym wspomnieniem.

Czwarty rok przyniósł nową grozę. Skończył dwadzieścia dziewięć lat; trzydziestka zamajaczyła na horyzoncie, a on pamiętał aż nazbyt doskonale, jak będąc kilka lat młodszy i wciąż mając mnóstwo czasu do stracenia, z lekceważeniem myślał o trzydziestoletnich mężczyznach, uważając ich za zużytych. To była bolesna świadomość i dawna klaustrofobia (uwięzienie za kratami nie zakładu karnego, lecz własnego życia) powróciła ze zdwojoną siłą i z nieznaną dotąd brawurą. To wtedy zdobył swoje tatuaże: szkarłatno-błękitną błyskawicę na lewym ramieniu i „USA” na prawym przedramieniu. Niedługo przed świętami Bożego Narodzenia Charmaine napisała do niego, sugerując, iż optymalnym rozwiązaniem byłby rozwód, a on się tym wcale nie przejął. Co by to dało? Obojętność to najlepsze lekarstwo. Gdy raz się przyznasz do porażki, życie staje się jak puchowa pierzyna. Oświecony tą mądrością łatwiej przetrzymał piąty rok. Zdobyl dostęp do narkotyków; jako doświadczony kryminalista miał teraz siłę przebicia; miał w ogóle wszystko z wyjątkiem cholernei wolności, a na nią nauczył się czekać.

I wtedy zjawił się Toy, i chociaż Marty próbował z całych sił zapomnieć, że kiedykolwiek slyszal nazwisko tego człowieka, raz po raz łapał się na odtwarzaniu w głowie tamtej półgodzinnej rozmowy, analizowaniu najdrobniejszych detali każdego zdania, jakie wówczas padło, jak gdyby

chciał w ten sposób odnaleźć zasiane w nich ziarno proroctwa. Był to, rzecz jasna, bezowocny trud, ale on nie potrafił powstrzymać się przed podejmowaniem prób wciąż na nowo, aż cały proces stał się dlań swoistym, przynoszącym niemal pocieszenie rytuałem. Nikomu nic nie powiedział, nawet Feaverowi. To był jego sekret: pokój przesłuchań, Toy, porażka Somervale'a.

45

W drugą niedzielę po spotkaniu z Toyem odwiedziła go Char-maine. Rozmowa była nieskładna jak zwykle, przypominała transatlantyckie połączenie telefoniczne - wszelkie wycucie rytmu zdań i wagi chwili udaremnione przez jednosekundo-we opóźnienie pomiędzy pytaniem a odpowiedzią. Ale to nie gwar innych rozmów w pomieszczeniu psuł im szyki, sprawy po prostu źle się miały. Nie dało się dłużej ukrywać tego faktu. Swych pierwotnych prób ratowania sytuacji Marty poniechał już dawno temu. Po beznamiętnych pytaniach o zdrowie krewnych i przyjaciół wypływała więc na wierzch w całej swej okazałości kwestia rozpadu ich związku.

Początkowo pisał do niej w listach: „Jesteś piękna, Charma-ine. Myślę o tobie po nocach. Marzę o tobie cały czas”.

Ale z czasem jej wygląd zdawał się tracić wyrazistość - w każdym razie skończyły się jego sny o jej twarzy, jej ciele, o niej leżącej pod nim - i chociaż przez jakiś czas Marty zachowywał w listach pozory, jego miłosne zdania zaczęły brzmieć rażąco sztucznie - w końcu w ogóle przestał wspominać o rzeczach intymnych. Pisząc, że myśli o jej twarzy, czuł się jak dorastający chłopak; cóż ona mogła wyobrazić sobie innego, jak nie to, że on poci się w ciemnościach i bawi sam ze sobą jak dwunastolatek?

Nie chciał, żeby tak o nim myślała.

Może, jak się nad tym zastanowić, to był błąd. Kto wie, czy upadek ich małżeństwa nie zaczął się właśnie w tym momencie, gdy Marty poczuł śmieszność sytuacji i poniechał pisania miłosnych listów. Ale przecież Charmaine też się zmieniła, czyż nie? Jej oczy nawet teraz patrzyły na niego z nieskrywaną podejrzliwością.

- Masz pozdrowienia od Flynnna.
- Och, mój Boże. Widujesz go?
- Czasami.
- Co u niego?

Wolała patrzeć na zegar niż na Marty'ego, ale to mu nawet odpowiadało. Dawało możliwość przyglądania się jej bez poczucia, że jest natrętny. Kiedy Charmaine pozwalała sobie na rozluźnienie twarzy, nadal wydawała mu się atrakcyjna.

46

Ale potrafił - mocno w to wierzył - w pełni kontrolować swoje reakcje na jej widok. Mógł na nią patrzeć - na półprzezroczyste płatki jej uszu, na miękką linię szyi - i obserwacja ta pozostawała całkowicie beznamiętna. Jednego przynajmniej nauczyło go więzienie: nie pragnij tego, czego nie możesz mieć.

- Och, wszystko w porządku... - odpowiedziała.

Potrzebował kilku chwil, by przypomnieć sobie, o kim Charmaine mówi. Ach tak. O Flynnie. Jest na tym świecie mężczyzna, który nigdy nie pobrudził sobie rąk: Flynn Mądry, Flynn Błyskotliwy.

- Przesyła ci najlepsze pozdrowienia - dodała.

- Już mówiłaś - przypomniał.

Jeszcze jedna pauza; z każdą jej kolejną wizytą rozmowa stawała się coraz większą torturą. Dla niego nie tak bardzo jak dla niej. Wydawało się, że każde słowo, które z siebie wyrzuca, sprawia jej ból.

- Widziałam się znów z prawnikami.

-Aha.

- Sprawa posuwa się wyraźnie do przodu. Mówią, że papiery będą gotowe w przyszłym miesiącu.
- A co ja mam zrobić? Po prostu je podpisać?
- Cóż... powiedzieli, że powinniśmy porozmawiać o domu i wszystkich rzeczach, które są wspólne.

-Ty je masz.

- Ale są nasze, wspólne, no nie? To znaczy, należą do nas obojga. A kiedy wyjdiesz, będziesz potrzebował kąta do mieszkania, mebli, wszystkiego.
- Chcesz sprzedać dom?

Kolejna przekłęta pauza, jak gdyby Charmaine z drzeniem zatrzymała się na krawędzi powiedzenia czegoś o wiele ważniejszego, głębszego niż banały, które z całą pewnością jak zwykle wezmą górę.

- Przepraszam, Marty - rzekła w końcu.
- Za co?

Potrząsnęła głową, bardzo lekko. Jej włosy załśniły.

- Nie wiem - odparła.

47

- To nie twoja wina. Absolutnie nic tu nie dzieje się z twojej winy.

- Nic na to nie poradzę, że...

Przerwała i spojrzała na niego, raptem ożywiona natarczywością swych lęków - czy rzeczywiście lęków? - bardziej, niż zdarzało się to w dziesiątkach dotychczasowych, drewnianych rozmów między nimi, z trudem znoszonych w tym czy innym dusznym pomieszczeniu. Oczy jej zwilgotniały, nabrzmiały łzami.

- O co chodzi?

Wpatrywała się w niego. Łzy przelały się przez krawędzie powiek, spłynęły po jej twarzy.

- Char... Co się dzieje?

- To koniec, Marty - powiedziała, jak gdyby uświadomiła sobie ten fakt po raz pierwszy; skończone, kropka, żegnaj, mój luby.

Skinął głową. - Tak.

- Nie chcę, abyś... - Urwała, a po krótkiej pauzie podjęła znowu: - Nie możesz mnie obwiniać.

- Nie obwiniam cię. Nigdy cię nie obwinałem. Chryste, przecież stale tu przychodzisz, no nie? Przez cały ten czas. Nienawidzę oglądać cię w takim miejscu, wiesz o tym. Ale przychodziłaś; kiedykolwiek cię potrzebowałem, byłaś przy mnie.

- Myślałam, że tak będzie lepiej - mówiła dalej, tak jakby on w ogóle się nie odezwał - naprawdę tak myślałam. Sądziłam, że prędko wyjdiesz... i że może nam się uda, wiesz. Wciąż mieliśmy nasz dom i całą resztę. Ale te ostatnie kilka lat... wszystko zaczęło się sypać.

Patrząc na jej cierpienie, pomyślał: nigdy nie będę w stanie tego zapomnieć, ponieważ ja to spowodowałem, i jestem najbardziej żalonym gównem na całym bożym świecie, przez to, co zrobiłem. Na początku

były oczywiście łyzy i listy od niej, pełne żalu i na wpół ukrytych oskarżeń, ale ta miazdząca rozpacz, malująca się teraz na jej twarzy, miała o wiele głębsze źródła. Nie była rozpaczą dwudziestodwulatki, to po pierwsze,

48

lecz dorosłej kobiety; i dogłębnie zawstydziała go świadomość, że to on jest tego sprawcą, zawstydziała go w sposób, który pozostawił - zdawało mu się - gdzieś daleko za sobą.

Wyłuskała z paczki papierową chusteczkę i wytarła nos.

- Wszystko się pochrzaniło. -Tak.
- Chcę to po prostu poukładać.

Spojrzała przelotnie na zegarek, zbyt przelotnie, by odczytać czas, i wstała.

- Chyba już pójde, Marty.
- Umówiona?

- Nie... - odparła; jawne kłamstwo, którego nawet nie próbowała ukryć. - Może później zrobię jakieś zakupy. To zawsze pomaga mi poczuć się lepiej. Znasz mnie.

Nie, pomyślał. Wcale cię nie znam. Może kiedyś cię znałem, ale nawet tego nie jestem pewien; to była inna Charmaine, i za nią, Bóg mi świadkiem, tęsknię. Powstrzymał się przed wypowiedzeniem tych myśli na głos. To nie był dobry sposób pożegnania się z nią; wiedział o tym z poprzednich spotkań. Sztuczka polegała na tym, by pozostać chłodnym, obojętnym, zakończyć w oficjalnym tonie - by móc powrócić do swojej celi i zapomnieć o Charmaine aż do następnego razu.

- Chciałam, abyś zrozumiał - powiedziała. - Ale chyba nie

wyjaśniłam tego zbyt dobrze. To wszystko jest tak cholernie pogmatwane.

Nie pożegnała się; łzy znowu zaczęły napływać i Marty nabrał pewności, że Charmaine się boi - rozmowa o prawnikach miała jedynie pomóc to ukryć - że może odwołać wszystko w ostatniej chwili, ze słabości, z miłości, albo ze słabości i miłości równocześnie; wychodząc zaś bez odwracania się, odsuwała od siebie taką możliwość najdalej, jak mogła.

Pokonany powrócił do celi. Feaver spał. Śliną przykleił sobie do czoła wyrwane z czasopisma zdjęcie sromu, co było jednym z jego ulubionych codziennych zajęć. Wagina rozdziawiała się -jak trzecie oko - nad jego zamkniętymi powiekami, wpatrzona w przestrzeń, bez nadziei na sen.

7

Strauss?

Priestley stał w otwartych drzwiach, gapiąc się do wnętrza celi. Obok niego, na ścianie, widniał napis nagryzmołony przez jakiegoś dowcipnisia: „Jeśli jesteś napalony, kopnij w drzwi. Pojawi się pizda”. To znany żart - widział takie i podobne napisy na ścianach niejednej celi - ale teraz, patrząc na nalaną twarz Priestleya, uznał to skojarzenie - wroga i kobiecego seksu - za obsceniczne.

- Strauss?
- Tak jest.
- Pan Somervale chce cię widzieć. Około trzeciej piętnaście. Przyjdę cię zabrać. Bądź gotów dziesięć po.

- Tak jest.

Priestley odwrócił się, by odejść.

- Czy może mi pan powiedzieć, o co chodzi?
- Skąd mam, kurwa, wiedzieć?

Somervale czekał w pokoju przesłuchań o trzeciej piętnaście. Na stole przed nim spoczywała teczka z aktami Marty'ego, jej tasiemki wciąż były zawiązane. Obok leżała żółta koperta bez napisów. Somervale stał przy oknie ze zbrojonego szkła i palił.

- Wejź - powiedział. Nie zaprosił go, by usiadł, i nie odwrócił się od okna.

Marty zamknął za sobą drzwi i czekał. Somervale głośno wypuścił dym przez nozdrza.

50

- Czego się spodziewasz, Strauss? - spytał.
- Słucham?
- Powiedziałem: czego się spodziewasz, ha? Co sobie wyobrażasz?

Jak na razie Marty nic z tego nie zrozumiał i zastanawiał się, czy to jemu pomieszało się w głowie, czy Somervale'owi. Minęło stulecie, nim Somervale odezwał się ponownie:

- Zmarła moja żona.

Marty nie bardzo wiedział, jak powinien zareagować. Somervale nie dał mu jednak czasu na sformułowanie odpowiedzi. Po trzech pierwszych słowach przyszła kolej na trzy następne:

- Wypuszczają cię, Strauss!

Umieścił te dwa nagie fakty obok siebie, jak gdyby coś je łączyło; jakby

cały świat zmówił się przeciwko niemu.

- Czy wychodzę z panem Toyem? - spytał Marty.
- On i Komisja Zwolnień Warunkowych wierzą, że jesteś odpowiednim kandydatem do pracy w posiadłości Whiteheada - odparł Somervale. - Wyobraź sobie. - Z jego gardła wydobył się jakiś niski dźwięk, który mógł uchodzić za śmiech. - Pozostaniesz oczywiście pod ścisłą obserwacją. Nie ja będę cię nadzorował, lecz ten, kto przyjdzie po mnie. I jeśli choć raz się wyłamiesz...
- Rozumiem.
- Nie jestem pewien, czy rozumiesz. - Somervale zaciągnął się papierosem, wciąż nie odwracając się od okna. - Zastanawiam się, czy zdajesz sobie sprawę, jakiego rodzaju wolność wybrałeś...

Marty nie zamierzał pozwolić, by tego rodzaju gadka zniszczyła narastające w nim poczucie radosnego podniecenia. Somervale został pokonany - pozwólmy mu się wygadać.

- Joseph Whitehead może i jest jednym z najbogatszych ludzi w Europie, ale jest też, dochodzą mnie słuchy, jednym z największych ekscentryków. Bóg jeden wie, w co się pakujesz, ale mówię ci, myślę, że nastanie jeszcze dzień, kiedy uznasz życie tutaj za o niebo bardziej znośne niż życie tam.

Słowa, ledwo wypowiedziane, rozplywały się w powietrzu; ziarna goryczy, które Somervale próbował zasiać, padały na martwy grunt. Czy to ze zmęczenia, czy może zorientowawszy się, że stracił słuchacza, funkcjonariusz przerwał swój lekceważący monolog równie nagle, jak go zaczął, i odwrócił się od okna, by niezwłocznie zakończyć tę przykrą

sprawę. Marty był zszokowany, widząc, jakie zmiany zaszły w tym człowieku. W ciągu paru tygodni, jakie upłynęły od ich ostatniego spotkania, Somervale postarzał się o kilka lat; wyglądał tak, jakby przez cały ten czas żył tylko smutkiem i papierosami. Jego skóra przypominała czerstwy chleb.

- Pan Toy odbierze cię na bramie w następny piątek po południu. To piątek trzynastego. Jesteś przesądny?

-Nie.

Somervale wręczył Marty'emu kopertę.

- Szczegóły są w środku. W najbliższych dniach przejdiesz badania medyczne i ktoś tu się zgłosi, by wyjaśnić twoją sytuację względem Komisji Zwolnień Warunkowych. Przepisy są na ginane na twoją korzyść. Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Tylko na twoim oddziale jest tuzin wartościowszych kandydatów.

Marty otworzył kopertę, szybko przebiegł wzrokiem gęsto zapisane stronice i wsunął je do kieszeni.

- Już się nie zobaczymy - mówił dalej Somervale - za co, jestem pewien, zaskarbiam sobie u ciebie należytą wdzięczność.

Marty nie pozwolił, by choć cień reakcji przemknął mu po twarzy. Jego udawana obojętność zdawała się podpalać całe pokłady nieużytego wstrętu, jaki wypełniał znużoną cielesną powłokę Somervale'a. Ten bowiem, obnażywszy swe popsute zęby, rzekł jeszcze:

- Na twoim miejscu dziękowałbym Bogu, Strauss. Dziękowałbym Bogu z całego serca.
- Za co... proszę pana?

-Ale myślę, że nie masz w sercu zbyt wiele miejsca dla Boga, co?

Ostatnie słowa zawierały w równych ilościach ból i pogardę. Marty nie mógł się powstrzymać przed wyobrażeniem sobie

52

Somervale'a samotnego w wielkim małżeńskim łożu; mąż bez żony, pozbawiony nadziei i wiary, że jeszcze kiedyś ją ujrzy; niezdolny do łez. Następną myśl szybko nadeszła po tamtej: że kamienne serce Somervale'a, złamane od jednego strasznego ciosu, niewiele różni się od jego własnego serca. Obaj byli twardzi, obaj trzymali świat na dystans, prowadząc w głębi trzewi swoje prywatne wojny. Obaj kończyli z bronią, którą wykuli przeciwko wrogom, zwróconą przeciw sobie samym. To była ohydna świadomość i gdyby nie rozpierająca Marty'ego radość z powodu dopiero co usłyszanych nowin, nigdy nie ośmieliliby się dopuścić tych myśli do głowy. Ale tak to właśnie wyglądało. On i Somervale, jak dwa jaszczury leżące w tym samym cuchnącym błocie, nagle wydali się bliźniaczo do siebie podobni.

- O czym myślisz, Strauss? - spytał Somervale. Marty wzruszył ramionami.

- O niczym - odrzekł.

- Kłamca - powiedział tamten. Podniósł segregator i **opuścił** pokój przesłuchań, nie zamykając za sobą drzwi.

Nazajutrz Marty zatelefonował do Charmaine i powiedział jej, co się wydarzyło. Zdawała się cieszyć z tego faktu, co sprawiło mu satysfakcję. Gdy odszedł od telefonu, był roztrzęsiony, ale czuł się dobrze.

Przez ostatnie kilka dni w Wandsworth żył po omacku, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Wszystko w życiu więziennym, do czego już tak

przywykł - codzienne okrucieństwo, niekończące się szykany, gry o władzę i gry seksualne - wszystko wydawało mu się nowe, jak przed sześciu laty.

To były oczywiście stracone lata. Nic mu ich nie zwróci, a on nigdy już nie wypełni ich pożytecznym doświadczeniem. Ta myśl przygnębiała go. Tak niewiele miał tego, z czym mógł wyjść do świata. Dwa tatuaże, ciało, które bywało już w lepszej formie, wspomnienia gniewu i rozpacz. W podróż, która go niebawem czekała, wybierał się z niewielkim bagażem.

8

W noc poprzedzającą opuszczenie Wandsworth Marty miał sen. Jego nocne życie przez te lata odsiadki nie wyróżniało się niczym szczególnym. Mokre sny o Charmaine szybko się skończyły, podobnie wszelkie egzotyczne porywy fantazji. Tak jakby jego podświadomość, wczuwając się w stan odosobnienia, w jakim się znalazł, unikała drażnienia go snami o wolności. Raz na jakiś czas budził się w środku nocy z głową szybującą pośród wspaniałości, ale większość jego marzeń sennych była tak samo pozbawiona sensu i monotonna jak jego życie na jawie. Tym razem jednak doświadczył czegoś zgoła odmiennego.

Śniła mu się budowla przypominająca katedrę - nieukończona albo raczej niemożliwa do ukończenia mistrzowska kompozycja wież, iglic i strzelistych przypór, zbyt potężna, by mogła istnieć w realnym świecie - prawo grawitacji by się temu sprzeciwiło

- ale tu, w jego głowie, porażająco rzeczywista. Była noc, szedł w stronę budowli, żwir chrzęścił mu pod stopami, w powietrzu unosił się zapach dzikiej róży, a z wnętrza katedry dolatywał śpiew. Natchnione głosy - chóru chłopięcego, jak się domyślał

• we wznoszącej się i opadającej melodii bez słów. W otaczającej go jedwabistej ciemności nie widział żadnych ludzi - ani jednego turysty, który razem z nim podziwiałby to cudo. Tylko on sam. I głosy.

I wtedy w jakiś magiczny sposób wleciał w przestworza. Jego ciało pozbawione było ciężaru; wiatr porwał go, uniósł w górę, równoległe do stromej ściany katedry, z zapierającą dech

54

w piersiach prędkością. Zdawał się lecieć nie jak ptak, lecz -paradoksalnie -jak jakaś pływająca w powietrzu ryba. Albo jak delfin - tak, właśnie delfinem był w owej chwili - z ramionami raz blisko przy ciele, raz orzącymi błękit przestworzy, by unieść ciało jeszcze wyżej; jak gładka, naga istota, ślizgająca się po dachówkach i przeskakująca iglice wież, zbierająca opuszkami palców rosę z kamiennych ścian budowli, strzepująca krople deszczu zawisłe u wylotów rynien. Nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej śnił coś równie urzekającego. Zbyt wiele było tej radości; jej intensywność wyrwała go nagle ze snu.

Znalazł się na powrót, z szeroko otwartymi oczyma, w cieplarnianym gorącu celi, z Feaverem masturbującym się na dolnej pryczy. Prycze kołysały się rytmicznie ze wzrastającą prędkością, wreszcie Feaver szczytował ze stłumionym jękiem. Marty próbował oddalić od siebie tę rzeczywistość i skoncentrować się na odzyskaniu snu. Zamknął oczy, usiłując na powrót przywołać wizję, wypowiadając w ciemność słowa zachęty. Sen powrócił na jeden wstrząsający moment, tylko że tym razem nie był triumfalny - wypełniał go lęk: Marty spadał z wysokości stu mil, katedra pod nim zbliżała się z wielką prędkością, z iglicami wyostrzonymi przez wiatr, oczekującymi na jego przybycie...

Otrząsnął się z koszmaru, przerywając spadanie, nim dosięgło celu, i przeleżał resztę nocy, wpatrując się w sufit, aż szarość rzednącego mroku - pierwsza oznaka brzasku - wlała się przez okno, ogłaszając nastanie dnia.

9

Niebiosa nie rozstały się, by uczcić jego pierwszy dzień wolności. Zwyczajne piątkowe popołudnie, ze zwyczajnym ruchem na Trinity Street. Gdy sprowadzono Marty'ego z jego piętra, Toy już czekał w skrzydle recepcyjnym. Musiał tam zabawić jeszcze trochę, aż funkcjonariusze odprawią szereg biurokratycznych rytuałów, sprawdzą i zwrócą rzeczy osobiste osadzonego, podpiszą i kontrasygnują dokumenty potwierdzające zwolnienie z zakładu karnego. Załatwienie tych formalności zajęło niemal godzinę i dopiero wtedy odemknięto podwoje i obaj mężczyźni znaleźli się pod otwartym niebem.

Uścisknąwszy mu dłoń na powitanie, Toy poprowadził Marty'ego przez frontowy dziedziniec więzienia do miejsca, gdzie czekał na nich zaparkowany ciemnoczerwony mercedes; siedzenie kierowcy było zajęte.

- Ruszaj się, Marty - powiedział Toy, otwierając drzwiczki auta. - Za zimno na ślimaczenie się.

Rzeczywiście było zimno; wiał nieprzyjemny wiatr. Ale ten ziąb nie mógł ostudzić radości Marty'ego. Był wolnym człowiekiem, na miłość boską; wolnym w ściśle wytyczonych granicach, co prawda, ale na początek dobre i to. Przynajmniej zostawiał za sobą wszystkie więzienne parafernalia: wiadro w rogu celi, klucze, numery. Od tej chwili będzie musiał stanąć na wysokości zadania i dokonywać właściwych wyborów,

wykorzystać szansę na wydostanie się stąd na dobre.

Toy zajął już miejsce na tylnym siedzeniu mercedesa.

56

- Marty! - zawołał go ponownie, machając na niego dłonią w zamszowej rękawiczce. - Powinniśmy się pośpieszyć, w przeciwnym razie utkniemy w korkach, próbując wydostać się z miasta.

- Już jestem.

Marty wsiadł do wozu. Wnętrze pachniało środkiem do polerowania metalu, dymem dawno wypalonych cygar i skórą. Luksusowe zapachy.

- Czy mam wstawić walizkę do bagażnika? - spytał Marty.

Szofer odwrócił ku niemu głowę.

- Tu jest dość miejsca - powiedział. Mężczyzna o karaibskich rysach, ubrany nie w liberię kierowcy, lecz w znoszoną skórzaną kurtkę lotniczą, zmierzył Marty'ego wzrokiem od stóp do głów. Na jego twarzy nie pojawił się zachęcający uśmiech.

- Luther - rzekł Toy - to jest Marty.

- Połóż walizkę na przednim siedzeniu - odparł kierowca; pochylił się i otworzył przednie drzwiczki od strony pasażera. Marty wysiadł, położył walizkę oraz plastikową torbę z osobistymi rzeczami obok sterty gazet i wymiętego egzemplarza „Playboya”, po czym na powrót zajął miejsce z tyłu przy Toyu i zatrzasnął drzwiczki.

- Nie ma potrzeby trzaskać drzwiami - powiedział Luther, ale Marty puścił tę uwagę mimo uszu. Po niewielu więźniów zajeżdża się pod bramy Wandsworth mercedesem, pomyślał więc sobie: Może tym razem rzeczywiście spadłem na cztery łapy.

Samochód z warkotem oddalił się od bramy więzienia i skręcił w lewo w Trinity Road.

- Luther już dwa lata pracuje w posiadłości - wyjaśnił Toy.
- Trzy - poprawił go kierowca.
- Naprawdę? - zdziwił się Toy. - Niech zatem będzie trzy. Wozi mnie i zabiera pana Whiteheada, gdy ten chce się udać do Londynu.
- Już nie.

Marty pochwycił spojrzenie kierowcy we wstecznym lusterku.

57

- Długo byłeś w pierdlu? - spytał Luther prosto z mostu.
- Wystarczająco długo - odparł Marty. Nie zamierzał niczego ukrywać; to nie miałyby sensu. Czekał na następne nieuniknione pytanie: Za co siedziałeś? Nie padło jednak. Luther zainteresował się na powrót sytuacją na jezdni, najwidoczniej usatysfakcjonowany tamtą informacją. Marty był rad, że rozmowa się urwała. Wszystko, czego teraz pragnął, to oglądać nowy wspaniały świat za oknami wozu, sycić wzrok tym, co mijali. Ludzie, sklepy, reklamy - łaknął szczegółów, nieważne, jak bardzo byłyby trywialne. Przykleił twarz do szyby. Tyle do oglądania, a jednak miał wyraźne przeświadczenie, że to wszystko jest sztuczne, jakby ludzie na ulicach i w samochodach byli aktorami, świetnie obsadzonymi i perfekcyjnie odgrywającymi swoje role. Jego umysł, zmagając się z natłokiem informacji - po obu stronach szosy coraz to nowe widoki, za każdym rogiem parada wspaniałości - po prostu negował realność odbieranych wrażeń. To wszystko zostało zainscenizowane - podpowiadał Marty'emu jego własny mózg -

wszystko jest fikcją. Bo popatrz tylko - ci ludzie zachowują się tak, jakby przeżyli kilka lat bez niego, jak gdyby świat posunął się naprzód, kiedy on był zamknięty; jakaś dziecięca częśćka jego ja - ta sama, która zasłaniając oczy, wierzy, że nikt jej nie widzi - nie mogła wyobrazić sobie, by ktoś mógł żyć, jeśli ona na to nie patrzy.

Rozsądek podpowiadał mu, rzecz jasna, co innego. Cokolwiek jego skonsternowane zmysły podejrzewały, świat postarzał się o kilka lat i był teraz pewnie bardziej znużony niż wtedy, gdy obaj, Marty Strauss i on, ostatnio się widzieli. Marty będzie musiał odnowić tę znajomość: poznać, jak zmieniła się natura świata, ponownie nauczyć się obowiązującej w nim etykiety, odkryć jego czułe punkty i oferowane przezeń przyjemności.

Przejechali w drugą stronę rzeki mostem Wandsworth i przez Ear's Court i Shepherd's Bush wjechali na Westway. Było wczesne piątkowe popołudnie i spory ruch. Ludzie dojeżdżający do pracy spoza Londynu śpieszyli, by jak najszybciej zacząć weekend w swoich domach. Marty przyglądał się bezwstydnie twarzom kierowców w wyprzedzanych samochodach i usiło-

58

wał odgadnąć ich zawody albo próbował pochwycić spojrzenia kobiet.

Z mili na milę zniknęło poczucie dziwności, jakie odczuwał na początku drogi, i jeszcze zanim dotarli do autostrady M40, całe to widowisko zaczęło go nużyć. Toy, z dłońmi na podołku, zdrzemnął się na swoim krańcu tylnego siedzenia. Luther zajęty był przeskakiwaniem z jednego pasa ruchu na drugi.

Tylko jeden incydent kazał im zwolnić tempo jazdy. Dwadzieścia mil przed Oksfordem ujrzeli na drodze przed sobą migotanie błękitnych lamp i posłyszeli dźwięk syreny pędzącej za nimi karetki, co oznaczać mogło

jedynie wypadek. Procesja samochodów zwolniła niczym łańcuszek żałobników zatrzymujących się na moment koło trumny, by spojrzeć na zmarłego.

Samochód, który spowodował kolizję, wpadł w poślizg na prowadzącej w kierunku wschodnim nitce autostrady, przeciął pas oddzielający jezdnie i zderzył się czołowo z nadjeżdżającą z przeciwka furgonetką. Wszystkie pasy ruchu w kierunku zachodnim zostały zablokowane, już to przez wrak, już to przez radiowozy policji, i podróżni musieli używać pobocza, by ominąć miejsce wypadku z porozrzucanymi wokół szczątkami rozbitego auta.

- Co się stało? Widać coś? - spytał Luther, nie mogąc przyjrzeć się samemu, gdyż zbyt zajęty był nawigowaniem wedle dawanych przez policjanta sygnałów. Marty opisał sytuację najlepiej, jak potrafił.

Pośrodku całego zamieszania, wciąż zamroczony przez szok, jakiego doznał, stał mężczyzna z twarzą ociekającą krwią, jakby ktoś rozbił mu na głowie jajko z krwistoczerwonym żółtkiem. Za jego plecami kilka osób - policjantów i ocalałych pasażerów - zebrało się wokół zgniecionej w harmonijkę przedniej części samochodu i przemawiało do kogoś uwięzionego na siedzeniu kierowcy. Postać za kierownicą była skulona, nie poruszała się. Dokładnie w chwili, gdy Luther omijał wrak, jedna z kobiet z owej grupy pocieszycieli, okryta płaszczem nasiąkniętym jej własną krwią lub krwią kierowcy, odwróciła się od rozbitego pojazdu i zaczęła bić brawo. Tak przynajmniej Marty zinter-

pretował uderzanie dłonią o dłoń - jako owację. Wyglądało to tak, jakby uległa temu samemu złudzeniu, co Marty jeszcze nie tak dawno, że

wszystko wokół jest wyłącznie iluzją - dopracowaną w najmniejszym szczególe, acz nieprzyjemną iluzją - i że lada chwila nastąpi upragnione zakończenie widowiska. Chciał wychylić się przez okno auta i powiedzieć jej, że jest w błędzie: że to jest prawdziwy świat - długonogie kobiety, krystalicznie czyste niebo i cała reszta. Ale ona przecież sama dojdzie do tego najdalej jutro, czyż nie? Będzie miała mnóstwo czasu na rozpacz. Lecz teraz klaskała, gdy ją mijali, i klaskała jeszcze, gdy miejsce wypadku zniknęło z pola widzenia, daleko w tyle za nimi.

II

Lis 10

Azyl, Whitehead wiedział o tym, to zdradliwe słowo. Przy jednym oddechu oznacza sanktuarium, miejsce schronienia, bezpieczną przystań. Przy następnym jego znaczenie zapętała się: azyl staje się przytułkiem, zakładem dla obłąkanych, dziurą, w której zagrzebują się złamane umysły. To tylko, upomniał sam siebie, semantyczna sztuczka, nic więcej. Dlaczego więc ta dwuznaczność tak często zaprzęta mu myśli?

Siedział w tym samym, zbyt wygodnym fotelu przy oknie, w którym przesiedział wszystkie zimowe wieczory, obserwując, jak po trawniku skrada się noc, i rozmyślając, bez nadawania tym rozważaniom jakiegoś nazbyt konkretnego kształtu, o przemianie jednych rzeczy w drugie; o tym, jak trudno uchwycić się czegokolwiek trwałego. Życie jest dziełem przypadku. Whitehead dawno temu przyswoił sobie tę lekcję, udzieloną przez prawdziwego mistrza, i nigdy jej nie zapomniał. Czy zostaniesz nagrodzony za dobre uczynki, czy żywcem obdarty ze skóry - o

wszystkim decyduje ślepy traf. Nie ma sensu uciekać się do jakiegoś systemu liczb czy bóstw - systemy i tak prędzej czy później się rozpadają. Fortuna sprzyja człowiekowi, który gotów jest zaryzykować wszystko przy jednym rzucie kości.

On tak właśnie zrobił. Nie jeden, lecz wiele razy, na początku kariery, gdy kładł podwaliny pod swoje imperium. I dzięki niezwykłemu szóstemu zmysłowi, jakim został obdarzony, dzięki zdolności przewidywania, jak potoczą się kości do gry, podjęte ryzyko zawsze mu się opłacało. Inne korporacje miały

61

ustanowili. O sprawach Toya w Londynie, niemających, o czym stary wiedział, nic wspólnego z korporacją, nie rozmawiali. Tak było zawsze.

- Jakie są twoje wrażenia?
- Co do Straussa? W większości potwierdza się to, co o nim myślałem podczas rozmowy. Sądzę, że sobie poradzi. A jeśli nie, tam, skąd przyszedł, jest wielu innych.
- Potrzebuję kogoś, kto nie da się łatwo wystraszyć. Sprawy mogą przybrać bardzo nieprzyjemny obrót.

Toy chrząknął wymijająco - miał nadzieję, że rozmowa na ten temat nie będzie kontynuowana. Po całym dniu czekania i podróży czuł się zmęczony i chciał już zacząć myśleć o reszcie wieczoru; to nie była dobra pora na ponowne omawianie tamtej sprawy.

Whitehead odstawił opróżnioną szklankę na tacę i wrócił do okna. W pokoju ściemniało się teraz dość szybko i w tym półmroku stary, odwrócony plecami do Toya, wydawał się monolitem. Po trzydziestu latach pracy dla niego - trzech dekadach bez niemal jednego słowa kłótni między

nimi - Toy nadal czuł respekt przed Whiteheadem jak przed władcą absolutnym, panem życia i śmierci. Nadal zatrzymywał się na moment dla uspokojenia nerwów, nim wszedł do pomieszczenia, w którym tamten się znajdował; nadal przy pewnych okazjach zauważał u siebie lekkie jękanie, takie samo jak to, które się pojawiło, gdy widzieli się po raz pierwszy. Uważał, że to uzasadniona reakcja. Ten człowiek uosabiał władzę; na solidnych barkach Joego Whiteheada spoczywało ze złudną lekkością więcej władzy, niż on, Toy, mógł mieć nadzieję kiedykolwiek zdobyć, a właściwie więcej, niż chciałby kiedykolwiek mieć. Przez te wszystkie lata ich współpracy nigdy nie zauważył, by - na konferencji albo posiedzeniu zarządu - Whiteheadowi zabrakło jakiegoś stosownego gestu czy słowa komentarza. Był po prostu najbardziej pewnym siebie człowiekiem, jakiego Toy kiedykolwiek spotkał, przepojonym do szpiku kości przekonaniem o własnych niepospolitych walorach; człowiekiem o umiejętnościach wyszlifo-wanych do takiego stopnia, że jednym słowem potrafił znisz-

64

czyć oponenta, rujnując mu życie, pozbawiając szacunku dla samego siebie i niwecząc całą jego karierę. Toy był świadkiem takich incydentów niezliczoną ilość razy - zawsze przytrafiało się to ludziom, których uważał za lepszych od siebie. Nasuwało się pytanie (zadawał je sobie nawet teraz, gdy patrzył na plecy Whiteheada): Dlaczego ten wielki człowiek wyciągnął kiedyś do niego dłoń na powitanie? Może odpowiedź tkwiła w przeszłości. Czy o to chodziło? O przeszłość i sentymenty.

- Zastanawiam się, czy jest sens napełniać basen w ogrodzie.

Toy dziękował Bogu, że Whitehead zmienił temat. Żadnych wspomnień, przynajmniej dziś wieczór.

- Nie pływam już w nim, nawet w lecie.
- Wpuść do niego parę ryb.

Whitehead odwrócił lekko głowę, by sprawdzić, czy na ustach przyjaciela pojawił się uśmiech. Toy nigdy nie sygnalizował żartu zmianą w tonie głosu, a łatwo było, Whitehead był tego świadom, urazić uczucia tego człowieka, śmiejąc się, gdy to, co mówił, wcale nie miało być żartem - lub na odwrót. Tym razem Toy nie uśmiechał się.

- Ryby? - upewnił się Whitehead.

- Karpie ozdobne, na przykład. Chyba nazywają się koi.

Piękne stworzenia.

Toy lubił ten basen. Nocą był podświetlony od dołu, a powierzchnię marszczyły hipnotyczne wiry - turkusowa magia. Jeśli w powietrzu panował chłód, basen wydychał leciutki obłok pary, który rozpływał się sześć cali nad powierzchnią podgrzewanej wody. Po prawdzie, choć Toy nie znosił pływać, basen był jednym z jego ulubionych miejsc. Nie był pewien, czy Whitehead o tym wie, ale prawdopodobnie wiedział. Papa wiedział niemal o wszystkim, czy się o tym głośno powiedziało, czy nie.

- Lubisz ten basen - rzekł Whitehead. Oto i dowód.
- Tak. Lubię.
- Zatem zatrzymam go. - Jeśli tylko dla...

65

Whitehead uniósł dłoń, by uciąć dalszą dyskusję, zadowolony, że może ofiarować ten prezent.

- Zatrzymamy go - oznajmił. - I będziesz mógł wpuścić do niego koi.

Ponownie usiadł w fotelu.

- Czy mam zapalić światła na trawniku? - spytał Toy.
- Nie - powiedział Whitehead. Zamierające światło dnia czyniło z jego głowy brązowy odlew - wyglądał niby jakiś współczesny Medyceusz, ze swymi zapadniętymi oczyma o znużonych powiekach, z białą brodą i wąsem, krótko przyciętymi przy samej skórze, i z całą tą cielesną konstrukcją, wydawałoby się, zbyt ciężką jak na możliwości podtrzymującej ją kolumny. Uprzytomniwszy sobie, że od dłuższej chwili świdruje wzrokiem kark starego, co z pewnością nie umyka uwadze Joego, Toy wyrwał się z letargu, jaki panował w całym pomieszczeniu, i zmusił się do działania.
- A zatem, Joe... czy mam przyprowadzić Straussa? Chcesz go widzieć teraz czy później?

Słowa potrzebowały całej epoki, by przebrnąć przez pokój wypełniony gęstniejącą ciemnością. Przez kilka uderzeń serca Toy nie był nawet pewien, czy Whitehead go słyszy.

Wtedy wyrocznia przemówiła. Nie wieszcząc jednak, lecz zadając pytanie:

- Czy uda nam się przetrwać, Bill?

Whitehead wypowiedział te słowa tak cicho, że przeniosły się jedynie uczepione pyłków kurzu, zdmuchniętych z jego warg. Serce Toya zatrzymało się na moment. Znów ten sam stary temat; ta sama stara śpiewka paranoika.

- Słyszę coraz więcej pogłosek, Bill. Wszystkie nie mogą być bezpodstawne.

Whitehead nie przestawał wyglądać przez okno. Gawrony krążyły nad

lasem jakieś pół mili stąd, tam gdzie kończył się trawnik. Obserwował je? Toy wątpił w to. Ostatnio często widywał Whiteheada w podobnym stanie, zatopionego we własnych myślach, oczyma umysłu spoglądającego w przeszłość. Toy nie miał dostępu do tych wizji, ale domyślał się istoty obecnych

66

lęków Joego - w końcu był przy nim już we wczesnych latach - i wiedział, że pomimo miłości, jaką darzy tego starego człowieka, są ciężary, których nie potrafiłby ani nie miałby ochoty razem z nim ponieść. Nie był na to dość silny; w głębi serca nadal pozostał bokserem, którego trzy dekady temu Whitehead zatrudnił w charakterze osobistego ochroniarza. Teraz oczywiście nosił garnitur za czterysta funtów, a jego paznokcie były równie nieskazitelne jak jego maniery. Ale duch pozostawał w nim wciąż taki sam - przesądny i wrażliwy. Nie dla niego sny śnione przez wielkich tego świata. Ani ich koszmary.

Whitehead ponownie zadał powracające uporczywie pytanie:

- Czy uda nam się przetrwać?

Tym razem Toy czuł się w obowiązku odpowiedzieć.

- Wszystko gra, Joe. Wiesz przecież. Zyski w większości działów rosną...

Ale unik nie był tym, czego stary oczekiwał, i Toy o tym wiedział. Pozwolił więc, by słowa zamarły, a po nich zapanowała cisza, jeszcze bardziej nieprzyjazna niż dotychczas. Znow wpatrywał się w Whiteheada, bez jednego mrugnięcia, aż w kącikach oczu wypełniający pomieszczenie mrok zaczął migotać i pełzać. Gdy wreszcie przymknął powieki, niemal zazgrzytały o powierzchnię gałek ocznych. Wzory zatańczyły mu w

głowie (koła, gwiazdy i okna), a kiedy na powrót otworzył oczy, noc zdążyła ostatecznie zawładnąć wnętrzem.

Głowa z brązu pozostała nieporuszona. Ale przemówiła, a słowa - zanieczyszczone strachem, zdawały się wychodzić z samych trzewi Whiteheada.

- Boję się, Willy - powiedział. - Nigdy w życiu tak się nie bałem.

Mówił wolno, bez najmniejszej emfazy, tak jakby, nie mogąc znieść melodramatyczności własnych słów, starał się nie wyolbrzymiać ich znaczenia jeszcze bardziej.

- Przez te wszystkie lata, żyjąc bez strachu, zapomniałem, czym on jest. Jak paraliżujący może być. Jak pozbawia cię siły woli. Siedzę tutaj, o świcie i o zmroku. Zamknięty w tym

67

miejscu na cztery spusty, z alarmami, ogrodzeniami, psami. Obserwuję trawnik i drzewa... A jednak obserwował.

- ...i wcześniej czy później światło zaczyna przygasać.

Przerwał. Zapadła długa, głęboka cisza, przerywana jedynie krakaniem wron w oddali.

- Mogę znieść noc. Nie jest przyjemna, ale przynajmniej jednoznaczna. To ze zmierzchem nie daję sobie rady. To wtedy zły pot mnie oblewa. Kiedy światło znika i nic już nie jest dość realne, dość solidne. Pozostają tylko formy. Rzeczy niegdyś przyobleczone w kształty...

Tej zimy takie właśnie były wieczory: bezbarwne mżawki, niwelujące odległość i zabijające dźwięk; całe tygodnie niepewnego światła, gdy

umęczony poranek przechodzi w umęczony zmierzch, bo nie przedziela ich dzień. Zbyt mało było takich sztywnych od mrozu dni jak dzisiejszy; jeden zniechęcający do wszystkiego miesiąc po drugim.

- Siedzę tak teraz co wieczór - mówił stary człowiek. -

To sprawdzian, który robię samemu sobie: siedzieć i patrzeć na erozję wszystkiego. Przeciwstawiając się jej.

Toy czuł, jak głęboka jest rozpacz Papy. Nie widział go w takim stanie nigdy wcześniej; nawet po śmierci Evangeline.

Zarówno na zewnątrz, jak i w pokoju panowała niemal całkowita ciemność; przy niezapalonych lampach trawnik był jak smoła. Jednak Whitehead wciąż siedział z twarzą zwróconą ku czarnemu oknu i obserwował.

- Oczywiście to wszystko tam jest - powiedział.

-Co?

- Drzewa, trawnik. Kiedy jutro nastanie świt, będą już tam czekać.
- Tak, oczywiście.
- Wiesz, jako dziecko sądziłem, że ktoś przychodzi zabrać świat z nastaniem nocy, a następnego ranka wraca, by go na nowo rozwinąć.

Poruszył się w fotelu; jego dłoń uniosła się do głowy. Niepodobna było dostrzec, co robi.

- Te rzeczy, w które wierzymy, będąc dziećmi, nigdy nas nie opuszczają, prawda? Po prostu czekają, aż czas zatoczy koło, a my ponownie zaczniemy w nie wierzyć. To wciąż jest ta sama stara grzęda, Bill. Wiesz o tym? Wydaje nam się, że się przemieszczamy, że stajemy się silniejsi, mądrzejsi, ale cały

czas stoimy na tym samym spłachetku ziemi.

Westchnął i spojrzał na Toya. Światło z przedpokoju wpełzało przez drzwi, które Toy zostawił niedomknięte. W tym świetle oczy i policzki Whiteheada, nawet oglądane z odległego krańca pomieszczenia, lśniły od łez.

- Lepiej zapal światło, Bill - powiedział.

-Tak.

-I przyprowadź Straussa.

W jego głosie nie dało się usłyszeć śladu udręki. Ale w końcu Joe był mistrzem w skrywaniu uczuć. Potrafił przysłonić oczy maską powiek i zapieczętować usta; wówczas nawet ktoś zdolny czytać w myślach nie byłby w stanie odgadnąć, co dzieje się w głowie Whiteheada. To była umiejętność, którą z druzgo-czącym rezultatem wykorzystywał w salach konferencyjnych: nikt nigdy nie wiedział, w którą stronę stary lis skoczy. Najprawdopodobniej nauczył się tej techniki przy grze w karty. I jeszcze sztuki czekania.

11

Minęli elektrycznie otwieraną bramę posiadłości Whiteheada i znaleźli się w innym świecie: nieskazitelnie rozplanowane trawniki po obu stronach podjazdu wysypanego żwirem w kolorze sepii; w głębi po prawej odległy zarys lasu, niknący bliżej domu za szpalerem cyprysów. Gdy dotarli na *miejsce*, było już późne popołudnie, ale gasnące światło tylko potęgowało urok miejsca. Jego surową elegancję równoważyła podnosząca się właśnie mgiełka, rozmazująca ostre jak brzytwa krawędzie trawnika i kontury drzew.

Główny budynek okazał się mniej efektowny, niż Marty przewidywał; po

prostu wielki, georgiański dom wiejski, solidny, ale prosty, z nowoczesnymi przybudówkami, dość chaotycznie rozszanymi wokół zasadniczej bryły. Minęli drzwi frontowe, ukryte za portykiem z białymi kolumnami, i zatrzymali się przy bocznym wejściu. Tędy Toy wprowadził Marty'ego przez kuchnię do wnętrza budynku.

- Proszę odłożyć bagaże i poczęstować się kawą - powiedział. - Idę zobaczyć się z szefem. Niech się pan rozgości.

Marty, po raz pierwszy od opuszczenia Wandsworth pozostawiony sam, bez towarzystwa, poczuł się nieswojo. Za plecami miał otwarte drzwi; nie było zamków w oknach, oficerów patrolujących przylegające do kuchni korytarze. Paradoksalnie czuł się niechroniony, niemal zagrożony. Po kilku minutach wstał od stołu, zapalił jarzeniowe światło (noc szybko zapadała, a nie było tu automatycznych włączników światła) i nalał sobie

70

kubek kawy z ekspresu. Była czarna i lekko gorzka, domyślił się, że podwójnie parzona, nie tak jak pozbawiona smaku lura, którą zwykł pijać w Wandsworth.

Toy wrócił dopiero po dwudziestu pięciu minutach, przeprosił za zwłokę i oznajmił Marty'emu, że pan Whitehead chce go zaraz widzieć.

- Proszę, zostaw bagaże - dodał. - Luther się nimi zajmie.

Toy poprowadził go z kuchni, która była częścią przybudówki, do właściwego budynku. Korytarze tonęły w półmroku, ale wzrok Marty'ego co chwila natrafiał na jakiś wprawiający w zachwyty obiekt. Ten dom był istnym muzeum. Obrazy wisiały na ścianach od podłogi po sufit; na stołach i półkach stały wazy i ceramiczne figurki, których emaliowane powłoki połyskiwały w półcieniu. Nie było jednak czasu, by się im

dokładnie przyjrzeć. Kluczyli labiryntem korytarzy - Marty tracił poczucie kierunku z każdym zakrętem - aż w końcu dotarli do gabinetu. Toy zapukał, otworzył drzwi i wprowadził Marty'ego do środka.

Mając do pomocy jedynie słabo zapamiętaną fotografię White-heada, Marty stworzył w swojej głowie całkowicie wymyślony portret nowego pracodawcy - i zupełnie nieprawdziwy. Tam, gdzie wyobrażał sobie słabość, znalazł krzepę. Gdzie spodziewał się zobaczyć oblicze zdziwaczałego samotnika, ujrzał zoraną bruzdami, lecz subtelną, twarz, przyglądającą mu się, już gdy przekraczał próg gabinetu, z uwagą i życzliwością.

- Witam pana, panie Strauss - odezwał się Whitehead.

Story na oknie za jego plecami wciąż nie były zaciągnięte i przez szybę nagle wpadł do środka blask reflektorów rozświetlających intensywną zieleń trawy w promieniu co najmniej dwustu jardów. Wyglądało to na sztuczkę prestidigitatora, to nagłe pojawienie się trawnika, ale Whitehead nie zwrócił na nie uwagi. Podszedł do Marty'ego. Choć był postawnym mężczyzną i wiele z masy jego ciała zamieniło się już w tłuszcz, szkielet bez trudu dźwigał cały ten ciężar. Nie było wrażenia nieporadności. Wdzięk, z jakim stawiał stopy, niemal pozbawiona oporu płynność, z jaką wyciągnął rękę w stronę Marty'ego,

71

sprężystość palców w otwartej dłoni - wszystko to znamionowało człowieka, który dobrze się czuje w swoim ciele.

Uścisnęli sobie dłonie. Albo to Marty był rozgrzany, albo tamten zziębnięty... Marty natychmiast uznał, że nieprawidłowość leży po jego stronie. Człowiekowi takiemu jak Whitehead z całą pewnością nigdy nie

było ani za zimno, ani za gorąco; potrafił panować nad temperaturą ciała z taką samą łatwością, z jaką kontrolował swoje finanse. Czyż Toy nie wspomniał w czasie ich krótkiej rozmowy w samochodzie, że Whitehead nigdy w życiu nie był poważnie chory? Teraz Marty, stojąc twarzą w twarz z ideałem, mógł się sam o tym przekonać. Nawet najcichszy szmer gazów jelitowych nie niepokoił trzewi tego mężczyzny.

- Nazywam się Joseph Whitehead - powiedział. - Witam w Sanktuarium.
- Dziękuję.
- Napije się pan? By to uczcić.
- Z przyjemnością.
- Czego mam nalać?

Marty nagle zdał sobie sprawę, że ma pustkę w głowie; tkwił z rozdziawionymi ustami na środku pokoju jak wyrzucona z wody ryba. Na szczęście Toy - Boże, miej go w swej opiece - zasugerował:

- Szkockiej?
- Znakomicie.
- Dla mnie to co zwykle - powiedział Whitehead. - Proszę usiąść, panie Strauss.

Zajęli fotele. Były wygodne; nie staroświeckie, jak stoły w korytarzach, ale współczesne, funkcjonalne. Całe to wnętrze urządzono w podobnym stylu, by służyło jako miejsce pracy, a nie przestrzeń muzealna. Kilka obrazów zawieszonych na ciemnoniebieskich ścianach wyglądało dla niewyrobionego oka Marty'ego na równie współczesne, jak meble; były duże i niestarannie malowane. Obraz wiszący w najbardziej eksponowanym miejscu i zarazem najbardziej reprezentacyjny podpisany był „Matisse” i przedstawiał koszmarne różową kobietę, rozwaloną na

koszmarnie żółtym szezlongu.

72

- Pańska whisky.

Marty przyjął podaną przez Toya szklaneczkę.

- Poleciliśmy Lutherowi zakupić dla pana trochę nowych ubrań; są w pańskim pokoju - wyjaśnił Whitehead. - Kilka garniturów, koszul i drobiazgów do kompletu. Później może wyślemy pana na zakupy, by nabył pan dla siebie coś jeszcze.

- Wychylił szklaneczkę nierozcieńczonej wódki i mówił dalej. - Czy nadal wydają garnitury wychodzącym na wolność więźniom, czy zaniechali tego? To trąci, według mnie, przytułkiem dla ubogich, biedaków. Niezbyt taktowne w naszych oświeconych czasach. Ludzie mogliby pomyśleć, że zostajecie kryminalistami z konieczności...

Marty nie miał pewności, w jakim kierunku zmierza ta przemowa. Czy Whitehead naśmiewa się z niego? Ciągnął swój monolog w niezmiennie przyjaznym tonie, a tymczasem Marty próbował oddzielić ironię od prostolinijnych uwag. Nie było to łatwe. Zaledwie kilka minut słuchania Whiteheada przypomniało mu, o ile subtelniej wszystko wygląda poza murami. W porównaniu ze zmienną, bogatą w intonacje mową tego człowieka, najbystrzejszy rozmówca w Wandsworth był nieledwie dyletantem. Toy wsunął drugą dużą whisky w dłoń Marty'ego, ale ten ledwie zwrócił na to uwagę. Głos Whiteheada wywierał hipnotyczny wpływ i był dziwnie kojący.

- Toy wyjaśnił panu pańskie obowiązki, prawda?
- Tak. Sądzę, że tak.

- Chciałbym, by to miejsce stało się pańskim domem, Strauss. Proszę się z nim zapoznać. Do jednego, może dwóch miejsc nie będzie pan miał dostępu; Toy powie panu, o które pomieszczenia chodzi. Proszę przestrzegać tych ograniczeń. Reszta posiadłości jest do pana dyspozycji.

Marty przytaknął i wlał w siebie zawartość szklanki. Whisky spłynęła przełykiem gładko jak rtęć.

-Jutro...

Whitehead wstał z fotela, nie dokończywszy myśli, i znów podszedł do okna. Trawa błyszczała jak świeżo malowana.

- ...udamy się na spacer po posiadłości, pan i ja.

73

- Świetnie.

- Obejrzymy, co jest do obejrzenia. Przedstawię pana Belli i pozostałym.

Więc jest jeszcze jakiś personel? Toy o tym nie wspominał, ale to nieuniknione w tak wielkim domu: strażnicy, kucharze, ogrodnicy. Zapewne roiło się tu od pracowników.

- Porozmawiamy jutro, dobrze?

Marty dopił szkocką i Toy gestem dał mu do zrozumienia, że powinni wstać. Wydawało się, że Whitehead nagle przestał się nimi interesować. Oględziny skończone, przynajmniej na dzisiaj; myśli starszego mężczyzny były już gdzie indziej, a jego spojrzenie skierowane za okno, wprost na rozświetlony trawnik.

- Tak jest. Jutro.

- Lecz zanim pan przyjdzie... - dodał Whitehead, odwracając głowę w

stronę Marty'ego.

-Tak?

- ...proszę zgolić wąsy. Ktoś mógłby pomyśleć, że ma pan coś do ukrycia.

12

Toy, nim zaprowadził Marty'ego na górę, pobieżnie zapoznał go z rozkładem domu, obiecując dokładniejszy obchód, gdy będą mieli więcej czasu. Następnie powiódł go do długiego, przestronnego pokoju na najwyższym piętrze bocznej części budynku.

- To pański pokój - oznajmił.

Luther zostawił walizkę i plastikową torbę Marty'ego na łóżku; ich niechlujny wygląd nie pasował do eleganckiego i funkcjonalnego wnętrza, wyposażonego, podobnie jak gabinet, w nowoczesne sprzęty.

- Jest obecnie trochę pusty - rzekł Toy. - Proszę więc robić z nim, co pan uzna za stosowne. Jeśli ma pan jakieś fotografie...
- Raczej nie.
- Cóż, znajdziemy coś na ściany. Jest tu trochę książek - skinął głową w kierunku odległej części pomieszczenia, gdzie kilka półek ugięło się pod ciężarem tomów - ale może pan korzystać także z biblioteki na dole. Pokażę panu jej rozkład któregoś dnia w przyszłym tygodniu. Na górze jest też wideo, a drugie na dole. Joe nie interesuje się nim zbyt, więc również ono jest do pańskiej dyspozycji.
- Brzmi nieźle.
- Po lewej ma pan małą garderobę. Jak mówił Joe, znajdzie pan w niej

parę świeżych ubrań dla siebie. Pańska łazienka jest za następnymi drzwiami. Prysznic i cała reszta. I to tyle, jak sędzę. Mam nadzieję, że znajdzie pan tu wszystko, czego panu potrzeba.

75

- Jest doskonale - odparł Marty.

Toy rzucił okiem na zegarek i skierował się do wyjścia.

- Zanim pan pójdzie...

- Coś nie tak?

- Nie, wszystko w porządku - powiedział Marty. - Jezu, absolutnie wszystko w porządku. Chciałem tylko powiedzieć, że jestem wdzięczny...

- Nie trzeba.

- Mimo to jestem - powtórzył Marty; szukał sposobności, by poruszyć tę kwestię już od Trinity Road. - Jestem bardzo wdzięczny. Nie wiem, jak i dlaczego mnie pan wybrał, ale doceniam to, co pan dla mnie zrobił.

Toy był lekko skonsternowany tą demonstracją uczuć, Marty jednak się cieszył, że wyrzucił to z siebie.

- Proszę mi wierzyć, Marty. Nie wybrałbym pana, gdybym nie uważał, że poradzi pan sobie w tej pracy. Teraz jest pan tutaj. Od pana zależy, czy wykorzysta pan tę szansę najlepiej jak można. Będę oczywiście w pobliżu, ale poza tym pańskie postępowanie zależy w gruncie rzeczy wyłącznie od pana.

- Tak. Jestem tego świadom.

- Opuszczam więc pana. Do zobaczenia z początkiem przyszłego tygodnia. Ach, jeszcze jedno - Pearl zostawiła w kuchni jedzenie dla

pana. Dobranoc.

•Dobranoc.

Toy wyszedł. Marty usiadł na łóżku i otworzył walizkę. Źle zapakowane ubrania pachniały więziennymi detergentami, więc postanowił ich nie wyjmować. Zamiast tego pogrzebał na dnie walizki, aż jego dłoń natrafiła na maszynkę i krem do golenia. Rozebrał się, cisnął nieświeże ubranie na podłogę i wszedł do łazienki.

Była obszerna, wyłożona lustrami i uwodzicielsko oświetlona. Świeżo wyprane ręczniki wisiały na podgrzewanym wieszaku. Był tu nie tylko prysznic, ale również wanna i bidet; zawstydzająca obfitość urządzeń toaletowych. Cokolwiek go tu czeka, jedno jest pewne - będzie czysty. Zapalił lampkę nad lustrem i położył przybory do golenia na szklanej półeczce nad umy-

76

walką. Niepotrzebnie trudził się wygrzebywaniem ich z walizki. Ktoś - Toy, a może Luther - przygotował tu dla niego pełny zestaw przyborów do golenia: maszynkę, płyn przed goleniem, piankę, wodę kolońską. Wszystko nowiuteńkie, nienapoczęte, specjalnie dla niego. Dokładnie przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze, dokonując skrupulatnych, intymnych oględzin własnego ciała, jakich można się spodziewać po kobietach; mężczyźni tego raczej nie praktykują, chyba że w zamkniętych na klucz łazienkach. Niepokoje całego dnia odcisnęły piętno na jego twarzy - skóra była anemiczna, wypełniły się wory pod oczami. Niczym poszukiwacz skarbów, badał twarz centymetr po centymetrze w nadziei na znalezienie jakichś znaków. Czyjego przeszłość, zastanawiał się, jest tutaj wypisana ze wszystkimi paskudnymi szczegółami? Wryta zbyt głęboko,

by dało się ją wymazać?

Potrzebuje trochę słońca, nie miał co do tego wątpliwości, i porządných ćwiczeń na świeżym powietrzu. Od jutra, postanowił, nowy reżim. Będzie biegał co rano, aż nabierze kondycji i zmieni się nie do poznania.

Zafunduje sobie też porządnego dentystę. Dziaśła krwawiły niepokojąco często, a w niektórych miejscach odsłaniały szyjki zębów. Marty był dumny ze swoich zębów, równych i silnych, jak u matki. Wypróbował do lustra uśmiech, ale nie było w nim już tego błysku co dawniej. Trzeba będzie i nad tym popracować. Znalazł się na powrót w wielkim świecie; może z czasem pojawią się kobiety, które dadzą się tym uśmiechem oczarować.

Przeniósł obserwację z twarzy na resztę ciała. Klin tłuszczu pojawił się na mięśniach brzucha - to oznaczało co najmniej sześć kilogramów nadwagi. Postanowił także i z tym się uporać. Uważać na dietę i ćwiczyć, aż wróci do swych siedemdziesięciu ośmiu kilogramów, jakie miał, nim trafił do Wandsworth. Pominąwszy nadwagę, był zadowolony ze swego ciała. Może ciepłe światło korzystnie wpływało na to, co widział, ale - tak czy owak - więzienie nie zmieniło go radykalnie. Nadal miał wszystkie włosy i żadnych blizn - poza tatuażami i niewielkim półksiężycem na lewo od ust. Narkotyki też nie zdążyły zrujnować mu zdrowia. Może więc naprawdę udało się przetrwać?

77

Dłoń popęzła w stronę krocza, gdy tak lustrował całe ciało. Od niechcienia pobudził się do stanu niepełnej erekcji. Nie myślał o Charmaine. Jeśli w tym podnieceniu była jakaś żądza, to miała wyłącznie narcystyczny charakter. Wielu spośród osadzonych, z którymi dzielił cele, bez oporów zaspokajało swój popęd z innymi więźniami, ale Marty nigdy

nie oswoił się z taką myślą. Nie tylko z powodu odrazy do samego aktu - a tę odczuwał wyjątkowo ostro - lecz przede wszystkim dlatego, iż ten nienaturalny sposób został narzucony. Jeszcze jeden więzienny mechanizm poniżania człowieka. Zamiast tego zablokował kompletnie własną seksualność i poza sikaniem nie zajmował się zbytnio swym fiutem. Teraz, bawiąc się nim jak zarozumiały nastolatek, zastanawiał się, czy jeszcze potrafiłby posłużyć się tym cholerstwem.

Puścił letnią wodę, wszedł pod prysznic i namydlił się od stóp do głów cytrynowo pachnącym mydłem. Ze wszystkich przyjemności dnia ta była bodaj najlepsza. Woda działała ożywczo jak wiosenny deszcz. Ciało Marty'ego zaczynało się budzić. Tak, to o to chodzi, pomyślał, byłem martwy, a teraz wracam do życia. Był pogrzebany w zasranej dziurze na końcu świata, wystarczająco głębokiej, by mniemać, że nigdy się z niej nie wydostanie, ale wydostał się, do cholery. Był na zewnątrz. Spłukał mydliny, a następnie pofolgował sobie, powtarzając cały rytuał od początku, tym razem pod strumieniem dużo gorętszym i silniejszym. Łazienka wypełniła się parą i odgłosem wody uderzającej o kafelki.

Gdy wyszedł spod natrysku i zakręcił krany, w głowie huczało mu od gorąca, alkoholu i zmęczenia. Podszedł do lustra i bokiem pięści oczyścił jego owal ze skroplonej pary. Woda przywróciła kolor policzkom. Włosy przykleiły się do czaszki i wyglądały teraz jak jasnobrazowy czepek. Pozwoli im rosnąć, pomyślał, o ile Whitehead nie będzie miał nic przeciwko temu; może je później każe modnie ostrzyć. Ale teraz czekało go pilniejsze zajęcie - pozbycie się wyklętych wąsów. Nie miał zbyt bujnego zarostu. Wyhodowanie ich zajęło mu kilka tygodni, w czasie których musiał znosić zwykłe w takich razach dawki

drwiących uwag. Ale jeśli szef chciał go widzieć bez zarostu, kimże on, Marty, był, by z tym polemizować? Opinia Whiteheada w tej materii brzmiała bardziej jak rozkaz niż jak sugestia.

Pomimo bogatego wyposażenia szafki łazienkowej (wszystko, począwszy od aspiryny, na przyborach do odwszawiania skończywszy), nie znalazł w niej nożyczek, musiał więc dokładnie namydlić wąsy, by zmiękczyć włos, a potem potraktować je od razu maszynką do golenia. Cóż, stawiała ostrzu opór, protestowała skóra, ale pociągnięcie za pociągnięciem, powoli odsłaniała się górna warga, a zapuszczane w mękach wąsy spadały wraz z mydlinami na dno umywalki, gdzie zaraz były splukiwane do rury odpływowej. Uporanie się z nimi zajęło Marty'emu pół godziny. Zaciał się w dwóch czy trzech miejscach i śliną zasklepił ranki najlepiej, jak potrafił.

Nim skończył, para wywietrzała z łazienki i teraz jedynie plamy wilgotnej mgiełki na lustrze przesłaniały jego odbicie. Przyjrzał się swojej twarzy. Obnażona górna warga była różowa i, wydawało się, bezbronna, a wgłębienie pośrodku - wręcz idealne w kształcie; jednakowoż to nagłe obnażenie nie było wcale takim złym widokiem.

Zadowolony splukał resztki zgolonych wąsów ze ścianek umywalki, owinął się w pasie ręcznikiem i wrócił do pokoju. W ciepłe centralnego ogrzewania już niemal całkiem wysechł: nie było potrzeby się wycierać. Zmęczenie i głód walczyły w nim o lepsze, gdy siadł na brzegu łóżka. Na dole czekał posiłek, tak przynajmniej twierdził Toy Cóż, może po prostu legnie na nieskazitelnych prześcieradłach, złoży głowę na pachnących poduszkach i zamknie oczy na pół godziny, potem wstanie i pomaszeruje

na dół zjeść kolację. Odrzucił ręcznik i legł na łóżku, przykrywając się kołdrą do pasa - i w trakcie tej czynności zasnął. Nie miał snów; a jeśli nawet miał, spał zbyt głębokim, spokojnym snem, by je zapamiętać.

Chwilę później nastał ranek.

13

Jeśli nawet nie pamiętał topografii budynku po krótkim oprowadzeniu przez Toya zeszłej nocy, wystarczyło użyć zmysłu węchu, by natychmiast trafić do kuchni. Na patelni smażyła się szynka, świeżo zaparzona kawa bulgotała w ekspresie. Przy ladzie kuchennej stała rudowłosa kobieta. Oderwała się od pracy i skinęła głową na powitanie.

- Ty pewnie jesteś Martin. - W jej głosie wyczuwało się lekki irlandzki akcent. - Późno wstałeś.

Popatrzył na zegar na ścianie. Było kilka minut po siódmej.

- Trafił ci się piękny poranek na sam początek.

Tylne drzwi były otwarte; przeszedł przez kuchnię i wyjrzał na zewnątrz, by samemu ocenić pogodę. Rzeczywiście, ładna; kolejny dzień czystego nieba. Mróz polukrował trawnik szronem. W przesłoniętej mgiełką dali widać było coś, co przypominało korty tenisowe; za nimi ciągnął się szpaler drzew.

•Na imię mam Pearl - oznajmiła kobieta. - Gotuję dla pana Whiteheada.

Jesteś głodny?

•Jestem. Odkąd wszedłem do kuchni.

•Wierzymy tu w śniadania. Takie, które dodają sił na cały dzień. - Zajęta była przenoszeniem bekonu z ustawionej na kuchence patelni do

piekarnika. Błat roboczy obok kuchenki zastawiony był jedzeniem: pomidory, kiełbaski, plastry ciemnego puddingu mięsnego. - Tam jest kawa. Poczęstuj się.

80

Ekspres czekał i syczał, gdy Marty nalewał sobie kawy do kubka, tej samej ciemnej i pachnącej, której skosztował poprzedniego wieczoru.

- Będziesz musiał przyzwycząić się do korzystania z kuchni pod moją nieobecność. Nie mieszkam w posiadłości. Dojeżdżam.
- Kto gotuje dla pana Whiteheada, kiedy cię nie ma?
- Od czasu do czasu lubi sam coś sobie upichcić. Ale będziesz musiał się tym zająć.
- Ledwie potrafię zagotować wodę.
- Nauczysz się.

Odwróciła się, by spojrzeć na niego; w dłoni trzymała jajko. Była starsza, niż mu się w pierwszej chwili wydawało - mogła mieć koło pięćdziesiątki.

- Nie zamartwiaj się tym - powiedziała. - Bardzo jesteś głodny?
- Jak wilk.
- Zostawiłam ci zimną kolację wczoraj wieczorem.
- Zasnąłem.

Wbiła jajko na patelnię, potem jeszcze jedno, mówiąc:

- Jeśli pominąć jego ulubione truskawki, pan Whitehead nie ma wyszukanych zachcianek kulinarnych. Nie każe ci przyrządzać sufletów, nie obawiaj się. Większość produktów jest w zamrażarce w sąsiednim pomieszczeniu. Wszystko, co trzeba zro

bić, to rozpakować je i wstawić do kuchenki mikrofalowej.

Marty omiół kuchnię wzrokiem, rejestrując całe jej wyposażenie: robota kuchennego, mikrofalówkę, elektryczny nóż do krojenia mięsa. Ścianę za jego plecami zajmował rząd ekranów telewizyjnych. Nie zauważył ich przedtem. Nim jednak zdążył o nie zapytać, Pearl zasypała go dalszymi gastronomicznymi szczegółami:

- Często głodnieje w środku nocy, tak przynajmniej mawiał Nick. Ma taki śmieszny rozkład dnia, zobaczysz.
- Kto to jest Nick?
- Twój poprzednik. Odszedł przed Bożym Narodzeniem. Lubiłam go, ale Bill uznał, że Nick ma lepkie rączki.
- Rozumiem.

81

Wzruszyła ramionami.

- Nie da się tego poznać po człowieku, prawda. Chodzi mi o to, że...-
Urwała w pół zdania, w duchu przeklinając swój niewyparzony język, i by ukryć zażenowanie - skupiła się na zdejmowaniu jajek z patelni i nakładaniu ich na talerz obok zgromadzonego na nim wcześniej jedzenia. Marty dokończył za nią myśl:
- Nie wyglądał na złodzieja; czy to chciałaś powiedzieć?
 - ...nie tak chciałam to ująć - upierała się, przynosząc talerz z kuchenki na stół. - Ostrożnie, talerz jest gorący. - Twarz kobiety miała teraz kolor jej włosów.
- Nie szkodzi - zapewnił Marty.
 - Lubiłam Nicka - powtórzyła. - Naprawdę. Przepraszam, pękło jedno

żółtko.

Marty spojrział na pełny talerz. Jedno z żółtek rzeczywiście rozlało się wokół smażonego pomidora.

- Moim zdaniem, wygląda świetnie - oznajmił i z niekłamanym apetytem zabrał się do jedzenia. Pearl ponownie napełniła jego kubek, znalazła dla siebie filiżankę, nalała do niej kawy i usiadła obok Marty'ego.
- Bill bardzo dobrze o tobie mówi - oznajmiła.
- Z początku nie byłem pewien, czy właśnie mnie wybierze.
- Och, tak - kontynuowała - bardzo dobrze się o tobie wyraża. Po części za sprawą twojego boksowania. Sam był kiedyś zawodowym bokserem.
- Naprawdę?
 - Myślałam, że ci powiedział. To było trzydzieści lat temu. Zanim zaczął pracować dla pana Whiteheada. Chcesz grzanek?
- Jeśli masz jakąś pod ręką.

Wstała i ukroiła dwie kromki białego chleba, po czym wsunęła je w otwór tosterka. Zawahała się przez chwilę, nim powróciła do stołu.
- Naprawdę przepraszam - powiedziała.
- Za rozlanie żółtka?

- Za to, że wspomniałam o Nicku i złodziejstwie...
 - Sam zapytałem - odparł Marty. - Poza tym masz wszelkie prawo być ostrożna. Jestem byłym skazańcem. Tak naprawdę,

to nawet nie byłem. Mogę wrócić do więzienia, jeśli wykonam jakiś fałszywy ruch... - ciągnął z wielką niechęcią, jakby samo wymawianie tych słów czyniło taką możliwość bardziej realną - ale nie mam zamiaru zawieść pana Toya. Ani samego siebie. Czy już w porządku?

Przytaknęła z wyraźną ulgą, że swymi słowami nie wywołała żadnych animozji między nimi. Usiadła, by dopić kawę.

- Nie przypominasz Nicka. Mogę to stwierdzić już teraz.
- Czy był dziwny? - spytał Marty. - Szklane oko albo coś w tym stylu?
- Nie, nie był... - Jeszcze zanim obydwój na dobre podjęli nowy temat, Pearl pożałowała, że w ogóle go poruszyła. - To nie ma znaczenia - dodała, chcąc zamknąć wątek.

- Nie ma. Mów dalej.

- Cóż... nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że miał długi.

Marty usiłował nie zdradzić się z niczym, co wykraczałoby poza zdawkowe zainteresowanie. Coś jednak musiało pojawić się w jego oczach, przebłysk paniki, być może. Pearl zmarszczyła brwi.

- Jakiego rodzaju długi? - zapytał jakby od niechcienia.

Wyskoczył tost, przykuwając na chwilę uwagę Pearl. Przeszła przez kuchnię, by zabrać kromki i przynieść je do stołu.

- Przepraszam, że tak palcami - powiedziała.

- Dzięki.

- Nie wiem, ile był winien.

- Nie, nie chodzi mi o wysokość długów. Chodzi o to... skąd je miał?

Czy zabrzmiało to jak pytanie zadane ze zwykłej ciekawości, tego nie był pewien; a może poznała po sposobie, w jaki ścisnął widelec, albo po

jego nagłej utracie apetytu, że to było ważne dlań pytanie? Musiał je zadać bez względu na to, jakie wrażenie wywoła. Pearl zastanowiła się przez chwilę, nim odpowiedziała. Gdy się odezwała, w jej nieco niższym głosie było coś z plotkowania na rogu ulicy: cokolwiek zostanie powiedziane, pozostanie ich wspólną tajemnicą.

- Schodził tu często w ciągu dnia, by telefonować. Mówił mi, że dzwoni do różnych ludzi w interesach - wiesz, był kaskade-

83

rem, a może byłym kaskaderem - ale szybko domyśliłam się, że robi zakłady. To był hazard.

Jakimś sposobem Marty znał tę odpowiedź, jeszcze zanim padła. I, rzecz jasna, aż się prosiło kolejne pytanie: Czy to zwykły przypadek, że Whitehead zatrudnił dwóch kolejnych ochroniarzy, którzy byli na pewnym etapie swego życia hazardzistami? I obaj - jak się okazuje - parali się złodziejstwem z powodu swej pasji? Toy nie przejawiał dotychczas zbyt wielkiego zainteresowania tą sferą życia Marty'ego. Ale może najważniejsze fakty były w segregatorze, który Somervale zawsze ze sobą przynosił: raporty psychologa, stenogramy z procesu, wszystko, co Toy potrzebował wiedzieć na temat konieczności pchającej kryminalistę Straussa do kradzieży. Marty postanowił zignorować wywołany przez tę myśl dyskomfort. Jakież, u licha, mogło to mieć znaczenie? To były przestarzałe informacje. Teraz jest już wyleczony.

- Nie zjesz więcej?
- Nie, dziękuję.
- Jeszcze kawy?

- Sam sobie naleję.

Pearl zabrała talerz Marty'ego, zsunęła niezjedzone resztki na inny półmisek.

- Dla ptaków - wyjaśniła i zaczęła ładować talerze, sztucce i garnki do zmywarki. Marty ponownie napełnił swój kubek i obserwował Pearl przy pracy. Była atrakcyjną kobietą, średni wiek jej służył.
- Ile osób personelu ma w sumie Whitehead?
 - Pan Whitehead - poprawiła go delikatnie. - Personel? No cóż, jestem ja. Przychodzę i odchodzę, jak już mówiłam. I jest oczywiście pan Toy.
- On też tu nie mieszka, zgadza się?
- Zostaje czasem na noc, gdy odbywają się konferencje.
- Czy odbywają się regularnie?
 - O, tak. Mnóstwo spotkań ma miejsce w tym domu. Cały czas przyjeżdżają i odjeżdżają jacyś ludzie. To dlatego dla pana Whiteheada tak ważna jest kwestia bezpieczeństwa.

84

- Czy on sam kiedykolwiek jeździ do Londynu?
 - Teraz już nie - odpowiedziała. - Dawniej trochę podróżował. Latał do Nowego Jorku albo do Hamburga i innych miast. Ale nie teraz. Teraz siedzi tu przez cały rok i reszta świata zmuszona jest przyjeżdżać do niego. O czym to ja mówiłam?
- O personelu.
 - Aha. Dawniej roiło się tu od pracowników. Ochrona, służba, pokojówki. Ale potem nastął okres wielkiej podejrzliwości. Pan Whitehead przypuszczał, że ktoś może chcieć go otruć lub

zamordować w kąpieeli. Zwolnił więc wszystkich, ot tak. Powiedział, że szczęśliwszy jest, mając przy sobie tylko kilkoro z nas; tych, którym ufa. W ten sposób przestali go otaczać nieznajomi.

- Mnie nie zna.
- Jeszcze nie, zapewne. Ale jest przebiegły; w życiu nie spotkałam nikogo równie przebiegłego.

Zadzwoił telefon. Pearl podniosła słuchawkę. Marty domyślił się, że to Whitehead telefonuje. Pearl wyglądała jak przyłapana na gorącym uczynku.

- Och... tak. To moja wina. Zatrzymałam go rozmową. Na tychmiast. - Szybko odłożyła słuchawkę. - Pan Whitehead cię oczekuje. Lepiej się pośpiesz. Poszedł do psów.

14

Pomieszczenia dla psów znajdowały się za kompleksem budynków gospodarczych - niegdyś zapewne mieszczących stajnie - dwieście jardów za głównym budynkiem. Spory zespół żuzłobetonowych bud i ogrodzonych drucianą siatką wybiegów - funkcjonalnych, ale zbudowanych bez troski o jakikolwiek architektoniczny ład. Wyglądały po prostu szkaradnie.

Na zewnątrz było chłodno. Stąpając po kruchym od mrozu trawniku, Marty szybko pożałował, że nie ma na sobie marynarki. Ale w głosie Pearl wyczuł zniecierpliwienie, gdy go ponaglała do wyjścia, ruszył więc bez ociągania, by nie kazać Whiteheadowi - nie, musi nauczyć się myśleć o nim jako o panu White-headzie - czekać jeszcze dłużej. Okazało się jednak, że wielki człowiek w ogóle nie przejął się jego późnym przybyciem.

- Pomyślałem, że popatrzymy dziś rano na psy. Potem możemy zrobić małą wycieczkę po posiadłości, dobrze?
- Tak jest.
Miał na sobie ciężki czarny płaszcz, którego gruby futrzany kołnierz otulał mu głowę.
- Lubi pan psy?
- Mam panu szczerze odpowiedzieć?
- Oczywiście.
- Nie przepadam za nimi.
 - Czy to pańską matkę kiedyś pogryzły, czy pana? - Cień uśmiechu pojawił się na moment w jego przekrwionych oczach.
- Nic takiego sobie nie przypominam, proszę pana.

86

Whitehead odchrząknął.

- Cóż, za chwilę zapozna się pan z całą watahą, Strauss, czy się to panu podoba, czy nie. To ważne, żeby nauczyły się pana rozpoznawać. Są tak wyszkolone, że rozszarpiają każdego intruza, który wedrze się tu z zewnątrz. Nie chcemy, by kiedyś popełniły błąd.

Jakaś postać z kolczatką w dłoni wyłoniła się zza jednej z większych szop. Marty musiał się dobrze przyjrzeć, by zorientować się, czy to mężczyzna, czy kobieta. Ostrzyżone na rekruta włosy, wytarta kurtka z kapturem i buty z cholewami sugerowały płęć męską; ale było coś w rysunku twarzy, co psuło tamto złudzenie.

- To jest Lillian. Zajmuje się psami.

Kobieta skinęła na powitanie głową, nie spojrzawszy nawet w kierunku Marty'ego.

Na jej widok kilka psów - wielkich kudłatych owczarków niemieckich - wyszło z bud na betonowy wybieg i przeciskając nosy przez oka drucianej siatki, obwąchiwało ją, skomląc na powitanie. Próbowwała je uciszyć, bezskutecznie - powitalne odgłosy przeszły w głośne szczekanie i wnet niektóre psy stały już na tylnych łapach, opierając się przednimi o siatkę, z głowami mniej więcej na wysokości twarzy rosnącego mężczyzny, i energicznie machały ogonami. Wrzawa narastała.

- Cisza - warknęła w ich kierunku i niemal natychmiast wszystkie pokornie zamilkły. Jeden tylko samiec, większy od innych, nadal stał oparty o siatkę, domagając się uwagi, dopóki Lillian nie zdjęła skórzanej rękawiczki i nie przecisnęła palców przez druciane oczka, by podrapać go po pokrytym długą sierścią podgardlu.
- Martin przejął właśnie obowiązki Nicka - oznajmił Whitehead. - Od teraz będzie tu przebywał przez cały czas. Pomyślałem, że powinien poznać psy i pozwolić, by psy poznały jego.
- To zrozumiałe - odparła Lillian bez cienia entuzjazmu.
- Ile ich jest? - zapytał Marty.
- Dorosłych? Dziewięć. Pięć samców, cztery samice. To jest Saul - powiedziała, wskazując psa, którego nie przestawała

87

głaskać. - Jest najstarszy i największy. Samiec w rogu to Hiob. Jeden z synów Saula. Nie czuje się w tej chwili najlepiej.

W kącie wybiegu Hiob, w pozycji pólężącej, lizał sobie jądra - nie bez

pewnej dozy entuzjazmu. Zdawał się wiedzieć, że o nim rozmawiają, ponieważ podniósł wzrok, odrywając się na moment od toalety. W spojrzeniu, którym ich obdarzył, było wszystko, czego Marty nienawidził u tych zwierząt: groźba, fałsz, ledwo skrywana niechęć do swych panów.

-Atu suki...

Jeszcze dwa inne psy dreptały tam i z powrotem po wybiegu.

- ...jaśniejsza to Dydona, ciemniejsza Zoe.

Dziwnie to brzmiało; imiona tych bestii wydawały się całkiem nie na miejscu. Z pewnością nie znosiły ich; najprawdopodobniej szydziły z kobiety, która im je nadała za jej plecami.

- Podejź - przywołała Lillian Marty'ego, jakby był jednym z jej pupili.

A on podszedł, posłuszny jak i one.

- Saul - zwróciła się do zwierzęcia za siatką - to jest przy jaciel. Podejź bliżej - poleciała Marty'emu - nie czuje twojego zapachu z tej odległości.

Pies opadł na cztery łapy. Marty ostrożnie zbliżył się do siatki.

- Nie bój się. Idź prosto do niego. Pozwól mu dobrze zapamiętać swój zapach.

- One nie lubią strachu - powiedział Whitehead. - Czyż nie tak jest, Lillian?

- To prawda. Jeśli wyczują go u ciebie, wiedzą, że cię dorwały. Wtedy są bezlitosne. Musisz im śmiało stawić czoło.

Marty znalazł się blisko psa. Zwierzę popatrzyło na niego gniewnie. Odwzajemnił spojrzenie.

- Nie próbuj zmuszać go do oderwania wzroku od ciebie -

poradziła Lillian. - To wywołuje u psa agresję. Po prostu pozwól mu poczuć twój zapach, żeby umiał cię rozpoznać.

Saul obwąchał przez siatkę nogi i krocze Marty'ego, wprawiając go w zakłopotanie. Po chwili odszedł, najwyraźniej usatysfakcjonowany tym węchowym rozpoznaniem.

88

- Na dzisiaj wystarczy - skwitowała Lillian. - Następnym razem bez siatki. Jeszcze trochę, i sam sobie dasz z nim radę. - Czerpała niemałą przyjemność ze zdenerwowania Marty'ego, a on doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Ale nic nie powiedział; zamiast tego pozwolił jej zaprowadzić się do największej szopy.

- Teraz musisz poznać Bellę - oznajmiła.

W bezpośredniej bliskości psich bud zapach środka dezynfekującego, stęchłego moczu i psów był przytłaczający. Nadejście Lillian znów powitane zostało nieprzerwanym szczekaniem i opieraniem się łapami o siatkę. Środek szopy przecinała ścieżka dla ludzi, a klatki znajdowały się po obu jej stronach. Dwie z nich zajmowały pojedyncze psy - dwie suki, z których jedna była znacznie mniejsza od drugiej. Przy każdej mijanej klatce Lillian przedstawiała szczegółowe dane - imiona psów i ich usytuowanie na kazirodczym drzewie genealogicznym. Marty słuchał uważnie każdego słowa i natychmiast wszystko zapominał. Jego umysł zaprzątnięty był czym innym. Nie tylko bliskość psów go niepokoiła, ale fakt, że otoczenie wydawało mu się tu przygniatająco znajome. Ścieżka, cele z betonowymi podłogami, kocami, nagimi żarówkami: to przypominało jego drugi dom. I dlatego zaczął widzieć psy w innym świetle; pojął jeszcze jedno znaczenie złowrogiego spojrzenia Hioba;

rozumiał lepiej, niż kiedykolwiek byłoby to dostępne Lillian i Whiteheadowi, jak ci więźniowie postrzegają jego i jego gatunek.

Zatrzymał się, by zajrzeć w głąb jednego z wybiegów - nie dlatego, że coś go tam szczególnie zaciekało, lecz żeby skoncentrować się na czymś innym niż niepokój, jaki czuł w tym klaustrofobicznym pomieszczeniu.

- Jak ten się wabi? - zapytał.

Pies zamieszkujący tę celę stał przy drzwiczkach do niej; jeszcze jeden rosły samiec, choć niedorównujący posturą Saulowi.

- To Larousse - odpowiedziała Lillian.

Ten wyglądał na przyjaźniejszego od pozostałych. Marty, przezwyciężając lęk, przykucnął w wąskim korytarzu i wyciągnął nieśmiało rękę w stronę klatki.

89

- Nic ci nie zrobi - zapewniła Lillian.

Marty położył palce na siatce. Larousse wąchał je intensywnie; jego nos był wilgotny i chłodny.

- Dobry pies - powiedział Marty. - Larousse.

Piec zaczął machać ogonem zadowolony, że ten pocący się nieznajomy nazwał go po imieniu.

- Dobry pies.

Gdy tak kucnął, znajdując się bliżej koców i słomy, mocniej poczuł zapach sierści i ekskrementów. Ale Larousse zachwycony tym, że człowiek zniżył się do jego poziomu, próbował polizać mu palce przez oczka siatki. Marty czuł, jak entuzjazm psa rozwiewa jego obawy: zwierzę, dalekie od zamiaru wyrządzenia mu krzywdy, okazywało niezmaconą

radość.

Dopiero teraz spostrzegł, że Whitehead bacznie mu się przygląda. Stary stał kilka kroków na lewo od niego, bryłą swego ciała całkowicie blokując wąskie przejście między klatkami, i uważnie go obserwował. Marty zażenowany powstał z kucek, zostawiając skomlącego i merdającego ogonem psa, i podążył za Lillian. Opiekunka psów wyśpiewywała peany na cześć kolejnego członka stada. Marty dostroił się do jej tonu i zaczął słuchać objaśnień.

- .. .a to jest Bella - oznajmiła Lillian. Jej głos stał się łagodniejszy; pobrzmiwała w nim jakaś marzycielska nuta, której wcześniej nie zauważył. Gdy Marty dotarł do wskazanej klatki, zrozumiał, skąd ta zmiana w głosie kobiety.

Bella pół siedziała, pół leżała w cieniu siatki, w głębi wybiegu, upozowana niby czarnonosa Madonna ze ssącym ślepym szczeniakiem u każdego sutka. Gdy tylko oczy Marty'ego spoczęły na niej, cała jego rezerwa wobec psów ulotniła się.

- Sześć szczeniaków - ogłosiła Lillian z taką dumą, jakby to były jej własne dzieci. - Wszystkie silne i zdrowe.

Mało powiedziane: silne i zdrowe, one były piękne; grube kulki radości, wtulone w siebie wzajem w przepychu matczynego łona. Wydawało się niepojęte, że istoty tak kruche mogą z czasem wyrosnąć na szacownych lordów jak Saul albo podejrzliwych buntowników jak Hiob.

Bella, zwietrzywszy przybysza w pobliżu swej trzódki, nastawiła uszu. Jej głowa miała pyszne proporcje, a odcienie czerni i złota, przeplatające się w jej futrze, dawały olśniewający efekt; brązowe oczy w panującym tu

półmroku wydawały się czujne, lecz łagodne. Była skończoną doskonałością; i była w pełni sobą. Jedynym uzasadnionym uczuciem, jakie wywoływała jej obecność - podzielanym teraz z całą mocą przez Marty'ego - zdawał się szacunek.

Lillian przyglądała się suce przez oczka siatki, gdy przedstawiała Marty'ego tej matce matek.

- Bello, to jest pan Strauss - powiedziała. - Będiesz go tu widywać od czasu do czasu. To przyjaciel.

W głosie Lillian nie było pobłażliwego tonu, jakim przemawia się do małych dzieci. Rozmawiała z psem jak z równym sobie i pomimo początkowej nieufności wobec tej kobiety Marty zaczynał nabierać do niej sympatii. Niełatwo o miłość, wiedział to z własnego doświadczenia; bez względu więc na to, jaki kształt przybierze, jest rzeczą rozsądną ją uszanować. Lillian kochała tę sukę -jej wdzięk, jej godność. Była to miłość, którą Marty potrafił zaaprobować, nawet jeśli nie do końca ją rozumiał.

Bella wciągnęła powietrze w nozdrza i wydawała się usatysfakcjonowana tą zapachową oceną Marty'ego. Lillian niechętnie oderwała wzrok od klatki.

- Z czasem może się do ciebie przywiązać. Jest znakomitą uwodzicielką. Znakomitą.

Za ich plecami Whitehead sarkał na te sentymentalne bzdury.

- Czy możemy rozejrzeć się po terenie? - zasugerował niecierpliwie. - Sądzę, że tu już zrobiliśmy, co trzeba.
- Przyjdź znowu, jak się zadomowisz - zaprosiła Lillian; chłód w jej sposobie bycia stajał nieco po tym, jak Marty okazał zainteresowanie jej podopiecznymi - a pokażę ci ich możliwości.

- Dzięki. Przyjdę.

- Chciałem, by zobaczył pan psy - powiedział Whitehead, gdy zostawili wybiegi za sobą i ruszyli szybkim krokiem

91

przez trawnik w stronę zewnętrznego ogrodzenia. Oglądanie czworonogów stanowiło jednak tylko częściowy powód wizyty w psiarni, Marty wiedział o tym cholernie dobrze. Whitehead zaplanował to doświadczenie jako zbawienne przypomnienie miejsca, które Marty zostawił za sobą. Wróci tam, jeśli łaskawość Josepha Whiteheada się skończy. Cóż, zrozumiał lekcję. Może skakać dla starego przez płonące obręcze, byle nie wrócić do więziennych korytarzy i cel. Tam nie było nawet Belli; nie było tajemniczej i majestatycznej matki, zamkniętej w samym sercu Wandsworth. Tylko zagubieni mężczyźni, tacy jak on.

Ocieplało się: słońce było coraz wyżej - bladożółty balon, dryfujący nad lęgowiskiem gawronów - a na trawnikach topniał szron. Po raz pierwszy Marty zdał sobie sprawę z rozmiarów posiadłości: otwierające się po obu stronach przestrzenie; lustro wody -jezioro, rzeka? - połyskujące za rzędami drzew; szeregi cyprysów na zachód od domu, a między nimi może alejki spacerowe, może fontanny; z drugiej strony - ogród z klombami, otoczony kamiennym murem. Zapoznanie się z topografią posiadłości zabierze mu wiele tygodni.

Dotarli do podwójnego ogrodzenia, opasującego cały teren. Oba parkany, wysokie na *co* najmniej dziesięć stóp, zwieńczone były prętami z zaostrej stali, wygiętymi na zewnątrz, w stronę, skąd można się było spodziewać jakiegoś nieproszonego gościa, i dźwigającymi spirale

kolczastego drutu. Cała konstrukcja wydawała cichy, ledwo słyszalny pomruk elektryczności. Whitehead patrzył na to wszystko z wyraźną satysfakcją.

- Robi wrażenie, he?

Marty przytaknął. Ten widok także budził wspomnienia.

- To daje jakieś takie poczucie bezpieczeństwa - dodał Whitehead.

Skręcili w lewo i poszli wzdłuż ogrodzenia, a konwersacja, jaką Whitehead prowadził - jeśli w ogóle można to było nazwać konwersacją - ograniczała się z jego strony do serii oderwanych konstatacji, jak gdyby do prowadzenia zwyczajnej, obustronnej wymiany zdań brakowało mu cierpliwości. Po prostu rzucał

92

garść swobodnych uwag i twierdzeń, doszukanie się w nich jakiegoś sensu pozostawiając Marty'emu.

- To nie jest doskonały system: ogrodzenie, psy, kamery.

Widział pan ekrany w kuchni?

-Tak.

- Mam takie same na górze. Kamery dają pełny nadzór w dzień i w nocy. - Wskazał kciukiem umieszczone przy jednej z kamer reflektory wspomagające. Były zamontowane na co dziesiątym słupku ogrodzenia. Kamery obracały się wolno w jedną i drugą stronę niczym głowy mechanicznych ptaków.
- Luther pokaże panu, jak oglądać je wszystkie po kolei. Zainstalowanie ich kosztowało niemałą fortunę, ale nie mam pewności, czy to nie był zaledwie zabieg kosmetyczny. Ci ludzie to nie głupcy.

- Były jakieś włamania?
 - Tutaj nie było. Ale w domu w Londynie zdarzały się cały czas. Było to oczywiście w czasach, gdy ja sam żyłem bardziej na widoku. Pozbawiony skrupułów potentat. Evangeline i ja na szpaltach każdego żadnego skandalu brukowca. Prasa to rynsztok. Nigdy nie przestanie przepelniać mnie odrazą.
- Myślałem, że był pan właścicielem gazety.
- Czytałeś o mnie?
- Niezupełnie. Ja...
 - Nie wierz biografiom, działom plotek w gazetach ani nawet wydawnictwom „Kto jest kim”. One kłamią. Ja kłamię... - Rozbawiony własnym cynizmem, dokończył tę niepełną odmianę czasownika „kłamać”: - On, ona, ono kłamię. Pismaki. Ścierwojady. Godni wyłącznie pogardy, wszyscy.

Czy to przed nimi miały go chronić te zabójcze parkany, przed pismakami? Forteca wybudowana przeciw zalewowi skandahzujących plotek i podobnego gówna? Jeśli tak, to był to dość wymyślny sposób radzenia sobie z problemem. Marty zastanawiał się, czy nie chodzi tu po prostu o monstrualny egotyzm. Czyżby pół świata naprawdę tak bardzo interesowało się prywatnym życiem Josepha Whiteheada?

- O czym pan tak rozmyśla, panie Strauss?

93

- O ogrodzeniu - skłamał Marty, potwierdzając tym samym prawdziwość wcześniejszego wywodu Whiteheada.
- Nie, Strauss - poprawił go Whitehead. - Myśli pan: W co ja się

wpakowałem, dając się zamknąć z tym wariatem?

Marty czuł, że dalsze zaprzeczanie brzmiałoby jak przyznanie się do winy. Nic nie powiedział.

- Czy to nie jest zgodne z potocznymi wyobrażeniami? Upadły plutokrata, dogorywający w samotności. Czyż nie tak o mnie mówią?
- Mniej więcej tak - przyznał w końcu Marty.
 - A jednak zgodził się pan na moją propozycję.
 - Tak.
- Oczywiście, że się pan zgodził. Pomyślał pan, że jakkolwiek odchylony byłbym, nic nie może być gorsze niż kolejny etap życia, spędzony za kratkami, czy nie mam racji? A pan chciał się wydostać. Był pan zdesperowany.
- Oczywiście, że chciałem się wydostać. Każdy by chciał.
- Miło mi, że przyznaje się pan do tego. Ponieważ to pana pragnienie daje mi istotną władzę nad panem, nie uważa pan? Nie odważy się pan mnie oszukać. Musi pan przylgnąć do mnie tak, jak psy lgną do Lillian, nie dlatego, że oznacza ona ich kolejny posiłek, ale dlatego, iż jest dla nich całym światem. Musi pan ze mnie uczynić cały swój świat, panie Strauss; moje bezpieczeństwo, moje zdrowie, moja wygoda muszą być dla pana najważniejsze w każdej sekundzie pańskiego czuwania. Jeśli tak się stanie, obiecuję panu swobody, o jakich nigdy pan nie śnił. Swobody, jakie mogą być jedynie darem bardzo bogatych ludzi. Jeśli tak się nie stanie, odeślę pana z powrotem do więzienia z nieodwracalnie spapraną kartoteką. Rozumie mnie pan?
- Rozumiem.

Whitehead skinął głową.

- Chodźmy zatem - powiedział. - Proszę iść obok mnie.

Odwrócił się i ruszył przed siebie. Od tego miejsca ogrodzenie biegło za tylną ścianą lasu, więc zamiast zagłębiać się

94

w gęstwinę leśnego poszycia, Whitehead zasugerował, by skrócili marszrutę, idąc na przełaj w stronę basenu.

- Jedno drzewo niczym nie różni się dla mnie od drugiego

- oznajmił. - Może pan przyjść tu kiedyś później i przedzierać się przez te chaszczki do woli.

Jednak wędrówka skrajem lasu trwała wystarczająco długo, by Marty zdołał wyrobić sobie pogląd co do jego gęstości. Drzewa nie zostały tu posadzone systematycznie, to nie była szkółka Departamentu Lasów. Rosły blisko siebie, ich gałęzie splatały się ze sobą; mieszanina różnych gatunków liściastych oraz sosen - wszystkie walczące o przestrzeń do wzrostu. Tylko miejscami, tam gdzie rosły dęby lub lipy, nadal bezlistne o tej porze roku, światło słoneczne błogosławiło poszycie lasu. Marty obiecał sobie powrócić tu, jeszcze zanim wiosna udekoruje to miejsce.

Whitehead na powrót zawładnął jego uwagę.

- Od tej chwili chcę, by przez większość czasu pozostawał pan w odległości pozwalającej na natychmiastowe stawienie się na moje wezwanie. Nie oczekuję, że będzie pan przy mnie o każdej porze dnia i nocy... po prostu potrzebuję mieć pana w pobliżu. Okazjonalnie, i tylko za moją zgodą, będzie panu wolno wyjechać samemu. Czy umie pan prowadzić samochód?

-Tak.

- A zatem zorganizujemy coś dla pana - samochodów mamy tu dość. To nie jest ściśle zgodne z wytycznymi Komisji Zwolnień Warunkowych. Ich zaleceniem było, by pozostawał pan tutaj pod pełnym nadzorem przez sześć miesięcy próbnych. Ale, szczerze mówiąc, nie widzę powodu, by pozbawiać pana możliwości odwiedzenia ukochanych osób - przynajmniej wtedy, gdy w pobliżu będę miał innych ludzi, którzy się mną zajmą.
- Dziękuję. Jestem bardzo wdzięczny.
- Obawiam się, że obecnie nie mogę jednak pozwolić panu na oddalenie się choćby na chwilę. Pańska obecność na miejscu jest niezbędna.

95

- Jakież problemy?
 - Moje życie jest w ustawicznym zagrożeniu, Strauss. Przez cały czas otrzymuję listy z pogrózkami, a raczej otrzymują je moje biura. Trudność polega na tym, że nie sposób odróżnić zwyczajnych szajbusów, wypisujących brednie do osób publicznych, od prawdziwych zabójców.
- Dlaczego ktokolwiek miałby nastawać na pańskie życie?
 - Jestem jednym z najbogatszych ludzi poza Ameryką, właścicielem przedsiębiorstw zatrudniających dziesiątki tysięcy pracowników; posiadam połacie ziemi tak duże, że gdybym w tej chwili wyruszył, nie obszedłbym ich przez te wszystkie lata, które mi zostały; należą do mnie statki, dzieła sztuki, stadniny koni. Łatwo uczynić ze mnie ikonę. Pomyśleć sobie, że gdyby mnie zgładzono, na świecie zapanowałyby

pokój i powszechne szczęście.

•Rozumiem.

- Słodkie marzenia - podsumował z goryczą.

Zmniejszyli tempo marszu. Oddech wielkiego człowieka był teraz płytszy niż pół godziny temu. Słuchając, jak mówi, łatwo było zapomnieć o jego zaawansowanym wieku. Jego opinie charakteryzował absolutyzm typowy dla młodości. Nie było tu miejsca na łagodność właściwą podeszłemu wiekowi ani na dwuznaczność czy zwątpienie.

- Myślę, że pora wracać - powiedział.

Monolog wreszcie się urwał, a Marty nie miał ochoty na dalszy spacer. Ani energii. Zmęczył go styl Whiteheada - z jego nieprzewidywalnymi dygresjami i woltami. Będzie musiał przywyknąć do roli uważnego słuchacza: znaleźć odpowiedni wyraz twarzy i przybierać go, ilekroć zacznie się jeden z tych wykładów. Nauczyć się mądrze przytakiwać we właściwych miejscach, mamrotać stosowne frazesy w przerwach w toku wypowiedzi tamtego. Trochę to potrwa, ale z czasem przyswoi sobie umiejętność właściwego postępowania z White-headem.

- To moja twierdza, panie Strauss - oznajmił stary, gdy zbliżyli się do domu. Budynek nie wyglądał na miejsce warowne:

96

cegła była zbyt ciepła, by groźnie wyglądać. - Jego jedyną funkcją jest uchronić mnie przed złem. -Tak jak i moją.

- Tak jak i pańską, panie Strauss.

Z tyłu za domem jeden z psów zaczął szczekać. Solowy popis wkrótce zamienił się w występ chóru.

- Czas karmienia - wyjaśnił Whitehead.

Marty musiał pomieszkać w posiadłości kilka tygodni, by w pełni zrozumieć rytm życia w domu Whiteheada. Wyglądało to jak panowanie łagodnego dyktatora - kształt każdego dnia był całkowicie zdefiniowany przez plan i zachcianki właściciela. Stary nie mijał się z prawdą, mówiąc Marty'emu pierwszego dnia, że dom jest dlań świątynią - wyznawcy przychodzili dzień w dzień, by dotknąć rąbka jego mądrości. Marty rozpoznawał niektóre twarze: kapitanów przemysłu; dwóch lub trzech ministrów (z których jeden, okryty niesławą, opuścił niedawno urząd; czy przychodził tutaj, zadawał sobie pytanie Marty, by prosić o przebaczenie, czy o nagrodę?); mędrców; strażników moralności publicznej - wielu z nich Marty znał z widzenia, ale nie potrafił wymienić z nazwiska, większości nie znał wcale. Żadnemu nie został przedstawiony.

Raz lub dwa razy na tydzień bywał proszony o pozostanie w pomieszczeniu, gdzie odbywało się spotkanie, ale częściej oczekiwano, że będzie przebywał w odległości umożliwiającej szybkie stawienie się, gdy będzie potrzebny. Gdziekolwiek się znalazł, pozostawał jednak niewidzialny dla przeważającej liczby gości: ignorowany, traktowany w najlepszym razie jako część umeblowania. Z początku było to irytujące, wydawało się, jakby wszyscy w domu mieli imiona i nazwiska, tylko nie on. Ale z upływem czasu ta anonimowość zaczęła mu odpowiadać. Nie oczekiwano od niego opinii na poruszany akurat temat, więc mógł pozwolić umysłowi dryfować, bez obaw, że zostanie

poproszony o zabranie głosu w jakiejś rozmowie. I dobrze też było nie mieć nic wspólnego ze zmartwieniami tych potężnych ludzi, których życie wydawało się Marty'emu przeładowane i sztuczne. Na twarzach wielu z nich rozpoznawał grymas, który dobrze znał z lat spędzonych w Wandsworth: ciągle rozczulanie się nad drobnymi docinkami, nad miejscem w hierarchii. Reguły gry może i były w tych kręgach bardziej cywilizowane niż w Wandsworth, lecz toczono tu i tam boje, Marty zaczynał to rozumieć, zasadniczo nie różniły się od siebie. Wszystko to były gry o władzę, taką czy inną. Cieszył się, że w nich nie uczestniczy.

Poza tym jego umysł miał o wiele poważniejsze sprawy do przetrawienia. Po pierwsze, Charmaine. Bardziej z ciekawości niż namiętności zapewne zaczął dużo o niej rozmyślać. Przyłapywał się na wyobrażaniu sobie, jak teraz, po siedmiu latach, wygląda jej ciało. Czy nadal goli tę linię włosów biegnących od pępka w dół do łona? Czyjej świeży pot nadal ma taki ostry zapach? Zastanawiał się także, czy wciąż tak lubi się kochać jak dawniej. Zawsze okazywała więcej nieskrępowanego apetytu na miłość fizyczną niż jakakolwiek inna znana mu kobieta. Czy nadal tak jest? A jeśli tak, z kim zaspokaja swe pragnienia? Nieustannie wałkował w głowie te i inne pytania na temat Charmaine i obiecywał sobie, że przy pierwszej sposobności pojedzie się z nią zobaczyć.

W ciągu ostatnich tygodni kondycja Marty'ego się poprawiła. Surowy reżim ćwiczeń, jaki sobie narzucił od pierwszego dnia, z początku był dla jego ciała torturą, ale po kilku dniach bolesnych skutków znęcania się nad mięśniami wzmożony wysiłek zaczął przynosić efekty. Marty wstawał o

piątej trzydzieści każdego ranka i przez godzinę biegał po posiadłości. Po tygodniu wykonywania stale tego samego okrążenia zmienił trasę, co pozwoliło mu równocześnie z ćwiczeniem ciała poznawać teren. A miał tu niemało do obejrzenia. Wiosna nie zapanowała jeszcze z całą mocą, ale w przyrodzie już widać było jej pierwsze oznaki. Pokazały się krokusy i włócznie żonkili. Na drzewach zaczynały pękać nabrzmiałe pąki, rozwijały się liście. Dotarcie

99

do wszystkich zakątków posiadłości i zrozumienie wzajemnych relacji pomiędzy jej poszczególnymi częściami zajęło mu niemal tydzień; teraz znał już mniej więcej układ całości. Wiedział, gdzie jest jezioro, gołębnik, basen, korty tenisowe, budynki dla psów, las i ogrody. Pewnego ranka, gdy niebo było wyjątkowo czyste, obiegł cały teren, trzymając się blisko ogrodzenia, nawet tam gdzie opasywało ono leśne ostępy. Uznał przeto, że posiada wiedzę na temat posiadłości równie dobrą jak każda inna osoba z nią związana, łącznie z właścicielem.

To była prawdziwa radość; nie tylko poznawanie tych terenów i swoboda biegania bez kogoś zagląającego nieustannie przez ramię, lecz także ponowne odkrywanie niezliczonych spektakli natury. Uwielbiał wcześniej wstawać, by obejrzeć wschód słońca - było to niemal tak, jakby biegł mu na spotkanie, jak gdyby świt nastąpił wyłącznie dla niego jako obietnica światła, ciepła i przyszłego życia.

Wkrótce pozbył się wałka sadła oplatającego go w talii; drabinka mięśni brzucha, z której był dumny jako młody mężczyzna, a którą uważał za bezpowrotnie utraconą, znów się pokazała. Muskuły, o których nawet nie pamiętał, że istnieją, na nowo zaczęły pracować, wpierw, by bólem

zasygnalizować swą obecność, później, by zwyczajnie pozwolić mu żyć zdrowym, pełnym życiem. Wypacał z siebie i splukiwał pod prysznicem lata frustracji i stawał się przez to lżejszy. Znow zaczął traktować swe ciało jak maszynę, z doskonale współpracującymi częściami, której żywotność zależy od harmonijnego i odpowiedzialnego użytkowania.

Jeśli nawet Whitehead dostrzegł jakąś zmianę w zachowaniu lub wyglądzie Marty'ego, nie uczynił żadnych komentarzy na ten temat. Ale Toy podczas jednej ze swych wizyt od razu zauważył przemianę, jaka się w Martym dokonała. On z kolei spostrzegł, że również Toy się zmienił - niestety, na gorsze. Jakikolwiek komentarz na temat jego marnego wyglądu był jednak nie do pomyślenia; Marty czuł, że ich wzajemne relacje nie zezwalają jeszcze na taką poufałość. Pozostawało mu żywić nadzieję, że Toy nie cierpi na jakąś poważną chorobę.

100

Niespodziewane wychudzenie szerokiej twarzy tamtego sugerowało jednak, że coś zżera go od środka. Przepadła gdzieś również lekkość jego kroków, przypisywana przez Marty'ego latom spędzonym na ringu.

Poza niemocą Toya były i inne tajemnice. Po pierwsze, kolekcja - dzieła wielkich mistrzów, wypełniająca korytarze Sanktuarium. Były zaniedbane. Nikt ich nie odkurzał miesiącami, może nawet latami. Poza żółtym werniksem, przygaszającym barwy obrazów, pokrywała je teraz także warstwa brudu, dodatkowo przysłaniając ich piękno. Marty nigdy wcześniej nie interesował się zbytnio sztuką, ale mając tu sporo czasu na oglądanie obrazów, odkrył w sobie rosnącą fascynację. Wiele nie przypadło mu do gustu, na przykład portrety i dzieła religijne - przedstawiały bowiem ludzi, których nie znał, albo wydarzenia, których

nie rozumiał. Ale w małym korytarzu na parterze, prowadzącym do skrzydła domu, w którym niegdyś znajdowały się apartamenty Evangeline, a teraz sauna wraz z solarium, odkrył dwa przykuwające uwagę malowidła. Były to pejzaże, oba namalowane przez tego samego anonimowego artystę. Wnosząc z ulokowania ich w mało reprezentacyjnym miejscu, nie mieniły się dziełami wybitnymi. Ale dziwne wymieszanie realistycznej scenerii - drzew, dróg wijących się pod błękitnym i żółtym nieboskłonem - ze szczegółami całkowicie zmyślonymi - smokiem o nakrapianych skrzydłach, pożerającym na jednej z dróg mężczyznę, lewicującymi kobietami, unoszącymi się nad lasem, płonącym miastem w oddali - otóż ten mariaż rzeczywistego z nierealnym został tak sugestywnie namalowany, że Marty nie mógł powstrzymać się przed powracaniem znowu i znowu do tych dwóch nawiedzonych płócien, by za każdym razem odkryć na nich jakiś niezauważony uprzednio, coraz to bardziej fantastyczny szczegół, ukryty w zagajniku lub mgiełce unoszącej się nad ziemią w upalny dzień.

Nie tylko obrazy budziły jego ciekawość. Górne piętro domu, na którym Whitehead miał swój apartament, było całkowicie dla Marty'ego niedostępne, i z tego powodu coraz bardziej go korciło, by wślizgnąć się na górę, ilekroć miał pewność, że stary

zajęty jest czymś gdzie indziej, i powęszyć trochę na zakazanym terytorium. Podejrzewał, że Whitehead używa górnego piętra jako punktu obserwacyjnego, z którego ogląda przyjazdy i odjazdy swoich pomocników. To wyjaśniałoby do pewnego stopnia kolejną tajemnicę: uczucie bycia obserwowanym, jakiego Marty doznawał podczas porannych biegów.

Jednakowoż oparł się pokusie dociekania prawdy. Uznał, że jego praca jest warta więcej.

Gdy nie pracował, spędzał sporo czasu w bibliotece. Jeśli był ciekaw wydarzeń w świecie zewnętrznym, mógł tam zawsze znaleźć bieżące numery pisma „Time”, a także regularnie dostarczane przez Luthera egzemplarze „Washington Post”, „Timesa” i kilku innych dzienników, takich jak „Le Monde”, „Frankfurter Allgemeine Zeitung” czy „New York Times”. Marty kartkował je, szukając ciekawostek, czasem zabierał ze sobą, by poczytać w saunie. Gdy znudziły go gazety, były jeszcze tysiące książek, w których mógł przebierać; nie wszystkie okazały się, ku jego radości, odstraszającymi tomiskami. Było tego mnóstwo, dzieła zebrane klasyków literatury, a na półkach obok nich postrzępione, mocno zaczytane wydania powieści science fiction w krzykliwych okładkach z obrazkami, które mogłyby stanowić wzorce bezguścia i przesady. Marty zaczął je czytać, wybierając zrazu te z najsugestywniejszymi okładkami. W bibliotece znajdował się też odtwarzacz wideo. Toy dostarczył z tuzin kaset z najlepszymi turniejami bokserskimi i Marty systematycznie je teraz oglądał, ku własnej uciechu po wielekroć odtwarzając ulubione sekwencje. Potrafił wpatrywać się w ekran przez cały wieczór, zachwycony oszczędnością i gracją ruchów największych mistrzów. Toy, zawsze przezorny, przyniósł również kilka kaset pornograficznych; wręczył je Marty'emu z konspiracyjnym uśmieszkiem i słowami porady, by nie skonsumował ich wszystkich od razu. Były to pozbawione fabuły filmidła, w których anonimowe pary lub trójki zrzucały z siebie odzież w pierwszych trzydziestu sekundach akcji i przystępowały do rzeczy, nim upłynęła pełna minuta. Nic wyrafinowanego, ale dobrze spełniały swoją rolę,

bo jak słusznie domyślał się Toy, świeże powietrze, ćwiczenia i optymizm w cudowny sposób wpłynęły na libido Marty'ego. Nieuniknienie musiał nadejść czas, gdy molestowanie samego siebie przed ekranem telewizora nie wystarczy. Coraz częściej śnił o Charmaine - były to niedwuznaczne sny rozgrywające się w sypialni domu pod numerem dwadzieścia sześć. Frustracja dodała Marty'emu odwagi i następnym razem, gdy zobaczył się z Toyem, poprosił o pozwolenie odwiedzenia żony. Toy obiecał porozmawiać w tej sprawie z szefem, ale nic z tego nie wyszło. Tymczasem Marty musiał zadowolić się kasetami wideo, z ich wyreżyserowanymi westchnieniami i jękami.

Stopniowo zaczął przyporządkowywać nazwiska do twarzy najbardziej zaufanych doradców Whiteheada, tych pojawiających się w domu regularnie. Toy, rzecz jasna, był stale widoczny. Był także prawnik nazwiskiem Ottaway, szczupły, dobrze ubrany mężczyzna około czterdziestki, do którego Marty nabrał niechęci, gdy tylko usłyszał go w rozmowie. Ottaway przemawiał bowiem w sposób typowy dla prawniczego kuglarza, ze wszystkimi umizgami i unikami, znanymi Marty'emu aż nadto dobrze z własnego doświadczenia. Przywoływały gorzkie wspomnienia.

Był jeszcze jeden, Curtsinger, skromnie ubrany osobnik o koszmarnym guście, jeśli chodzi o krawaty, i jeszcze gorszym w kwestii wody kolońskiej; choć często zjawiał się w towarzystwie Ottawaya, był od tamtego o wiele łagodniejszy. Należał do tych nielicznych, którzy dostrzegali obecność Marty'ego w pobliżu - zwykle pozdrawiał go nieznacznym, szybkim skinieniem głowy. Przy jednej okazji, gdy świętowano niedawne podpisanie

jakiejs umowy, Curtsinger wsunął Marty'emu do kieszeni marynarki wielkie cygaro. Po tym wydarzeniu Marty gotów był mu wybaczyć niemal wszystko.

Trzecia twarz regularnie widywana u Whiteheada była najbardziej tajemnicza ze wszystkich. Należała do śniadego trolla nazwiskiem Dwoskin. Jeśli Toy był Brutusem, ten był Kasju-szem. Jego nieskazitelne popielate garnitury, pedantycznie

103

złożona chusteczka do nosa, precyzyjne gesty - wszystko to zdradzało człowieka ogarniętego obsesją przestrzegania rytuałów ładu i porządku, wypracowanych zapewne dla zrównoważenia ekscesów jego fizyczności. Ale było w tym człowieku coś jeszcze -jakiś podpowierzchniowy prąd zagrożenia, którego przez lata spędzone w Wandsworth Marty nauczył się wystrzegać. W gruncie rzeczy to samo dotyczyło pozostałych. Pod chłodną powierzchownością Ottawaya i lukrem Curtsingera tkwili mężczyźni, nie do końca - to było określenie Somervale'a - zdatni do spożycia.

Marty od początku starał się oddalić to poczucie, traktując je jak typowy przesąd przedstawiciela niższej klasy - kogoś, kto samemu będąc nikiem, nie ufa z zasady bogatym i wpływowym. Ale im więcej spotkań miał okazję obserwować, im więcej gorących debat usłyszał, tym większej nabierał pewności, że w postępowaniu tamtych istnieje ledwo skrywany podtekst oszustwa, a może i zbrodni. Niewiele rozumiał z tych rozmów - subtelności giełdy stanowiły dlań zamkniętą księgę - ale wyszukane słownictwo nie zdołało zamaskować zasadniczego sensu. Interesowali się mechanizmami oszustwa: chcieli manipulować prawem i rynkiem. Ich rozmowy zaśmiecone były pomysłami na ominięcie podatków, sprzedażą towarów

między filiami przedsiębiorstw po sztucznie zawyżonych cenach, rozprawianiem placebo w opakowaniu sugerującym panaceum. W ich postawie nie było ani cienia skruchy; przeciwnie, rozmowy o nielegalnych manewrach, o kupowaniu i sprzedawaniu politycznych sojuszy spotykały się tu z pełną aprobatą. A wśród tych manipulatorów prym wiodł Whitehead. W jego obecności wszyscy okazali mu niezwykle szacunek. Z dala od niego, w walce o miejsce jak najbliżej tronu, stawali się bezlitośni. Potrafił - i nie raz tak czynił - uciszyć ich wszystkim nieznacznym uniesieniem dłoni. Czcili każde jego słowo, jak gdyby spłynęło z warg Mesjasza. Ta gra pozorów bawiła Marty'ego niepomiernie, ale wiedział, przykładając do nowej sytuacji zasady poznane w więzieniu, że Whitehead, by zdobyć takie oddanie innych, sam musiał nagrzeszyć o wiele

104

ciężej niż jego wielbiciel. Co do umiejętności w posługiwaniu się sprytem, Marty nie wątpił w biegłość Whiteheada - sam doświadczył już mocy jego perswazji. Ale z upływem czasu nowe pytanie rozblęsnęło jaśniejszym blaskiem: Czy Whitehead także był złodziejem? A jeśli nie złodziejem - jaka inna zbrodnia obciążała jego sumienie?

16

Lekkość, pomyślała, patrząc ze swego okna na biegnącego mężczyznę, jest wszystkim; a jeśli nawet jego lekkość i swoboda ruchów nie były wszystkim, to z pewnością stanowiły najlepszą część tego, co w nim podziwiała. Nie wiedziała, jak się ów biegacz nazywa, choć już dawno mogła kogoś o to

spytać. Wolą, by pozostał anonimowy - anioł w szarym sportowym dresie, z mgiełką oddechu przy wargach. Pearl wspomniała kiedyś o nowym ochroniarzu, więc to musiał być on. Czy to w ogóle ważne, jak się nazywa? Takie szczegóły mogłyby jedynie podciąć skrzydła jej fantazji.

To nie był dla niej dobry czas z wielu powodów i w te wypełnione poczuciem klęski poranki, gdy po przespanej z trudem nocy zasiadała przy oknie, widok anioła biegnącego przez trawnik lub jego sylwetki, migającej pomiędzy cyprysami, stawał się symbolem, do którego przywiązywała coraz większą wagę, zapowiedzią nadejścia lepszych czasów. Regularność, z jaką się pojawiał, była czymś, na co zawsze mogła liczyć, i jeśli zdarzyło jej się spać zbyt głębokim snem w ciągu nocy i przegapić jego poranny bieg, przez resztę dnia miała poczucie niezaprzeczalnej straty i tym bardziej stanowczo nakazywała sobie dotrzymać terminu rendez-vous następnego ranka.

Nie potrafiła jednak zmusić się do opuszczenia słonecznej wyspy, przepłynięcia przez rozliczne i niebezpieczne rafy, by znaleźć się tam, gdzie on. Nawet zaznaczenie swej obecności w domu wydawało jej się zbyt wielkim ryzykiem. Zastanawiała

się, jak dobrym tamten jest detektywem. Jeśli niegorszym, to być może jakimiś sprytnymi metodami już odkrył ślady jej bytności: zauważył niedopałki papierosów w kuchennym zlewie albo wyczuł zapach w pokoju, który opuściła zaledwie kilka minut wcześniej. A może aniołowie, jako istoty boskie, nie potrzebują takich podpowiedzi. Może bez tego po prostu wiedział, że ona tam jest, że stoi za błękitem nieba, odbitym w szybie okna, albo czai się przyciśnięta od wewnątrz do zamkniętych na

klucz drzwi swego pokoju, gdy on, pogwizdując, idzie korytarzem.

Ale wychodzić aniołowi na spotkanie, nawet jeśli potrafiłaby się zdobyć na odwagę, nie miałyby sensu. Cóż mogłaby mu powiedzieć? Nic. A gdyby po chwili on, poirytowany jej milczeniem, westchnął, odwrócił się i poszedł sobie, zostałaby zagubiona na tej ziemi niczyjej, odcięta od jedyne miejsce, gdzie czuje się bezpieczna, od tej słonecznej wyspy, która wyłania się dla niej wprost z mlecznobiałej mgły, od tego powstałego z krwi maków ostrowu.

- Nic dzisiaj nie zjadłaś - skarciła ją Pearl. Jakże znajomo brzmiały te słowa. - Zmarnujesz sobie zdrowie. Zamorzysz się.

- Zostaw mnie w spokoju, dobrze?

- Będę musiała mu powiedzieć.

- Nie, Pearl. - Carys posłała jej błagalne spojrzenie. - Nie mów mu nic.

Proszę. Wiesz, jaki on jest. Znienawidzę cię, jeśli mu coś powiesz.

Pearl, z tacą w dłoniach, zatrzymała się w drzwiach z wyrazem dezaprobaty na twarzy. Nie miała zamiaru ulec błaganiom ani szantażowi.

- Znowu próbujesz się zagłodzić? - spytała bez cienia współczucia w głosie.

- Nie. Po prostu nie mam apetytu. Tyle.

Pearl wzruszyła ramionami.

- Nie rozumiem cię - powiedziała. - Przez większość czasu wyglądasz tak, jakbyś zaraz miała popełnić samobójstwo.

Dzisiaj...

Carys uśmiechnęła się promiennie.

- To twoje życie - skwitowała ten uśmiech druga kobieta.
- Zanim pójdziesz, Pearl... -Co?
- Powiedz mi o biegającym mężczyźnie.

Pearl wyglądała na kompletnie zaskoczoną - okazywanie jakiegokolwiek zainteresowania tym, co się dzieje w domu, nie pasowało do dziewczyny. Zwykle siedziała tu za zamkniętymi drzwiami i marzyła. Ale dzisiaj była wręcz natarczywa.

- O tym, który biega co rano po posiadłości. W dresie. Kto to jest?

Czy odpowiedź na to pytanie może ją zranić? Ciekawość jest oznaką zdrowia, a u niej niedostatek i jednego, i drugiego.

- Ma na imię Marty.

Marty. Carys kilka razy powtórzyła w myślach to imię. Pasowało do niego. Anioł ma na imię Marty. -Marty jak?

- Nie pamiętam.

Carys wstała. Nie uśmiechała się już. Miała ten zacięty wyraz twarzy, który pojawiał się, ilekroć czegoś naprawdę bardzo chciała; kąciki ust opadły mocno w dół. Był to grymas, który dzieliła z panem Whiteheadem, co zawsze onieśmiało Pearl. Carys wiedziała o tym.

- Wiesz, jaką mam pamięć - powiedziała Pearl przepraszająco. - Nie pamiętam jego nazwiska.
- A zatem kim on jest?
- Ochroniarzem twojego ojca; na miejsce Nicka - odparła Pearl. - Jest ponoć byłym więźniem. Napad z użyciem przemocy.
- Naprawdę?
- 1 raczej brak mu ogłady towarzyskiej.

- Marty.

- Strauss - uzupełniła Pearl z nutką triumfu w głosie. - Martin Strauss; tak się właśnie nazywa.

I oto został nazwany, pomyślała Carys. Była jakaś prymitywna forma władzy w nadawaniu człowiekowi imienia. Klucz do jego duszy. Martin Strauss.

108

- Dziękuję - powiedziała, szczerze zadowolona.

- Dlaczego cię to interesuje?

- Zastanawiałam się, kto to jest. Ludzie przychodzą i odchodzą.

- Myślę, że ten zostanie - oświadczyła Pearl i wyszła z pokoju.

Zamykając za nią drzwi, Carys spytała jeszcze:

- Ma może jakieś drugie imię?

Lecz kobieta nie usłyszała pytania.

To dziwne uczucie myśleć, że ten uprawiający jogging mężczyzna był kiedyś więźniem; że nadal w pewnym sensie nim jest, biegając tak tu i tam po posiadłości, wdychając czyste powietrze, wydychając obłoczki pary, marszcząc z wysiłku czoło. Może on zrozumiałby lepiej niż stary, lepiej niż Toy albo Pearl, co znaczy być na słonecznej wyspie i nie wiedzieć, jak się z niej wydostać. Albo, co gorsza, wiedzieć, ale nie mieć odwagi z obawy przed niemożnością powrotu w bezpieczne miejsce.

Fakt, że znała teraz imię mężczyzny, nie popsuł nic z romantycznej aury jego porannego biegania. Nadal unosiła się nad nim aureola; lecz teraz Carys dostrzegała także ciężar ciała, tam gdzie wcześniej widziała jedynie lekkość kroku.

Zdecydowała - po latach niezdecydowania - że na oglądaniu się nie skończy.

W miarę jak poprawiała się jego kondycja, Marty coraz więcej od siebie wymagał podczas porannych biegów. Trasa wydłużała się, chociaż obecnie pokonywał zwiększony dystans w takim samym czasie, jak dawniej krótszy. Czasami dla urozmaicenia treningu zagłębiał się w las, nie przejmując się poszyciem i niższymi konarami drzew, a wówczas miarowy krok przechodził w zestawianą ad hoc kombinację krótkich odcinków sprintu i skoków przez przeszkody. Po drugiej stronie lasu znajdował się jaz na rzeczce i przy nim Marty, jeśli był w odpowiednim nastroju, zatrzymywał się na kilka minut. Żyły tam czaple -trzy okazy, a przynajmniej tyle dało się zauważyć. Zbliżała się

109

pora lęgów i ptaki niebawem miały zacząć łączyć się w pary. Marty zastanawiał się, co stanie się wówczas z trzecią czapłą. Czy odleci szukać miłości gdzie indziej, czy pozostanie, planując cudzołóstwo? Najbliższe tygodnie przyniosą odpowiedź na to pytanie.

W niektóre dni, zaintrygowany faktem, że Whitehead podgląda go z najwyższego piętra swego domu, zwalniał w odpowiednim miejscu bieg, w nadziei że uda mu się dostrzec twarz tamtego. Ale obserwator był zbyt ostrożny, by dać się przyłapać.

Aż pewnego ranka, gdy po szerokim łuku biegł w stronę domu, zobaczył ją, jak czeka na niego przy gołębniku, i od razu domyślił się, że był w błędzie, sądząc, iż to stary jest owym wścibskim obserwatorem z okna na poddaszu. Za kwadrans siódma rano na dworze nadal panował ziąb.

Czekała już dobrą chwilę, sądząc z zaczerwienionych policzków i nosa. Jej oczy lśniły od zimna.

Zatrzymał się, wydmuchując parę jak lokomotywa.

- Witaj, Marty - powiedziała. - Witaj.
- Nie znasz mnie.
- Nie znam.

Otuliła się ciasniej ciepłym płaszczem. Była chuda, wyglądała najwyżej na dwadzieścia lat. Miała brązowe oczy, ale o tak ciemnym odcieniu, że z odległości trzech kroków wydawały się całkiem czarne. Wpijała teraz w Marty'ego wzrok jak szpony. Jej twarz była szeroka, rumiana. Bez śladu makijażu. Przyszło mu na myśl, że dziewczyna wygląda, jakby była głodna. Jej przyszło na myśl, że on wygląda, jakby umierał z głodu.

- To ty jesteś osobą z okna na górze - zaryzykował.

- Tak. Nie przeszkadzało ci, że cię szpieguję, prawda? - spytała otwarcie.
- A powinno?

Wyciągnęła szczupłą dłoń bez rękawiczki w stronę kamiennego gołębnika.

- Jest piękny, prawda? - powiedziała.

110

Nigdy wcześniej budynek nie wydał się Marty'emu nawet interesujący - po prostu jeszcze jeden punkt orientacyjny na trasie jego porannych biegów.

- To jeden z największych gołębników w Anglii - wyjaśniła dziewczyna. - Wiedziałeś o tym?

-Nie.

- Byłeś kiedyś w środku?

Pokręcił głową.

- To dziwne miejsce - podsumowała i poprowadziła go wokół beczkowatego w kształcie budynku ku drzwiom wejściowym. Miała trudności z ich otwarciem - wilgoć w powietrzu wypaczyła deski. Musiał zgiąć się wpół, by wejść za dziewczyną do środka. Było tam jeszcze chłodniej niż na zewnątrz i Marty zaczął się trząść, ponieważ teraz, gdy już nie biegł, pot na czole i torsie szybko się oziębiał. Wnętrze było, zgodnie z zapowiedzią, dziwne: zwyczajne pojedyncze pomieszczenie z dziurą w dachu, przez którą gołębie mogły wlatywać i wylatywać. W ścianach mieściły się kwadratowe nisze, prawdopodobnie wgłębienia na gniazda ptaków, rozmieszczone w idealnie równoległych rzędach - jak okna kamienic - od podłogi po sam dach. Były puste. Wnioskując z braku ekskrementów i piór na podłodze, budynek nie był użytkowany od wielu lat. To zapuszczenie nadawało mu aurę melancholii; unikalna architektura sprzeciwiała się wykorzystaniu miejsca do innego celu niż ten, do jakiego zostało przeznaczone. Dziewczyna przeszła po klepisku na drugą stronę gołębnika, licząc nisze lęgowe, począwszy od drzwi.

- Siedemnaście, osiemnaście...

Przyjrzał się jej, gdy tak stała tyłem do niego. Miała nierówno przycięte włosy na karku. Płaszcz był na nią za duży; nawet nie należy do niej, domyślił się Marty. Kim ona jest? Córką Pearl?

Przestała liczyć. Wsunęła rękę do jednego z otworów w ścianie, wydając cichy okrzyk, gdy jej palce natrafiły na coś ukrytego w środku. Marty zrozumiał, że to jest jej tajny schowek. A zatem dziewczyna miała

zamiar powierzyć mu sekret. Odwróciła się i pokazała swój skarb.

UI

- Zapomniałam już, co tu schowałam - powiedziała.

To była skamielina, a raczej jej fragment, spiralna muszla, niegdyś spoczywająca na dnie prekambryjskiego morza, zanim świat stał się zielony. W jej zagłębieniach, które teraz dziewczyna głaskała palcami, zebrały się kłębki kurzu. Przemknęło Marty'emu przez myśl, gdy tak obserwował, jak intensywnie absorbuje nieznajomą kawałek kamienia, że nie jest ona w pełni zdrowa na umyśle. Ale wrażenie to ustąpiło, gdy tylko podniosła na niego wzrok; jej spojrzenie zdawało się na to zbyt klarowne, zbyt świadome. Jeśli istniał w niej jakiś cień obłądu, to znajdował się tam za jej zgodą - taka odrobina szaleństwa, pielęgnowana dla własnej przyjemności. Uśmiechnęła się do niego, jak gdyby znała jego myśli: przebiegłość i wdzięk zmieszane były na jej twarzy w równych częściach.

- Nie ma tutaj żadnych gołębi?
- Nie, nie ma; nie było ich, odkąd tu jestem.
- Nawet kilku?
 - Gdyby było kilka, nie przeżyłyby zimy. Jeśli gołębnik jest pełny, ptaki ogrzewają się nawzajem. Ale jeśli pozostaje tylko parę sztuk, nie potrafią wytworzyć dość ciepła i zamarzają na śmierć.

Przytaknął. Wydawało mu się rzeczą godną ubolewania, że taki budynek stoi pusty.

- Powinno się go znów zapełnić.

- Sama nie wiem - odparła. - Lubię go takim, jaki jest.

Wsunęła z powrotem skamielinę do kryjówki.

- Teraz znasz moje specjalne miejsce - powiedziała i cała przebiegłość zniknęła z jej oczu; pozostał wyłącznie wdzięk. Marty był oczarowany.
- Nie wiem, jak masz na imię.
- Carys - odpowiedziała, a po chwili dodała: - To walijskie imię.
- Och.

Nie mógł przestać się jej przyglądać. Nagle wydała się zawstydzona: podeszła szybko do drzwi i wymknęła się na ze-

112

wnątrz. Gdy byli w gołębniku, zaczęło padać - drobna marcowa mżawka. Carys naciągnęła kaptur płaszcza, a Marty kaptur swojego dresu.

- Może pokażesz mi resztę posiadłości? - zaproponował, nie do końca pewien, czy to właściwe pytanie, ale całkiem pewien, że nie chce, by ta rozmowa zakończyła się tu i teraz bez szansy na ponowne spotkanie. W odpowiedzi mruknęła coś wymijająco. Kącik jej ust były skierowane w dół.
- Jutro? - nalegał.

Tym razem w ogóle nie odpowiedziała. Zamiast tego ruszyła w stronę domu. Poszedł za nią, wiedząc, że ich rozmowa całkiem się załamała, jeśli on nie znajdzie sposobu, by ją podtrzymać.

- To dziwne tak siedzieć w domu, nie mając do kogo otworzyć ust - zauważył.

Wydawało się, że uderzył we właściwą strunę.

- To dom Papy - odparła po prostu. - My tylko w nim mieszkamy.

Papy. A zatem to jego córka. Teraz rozpoznał te same usta, co u starego,

z tymi ściągniętymi w dół kącikami, które u niego zdawały się wyrażać stoicyzm, a u niej były po prostu smutne.

- Nie mów nikomu - powiedziała.

Przypuszczał, że chodzi jej o ich spotkanie, ale nie dopytywał się. Należało zadać o wiele ważniejsze pytania - gdyby tylko nie gnała tak szybko... Chciał dać jej do zrozumienia, że się nią interesuje. Lecz żadne słowa nie przychodziły mu na myśl. Nagła zmiana tempa jej mowy, z łagodnej, naturalnej konwersacji, na nerwowe staccato, zbiła go z tropu.

- Czy wszystko w porządku? - spytał.

Obejrzała się za siebie; z twarzą ocienioną kapturem wyglądała niemal jak żałobnica.

- Muszę się pośpieszyć - oznajmiła. - Potrzebują mnie.

Pognała dalej, jedynie pochyleniem pleców sygnalizując, że nie chce, by szedł za nią. Usłuchał i zwolnił kroku, pozwalając jej się oddalić w stronę domu bez jednego spojrze-

113

nia czy pomachania ręką na pożegnanie. Wolał nie wracać do kuchni, gdzie przy śniadaniu musiałby znosić żarty Pearl, ruszył więc przez pole, omijając szerokim łukiem gołębnik, aż dotarł do zewnętrznego ogrodzenia i ukarał się dodatkowym okrążeniem całej posiadłości. Gdy wbiegł do lasu, zauważył, że nieświadomie spogląda na grunt pod stopami w poszukiwaniu skamielin.

17

Dwa dni później około jedenastej trzydzieści w nocy został wezwany przez Whiteheada.

- Jestem w gabinecie - powiedział stary przez telefon. -

Chciałbym zamienić z panem kilka słów.

Gabinet, mimo iż pysznił się pół tuzinem lamp, niemal całkowicie tonął w mroku. Palila się tylko wyginana lampka na biurku, rzucając światło raczej na stertę leżących tam papierów niż na pomieszczenie. Whitehead siedział w skórzanym fotelu przy oknie. Na stoliku obok niego stała butelka wódki i prawie pusta szklanka. Nie odwrócił się, kiedy Marty zapukał i wszedł do pokoju, po prostu przemówił ze swojego punktu obserwacyjnego na wprost oświetlonego trawnika.

- Sądzę, że już czas dać panu więcej swobody, Strauss -oświadczył. -

Dotychczas dobrze wykonuje pan swoją pracę. Jestem z pana zadowolony.

- Dziękuję panu.

- Bill Toy zostanie tu jutro na noc, podobnie jak Luther, i to może być dla pana okazją, by udać się do Londynu.

Minęło osiem tygodni, niemal co do dnia, od przybycia Marty'ego do posiadłości i oto - nareszcie - otrzymuje niezobowiązujące zapewnienie, że jego posada nie jest zagrożona.

- Poleciałem Lutherowi załatwić panu jakiś pojazd. Proszę z nim porozmawiać, gdy się zjawi. A tam na biurku jest trochę pieniędzy dla pana...

Marty spojrzał na blat biurka; rzeczywiście leżał na nim plik banknotów.

- Śmiało, proszę je wziąć.

Marty'ego aż ręce świerbiły, ale zdołał poskromić swój entuzjazm.

- To pokryje koszty paliwa i noclegu w mieście.

Marty nie przeliczył banknotów; po prostu zwinął je i wsadził do kieszeni.

- Dziękuję panu.
- Jest też adres.
- Tak, proszę pana.
- Proszę go wziąć. Sklep należy do człowieka nazwiskiem Halifax, który dostarcza mi truskawek poza sezonem. Czy zechciałby pan odebrać moje zamówienie?
- Oczywiście.
- To jedyne zlecenie, jakie mam dla pana. Reszta czasu, do pańskiego powrotu w godzinach rannych w sobotę, należy do pana.
- Dziękuję.

Ręka Whiteheada sięgnęła po szklankę z wódką i Marty pomyślał, że teraz stary odwróci się i spojrzy na niego; nie odwrócił się jednak.

Rozmowa była najwidoczniej skończona.

- Czy to wszystko, proszę pana?
- Czy wszystko? Tak, sądzę, że tak. A pan jak uważa?

Od wielu już miesięcy Whitehead nie kładł się spać trzeźwy. Zaczął używać wódki jako środka nasennego, gdy rozpoczęły się nocne lęki; zrazu tylko szklaneczkę lub dwie, by stępić ostrze strachu, potem coraz większe dawki, i z czasem ciało starego uodporniło się na trunk. Nie znajdował przyjemności w byciu pijanym. Nie cierpiał kłaść na poduszce wirującej

głowy i słyszeć pojękiwania własnych myśli. Ale strachu lękał się jeszcze bardziej.

Nagle, gdy tak siedział, patrząc na trawnik, ujrzał lisa, który wszedł w obręb światła rzucanego przez lampy trawnikowe - jego sierść zdawała się wybielona od jaskrawej iluminacji -

116

i patrzył w stronę domu. Całkowity bezruch, w jakim zastygł, nadawał mu znamiona doskonałości; oczy, odbijając światło, lśniły w pokrytej zjeżoną sierścią czaszce. Warował tak tylko przez moment. Nagle, jakby wyczuwając niebezpieczeństwo - być może bliskość psów - podwinął ogon i dał susa w ciemność. Whitehead długo po jego zniknięciu wpatrywał się w to miejsce na trawniku, mając nadzieję, że wbrew wszelkiej nadziei zwierzę powróci i przez jakiś czas podzieli z nim jego samotność. Ale lis miał inne plany na tę noc.

Był czas, gdy i on był lisem: smukłym i czujnym; nocnym wędrowcem. Ale teraz sprawy miały się inaczej. Opatrzność była szczodra, marzenia stały się rzeczywistością; i lis, stale przybierający coraz to nowe kształty, stał się gruby i powolny. Świat też się zmienił: przeistoczył się w mapę zysków i strat. Odległości skurczyły się do rozmiarów jednego polecenia. Z czasem lis zapomniał o swoim poprzednim życiu.

Lecz ostatnio wspomnienia wracały coraz częściej. W wyrazistych i pełnych wyrzutu szczegółach, podczas gdy wydarzenia poprzedniego dnia skrywała mgła. W najgłębszym zakamarku swego serca wiedział jednak, że nie ma powrotu do tamtego błogiego stanu.

A co dalej? Dalej była podróż do miejsca pozbawionego nadziei, gdzie żaden znak drogowy nie skieruje go ani w prawo, ani w lewo, gdzie

wszystkie kierunki są jednakowo ważne - i gdzie nie będzie ni wzgórze, ni drzewa, ni domostwa dla wskazania drogi. Takie miejsce. Takie straszne miejsce.

Ale nie będzie tam sam. W tej krainie Nigdzie będzie miał towarzysza.

A kiedy czas się wypełni i jego oczom ukażą się owe ziemie wraz z ich mieszkańcem, wówczas pożałuje, o Chryste, jak bardzo pożałuje, że na zawsze nie pozostał lisem.

III

Ostatni Europejczyk

18

Athony Breer, Połykacz Żyletek, wrócił do swego małego mieszkania późnym popołudniem i w ulubionej filiżance zrobił sobie kawę rozpuszczalną, następnie zasiadł za stołem i w słabnącym świetle zaczął wiązać dla siebie pętlę. Od wczesnych godzin rannych wiedział, że właśnie nastał ten dzień. Nie ma potrzeby iść do biblioteki; jeśli po jakimś czasie zauważą jego nieobecność i napiszą do niego, chcąc dowiedzieć się, gdzie się podziewa, nie odpowie im. Poza tym niebo wyglądało dziś o poranku równie niechlujnie jak jego prześcieradła, a że był człowiekiem racjonalnym, pomyślał wtedy: Po co kłopotać się praniem pościeli, skoro cały świat jest tak brudny, i ja sam jestem tak bardzo brudny, i nie ma żadnych szans, by cokolwiek z tego stało się czystsze? Najlepszym rozwiązaniem jest położyć kres tej plugawej egzystencji raz na zawsze.

Widział mnóstwo powieszonych ludzi. Oczywiście tylko na fotografiach; tych w książce na temat zbrodni wojennych, skradzionej z miejsca pracy, z adnotacją na okładce: „Nie wystawiać na ogólnodostępne

półki. Wydawać tylko na żądanie". To ostrzeżenie rozgrzało jego wyobraźnię: oto książka, której ludzie nie powinni tak naprawdę oglądać. Bez otwierania wsunął ją do torby, domyślając się po tytule - „Sowiecka dokumentacja nazistowskich okrucieństw” - że oczekiwanie będzie równie słodkie, jak czytanie tego tomu. Lecz tu się mylił. Rozkosz, jaką odczuwał przez cały dzień, gdy ślinka mu ciekła na myśl, że w jego torbie leży zakazany skarb, okazała się niczym w po-

118

równaniu z rewelacjami, jakie oferowała sama książka. Były w niej zdjęcia wypalonych ruin willi Czechowa i inne, ukazujące bezczeszczenie rezydencji Czajkowskiego. Ale przede wszystkim - i to było o wiele ważniejsze - zawierała zdjęcia trupów. Niekiedy były to całe sterty zwłok, kiedy indziej ciała leżące w czerwonym od krwi śniegu, zamarznęte na kamień. Dzieci z roztrzaskanymi czaszkami, mężczyźni w okopach z przestrelonymi twarzami albo ze swastykami wyciętymi bagnietem na piersiach lub pośladkach. Ale dla złaźnionych oczu Połykacza Żyletek najlepszym widokiem były fotografie przedstawiające wisielców. Do jednego zdjęcia wracał szczególnie często. Ukazywało przystojnego młodego człowieka wieszanego na skleconej naprędcie szubienicy. Fotograf uchwycił go w jego ostatnich chwilach, patrzącego wprost w obiektyw, z bladym, lecz błogim uśmiechem na ustach.

Breer chciał, aby taki właśnie wyraz ujrzeli na jego twarzy ci, którzy wyważą drzwi tego właśnie pokoju i znajdą go wiszącego pod sufitem, z ciałem wykonującym piruety w rytm podmuchów przeciągu z korytarza. Myślał o tym, jak będą się gapić na niego, jak będą o nim szemrać między sobą, kręcić głowami, przypatrując się jego bladym, białym stopom i od-

wadze w podjęciu tak strasznego czynu. A kiedy o tym rozmyślał, rozplatał i zaplatał na nowo pętlę, pragnąc wykonać robotę o tyle profesjonalnie, o ile to tylko możliwe.

Jego jedynym zmartwieniem było teraz spisanie wyznania. Mimo iż dzień w dzień miał w pracy do czynienia z książkami, słowa nie stanowiły jego najmocniejszej strony - umykały, tak jak małe ślicznotki z jego tłustych rąk. A właśnie o dzieciach chciał coś powiedzieć, tylko po to, by dowiedzieli się - ci ludzie, którzy go znajdą i sfotografują - że ten, na którego się gapią, to nie jakiś tam nikt, zero, lecz człowiek, który dopuścił się najgorszych czynów z najlepszych możliwych do pomyślenia pobudek. To ważne: żeby poznali, kim był, bo może z czasem zrozumieją go lepiej, niż on kiedykolwiek potrafił zrozumieć sam siebie.

Mieli, wiedział o tym doskonale, swoje sposoby przesłuchiwania ludzi, nawet umarłych. Położą go w chłodnym pomiesz-

119

czeniu prosektorium i będą badać cal po calu jego ciało, a kiedy już przestudiują zewnętrzną powłokę, zaczną oglądać wnętrze, i och! Jakież rzeczy tam znajdą! Odpiłują czubek czaszki i wyciągną mózg; zbadają go na sto sposobów, by odpowiedzieć na wszystkie "Jak" i „dlaczego”. Ale czy to się na coś zda? Kto jak kto, ale on coś może na ten temat powiedzieć. Kroisz żywą i piękną istotę, by dowiedzieć się, jak to się dzieje, że jest żywa, i dlaczego jest piękna, i zanim znajdziesz odpowiedź, nie ma już ani życia, ani piękna, a ty stoisz z krwią na twarzy i łzami w oczach, i wszystko, co uzyskałeś w zamian za swój trud, to straszliwie palące poczucie winy. Nie, nie znajdą nic w jego mózgu, będą zmuszeni szukać dalej. Otworzyć go od szyi po wzgórek łonowy, przeciąć mu żebra i

odgiąć na boki, dopiero wtedy uda im się rozplatać jego jelita, poszperać w żołądku, obejrzeć ze wszystkich stron wątrobę i płuca. Tam, och, tam właśnie znajdą wiele; będą mieli czym nacieszyć oko.

Może to będzie najlepszym wyznaniem, pomyślał, zawiązując pętlę po raz ostatni. Nie ma sensu szukać właściwych słów, bo czymże są słowa? To śmieci; bezużyteczne, gdy trzeba dotrzeć do najgłębszej istoty rzeczy. Nie. Znajdą wszystko, co potrzebują wiedzieć, gdy tylko zajrzą do jego wnętrza. Znajdą tam opowieść o zaginionych dzieciach, znajdą chwałę jego męczeństwa. I dowiedzą się, raz na zawsze, że należał do plemienia Połykaczy Żyłek.

Skończył wiązać pętlę, nalał sobie drugą filiżankę kawy i zaczął mocować linę. Najpierw usunął lampę wiszącą pośrodku sufitu, następnie w jej miejsce przywiązał pętlę. Była mocna. Pokuśtał się na niej przez kilka chwil, by mieć pewność, że się nie zerwie, i chociaż belki sufitowe stęknęły z lekka, a na głowę posypał mu się tynk, hak, do którego uczepił linę, udźwignął jego ciężar.

Był już wczesny wieczór i Breer czuł się zmęczony, a zmęczenie czyniło go jeszcze bardziej niezdarnym niż zazwyczaj. Krzątał się po pokoju, próbując sprzątać, jego spasiono jak u świni ciało wydawało westchnienia udręki, gdy zwijał poplamione prześcieradła i upychał je gdzieś poza zasięgiem wzroku,

gdy opłukiwał filiżankę po kawie i przezornie wylewał do zlewu całą resztę mleka, by nie zsiadło się, zanim tamci przyjdą. Podczas jednej z tych czynności włączył radio - zagłuszy odgłos kopniętego krzesła, gdy przyjdzie pora; w budynku byli też inni mieszkańcy, a Połykacz Żyłek

nie chciał odroczenia wyroku w ostatniej minucie. Rozgłośnia, której słuchał, nadawała zwyczajne, banalne kawałki: piosenki o miłości, piosenki o utracie miłości i piosenki o odzyskaniu utraconej miłości. Nienawistne i bolesne kłamstwa, wszystkie co do jednego.

Zrobiło się całkiem późno, nim uporał się z przygotowaniami pokoju. Usłyszał kroki na korytarzu i odgłos drzwi otwieranych i zamykanych w innych częściach budynku - to lokatorzy pozostałych pokoiów wracali po pracy do domu. Podobnie jak on, mieszkali samotnie. Żadnego z nich nie znał z nazwiska; żaden z nich, widząc, jak wynoszą Breera w asyście policji, nie będzie w stanie podać jego personaliów.

Rozebrał się do naga i umył się, korzystając z kuchennego zlewu, jego jądra były małe jak orzechy włoskie i przyciśnięte do ciała, brzuch obwisły; tłuszcz na piersiach i ramionach drżał, gdy ciało dygotało z zimna. Gdy uznał, że jest już wystarczająco czysty, usiadł na krawędzi materaca i obciął paznokcie u nóg. Następnie przywdział świeżo wyprane ubranie: błękitną koszulę i popielate spodnie. Nie wkładał butów ani skarpetek. Z całego zawstydzającego go ciała jedynie ze stóp mógł być dumny.

Było niemal ciemno, gdy skończył, a noc zapowiadała się czarna i deszczowa. Pora zaczynać, pomyślał.

Starannie ustawił krzesło, wspiął się na nie i sięgnął dłonią po sznur. Pętla zwisała cal lub dwa za wysoko, musiał więc stanąć na palcach, by ciasno przylgnęła do szyi, ale po kilku drobnych manewrach udało mu się bezpiecznie ją założyć. Gdy już zacisnął węzeł blisko skóry, odmówił modlitwę i kopnął krzesło.

Panika ogarnęła go w jednej sekundzie i dłonie, którym dotychczas

zawsze ufał, zdradziły go w tym tak ważnym momencie, skacząc z obu stron ku szyi i tarmosząc zaciskający się na niej sznur. Pierwsze szarpnięcie nie złamało Breerowi

121

karku; zamiast tego jego własny kręgosłup wydał mu się zaszytą w plecach stonogą, wijącą się na wszystkie strony i wywołującą spazmatyczne ruchy nóg. Ból był najmniejszym zmartwieniem; prawdziwą udrękę stanowił brak kontroli: zapach świadczący, że jelita bez przyzwolenia wypróżniły się w czyste spodnie; sztywnienie penisa, choć ani jedna lubieżna myśl nie powstała w podrygującej głowie; stopy kopiące powietrze w poszukiwaniu punktu oparcia; palce wciąż drapiące sznur na szyi. Wszystko to uwolniło się nagle spod kontroli, namiętnie walcząc o przetrwanie, zamiast po prostu uspokoić się i umrzeć.

Jednak wszystkie wysiłki ciała okazały się daremne. Breer zaplanował rzecz całą zbyt dokładnie, by coś poszło nie po jego myśli. Sznur nie przestawał się zaciskać, płąsy stonogi słabły. Życie, ten niechciany gość, już niebawem sobie pójdzie. W głowie rozbrzmiewały rozliczne hałasy, prawie tak, jakby tkwił gdzieś pod ziemią i słyszał wszystkie głosy planety. Zgiełk pędu, ryk wielkich ukrytych żył wodnych, bulgotanie topiących się skał. Anthony Breer, wielki Połykacz Żyletek, znał ziemię doskonale. Tak często grzebał w niej martwe piękności i napełniał sobie nią usta w ramach pokuty za wtargnięcie w jej trzewia, przeżuwał ją, chowając w jej wnętrzu pastelowe ciała. Odgłosy ziemi zagłuszały wszystko inne: jego jęki, muzykę z radia, ruch uliczny za oknem. Także świat widzialny odchodził w niebyt; koronkowa ciemność o pulsujących wzorach wypełniła pokój. Wiedział, że obraca się wokół swojej osi - przed

chwilą widział łożko, potem szafę, teraz zlew - ale kształty rzeczy, coraz bardziej kapryśne, nieodwracalnie zanikały.

Jego ciało poddało się po ciężkiej walce. Język zatrzepotał, ale może Breer jedynie wyobraził sobie ten ruch, tak jak wyobraził sobie, że słyszy, jak ktoś woła go po imieniu.

Dość niespodziewanie zgasło widzenie i przysła śmierć. Żaden przyływ żalu nie towarzyszył temu zejściu, żadne przewijanie wstecz, z szybkością błyskawicy, historii całego życia, okraszonej poczuciem winy. Tylko ciemność, coraz głębsza, aż wreszcie tak głęboka, że w porównaniu z nią noc zdałaby się światłością. I to był koniec - tak łatwy.

122

Nie; nie koniec.

Nie całkiem koniec. Zmysły w całym ciele odbierały jakieś nieproszone wrażenia, naruszające prywatność jego śmierci. Podmuchi ciepłego powietrza owiał mu twarz, atakując zakończenia nerwowe. Impertynencki oddech dławił go, wciskając się w zwiotczone płuca, bez cienia zachęty z jego strony.

Sprzeciwiał się temu zmartwychwstaniu, ale zbawiciel był nieprzejednany. Pokój zaczynał rekonstruować się wokół Breera. Najpierw światło, potem kształty. Następnie kolory, aczkolwiek brudne i zblakłe. Zniknęły hałasy - szum rwących rzek i bulgot płynnych skał. Usłyszał miast tego własny kaszel i poczuł zapach swych wymiocin. Rozpacz szydziła z niego. Czy nie potrafił nawet skutecznie odebrać sobie życia?

Ktoś wypowiedział jego imię. Potrząsnął głową, ale głos znów dotarł do uszu i tym razem wywrócone do góry oczy ujrzały czyjąś twarz.

I, och, to wcale nie koniec, daleko do tego. Nie został zabrany do nieba

ni do piekła. Żadne z tych miejsc nie śmiałyby poszczycić się posiadaniem twarzy, która zawisła teraz nad Połykaczem Żyłek.

- Bałem się, że już cię straciłem, Anthony - powiedział Ostatni Europejczyk.

19

Podniósł z podłogi krzesło, którego Połykacz Żyłek użył w swej nieudanej próbie samobójczej, i siedział teraz na nim, wyglądając tak samo nienagannie jak zawsze. Breer próbował coś powiedzieć, ale jego język wydawał się zbyt gruby, niedopasowany do jamy ustnej; kiedy go dotknął, na palcach została krew.

- Ugryzłeś się w język z entuzjazmu - powiedział Europejczyk. - Przez jakiś czas będziesz miał problemy z mówieniem i spożywaniem pokarmów. Ale to się zagoi, Anthony. Wszystkie rany goją się z czasem.

Breer nie miał dość energii, by podnieść się z podłogi; mógł tylko leżeć na niej, z pętlą wciąż ciasno opinającą szyję, i gapić się na koniec przeciętego sznura, wciąż zwisający z haka do mocowania lampy. Najwidoczniej Europejczyk po prostu go odciął i pozwolił mu upaść na podłogę. Jego ciało zaczęło drżeć; zęby dzwoniły jak u szalonej małpy.

- Jesteś w szoku - zawyrokował Europejczyk. - Leż tak, jak leżysz... Zrobię ci herbaty, chcesz? Dobrze osłodzona herbata, tego ci właśnie trzeba.

Kosztowało to Połykacza Żyłek niemało wysiłku, ale jakoś udało mu się wdrapać z podłogi na łóżko. Spodnie miał zafajdane z przodu i z tyłu,

co napełniało go obrzydzeniem. Europejczycy to nie przeszkadzało. On wybaczał wszystko, Breer wiedział o tym. Nie spotkał nigdy drugiego człowieka równie zdolnego do wybaczenia; poniżało go przebywanie

124

w towarzystwie i pod opieką kogoś, komu bycie człowiekiem przychodzi z taką łatwością. Oto ten, który znał najtajniejsze jądro jego zepsucia i nigdy nie wypowiedział słowa nagany pod jego adresem.

Półożąc na łóżku, czując, jak życie powoli wraca do umęczonego ciała, Breer przyglądał się Europejczycy, gdy ten parzył herbatę. Byli bardzo różnymi ludźmi. Breer zawsze czuł respekt przed tym człowiekiem. Lecz czyż Europejczyk nie powiedział mu kiedyś: „Jestem ostatnim z mojego plemienia, tak jak ty jesteś ostatnim z twojego”? Breer nie pojął wówczas znaczenia tych słów, ale z czasem zaczął je rozumieć. „Ja jestem ostatnim prawdziwym Europejczykiem; ty jesteś ostatnim Połykaczem Żyletek. Powinniśmy wspierać się nawzajem”. I Europejczyk tak właśnie postępował, ratując Breera przed aresztowaniem przy dwóch czy trzech okazjach, świętując jego kolejne grzechy, ucząc go, że bycie Połykaczem Żyletek stanowi wartość samą w sobie. W zamian za tę edukację niemal o nic nie prosił: zaledwie kilka drobnych przysług, i tyle. Ale Breer nie był aż tak naiwny, by nie podejrzewać, że nadejdzie czas, gdy Ostatni Europejczyk - proszę, zwracaj się do mnie: panie Mamoulian, zwykł mawiać, ale Breer nigdy nie przyzwyczał się do wypowiedziania tego komicznego nazwiska - gdy ten jego dziwny towarzysz poprosi o pomoc w rewanżu za wyświadczone przysługi. To nie będzie jakieś drobne zlecenie, jedno czy dwa. To będzie coś strasznego. Breer zdawał sobie z tego sprawę. I bał się.

Miał nadzieję, że umierając, uniknie bycia zawezwanym do spłaty długu. Im dłużej przebywał z dala od Mamoulia - minęło sześć lat od czasu, gdy widzieli się po raz ostatni - tym bardziej wspomnienie tamtego człowieka go przerażało. Wizerunek Europejczyka nie wyblakł z czasem, wręcz przeciwnie. Jego oczy, dłonie, nuta czułości w głosie - zawsze pozostawały krystalicznie czyste, podczas gdy wspomnienia wydarzeń poprzedniego dnia zamazywały się w pamięci. Było to tak, jakby Mamoulia nigdy w pełni nie odszedł, jakby zostawił jakiś odprysk samego siebie w mózgu Breera, żeby polerować

125

w nim własny wizerunek, kiedy czas pokryje go patyną, i żeby obserwować każdy krok swego sługi.

Nic dziwnego zatem, że człowiek ten zjawił się wtedy, kiedy się zjawił, przerywając scenę śmierci, zanim jeszcze została zagrana do końca. Nic dziwnego, że rozmawiał teraz z Bree-rem tak, jakby nigdy się nie rozstawali, jakby był kochającym mężem, Breer natomiast pełną oddania żoną, upływ lat zaś nie miał żadnego wpływu na ich uczucia. Połykacz Żyletek obserwował, jak Mamoulia krąży między zlewem a stołem, robiąc herbatę, ustawiając filiżanki, wykonując każdą z tych czynności z hipnotyczną wręcz oszczędnością ruchów. Dług trzeba będzie spłacić, teraz to było pewne. Nie nastanie ciemność, dopóki rachunki nie zostaną wyrównane. Na tę myśl Breer zaczął cicho łkać.

- Nie płacz - powiedział Mamoulia, nie odwracając się od zlewu.
- Chciałem umrzeć - wymamrotał Breer. Słowa zdawały się wychodzić z ust pełnych kamyków.
- Nie możesz jeszcze odejść, Anthony. Jesteś mi coś winien. Czyżbyś tego

nie pojmował?

- Chciałem umrzeć - powtórzył jedynie w odpowiedzi Breer. Próbował nie nienawidzić Europejczyka, bo wiedział, że tamten to zauważy. Wyczuje to na pewno, a wtedy może się zdenerwować. Zatajenie urazy nie było jednak łatwe - aż w nim kipiała pod przykrywką łez.
- Czy życie aż tak źle się z tobą obeszło? - spytał Europejczyk.

Breer pociągnął nosem. Nie potrzebował ojca spowiednika, pragnął ciemności. Czy Mamoulian nie potrafi zrozumieć, że nie istnieją słowa na wyjaśnienie tego, co się z nim, Breerem, dzieje, że nie ma sposobu, by go uleczyć? Był zaledwie gównem na bucie Mongoła, najbardziej bezwartościowym, najbardziej beznadziejnym stworzeniem na ziemi. Wyobrażenie, że jest Połykaczem Żyletek, ostatnim ze straszliwego niegdyś plemienia, podtrzymywało w nim szacunek dla samego siebie przez

126

kilka niebezpiecznych lat, ale fantazja ta już dawno utraciła moc uświęcania jego podłości. Nie dało się wykonać tej samej sztuczki dwa razy. A była to sztuczka, wyłącznie sztuczka, Breer o tym wiedział, i jeszcze bardziej nienawidził Mamouliana za to, że nim manipuluje. Chcę być martwy, to wszystko, co przychodziło mu na myśl.

Czy wypowiedział na głos to ostatnie zdanie? Nie słyszał siebie mówiącego, ale Mamoulian odpowiedział mu tak, jakby słowa doleciały do jego uszu.

- Oczywiście, że chcesz. Rozumiem to. Naprawdę rozumiem. Myślisz, że to wszystko jest złudzeniem: te plemiona, sny o zba
wieniu. Ależ uwierz mi, to nie iluzja. Istnieje cel na tym świecie

cie. Dla nas obu.

Breer przeciągnął wierzchem dłoni po swych zapuchniętych oczach i spróbował zapanować nad łkaniem. Przestał szcząkać zębami; przynajmniej tyle.

- Czy te lata były dla ciebie okrutne? - dopytywał się Europejczyk.
- Tak - odpowiedział Breer ponuro.

Tamten kiwnął głową, spoglądając na Połykacza Żyletek ze współczuciem w oczach; a w każdym razie z czymś, co wyglądało na współczucie.

- Przynajmniej cię nie zamknęli - powiedział. - Byłeś ostrożny.
- Ty mnie tego nauczyłeś - przyznał Breer.
- Pokazałem ci tylko to, co już umiałeś, lecz czego, zbyt onieśmielony przez innych ludzi, nie potrafiłeś w sobie dostrzec. Jeśli nie pamiętasz, mogę pokazać ci jeszcze raz.

Breer spojrział na filiżankę słodkiej herbaty bez mleka, którą Europejczyk postawił na stolyczku przy łóżku.

- A może już mi nie ufasz?
- Sporo się zmieniło - wymamrotał Breer/zdrętwiałymi ustami.

Teraz to Mamoulian westchnął. Usiadł ponownie na krześle i wypił łyk herbaty, nim odpowiedział.

127

- Tak, obawiam się, że masz rację. Jest tu dla nas coraz mniej miejsca. Ale czy to oznacza, że mamy załamać ręce i umrzeć?

Patrząc na jego spokojną, arystokratyczną twarz, na nawiedzone, głęboko

osadzone oczy, Breer zaczął sobie przypominać, dlaczego niegdyś zaufał temu człowiekowi. Strach powoli w nim topniał, tak samo gniew. W powietrzu wyczuwało się spokój i cały organizm Breera nim nasiąkał.

- Wypij herbatę, Anthony.

- Dziękuję.

- A potem, wydaje mi się, powinieneś zmienić spodnie.

Breer zaczerwienił się, nic na to nie mógł poradzić.

- Twoje ciało zareagowało w naturalny sposób, nie ma się czego wstydzić. Sperma i gówno napędzają ten świat.

Europejczyk zaśmiał się łagodnie znad filiżanki i Breer, nie biorąc tego żartu do siebie, zaśmiał się razem z nim.

- Nigdy o tobie nie zapomniałem - oświadczył Mamoulian.

- Powiedziałem, że wrócę po ciebie, i mówiłem to szczerze.

Breer ścisnął filiżankę w swych ciągle drżących dłoniach, jego oczy złowiły spojrzenie Mamouliana. Było równie nieprzeniknione jak to, które pamiętał z dawnych lat, ale teraz czuł sympatię do tego człowieka.

Europejczyk, jak sam powiedział, nigdy o nim nie zapomniał; nie odszedł, by więcej nie powrócić. Może miał swoje powody, by być tu teraz z nim, może przybył, by nakłonić jakiegoś wieloletniego dłużnika do spłaty starych długów, może - ale czyż to nie lepsze od całkowitego zapomnienia?

- Dlaczego przybyłeś? - spytał, odstawiając filiżankę.

- Mam sprawę do załatwienia - odparł Mamoulian. - I potrzebujesz mojej pomocy?

- Zgadza się.

Breer skinął głową. Łzy całkiem przestały płynąć z jego oczu. Herbata

dobrze mu zrobiła; czuł się wystarczająco silny, by zadać jedno czy dwa zuchwałe pytania.

- A co ze mną? - rzekł.

128

Europejczyk zmarszczył czoło. Lampka przy łóżku zamigotała, jak gdyby żarówka przechodziła jakiś kryzys i miała raptem zgasnąć.

- Co z tobą? - powtórzył pytanie Breera.

Połykacz Żyletek miał świadomość, po jak cienkim lodzie stąpa, ale postanowił nie ulec słabości. Jeśli Mamoulian potrzebuje pomocy, z pewnością jest przygotowany na ofiarowanie czegoś w zamian.

- Co ja będę z tego miał? - sprecyzował.
- Możesz do mnie znów dołączyć - odparł Europejczyk. Breer chrząknął. Oferta nie była zbyt kusząca.

• Czy to nie dość? - zdziwił się Mamoulian. Światło lampy było coraz bardziej niespokojne i Breer szybko stracił ochotę na impertynencje.

• Odpowiedz mi, Anthony - nalegał Europejczyk. - Jeśli masz wątpliwości, wyrzuć je z siebie.

Migotanie stało się jeszcze intensywniejsze i Breer zrozumiał, że popełnił błąd, naciskając na Mamouliana w sprawie paktu między nimi. Jak mógł zapomnieć, że Europejczyk nie cierpi wszelkich targów, a także tych, którzy się targują? Machinalnie dotknął bruzdy po sznurze na szyi. Była głęboka i trwała.

-Przepraszam... - powiedział, lecz zabrzmiało to raczej mało przekonująco.

Na moment przed całkowitym zgaśnięciem żarówki zobaczył, jak Mamoulian potrząsa głową. Ledwo zauważalne potrząśnięcie, jak tik nerwowy. Wtedy pokój wypełniła ciemność.

- Czy jesteś po mojej stronie, Anthony? - wymamrotał pytanie Ostatni Europejczyk.

Jego głos, zwykle taki spokojny, był teraz niewiarygodnie zmieniony.

- Tak... - odpowiedział Breer. Jego leniwe oczy nie dostosowały się do ciemności z normalną prędkością. Zmrużył powieki, próbując wyobrazić sobie postać Europejczyka w otaczającym go mroku. Niepotrzebnie się wysiłał. Ułamek sekundy później wydało mu się, że coś zapala się po drugiej stronie pomiesz-

129

czenia, i raptem, w budzący grozę sposób, Europejczyk sam stał się źródłem światła.

Teraz, w tym upiornym pokazie magicznej latarni, który miał zachwiać jego rozsądkiem, Breer zapomniał o herbacie i przeprosinach; zapomniał o ciemności i o samym życiu; nastał bowiem czas - w tym pokoju wypełnionym grozą i płatkami kwiatów - by patrzeć i znów patrzeć, i może jeszcze, gdyby ktoś miał stosowne wyczucie groteski, odmówić krótką modlitwę.

20

Ostatni Europejczyk siedział samotnie w brudnej kawalerce Breera i swoją ulubioną talią kart kładł pasjansa. Połykacz Żyletek przebrał się i

wyszedł zakosztować nocy. Gdyby Ma-moulian odpowiednio się skoncentrował, mógłby za pośrednictwem własnego umysłu posmakować wszystkiego, czego tamten człowiek doświadcza. Ale nie miał ochoty na takie zabawy. Poza tym wiedział aż nadto dobrze, czym Połykacz Żyletek będzie się zajmował, i napełniało go to szczerą odrazą. Wszelka pogoń za przyjemnościami ciała, czy to konwencjonalnymi, czy perwersyjnymi, bulwersowała go, i niechęć ta pogłębiała się z wiekiem. Bywały dni, że nie potrafił patrzeć na ludzkie zwierzę bez uczucia mdłości na widok błędzącego błysku w oku czy różowego języka. Ale Breer mógł się przydać w walce, którą Europejczyk miał niebawem podjąć; jego dziwaczne żądze dawały mu jakieś, choćby powierzchowne, pojęcie o tragedii Mamouliana, i to zrozumienie czyniło zeń współpracownika posłusniejszego od dotychczasowych towarzyszy, których Europejczyk zmuszony był tolerować przez całe swoje długie życie.

Większość mężczyzn i kobiet, w których Mamoulian pokładał zaufanie, zdradziła go. Powtarzało się to często na przestrzeni dekad, aż zrodziło się w nim przekonanie, że pewnego dnia uodporni się całkowicie na ból przez te zdrady powodowany. Ale nigdy nie udało mu się osiągnąć owego cennego stanu zobojętnienia. Okrucieństwo innych ludzi - tych, co posłużyli się nim

bezdusznie - nigdy nie przestało go ranić, i chociaż podawał miłosierną dłoń przeróżnym osobnikom o okaleczonej psychice, niewdzięczność uważał za niewybaczalną. Może, myślał, gdy rozstrzygnie się ta finałowa rozgrywka - gdy odbierze swe wierzytelności w krwi, strachu i mroku nocy - może wtedy wygaśnie ten okrutny impuls, dręczący go we dnie i w nocy, który nie dając nadziei na ukojenie, pcha ku coraz to nowym

ambicjom i zdradom. Może, gdy to wszystko się skończy, będzie mógł położyć się i umrzeć.

Talia, którą trzymał teraz w dłoni, była pornograficzna. Grał nią jedynie wtedy, gdy czuł się silny, i tylko w samotności. Obcowanie ze skrajnie zmysłowymi obrazkami było testem, który narzucił sam sobie, więc gdyby nie przeszedł próby pomyślnie, przynajmniej nie stałoby się to na oczach innych. Dziś plugastwa na kartach stanowiły w końcu tylko przejaw ludzkiego zepsucia. Nawet doceniał ich pomysłowość: przypisanie poszczególnym kolorom różnych sfer aktywności seksualnej, umiejętnie wplecenie oznaczeń kolorów w skomplikowane rysunki. Kiery symbolizowały stosunki męsko-damskie, choć w żadnym razie nieograniczone do pozycji misjonarskiej. Piki wiązały się z seksem oralnym, obrazując proste fellatio i jego bardziej wyszukane odmiany. Trefle to był seks analny: blotki ukazywały homo- lub heteroseksualną sodomię, figury - stosunki analne ze zwierzętami. Kara, ze wszystkich kolorów najdoskonalej narysowane, były sadomasochistyczne, a wyobraźnia artysty nie znała tu granic. Na tych kartach kobiety i mężczyźni cierpieli wszelkiego rodzaju upokorzenia, ich umęczone ciała nosiły rany w kształcie rombu - oznaczenia koloru kart.

Ale najbardziej wulgarnym wizerunkiem w tej talii był dzoker. Przedstawiony jako koprofil, siedział przed talerzem dymiących ekskrementów, a w jego oczach malowała się wielka zachłanność; tymczasem pokryta parchami mała - jej pozbawiona włosów twarz wydawała się przeraźliwie ludzka - wystawiała swój pomarszczony tyłek w stronę widza.

Mamoulian podniósł tę kartę i studiował jej rysunek. Pożądliwe

spojrzenie rozsmakowanego w gównie błazna wywołało

132

gorzki, bardzo gorzki uśmiech na bladych, bezkrwistych wargach Europejczyka. To był z całą pewnością ostateczny portret istoty ludzkiej. Pozostałe karty ze swymi obrazkami miłości i fizycznych rozkoszy tylko oddalały na moment tę okrutną prawdę. Prędzej czy później, bez względu na to, jak dojrzałe byłoby ciało, jak wspaniała twarz, ile obiecywałoby bogactwo, władza czy wiara, prowadzono człowieka do stołu uginającego się pod ciężarem jego własnych odchodów i zmuszano, nawet jeśli instynkt buntował się przeciw temu, do ich zjedzenia.

W tym właśnie celu Ostatni Europejczyk tu przybył. By zmusić pewnego człowieka do zjedzenia gówna.

Rzucił kartę na stół i wydał z siebie szczekliwy śmiech. Wkrótce rozpoczną się takie tortury, takie straszliwe sceny.

Żadna otchłań nie jest dość głęboka. Europejczyk zapewnił o tym pokój, w którym się znajdował; zapewnił filiżanki i karty; cały parszywy świat.

Żadna otchłań nie jest dość głęboka.

IV

Taniec szkieletów

21

Mężczyzna w wagonie metra wymieniał nazwy gwiazdozbiorów.

-Andromeda... Ursa, czyli Niedźwiedzica... Cygnus, czyli Łabędź... -

Przez większość czasu współpasażerowie ignorowali ten jego monolog,

ale gdy paru młodzieńców kazało mu zamknąć jadaczkę, odpowiedział im z uśmiechem, niemal nie zmieniając rytmu i barwy głosu - słowa: „Umrzecie za to” po prostu wśliznęły się między jedną gwiazdę a drugą. Ta odzywka uciszyła intruzów i szalenciec mógł powrócić do swej kontemplacji nieba.

Toy uznał to za dobry znak. Ostatnio bardzo przejmował się znakami, choć tak naprawdę nigdy nie uważał się za przesądnego człowieka. Prawdopodobnie to katolicyzm jego matki - wyznanie, które on sam odrzucił w młodym wieku - w końcu znalazł ujście. Interesowały go nie tyle mity o niepokalanym poczęciu i transsubstancjacji, ile znaczenie codziennych drobnych zdarzeń - unikał przechodzenia pod drabiną i odprawiał na poły zapomniane rytuały nad rozsypaną solą. Wszystko to było całkiem świeże w jego życiu - kwestia zaledwie roku czy dwóch ostatnich lat - i zaczęło się z chwilą, gdy poznał kobietę, na spotkanie z którą teraz jechał: Yvonne. Nie żeby była bogobojną. Nie była. Ale pociesze, jaką wniosła w jego życie, nierozłącznie towarzyszyło ryzyko utraty. To właśnie lęk przed utratą nakazywał Toyowi ostrożnie traktować drabiny i z szacunkiem odnosić się do soli. Teraz, gdy Yvonne

134

była w jego życiu, miał nowy powód, by pozostawać z losem na przyjacielskiej stopie.

Poznał ją sześć lat temu. Pracowała wówczas jako sekretarka w brytyjskiej filii niemieckiego koncernu chemicznego. Energiczna, przystojna kobieta po trzydziestce, której kulturalne obejście, jak się domyślał, skrywało obfite pokłady humoru i ciepła. Podobała mu się od początku, ale jego wrodzone niezdecydowanie w tych sprawach i istotna

różnica wieku między nimi powstrzymywały go przed zabieganiem o jej względy. W końcu to ona przełamała pierwsze lody, komplementując drobne szczegóły w jego wyglądzie - a to nową fryzurę, a to nowy krawat - czyniąc swe zainteresowanie jego osobą czymś całkowicie oczywistym. Odebrawszy te sygnały, Toy zaprosił ją na obiad, a ona zaproszenie przyjęła. To był początek najszczęśliwszych miesięcy w jego życiu.

Nie był nazbyt uczuciowy. To właśnie brak skrajności w jego naturze czynił go użytecznym elementem w otoczeniu Whiteheada. Pielęgnował w sobie tę powściągliwość, bo była dlań dochodową inwestycją, aż sam w końcu uwierzył, jeszcze zanim poznał Yvonne, w prawdziwość takiego wizerunku samego siebie. To Yvonne pierwsza nazwała go zimną rybą; ona też nauczyła go (a była to niełatwa lekcja), jak ważne jest okazywanie słabości, jeśli nawet nie wobec całego świata, to przynajmniej wobec najbliższych osób. Zabrało mu to sporo czasu. Miał pięćdziesiąt trzy lata, gdy się poznali, i ów nowy sposób myślenia uznał zrazu za niezgodny z jego naturą. Ale kobieta była uparta i z czasem lód zaczął topnieć. Gdy już się to dokonało, Toy zdumiał się, jak w ogóle mógł żyć przez te ostatnie dwadzieścia lat; żyć na służbie u człowieka, którego miłosierdzie było rzeczą niewartą wzmianki, a ego rozděło się do monstrualnych rozmiarów. Patrząc oczyma Yvonne, dostrzegał teraz okrucieństwo Whiteheada, jego arogancję, mitomanię. I chociaż miał nadzieję, że na zewnątrz nie okazuje żadnych zmian w nastawieniu do pracodawcy, pod płaszczykiem uległości i pokory wrzała w nim coraz większa niechęć, granicząca z nienawiścią. Dopiero teraz, po sześciu latach, potrafił

zwłaszcza wtedy, gdy znajdował się poza zasięgiem wpływów Yvonne - zdarzało mu się zapominać o najgorszym. Trudno bowiem było, gdy przebywał w rezydencji, posłuszny zachciankom Whiteheada, utrzymać punkt widzenia, który ta kobieta przed nim otwarła, i widzieć w świętym potworze to, czym okazał się w istocie: potwora dalekiego wszak od świętości.

Po roku Yvonne wprowadziła się do Toya, do domu, który Whitehead kupił dla niego w Pimlico, do tego schronienia przed światem korporacji Whiteheada, o które stary nie wypytywał nigdy, do miejsca, w którym on i Yvonne mogli rozmawiać lub wspólnie milczeć; do domu, w którym mógł oddawać się swemu umiłowaniu muzyki Schuberta, a ona mogła pisać listy do rodziny rozrzuconej po niemal połowie globu.

Gdy dotarł do Pimlico tego wieczoru, opowiedział jej o mężczyźnie wyliczającym gwiazdozbiory w wagonie metra. Nie dostrzegła w tej historii żadnego sensu; w ogóle nie potrafiła uznać jej za romantyczną.

- Pomyślałem jedynie, że to dziwne - wyjaśnił.
- Pewnie tak - odparła nieporuszona i wróciła do przygotowywania obiadu.

Ledwie jednak Toy zdążył wypowiedzieć parę słów, przerwała mu:

- Co się dzieje, Bill?
- Czemu miałyby się coś dziać?

- Wszystko w porządku? -Tak.
- Naprawdę?

Zawsze błyskawicznie odkrywała jego sekrety. Poddał się, zanim zaczęła dociekać; nie warto było silić się na wykręty. Pogładził brzег

swego złamanego nosa - typowa dla niego oznaka zdenerwowania.

- Wszystko idzie ku gorszemu. Wszystko... - Jego głos za drżał i ucichł.

136

Szybko stało się jasne, że Toy nie zamierza rozwijać tematu, Yvonne odłożyła więc talerze i podeszła do jego krzesła. Podniósł wzrok, niemal z przestrawieniem, gdy dotknęła jego ucha.

- O czym myślisz? - spytała łagodniejszym niż poprzednio głosem.

Chwycił ją za rękę.

- Może przyjąć czas... niedługo... kiedy spytam cię, czy zechcesz wyjechać razem ze mną - powiedział.
- Wyjechać?
- Tak, wstać i ruszyć w drogę.
- Dokąd?
 - Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym. Po prostu wyjechać. - Urwał i popatrzył na jej palce, splecione teraz z jego palcami. - Wyjechałabyś ze mną? - zapytał w końcu.
- Oczywiście.
- Nie zadając żadnych pytań?
- O co chodzi, Bill?
- Powiedziałem: żadnych pytań.

Przyglądała mu się długo i uważnie: był wyczerpany, biedaczysko. Za dużo czasu spędza z tym starym pierdołą w Oksfordzie. Jakże ona nienawidziła Whiteheada, chociaż nigdy go nie spotkała.

- Tak, jasne, że pojechałabym z tobą - odpowiedziała. Skinął głową. Pomyślała, że Toy zaraz się rozplacze.
- Kiedy? - spytała.

• Nie wiem. - Próbował się uśmiechnąć, ale wypadło to żałośnie. - Może wyjazd nie będzie konieczny. Ale uważam, że wszystko zmierza ku najgorszemu, a jeśli zdarzy się najgorsze, wolałbym, żeby nas tu nie było.

- Zupełnie jakbyś głosił koniec świata.

Nie odpowiedział. Czują, że nie będzie zdolna dalej drażnić go. Był na to za delikatny.

- Czy mogę zadać tylko jedno pytanie? - zaryzykowała. - To dla mnie ważne.

- Jedno.

137

- Czy zrobiłeś coś, Billy? To znaczy, czy zrobiłeś coś nie zgodnego z prawem? Czy to o to chodzi?

Jego jabłko Adama podskoczyło, gdy przełykał swój smutek. Było jeszcze tyle rzeczy, których powinna go nauczyć; powiedzieć o wyrzucaniu z siebie tych uczuć. Pragnął tego - widziała tak wielki zamęt w jego oczach. Ale na razie wszystko to musiało w nim pozostać. Doskonale rozumiała, że nie należy naciskać. Wycofałby się jedynie. A przecież on bardziej potrzebował jej nienatarczywej obecności niż ona jego odpowiedzi.

- W porządku - powiedziała - nie musisz mi mówić, jeśli nie chcesz.

Jego dłoń splotła się z jej dłonią tak ciasno, jakby, pomyślała Yvonne, nie miały się nigdy rozpleść.

- Och, Billy. Nic nie jest aż tak straszne - szepnęła.

I znowu nie usłyszała odpowiedzi.

22

Wszystko na starych śmieciach wyglądało tak, jak Marty zapamiętał, ale czuł się tu teraz niczym duch. W zapuszczonych pasażach na tyłach domów, gdzie niegdyś walczył i biegał jako mały chłopiec, pojawili się teraz nowi wojownicy, a ich zabawy były, podejrzewał, o wiele poważniejsze. To byli wążacze kleju, niechlujne dziesięciolatki, tak przynajmniej opisywały sprawę niedzielne popołudniówki. Wyrosną, pozbawieni prawa głosu, na ćpunów i lekomanów; nie dbali o nic i o nikogo, najmniej o siebie samych.

On kiedyś też był, rzecz jasna, młodocianym kryminalistą. Złodziejstwo było tu rytuałem przejścia. Ale zwykle był to ten gnuśny, niemal pasywny rodzaj złodziejstwa: podkradanie się do czegoś i ucieczka, na nogach lub samochodem. Jeśli kradzież wydawała się problematyczna, rezygnowano z niej. Istniało mnóstwo innych kuszących rzeczy do podwędzenia. Nie było to przestępstwo w takim znaczeniu tego słowa, jakie poznał później. Po prostu instynkt sroki w działaniu: skorzystać z każdej okazji, jaka się nadarzy, bez zamiaru wyrządzenia komuś wielkiej krzywdy, albo odpuścić, jeśli sprawy nie układają się po twojej myśli.

Lecz te dzieciaki - kilkoro z nich sterczało na rogu Knox Street - zdawały się należeć do całkiem odmiennej rasy. Chociaż zarówno on, jak i

one dorastali w tym samym pozbawionym blasku otoczeniu, z jego żałosnymi, uschniętymi drzewkami, drutem kolczastym i murami, których szczyty posypano odłam-

139

kami szkła, z wszędobylskim, bezlitosnym betonem, chociaż łączyło go z nimi to wszystko, wiedział, że nie mają sobie nic do powiedzenia. Ich desperacja i apatia odstraszały go; czuł, że tamci nie cofną się przed niczym. To nie było dobre miejsce na dorastanie, ta ulica ani żadna inna w tej okolicy. Poniekąd cieszył się, że jego matka zmarła, nim nastąpiły te najgorsze zmiany, które przepoczwarzyły dzielnicę.

Dotarł do domu pod numerem dwadzieścia sześć. Budynek został odmalowany od zewnątrz. Kiedyś podczas odwiedzin Charmaine oznajmiła mu, że Terry, jeden z jej szwagrów, odnowił dom kilka lat temu, ale Marty zapomniał o tym i teraz zmiana koloru, po tylu latach wyobrażania sobie tych ścian w zieleni i bieli, była jak cios w twarz. To była źle wykonana robota, czysto kosmetyczny zabieg, i farba na parapetach okiennych zaczęła już łuszczyć się i odpryskiwać. Znienawidzone przez Marty'ego koronkowe firanki w oknie zostały wymienione na roletę, teraz opuszczoną. Na wewnętrznym parapecie okna stała kolekcja pokrytych kurzem porcelanowych figurek, prezentów ślubnych, zamkniętych w zapomnianej przestrzeni pomiędzy roletą i szybą.

Wciąż miał swoje klucze, ale nie potrafił zmusić się do ich użycia. Poza tym Charmaine najprawdopodobniej zmieniła zamki. Nacisnął więc przycisk dzwonka. Nie usłyszał dzwonienia, a pamiętał, że było słyszalne z ulicy, dzwonek widocznie już nie działał. Zastukał kłykciami w drzwi.

Przez pół minuty nie było słychać żadnego odgłosu z wewnątrz. W

końcu dobiegło szuranie kroków (pewnie ma na nogach klapki, domyślił się, i stąd ten nierówny krok) i w drzwiach stanęła Charmaine. Nie miała makijażu i nagość jej twarzy uczyniła reakcję na widok stojącego w progu Marty'ego szalenie wyrazistą. Charmaine była niemile zaskoczona.

- Marty. - To wszystko, co zdołała powiedzieć. Żadnego zapraszającego uśmiechu, żadnych łez.
- Wszedłem na przepustkę - zaczął, siląc się na nonszalancki ton. Było jednak oczywiste od chwili, gdy go ujrzała, że przychodząc tutaj, popełnił taktyczny błąd.

140

- Myślałam, że nie wolno ci wychodzić... - odrzekła, po czym zaraz sprostowała: - ...to znaczy, wiesz, myślałam, że nie możesz opuszczać posiadłości.
- Poprosiłem o specjalne zwolnienie - wyjaśnił. - Mogę wejść czy będziemy rozmawiać w progu?
- Och... o tak. Oczywiście. Wejdz, proszę.

Wszedł do środka, a ona zamknęła za nim drzwi. W wąskim korytarzu poczuli niezręczność całej tej sytuacji. Ich wzajemna bliskość narzucała uścisk, on jednak nie czuł się na siłach, a ona nie chciała wykonać tego gestu. Poprzestała na jawnie sztucznym uśmiechu, po którym nastąpił lekki pocałunek w policzek.

- Przepraszam - powiedziała, nie przepraszając za nic konkretnego. Poprowadziła go korytarzem do kuchni. - Po prostu nie spodziewałam się ciebie, to wszystko. Wejdz. Straszny tu bałagan, niestety.

Pachniało stęchlizną; dom z pewnością potrzebował porządnego

przewietrzenia. Pranie, susząc się na kaloryferach, wytwarzało duszną atmosferę, jak w saunie w Sanktuarium.

- Usiądź - zaprosiła, zabierając z jednego z kuchennych krzeseł torbę z zakupami spożywczymi. - Tylko to skończę. - Na kuchennym stole, czystym jak zawsze, leżała kolejna sterta przygotowanych do prania brudnych ubrań, które Charmaine zaczęła teraz ładować do pralki; mówiła przy tym nerwowo, a jej wzrok nigdy nie natrafił na jego oczy - tak bardzo skoncentrowana była na swoim zajęciu. Ręczniki, bielizna, bluzki. Marty nie rozpoznawał tych ubrań i po chwili przyłapał się na przeglądaniu brudnej odzieży w poszukiwaniu czegoś, co widział już wcześniej. Jeśli nie siedem lat temu, to przynajmniej podczas odwiedzin w więzieniu. Jednak wszystko to były nowe rzeczy.
- Po prostu nie spodziewałam się ciebie - powtórzyła, zamykając pralkę i wsypując do niej proszek. - Była pewna, że wpierw zadzwonisz. I spójrz tylko na mnie; wyglądam jak zmokła mysz. Boże, i przyszedłeś akurat dzisiaj, gdy mam tyle roboty... - Skończyła z pralką i podwinęła rękawy swetra.

141

- Kawy? - spytała i nie czekając na odpowiedź, chwyciła czajnik. - Dobrze wyglądasz, Marty, naprawdę nieźle.

Skąd wiedziała? Przecież ledwie zerknęła na niego dwa razy podczas tej krzątaniny. Tymczasem on nie mógł oderwać od niej oczu. Siedział i patrzył na nią, gdy stojąc przy zlewie, wykręcała ścierkę, by przetrzeć blat kuchenny. I nic się nie zmieniło przez te siedem lat - naprawdę nic - może tylko te kilka linii na ich twarzach. Poczuli coś na kształt paniki; coś, co musiał zdusić w sobie w obawie, by nie wyjść na głupca.

Zrobiła kawę dla niego; mówiła o tym, jak zmieniła się dzielnica; o Terry i całej historii z wybieraniem koloru na front domu; o tym, ile kosztuje dojazd metrem z Mile End do Wandsworth; o tym, jak on świetnie wygląda: - „Naprawdę świetnie, Marty. Nie mówię tego tylko tak”, opowiadała o wszystkim i o niczym. Ale to nie była prawdziwa Charmaine, i to go bolało. Ją też bolało, Marty wiedział o tym. Markowała rozmowę, by zyskać na czasie, to o to chodziło, wypełniała minuty cczą gadaniną, aż on, zrozpaczony, podda się i pójdzie sobie.

- Słuchaj - powiedziała. - Naprawdę muszę się przebrać.

- Wychodzisz?

-Tak.

-Och...

•...gdybyś mnie uprzedził, Marty, zarezerwowałabym sobie czas.

Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

•Może moglibyśmy wyjść kiedyś razem coś zjeść? - zasugerował.

•Może.

Okrutnie wymijająca odpowiedź.

- .. .to dla mnie bardzo nerwowy czas.

- Chciałbym móc porozmawiać. Wiesz, tak poważnie.

Zaczynała się irytować; znał te oznaki aż nadto dobrze, a ona była świadoma, że ją bacznie obserwuje. Zabrała kubki po kawie i wstawiła do zlewu.

- Naprawdę muszę pędzić - powiedziała. - Zrób sobie jeszcze kawy, jeśli chcesz. Wszystko jest w... zresztą wiesz, gdzie co jest. Zostało tu mnóstwo twoich rzeczy. Czasopisma moto-

cyklowe i różne takie. Uporządkowałam je dla ciebie. A teraz wybacz. Muszę się przebrać.

Pośpieszyła - pognała, pomyślała, jakby się paliło - do przedpokoju, a stamtąd schodami na górę. Słysząc było, jak chodzi po piętze. Nigdy nie miała lekkich kroków. Po chwili Marty usłyszała szum leżącej się w łazience wody. Odgłos splukiwania toalety. Przeszedł przez kuchnię do tylnego pokoju. Pachniało starymi papierosami, a popielniczka balansująca na poręczu sofy była wypełniona po brzegi. Stał w przejściu i gapił się na przedmioty, tak jak przedtem na brudne rzeczy do prania -szukając czegoś znajomego. Było tego bardzo niewiele. Zegar ścienny, ich ślubny prezent, wisiał wciąż na swoim miejscu. Sprzęt stereo w kącie pokoju był nowy - błyszczący model, prawdopodobnie zdobyty gdzieś przez Terry'ego. Sądząc po kurzu na pokrywie, nie używano go zbyt często, a kolekcja płyt opartych w przypadkowej kolejności o jego bok była skromna jak zawsze. Czy wśród tych płyt nadal był album z Buddym Hollym śpiewającym „True Love Ways”? Puszczała tę płytę tak często, że teraz musiała być zdarta do cna. Tańczyli do tej muzyki w tymże pokoju - właściwie nie tańczyli, tylko używali muzyki jako pretekstu, by się przytulać, jak gdyby w ogóle potrzebowali do tego jakiegoś pretekstu. To była jedna z tych miłosnych piosenek, które czyniły go równocześnie sentymentalnym i nieszczęśliwym - każda fraza obarczona utratą miłości, którą celebrowała. Najlepsze piosenki miłosne i najprawdziwsze.

Nie mogąc znieść dłużej przebywania w tym pokoju, wszedł na górę.

Charmaine wciąż była w łazience. Drzwi nie miały zamka; kiedyś jako małe dziecko zatrzasnęła się w toalecie i do tego stopnia lękała się powtórki tamtej sytuacji, że upierała się, by nie było żadnych zamków w

drzwiach wewnątrz domu. Siedząc na sedesie, trzeba było gwizdać, by nikt nie wszedł nieproszony. Marty pchnął drzwi. Charmaine miała na sobie tylko majtki; uniosła ramię i goliła się pod pachą. Pochwyciła jego spojrzenie w lustrze i wróciła do swojego zajęcia.

143

- Nie miałam ochoty na więcej kawy - próbował niezdarnych wyjaśnień.
- Przyzwyczyłaś się do drogich gatunków, co?

Jej ciało znajdowało się kilka stóp od niego; czuł jego przyciąganie. Znał każdy pieprzyk na jej plecach, wiedział, gdzie trzeba jej dotknąć, by wybuchnęła śmiechem. Czuł, że ta wiedza daje mu jakieś prawo własności do niej; ona miałaby prawo do niego z tych samych powodów, gdyby tylko zechciała je egzekwować. Zbliżył się do Charmaine i dotknął opuszkami palców jej krzyża, po czym przejechał nimi w górę po kręgosłupie.

- Charmaine.

Popatrzyła ponownie na odbicie Marty'ego w lustrze, po raz pierwszy nie unikając jego wzroku, odkąd zjawił się dziś w domu, a on wiedział już, że wszelka nadzieja na jakąkolwiek intymność między nimi jest przegraną sprawą. Nie pragnęła go; a jeśli nawet pragnęła, nie miała zamiaru się do tego przyznać.

- Nie jestem już twoja, Marty - oznajmiła bez ogródek.
- Nadal jesteśmy małżeństwem.
- Nie chcę, żebyś został. Przepraszani.

Od tego rozpoczęła to spotkanie, od słowa „przepraszam”. Teraz chciała zakończyć je w taki sam sposób; nie było w tym żadnych szczerych przeprosin, po prostu uprzejme odprawienie go z kwitkiem.

- Często o tym myślałem - powiedział.

- Ja też - odparła. - Ale przestałam myśleć pięć lat temu. Nie wyniknęłoby z tego nic dobrego; wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Jego palce spoczywały teraz na jej ramieniu. Był pewien, że jest jakieś iskrzenie w tym ich kontakcie, jakieś wibracje pomiędzy jej i jego ciałem. Charmaine stwardniały sutki - może od przeciągu z korytarza, może od dotyku Marty'ego.

- Chciałabym, żebyś już poszedł - powiedziała bardzo cicho, patrząc w dół na umywalkę. Było jakieś drzenie w jej głosie, które mogło prowadzić do łez. Chciał jej łez, jakkolwiek za wstydzające to było. Gdyby zapłakała, pocałowałby ją na pocieszenie, a jego pocieszenie tężałoby, w miarę jak ona stawałaby

144

się łagodniejsza, i niebawem znaleźliby się w łóżku; wiedział, że tak by się stało. To dlatego tak usilnie walczyła, by nic nie okazać; знаła ten scenariusz równie dobrze jak on i postanowiła zdecydowanie zamknąć się na uczucia Marty'ego.

- Proszę - powiedziała z niepodlegającą dyskusji stanowczością.

Jego dłoń opadła z jej ramienia. Nie było żadnej iskry między nimi; to wszystko działo się wyłącznie w jego wyobraźni. Stara historia.

- Może innym razem - wycedził te wyświechtane słowa, jakby nasączone były trucizną.

- Tak - zgodziła się zadowolona, że wreszcie w jej głosie ma okazję zabrzmieć, niechby i niepewna, nuta pojednania. -Ale wpierw zadzwoń.

- Nie musisz mnie odprowadzać. Znam drogę.

23

Włóczył się po okolicy przez godzinę, omijając gromady wracających ze szkoły dzieci, szukających po drodze okazji do bójki lub zwyczajnie dłubiących w nosie. Nawet tu, w tej dzielnicy, widać było oznaki wiosny. Natura niespecjalnie mogła pozwolić sobie na szczodrość w tak trudnych warunkach, ale robiła, co mogła. W malutkich ogródkach przed domami i w skrzynkach okiennych zakwitały kwiaty; te parę drzewek, których nie zdążono zniszczyć, wypuszczało z wdziękiem zielone listki. Jeśli przetrwają jeszcze kilka sezonów mrozu i wandalizmu, może urosną dość duże, by ptaki zaczęły w ich koronach wic gniazda. Nic egzotycznego - zadziorne szpaki w najlepszym wypadku. Ale drzewa mogłyby też zaoferować cień w upalne lato lub konar, na którym przysiadłby księżyc, gdyby ktoś wyjrzał nocą przez okno sypialni. Marty przyłapał się na takich niestosownych myślach - księżyc, szpaki - jak u zakochanego po raz pierwszy nastolatka. Wizyta w tym miejscu była błędem; okrucieństwem wymierzonym samemu sobie, lecz raniącym przy okazji Charmaine. Co za sens jednak teraz wracać i przeproszać: to by tylko pogorszyło sprawę. Zadzwoń do niej, tak jak zasugerowała, i zaprosi ją na pożegnalny obiad. Powie jej wówczas, bez względu na to, czy to prawda, czy nie, że gotów jest na ostateczne rozstanie i że ma nadzieję widywać ją od czasu do czasu, po czym pożegnają się w cywilizowany sposób, bez wrogości; ona wróci do swojego życia, które sobie właśnie urządza, a on wróci do swojego. Do Whiteheada, do Carys. Tak, do Carys.

I nagle łzy napłynęły mu do oczu, gwałtownie, rozrywając go na strzępy; stał zaślepiony łzami na środku ulicy, której nie rozpoznawał. Dzieci wracające ze szkoły trącały go, biegnąc, niektóre z nich odwracały się i widząc jego udrękę, wykrzykiwały wulgarne słowa pod jego adresem. To żalosne, powiedział sam do siebie, jednak żadna ilość wyzwisk nie była w stanie powstrzymać potoku łez. Przeszedł więc, z ręką przy twarzy, do bocznej alejki i został tam, dopóki nie minął atak płaczu. Jakaś część jego ja pozostała nieporuszona tym wybuchem emocji. Spoglądała - ta niedotknięta część - na łkającą resztę i kręciła głową z pogardą dla słabości i pomieszania. Marty nie znosił patrzeć na płaczących mężczyzn, zawstydzalo go to; ale faktom nie mógł zaprzeczyć. Czuł się zagubiony, to wszystko; zagubiony i przestraszony. Nad tym warto było zapłakać.

Gdy ustał płacz, Marty'emu trochę ulżyło, ale nadal był roztrzęsiony. Otarł twarz i pozostał w cieniu alejki, aż w pełni odzyskał panowanie nad sobą.

Była czwarta czterdzieści. Już wcześniej złożył wizytę w Holborn i odebrał truskawki. To było jego najpierwszym obowiązkiem po przyjeździe do miasta. Teraz, skoro załatwił tamtą sprawę i skoro odwiedził Charmaine, reszta wieczoru rozpościerała się przed nim, czekając tylko, by dostarczyć mu przyjemności. Ale Marty zdążył stracić większość entuzjazmu dla nocnych przygód. Wkrótce zostaną otwarte puby, mógłby więc wlać w siebie kilka szklaneczek whisky. To pomoże mu pozbyć się skurczów żołądka. Może przywróci mu też apetyt na nocne atrakcje, choć w to akurat wątpił.

Aby wypełnić czymś czas do otwarcia lokali, przeszedł się do pasażu handlowego. Otwarto go dwa lata przed jego wyrokiem - bezduszny, wyłożony białymi płytkami labirynt z plastikowymi palmami i szpanerskimi, ekskluzywnymi sklepami. Obecnie, w niespełna dekadę od otwarcia, nadawał się do rozbiórki. Ściany pokryte bliznami graffiti, przejścia podziemne i klatki schodowe lepkie od brudu, wiele sklepów zamkniętych na dobre, inne do tego stopnia pozbawione wszelkiej atrakcyj-

147

ności i klientów, że jedynym chyba wyjściem dla właścicieli było podpalić je któreś nocy, zgarnąć ubezpieczenie i uciekać, gdzie pieprz rośnie. Marty odnalazł trafikę prowadzoną przez jakiegoś samotnego Pakistańczyka, kupił paczkę papierosów i skierował się do pubu „Zaćmienie”.

Dopiero co otwarli i lokal był niemal pusty. Kilku skinheadów grało w rzutki, a w sąsiedniej salce ktoś obchodził urodziny: chór fałszujących głosów wyśpiewywał urodzinową piosenkę dla niejakiej Maureen. Telewizor nastawiono na popołudniowe wiadomości, ale nie można było wiele zrozumieć poprzez śpiewy bawiącego się za ścianą towarzystwa; zresztą te informacje i tak Marty'ego zbytnio nie interesowały. Wziął whisky z baru, usiadł przy stoliku i napoczął świeżo zakupioną paczkę papierosów. Czuł się wypompowany. Alkohol, zamiast zapalić w nim ożywczą iskrę, sprawił jedynie, że ręce i nogi wydawały mu się jeszcze cięższe.

Pozwolił myślom dryfować. Gra swobodnych skojarzeń połączyła obrazy w szczególne zestawienia. Carys, on i Buddy Holly. Piosenka „True Love Ways” rozbrzmiewająca w gołębniku; on tańczący z dziewczyną w

chłodnym porannym powietrzu.

Gdy otrząsnął się z tych wizji, przy barze ujrzał nowych klientów; grupa młodych ludzi, głównie rycząc ze śmiechu, robiła dość hałasu, by zagłuszyć zarówno telewizor, jak i urodzinowe przyjęcie. Jeden z nich był z całą pewnością duszą towarzystwa - patykowaty osobnik, o stawach jak z gumy i uśmiechu wystarczająco szerokim, by na zębach zagrać balladę Chopina. Kilka sekund minęło, zanim Marty uświadomił sobie, że zna tego klauna: to Flynn. Ze wszystkich ludzi, których spodziewałby się spotkać w tym przybytku, Flynn, był chyba ostatni. Marty już wstawał od stołu, gdy spoczął na nim - niemal magicznym zbiegiem okoliczności - przeczesujący pomieszczenie wzrok Flynn. Marty zamarł w bezruchu jak aktor, który zapomniał następnej kwestii i nie może ani iść dalej, ani się wycofać. Nie był pewien, czy jest przygotowany na dawkę Flynn. Lecz wtedy twarz dowcipnisa rozjaśniła się - rozpoznał Marty'ego, zrobiło się za późno na ucieczkę.

148

- Chryste jebany! - wyrzucił z siebie Flynn. Uśmiech znikł z jego twarzy, zastąpiony na moment przez wyraz totalnego zaskoczenia, po czym wrócił -jeszcze bardziej promienny niż zwykle. - Patrzcie tylko, kto tu jest - i już podchodził do Marty'ego z szeroko otwartymi na powitanie ramionami i w najkrzykliw-szej koszuli, jaką stworzyła ręka ludzka, wyłaniającej się spod dobrze skrojonej marynarki.

- Do kurwy nędzy. Marty! Marty!

Coś jakby objęli się, coś jakby uścisnęli sobie dłonie. To było trudne spotkanie po latach, ale Flynn zagłuszał wątpliwości ze skutecznością dobrego komiwojażera.

- Coś podobnego. Co za spotkanie. Co za spotkanie!
- Cześć, Flynn.

Marty czuł się niby ubogi krewny przy tej maszynie do produkowania nieustannej radości, pełnej dowcipów i barw. Uśmiech już nieusuwalnie zadomowił się na twarzy Flynn, gdy ten prowadził Marty'ego do baru, by przedstawić go swojej publiczności (Marty zapamiętał połowę imion, ale nie potrafiłby żadnemu przypisać konkretnej twarzy), a następnie postawić wszystkim po podwójnej brandy z okazji powrotu kumpla.

- Nie wiedziałem, że tak szybko wyjdiesz - powiedział Flynn, wznosząc toast za swą ofiarę. - Wypijmy za wcześniejsze zwolnienia za dobre sprawowanie.

Reszta towarzystwa nie czyniła żadnych starań, by przerwać potoczystą przemowę mistrza, i zamiast tego zajęła się prowadzeniem rozmów między sobą, pozostawiając Marty'ego na łasce i niełasce Flynn. Ten bardzo niewiele się zmienił. Jego styl był teraz oczywiście inny - Flynn zawsze ubierał się zgodnie z wymogami najświeższej mody; zaczął też tracić włosy, zakola zrobiły mu się już całkiem znaczne; ale poza tym był tym samym dowcipnikiem i nabieraczem co zawsze i właśnie w tej chwili prezentował Marty'emu skrzącą się kolekcję czczych wymysłów. O jego zaangażowaniu w przemysł muzyczny, kontaktach w Los Angeles, planach otwarcia studia nagraniowego w dzielnicy.

149

- Dużo myślałem o tobie - powiedział. - Ciekaw byłem, jak sobie dajesz radę. Zamierzałem cię odwiedzić, ale pomyślałem, że nie byłbyś tym zachwycony. - Co do tego nie mylił się. - Poza tym, wiesz, rzadko tu bywam. Więc gadaj, chłopie, co robisz na starych śmieciach?

- Przyszedłem zobaczyć się z Charmaine.
 - Ach tak. - Flynn zrobił taką minę, jakby z trudem przypominał sobie, o kim mowa. - W porządku u niej?
- Jakoś leci. Tobie, jak widzę, powodzi się nieźle.
 - Miałem swoje kłopoty, wiesz, ale kto ich nie ma? Teraz już sprawy poszły do przodu, no wiesz. - Zniżył głos, tak że stał się prawie niesłyszalny. - Duży szmal jest teraz w dragach. Nie chodzi o trawę, tylko twardy towar. Zajmuję się głównie kokainą; czasem herą. Nie podoba mi się to zbytnio... ale, rozumiesz, mam kosztowne zachcianki. - Przybrał wyraz twarzy spod znaku: „Cóż to za cholerny świat” i odwrócił się w stronę baru, by zamówić kolejne drinki, po czym wiódł dalej nieprzerwany korowód samouwiebienia i bezbarwnych uwag. Pomimo początkowych oporów Marty po chwili zaczął temu ulegać. Fala inwencji tamtego była nie do odparcia, jak zawsze; tylko od czasu do czasu przerywał monolog, by zadać pytanie swemu audytorium. To odpowiadało Marty'emu. Niewiele miał rzeczy, o których chciałby opowiadać. Tak zresztą układało się zawsze. Flynn był niegrzecznym chłopcem, żywym i beztroskim, Marty tym cichym, pełnym wątpliwości. Uzupełniali się wzajemnie. Przez samo przebywanie w towarzystwie Flynnna Marty czuł się wyrazistszy. Wieczór mijał bardzo szybko. Różni ludzie przyłączali się do Flynnna, pili z nim i odchodzili, rozbawieni przez nadwornego błazna. Wśród tłumu pijących były osoby, które Marty znał, więc nastąpiło kilka niewygodnych spotkań, ale poszło łatwiej, niż się spodziewał - wszystko w porę łagodziła jowialność Flynnna. Około dziesiątej piętnaście Flynn wymknął się na kwadrans („Po prostu muszę załatwić mały interes”), wrócił ze zwitkiem pieniędzy w wewnętrznej kieszeni marynarki i zaraz zaczął je wydawać.

- Wszystko, czego ci trzeba - zwrócił się do Marty'ego, gdy obaj byli już wstawieni - wszystko, czego ci trzeba, to dobra kobieta. Nie - zachichotał - nie, nie, nie. Wszystko, czego ci trzeba, to zła kobieta.

Marty przytaknął; czuł, że jego głowa nie trzyma się zbyt pewnie na szyi.

- Trafiłeś w sedno - odparł.
- Znajdźmy więc sobie kobietę, co? Zrobimy to?
- Pasuje mi.
- Chodzi o to, że potrzebujesz towarzystwa, chłopie, i ja też potrzebuję towarzystwa. Trochę w tym robię na boku, rozumiesz. Mam kilka lasek do wzięcia. Załatwię coś dla ciebie.

Marty był zbyt pijany, by się kłócić. Poza tym kobieta - uwiedziona czy kupiona, co za różnica, do cholery? - była najlepszym pomysłem, jaki usłyszał od dłuższego czasu. Flynn odszedł na chwilę, wykonał telefon i wrócił, chytrze łypiąc okiem.

- Załatwione - oznajmił. - To żaden kłopot. Jeszcze po jednym i spadamy stąd.

Marty potulnie jak baranek podążył za jego wskazaniem. Wypili jeszcze po jednej szklaneczce i wytoczyli się z „Zaćmienia”. Wsiedli do zaparkowanego za rogiem samochodu Flynn'a - starego volva, które swoje najlepsze dni miało dawno za sobą. Po pięciu minutach jazdy dotarli do domu na przedmieściach. Drzwi otworzyła przystojna czarna kobieta.

- Ursula, to jest mój przyjaciel Marty. Marty, przywitaj się z Ursulą.
- Cześć, Ursula.

•Gdzie masz szklanki, kochanie? Tatuś kupił flaszkę.

Wypili jeszcze trochę, następnie udali się do pokoju na piętrze; dopiero wtedy Marty zorientował się, że Flynn nie ma zamiaru sobie pójść.

Zaplanował *menage a trois*, jak za dawnych dobrych czasów. Początkowe zakłopotanie znikło, gdy tylko dziewczyna zaczęła się dla nich rozbierać.

Alkohol stępił opory, Marty usiadł więc na łóżku i dopingował Ursulę podczas striptizu, świadom, że Flynna w równym stopniu bawi jego

151

nieskrywane pożądanie, co sama dziewczyna. Niech sobie patrzy, pomyślał Marty, to w końcu jego impreza.

W niewielkiej, słabo oświetlonej sypialni ciało Ursuli wyglądało jak wyrzeźbione w czarnym maśle. Pomiędzy pełnymi piersiami lśnił mały złoty krzyżyk. Lśniła też jej skóra. Każdy por zaznaczony był punkcikiem potu. Flynn także zaczął się rozbierać, Marty poszedł więc za jego przykładem, potykając się przy ściąganiu dżinsów, bo nie chciał ani na moment stracić z oczu dziewczyny, gdy ta usiadła na łóżku i wsunęła sobie rękę między uda.

To, co nastąpiło, było przyśpieszoną reedukacją w seksualnym rzemiośle. Marty, jak pływak wrzucony do wody po latach przerwy, wkrótce przypomniał sobie podstawowe ruchy. W ciągu następnych dwóch godzin garściami zbiera! wspomnienia: widok Flynna w nogach łóżka, ssącego palce u stóp Ursuli; Ursula gruchająca niczym czarna gołębica nad jego wzwiedzionym członkiem, zanim połknęła go aż po nasadę; Flynn liżący mu dłonie i uśmiechający się, uśmiechający się i liżący. I w końcu obaj dzielący się Ursulą, Flynn zatopiony w jej tyłku,

wprowadzający w życie to, co jako jedenastolatek twierdził, że robi się z kobietą.

Później zasnęli wszyscy troje. Gdzieś w środku nocy Marty obudził się i ujrzał Flynna ubierającego się i wymykającego cichcem z sypialni. Pewnie do domu; gdziekolwiek w te dni i te noce był jego dom.

24

Obudził się tuż przed świtem i przez kilka sekund nie wiedział, gdzie się znajduje; dopiero po chwili usłyszał równy oddech śpiącej obok Ursuli. Nie budząc jej, powiedział „do widzenia”, po czym znalazł taksówkę, która zawiozła go do jego auta. W Sanktuarium był o ósmej trzydzieści. Dobrze znał zegar swego ciała - wiedział, że prędzej czy później zmęczenie go dopadnie, razem z kacem, ale ma jeszcze kilka godzin odroczenia wyroku, nim nastąpi pora zapłaty za szaleństwa ubiegłej nocy.

Pearl była w kuchni, sprzątała po śniadaniu. Wymienili kilka żartobliwych uwag, po czym Marty usiadł i wypił, jeden po drugim, trzy kubki kawy. W ustach miał przykry smak, a perfumy Ursuli, wciąż obecne na jego dłoniach i włosach, choć ubiegłej nocy pachniały jak ambrozja, teraz wydały mu się stanowczo zbyt słodkie.

- Miło spędziłeś noc? - spytała Pearl. Przytaknął bez słowa. - Lepiej wrzuć w siebie porządne śniadanie; nie będę mogła zrobić ci dzisiaj nic na lunch.
- Dlaczego?
- Będę zbyt zajęta przygotowywaniem wieczornego bankietu.
- Jakiego bankietu?

- Bill ci powie. Chce się z tobą zobaczyć. Jest w bibliotece.

Toy wyglądał na wyczerpanego, ale już nie sprawiał wrażenia tak schorowanego jak poprzednim razem. Może od tamtego czasu złożył wizytę lekarzowi albo wziął urlop.

153

- Chciał pan ze mną rozmawiać?
- Tak, Marty, tak. Zadowolony z nocy w mieście?
- Bardzo. Dziękuję, że mi pan to umożliwił.
 - To nie moja zasługa; to był pomysł Joego. Jesteś tu lubiany, Marty. Lillian mówiła mi, że nawet psy się do ciebie przywiązały.
- Toy podszedł do stołu, otworzył pudełko z papierosami i wybrał jednego. Marty nigdy wcześniej nie widział go z papierosem.
 - Nie zobaczysz się dzisiaj z panem Whiteheadem; wieczorem będzie tu małe spotkanie...
- Tak, Pearl wspomniała o tym.
 - Nic specjalnego. Pan Whitehead urządza takie obiady dla wybranych osób od czasu do czasu. Rzecz w tym, że pragnie, by były to ściśle prywatne spotkania, nie będziesz więc potrzebny.
- Ta wiadomość uradowała Marty'ego. Przynajmniej będzie mógł się położyć i złapać trochę snu.
 - Oczywiście, chcemy, byś przebywał w budynku, na wypadek gdybyś był z jakiegoś powodu potrzebny, ale to raczej mało prawdopodobne.
- Dziękuję panu.
 - Sądzę, że możesz mówić mi Bill, gdy jesteśmy sami, Marty; nie widzę sensu pozostawać dłużej na formalnej stopie.

- Dobrze.

- To znaczy... - przerwał, by zapalić papierosa - ...wszyscy tu jesteście na służbie, czyż nie? W taki czy inny sposób.

Zanim wziął prysznic, przyszło mu na myśl, by pójść pobiegać, ale odrzucił ten pomysł jako masochistyczny. Potem położył się i uciął sobie drzemkę, gdyż pojawiły się pierwsze oznaki nieuchronnego kaca. Nie było na to lekarstwa, w każdym razie on go nie znał. Jedynym więc sposobem na kaca było odespać go.

Spał nieprzerwanie aż do popołudnia i dopiero wtedy głód zmusił go do wstania z łóżka. W całym domu nie było słyhać

154

żadnego dźwięku. Kuchnię na dole zastał pustą, tylko mucha - pierwsza, jaką Marty zauważył w tym sezonie - brzęczała za szybą. Zapewne Pearl skończyła przygotowania do wieczornego przyjęcia i wyszła, być może wróci jeszcze później. Podszedł do lodówki i poszperał w niej, szukając czegoś, co uciszyłoby jego burczący żołądek. Kanapka, którą sobie przyrządził, wyglądała jak źle pościelone łóżko, z prześcieradłami szynki wylażącymi spod koców chleba, ale dobrze mu zrobiła. Nastawił ekspres do kawy i poszedł poszukać kogoś do towarzystwa.

Wyglądało tak, jakby wszyscy zniknęli z powierzchni ziemi. Wędrując korytarzami opustoszałego domu, dał się pochłonać czarnej dziurze popołudnia. Cisza i resztki bólu głowy spiskowały, by wprowadzić go w niepokój. Przyłapał się na spoglądaniu raz po raz za siebie, jak człowiek na słabo oświetlonej ulicy. Na piętrze zdawało się jeszcze ciszej niż na parterze; jego kroki były tak wytłumione przez dywany, iż miał wrażenie,

jakby całkowicie wyzbył się ciężaru. A mimo to zaczął się skradać.

W połowie korytarza - korytarza Whiteheada - przebiegała granica, którą zakazano mu przekraczać. W tej części domu znajdowały się prywatne apartamenty starego, także sypialnia Carys. Który to mógłby być pokój? Próbował odtworzyć w myślach zewnętrzny obraz budynku i drogą eliminacji zlokalizować sypialnię dziewczyny, ale brakło mu wyobraźni, by skorelować układ okien na zewnątrz z rzędem zamkniętych drzwi w korytarzu, który otwierał się teraz przed nim.

Okazało się, że nie wszystkie drzwi są zamknięte. Trzecie po prawej były lekko uchylone; ze środka, a słuch Marty miał już dostrojony do najniższego poziomu słyszalności, dolatywały odgłosy ruchu. To z pewnością jej pokój. Przekroczył niewidzialną linię demarkacyjną i wkroczył na zakazane terytorium, nie myśląc nawet, jaka kara może go za to spotkać, zbyt mocno pragnął ujrzeć twarz Carys, być może również porozmawiać z dziewczyną. Dotarł do drzwi i zajrzał przez szczelinę do środka.

155

W pokoju była Carys. Na wpół leżąc na łóżku, patrzyła na coś pośrodku pomieszczenia. Marty już miał wejść i przemówić do niej, gdy usłyszał, jak ktoś jeszcze porusza się w pokoju, zasłonięty teraz przez drzwi. Nie musiał czekać, aż usłyszy głos, by domyślić się, że to Whitehead.

- Dlaczego tak źle mnie traktujesz? - pytał dziewczynę stary przyciszonym głosem. - Wiesz, jak bardzo mnie ranisz, kiedy taka jesteś.

Nic nie powiedziała; nawet jeśli usłyszała pytanie, nie dała tego po sobie poznać.

- Nie proszę cię chyba o zbyt wiele? - przemawiał dalej. Białka jej oczu błysnęły, gdy spojrzała w jego kierunku. - Prawda?

W końcu zdobyła się na odpowiedź. Jej głos był tak cichy, że Marty z trudem chwycił poszczególne słowa.

- Czy nie wstyd ci? - spytała.

- Są gorsze rzeczy, Carys, niż fakt, że ktoś cię potrzebuje. Uwierz mi.

- Wiem - odparła, zdejmując z niego wzrok.

Było tak wiele bólu i taka pokora wobec tego bólu w tym jednym słowie: „Wiem”. Nagle Marty'emu zrobiło się słabo z tęsknoty za nią; z pragnienia, by jej dotknąć i spróbować ją uleczyć z tych bezimiennych ran. Whitehead przeszedł przez pokój i usiadł na brzegu łóżka, przy jej boku. Marty cofnął się z obawy, by nie zostać zauważonym, ale uwaga Whiteheada skoncentrowana była na enigmatycznej postaci, która leżała obok niego na łóżku.

- Co wiesz? - zapytał. Nagle jego subtelne maniery gdzieś uleciały. -

Ukrywasz coś przede mną?

- Tylko sny - odpowiedziała. - Coraz więcej snów.

- O czym?

- Wiesz przecież. Stale te same.

- O twojej matce?

Carys przytaknęła, prawie niedostrzegalnie.

- I innych - powiedziała.

- O kim?

Stary westchnął i odwrócił od niej wzrok.

- A w tych snach - wypytywał dalej. - Co się dzieje?

- Ona próbuje do mnie przemówić. Próbuje mi coś powiedzieć.

Whitehead nie naciskał dłużej; wydawało się, że skończyły mu się pytania. Ściągnął ramiona. Carys przyjrzała mu się bacznie; wyczuła jego porażkę.

- Gdzie ona jest, tato? - spytała, pochylając się ku niemu po raz pierwszy i zaplatając ręce wokół jego szyi. Był to gest jawnej manipulacji; oferowała mu czułość tylko po to, by użyć od niego coś, na czym jej zależało. Jak wiele mu dawała i jak wiele on brał, gdy byli razem? Jej twarz zbliżyła się do jego twarzy; późnopołudniowe światło dodawało jej uroku. - Po wiedz mi, tato - nalegała - gdzie, według ciebie, ona jest?

Tym razem Marty uchwycił nutkę szyderstwa w pozornie niewinnym pytaniu. Co ona mogła oznaczać, nie wiedział. Umykał mu zresztą sens całej tej sceny, tej rozmowy o braku uczuć i wstydzie. Poniekąd cieszył się, że tak właśnie jest. Ale tamto pytanie, zadane przez nią w tak fałszywie czuły sposób, już padło - i Marty musiał poczekać, aż usłyszy odpowiedź starego.

- Gdzie ona jest, tatusiu?

- W snach - odrzekł Whitehead, odwracając od niej twarz. - Tylko w snach.

Zdjęła ramiona z jego szyi.

- Nigdy mnie nie okłamuj - zaatakowała go lodowatym głosem.

- To wszystko, co mogę ci powiedzieć - odparł, a ton jego głosu niemal budził litość. - Jeśli wiesz więcej ode mnie... - Znow patrzył na nią, a

jego mowa stała się natarczywa: - Czy ty coś wiesz?
- Och, tato - szepnęła z wyrzutem. - Znowu wietrzysz spiski?
Ileż w tej rozmowie manewrów, ataków i kontrataków, zdu
miał się Marty.

157

- Mnie chyba nie podejrzewasz? Whitehead zmarszczył brwi.
- Nie, nigdy ciebie, kochanie - powiedział. - Ciebie nigdy. Uniósł dłoń ku jej twarzy i pochylił się, by suchymi wargami dotknąć jej ust. Nim ich wargi się złączyły, Marty odsunął się od drzwi i odszedł stamtąd.

Były rzeczy, do których oglądania nie potrafił się zmusić.

25

Samochody zaczęły podjeżdżać pod dom we wczesnych godzinach wieczornych. Marty rozpoznawał niektóre z rozlegających się w holu głosów. Towarzystwo to co zawsze, jak się domyślał: wśród gości Ottaway, Curtsinger i Dwoskin, czyli Kuglarz i jego kamraci. Słysząc też było głosy kobiece. Przeprowadzili zatem swoje żony. Albo kochanki. Ciekawe, jakie to kobiety? Niegdyś piękne, teraz zgorzkniałe i niekochane? Znudzone bez wątplenia swymi mężami, którzy bardziej interesowali się robieniem pieniędzy niż nimi. W powietrzu rozlegał się śmiech tych kobiet; później w holu Marty wyczuł woń ich perfum. Zawsze miał dobry zmysł węchu. Saul mógłby być z niego dumny.

Okolo ósmej piętnaście zaszedł do kuchni i odgrzał sobie ravioli, które Pearl dla niego zostawiła, potem udał się do biblioteki, by oglądać boks na wideo. Wydarzenia tego popołudnia wciąż nie dawały mu spokoju. Mimo usilnych starań nie potrafił pozbyć się obrazu Carys ze swego umysłu i ten stan emocjonalny, nad którym nie miał żadnej kontroli, zaczynał go irytować. Dlaczego nie może być taki jak Flynn? Kupować kobietę na jedną noc i rano odchodzić. Dlaczego jego uczucia zawsze rozmywają się tak, że nie sposób określić, gdzie przebiega granica między jednym a drugim? Mecz na ekranie telewizora stawał się coraz bardziej krwawy, ale Marty z trudem nadążał za porażkami i zwycięstwami. Jego umysł wyczarowywał nieprzeniknioną twarz leżącej na łóżku Carys, zgłębiał ją, szukał wyjaśnień.

159

Zostawił włączony telewizor z paplającym komentatorem i udał się do kuchni, by wziąć jeszcze parę piw z lodówki. Do tej części domu nie docierał najmniejszy odgłos przyjęcia. Ale czyż spotkania w tak dystyngowanym towarzystwie nie są z natury ciche? Tylko brzęk rzuconego szkła i kieliszków i rozmowy o przyjemnościach dostępnych jedynie bogatym.

Chrzanić ich wszystkich, pomyślał Marty. Whiteheada, Carys i całą resztę. To nie jego świat, nie pragnie z niego nic: ani tamtych, ani jej. Może mieć wszystkie kobiety, jakie zechce, o każdej porze - wystarczy wziąć telefon i zadzwonić do Flyna. Żaden problem. A ci niech się bawią w swoje idiotyczne gierki - on nie jest zainteresowany. Pierwszą puszkę piwa opróżnił na stojąco w kuchni, następnie wyjął z lodówki jeszcze dwie i przeszedł z nimi do biblioteki. Dziś wieczór zaleje się w trupa. O tak. Upije się i nic nie będzie miało znaczenia. Zwłaszcza ona. Ponieważ nie zależy mu.

Wcale mu na niej nie zależy.

Kaseta skończyła się i ekran był teraz pusty. Brzęczały na nim rozbiegane białe punkty. Biały szum. Czy nie tak to się nazywa? Był to obraz chaosu, to syczenie, te wijące się kropki; wszechświat mruczący sam do siebie. Puste fale eteru nigdy nie są naprawdę puste.

Wyłączył odbiornik. Nie miał ochoty na więcej meczów. W jego głowie szumiało jak przed chwilą w telewizorze; biały szum.

Opadł na fotel i opróżnił drugą puszkę w dwóch potężnych haustach. Obraz Carys leżącej przy boku Whiteheada znów nabrał ostrości.

- Odejdź - powiedział na głos Marty, ale obraz pozostał. Czy on jej pragnie, czy o to chodzi? Czy niepokój zelżałby, gdyby zabrał ją do gołębnika i zerznął tak, że błagałaby, by nie przestawał? Przeklęta myśl - tylko go zniesmaczyła; nie potrafił pornografią rozbroić swych dwuznacznych odczuć.

Gdy otworzył trzecie piwo, zauważył, że jego ręce się pocą, takim kleistym potem, jaki kojarzył mu się z chorobą, z pierwszymi oznakami grypy. Wytrzeł dłonie o spodnie i wypił piwo. Coś więcej niż zadurzenie w Carys podsycalo jego irytację.

160

Coś było nie tak. Wstał i podszedł do okna biblioteki. Spojrzał na smolistą ciemność za szybą i wtedy dotarło do niego, co może być przyczyną tego uczucia dziwności. Światła na trawniku i okalającym posiadłość ogrodzeniu nie zostały włączone na noc. Będzie musiał to zrobić. Po raz pierwszy od przybycia do tego domu zobaczył prawdziwą noc na zewnątrz, noc czarniejszą niż te, których doświadczał od wielu lat. W Wandsworth zawsze było światło; lampy na ścianach paliły się od zmierzchu do świtu.

Ale tutaj, bez lamp ulicznych, na zewnątrz noc panowała niepodzielnie.
Noc. I biały szum.

26

Wbrew przypuszczeniom Marty'ego, Carys nie uczestniczyła w przyjęciu. Niewiele pozostawiono jej swobód, a odmowa przyjęcia ojcowskiego zaproszenia była jedną z tych nielicznych. Po południu musiała znosić niespodziewany atak płaczu Papy i niemal równie niespodziewane oskarżenia. Wyczerpały ją jego pocałunki i podejrzenia. Dziś wieczór, tęskniąc za zapomnieniem, wstrzyknęła sobie większą dawkę niż zwykle. Teraz pragnęła jedynie leżeć i pławić się w niebycie.

Ledwo złożyła głowę na poduszce, poczuła dotknięcie - czegoś lub kogoś. Oprzytomniała natychmiast, wystraszona. Pokój był pusty. Lampy paliły się, a zasłony pozostawały zaciągnięte. Nie było nikogo - to tylko sztuczka zmysłów, nic więcej. Jednak wciąż czuła mrowienie w miejscu, gdzie, jak się jej zdawało, została dotknięta, jakby zakończenia nerwowe na karku z opóźnieniem zareagowały na intruza. Uniosła dłoń i pomasowała palcami ten kawałek ciała. Wstrząs wybudził ją z letargu. Żadnych szans, by znów złożyć głowę na poduszce, póki serce wali jak miot.

Siedząc na łóżku, zastanawiała się, gdzie może być w tej chwili jej biegacz. Prawdopodobnie na przyjęciu z resztą dworu Papy. Spodoba im się to; dopuszczą go do swego kręgu, by okazać mu wyższość. Już nie myślała o nim jak o aniele. W końcu miał swoje imię i swoją historię (Toy zrelacjonował jej wszystko, co o nim wiedział). Już dawno utracił nimb boskości. Stał się

szarozielonych oczach, z blizną na policzku i z dłońmi elokwentnymi jak dłonie aktora, choć jako profesjonalny łgarz raczej bez większych szans - jego oczy zbyt szybko go zdradzały.

Potem nastąpiło jeszcze jedno dotknięcie i tym razem Carys wyraźnie poczuła chwytające ją za kark palce, jak gdyby ktoś lekko, leciuteńko ścisnął między kciukiem i palcem wskazującym jeden z jej kręgów szyjnych. To było absurdalne odczucie, ale zbyt wyraziste, by je zignorować.

Usiadła przy toalecie i poczuła dreszcze promieniujące po całym ciele od skurzonego z nerwów żołądka. Czy to dlatego, że wzięła kiepski towar? Nigdy wcześniej nie miała takich problemów. Hera, którą Luther kupował od swoich dostawców w Stratfordzie, była zawsze najwyższej jakości - Papa mógł sobie na to pozwolić.

Wracaj do łóżka, nakazała sama sobie. Nawet jeśli nie dasz rady zasnąć, połóż się. Lecz łóżko, gdy tylko wstała i odwróciła się, by do niego wrócić, oddaliło się od niej; cała zawartość pokoju wycofywała się do jednego z kątów, jakby była namalowana na płótnie, które jakaś ukryta ręka odsunęła daleko od niej.

I znów wydało jej się, że palce są na szyi, tym razem bardziej natarczywe, jakby próbowały dobrać się do niej. Sięgnęła dłonią na kark i energicznie potarła tamto miejsce, przeklinając Luthera w głos za dostarczenie jej złego towaru. Prawdopodobnie kupuje gorszą heroinę zamiast czystej, a różnicę w cenie bierze do kieszeni. Złość oczyściła jej umysł na kilka sekund, a przynajmniej odniosła takie wrażenie, bo nic więcej się nie wydarzyło. Podeszła równym krokiem do łóżka; zachowywała orientację, dotykając dłonią pomalowanej w kwieciste wzory

ściany. Wszystko zaczęło wracać do normalnego stanu; pokój odzyskał właściwą perspektywę. Odetchnąwszy z ulgą, położyła się, nie zdejmując z łóżka narzuty, i zamknęła oczy. Coś tańczyło na wewnętrznej stronie jej powiek. Formy powstawały, rozsypywały się i powstawały na nowo.

Żadna

163

z nich nie miała najmniejszego sensu: plamy i bazgroły, graffiti szaleńca. Oglądała je oczyma umysłu, zahipnotyzowana ich płynnymi transformacjami, ledwie uświadamiając sobie w swym zachwycie, że niewidzialne palce znów odnalazły jej kark i wnikały w substancję ciała z subtelną skutecznością dobrego masażysty. I wtedy przyszedł sen.

Nie usłyszała ujadania psów, ale Marty owszem. Najpierw szczekanie pojedynczego psa, gdzieś na południowy wschód od domu, i niemal natychmiast, w odpowiedzi na zawołanie alarmowe pierwszego, całą salwę innych głosów.

Chwiejąc się od nadmiaru alkoholu, wstał sprzed wyłączzonego telewizora i podszedł do okna.

Zerwał się wiatr. Prawdopodobnie złamał jakąś uschniętą gałąź, i to tak zaniepokoiło psy. W rogu posiadłości zauważył kiedyś kilka martwych, nadających się do wycięcia wiązów. Prawdopodobnie to jeden z nich był winowajcą całego zamieszania. Lepiej jednak to sprawdzić. Marty poszedł do kuchni i uruchomiwszy monitory, przełączał się z jednej kamery na drugą wzdłuż zewnętrznego ogrodzenia. Nie zauważył nic niepokojącego. Gdy jednak doszedł do kamer znajdujących się na wschód od lasu, obraz zniknął. Biały szum zastąpił widok podświetlonego trawnika. Nie działały

trzy urządzenia.

- Cholera - zaklął. Jeśli złamało się jakieś drzewo, a skoro nie pracowały kamery, ta wersja wydawała się najprawdopodobniejsza - Marty'ego czeka teraz robota z doprowadzeniem wszystkiego do porządku. Dziwne wszelako, że nie włączył się alarm. Cokolwiek upadło i uszkodziło trzy kamery, musiało uruchomić system alarmowy przy ogrodzeniu - nie odezwał się jednak żaden dzwonek, żadna syrena nie zawyła. Marty zdjął z haka na drzwiach swoją kurtkę, wziął latarkę i wyszedł z budynku.

Światła ogrodzenia migotały na obrzeżach pola widzenia; przenosząc szybko wzrok z jednego na drugie, Marty upewnił

164

się, że żadne nie zgasło. Ruszył w stronę, z której dochodziło ujadanie psów. Mimo wiatru noc była przyjemna - pierwsze godne zaufania tchnienie wiosennego ciepła. Cieszył go ten obchód, nawet jeśli była to strata czasu. Może to nawet nie drzewo, lecz zwyczajna awaria zasilania. Nic nie jest niezawodne. Zostawił dom daleko w tyle, oświetlone okna wydawały się teraz maleńkie. Wokół panowały ciemności. Kroczył po odizolowanym, rozciągającym się na szerokość dwustu jardów pasie ziemicy pomiędzy światłami domu i tymi na ogrodzeniu, potykając się, gdy latarka niezbyt skutecznie oświetliła trawę na kilka kroków przed nim. Od czasu do czasu odzywał się wiatr w lesie; poza tym panowała cisza.

W końcu dotarł do ogrodzenia mniej więcej w miejscu, skąd zdawały się dobiegać głosy psów. Światła po prawej i po lewej stronie działały; nie było widocznych powodów do niepokoju. Pomimo uspokajającego faktu, iż wszystko jest tu w należyтым porządku, coś w tym miejscu, w tej nocy i

w tym przyjemnym wietrze wydawało się dziwne. Może ciemność nie była wcale łagodna, może to ciepło nie było czymś naturalnym o tej porze roku. W żołądku poczuł skurcz, a pęcherz zrobił się ciężki od piwa. Niepokoiło go, że nigdzie nie widać ani nie słychać psów. Albo pomylił się, określając ich przybliżoną pozycję, albo przeniosły się w inne miejsce, ścigając coś lub kogoś. A może, przemknęła mu przez głowę absurdalna myśl, przez kogoś lub coś ścigane.

Lampy na słupkach ogrodzenia zakołysały swymi zakaptu-rzonymi głowami pod wpływem świeżego podmuchu wiatru; sceneria zatańczyła gwałtownie w tym rozkołysanym świetle. Marty postanowił, nim pójdzie dalej, opróżnić pęcherz. Zgasił latarkę, wsadził ją do kieszeni i stojąc tyłem do ogrodzenia i lamp, rozpiął zamek błyskawiczny u spodni. Cóż to była za ulga wysikać się na trawę - z poczucia fizycznego komfortu Marty aż zakrzyknął.

Jeszcze zanim skończył, światła za jego plecami zamigotały. W pierwszej chwili pomyślał, że to złudzenie wywołane przez wiatr. Ale nie, one faktycznie świeciły coraz słabiej. Gdy tak

165

przygasały, gdzieś przy ogrodzeniu, na prawo od Marty'ego, psy znów zaczęły ujadać, ich głosy przepełniały złość i paniczny strach.

Nie mógł przestać sikać, gdy raz już zaczął, i przez kilka cennych sekund przeklinał swój brak kontroli nad pęcherzem. Kiedy skończył, zapiął zamek i jął biec w stronę, skąd dochodziła wrzawa. Lampy tymczasem zapaliły się na nowo chwiejnym światłem, a ich elektryczne obwody wydawały przy tym głośne buczenie. Rozmieszczone jednak były zbyt rzadko, by zapewnić pełne poczucie bezpieczeństwa. Pomiedzy nimi

rozciągały się plamy ciemności, tak więc przez jeden krok na dziesięć wokół biegnącego panowała jasność, przez pozostałe dziewięć - noc. Pomimo lęku ściskającego żołądek Marty gnał przed siebie z całych sił wzdłuż migoczącego ogrodzenia. Światło, ciemność, światło, ciemność...

Na wprost przed nim pojawił się niespodziewany obraz. Po drugiej stronie kręgu światła padającego od jednej z lamp stał intruz. Psy były wszędzie, u jego pięt, na jego klatce piersiowej, kąsając go i szarpiąc. Stał wyprostowany, na rozstawionych nogach, a one obskakiwały go ze wszystkich stron.

Marty uświadomił sobie, że niebawem będzie świadkiem masakry. Oszalałe psy szarpały intruza z całą furją, jaką potrafiły z siebie wykrzesać. Dziwne, ale pomimo jadowitej agresywności swego ataku ogony trzymały podwinięte pod siebie i schowane między nogami, a w ich niskich pomrukach, gdy krążyły wokół mężczyzny w oczekiwaniu na sposobność do kolejnego skoku, bezbłędnie wyczuwało się lęk. Hiob nawet nie próbował atakować mężczyzny - kręcił się wokoło, z oczami zwężonymi w szparki, obserwując heroiczne wyczyny pozostałych.

Marty zaczął przyzywać je po imieniu, używając mocnych, prostych poleceń, których nauczyła go Lillian.

-Stój! Saul! Stój! Dydona!

Psy były perfekcyjnie wyszkolone - widział, jak wykonywały to ćwiczenie dziesiątki razy. Teraz, pomimo siły zaślepiającego je gniewu, słysząc polecenia, odstąpiły od ofiary. Z ociąganiem

wycofały się - uszy płasko przy czaszkach, obnażone zęby - nie spuszczać oczu z intruza.

Marty zaczął iść powoli w stronę mężczyzny, który chwiejąc się i krwawiąc, stał pośrodku kręgu bacznie obserwujących go psów. Nie miał przy sobie żadnej widocznej broni. Wyglądał bardziej na ludzki wrak niż potencjalnego zamachowca; jego prosta, ciemna marynarka była rozerwana w wielu miejscach, a tam, gdzie widać było skórę mężczyzny, błyszczała krew.

- Trzymaj je z dala ode mnie - rzekł urażonym głosem. Na całym ciele miał ślady psich kłów. W niektórych miejscach, zwłaszcza na nogach, odpadły całe płaty mięsa. Środkowy palec lewej dłoni był przegryziony na wysokości drugiego stawu i wisiał jedynie na nitce ścięgna. Krew tryskała na trawę. Zaskoczyło Marty'ego, że mężczyzna wciąż stoi o własnych siłach.

Psy nadal go osaczały, gotowe ponowić atak, jeśli wydano by im taki rozkaz; niektóre spoglądały niecierpliwie na Marty'ego. Miały ochotę wykończyć swą skrwawioną ofiarę. Ale ludzki wrak nie okazał cienia strachu wobec nich. Wpatrywał się jedynie w Marty'ego oczyma wyglądającymi jak łebki szpilek na sinobiałym tle.

- Nie ruszaj się - zawołał Marty - jeśli chcesz pozostać przy życiu! Gdy spróbujesz uciekać, dopadną cię. Rozumiesz? Nie mam aż takiej kontroli nad nimi.

Tamten nic nie odpowiedział, po prostu patrzył. Jego cierpienie musi być okrutne, pomyślał Marty. To nie był nawet młody człowiek. Nierówno odrastająca szczecina na głowie była bardziej siwa niż czarna. Czaszka pod zwiotczałą, woskową skórą była surowa w formie, nosiła rysy naznaczone znużeniem i udręką, wręcz tragiczne. Cierpienie było widoczne jedynie na tłustej, połyskliwej skórze i w napięciu mięśni twarzy. Wzrok tego

mężczyzny posiadał nieruchomości oka cyklonu i podobne wieszczył niebezpieczeństwa.

- Jak się tu dostałeś? - spytał Marty.
- Zabierz je stąd - powiedział mężczyzna. Mówił takim tonem, jakby z góry zakładał, że jego polecenia zostaną wysłuchane.

167

- Chodź ze mną do budynku.

Tamten potrząsnął głową; nie zamierzał nawet brać pod uwagę takiej możliwości.

- Zabierz je stąd - powtórzył.

Marty uległ autorytetowi przybysza, nie bardzo wiedząc, dlaczego to robi. Przywołał po imieniu psy do siebie. Przyszły do nogi z wyrzutem w oczach, niezadowolone, że muszą poniechać nagrody.

- Teraz chodź ze mną do budynku - rzekł Marty.
- Nie ma potrzeby.
- Wykrwawisz się na śmierć, na litość boską.
- Nie cierpię psów - odrzekł mężczyzna, nadal nie zdejmując wzroku z Marty'ego. - Obaj ich nie znosimy.

Marty nie miał czasu, by dokładnie przemyśleć te słowa, w tym momencie chciał wyłącznie zapobiec pogorszeniu się sytuacji. Utrata krwi z pewnością osłabiła intruza. Marty nie był pewien, czy zdoła powstrzymać zwierzęta przed zabójczym atakiem, jeśli tamten upadnie. Kłębily się wokół nóg Marty'ego, spoglądając nań z irytacją; czuł ich gorące oddechy.

- Jeśli nie pójdziesz z własnej woli, będę cię musiał zaprowadzić.

- Nie. - Intruz uniósł ranną rękę na wysokość klatki piersiowej i przyjrzał jej się z góry. - Nie potrzebuję twojej dobroci, dziękuję - powiedział.

Przegryzł ścięgno podtrzymujące okaleczony palec, tak jak szwaczka zębami przecina nitkę, i odcięty fragment palca upadł na trawę. Mężczyzna zacisnął krwawiącą dłoń w pięść i wsunął do kieszeni poszarpanej marynarki.

- Jezu Chryste - wyszeptał Marty. Nagle światła na ogrodzeniu znowu zamigotały. Tylko że tym razem zgasły zupełnie. W nagłej ciemności Saul zaskomlał. Marty rozpoznawał już głos tego psa i teraz w pełni podzielał lęk zwierzęcia.
- Saul, staruszk, co się dzieje? - spytał i, na Boga, zapragnął, by zwierzę mogło mu odpowiedzieć. I wtedy ciemność została złamana; coś oświetliło teren wokół nich, coś, co nie było ani elektrycznością, ani blaskiem gwiazd. Źródłem światła był

168

intruz. Zapłonął bladą luminescencją. Światło skapywało mu z opuszek palców i sączyło się z zakrwawionych dziur w jego odzieży. Wokół głowy pojawiła się szara, migocząca aureola, lecz nie spalała ani ciała, ani kości; światło wylewało się z oczu, ust i nozdrzy. Nagle ta dziwna światłość zaczęła przybierać kształty, a przynajmniej tak to wyglądało. Wszystko tu zresztą tak tylko wyglądało. Fantomy wylaniały się ze strumienia światła. Marty dostrzegł wśród nich psy, następnie kobietę, potem twarz; widział to wszystko, a być może nie widział nic; wirująca zadymka zjaw, które ulegały transformacji, zanim jeszcze na dobre stężały w poprzednim kształcie. A w samym środku tych ulotnych zjawisk oczy intruza

wpatrzone w Marty'ego -jasne i zimne.

Następnie, bez żadnego ostrzeżenia, widowisko przybrało zupełnie odmienny charakter. Wyraz udręki przemknął przez twarz sztukmistrza; krwawa ciemność zaczęła wyciekać z jego oczu, gasząc wszystko, co rozgrywało się w nocnych oparach, pozostawiając jedynie wężyki ognia opisujące zarys jego czaszki. Wkrótce i one zgasły, iluzje zniknęły tak nagle, jak się przedtem pojawiły, i pozostał tylko poszarpany mężczyzna, stojący koło buczonego ogrodzenia.

Lampy zapaliły się na nowo, światłem tak płaskim, że natychmiast zdławiło ostatnie pozostałości magii. Marty popatrzył na marne ciało, puste oczy i banalną sylwetkę stojącego przed nim mężczyzny i nie wierzył w nic, co się wydarzyło.

- Powiedz Josephowi... - zaczął intruz. ...to wszystko były tylko sztuczki...
- Co mam mu powiedzieć?
- Że tu byłem.

.. .lecz jeśli to tylko sztuczki, to dlaczego nie zrobi ani kroku, by pojmać tego człowieka?

- Kim jesteś?
- Po prostu mu to powiedz.

Marty skinął głową; opuściła go wszelka odwaga.

- A potem wracaj do domu.
- Do domu?

Odwrócił się plecami do Marty'ego i psów, a gdy to uczynił, światło zamigotało i zgasło na długości kilkudziesięciu jardów w obu kierunkach.

Gdy lampy zapaliły się ponownie, magika już nie było.

27

Czy to wszystko, co powiedział?

Jak zwykle podczas rozmowy Whitehead zwrócony był plecami do Marty'ego i nie sposób było uchwycić jego reakcji na relację z wydarzeń ostatniej nocy. Marty przedstawił starannie spreparowany opis tego, co się naprawdę zdarzyło. Opowiedział Whiteheadowi, że usłyszał psy, pobiegł w tamtą stronę i krótko rozmawiał z intruzem. Opuścił to, czego nie potrafił wyjaśnić - obrazy, które tamten mężczyzna zdawał się wyczarowywać ze swego ciała. W ogóle nie próbował tego opisywać, nawet o tym nie wspomniał. Powiedział staremu, że zawiodły światła na ogrodzeniu i pod osłoną ciemności nieznajomy się ulotnił. To było kiepskie zakończenie opowieści, ale Marty nie potrafił udoskonalić tej historii. Jego umysł, wciąż przetwarzający wizje zarejestrowane w ciągu nocy, był zbyt niepewny tego, jaka jest obiektywna prawda, by zdobyć się na bardziej wyrafinowane kłamstwa.

Nie spał od ponad dwudziestu czterech godzin. Większą część nocy spędził przy zewnętrznym ogrodzeniu, oglądając je w poszukiwaniu miejsca, przez które intruz dostał się do środka. Drut nigdzie nie był naruszony. Albo mężczyzna wślizgnął się przez bramę, gdy otworzyła się, by wpuścić któryś z samochodów gości, albo pokonał ogrodzenie, lekceważąc napięcie elektryczne, które zabiłoby niemal każdego

człowieka. Choć pierwszy sposób wydawał się najbardziej prawdopodobny, Marty, wiedząc, do jakich sztuczek tamten był zdolny, nie wykluczał i drugiego

171

scenariusza. W końcu mężczyzna swoim pojawieniem się nie wzbudził alarmu i w jakiś sposób pozbawił napięcia lampy na całej długości ogrodzenia. Jak tego dokonał, któż to mógłby odgadnąć? Oczywiście w niecałą minutę po jego zniknięciu system znów działał bez zarzutu - alarm był sprawny i funkcjonowały wszystkie kamery wokół posiadłości.

Po dokładnym sprawdzeniu ogrodzenia Marty wrócił do domu i usiadł w kuchni, by zrekonstruować w umyśle każdy szczegół z tego, co mu się przytrafiło. Około czwartej nad ranem usłyszał, że przyjęcie dobiegło końca: śmiechy, trzaskanie drzwiczek samochodów. Nie poszedł do Whiteheada, by od razu zgłosić włamanie. Uznał, że nie ma sensu psuć mu wieczoru. Po prostu siedział i słuchał hałasów, jakie robili ludzie w odległej części budynku. Ich głosy zlewały się w niezrozumiałą dźwiękową papkę, jak gdyby on siedział pod ziemią, a oni znajdowali się gdzieś nad jego głową. I gdy tak nasłuchiwał, wypompowany po niedawnym skoku adrenaliny, wspomnienie mężczyzny przy ogrodzeniu zamigotało przed jego oczami.

Żadnego z tych szczegółów nie przekazał Whiteheadowi. Po prostu najogólniejszy zarys wydarzeń i te kilka słów: „Powiedz mu, że tu byłem”. Wystarczyło.

- Został ciężko ranny? - spytał Whitehead, nie odwracając się od okna.
- Jak już mówiłem, stracił palec. I dość obficie krwawił.
- Czuł ból, jak pan myśli?

Marty zawahał się przed odpowiedzią. „Ból” to nie było słowo, jakiego

chciałby użyć; on sam nie tak pojmował ból. Ale gdyby użył innego słowa, na przykład „udręka” - słowa sugerującego straszliwą otchłań, skrytą za tamtymi lodowatymi oczyma - zaryzykowałby, że wkroczy w rejony, na których odwiedzenie nie był przygotowany, a już na pewno nie w towarzystwie Whiteheada. To jasne, że jeśli choć raz dałby staremu wyczuć jakąś dwuznaczność, sytuacja stałaby się krytyczna. Odpowiedział więc:

- Tak, odczuwał ból.
- I powiada pan, że odgryzł sobie palec?

172

-Tak.

- Może poszukałby go pan później.
- Już szukałem. Któryś z psów musiał go zabrać.

Czy Whitehead zachichotał sam do siebie? Tak to zabrzmiało.

- Nie wierzy mi pan? - spytał Marty, sądząc, że stary śmieje się z niego.
- Oczywiście, że panu wierzę. Spodziewałem się przybycia tego człowieka. To była tylko kwestia czasu.

i - Wie pan, kto to jest? -Tak.

-Może go pan więc kazać aresztować.

Ciche rozbawienie starego zniknęło. Słowa, które teraz padły, były bezbarwne.

- To nie było zwyczajne wkroczenie na cudzy teren, Strauss, i jestem pewien, że pan doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Ten człowiek to zawodowy morderca najwyższej klasy. Przybył tutaj w bardzo konkretnym celu - by mnie zabić. Powstrzymała go pańska interwencja i psy. Ale spróbuje ponownie...

- Tym bardziej należy go odnaleźć, proszę pana.
- Żadne siły policyjne w Europie nie potrafiłyby go zlokalizować.
- Jeśli jest znanym zabójcą... - naciskał Marty.

Jego upór, by dążyć sprawę do końca, zaczął irytować starego. Warknął w odpowiedzi:

- Mnie jest znany. I może paru innym, którzy zetknęli się z nim w przeszłości... ale to wszystko.

Whitehead przeszedł od okna do biurka, otworzył zamykaną na klucz szufladę i wyciągnął jakiś przedmiot, owinięty kawałkiem płótna. Położył go na wypolerowanym blacie biurka i rozpakował. To był pistolet.

- Od tej chwili będzie go pan zawsze nosił przy sobie - po lecił Marty'emu. - Proszę go wziąć. Nie ugryzie.

Marty podniósł broń z biurka. Była zimna i ciężka.

- Proszę się nie zawahać, Strauss. Ten mężczyzna stanowi śmiertelne zagrożenie.

173

Marty przełożył pistolet z ręki do ręki; paskudne uczucie.

- Jakiś problem? - zapytał Whitehead.

Marty ważył słowa, nim je wypowiedział.

- Chodzi jedynie o to... cóż, jestem na zwolnieniu warunkowym, proszę pana. Powinienem postępować zgodnie z literą prawa. A oto pan daje mi broń i mówi, bym strzelał bez ostrzeżenia. To znaczy, jestem pewien, że właściwie ocenia pan tamtego mężczyznę jako zabójcę, ale osobiście nawet nie przypuszczam, by był uzbrojony.

Wyraz twarzy Whiteheada, dotychczas neutralny, zmieniał się, w miarę

jak Marty mówił. Obnażywszy żółte zęby, stary szczeknął w odpowiedzi:

- Jest pan moją własnością, Strauss. Będzie się pan troszczył o mnie albo następnego ranka wyniesie się pan do diabła.

O mnie! - Dźgnął palcem we własną klatkę piersiową. - Nie o siebie. O sobie niech pan zapomni.

Marty przełknął całą masę potencjalnych ripost; żadna z nich nie była uprzejma.

- Chce pan wracać do Wandsworth? - spytał stary. Na twarzy nie miał już żadnych oznak gniewu; schował żółte zęby. - Chce pan?
- Nie. Oczywiście, że nie chcę.
- Może pan tam wrócić, jeśli pan chce. Wystarczy jedno słowo.
- Powiedziałem, że nie chcę... proszę pana.
- Więc słuchaj pan - rzekł Whitehead. - Mężczyzna, którego spotkał pan zeszłej nocy, ma wobec mnie złe zamiary. Przyszedł tu, by mnie zabić. Jeśli pojawi się znowu - a pojawi się na pewno - przekaże mu pan moje wyrazy uszanowania. A potem się zastanowimy, co dalej; czyż nie tak zrobimy, mój chłopcze? - Zęby pokazały się znowu - w lisim uśmiechu. -O tak... potem się zastanowimy.

Carys obudziła się z fatalnym samopoczuciem. Z początku nic nie pamiętała z wydarzeń minionej nocy, ale stopniowo zaczęła przypominać sobie fatalną wycieczkę, na którą się wybrała: po-

kój zachowujący się jak żywa rzecz, widmowe opuszki palców, skubiące - och, jak delikatnie - włoski na jej karku.

Nie pamiętała, co się stało, gdy palce zanurzyły się zbyt głęboko. Czy

się położyła? Czy tak właśnie uczyniła? Tak, teraz sobie przypominała, rzeczywiście się położyła. I to właśnie wtedy, gdy jej głowa dotknęła poduszki i sen wziął ją w swe objęcia, zaczęły się dziać rzeczy naprawdę złe.

Nie były to sny - przynajmniej nie takie, jakie śniła dotychczas. Nie było filmowych scen, nie było symboli, nie było ulotnych wspomnień, przetykanych grozą. Nie było w ogóle nic - i to wydawało się (nadal się wydaje) przerażające. Została przeniesiona w pustkę.

- Pustka.

Wrażenie wypowiedzenia na głos okazało się tylko martwym słowem; nie próbowało nawet opisać miejsca, które Carys odkryła. Jego pustka była nieskazitelna, groza, jaką budziło -okrutna, a nadzieja na zbawienie w jego głębiach - bardziej krucha niż w jakimkolwiek innym miejscu, którego istnienia Carys się domyślała. Ujrzała legendarne Nigdzie - poza nim każda ciemność jest oślepiającą jasnością, każda inna znana jej rozpacz zaledwie flirtem z otchłanią, nie otchłanią samą w sobie.

Architekt owego Nigdzie też tam był. Zapamiętała coś z jego subtelnej fizjonomii, w jej łagodność nie uwierzyła jednak ani na jotę. Widzisz, jaka wyjątkowa jest ta pustka, pysznił się; jak czysta, jak absolutna? Świat cudów nie może się z nią równać, nie może mieć nigdy nadziei, że dorówna tej wyrafinowanej nicości.

A kiedy się obudziła, przechwałki pozostały. Wyglądało to tak, jakby owa wizja była prawdziwa, a zajmowana przez dziewczynę rzeczywistość - fikcyjna. Jakby kolor, kształt i materia były ładnymi dekoracjami, zaprojektowanymi wyłącznie po to, by zatuszować fakt istnienia tej pustki, którą właśnie zademonstrował jej twórca. Carys czekała teraz, prawie

nieświadoma upływu czasu, niekiedy głaszcząc dłonią prześcieradło lub dotykając bosą stopą splotów dywanu, czekała w rozpacz

175

na chwilę, w której złuszcza się dekoracyjne powłoki i ukaże się nicość, by ją pochłonąć.

A zatem, pomyślała, udam się na słoneczną wyspę. Jeśli kiedykolwiek zasługiwała na to, by tam chwilę zabawić, to z pewnością zasługiwała na to teraz, po tym, co wycierpiała. Ale coś popsuło tę myśl. Czy wyspa też była fikcją? Czy jeśli uda się tam teraz, nie będzie słabsza, gdy Architekt przybędzie ponownie wraz z pustką? Usłyszała głośnie bicie własnego serca. Kto może jej pomóc? Nikt, kto by ją zrozumiał. Jest tylko Pearl ze swym oskarżycielskim spojrzeniem i skrywaną pogardą; i Whitehead, poprzestający na faszzerowaniu jej heroiną, bo to czyni ją uległą; a Marty, jej biegacz, na swój sposób słodki, to ktoś tak naiwnie pragmatyczny, że nigdy nie potrafiłaby nawet próbować mu wyjaśniać złożoności wymiarów, w jakich żyła. Był prostolinijnym człowiekiem; spojrzalby na nią w pomieszczeniu, na próżno usiłując zrozumieć.

Nie; nie miała żadnych wskazówek, żadnych drogowskazów. Lepiej obrać dobrze znaną drogę. Z powrotem na wyspę.

To było chemiczne kłamstwo i z czasem zabijało; ale czyż samo życie nie zabija z upływem czasu? I jeśli istniało tylko umieranie, czy nie lepiej zdążać ku niemu, będąc szczęśliwym, niż gnić gdzieś w brudnej norze jakiegoś świata, gdzie pustka szepcze w każdym kącie. Więc gdy Pearl przyszła na górę z jej heroiną, Carys wzięła ją, podziękowała grzecznie i udała się na swoją wyspę, tańcząc.

Strach mógłby napędzać świat, gdyby tylko dobrze naoliwić tryby. Marty już widział, jak działa ten system w Wandsworth - hierarchia zbudowana na strachu. Opierała się na przemocy, była niestabilna i niesprawiedliwa, ale funkcjonowała znakomicie.

Widzieć Whiteheada - tego wciąż tkwiącego w samym centrum swego wszechświata, spokojnego, opanowanego Whiteheada -tak zmienionym przez strach, spoconym, spanikowanym, było niespodziewanym szokiem dla Marty'ego. Nie miał względem starego żadnych osobistych uczuć - albo żadnych sobie nie uświadamiał - ale potrafił dostrzec skuteczność tej specyficznej prawości, jaką Whitehead wyznawał, na której także Marty zdążył już skorzystać. Teraz poczuł, że stabilizacja, którą zaczął się cieszyć, została nagle zagrożona. Oto Whitehead odmówił mu informacji na temat intruza i jego zamiarów - prawdopodobnie kluczowych dla zrozumienia zaistniałych okoliczności - a w miejsce uprzedniej prostolinijnej mowy pojawiły się insynuacje i groźby. Stary miał do tego oczywiste prawo. Ale skazywał Marty'ego na domysły.

Jeden punkt nie podlegał dyskusji: cokolwiek Whitehead twierdził na ten temat, człowiek przy ogrodzeniu nie był zwyczajnym wynajętym zabójcą. Kilka niewytłumaczalnych rzeczy miało tam miejsce. Światła zapalały się i gasły jak na zawołanie; kamery w tajemniczy sposób przestały działać, gdy pojawił się ów mężczyzna. Zachowanie psów również stanowiło zagadkę.

Dlaczego okazały takie pomieszanie złości i przerażenia? Pozostawały jeszcze iluzje - tamte obrazy, namalowane płonącym powietrzem. Żadne zręczne ruchy rąk, nawet w najwyższym stopniu wyrafinowane, nie

byłyby satysfakcjonującym wyjaśnieniem owych zjawisk. Jeśli Whitehead zna „zabójcę” tak dobrze, jak twierdzi, musi wiedzieć o jego umiejętnościach; był po prostu zbyt przerażony, by o nich mówić.

Marty przez cały dzień zadawał wszystkim w domu najdys-kretniejsze pytania. Ale szybko stało się jasne, że Whitehead nie poinformował o nocnych wypadkach ani Pearl, ani Lillian, ani Luthera. To było dziwne. Czyż właśnie teraz nie należało zwiększyć czujności u każdego? Jediną osobą, która przyznała, że ma jakąś wiedzę o nocnych zdarzeniach, był Bill Toy, ale gdy Marty poruszył temat, tamten zaczął się wykręcać.

- Zdaję sobie sprawę, że to cię stawia w trudnym położeniu, Marty, ale w obecnej sytuacji dotyczy to nas wszystkich.
- Po prostu wydaje mi się, że mógłbym lepiej wykonywać swoją pracę...
- ...jeśli znałbyś fakty.
- Tak.
- Cóż, zgodzisz się chyba, że Joe wie najlepiej. - Twarz Toya przybrała ponury wyraz. - Powinniśmy wszyscy mieć to wytatuowane na dłoniach, nie sądzisz? Joe Wie Najlepiej. Chciałbym móc powiedzieć ci więcej. Chciałbym wiedzieć więcej. Myślę, że chyba najlepiej dla wszystkich zainteresowanych będzie, jeśli dasz temu spokój.
- On dał mi broń, Bill.
- Wiem.
- I kazał mi jej użyć.

Toy przytaknął; wyglądał na zasmuconego tym wszystkim, wręcz rozgoryczonego.

- Nastaly złe czasy, Marty. Wszyscy... wszyscy będziemy mu sieli zrobić mnóstwo rzeczy, których nie chcemy, uwierz mi.

Marty wierzył mu; wystarczająco ufał Toyowi, by mieć pewność, że jeśli istniałoby coś, co mógłby na ten temat powiedzieć, zostałoby to powiedziane. Całkiem możliwe, że Toy nie wiedział

178

nawet, kto naruszył pieczęcie Sanktuarium zeszłej nocy. Jeśli to była jakaś osobista rozgrywka Whiteheada z nieznanym, wówczas pełne wyjaśnienie mogłoby przyjść jedynie ze strony starego, a to z pewnością nie nastąpi.

Marty mógł wypytać jeszcze tylko jedną osobę. Carys.

Nie widział jej od dnia, gdy wtargnął do zakazanej części korytarza na piętrze. To, co zobaczył pomiędzy Carys a jej ojcem, zburzyło jego spokój i zrodziło w nim, zdawał sobie z tego sprawę, dziecięcą potrzebę ukarania dziewczyny przez pozbawienie jej swego towarzystwa. Teraz jednak poczuł, że musi ją odszukać, jakkolwiek niezręczne takie spotkanie miałoby się okazać.

Znalazł Carys tego samego dnia po południu, jak wałęsała się wokół gołębnika, opatulona w futro - zbyt grubo odziana jak na tę pogodę - które wyglądało na kupione w sklepie z używaną odzieżą: kilka numerów za duże i zniszczone przez mole. Było ciepło mimo porywistego wiatru, a obłoki przepływające po wedgwoodowskim błękicie nieba nie stanowiły większego zagrożenia - zbyt małe na to i zbyt białe - ot, kwietniowe chmury, niosące w najgorszym razie lekką mżawkę.

- Carys.

Spojrzała na niego oczyma tak ciemno obwiedzionymi zmęczeniem, że Marty w pierwszej chwili pomyślał, że są podbite. W dłoni trzymała bukiet, a raczej pęk kwiatów, w większości nie całkiem rozkwitłych.

- Powąchaj - powiedziała, podsuwając mu kwiaty pod nos.

Powąchał. Były w istocie bezwonne - pachniały jedynie ziemią i dobrymi chęciami.

- Niewiele czuję.

• To dobrze - odparła. - Myślałam już, że to ja tracę zmysły.

Zniecierpliwiona upuściła kwiaty na ziemię.

• Nie masz mi za złe, że ci przeszkodziłem? Potrząsnęła głową.

• Wy wszyscy lubicie przeszkadzać.

Osobliwość jej zachowania uderzyła go silniej niż zwykle; zawsze mówiła tak, jakby miała na myśli jakiś sobie tylko znany

179

żart. Marty pragnął przyłączyć się do gry, poznać jej tajemny język, ale wydała mu się niedostępna jak pustelnica skryta za ścianą przebiegłych uśmiezków.

• Przypuszczam, że słyszałaś w nocy psy - odezwał się.

• Nie pamiętam - odparła, marszcząc brwi. - Może.

• Czy ktoś opowiadał ci coś o tym?

• Dlaczego miałby mi opowiadać?

• Nie wiem. Pomyślałem sobie tylko...

Rozwiała jego poczucie dyskomfortu nieznacznym, szybkim ruchem głowy.

• Tak, jeśli chcesz wiedzieć. Pearl powiedziała mi o intruzie. I że ty go wypłoszyłeś, czy to prawda? Ty i psy.

• Ja i psy.

- A kto z was odgryzł mu palec?

Pearl powiedziała Carys także o palcu, czy to stary był łaskaw zdradzić jej ten okrutny szczegół? Byli więc dzisiaj razem, w jej pokoju? Wymazał tę scenę, zanim na dobre powstała w jego głowie.

- Czy to Pearl powiedziała ci o tym? - spytał.

- Nie widziałam się ze starym - odparła - jeśli o to ci chodzi.

Poczuł się przyparty do muru; to było niesamowite. Nawet użyła jego określenia. Nazwała go „starym”, a nie jak zwykle „Papą”.

- Przejdziemy się nad jezioro? - zaproponowała, choć wyglądało na to, że nie zależy jej na odpowiedzi, pozytywnej czy negatywnej.
- Pewnie.
- Wiesz, miałeś rację z tym gołębnikiem - powiedziała. - Jest szkaradny, kiedy nic w nim nie ma, tak jak teraz. Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. - Obraz opustoszałego gołębnika naprawdę zdawał się ją drażnić. Mimo grubego płaszcza miała dreszcze.
- Biegałeś dzisiaj? - spytała.
- Nie. Czuję się zbyt zmęczony.
- Było bardzo źle?
- Co takiego?

180

- W nocy.

Nie wiedział, jak odpowiedzieć. Tak, oczywiście, było źle. Ale jeśli nawet ufał jej na tyle, by opowiedzieć o zjawiskach, które widział - a wcale nie był pewien, czyje naprawdę widział - jego słownictwo było żałośnie nieadekwatne.

Carys przystanąła, gdy zobaczyli jezioro. Trawa pod ich stopami wygwieżdżona była małymi, białymi kwiatuskami, których nazwy Marty nie znał. Przyglądając się kwiatkom, Carys powiedziała:

- Czy to po prostu kolejne więzienie, Marty? -Co?
- Pobyt tutaj.

Odziedziczyła po ojcu manierę rzucania krótkich oderwanych zdań. Marty nie spodziewał się w ogóle tego pytania. Nikt od jego przyjazdu tutaj tak naprawdę nie spytał go o samopoczucie. Poza może zdawkowymi zapytaniami o zwykłe wygody. I chyba w konsekwencji braku zainteresowania z zewnątrz on też nie zwracał sobie głowy takimi kwestiami. Kiedy po dłuższym milczeniu odpowiadał na pytanie dziewczyny - mówił niepewnie.

- Tak... Przypuszczam, że to dla mnie nadal więzienie, nie zastanawiałem się nad tym poważnie... To znaczy, nie mogę stąd wyjść, kiedy zechcę, to prawda. Ale nie ma porównania... z Wandsworth. - Znów zabrakło mu słów. - ...To inny świat.

Chciał powiedzieć, że uwielbia drzewa, bezmiar nieba, białe kwiatuszki, po których właśnie deptali, ale wiedział, że takie słowa, jeśli padną z jego ust, będą miały ciężar ołowiu. Nie miał smykałki do takiej gadki, nie to co Flynn, który potrafił sypać poezją bez namysłu, jak gdyby była jego drugim językiem. „Irlandzka krew” - tak Flynn zwykł tłumaczyć się ze swego gadulstwa. Wszystko, co Marty był w stanie teraz rzec, to:

- Tutaj mogę biegać.

Wymamrotała coś, czego nie dosłyszał; może jedynie przytaknęła. Cokolwiek to było, jego odpowiedź zdawała się ją satysfakcjonować, i wówczas Marty poczuł, że jego początkowy gniew - uraza wywołana jej

przemądrzałymi odzywkami i sekretnym życiem z Papą - ustępuje.

181

- Grasz w tenisa? - spytała, znów bez związku.
- Nie. Nigdy nie grałem.
- Chcesz się nauczyć? - rzuciła, lekko zwracając ku niemu głowę i uśmiechając się. - Mogłabym cię podszkolić. Kiedy się ociepli.

Wydała się Marty'emu zbyt krucha na jakiekolwiek ćwiczenia, wymagające wysiłku fizycznego - ustawiczne życie na krawędzi zdawało się ją wyczerpywać. Na krawędzi czego? Tego Marty nie wiedział.

- Jeśli mnie nauczysz, to z tobą zagram - powiedział, ciesząc się z jej propozycji.
- Zatem umowa stoi? - spytała.
- Umowa stoi.

...a jej oczy, pomyślał, są takie ciemne. Zagadkowe oczy, które czasem robią uniki, prześlizgują się po przedmiotach, a czasem, gdy najmniej się tego spodziewasz, wpatrują się w ciebie bez najmniejszego skrępowania, i wiesz na pewno, że w tym momencie obnażają twoją duszę.

...i wcale nie jest przystojny, pomyślała; zbyt przywykł do tego, że dobrze wygląda, biega więc, by zachować sylwetkę, wie, że jak przestanie, zrobi się sflaczały. Jest prawdopodobnie narcystyczny: założę się, że stoi przed lustrem co wieczór, przygląda się sobie i chciałby w swym odbiciu nadal widzieć ślicznego chłopca, zamiast solidnie zbudowanego, posępnego mężczyzny.

Złapała jego myśl. Jej umysł wzniósł się z łatwością w górę, ponad głowę (a przynajmniej w taki sposób to sobie wyobrażała) i złowił tę myśl w

powietrzu. Robiła to stale - z Pearl, z ojcem - często zapominając, że inni ludzie nie mają zdolności wtrącania się w nie swoje sprawy z taką łatwością.

Myśl, którą pochwyciła, brzmiała: Będę musiał nauczyć się być delikatnym lub coś w tym rodzaju. A więc obawiał się, że ją zrani. Chryste! To dlatego tak się przy niej kontrolował, tak wymijająco odpowiadał na jej pytania.

- Nie stłukę się - powiedziała, a na jego szyi pojawił się rumieniec.

182

- Przepraszam - rzekł tylko. Nie była pewna, czy przyznał się do błędu, czy po prostu nie zrozumiał jej uwagi.
- Nie ma potrzeby obchodzić się ze mną, jakbym była z porcelany. Nie oczekuję tego od ciebie, a ciągle doświadczam.

Rzucił jej strapione spojrzenie. Dlaczego nie wierzy w to, co ona mu mówi? Czekwała w nadziei na jakąś podpowiedź, ale żadna się nie pojawiła, choćby orientacyjna.

Dotarli do jazu zasilającego jezioro. Woda była wysoka i porywista. Mówiono jej, że utonęli tu jacyś ludzie, nie dawniej niż kilka dekad temu, na krótko przed nabyciem posiadłości przez Papę. Zaczęła wyjaśniać to wszystko Marty'emu, opowiadać o konnym dyliżansie, który wciągnęło do jeziora w czasie burzy, mówiła, nie słuchając samej siebie, próbując przebić się przez barierę kurtuazji i machismo do tej jego części, która mogłaby być dla niej użyteczna.

- I ten dyliżans wciąż tam jest? - spytał, wpatrując się w spienioną toń.
- Przypuszczalnie - odparła. Opowieść straciła już dla niej cały urok. -

Dlaczego mi nie ufasz? - zapytała prosto z mostu.

Nie odpowiedział; ale widać było, że się z czymś zмага. Zmieszanie widoczne w jego zmarszczonym czole przerodziło się w konsternację. Cholera, pomyślała, wszystko zepsułam. Ale stało się. Zadała mu pytanie wprost i była gotowa wysłuchać każdej złej wieści.

Niemal nie planując tej kradzieży, złowiła jeszcze jedną jego myśl - tym razem wstrząsająco wyraźną, jak autentyczne przeżycie. Oczyma Marty'ego ujrzała drzwi swojego pokoju, a za nimi, na łóżku, samą siebie, leżącą tam ze szklistym spojrzeniem, oraz Papę siedzącego przy jej boku. Kiedy to było, zastanawiała się. Wczoraj? Przedwczoraj? Czy słyszał, o czym rozmawiają? Czy to wzbudziło w nim taki niesmak? Zabawił się w detektywa i nie spodobało mu się to, co odkrył.

- Nie umiem za dobrze postępować z ludźmi - rzekł w odpowiedzi na pytanie, czy jej ufa. - Nigdy nie umiałem.

Jak on się wije, zamiast powiedzieć jej prawdę. Był obrzydliwie delikatny wobec niej. Miała ochotę skrócić mu kark.

183

- Szpiegowałeś nas - oświadczyła z brutalną otwartością. - To o to chodzi, prawda? Widziałeś mnie i ojca razem...

Próbowała nadać tej uwadze takie brzmienie, jakby była przypadkowym domysłem. Nigdy nie wychodziło jej to nazbyt przekonująco i dobrze o tym wiedziała. Ale do licha z tym. Słowa zostały wypowiedziane i Marty będzie musiał sam się domyślić, jakim cudem Carys doszła do takich wniosków.

• Co podsłuchałeś? - spytała, ale nie otrzymała odpowiedzi. To nie złość związała mu język, ale wstyd, że podglądał. Rumieniec rozplomieniał

mu twarz od ucha do ucha.

- On traktuje cię jak swoją własność - wyszeptał, nie odrywając oczu od zmaconej wody.
- Jestem poniekąd jego własnością.
- Dlaczego?
- Jestem dla niego wszystkim. Jest samotny... -Tak.
- ...i przerażony.

- Czy w ogóle pozwala ci kiedykolwiek opuszczać Sanktuarium?

- Nie mam potrzeby nigdzie się stąd ruszać. Mam tu wszystko, czego mi trzeba.

Chciał zapytać, w jaki sposób zapewnia sobie towarzystwo w łóżku, ale dość już był zawstydzony i bez tego. Lecz ona i tak wyłapała tę myśl i zaraz potem obraz Whiteheada pochylającego się, by ją pocałować. Być może było to coś więcej niż ojcowski pocałunek. Choć próbowała nie zastanawiać się nad tym zbyt często, nie mogła w ogóle nie dostrzegać takiej możliwości. Marty okazał się bystrzejszy, niż gotowa była to przyznać; właściwie uchwycił ów tak subtelny podtekst.

- Nie ufam mu - oznajmił. Oderwał wzrok od wody i odwrócił się do Carys. Zmieszanie było doskonale widoczne na jego twarzy.
- Wiem, jak sobie z nim radzić - odparła. - Zawarłam z nim umowę. On się zna na umowach. Ma gwarancję, że z nim zostanę, a ja mam to, czego potrzebuję.
- A czego potrzebujesz?

Teraz to ona odwróciła wzrok. Piana w miejscu, gdzie **woda** jazu wpadała do jeziora, miała brudnobrązowy kolor.

- Odrobiny słońca - odpowiedziała w końcu.
- Myślałem, że to można dostać za darmo - zdziwił się Marty.
- Nie w taki sposób, jak lubię - odparła. Czego on od niej oczekuje? Przeprosin? Jeśli tak, rozczaruje się.

•Powiniennem wracać do domu - powiedział. Nagle Carys odezwała się:

- Nie chcę, żebyś mnie nienawidził, Marty.
- Nie nienawidzę cię. - Zatrzymał się.
- Wiele nas łączy.
- Łączy?
- Oboje należymy do niego.

Jeszcze jedna paskudna prawda. Miała **ich** dziś naprawdę dużo do zaoferowania.

- Mogłabyś wyjechać w diabły, gdybyś tylko chciała - rzucił rozdrażniony.

Przytaknęła.

- Myślę, że mogłabym. Ale dokąd?

To pytanie wydawało mu się absolutnie pozbawione sensu. Za tym ogrodzeniem był cały świat, a jej z pewnością nie brakowało funduszy, by go poznawać, nie jej, córce Josepha Whiteheada. Czy rzeczywiście tak jej spowszedniała taka perspektywa? *Tworzyli przedziwną parę. On ze swym nienaturalnie ograniczonym doświadczeniem życiowym - z tymi*

zmarnowanymi latami - dokładający teraz wszelkich starań, by nadrobić stracony czas. Ona apatyczna, znużona samą myślą o ucieczce ze swego dobrowolnego więzienia.

- Mogłabyś pojechać dokądkolwiek.
- Dokądkolwiek to tak samo jak donikąd - odrzekła matowym głosem; był to cel podróży, o którym nierzadko rozmyślała. Spojrzała na Marty'ego, w nadziei że jakieś światełko zaświta, ale nie okazał ani błysku zrozumienia. - Nieważne - powiedziała.
- Wracasz?

185

- Nie. Zostanę tu jeszcze przez chwilę.
- Tylko się nie rzuć do wody.
- Nie umiesz pływać, co? - odparła poirytowana. Zmarszczył brwi, nie chwytając aluzji. - Nie szkodzi. Nigdy nie uważałam cię za bohatera. Zostawił ją stojącą o kilka cali od krawędzi urwiska, wpatrzoną w powierzchnię wody. To, co jej powiedział o sobie, było prawdą; rzeczywiście nie znał się na ludziach. A na kobietach znał się jeszcze mniej. Powinien był przywdziać sutannę, jak chciała jego matka. To rozwiązałoby problem; tyle że do religii też nie miał serca, nigdy. Może po części stąd wynikały problemy pomiędzy nim a dziewczyną - żadne z nich w nic nie wierzyło. Nie mieli sobie nic do powiedzenia, nie mieli spraw do przedyskutowania. Spojrzał za siebie. Carys przeszła kilka kroków wzdłuż brzegu, oddalając się od miejsca, w którym ją zostawił. Światło słoneczne odbijało się od naskórka wody i wypalało obrys jej sylwetki. Czyniło ją to prawie nierealną.

Część trzecia

DEUCE

deuce¹ (rzeczownik) - dwójka w grze w kości lub w karty; (w tenisie) wynik (stan 40:40 w gemie lub równa ilość wygranych gemów w secie), przy którym jedna ze stron, by zwyciężyć, musi zdobyć dwa kolejne punkty lub wygrać dwa kolejne gemy.

deuce² (rzeczownik) - plaga, utrapienie; diabeł.

Przesąd 29

W niespełna tydzień po rozmowie przy jазie na filarach imperium Whiteheada ukazały się pierwsze, ledwo widoczne rysy. I szybko się pogłębiały. Na światowych giełdach papierów wartościowych zaczęła się spontaniczna sprzedaż, przejaw nagłej utraty zaufania do imperium. Wyniszczający spadek cen akcji niebawem osiągnął katastrofalne rozmiary. Gorączka wyprzedaży, raz wywołana, niebawem okazała się niemal nieuleczalna. Posiadłość odwiedzało dziennie więcej przybyszów, niż Marty widział tu kiedykolwiek do tej pory. Wśród nich, oczywiście, były znajome twarze. Ale tym razem pojawiły się dziesiątki innych osób, analityków finansowych, jak się domyślał. Goście z Japonii i Europy mieszały się z Anglikami, aż w końcu dom rozbrzmiewał większą różnorodnością akcentów niż siedziba Narodów Zjednoczonych.

Kuchnia, ku wielkiej irytacji Pearl, natychmiast stała się miejscem zaimprovizowanych spotkań tych, którzy w danej chwili nie byli potrzebni wielkiemu człowiekowi. Zasiadali wokół dużego kuchennego stołu, domagając się kawy w nieograniczonych ilościach, i debatowali nad

strategiami, dla których obmyślenia się tu gromadzili. Większość tych debat była, jak zwykle, niezrozumiała dla Marty'ego, ale z posłyszanych strzępów rozmów jasno wynikało, że korporacja stoi w obliczu niewyjaśnionego zagrożenia. Wszędzie odnotowano straty w zatrważających proporcjach; mówiono o interwencjach rządowych dla zapobieżenia nadciągającym katastrofom w Niemczech

189

i Szwecji; mówiono też o sabotażu, który miał jakoby zainicjować kataklizm. Wydawało się, że wszyscy ci prorocy są zgodni co do jednego: tylko wyrafinowany plan - przygotowywany przez kilka lat - mógł tak fundamentalnie zaszkodzić pomyślności korporacji. Były pogłoski o sekretnej ingerencji rządu; o spisku konkurencji. Paranoja, jaka zapanowała w Sanktuarium, nie znała granic.

Było coś absurdalnego w rozdrażnieniu tych ludzi i zacietrzewieniu, z jakim walczyli między sobą, rzeźbiąc rękami powietrze, po to tylko, by zanegować racje poprzedniego rozmówcy. Przecież nigdy nie widzieli miliardów, które tracili albo zyskiwali, ani ludzi, którym lekką ręką przeobrażali całe życie. To wszystko było abstrakcją; liczbami w ich głowach. Marty nie potrafił dostrzec w tym żadnego sensu. Władza nad wymyślanymi liczbami to tylko sen o władzy, nie władza prawdziwa.

Trzeciego dnia, gdy wszyscy byli już wypompowani z wszelkich pomysłów na błyskotliwe gambity i modlili się o zbawienie, którego nadejścia nie zapowiadały jednak żadne znaki, Marty spotkał Billa Toya, zaabsorbowanego gorącą debatą z Dwoskinem. Toy, widząc Marty'ego, natychmiast - ku jego zaskoczeniu - przywołał go do siebie, ucinając dotychczasową rozmowę w pół słowa. Dwoskin oddalił się z grymasem

niezadowolenia na twarzy, a Toy mógł swobodnie pomówić z Martym.

- No i co, nieznajomy - zaczął. - Jak się miewasz?
 - W porządku - odparł Marty. Toy wyglądał, jakby nie spał już od wielu nocy. - A ty?
 - Jakoś przeżyję.
 - Masz pojęcie, co tu się właściwie dzieje?
- Toy uśmiechnął się krzywo.
- Żadnego - powiedział. - Nigdy nie byłem finansistą. Nienawidzę tej rasy. Hieny.
 - Wszyscy mówią, że to katastrofa.
 - O tak - odpowiedział Toy spokojnie - myślę, że tak właśnie jest.

190

Marty'emu zrzędała mina. Miał nadzieję na parę słów otuchy. Toy wyczuł niepokój u rozmówcy i domyślił się jego przyczyn.

- Nic strasznego się nie stanie - rzekł - dopóki zachowamy zimną krew. Nadal będziesz miał tę pracę, jeśli o to się martwisz.
- Przebiegło mi to przez myśl.
 - Nie myśl więc o tym więcej. - Toy położył Marty'emu dłoń na ramieniu. - Jeśli się zorientuję, że sprawy mają się aż tak niedobrze, dam ci znać.
- Wiem. Po prostu zaczynam być niespokojny.
 - A kto nie? - Toy mocniej zacisnął dłoń na ramieniu Marty'ego. - Co byś powiedział, gdybyśmy tak we dwóch wyskoczyli kiedyś do miasta, gdy już najgorsze będzie za nami?
- Chętnie.

- Byłeś kiedyś w kasynie „Academy”?
- Nigdy nie miałem dość pieniędzy.
- Zabiorę cię. Przepuścimy trochę fortuny Joego, co?
- Pasuje mi.

Wyraz zaniepokojenia nie opuszczał twarzy Marty'ego.

- Posłuchaj - rzekł z naciskiem Toy. - To nie twoja wojna. Rozumiesz, co mówię? Cokolwiek się stanie, nie ty będziesz temu winien.

Popelniliśmy po drodze parę błędów i teraz musimy za nie zapłacić.

- Błędów?
- Ludzie bywają pamiętliwi, Marty.
 - To wszystko... - Marty zakreślił ręką krąg w powietrzu, by ogarnąć cały ten cyrk wokół nich -.. .tylko dlatego, że ludzie bywają pamiętliwi?
 - Uwierz mi. To najlepszy powód na świecie.

Uderzyło Marty'ego, że Toy trzymał się ostatnimi czasy na uboczu; że już nie był, jak dawniej, kluczową postacią w otoczeniu starego. Czy to tłumaczyło obecność grymasu goryczy na jego zmęczonej twarzy?

- Wiesz, kto jest za to odpowiedzialny? - spytał Marty.

191

- A cóż mogą wiedzieć bokserzy? - odparł Toy z wyraźną nutą ironii w głosie.

I Marty już był pewien, że ten człowiek wie wszystko.

Dni paniki przeszły w tydzień i nadal nie dawało się zauważyć żadnych oznak poprawy. Zmieniały się twarze doradców, ale eleganckie garnitury i

mądra gadka pozostały te same. Pomimo napływu wciąż nowych osób Whitehead stale poluzowywał rygory bezpieczeństwa. Coraz rzadziej wymagano, by Marty był przy starym; kryzys zdawał się rugować z umysłu Papy wszelkie myśli o zamachowcu.

Nie brakowało jednak w tym okresie niespodzianek. W pierwszą niedzielę Curtsinger odciągnął Marty'ego na bok i podjął z nim wyrefinowaną rozmowę z zamiarem uwiedzenia go; zaczął od boksu, by przejść ku męsko-męskim przyjemnościom cielesnym i skończyć na bezpośredniej ofercie pieniężnej. „Tylko pół godziny; nic wyszukanego”. Marty odgadł, co wisi w powietrzu, zanim Curtsinger odsłonił karty, i zdążył przygotować sobie uprzejmą odmowę. Rozstali się we względnej zgodzie. Pomijając tego rodzaju rozrywki, był to raczej czas apatii. Rytm życia w rezydencji został zaburzony, a nie sposób było ustanowić żadnego nowego porządku. Jedynym sposobem Marty'ego na zachowanie zdrowych zmysłów stało się przebywanie na zewnątrz tak często, jak tylko mógł. Bardzo dużo teraz biegał, goniąc wokół posiadłości jak pies za własnym ogonem, aż zmęczenie oczyściło mu umysł i mógł udać się z powrotem do swojego pokoju, mijając po drodze tłum świetnie ubranych manekinów wałęsających się po korytarzach. Na piętrze z radością zamykał za sobą drzwi na klucz (raczej po to, by tamtym uniemożliwić wejście, niż po to, żeby samemu zamknąć się przed światem), brał prysznic i zasypiał na długie godziny głębokim, pozbawionym marzeń snem, jaki lubił najbardziej.

Carys nie miała takiej swobody. Od nocy, kiedy psy wytropiły Mamouliana, uczepliła się myśli, by - gdy tylko nadarzy się okazja - zabawić się w szpiega. Dlaczego miałyby to robić,

tego nie była pewna. Nigdy nie interesowała się zbytnio tym, co działo się w Sanktuarium. Co więcej, z zapalem unikała kontaktów z Lutherem, Curtsingerem i całą resztą kohorty jej ojca. Teraz jednak poczuła, jak dziwny przymus, bez najmniejszego ostrzeżenia, skłaniają do podejmowania różnych działań: by szła do biblioteki albo do kuchni, albo do ogrodu - i po prostu obserwowwała. Nie czerpała z tego żadnej przyjemności. Wiele z rzeczy, które usłyszała, było dla niej niezrozumiałe; wiele było po prostu bezmyślnymi plotkami, powtarzanymi przez przekupki ze świata finansów. Mimo to potrafiła siedzieć wśród nich godzinami, aż zaspokoila to bliżej nieokreślone pragnienie, a wówczas przenosiła się w inne miejsce, chyba tylko po to, by przysłuchiwać się kolejnej debacie. Niektórzy rozmówcy wiedzieli, kim ona jest; tym, którzy nie wiedzieli, przedstawiała się w najprostszy możliwy sposób. Gdy tylko tożsamość dziewczyny została ustalona, jej obecność przestawała kogokolwiek dziwić.

Poszła też odwiedzić Lillian i psy w przygnębiających zabudowaniach na tyłach domu. Nie dlatego, że lubiła te zwierzęta; po prostu czuła, że musi je zobaczyć, dla samego spotkania z nimi, by popatrzeć na zamki, na wybiegi i na szczenięta bawiące się wokół matki. W myślach wyznaczała pozycje psich bud względem ogrodzenia i domu, odliczała kroki, na wypadek gdyby była zmuszona odnaleźć zabudowania w ciemności. Do czego miałyby kiedykolwiek przydać się jej ta wiedza, to akurat Carys umknęło.

Podczas tych wypraw dokładała wszelkich starań, by nie zobaczył jej Marty ani Toy, a zwłaszcza ojciec. To była gra, ale dokładny cel rozgrywki

pozostawał dla niej tajemnicą. Może tworzyła mapę posiadłości. Czy to dlatego spacerowała z jednego końca domu do drugiego po kilka razy, analizując jego topografię, obliczając długość korytarzy, zapamiętując, jak pokoje są położone względem siebie? Jakikolwiek był powód tego głupiego zajęcia, odpowiadało ono na jakąś niewypowiedzianą potrzebę, tkwiącą głęboko w niej, i kiedy zadanie zostało wykonane, dopiero wtedy czuła, że pragnienie zostało zaspokojone

193

i że da jej na jakiś czas spokój. Do końca tygodnia знаła dom jak własną kieszeń; odwiedziła wszystkie pokoje z wyjątkiem tego jednego, należącego do ojca, gdzie zakaz wstępu obowiązywał nawet ją. Sprawdziła wszystkie wejścia i wyjścia, klatki schodowe i korytarze, i zrobiła to ze złodziejską dokładnością.

Dziwne dni; dziwne noce. Czy to obłąd? - zaczynała się zastanawiać.

W drugą niedzielę -jedenastego dnia kryzysu - Marty został wezwany do biblioteki. Był tam Whitehead. Wyglądał może na nieco zmęczonego, ale zasadniczo nie zdawał się wystraszony olbrzymią presją, pod jaką się znajdował. Ubrany do wyjścia; miał na sobie ten sam płaszcz z futrzanym kołnierzem, który nosił pierwszego dnia, podczas tamtej symbolicznej wizyty w psiarni.

- Nie wychodziłem z domu od kilku dni, Marty - oznajmił -i głowa mi zatechła. Sądzę, że powinniśmy się przejść, pan i ja.
- Wezmę kurtkę.
- Tak. I broń.

Wyszli przez tylne wyjście, unikając w ten sposób spotkania z nowo

przybyłymi delegacjami, które wciąż tłoczyły się na schodach i w holu, czekając na dopuszczenie do przenajświętszej świętości.

Był przyjemny dzień; siedemnasty kwietnia. Cienie płochych obłoków przesuwały się po trawniku w swobodnych gromadach.

- Pójdziemy do lasu - powiedział stary, ruszając przodem.

Marty podążył za nim w nakazanej szacunkiem odległości kilku jardów, w pełni świadom, że Whitehead wyszedł, by odświeżyć umysł, a nie na pogawędkę.

W lesie aż wrzało od wszelkiej aktywności. Młode rośliny przebijały się przez gnijącą warstwę zeszłorocznych opadłych liści; ptaki brawurowo nurkowały i wlatywały pośród drzew; ptasie zaloty słyhać było na każdej gałęzi. Szli kilka minut, nie podążając jakąś konkretną ścieżką, a Whitehead nawet nie odrywał wzroku od swoich butów. Poza zasięgiem wzroku

194

domowników i uczniów mniej krył brzemień osaczenia, które dźwigał na barkach. Z pochyloną głową włókł się między drzewami, nie poruszał go śpiew ptaków ani pąki liści, pękające na gałęziach.

Marty'ego cieszyła ta przechadzka. Wcześniej, ilekroć znalazł się na tym terenie, zawsze biegł. Teraz, zmuszony do zachowania wolnego tempa marszu, dostrzegał szczegóły lasu. Płatanina kwiatów pod nogami, grzyby wyrastające w wilgotnych zagłębieniach pomiędzy korzeniami drzew - wszystko to zachwycało. Idąc, zebrał garść małych kamyczków. Jeden miał na sobie skamieniały odcisk paproci. Pomyślał o Carys i gołębniku, i nagle nieoczekiwana tęsknota zamajaczyła na obrzeżach jego świadomości. Nie miał powodu, by bronić się przed tą tęsknotą, dopuścił ją więc do siebie.

Gdy już się przyznał sam przed sobą do swych uczuć wobec Carys, ich ciężar go zaszokował. Czuł się tak, jakby spiskowano przeciw niemu; jakby przez ostatnie kilka dni jego emocje działały w jakimś sekretnym miejscu w nim, lekkie zainteresowanie dziewczyną przekształcając potajemnie w coś znacznie głębszego. Niewielką miał jednak szansę na rozgryzienie tego zjawiska. Gdy uniósł wzrok znad skamieniałej paproci, ujrzał Whiteheada daleko przed sobą. Odsunął na bok myśli o Carys i przyśpieszył kroku. Pasy słońca i cienia przesuwwały się pomiędzy drzewami, gdy lekkie obłoki, niesione wiatrem, ustępowały miejsca cięższym formacjom chmur. Wiał coraz chłodniejszy wiatr; od czasu do czasu pojawiała się w nim kropla deszczu.

Whitehead postawił kołnierz. Ręce wsunął do kieszeni. Gdy Marty się z nim zrównał, powitał go pytaniem:

- Czy wierzysz w Boga, Marty?

Pytanie padło bez ostrzeżenia. Nieprzygotowany na nie Marty potrafił rzec tylko: „Nie wiem”, co było dość uczciwym postawieniem sprawy, zważywszy wszelkie możliwe odpowiedzi na to pytanie.

Ale Whitehead oczekiwał bardziej wyczerpującej deklaracji. Jego oczy błyszczały.

195

- Nie modłę się, jeśli o to panu chodzi - spróbował jeszcze raz Marty.
- Nie modlił się pan nawet przed pańskim procesem? Jakieś szybkie słówko do Wszechmogącego?

Nie było w tym pytaniu żartu, ani złośliwego, ani przyjaznego. I znów Marty odpowiedział najszczerzej, jak potrafił:

-Nie pamiętam dokładnie... sądzę, że jednak wtedy się do niego

zwróciłem, tak. - Przerwał. Chmury przesłoniły słońce nad nimi. -
Strasznie dużo mi to dało - zakpił.

- A w więzieniu?

- Nie; nigdy się nie modliłem. - Tego był całkowicie pewien. - Ani razu.

- Ale chyba byli w Wandsworth jacyś bogobojni mężczyźni?

Marty przypomniał sobie Heseltine'a, z którym dzielił celę przez kilka tygodni na początku odsiadki. Tiny, stary wyga, spędził więcej lat za kratkami niż na wolności. Co noc przed zaśnięciem mamrotał do poduszki okaleczoną wersję Modlitwy Pańskiej - „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje” - nie rozumiejąc znaczenia słów ani ich wagi, po prostu klepał modlitwę z pamięci, jak to zapewne czynił przez większość swego życia, aż z jej sensu nie dało się już nic ocalić: „...albo ja wiem, czy twoje jest królestwo, i noc, i chała na wiekach weków. Amen”.

Czy o to chodzi Whiteheadowi? Czy w modlitwie Heseltine'a był szacunek i dziękczynienie dla Stwórcy, czy chociażby antycypacja Sądu Ostatecznego? Odpowiedź Marty'ego brzmiała:

- Nie. Nie było naprawdę bogobojnych. To znaczy, jaki sens miałyby...

Znacznie więcej kryło się za tą myślą i Whitehead czekał na to z cierpliwością sępa. Ale słowa utknęły Marty'emu w gardle. Stary postanowił im pomóc się wydostać.

- Dlaczego nie miałyby to sensu, Marty?

- Bo wszystko i tak jest dziełem przypadku, czyż nie? Za wsze tylko ślepy traf.

długie milczenie, wreszcie stary odezwał się:

- Czy wie pan, dlaczego pana wybrałem, Marty?
- Nie wiem.
- Toy nigdy panu nic nie mówił?
 - Powiedział mi, że według niego, poradzę sobie z tą robotą.
 - Cóż, wielu ludzi odradzało mi zatrudnienie pana. Uważali, że jest pan nieodpowiedni z wielu powodów, w które nie musimy się zagłębiać. Nawet Toy nie był pewien. Polubił pana, ale nadal miał wątpliwości.
- Ale mimo to zatrudnił mnie pan?
- W rzeczy samej, zatrudniliśmy pana.

Marty'emu ta gra w kotka i myszkę zaczęła się wydawać nieznośna.

Rzekł więc:

- Ale teraz powie mi pan dlaczego, prawda?
 - Jest pan hazardzistą - odparł Whitehead. Marty poczuł się tak, jakby znał odpowiedź na długo, zanim została wypowiedziana. - Nie wpadłby pan w ogóle w kłopoty, gdyby nie miał pan poważnych długów hazardowych do spłacenia. Czy mam rację?

-Mniej więcej.

- Wydawał pan każdego zarobionego pensa. A przynajmniej tak zeznawali w sądzie pańscy znajomi. Przepuszczał pan swoje zarobki.
- Nie zawsze. Zdarzały się spore wygrane. Naprawdę spore.

Spojrzenie, jakim Whitehead obdarzył Marty'ego, było ostre jak skalpel.

- Po tym wszystkim, co pan przeszedł - tej całej chorobie, która przysporzyła panu tylu cierpień - nadal mówi pan o sporych wygranych.

- Pamiętam te najlepsze chwile; każdy by je pamiętał na moim miejscu - bronił się Marty.
- Łut szczęścia, nic więcej.
- Nie! Byłem dobry, do cholery.

197

- Łut szczęścia, Martin. Sam pan to powiedział przed chwilą. Mówił pan, że wszystko było dziełem ślepego trafu. Jak można być dobrym w czymś, co jest tak zależne od zrzędzenia losu? To się przecież nie trzyma kupy.

Ten człowiek miał rację, przynajmniej na to wyglądało. Ale rzecz nie przedstawiała się tak prosto, jak on to przedstawiał, oj nie. Wszystko było dziełem przypadku; Marty nie mógł kwestionować tej podstawowej przesłanki. Ale jakaś jego część wierzyła jednak w coś zgoła odmiennego. W co konkretnie -tego nie potrafiłby określić.

- Czy nie tak właśnie pan powiedział? - naciskał Whitehead. - Że to był przypadek?
- To nie zawsze jest tak.
- Niektórzy z nas mają los po swojej stronie. Czy to chce pan powiedzieć? Niektórzy z nas trzymają palce... - Whitehead palcem wskazującym narysował w powietrzu wirujące koło -...na kole. - Palec zakreślający okrąg zatrzymał się.

Marty dokończył obraz w wyobraźni: kulka przeskakuje z dołka do dołka, w końcu znajduje własną niszę, własny numer. Kilku graczy wydaje okrzyk triumfu.

- Nie zawsze - powiedział. - Czasami.

- Proszę to opisać. Opisać to uczucie.

Czemu nie? Co w tym złego?

- Czasem to było tak łatwe, wie pan, jak odebranie słodczy niemowlęciu. Szedłem do klubu, żetony wywoływały mrowie nie w dłoniach i wtedy wiedziałem - Jezu, wiedziałem - że nie mogę nie wygrać.

Whitehead uśmiechnął się.

- Ale przegrywał pan - przypomniał Marty'emu z pełną galanterii brutalnością. - Często pan przegrywał. Przegrywał pan, aż przegrał pan wszystko, co pan posiadał, a nawet dużo więcej.
- Byłem głupi. Grałem, nawet kiedy nie czułem mrowienia, kiedy wiedziałem, że mam złą passę.
- Dlaczego?

Marty spojrzał groźnie na starego.

198

- Czego pan oczekuje, podpisanych zeznań? - burknął. - Byłem chciwy, a co pan sobie wyobraża? Uwielbiałem grać, nawet gdy nie miałem szans na wygraną. Wciąż chciałem grać.
- Dla samej gry.
- Chyba tak. Tak. Dla gry.

Twarz Whiteheada przybrała na moment niewiarygodnie skomplikowany wyraz. Żal mieszał się na niej ze straszliwym, bolesnym poczuciem utraty. I jeszcze czymś - niezrozumieniem. Whitehead - pan i władca wszystkiego, co znalazło się pod jego nadzorem, nagle pokazał - na zbyt krótko - inne, bardziej przystępne oblicze, oblicze człowieka

zagubionego, strapionego aż do granic rozpacz.

- Potrzebowałem kogoś z taką słabością jak pańska - wyjaśnił i nagle to on był tym, który czyni wyznania. - Bo wiedziałem, że prędzej czy później nadejdzie taki czas jak obecnie, i będę musiał prosić kogoś, by zechciał podjąć ryzyko razem ze mną.

- Jakiego rodzaju ryzyko?

- Nic tak prostego jak ruletka czy gra w karty. Chciałbym, żeby tak było. Wówczas być może potrafiłbym wyjaśnić to panu, zamiast prosić o akt wiary. Ale to jest tak skomplikowane. A ja jestem zmęczony.

- Bill powiedział mi co nieco...

Whitehead przerwał mu.

- Toy opuścił posiadłość. Stosunki pomiędzy nami pogarszały się od jakiegoś czasu. - Pochwycił cień niepokoju na twarzy Marty'ego. - Proszę się tym nie trapić. Pańska posada w tym domu jest równie pewna jak dotąd. Ale musi mi pan zaufać bezwzględnie.

- Proszę pana, ja...

- Nie potrzebuję deklaracji lojalności; jeśli idzie o mnie, są stratą czasu. Nie dlatego, bym nie ufał w pana szczerość. Nie. Ale jestem otoczony przez ludzi, którzy mówią mi to, co im się wydaje, że ja chcę usłyszeć. To w ten sposób zaopatrują swoje żony w futra, a synów w kokainę. - Gdy to mówił, odziane w rękawiczkę palce zanurzył jak szpony w brodę na policzku.

- Tak niewiele znalazło się wśród nich uczciwych osób. Jedną był Toy.

Drugą - Evangeline, moja żona. To bardzo niewiele. Muszę po prostu ufać

instynktowi; muszę wykreślać wszystko, co mówią inni, i podążać za tym, co rozum mi podpowiada. A on ufa panu, Martin.

Marty nic nie powiedział; po prostu słuchał, jak głos Whi-teheada robi się coraz cichszy, a wzrok tak intensywny, że jego żar mógłby podpalić drwa na ognisku.

- Jeśli zostanie pan przy mnie - jeśli zapewni mi pan bezpieczeństwo - będzie pan mógł stać się, kimkolwiek pan ze chce, lub zdobyć na własność wszystko, czego pan zapagnie. Rozumie mnie pan? Wszystko.

Nie po raz pierwszy stary dopuścił się próby uwiedzenia; jednak warunki zdecydowanie się zmieniły, od czasu gdy Marty przybył do Sanktuarium. Teraz ryzyko było znacznie większe.

- Co się może zdarzyć w najgorszym razie?

Twarz Whiteheada zwiotczała, tracąc ów skomplikowany wyraz; tylko płonące oczy nadal okazywały oznaki życia.

- W najgorszym? - spytał Whitehead. - Któż to wie, co się może najgorszego zdarzyć? - Wydawało się, że łzy zaraz ugaszą płomień w jego oczach; powstrzymał je jednak. - Widziałem takie rzeczy. I zawsze przechodziłem obok nich bez uszczerbku. Nigdy nie myślałem... ani razu...

Odgłos bębnienia oznajmił, że zaczął padać deszcz. Delikatne perkusyjne dźwięki kontrapunktowały jękaninę Whiteheada. Nagle opuściła go cała werbalna wirtuozeria, był bezsilny. Ale było coś - coś wielkiego - co domagało się wypowiedzenia.

-Nigdy nie myślałem... że to się kiedykolwiek zdarzy mnie.

Przełknął resztę słów i pokręcił głową, dziwiąc się własnej

niedorzeczności.

- Czy pomoże mi pan? - spytał wprost, poniechawszy dalszych wyjaśnień.
- Oczywiście.
- No cóż - odparł Whitehead. - Zobaczymy. Ha!

200

Bez ostrzeżenia ruszył z miejsca i minąwszy Marty'ego, pomaszerował z powrotem tą samą drogą, którą przyszli. Przechadzka najwidoczniej się skończyła. Przez kilka minut szli tak, jak przedtem - Whitehead prowadził, a Marty podążał jego śladem w dyskretnej odległości dwu jardów. Jeszcze zanim dom znalazł się w zasięgu wzroku, Whitehead znów przemówił. Tym razem nie zmienił rytmu kroków, tylko rzucił przez ramię zaledwie cztery słowa zapytania.

- A do diabła, Marty?
- Słucham?
- Pytam o diabła. Czy kiedykolwiek modliłeś się do niego? To był żart.

Trochę ciężkawy, ale w taki sposób stary zwykł bagatelizować swoje zbyt szczere wyznania.

- No więc, modliłeś się?

- Raz czy dwa - odpowiedział Marty, próbując ukryć uśmiech.

Gdy tylko padły te słowa, Whitehead stanął jak wryty. Wyciągnął dłoń ku Marty'emu, by i jego zatrzymać.

-Sza!

Dwadzieścia jardów przed nimi na środku ścieżki stał lis. Nie widział

jeszcze tych, którzy go obserwowali, ale było tylko kwestią chwili, by złapał w nozdrza ich zapach.

- W którą stronę? - syknął Whitehead.
- Co takiego?
 - W którą stronę pobiegnie? Stawiam tysiąc funtów. Prosty zakład.
- Nie mam tyle... - zaczął Marty.
- Przeciwno tygodniowej pensji.

Marty uśmiechnął się. Cóż to jest - tygodniowa pensja? I tak nie miał jak jej wydać.

- Tysiąc funtów, że pobiegnie w prawo - powiedział White head.

Marty zawahał się.

- Szybciej, człowieku...
- Zakład.

201

Niemal w tej samej chwili zwierzę pochwyciło ich zapach. Nastawiło uszu, przekreśliło głowę i ujrzało dwóch mężczyzn. Przez ułamek sekundy było zbyt zaskoczone, by się poruszyć; potem rzuciło się do ucieczki. Przebyło kilka jardów ścieżką, nie zbaczając ani w prawo, ani w lewo, w biegu rozrzucało łapami zwiędłe liście. Następnie, bez ostrzeżenia, czmychnęło pod osłonę drzew, skręcając ze ścieżki w lewo. Co do tego, kto wygrał zakład, nie było wątpliwości.

- Dobra robota - oświadczył Whitehead, zdejmując rękawiczkę i wyciągając dłoń w stronę Marty'ego.

Kiedy ten ją uściśnił, poczuł, że wywołuje u niego mrowienie, jak

żetony w zwycięską noc.

Nim dotarli z powrotem do domu, deszcz rozpadał się na dobre. W budynku powitała ich panująca wszędzie cisza. Najwidoczniej Pearl, nie mogąc dłużej ścierpieć obecności barbarzyńców w kuchni, dała się ponieść nerwom i wyszła. Choć już jej tu nie było, winowajcy zostali z pewnością niezłe utemperowani, bo zredukowali swą paplaninę do szeptu, i tylko nieliczni odważyli się podejść do Whiteheada, gdy ten przekroczył próg domu. Tym paru śmiałkom rychło dostało się za swoje.

- Ty wciąż tutaj, Munrow? - rzucił stary do jednego ze swych czcicieli.

Innemu, który popełnił błąd, podtykając mu pod nos plik papierów, poradził, by się nimi wypchał. Obaj z Martym dotarli przeto do gabinetu bez większych przeszkód. Whitehead otworzył wmurowany w ścianę sejf.

- Jestem pewien, że woli pan gotówkę.

Marty studiował wzór na dywanie. Chociaż uczciwie wygrał zakład, krępowała go ta sytuacja.

- Może być gotówka - wymamrotał.

Whitehead odliczył plik dwudziestofuntowych banknotów i wręczył je Marty'emu.

- Miłej zabawy - powiedział.
- Dziękuję.

202

- Proszę mi nie dziękować - rzekł Whitehead. - To był prosty zakład. Ja przegrałem.

Dziwne milczenie zapadło, gdy Marty schował pieniądze do kieszeni.

- Naszą rozmowę... - zaczął stary - ... należy zachować w naj -ściślejszej tajemnicy, rozumie pan?

- Oczywiście, nigdy bym...

Whitehead uniósł dłoń, by uciszyć te zapewnienia.

- W najściślejszej tajemnicy. Moi wrogowie mają agentów.

Marty przytaknął, jak gdyby wszystko rozumiał. Poniekąd, oczywiście, sytuacja była dla niego jasna. Whitehead mógł podejrzewać Pearl albo Luthera. Być może nawet Toya, który tak nagle stał się persona non grata.

- Ci ludzie są odpowiedzialni za obecny upadek mojej fortuny. To wszystko zostało skrupulatnie zaplanowane. - Wzruszył ramionami, a oczy zwężyły mu się w szparki.

Boże, pomyślał Marty, nigdy nie chciałbym mieć tego człowieka przeciwko sobie.

- Nie martwi mnie to. Jeśli chcą planować moją zgubę, niech sobie planują. Ale nie chciałbym nawet dopuścić myśli, że moje najintymniejsze uczucia są im znane. Rozumie pan?

- Nie będą im znane.

- Nie. - Zasznurował wargi; taki zimny pocałunek zadowolenia.

- Widuje się pan czasem z Carys, o ile mi wiadomo. Pearl mówi, że spędzacie razem czas, czy to prawda?

-Tak.

W głosie Whiteheada znów pobrzmiwała obojętność, jawnie fałszywa.

-Przez większość czasu wydaje się osobą zrównoważoną, ale w zasadzie to tylko poza. Niestety, nie jest z nią dobrze, i to już od kilku lat. Oczywiście była u najlepszych psychiatrów, jakich

można mieć za pieniądze, ale obawiam się, że nie na wiele się to zdało. Jej matka też przez to przeszła pod koniec życia.

- Czy chce mi pan powiedzieć, bym się z nią nie widywał?

Whitehead wydawał się szczerze zdumiony.

203

- Ależ nie, skądże znowu. Towarzystwo może jej tylko do brze zrobić. Proszę jedynie mieć na względzie to, że jest bardzo niezrównoważoną dziewczyną. Nie należy brać jej wynurzeń zbyt poważnie. Przez większość czasu nie wie, co mówi. Cóż. Myślę, że to wszystko. Niech pan lepiej idzie, lis czeka, by go spłacić.

Zaśmiał się łagodnie.

- Szczwany lis - dodał.

Przez te dwa i pół miesiąca, które Marty spędził w Sanktuarium, Whitehead jawił mu się niczym góra lodowa - niezatopialny. Teraz będzie musiał zweryfikować ten wizerunek. Dziś ujrzał zupełnie innego człowieka: nieumiejącego się wysławić, samotnego; mówiącego o Bogu i modlitwie. Nie tylko o Bogu. Było przecież to ostatnie pytanie, rzucone tak beztrasko:

„A do diabła? Czy kiedykolwiek modliłeś się do niego?”.

Marty czuł się, jakby wręczono mu garść kawałków układanki, z których żaden nie pasował do tego samego portretu. Fragmenty tuzina scen: Whitehead olśniewający, otoczony przez swych wyznawców, albo siedzący przy oknie i spoglądający w noc; Whitehead potentat, pan na swych włościach, albo zakładający się jak pijany dozorca o to, w którą

stronę pobiegnie lis.

Zwłaszcza ten ostatni fragment układanki wprowadzał u Marty'ego zamęt. Podejrzewał, że w nim tkwi wskazówka, jak połączyć w jedną całość te sprzeczne obrazy. Miał bardzo dziwne przeczucie, że zakład o lisa był ustawiony. Niemożliwe, rzecz jasna, a jednak, a jednak...

Przypuśćmy, że Whitehead potrafił trzymać palec na wirującym kole fortuny, kiedy tylko zechciał, tak że nawet tak błaha rzecz, jak to, w którą stronę pobiegnie lis, była pod jego kontrolą. Czy potrafił przewidywać przyszłość - czy mrowienie wywoływane przez żetony, a także przez palce Whiteheada, ma coś wspólnego z przewidywaniem przyszłości? - czy może po prostu sam ją kształtował?

Dawny Marty z miejsca odrzuciłby tak subtelne dywagacje. Ale Marty nie był taki jak dawniej. Pobyt w Sanktuarium

204

go odmienił, odmieniły go rozmowy z Carys. Był na sto sposobów bardziej skomplikowanym człowiekiem i choć jakaś jego część pragnęła powrotu do wyrazistości tego, co białe i czarne, wiedział diabelnie dobrze, że takie uproszczenie byłoby kłamstwem. Doświadczenie składa się z nieskończonych dwuznaczności - motywów, uczuć, przyczyny i skutku - i jeśli Marty ma w takich okolicznościach wygrać, musi zrozumieć, jak te dwuznaczności działają.

Nie; nie wygrać. Tu nie chodziło o wygraną czy przegraną: nie w taki sposób, jak dawniej to rozumiał. Lis pobiegł w lewo, a on miał w kieszeni zwinięte tysiąc funtów, ale nie czuł nic z tego radosnego podniecenia, niegdyś nieodłącznie towarzyszącego wygranym na wyścigach czy w kasynie. Po prostu czerń wykrwawiała się w biel, a biel w czerń, aż z

trudem mógł odróżnić, co jest słuszne, a co nie.

30

Toy zatelefonował do posiadłości po południu, rozmawiał z gniewną Pearl, która właśnie miała zamiar wyjść, i zostawił wiadomość dla Marty'ego, by ten oddzwonił do niego na numer w Pimlico. Ale Marty nie oddzwonił. Toy zastanawiał się, czy to Pearl nie przekazała wiadomości, czy może White-head jakoś zdołał ją przechwycić i nie dopuścił do wykonania połączenia zwrotnego. Jakikolwiek był tego powód, Toyowi nie udało się porozmawiać z Martym i czuł się z tego powodu winny. Obiecał ostrzec Straussa, jeśli sprawy przyjmą fatalny obrót. Właśnie to nastąpiło. Nie żeby coś zauważalnego dało się wykryć. Niepokoje Toya wywoływał raczej jego instynkt niż fakty. Ale przecież Yvonne nauczyła go ufać swemu sercu, nie głowie. Wszystko tak czy owak miało niebawem runąć, a on nie ostrzegł Marty'ego. Być może dlatego miał złe sny i budził się z mocno utrwalonym w pamięci wspomnieniem jakiejś obrzydliwości.

Nie wszystkim udaje się przetrwać młodość. Niektórzy umierają wcześniej - ofiary własnego głodu życia. Toy nie stał się jedną z nich, ale był tego niebezpiecznie blisko. Nawet nie zdawał sobie wówczas z takiego obrotu sprawy. Zbyt olśniewały go nowe morza, na które wypłynął za sprawą Whiteheada, by dostrzec, jak bardzo zatrute są w nich wody. I spełniał życzenia wielkiego człowieka z niekwestionowaną skwapliwością, czyż nie? Ani razu nie odmówił wykonywania poleceń, jakkolwiek niezgodne z prawem mogły się wydawać. Dlaczego więc miałby

się dziwić, że te same zbrodnie, które z taką swobodą popełniał, przez te wszystkie lata cichym ścigały go lotem? To dlatego leżał teraz, oblany lepkiem potem, przy boku śpiącej Yvonne, i jedna tylko fraza krążyła pod sklepieniem jego czaszki:

Mamoulian przyjdzie.

To była jedyna jasna rzecz w jego umyśle. Reszta - myśli o Martym, o Whiteheadzie - były istnym potpourri wstydu i oskarżeń. Ale ta prosta fraza - Mamoulian przyjdzie - wyłaniała się z tego śmietnika niepewności jako stały punkt, od którego wszystkie lęki brały swój początek.

Na nic przeprosiny. Żadna unізoność nie poskromi gniewu Ostatniego Europejczyka. Ponieważ Toy był młody i brutalny i miał niegodziwe zamiary. Dawno, dawno temu, gdy był zbyt młody, by mieć więcej rozumu w głowie, sprawił, że Mamoulian cierpiał, i wyrzuty sumienia, które teraz odczuwał, przyszły za późno - dwadzieścia, trzydzieści lat za późno - a poza tym, czyż przez te wszystkie lata nie żył z zysków owej brutalności? Jezu, szepnął w niespokojnym rytmie swego oddechu, Jezu, pomóż mi.

Bał się i gotów był przyznać się do lęku, jeśli tylko przyniosłoby mu to pocieszenie ze strony Yvonne, przewrócił się na bok i sięgnął ku niej ręką. Ale jej nie znalazł. Połowa łóżka Yvonne była zimna.

Usiadł, straciwszy na moment orientację.

- Yvonne?

Wpadające przez uchylone drzwi sypialni słabiutkie światło opisywało pokój. Panował w nim chaos. Pakowali się cały wieczór i nie dokończywszy dzieła, o pierwszej w nocy położyli się spać. Na komodzie

sterta ubrań; w kącie rozdziawiona walizka; krawaty Toya przewieszane przez oparcie krzesła jak zasuszone węże z językami wywalonymi na podłogę.

Usłyszał szmer na podeście schodów. Dobrze znał odgłos kroków Yvonne. Poszła po szklankę soku jabłkowego albo po herbatnika, jak miała w zwyczaju. Jej sylwetka pojawiła się w drzwiach.

- Wszystko w porządku? - spytał.

207

Wymamrotała coś jakby „tak”. Toy z powrotem złożył głowę na poduszce.

- Znowu głodna - powiedział, pozwalając opaść powiekom.

- Stale głodna.

Zimne powietrze wtargnęło do łóżka, gdy Yvonne uniosła kołdrę, kładąc się obok Toya.

- Zostawiłaś na dole światło - skarcił ją, gdy sen na powrót zaczął wkradać mu się pod powieki.

Nie odpowiedziała. Pewnie już śpi; posiadała dar natychmiastowego wpadania w nieświadomość. Odwrócił się, by spojrzeć na nią w półmroku. Jeszcze nie chrapała, ale też i nie leżała całkiem cicho. Przysłuchiwał się uważniej, czując niepokój w swych splątanych trzewiach. Wydawała jakiś wilgotny dźwięk; jakby oddychała przez błoto.

- Yvonne... czy wszystko w porządku?

Nie odpowiedziała.

Od strony oddalonej o kilka cali twarzy doleciał jakiś rozmokły odgłos. Sięgnął w stronę wyłącznika lampy nad łóżkiem, nie odrywając oczu od ciemnej bryły głowy Yvonne. Lepiej zrobić to szybko, rozumował, zanim

wyobraźnia całkiem nim zawładnie. Jego palce odnalazły wyłącznik, przez chwilę nie mogły sobie z nim poradzić, w końcu zapaliło się światło.

To, co patrzyło na niego z poduszki, nie dało się rozpoznać jako Yvonne.

Wybełkotał jej imię, gdy tyłem wygramolił się z łóżka, nie mogąc oderwać oczu od obrzydliwości, jaką ujrzał przed sobą. Jak to możliwe, że miała w sobie dość życia, by wspiąć się na schody, wejść do łóżka i jeszcze wymamrotać „tak”? Głębokość zadanych jej ran musiała ją zabić. Nikt nie przeżyłby ani chwili, pozbawiony do tego stopnia skóry i kości, co ona.

Na wpół obróciła się w łóżku, z zamkniętymi oczyma, jak gdyby przez sen. Potem - w przerażający sposób - wymówiła jego imię. Jej usta nie działały jak dawniej; słowo wyszło z nich całe ubabrane we krwi. Nie był w stanie dłużej na to patrzeć, zacząłby krzyczeć, a to ściągnęłoby tamtych - ktokolwiek to zrobił. Przyszliby po niego z wyciem i ze swymi mokrymi

208

od krwi skalpelami. Pewnie czekali już za drzwiami; ale nic nie skłoniłoby go do zostania dłużej w tym pokoju teraz, gdy Yvonne wykonywała te powolne obroty na łóżku i nie przestając wymawiać jego imienia, podciągała do góry nocną koszulę.

Wypadł z sypialni na podest. Ku swemu zaskoczeniu nie zobaczył tam nikogo.

U szczytu schodów zawahał się. Nie był odważnym człowiekiem; nie był też głupcem. Jutro będzie mógł rozpaczać po stracie Yvonne, ale tej nocy po prostu odeszła od niego i nic nie pozostało do roboty, jak tylko uchronić się samemu przed tymi, którzy to uczynili, kimkolwiek są.

Kimkolwiek! Dlaczego sam przed sobą nie odważy się wypowiedzieć tego imienia? Mamoulian jest za to odpowiedzialny - to jego dzieło, na tym dziele, można by rzec, był jego podpis. Lecz nie działał sam. Europejczyk nie tknąłby swymi wyczyszczonymi palcami ludzkiego mięsa w taki sposób, jak ktoś to zrobił z Yvonne; jego delikatność stała się wręcz legendarna. Ale to on tchnął w nią to półzycie, które pozwoliło jej egzystować, gdy już dokonano na niej mord. Tylko Mamoulian był zdolny do takiej posługi.

I teraz zapewne czeka na dole, nieprawdaż, w tej mrocznej głębi, tym podwodnym świecie u podnóża schodów. Czeka -och, jakże długo już czeka - aż Toy zlezie na dół i stanie z nim twarzą w twarz.

- Idź do diabła - wyszeptał Toy w ciemną otchłań u swych stóp i ruszył powoli (korciło go, by biec, ale zdrowy rozsądek podpowiadał coś zgoła przeciwnego) w stronę drugiej sypialni na piętrze, tej przeznaczonej dla gości. Z każdym krokiem spodziewał się jakiegoś ruchu ze strony przeciwnika, ale nic takiego nie następowało. W każdym razie dopóki nie dotarł do drzwi pokoju gościnnego.

Wtedy - dokładnie w chwili, gdy naciskał klamkę - usłyszał za plecami głos Yvonne:

- Willy... - Słowo było lepiej uformowane niż poprzednio. Na bardzo krótką chwilę zwątpił w swoje zdrowie psychiczne. Czy jeśli się teraz odwróci, ujrzy ją stojącą w drzwiach sy-

piaini, okaleczoną tak, jak na utrwalonym w pamięci obrazie sprzed kilku chwil? Czy to możliwe? Czy też wszystko to sen, gorączkowe majaki?

- Dokąd idziesz? - zapytała. Na parterze ktoś się poruszył.
- Wracaj do łóżka.

Toy nie odwrócił się, by podziękować za to zaproszenie. Pchnął drzwi pokoju gościnnego, a gdy się otwierały, usłyszał, jak ktoś zaczyna wchodzić po schodach. Kroki były ciężkie, a ten, który kroczył - zniecierpliwiony.

W zamku brakowało klucza, Toy nie miał czasu na dosunięcie mebli pod drzwi - żadnych szans na opóźnienie pościgu. Trzema krokami przemierzył tonący w ciemnościach pokój, otworzył na oścież oszklone drzwi balkonowe i wyszedł na niewielki balkonik z kutego żelaza. Metal stęknął pod jego ciężarem. Można było podejrzewać, że długo go nie utrzyma.

W ogrodzie poniżej panował mrok, ale Toy miał jakieś wyobrażenie o tym, gdzie są rabaty kwiatowe, a gdzie kamienny chodnik. Bez wahania - słysząc głośnie kroki za plecami - przelaził przez barierkę balkonu. Jego stawy zaprotestowały przy tym wysiłku, a zrobiły to jeszcze gwałtowniej, gdy Toy, opuściwszy się po drugiej stronie barierki, zawisł w powietrzu, polegając jedynie na niepewnym chwycie własnych dłoni.

Rumor w pomieszczeniu, z którego przed chwilą wyszedł, przyciągnął uwagę prześladowcy: opasły zbir z zakrwawionymi dłońmi i zaciekleścią w oczach był w pokoju - zbliżał się do okna, warcząc z niezadowolenia. Toy rozkołysał ciało najmocniej, jak potrafił, i modlił się, by skacząc, ominąć chodnik znajdujący się, o czym dobrze wiedział, dokładnie pod jego bosymi stopami i wylądować na miękkiej ziemi grządki z kwiatami. Szanse na precyzyjne wymierzenie tego manewru były nikłe. Puścił

balustradę, w chwili gdy tłuszcioch dotarł do balkonu, a potem przez długi, jak mu się wydawało, czas leciał w tył, okno zaś zmniejszało się nad nim, aż wylądował - poza kilkoma siniakami bez większych obrażeń - pomiędzy pelargoniami zasadzonymi przez Yvonne zaledwie tydzień wcześniej.

210

Wstał na nogi, zdyszany, ale cały, i przez skąpany w blasku księżycy ogród pobiegł ku tylnej furtce. Była zamknięta na kłódkę, ale zdołał ją przesadzić bez trudu - adrenalina rozpałała ogień w jego mięśniach. Nie było odgłosów dalszej pogoni, a kiedy spojrzął za siebie, zobaczył, że grubas wciąż stoi w drzwiach balkonowych i obserwuje jego ucieczkę, jakby brakło mu zapału, by ruszyć śladem przyszłej ofiary. Czując nudności od nagłego podniecenia, Toy pognał wąskim przejściem, ciągnącym się na tyłach wszystkich ogrodów, dbając tylko o jedno - by jak najszybciej oddalić się od domu.

Dopiero kiedy dotarł do ulicy, na której właśnie zaczęły gasnąć uliczne latarnie, jako że świt zaróżowił się nad miastem, zdał sobie sprawę, że jest całkiem nagi.

31

Marty położył się spać jako szczęśliwy człowiek. Nadal wielu rzeczy nie rozumiał - tych, które stary, pomimo obiecanych wyjaśnień, wolał zachować w tajemnicy - ale w końcu cóż go one mogły obchodzić? Jeśli Papa chce mieć sekrety, niech tak będzie. Wynajęli Marty'ego, by o niego dbał, i wygląda na to, że dobrze wypełnia swe obowiązki ku zadowoleniu pracodawcy. Rezultat: intymne przemyślenia starego, którymi się z Martym podzielił, oraz tysiąc funtów pod poduszką.

Euforia nie pozwalała mu zasnąć; miał wrażenie, że jego serce bije ze zdwojoną prędkością. Wstał, włożył płaszcz kąpielowy i spróbował obejrzeć kilka filmów na wideo, by uwolnić umysł od wypadków minionego dnia, ale taśmy z boksem tylko go przygnębiały, podobnie pornografia. Zszedł do biblioteki, znalazł jakieś kosmiczne czytadło z pozaginanymi kartkami, następnie czmychnął z powrotem do siebie, zahaczając po drodze o kuchnię, by zabrać ze sobą piwo.

Carys była w jego pokoju, gdy wrócił na górę. Boso, w dżinsach i swetrze. Wyglądała na steraną życiem, starszą niż te jej dziewiętnaście lat. Uśmiech, którym go obdarzyła, był zbyt wyreżyserowany, by mógł być przekonujący.

- Nie masz nic przeciwko temu, że tu jestem? - spytała. - Po prostu usłyszałam, że kręcisz się po domu.
- Czy ty nigdy nie śpisz?

212

- Nieczęsto.
- Chcesz piwa?
- Nie, dziękuję.
- Usiądź - powiedział, zrzucając stertę ubrań z jedyne go krzesła, jakie miał w pokoju.

Usadowiła się jednak na łóżku, zostawiając krzesło Marty'emu.

- Muszę z tobą porozmawiać - oznajmiła.

Marty odłożył na bok przyniesioną książkę. Na okładce naga kobieta, o fluoryzująco zielonej skórze, wyłaniała się ze skorupy jaja na jakiejś planecie o dwóch słońcach: Carys mówiła dalej:

- Czy wiesz, co się tu dzieje?
- „Co się tu dzieje?”. O co ci konkretnie chodzi?
- Nie wyczułeś niczego dziwnego w domu?
- Na przykład czego?

Jej usta odnalazły swój ulubiony kształt; kąciki opadły w wyrazie rozdrażnienia.

- Nie wiem... trudno to opisać.
- Spróbuj.

Zawahała się, jak pływak przed skokiem z najwyższej trampoliny, po czym rzuciła się głową w dół.

- Czy wiesz, kto to jest nadwrażliwiec? Potrząsnął głową.
- To ktoś, kto potrafi odbierać fale. Fale mentalne.
- Czytanie w myślach?
- Poniekąd.

Spojrzał na nią z niepewnym wyrazem twarzy.

- Czy to coś, co ty potrafisz robić? - spytał.
- Nie „robić”. Ja nic nie robię. To raczej mi się samo robi. Marty - zakłopotany - odchylił się na krześle.

- To tak, jakby wszystko stawało się lepkie. Nie potrafię tego z siebie strząsnąć. Słyszę, jak ludzie mówią, choć nie poruszają ustami. Większość tego, co słyszę, jest pozbawiona sensu - zwyczajne bzdury.

-1 to są ich myśli?

- Tak.

Nie potrafił nic więcej powiedzieć, poza tym, że wątpił w to, co ona mówi, ale z pewnością nie to chciała usłyszeć. Przyszła tu po otuchę, czyż nie?

- To jeszcze nie wszystko - mówiła dalej. - Czasem widzę kształty wokół ludzkich ciał. Niewyraźne kontury... jakby rodzaj światła.

Marty pomyślał o mężczyźnie przy ogrodzeniu; o tym, jak tamten krwawił światłem lub przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Nie przerwał jednak dziewczynie.

- Chodzi o to, że wyczuwam rzeczy, których nie dostrzegają inni ludzie. Nie uważam, żeby to mnie czyniło jakoś szczególnie bystrą czy coś w tym stylu. Po prostu tak się dzieje. I od kilku tygodni wyczuwam coś w tym domu. Dziwne myśli przychodzą mi do głowy, po prostu znikąd; śnią mi się... straszne rzeczy. -Przerwała, świadoma tego, że jej opis staje się mniej wyrazisty i że mówiąc dalej, zaryzykuje utratę tej resztki wiarygodności, którą mógł dotychczas mieć jej monolog.

- Widzisz światło? - spytał Marty, cofając się do uprzedniej kwestii.

-Tak.

- Widziałem coś takiego. Pochyliła się ku niemu.

- Kiedy?

-Ten włamywacz... Wydawało mi się, że widzę wychodzące z niego światło. Z jego ran, jak sądzę, z oczu i z ust. -Gdy wypowiedział to zdanie, wzdrygnął się, jakby ze strachu, że zakazi się jego treścią. - Sam nie wiem - dodał. - Byłem pijany.

- Ale coś widziałeś.

- Tak - przyznał bez satysfakcji.

Wstała i podeszła do okna. Córka taka sama jak ojciec, oboje zdziwaczali na punkcie okien. Gdy wpatrywała się w przestrzeń po drugiej stronie trawnika - Marty nigdy nie zaciągał zasłon - miał doskonałą sposobność, by się jej przyjrzeć.

- Coś... - powiedziała - ...coś.

214

Wdzięk jej zgiętej nogi, przemieszczony środek ciężkości jej pośladków; jej twarz odbita w zimnej tafli szkła, skupiona na rozwiązywaniu zagadki - wszystko to zachwycało.

- To dlatego nie rozmawia już ze mną - dodała.
- Papa?
- Wie, że mogę poznać jego myśli, i boi się mnie.

Ta obserwacja była ślepym zaułkiem; Carys poirytowana zaczęła tupać nogą, jej oddech raz po raz wywoływał na szybie ducha. Potem, bez związku, rzuciła:

- Wiedziałeś, że masz obsesję na punkcie piersi? -Co?
- Patrzysz na nie cały czas.
- Do diabła, to nieprawda!
- I na dodatek jesteś kłamcą.

Wstał, sam nie wiedząc, co zrobi albo powie. W końcu, mocno zakłopotany, uznał, że tylko prawda będzie tu na miejscu.

- Lubię patrzeć na ciebie.

Dotknął jej ramienia. Znaleźli się w punkcie, w którym, jeśliby tak zdecydowali, mogli przerwać grę; od czułości dzielił ich jeden oddech. Mogli skorzystać z szansy lub ją zaprzepaścić, podjąć na nowo dowcipną

wymianę zdań lub jej poniechać. Chwila leżała między nimi, czekając na instrukcje.

- Kochanie - odezwała się Carys. - Nie drzyj.

Przysunął się ku niej o pół kroku i pocałował ją w kark.

Odwróciła się i odwzajemniła pocałunek, a jej dłoń przesunęła się w górę po jego kręgosłupie, aż dotarła do głowy, którą ujęła od tyłu, tak jakby chciała oszacować ciężar czaszki.

- Wreszcie - powiedziała, gdy ich wargi się rozłączyły. -

Już zaczynałam myśleć, że zbyt wielki z ciebie dżentelmen.

- Rzucili się na łóżko, a ona przeturlała się, by siaść na jego biodrach. Bez wahania sięgnęła do węzła na jego pasku od płaszcza kąpielowego. Leżał pod nią na wpół sztywny, uwięziony w niewygodnej pozycji. I zawstydzony. Rozwarła poły płaszcza i przebiegła dłońmi po jego klatce piersiowej. Miał solidnie zbudowane ciało, ale nie ciężkie; jedwabiste włoski rozpoście rały się na wszystkie strony od mostka i schodziły w dół wzdłuż

215

wgłębienia brzucha, stając się coraz bardziej szorstkie. Uniosła się lekko, by uwolnić z okrycia jego lędźwie. Wyswobodzony członek skoczył z godziny czwartej na dwunastą. Pogłaskała jego spodnią stronę. Odpowiedział pulsacją.

- Ładny - powiedziała.

Zaczynał się już przyzwyczajać do takich uwag. Spokój Ca-rys był zaraźliwy. Marty przybrał na wpół siedzącą pozycję, podpierając się na łokciach, by mieć lepszy widok na lekko uniesioną nad nim dziewczynę. Cała skoncentrowana na jego erekcji, włożyła palec wskazujący do ust i

przeniosła błonkę śliny na kutasa, przesuając po nim opuszkami palców w dół i w górę płynnym, leniwym ruchem. Marty wił się z rozkoszy. Rumieniec pojawił się na jego klatce piersiowej, kolejna oznaka podniecenia - jeśli w ogóle potrzebne były jakieś dodatkowe oznaki. Płonęły też jego policzki.

- Pocałuj mnie - poprosił.

Pochyliła się nad nim i ich wargi się spotkały. Opadli w tył na łóżko. Jego dłonie poszukały dolnego brzegu jej swetra i zaczęły go zdejmować, ale Carys je powstrzymała.

- Nie - wyszeptała mu prosto w usta.
- ...chcę cię widzieć... - powiedział. Wyprostowała się. Patrzył na nią z dołu, zdumiony.
- Nie tak szybko - wyjaśniła i nie zdejmując swetra, uniosła go dość wysoko, by obnażyć dla Marty'ego brzuch i piersi. On zaś chłonał jej ciało jak ślepiec, który odzyskał wzrok: piasek gęsiej skórki; nieoczekiwana obfitość Carys. Jego dłonie powędrowały tam, gdzie wzrok, naciskając powierzchnię jasnej skóry, obrysowując spirale wokół jej sutków, badając ciężar piersi uderzających o żebra. Teraz usta podążyły w ślad za okiem i dłonią; zapragnął wykąpać ją swym językiem. Przyciągnęła do siebie jego głowę. Poprzez siateczkę włosów prześwitywała skóra głowy, różowa jak u niemowlaka. Próbowwała się pochylić i ucałować to miejsce, ale było za daleko; zamiast tego opuściła rękę, sięgając do kutasa.
- Ostrożnie - wyszeptał, gdy zaczęła go głaskać. Poczowała wilgoć na dłoni; zwolniła uchwyt.

Łagodnie nakłonił ją do zmiany pozycji i oboje opadli, kładąc się obok siebie w poprzek łóżka. Zsunęła mu płaszcz kąpielowy z karku, podczas gdy jego palce zmagaly się z guzikiem w jej dżinsach. Nie pomogła; podobał jej się wyraz koncentracji na jego twarzy. Byłoby tak słodko być z nim całkiem nago: skóra przy skórze. Ale nie był to dobry moment na takie ryzyko. Bo gdyby tak zobaczył sińce i ślady ukłuć i odrzucił ją... To byłoby nie do zniesienia.

Udało mu się rozpiąć guzik i zamek błyskawiczny jej dżinsów, i teraz dłonie mogły wślizgnąć się do spodni i pod górny brzeżek majtek. Był w nim jakiś pośpiech i chociaż bardzo podobało jej się obserwowanie jego skupienia, pomogła mu się rozebrać, unosząc biodra i zsuwając dżinsy i majtki, obnażając ciało od kolan po piersi. Przesuwał się nad nią, znacząc trasę śladem śliny, lizał jej pępek i brnął coraz niżej, z rozpaloną twarzą, a jego język, zanurzony w niej, choć nie był ekspertem, okazał się pilnym uczniem - podług brzmienia westchnień rozpoznawał miejsca, w których jego obecność stawała się źródłem szczególnej rozkoszy.

Marty jeszcze bardziej zsunął z niej dżinsy, a ponieważ nie protestowała, całkiem je zdjął. W ślad za spodniami poszły majtki, a ona zamknęła oczy, wyrzucając z umysłu wszystko poza jego eksploracją jej ciała. W swej zachłanności Marty okazał instynkt ludożercy: nic, czym mogło nakarmić go jej ciało, nie zostanie odrzucone; napierał tak głęboko, jak tylko na to pozwalała anatomia.

Poczuła jakieś swędzenie na karku, ale zignorowała je, zbyt skoncentrowana na nowej zabawie. Marty spojrział na Carys znad jej łona z wyrazem wątpliwości na twarzy.

- Nie przestawaj - powiedziała.

Przekręciła się na łóżku, zapraszając go do wejścia w nią. Ciężkie z wątpienia pozostał jednak na jego twarzy.

- O co chodzi?
- Nie mam zabezpieczenia - wyjaśnił.
- Nie przejmuj się tym.

Nie potrzebował drugiego zaproszenia. Pozycja, w której się znajdowała - nie leżąca, ale półsiedząca - pozwalała obserwo-

217

wać jego urocze poczynania, gdy ścisnąwszy nasadę członka, aż żołądz stała się ciemna i lśniaca, wszedł w nią, powoli, niemal z nabożną czcią. Teraz poniechał samokontroli. Oparł dłonie na łóżku po obu bokach dziewczyny, plecy wygiął w łuk - półksiężyc w półksiężycu - a ciężar ciała niósł go dalej. Otworzył usta; zza warg wychynął koniuszek języka, by okrężnym ruchem lizać jej oczy.

Przesunęła się, aby wyjść mu naprzeciw, i przycisnęła biodra do jego bioder. Westchnął, zmarszczył czoło.

Jezu, pomyślała, on już skończył. Ale Marty otworzył ponownie oczy, nadal oszalałe, a jego ruchy, po początkowym zagrożeniu przedwczesnym spełnieniem, stały się miarowe i powolne.

Coś znów zaczęło ją drażnić na karku; coś więcej niż swędzenie - gryzienie raczej, wiercenie dziury. Próbowwała to zignorować, ale wrażenie tylko się spotęgowało, gdy jej ciało poddało się chwili. Marty był zbyt skupiony na ich splecionych członkach, by zauważyć jej dyskomfort. Czowała jego gorący, poszarpany oddech na twarzy. Próbowwała się poruszyć, w nadziei że ból jest spowodowany jedynie przez napięcie wynikające z

niewygodnej pozycji.

- Marty... - westchnęła. - Połóż się.

Nie był zrazu pewien, jak przeprowadzić ten manewr, ale gdy tylko znalazł się na plecach, a ona na nim, z łatwością dopasował się do jej rytmu. Zaczął znów wznosić się na szczyt - wysokość przyprawiała go o zawrót głowy.

Ból w karku nie ustępował, ale wypchnęła go poza granice świadomości. Pochyliła się, zawieszając twarz sześć cali nad twarzą Marty'ego, i pozwoliła, by jej ślina spłynęła do jego ust - cienki łańcuszek bąbelków, przyjęty przezeń z szerokim uśmiechem - a on w tym czasie uniósł biodra, wchodząc w nią tak głęboko, jak się dało, i zatrzymując się tam bez ruchu.

Nagle coś poruszyło się w niej. I nie był to Marty. Coś lub ktoś poruszał się nerwowo w jej organizmie. Jej koncentracja osłabła; serce stanęło na moment. Straciła orientację, gdzie jest i kim jest. Inna para źrenic zdawała się patrzeć spod jej

218

powiek - przez krótką chwilę dzieliła Carys wizję z właścicielem tamtych oczu. Ujrzała seks jako nieprawość, jako surowy i bestialski akt.

-Nie - powiedziała, próbując powstrzymać uczucie mdłości, które nagle w niej narosło.

Marty otworzył oczy do szerokości szparek, biorąc jej „nie” za polecenie opóźnienia końca.

- Staram się, kochanie... - uśmiechnął się - po prostu się nie ruszaj.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co mu chodzi - był oddalony od

niej o tysiąc mil, leżąc tak pod nią, cuchnąc potem, raniąc ją wbrew jej woli.

- Wszystko w porządku? - wysapał, powstrzymując się aż do granic bólu. Zdawał się w niej puchnąć. To doznanie przegnało podwójne widzenie z jej głowy. Ten drugi obserwator skurczył się do zera za jej oczyma, odrzucony przez pełnię i cielesność ich aktu; przez jego realność. Czy umysł intruza wyczuwa także Marty'ego, zamajaczyło jej w myśli pytanie, czy jego kora mózgowia sondowana jest właśnie przez żołądź pęczniejącego w niej do granic wytrysku penisa?

- Boże... - szepnęła.

Z wycofaniem się tamtych drugich oczu powróciła rozkosz.

- Już nie mogę przestać, kochanie - powiedział Marty.

- Nie przestawaj - odparła. - Tak jest dobrze. Tak jest dobrze.

Kropelki jej potu spadły na niego, gdy się na nim poruszyła.

-Nie przestawaj. Tak! - powtórzyła. Był to okrzyk czystej

rozkoszy i doprowadził Marty'ego do punktu, od którego nie było już odwrotu. Próbował powstrzymać erupcję jeszcze przez kilka rozedrganych sekund. Ciężar spoczywających na nim bioder Carys, gorąco jej pochwy, biel piersi wypełniły mu umysł.

I wtedy ktoś przemówił, niskim, gardłowym głosem.

-Przestań.

Marty zatrzepotał powiekami, otwierając szeroko oczy, i spojrział w prawo i w lewo. W pokoju nie było nikogo poza nimi.

popatrzył na Carys.

-Nie przestawaj - mówiła. - Proszę cię, nie przestawaj. - Tańczyła na nim. Światło odbijało się od skóry na kościach jej bioder; ściekał po nich lśniący pot.

- Tak... tak... - odpowiedział, zapominając o tamtym głosie.

Spojrzała na niego w chwili, gdy nieuchronność spełnienia opanowała jego twarz, i gdzieś poza powikłaną płataniną własnych płomiennych doznań znów poczuła tamten drugi umysł. To był robak w jej pęczniejącej głowie, napierał, a wywołane przezeń mdłości pragnęły splamić jej wizję. Zwalczyła go.

- Odejdź - nakazała mu bezgłośnie. - Odejdź.

Ale robak zapragnął ją pokonać; pokonać ich oboje. To, co wydawało się przed chwilą wścibstwem, teraz było samym złem. Chciało wszystko zepsuć.

- Kocham cię - powiedziała do Marty'ego, negując obcą obecność w sobie. - Kocham cię, kocham cię...

Intruzem wstrząsnęły spazmy, szalał w niej, coraz bardziej rozwścieczony tym, że ona wciąż nie chce uznać jego burzycielskich dokonań. Marty był twardy jak skała, na progu spełnienia; ślepy i głuchy na wszystko poza rozkoszą. Wtedy, z jękiem, zaczął wytryskiwać w jej wnętrze, a i ona poddała się fali. Zmysłowe doznania przegnały z jej głowy wszelkie myśli o oporze. Gdzieś z oddali usłyszała dyszenie Marty'ego...

- O, Jezu - mówił - kochanie... kochanie.

...ale on znajdował się w innym świecie. Nie byli razem, nawet w tym momencie. Ona pozostawała w objęciach swojej ekstazy, on swojej; każde z nich brało udział we własnym biegu ku spełnieniu.

Dziwny spazm wprawił ciało Marty'ego w konwulsje. Otworzył oczy. Carys przyciskała do twarzy dłonie z szeroko rozstawionymi palcami.

- Czy wszystko w porządku, kochanie? - spytał.

Gdy otworzyła oczy, musiał powstrzymać się od krzyku. Przez moment to nie ona patrzyła na niego spoza krat palców, lecz coś, co jakby zostało wydobyte z morskiego dna. Czarne

220

oczy, obracające się w siwej głowie. Jakiś pierwotny geniusz, który - o tym Marty był przeświadczony do szpiku kości - obserwował go z trzewiami pełnymi nienawiści.

Halucynacja trwała zaledwie przez dwa uderzenia serca, ale wystarczająco długo, by Marty mógł przebiec wzrokiem całe ciało dziewczyny z góry na dół i na powrót do góry, gdzie znów napotkał to samo ohydne spojrzenie.

- Carys?

Zatrzepotała powiekami i wachlarz palców zamknął się na jej twarzy. Na jeden obłąkańczy moment Marty wzdrygnął się, oczekując objawienia: ona odejmuje dłonie od twarzy, a jej głowa ma zmieniony kształt - jest teraz głową ryby. Ale nic takiego nie nastąpiło; twarz oczywiście należała do Carys, tylko do niej. W dodatku uśmiechała się do niego.

- Dobrze się czujesz? - zaryzykował pytanie.
- A jak myślisz?
- Kocham cię, skarbie.

Wyszeptała coś, osuwając się na niego. Leżeli tak przez kilka minut, jego członek zmniejszał się w chłodzącej kąpieli zmieszanych płynów ustrojowych.

- Nie chwyta cię kurcz? - zapytał po chwili, ale nie odpowiedziała mu. Spała.

Delikatnie odwrócił ją na bok, wyslizgując się z niej z wilgotnym odgłosem. Leżała na łóżku obok niego ze spokojną twarzą. Ucałował jej piersi, polizał palce u jej rąk i zasnął przy jej boku.

32

Mamoulianowi zbierało się na wymioty.

Nie okazała się łatwym łupem ta kobieta, pomimo sentymentalnego zawłaszczenia jej psychiką. Ale cóż, należało się spodziewać, że będzie silna. Była z krwi Whiteheada: krwi chłopskiej, krwi złodziejskiej. Przebiegła i zdeprawowana. Choć nie mogła wiedzieć dokładnie, co czyni, zwalczała go zmysłowością, której on tak bardzo nie znoślił.

Ale dało się eksploatować słabości kobiety, a tych miała wiele. Najpierw użył jej heroinowych stanów nieświadomości, uzyskując do niej dostęp, gdy była uspokojona aż do stanu zubożenia. Heroina wypaczała percepcję, co czyniło jego inwazję mniej zauważalną, a wówczas poprzez oczy dziewczyny mógł widzieć dom, jej uszami słuchać głupich rozmów mieszkańców, czuć wraz z nią, choć to budziło w nim odrazę, zapach ich wody kolońskiej i gazów trawiennych. Mieszkając w samym sercu wrogiego obozu, stała się szpiegiem doskonałym. Z biegiem tygodni coraz łatwiej mu było wchodzić w nią i z niej wychodzić niezauważonym. I to uczyniło go nierozważnym.

To ów brak rozwagi sprawił, że skacząc, nie popatrzył w przód - znalazł się w jej głowie, nie sprawdzwszy uprzednio, co dziewczyna robi. Nawet na myśl mu nie przyszło, że mogłaby być z ochroniarzem; nim zdał sobie sprawę z pomyłki, już dzielił z nią doznania - jej groteskowe upojenie - i to

przyprawiło go o dreszcze. Więcej nie popełni takiego błędu.

Siedział w pozbawionym mebli pokoju, w pozbawionym sprzętów domu, który kupił dla siebie i Breera, i próbował zapomnieć

222

o wzburzeniu, jakiego doświadczył; o spojrzeniu oczu Straussa, wpatrzonych w dziewczynę. Czyżby ten oprych dostrzegł inną twarz za jej twarzą? Europejczyk domyślał się, że tak.

Nieważne, żadne z nich nie przeżyje. To nie będzie wyłącznie stary, jak wcześniej planował. Wszyscy -jego akolici, jego poddani, wszyscy - pójdą pod ścianę wraz ze swym władcą.

Wspomnienie napierającego Straussa nie chciało opuścić wnętrzości Europejczyka. Bardzo pragnął się od niego uwolnić. Doznanie zawstydzalo go i nappełniało odrazą.

Usłyszał, jak na dole Breer wchodzi lub wychodzi z budynku, udając się, by popełnić gdzieś swoje okrucieństwa, albo wracając po fakcie do domu. Mamoulian skoncentrował się na pustej ścianie przed swymi oczyma, ale choć bardzo starał się uciec przed traumą, ciągle czuł tamto wtargnięcie - tryskającą żołądź, akt w fazie szczytowej.

- Zapomnij - powiedział na głos. Zapomnij o bijącym od nich brązowym ogniu. Nic nie ryzykujesz. Zobacz jedynie pustkę -zapowiedź nicości.

Poczuł drżenie w trzewiach. Pod jego spojrzeniem farba na ścianie zdała się pokrywać bąblami. Erupcje płci szpeciły pustkę jej powierzchni. Złudzenie; jednak dla niego przerażająco rzeczywiste. Bardzo dobrze - jeśli nie potrafi pozbyć się obscenów, przekształci je. Nietrudno obrócić seksualność w przemoc, zmienić westchnienia w krzyki, ruchy frykcyjne w konwulsje. Składnia ta sama, wystarczy zmienić interpunkcję. Gdy

wyobraził sobie kochanków złączonych przez śmierć, dręczące go uczucie nudności ustąpiło.

W obliczu pustki czymże była ich cielesność? Przemijaniem. Ich obietnice? Ułudą.

Uspokoił się. Pęcherze na ścianie zaczynały się goić, a on po kilku minutach został z echem nicości, której tak przed chwilą potrzebował. Życie przychodzi i odchodzi. Lecz nieobecność, wiedział o tym doskonale, trwa wiecznie.

33

Och a poza tym, był do ciebie telefon. Od Billa Toya. Przedwczoraj.

Marty podniósł wzrok znad talerza ze stekiem, by z grymasem niezadowolenia spojrzeć na Pearl.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Pearl wyglądała na skruszoną.

- To było w ten dzień, kiedy straciłam głowę przez tych cholernych ludzi. Zostawiłam ci wiadomość...
- Nie otrzymałam jej.
- ...w notesie koło telefonu.

Wiadomość wciąż tam była: „Dzwonił Toy” - numer telefonu. Marty wybrał numer i czekał pełną minutę, nim ktoś po drugiej stronie podniósł słuchawkę. To nie był Toy. Kobieta, która powtórzyła numer, miała miękki, zagubiony głos, niewyraźny, jakby za dużo wypła.

- Czy mógłbym mówić z Williamem Toyem? - zapytał.
- Nie ma go - odparła kobieta.

- Och, rozumiem.
- Nie wróci już. Nigdy. Brzmienie jej głosu było upiorne.
- Kto mówi? - spytała go.
- To nie ma znaczenia - odpowiedział **Marty**. **Instynkt** powstrzymał go przed podaniem nazwiska.
- Kto? - spytała ponownie.
- Przepraszam, że niepokoiłem.

224

- Kto to?

Odłożył słuchawkę, nie mogąc dłużej słuchać tych nalegań, wypowiedzianych wodnistym głosem. Dopiero gdy to uczynił, zdał sobie sprawę, że jego koszula klei się od zimnego potu, który nagle wystąpił mu na plecy i klatkę piersiową.

W miłosnym gniazdku w Pimlico, pomimo że połączenie przerwano, Yvonne jeszcze przez pół godziny zadawała martwej słuchawce pytanie: „Kto to?”, nim pozwoliła jej opaść na widełki. Potem usiadła. Tapczan był wilgotny - wielkie, lepkie plamy rozpościerały się na nim wokół miejsca, gdzie zawsze siadała. Domyślała się, że to ma jakiś związek z nią i jej stanem, ale nie mogła dojść do tego, jaki i dlaczego. Nie potrafiła też wytłumaczyć jazgotu much gromadzących się na niej dosłownie wszędzie: we włosach, w ubraniu.

- Kto to? - zapytała znowu. Pytanie było niezwykle celne, mimo że już

nie rozmawiała z nieznajomym przez telefon. Gnijąca skóra na jej dłoniach, krew w wannie po każdej kąpieli, przerażający widok w lustrze - wszystko to inspirowało hipnotyczne pytanie: „Kto to?”.

•Kto to? Kto to? Kto to?

VI

Drzewo

34

Breer nienawidził tego domu. Był zimny, a mieszkańcy tej części miasta okazali się wyjątkowo niegościnni. Patrzyli na niego podejrzliwie, odkąd tylko wyszedł przez frontowe drzwi. Istniały ku temu powody, musiał się z tym zgodzić. W ostatnich tygodniach zaczął się wokół niego unosić smród: mdlący, słod-kawy zapach, który sprawiał, że on, Połykacz Żyletek, niemal wstydził się podchodzić zbyt blisko ślicznotek stojących przy ogrodzeniu szkolnego boiska, a to w obawie, by, wołając „fuj!”, nie zatkały sobie palcami nosów i nie uciekły, obrzucając go przezwiskami. Ilekroć tak robiły, odechciewało mu się żyć.

Chociaż w domu nie działało ogrzewanie i Breer zmuszony był do kąpieli w zimnej wodzie, mył się od stóp do głów trzy lub nawet cztery razy dziennie, w nadziei że w ten sposób pozbędzie się fetoru. Gdy to nie skutkowało, zaczął kupować perfumy -drzewo sandałowe w szczególności - i oblewał się nimi cały, po każdej kąpieli. Teraz komentarze, które wykrzykiwano pod jego adresem, nie dotyczyły odchodów, tylko jego życia seksualnego. Przyjmował te docinki ze spokojem ducha.

A jednak stłumione urazy jątrzyły się w jego duszy. Nie tylko przez to, jak

się obchodzono z nim w dzielnicy. Europejczyk po okresie uprzejmych umizgów zaczął traktować go z coraz większym lekceważeniem, bardziej jak sługusa niż jak sprzymierzeńca. To właśnie irytowało Breera: na przykład sposób, w jaki został zesłany do tej nory, albo to poszukiwanie Toya - Europejczyk kazał mu przeczesywać miasto zamieszkane

226

przez miliony w poszukiwaniu tego wyschniętego faceta, którego ostatnim razem widział, jak całkiem nagi przełazi przez mur, a jego kościste pośladki bieleją w świetle księżyca. Europejczyk tracił wyczucie miary. Jakiegokolwiek zbrodnie ten Toy popełnił przeciwko Mamoulianowi, przecież nie mogły być poważne, a Breer słabł ze zmęczenia na samą myśl o kolejnym dniu włóczenia się po ulicach.

Pomimo doskwierającego mu znużenia zdolność zasypiania opuściła go chyba na dobre. Nic, nawet szarpiący nerwy wysiłek, nie potrafiło przekonać jego ciała, by zamknęło się w sobie na dłużej niż kilka wypełnionych mruganiem oczu minut, a jeśli nawet raz czy drugi się to udało, wówczas śniły mu się takie rzeczy, tak straszne rzeczy, że trudno byłoby nazwać taką drzemkę błogą. Jedyłą pociechę, jaka mu pozostała, stanowiły jego ślicznotki.

Oto jedna z nielicznych zalet tego domu: miał piwnicę. Suche, chłodne miejsce, które systematycznie opróżniał ze śmieci pozostawionych przez poprzednich lokatorów. Długo to trwało, ale stopniowo doprowadził pomieszczenie do pożądanego stanu i chociaż nigdy nie lubił zamkniętych przestrzeni, było coś w tej ciemności i w poczuciu bycia pod ziemią, co zaspokajało jakąś jego niewyartykułowaną potrzebę. Wkrótce wszystko tu będzie wyszorowane. Na ścianach zawiesi łańcuchy z kolorowego papieru, a

na podłodze rozmieści wazon z kwiatami. Może jeszcze wstawi stół z obrusem o zapachu fiołków i wygodne krzesła dla gości. Potem zacznie zabawiać swych przyjaciół w sposób, z którym - miał nadzieję - szybko się oswoją.

Wszystkie te przygotowania zakończyłby znacznie szybciej, gdyby nie był ciągle wysyłany przez Europejczyka z tymi przeklętymi sprawunkami. Ale czas służalstwa dobiegł końca. Tak zdecydował. Dziś powie Mamoulianowi, że nie da się dłużej szantażować ani przymuszać do uczestnictwa w jego zabawach. W najgorszym razie zagrozi, że odejdzie. Uda się na północ. Na północy są miejsca, gdzie słońce nie wstaje przez pięć miesięcy w roku - czytał kiedyś o takich miejscach - i to wydawało mu się w sam raz dla niego. Całkowity brak słońca; i głębokie jaskinie, w których mógłby zamieszkać, dziury, do których nie zbłądzi nawet promyk księżyca. Nadszedł czas, by wyłożyć karty na stół.

Zimno panowało w całym domu, ale w pokoju Mamouliana było jeszcze zimniej niż w pozostałych pomieszczeniach. Wyglądało to tak, jakby Europejczyk wraz z wydychanym powietrzem napełniał wnętrze chłodem kostnicy.

Breer zatrzymał się w drzwiach. Do tej pory gościł tu tylko raz i odczuwał przed tym pomieszczeniem uporczywy lęk. Było zbyt surowe. Breer na prośbę Europejczyka zabił deskami otwory okienne. Teraz w świetle pojedynczego knota, zanurzonego w stojącej na podłodze miseczce z oliwą, pokój wyglądał szaro i posepnie; wszystko w nim wydawało się niematerialne, nawet Europejczyk. Siedział na krześle z ciemnego drewna, jedynym meblu w tym wnętrzu, i patrzył na Breera wzrokiem szklistym jak u ślepego.

- Nie wzywałem cię - powiedział Mamoulian.
- Chciałem... porozmawiać.
- Zamknij tedy drzwi.

Choć sprzeciwiał się temu zdrowy rozsądek, Breer posłusznie wykonał polecenie. Usłyszał kliknięcie zamka w drzwiach; cała przestrzeń ograniczyła się do pojedynczego płomienia i niepewnej jasności, jaką oferował. Breer rozglądał się ospale po pomieszczeniu, szukając czegoś, na czym mógłby usiąść albo przynajmniej się wesprzeć. Ale brakowało tu wygod - surowość wnętrza mogłaby zawstydzić niejednego ascetę. Zaledwie kilka koców rzuconych na gołe deski w kącie, w miejscu, gdzie wielki człowiek sypiał; kilka książek ułożonych w stertę pod ścianą; talia kart; dzban z wodą, filiżanka; i niewiele ponadto. Ściany, jeśli nie liczyć zawieszonych na haku różańca, były nagie.

- Czego chcesz, Anthony?

Wszystko, co Breerowi przyszło w tym momencie do głowy, to:
„Nienawidzę tego pokoju”.

- Powiedz, co masz do powiedzenia.

- Chcę odejść...

228

- Odejść?
- Odejść. Muchy mi dokuczają. Jest tyle much.
- Tyle, ile zazwyczaj w maju. Może w tym roku maj jest trochę cieplejszy niż zwykle. Wszystko wskazuje na to, że będziemy mieli upalne lato.

Myśl o gorącu i świetle przyprawiała Breera o mdłości. I było jeszcze

coś: jego żołądek buntował się, ilekroć napełnił go jakimś jedzeniem. Europejczyk obiecał mu nowy świat -zdrowie, bogactwo i szczęście - a tymczasem on cierpiał męki potępieńca. To było oszustwo; wszystko było oszustwem.

- Dlaczego nie pozwolisz mi umrzeć? - spytał, nie bardzo zastanawiając się nad tym, co mówi.
- Jesteś mi potrzebny.
- Ale fatalnie się czuję.
- Wkrótce dzieło zostanie ukończone.

Breer popatrzył Mamoulianowi prosto w oczy; było to coś, na co nieczęsto się ważył. Ale desperacja dźgała jak oścień.

- Chodzi o znalezienie Toya? - spytał. - Nie znajdziemy go.

To niemożliwe.

- Ależ tak, znajdziemy, Anthony. Obstawę przy tym. Breer westchnął.
- Chcę umrzeć - powiedział.

- Nie mów tak. Zyskałeś całą wolność, o jakiej marzyłeś. Nie masz poczucia winy, prawda?
- Nie mam.
- Większość ludzi z radością znosiłaby te drobne uciążliwości, by stać się bez winy, Anthony - wypełniać co do najmniejszego szczegółu pragnienia swych serc i nigdy nie musieć tego żałować. Odpocznij sobie dzisiaj. Jutro czeka nas dużo pracy. Nas obu.
- Czemu?
- Złożymy wizytę panu Whiteheadowi.

Mamoulian powiedział mu wcześniej o Whiteheadzie, o domu i o psach.

Szkody, jakie wyrządziły Europejczykowi, były widoczne. Choć poszarpana ręka goiła się szybko, uszkodzenia tkanek były nie do naprawienia.

Brakujące półtora palca, brzyd-

229

kie blizny, znaczące dłoń i twarz, kciuk, który już nie będzie poruszał się prawidłowo; karciane umiejętności zostały utracone bezpowrotnie. To była długa i bolesna historia, ta, którą opowiedział Breerowi tego dnia, kiedy wrócił skrwawiony ze spotkania z psami. Historia niedotrzymanych obietnic i zawiedzionego zaufania; historia okrucieństw popełnionych wbrew przyjaźni. Europejczyk nie krył łez, gdy to opowiadał, i Breer dostrzegł głębię jego bólu. Obaj byli wzgardzeni, spiskowano przeciw nim i opluwano ich. Gdy teraz wspomniał wyznanie Europejczyka, poczucie niesprawiedliwości, które wtedy odczuwał, ożyło w nim na nowo. I oto on, który zawdzięcza Europejczykowi tak wiele - życie i zdrowe zmysły - zamierza odwrócić się plecami do swego zbawcy. Połykacz Żyletek zawstydział się.

- Proszę - powiedział, gorliwie pragnąc zadośćuczynić Ma-moulianowi za swe małosłowne żale - pozwól mi iść zabić tego człowieka dla ciebie.
- Nie, Anthony.
- Potrafię to zrobić - nalegał Breer - nie boję się psów. Nie czuję bólu; już nie, od kiedy wróciłeś. Mogę zabić go w jego własnym łóżku.
- Jestem pewien, że potrafiłbyś. I z całą pewnością będę cię potrzebował, by powstrzymać psy z dala ode mnie.
- Rozerwę je na strzępy.

Mamoulian wyglądał na bardzo zadowolonego.

- Zrobisz to, Anthony. Nienawidzę tych zwierząt. Zawsze nienawidziłem. Zajmiesz się nimi, a ja rozmówię się z Josephem.
- Po co się nim przejmować? Jest taki stary.
 - Ja też - odparł Mamoulian. - Jestem starszy, niż na to wyglądam, uwierz mi. Ale umowa to umowa.
 - To trudne - powiedział Breer z oczyma mokrymi od flegmowych łez.
- Co takiego?
- Być ostatnim.
- O tak.
 - Musieć robić wszystko, jak należy; aby plemię zostało zapamiętane... - Głos Breera załamał się. Cała ta sława, która

230

go ominęła, bo nie urodził się w Złotym Wieku. Jakież musiał być ten czas jak ze snu, kiedy Połykacze Żyletek i Europejczycy, wraz ze wszystkimi innymi plemionami, dzierżyli świat w swych dłoniach? Nigdy już nie nastanie taki wiek; tak powiada Mamoulian.

- Nie zostaniesz zapomniany - obiecał Europejczyk.
- Myślę, że zostanę.

Europejczyk wstał. Wydał się Breerowi wyższy niż zwykle i mroczniejszy.

- Jesteś człowiekiem małej wiary, Anthony. Należy spodziewać się rzeczy wielkich.

Breer poczuł dotknięcie na karku. Wyglądało to tak, jakby ćma usiadła w tym miejscu i głaskała skórę szczeciniastymi czułkami. W głowie mu buczało, jak gdyby napastujące go muchy złożyły jaja w jego uszach i

nagle wszystkie młode zaczęły się wykluwać. Potrząsnął głową, próbując pozbyć się tego uczucia.

- Wszystko będzie dobrze - poprzez furkot maleńkich skrzydełek usłyszał głos Europejczyka. - Uspokój się.
- Nie czuję się dobrze - zaprotestował słabo, mając nadzieję, że ta niemoc wzbudzi w Mamoulianie litość. Pokój wokół niego dzielił się na części, ściany oddzielały się od podłogi i sufitu, sześć ścian prostopadłościanu oddalało się od siebie w miejscach, gdzie jeszcze przed chwilą były spojone, a przez powstałe szczeliny wdzierały się do środka wszelkie gatunki nicości. Wszystko zatoneło we mgle: meble, koce, nawet sam Mamoulian.
- Należy spodziewać się rzeczy wielkich - ponownie usłyszał z ust Europejczyka, a może było to echo odbijające się od ściany jakiegoś odległego urwiska.

Breera ogarnęło przerażenie. Choć nie był już w stanie dojrzeć swego wyciągniętego ramienia, wiedział, że to miejsce będzie trwało całą wieczność, a on się w nim zagubi. Łzy zgęstniały w jego oczach. Z nosa mu ciekło, wnętrzności splatały się w węzły.

Dokładnie w chwili, gdy pomyślał, że musi zacząć krzyczeć albo postrada zmysły, Europejczyk wyłonił się przed nim

z nicości i w nagłym rozbłysku swej przyćmionej świadomości Breer zobaczył go przemienionego. Oto sprawca dokuczliwości much, letnich upałów i zabójczych zim, wszelkiej straty, wszelkiego strachu, unosi się w pustce przed nim, bardziej nagi, niż może być człowiek, nagi do granic nieistnienia. Wyciągał teraz swą prawicę w stronę Breera. Na dłoni leżały

kości do gry, z wyrzeźbionymi na ściankach twarzami, które Breer niemal rozpoznawał; Ostatni Europejczyk, przykucnąwszy, jął ciskać w próżnię tymi kośćmi, twarzami i całą resztą, a gdzieś bardzo niedaleko coś z ogniem w miejsce głowy łkało i łkało, aż wydawało się, że cali utoną we łzach.

35

Whitehead wziął ze sobą szklanekę i butelkę wódki i zszedł do sauny. Stała się jego ulubionym schronieniem w czasie tych kryzysowych tygodni. Teraz, chociaż niebezpieczeństwo bynajmniej nie zostało zażegnane, stracił zainteresowanie sytuacją imperium. Wielkie oddziały korporacji w Europie i na Dalekim Wschodzie zostały sprzedane, by zapobiec przynoszonym przez nie stratom; nad kilkoma mniejszymi firmami ustanowiono nadzór komisaryczny; planowano masowe zwolnienia w zakładach chemicznych w Niemczech i Skandynawii - rozpaczliwe próby odsunięcia groźby likwidacji lub sprzedaży. Umysł Joego zaprzętały jednak inne troski. Imperia można odzyskać, życia i zdrowia psychicznego - nie. Odesłał finansistów i rządowych ekspertów z powrotem do ich banków i zaślanych raportami biur w Whitehall. Nie potrafili powiedzieć mu nic, co chciałby usłyszeć. Nie interesowały go żadne wykresy, prezentacje komputerowe, prognozy. Z tych pięciu tygodni od początku kryzysu zapamiętał tylko jedną interesującą rozmowę: tamtą dyskusję ze Straussem.

Lubił Straussa. Ściślej rzecz ujmując, ufał Straussowi, a zaufanie było towarem bardziej deficytowym niż uran na targowiskach, na których Joe dokonywał swych handlowych transakcji. Instynkt nie zawiódł Toya w

ocenie Straussa; Bill był człowiekiem dobrze wyczuwającym prawość u innych ludzi. Czasem, zwłaszcza wtedy, gdy wódka czyniła go sentymentalnym i skruszonym, Whitehead tęsknił za Toyem. Nie żeby ubolewał nad jego odejściem, do diabła, nie - to nigdy nie było w jego stylu i nie zamierzał tego zmieniać. Nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę wódki i wznosił toast.

233

W wyłożonym białymi kafelkami pomieszczeniu zebrało się już sporo pary i gdy tak siedział na ławeczce w półmroku, pokryty plamami i zarumieniony, poczuł się niczym jakaś roślina o mięsistych liściach. Pot zbierający się w zagłębieniach na brzuchu, pod pachami i w kroczu sprawiał mu przyjemność; proste doznanie, odrywające go od złych myśli.

- Za upadek - powiedział i wypił zawartość szklanki.

W wyłożonym białymi kafelkami pomieszczeniu zebrało się już sporo pary i gdy tak siedział na ławeczce w półmroku, pokryty plamami i zarumieniony, poczuł się niczym jakaś roślina o mięsistych liściach. Pot zbierający się w zagłębieniach na brzuchu, pod pachami i w kroczu sprawiał mu przyjemność; proste doznanie, odrywające go od złych myśli.

Może Europejczyk w ogóle nie przyjdzie, pomyślał. Dałby Bóg.

Gdzieś w uszonym domu otwarły się i zamknęły drzwi, ale alkohol i para sprawiły, że Whitehead oderwał się od wydarzeń poza sauną. Sauna była inną planetą, należącą do niego, i tylko do niego. Postawił opróżnioną szklankę na podłodze i zamknął oczy w nadziei na krótką drzemkę.

Breer podszedł do furki. Wokół niej słychać było monotonne buczenie, a w powietrzu unosił się kwaśny zapach elektryczności.

- Jesteś silny - powiedział Europejczyk. - Tak mi mówiłeś.

Otwórz furkę.

Połykacz Żyletek położył dłonie na drutach. Przechwałki okazały się prawdziwe - poczuł zaledwie bardzo lekki dreszcz. Gdy zaczął rozrywać

druty furtki, w powietrzu czuć było zapach przypiekanego mięsa i słyhać odgłos szczekania zębami. Okazał się silniejszy, niż sam sobie to wyobrażał. Nie było w nim strachu, i ta nieobecność lęku czyniła z Breera moczara. Wtedy gdzieś przy ogrodzeniu zaczęły szczekać psy, ale pomyślał tylko: niech przyjdą. Nie miał zamiaru umierać. Może nawet nigdy nie umrze.

Śmiejąc się jak szaleniec, otworzył furtkę; buczenie ucichło - obwód elektryczny został przerwany. W powietrzu unosił się obłok błękitnego dymu.

234

- Dobra robota - pochwalił Europejczyk.

Breer próbował rzucić na ziemię kawał drutu, który miał w dłoni, ale ten wtopił się jakimś sposobem w skórę, tak że musiał oderwać go drugą ręką. Przyjrzał się z niedowierzaniem swemu przypalonemu ciału. Było szerniałe i pachniało apetycznie. Zaraz na pewno zacznie troszkę boleć. Żaden człowiek - nawet taki człowiek jak on, pozbawiony poczucia winy, ale za to obdarzony olbrzymią siłą - nie mógł otrzymywać równie poważnych ran i nie cierpieć. Ale nie poczuł nic.

Nagle z ciemności wyłonił się pies.

Mamoulian cofnął się, wstrząsany lękiem, ale to Breer był upatrzoną ofiarą zwierzęcia. Kilka kroków przed osiągnięciem celu pies skoczył i całym ciężarem ciała uderzył w środek klatki piersiowej grubasa. Siła uderzenia powaliła mężczyznę na plecy i zwierzę błyskawicznie znalazło się na nim, usiłując chwycić go zębami za gardło. Breer uzbrojony był w długi kuchenny nóż, ale wydawał się niezainteresowany użyciem tej broni, choć z łatwością mógł teraz po nią sięgnąć. Tłustą twarz rozjaśnił wybuch

śmiechu na widok psa szukającego dostępu do jego szyi. Breer po prostu chwycił za dolną szczękę zwierzęcia. Pies zamknął pysk, zwierając zęby na dłoni mężczyzny. Prawie natychmiast zrozumiał swój błąd. Połykacz Żyletek swobodną ręką złapał go za tył głowy, ścisnął w garści futro i mięśnie, po czym szarpnął za kark w przeciwnym kierunku. Rozległ się suchy trzask. Ryk dobył się z gardła zwierzęcia, nadal zaciskającego szczęki na dłoni swego oprawcy, nawet gdy już krew trysnęła spomiędzy zębów. Breer wykonał jeszcze jedno zabójcze szarpnięcie. Pies błysnął białkami oczu, jego łapy zeszywniały. Opadł ciężko na klatkę piersiową mężczyzny, martwy.

Inne psy zaszczeakały w oddali, w odpowiedzi na przedśmiertny skowyt, jaki doleciał do ich uszu. Europejczyk rozejrzał się nerwowo w prawo i w lewo wzdłuż ogrodzenia.

-Wstawaj! Szybko!

Breer uwolnił dłoń z pyska zwierzęcia i strząsnął z siebie jego zwłoki. Nie przestawał się śmiać.

235

- Spokojnie - powiedział. -Jest ich więcej.
- Zaprowadź mnie do nich.

- Może ich być za dużo dla ciebie, gdy zaatakują wszystkie naraz.
- Czy to był ten? - spytał Breer, kopnięciem odwracając głowę psa, by Europejczyk mógł się jej lepiej przyjrzeć.
- Ten?
- Ten, który odgryzł ci palce?

- Nie wiem - odpowiedział Europejczyk, unikając widoku zbryzganej krwią twarzy Breera, rozpromienionej uśmiechem, z oczyma skrzącymi się jak u zakochanego nastolatka. - Może w psiarni? - zasugerował. - Tam je wykończysz.

- Czemu nie?

Europejczyk oddalił się od ogrodzenia, ruszając przodem w stronę psiarni. Dzięki Carys znał rozkład Sanktuarium jak własną dłoń. Breer dotrzymywał mu kroku, cuchnąc krwią, a jego ciężki chód stał się wręcz sprężysty. Połykacz Żyletek nieczęsto czuł się tak ożywiony jak w tej chwili.

Życie jest dobre, może nie? Naprawdę bardzo dobre.

Szczekanie psów.

Leżąc w swoim pokoju, Carys naciągnęła poduszkę na głowę, by odciąć się od tej wrzawy. Jutro zdobędzie się na odwagę i powie Lillian, że nie znosi, jak jej rozhisteryzowane kundle budzą ją w środku nocy. Jeśli kiedykolwiek ma wyzdrowieć, musi zacząć uczyć się rytmów normalnego życia. To znaczy zajmować się swoimi sprawami, kiedy świeci słońce, i spać w nocy.

Gdy przewracała się z boku na bok w poszukiwaniu jakiegoś chłodnego fragmentu łóżka, rozbłysnął w jej głowie obraz. Zniknął, zanim go zdołała w pełni uchwycić, zobaczyła jednak dość, by zerwać się całkiem rozbudzona. Ujrzała mężczyznę - bez twarzy, ale dziwnie znajomego - przekraczającego pas trawy. Tuż za jego piętami kłębiło się morze plugastwa. Pełzło blisko za nim, w ślepym uwielbieniu, a jego fale syczały jak

węże. Nie miała czasu, by przyjrzeć się, co niosły te fale, i być może tak było lepiej.

Przekręciła się na bok po raz trzeci i rozkazała sobie zapomnieć o tych nonsensach.

Dziwnym trafem psy przestały szczekać.

Co zatem byłoby tą najgorszą krzywdą, jaką mógł mu wyrządzić, co było tym największym złem? Whitehead tyle już razy zadawał sobie to pytanie, że przywykł do niego jak do znoszonego płaszcza. Ilość możliwych do pomyślenia tortur fizycznych była, rzecz jasna, nieskończona. Czasem, w lepkim od potu uścisku trzeciej nad ranem, wydawało mu się, że zasłużył na nie wszystkie - jeśli człowiek mógłby umrzeć dziesięć, dwadzieścia razy - bo niełatwo odpokutować za zbrodnie władzy, jakie popełnił. Za to wszystko, o Chryste, za to wszystko, czego się dopuścił.

Ale w końcu któż nie ma zbrodni do wyznania, gdy jego czas nadchodzi? Któż nie kierował się chciwością i zawiścią; któż, zdobywszy w trudzie i znoju upragnioną pozycję, poniechałby jej, miast cieszyć się pełnią władzy? Nie może odpowiadać za wszystkie grzechy korporacji. Jeśli raz na dekadę jakiś powodujący uszkodzenie płodu preparat medyczny dostał się na rynek, to czyjego należy za to winić? Tylko dlatego, że czerpał z tego zyski? Tego typu rozliczenia moralne dobre były dla pisarzy parających się literaturą rozrachunkową; nie istniało dla nich miejsce w rzeczywistym świecie, gdzie większość zbrodni karano bogactwem i wpływami; gdzie robak rzadko się przepoczwarzał, a jeśli nawet, to zaraz zostawał rozgniatany; gdzie najlepszą rzecz, na którą

człowiek mógł mieć nadzieję, gdy już rozumem, podstępem i przemocą wyniósł siebie na wysokość swych ambicji, stanowiła odrobinka przyjemności na widoku. Tak się przedstawił prawdziwy świat, i również Europejczyk był świadom jego ironii. Czyż to nie on pokazał Whiteheadowi tak wiele z tego świata? Jakże więc mógłby teraz z czystym sumieniem potępić swego ucznia i ukarać go za tak dobrze przyswojoną lekcję?

237

Prawdopodobnie umrę w ciepłym łóżku, pomyślał Whitehead, z zasłonami do połowy zaciągniętymi na żółtym, wiosennym niebie. I w otoczeniu wielbicieli.

- Nie ma się czego lękać - powiedział na głos.

Pomieszczenie wypełniały kłęby pary. Kafelki, ułożone z obsesyjną precyzją, pociły się razem z Whiteheadem. Jednakowoż gdy on był rozgrzany, one pociły się z zimna.

Nie ma się czego obawiać.

36

Stojąc na progu psiarni, Mamoulian obserwował Breera przy pracy. Tym razem była to regularna rzeź, a nie próba sił, jak w wypadku psa przy bramie. Grubas po prostu otwierał kolejno klatki i nożem o długim ostrzu rozpruwał psom gardła. W swych celach psy były w potrzasku, stanowiły łatwy łup. Wszystko, co mogły zrobić, to kręcić się w kółko, klapiąc bezskutecznie zębami na napastnika, jakimś sposobem przeczuwając, że

walka jest przegrana, jeszcze zanim się na dobre zaczęła. Oddawały kał, gwałtownie padając z nóg, z poderżniętymi gardłami i tryskającymi krwią bokami, i wznosiły w górę ku Breerowi brązowe oczy jak święci na dawnych malowidłach. Zabijał także szczenięta; odrywał je od matki i zgniatał w dłoni ich główki. Bella walczyła z większą zaciętością niż inne psy, uparcie usiłując zadać zabójcy jak najwięcej ran, nim sama zostanie zabita. Odpłacił jej, okaleczając pośmiertnie jej ciało - rana za ranę. Gdy ucichł harmider i jedynym odgłosem w klatkach był jakiś skurcz nogi lub opróżniającego się z pluskiem pęcherza, Breer uznał zadanie za wykonane.

Ruszyli w stronę domu.

Były tam jeszcze dwa psy, ostatnie. Połykacz Żyłek szybko się z nimi uporał. Wyglądał teraz bardziej na pracownika rzeźni niż na niegdysiejszego bibliotekarza. Europejczyk podziękował mu. Poszło łatwiej, niż się spodziewał.

- Mam sprawę do załatwienia wewnątrz domu - zwrócił się do Breera.

239

•Chcesz, bym poszedł z tobą?

•Nie. Ale możesz otworzyć dla mnie drzwi, jeśli chcesz. Breer podszedł do tylnych drzwi i uderzeniem pięści rozbił szybę, następnie wsadził rękę do środka i przekręcił klucz, wpuszczając Mamoulia od kuchni.

- Dziękuję. Poczekaj tu na mnie.

Europejczyk zanurzył się w błękitnym mroku wnętrza. Breer patrzył, jak odchodzi, a gdy tylko jego pan zniknął z pola widzenia, wszedł do Sanktuarium w ślad za nim, z krwią i uśmiechem na twarzy.

Chociaż obłok pary tłumiał dźwięki, Whitehead miał wrażenie, że ktoś kręci się po domu. Pewnie Strauss - ten facet stał się ostatnio niespokojny. Whitehead pozwolił, by oczy znów mu się same zamknęły.

Gdzieś w pobliżu usłyszał otwieranie i zamykanie drzwi - drzwi do sieni przy saunie. Wstał i rzucił pytanie w gęstą mgłę:

- Marty?

Nikt nie odpowiedział, ani Marty, ani nikt inny. Nie był już pewien, czy słyszał odgłos drzwi. Nie zawsze było łatwo rozpoznać tutaj odgłosy. Albo obrazy widzialne. Para mocno zgęstniała; nie mógł już nic dostrzec po drugiej stronie pomieszczenia.

- Czy ktoś tu jest? - spytał.

Para trwała nieporuszona, szara ściana przed oczami. Przeklinał siebie w duchu za to, że pozwolił jej tak zgęstnieć.

- Martin? - powtórzył. Choć nie widział ani nie słyszał nic, co potwierdzałoby jego podejrzenia, czuł, że nie jest sam. Ktoś był bardzo blisko, a jednak nie odpowiadał. Mówiąc, Whitehead przesunął drżącą dłoń wolno, cal po calu, po kafelkach w stronę zwiniętego ręcznika przy jego boku. Teraz palce badały zawiniątko, podczas gdy oczy nieprzerwanie wpatrywały się w ścianę pary; w ręczniku ukryty był pistolet. Palce błyskawicznie go odnalazły.

Tym razem z większym spokojem zwrócił się do niewidzialnego gościa. Pistolet dodał mu pewności siebie.

- Wiem, że tu jesteś. Pokaż się, draniu. Nie pozwolę się zastraszyć.

Coś poruszyło się w obłoku pary. Zaczęły powstawać w nim zawirowania, coraz więcej wirów. Whitehead słyszał podwójne uderzenia

własnego serca. Kogokolwiek miał ujrzeć (oby to nie był on, o Chryste, oby to nie był on), czuł się teraz na to spotkanie przygotowany. I wtedy, bez ostrzeżenia, para rozstała się, rozdzielona przez nagły podmuch zimna. Stary uniósł broń. Jeśli to Marty chciał mu spłatać jakiegoś figla, gorzko tego pożałuje. Trzymająca pistolet dłoń zaczęła drżeć.

Wreszcie ujrzał przed sobą jakąś postać. Nadal była nierozpoznawalna, zbyt przesłonięta mgłą. Przynajmniej dopóki nie przemówiła głosem słyszonym tyle razy w przesiąkniętych wódką snach:

- Pielgrzymie.

Para ustąpiła. Przed Whiteheadem stał Europejczyk. Jego twarz prawie nie uległa działaniu czasu przez te siedemnaście lat, jakie minęły od ich ostatniego spotkania. Mocno sklepione łuki brwiowe, oczy osadzone tak głęboko w oczodołach, że połyskiwały niby woda na dnie studni. Tak niewiele się zmienił, jak gdyby czas - z czystego szacunku - omijał go szerokim łukiem.

- Usiądź - powiedział przybysz.

Whitehead nie poruszył się; pistolet wciąż trzymał wycelowany prosto w Europejczyka.

- Proszę, Josephie. Usiądź.

Czy będzie lepiej, jeśli usiądzie? Czy uniknie śmiertelnych ciosów, okazując fałszywą uległość? Czy może to tylko melo-dramatyczne myślenie, wyobrażać sobie, że ów człowiek zniżyłby się do aktu fizycznej przemocy? W jakim śnie żyłem, Whitehead beształ sam siebie, wyobrażając sobie, że przyjdzie tu, by mnie posiniaczyć, by mnie wykrwawić? Takie oczy mają poważniejsze zamiary niż zadawanie razów.

Usiadł. Był świadom własnej nagości, ale niewiele się tym przejął.

Mamoulian nie widział jego ciała; patrzył głębiej, pod tłuszcz i kości. Whitehead czuł w tej chwili to spojrzenie - głaskało jego serce. Jakże inaczej wyjaśniłby ulgę, jaką poczuł, widząc wreszcie Europejczyka.

241

- To już tak dawno... - To było wszystko, co potrafił po wiedzieć: kulejący banał. Czy brzmiał on jak słowa pełnego nadziei kochanka, tęskniącego za pojednaniem? Może nie byłoby to zbyt odległe od prawdy. Ich wzajemna nienawiść, tak osobiwa, miała czystość miłości.

Europejczyk przyglądał mu się badawczo.

- Pielgrzymie - wyszeptał karcąco, spoglądając na pistolet - nie ma potrzeby. Ani sensu.

Whitehead uśmiechnął się i odłożył broń na leżący obok ręcznik.

- Obawiałem się twojego przyjscia - wyjaśnił. - Dlatego kupiłem psy. Wiesz, jak bardzo nienawidzę psów. Ale pamiętałem, że ty nienawidzisz ich bardziej.

Mamoulian przyłożył palec do ust, by uciszyć Whiteheada.

- Przebaczam - powiedział. Komu przebaczał: psom czy człowiekowi, który użył ich przeciw niemu?
- Dlaczego musiałeś wrócić? - spytał Whitehead. - Na pewno wiedziałeś, że nie powitam cię z radością.
- Wiesz, dlaczego wróciłem.
- Nie, nie wiem. Naprawdę. Nie wiem.
- Josephie - westchnął Mamoulian. - Nie traktuj mnie jak jednego ze swoich polityków. Nie można mnie zadowolić obietnicami, a potem

wyrzucić, gdy fortuna obróci się na twoją korzyść. Nie wolno ci traktować mnie w ten sposób.

- Nie zrobiłem tego.
- Tylko bez kłamstw, proszę. Nie teraz. Nie, gdy tak niewiele czasu nam zostało. Tym razem, a jest to ostatni raz, bądźmy ze sobą szczerzy. Otwórzmy serca. Nie będzie więcej okazji.
- Dlaczego nie? Nie możemy zacząć jeszcze raz?
- Jesteśmy starzy. I zmęczeni.
- Ja nie jestem.
- Dlaczegoż więc poniechałeś walki o swoje imperium, jeśli nie z powodu zmęczenia?
- To twoja sprawka? - zapytał Whitehead, od razu pewien, jaką otrzyma odpowiedź.

Mamouliau przytaknął.

242

- Nie jesteś jedynym człowiekiem, któremu pomogłem osiągnąć fortunę. Mam przyjaciół w najwyższych kręgach; wszyscy - tak jak ty - są uczniami opatrności. Mogliby kupić lub sprzedać pół świata, jeśli bym ich o to poprosił; są mi to winni. Ale żaden z nich nie był nawet w przybliżeniu taki jak ty, Josephie. Byłeś najbardziej zachłannym i najzdolniejszym z nich. Tylko w tobie ujrzałem szansę na...
- Mów dalej - zachęcił Whitehead. - Szansę na co?
- Na zbawienie - odrzekł Mamouliau, po czym zaśmiał się szyderczo. - Zaskoczony, co? - dodał cicho.

Whitehead nigdy nie wyobrażał sobie, że to odbędzie się w taki sposób: dialog przyciszonych głosów w pomieszczeniu wyłożonym białymi płytkami, dwaj starzy mężczyźni, zadający sobie wzajem bolesne ciosy. Odwracający wspomnienia niczym kamienie i obserwujący, jak robactwo rozbiega się spod nich we wszystkich kierunkach. Było to o wiele łagodniejsze i o wiele boleśniesz zarazem. Nic tak nie doskwiera jak strata.

- Popęlniałem błędy - przyznał - i szczerze za nie żałuję.
 - Powiedz mi prawdę - zbeształ go Mamoulian.
 - To jest prawda, do cholery. Żałuję i przepraszam. Czego chcesz więcej? Ziemi? Przedsiębiorstw? Czego chcesz?
 - Zdziwiasz mnie, Josephie. Nawet teraz, u kresu, próbujesz się targować. Jaką wielką porażką się okazałeś. Jaką straszliwą porażką. Mogłem uczynić cię wielkim.
 - Jestem wielki.
 - Dobrze wiesz, jaka jest prawda, Pielgrzymie - powiedział łagodnie. - Czymże byłbyś beze mnie? Ze swoją gładką mową i ekstrawaganckimi garniturami? Aktorem? Sprzedawcą samochodów? Złodziejem?
- Whitehead wzdrygnął się, nie tylko z powodu tych drwin. Para za plecami Mamouliana stała się niespokojna, jakby zasiedliły ją duchy.
- Jesteś niczym. Bądź przynajmniej łaskaw to przyznać.
 - Przyjąłem cię - zauważył Whitehead.
 - O tak - powiedział Mamoulian. - Miałeś apetyt, przyznaję. Miałeś go w nadmiarze.

- Potrzebowałeś mnie - ripostował Whitehead. Europejczyk go zranił; teraz, wbrew rozsądkowi, on chciał mu odwzajemnić tę ranę. To był mimo wszystko jego świat, Europejczyk wtargnął tu jako nieproszony gość - nieuzbrojony, bez wsparcia. I jeszcze domaga się prawdy.

Usłyszy ją więc, z pomocą duchów czy bez.

- Dlaczego miałbym cię potrzebować? - spytał Mamoulian. W jego głosie nagle pojawił się ton pogardy. - Ile jesteś wart?

Whitehead wstrzymał się na moment z odpowiedzią, po czym zaczął wylewać z siebie potok słów, nie bacząc na konsekwencje.

- Bym żył za ciebie, bo byłeś zbyt bezkrwisty, aby żyć same mu! Dlatego mnie wybrałeś. By zakosztować tego wszystkiego za moim pośrednictwem. Kobiet, władzy; wszystkiego.

-Nie...

- Wyglądasz na chorego, Mamoulian...

Stało się. Nazwał Europejczyka jego imieniem. Boże, jakie to łatwe. Nazwał łajdaka po imieniu i nie cofnął wzroku, gdy oczy tamtego zalśniły, ponieważ to, co mówił, było prawdą. Tak, prawdą; obaj o tym wiedzieli. Mamoulian był blady, niemal pozbawiony barw. Wydrenowany z wszelkiej woli życia. Nagle Whitehead uświadomił sobie, że jeśli będzie dość sprytny, może wyjść zwycięsko z tej konfrontacji.

- Nie próbuj walczyć - upomniał go Mamoulian. - Dostanę, co mi się należy.
- To znaczy?
- Ciebie. Twoją śmierć. I, by tak rzec z braku lepszego słowa, twoją duszę.
- Dostałeś wszystko, co byłem ci winien, a nawet więcej. Dawno temu.

- Nie taka była umowa, Pielgrzymie.
 - Wszyscy zawieramy umowy, a potem zmieniamy reguły gry.
 - To nie jest gra.
 - Jest tylko jedna gra. Ty mnie tego nauczyłeś. Dopóki to ja w niej wygrywam, reszta się nie liczy.
- Dostanę, co mi się należy - powtórzył Mamoulian z cichą determinacją w głosie. - To z góry przesądzony wynik.

244

- Dlaczego nie każesz mnie po prostu zabić?
 - Znasz mnie, Josephie. Chcę to czysto rozegrać do końca. Daję ci czas na załatwienie swoich spraw. Na zamknięcie ksiąg, oczyszczenie konta, oddanie ziemi tym, którym ją ukradłeś.
- Nie przypuszczałem, że jesteś komunistą.
 - Nie przyszedłem tu na dyskusję polityczną. Przyszedłem przedstawić ci moje warunki.

A więc, pomyślał Whitehead, egzekucja została odroczone. Szybko pozbył się wszelkich myśli o ucieczce ze strachu, by Europejczyk czegoś nie wyniuchał. Mamoulian sięgnął do kieszeni marynarki. Okaleczona dłoń wyjęła z niej dużą, złożoną w pół kopertę.

 - Pozbędziesz się swoich aktywów ściśle według tych wytycznych.
 - Wszystko na korzyść twoich przyjaciół, jak mniemam.
 - Nie mam przyjaciół.
 - Odpowiada mi to - wzruszył ramionami Whitehead. - Rad będę pozbyć się tego wszystkiego.
 - Czyż nie ostrzegałem cię, że stanie się to ciężarem?

- Rozdam cały majątek. Zostanę świętym, jeśli chcesz. Czy to cię zadowoli?
- Dopiero kiedy umrzesz, Pielgrzymie - oznajmił Europejczyk.
- Nie.
- Ty i ja, razem.
- Umrę w swoim czasie - powiedział Whitehead. - Nie w twoim.
- Nie będziesz chciał iść sam. - Duchy za plecami Europejczyka stały się niespokojne. Para burzyła się wraz z nimi.
- Nigdzie się nie wybieram - oświadczył Whitehead. Wydawało mu się, że w kłębach pary dostrzega twarze. Opór raczej nie byłby mądrym rozwiązaniem, musiał to przyznać. - ...a zatem gdzie czai się zło? - wyszeptał sam do siebie, podnosząc się powoli, by odeprzeć atak tego, co znajdowało się w oparach, czymkolwiek to było.

Światła sauny zaczęły przygasać. Oczy Mamouliańska świeciły w coraz głębszym mroku, światłość wylewała się także z jego

245

gardła, plamiąc powietrze. To z niej brały swą substancję duchy, stając się z sekundy na sekundę bardziej namacalne.

- Przestań - błagał Whitehead. Na próżno.

Sauna zniknęła. Z obłoków pary wysiadali jej pasażerowie. Whitehead czuł na sobie ich kłujące spojrzenia. Dopiero teraz poczuł się nagi. Schylił się po ręcznik, a gdy wyprostował się znowu, Mamouliańska nie było. Przycisnął ręcznik do krocza. Czuł, jak duchy w ciemnościach naśmiewają się z jego piersi, z jego skurczonych organów płciowych, z nagiej absurdalności jego starczego ciała. Znały go z dawnych czasów, gdy jego

klatka piersiowa była szeroka, genitalia dumnie wyprężone, mięśnie imponujące, w ubraniu czy bez.

- Mamoulian... - wymamrotał w nadziei, że Europejczyk zapanuje nad tym nieszczęściem, zanim całkiem wymknie się spod kontroli. Ale nikt nie odpowiedział na jego wezwanie.

Ruszył chwiejnym krokiem po śliskich płytkach w stronę drzwi. Jeśli Europejczyk odszedł, on będzie mógł po prostu wyjść z tego pomieszczenia, odszukać Straussa i znaleźć kryjówkę w którymś z pokoi. Ale duchy jeszcze z nim nie skończyły. Para, która tymczasem ściemniała do sinej barwy, przerzedziła się nieco, a w głębi niej coś zamigotało. Nie mógł tego w pierwszej chwili rozpoznać: jakaś niepewna biel, jakby chmura migoczących płatków śniegu.

Wtem powiała bryza, znikąd. Należała do przeszłości - i pachniała przeszłością. Popiołem i ceglanym pyłem; brudem ciał niemytych przez dekady; palonymi włosami i gniewem. Ale był też inny zapach, przeplatający się z tamtymi. Gdy Whitehead wciągnął go w nozdrza, pojął, czym jest to migotanie w powietrzu, zapomniał wówczas o ręczniku i zakrył dłońmi oczy, a łzy i błagalne wołania popłynęły niekończącym się strumieniem.

Lecz duchy nie przestały nań napierać, niosąc zapach kwitnącego drzewa.

37

Carys zatrzymała się w małym korytarzyku przed drzwiami pokoju Marty'ego i nasłuchiwała. Z wnętrza dochodził odgłos spokojnego snu.

Wahała się przez chwilę - niepewna, czy ma wejść, czy nie - po czym, nie budząc Marty'ego, wróciła na schody. Byłoby to zbyt wygodne wślizgnąć się pod kołdrę i leżąc przy boku mężczyzny, wypłakać się z głową wtuloną w zagłębienie jego szyi, tam gdzie wyczuwało się puls; zrzucić z siebie całe brzemie i błagać go, by był silny dla niej. Tak, zbyt wygodne i niebezpieczne zarazem. To nie byłoby prawdziwe bezpieczeństwo, tam w jego łóżku. Musi znaleźć je sama; i musi znaleźć je w sobie, nigdzie indziej.

Schodząc, zatrzymała się w połowie drugiego biegu stopni. W zaciemnionym holu poczuła na skórze dziwne mrowienie. Chłód nocnego powietrza, zapewne; ale i coś jeszcze. Czekwała na schodach, szczupła jak cień, aż jej oczy przywykną do ciemności. Być może powinna wrócić na górę, zamknąć się na klucz w swoim pokoju, znaleźć jakieś pigułki i przeczekać te parę godzin dzielących ją od wschodu słońca. Byłoby to o wiele łatwiejsze niż takie życie, jakie teraz wiodła, z naelektryzowanym każdym nerwem. Gdzieś w korytarzu prowadzącym do kuchni zauważyła ruch. Wielka czarna bryła, obramowana przez framugę drzwi, pojawiła się na moment i znikła.

To tylko ciemność płata figle, pomyślała. Przesunęła dłonią po ścianie, wyczuwając opuszkami palców pomarszczoną powierzchnię tapety, aż znalazła kontakt. Nacisnęła go. Korytarz

247

był pusty. Schody za jej plecami również. Podest także. „Głupia” - zbesztala w duchu samą siebie i pokonawszy ostatnie trzy stopnie schodów, ruszyła w stronę kuchni.

Jeszcze nim tam dotarła, potwierdziło się jej podejrzenie co do chłodu w

korytarzu. Tylne wejście do budynku znajdowało się w prostej linii z drzwiami pomiędzy korytarzem a kuchnią, i podobnie jak one było teraz otwarte. Jakie dziwne, niemal szokujące uczucie, zobaczyć dom, zazwyczaj tak hermetycznie zabezpieczony, otwarty na grozę nocy. Niezamknięte na noc drzwi były jak otwarta rana w jego boku.

Zrobiła krok z wyłożonego dywanem holu na chłodne linoleum w kuchni i była w połowie drogi do tylnych drzwi, by je zamknąć, gdy dostrzegła połyskujące na podłodze szkło. Drzwi nie otwarły się przez przypadek; ktoś włamał się do środka. Zapach - drzewa sandałowego - drażnił jej nozdrza. Był mdły, ale pod nim wyczuwało się jeszcze bardziej mdlącą woń.

Musi powiadomić Marty'ego; to teraz najważniejsze. Nie ma potrzeby wracać na górę po schodach. Na kuchennej ścianie jest przecież telefon.

Jej umysł podzielił się. Jedna część na chłodno oceniała problem i szukała dłań rozwiązania: gdzie jest telefon; co należy powiedzieć Marty'emu, gdy ten podniesie słuchawkę. Inna część, ta we władaniu heroiny, wiecznie wystraszona, wpadła w popłoch. Ktoś tu jest, całkiem blisko (zapach sandałowy), mówiła ta część, ktoś śmiertelnie niebezpieczny, ktoś gnijący w ciemnościach.

Bardziej opanowana połowa przejęła kontrolę. Carys ruszyła w stronę telefonu, zadowolona, że jest boso, ponieważ jej kroki nie czyniły niemal żadnego hałasu. Podniosła słuchawkę i wybrała dziewiętnaście, numer sypialni Marty'ego. Usłyszała jeden długi sygnał, potem jeszcze jeden. Pragnęła, żeby obudził się jak najszybciej. Jej rezerwy samokontroli były ściśle limitowane.

- Obudź się, obudź się... - szeptała.

Wtedy usłyszała hałas za plecami; ciężkie stopy rozkruszy-ły kawałki szkła na podłodze. Odwróciła się, by zobaczyć, kto

248

to, i ujrzała stojącą w drzwiach nocną marę z nożem w dłoni i skórą psa przewieszoną przez ramię. Słuchawka wyślizgnęła jej się z palców i ta część świadomości, która doradzała panikę, przejęła teraz całą władzę.

A nie mówiłam, krzyczała. A nie mówiłam!

Telefon zadzwonił we śnie Marty'ego. Śniło mu się, że się budzi, przykłada słuchawkę do ucha i rozmawia ze śmiercią. Ale dzwonienie przeciągało się, pomimo że odebrał telefon, wynurzył się więc ze snu i znalazł się w swoim pokoju ze słuchawką w dłoni, lecz na drugim końcu linii nie było nikogo.

Odłożył słuchawkę na widełki. Czy rzeczywiście dzwonił telefon? Uznał, że nie. Jednak sen nie był wart, by do niego wracać - rozmowa ze śmiercią stanowiła niezrozumiałą, napuszoną gadkę. Opuścił nogi, wciągnął dzinsy i stojąc przy drzwiach, przecierał właśnie zaspane oczy, gdy gdzieś na dole rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

Rzeźnik ruszył w jej stronę, odrzucając skórę psa, by ułatwić sobie pochwylenie dziewczyny. Zrobiła jeden unik; potem drugi. Napastnik był ociężały, ale wiedziała, że jeśli raz uda mu się jej dosięgnąć, to koniec z nią. Zagradzał jej drogę do drzwi łączących kuchnię z resztą domu, zmuszona więc była tak manewrować, by dotrzeć do tych prowadzących na dwór.

- Nie wychodziłbym tamtędy... -ostrzegł, a jego głos, podobnie jak zapach, był mieszaniną słodczy i zgnilizny. - To niebezpieczne.

Te słowa okazały się najlepszą zachętą. Okrążyła kuchenny stół i wymknęła się przez otwarte drzwi do ogrodu, starając się ominąć leżące na podłodze odłamki szkła. Wpadła na pomysł, by zamknąć za sobą drzwi - jeszcze trochę szkła posypało się i rozprysło na linoleum - i po chwili była już daleko od domu. Usłyszała, jak za jej plecami drzwi otwierają się tak gwałtownie: być może zostały wyrwane z zawiasów. A potem tupot kroków - niby grzmot wstrząsający ziemią - biegnącego za nią zabójcy psów.

249

Potwór był powolny, a ona zwinna. On ciężki, ona lekka -tak lekka, że prawie niewidzialna. Zamiast trzymać się ścian domu, co przywiodłoby ją w końcu do drzwi frontowych, gdzie trawnik był w pełni oświetlony, pomknęła jak najdalej od budynku, pokładając w Bogu nadzieję, że ścigające ją monstrum nie widzi w ciemnościach.

Marty zwłókł się po schodach, wciąż usiłując wytrząsnąć sen z głowy. Chłód panujący w holu całkiem go rozbudził, a przeciąg zaprowadził do kuchni. Miał zaledwie kilka sekund, by zauważyć szkło i krew na podłodze, nim Carys zaczęła krzyczeć.

W jakimś niemożliwym do wyobrażenia miejscu ktoś krzyknął. Whitehead usłyszał głos, głos dziewczyny, ale będąc samemu zagubionym na pustkowiu, nie potrafił zlokalizować wołania. Nie miał pojęcia, jak długo już tu płacze, patrząc, jak potępieńcy przychodzą i odchodzą - wydawało mu się, że wiek cały. Pod wpływem hiperwentylacji zakręciło mu się w głowie; gardło zachrypło od łkania.

- Mamoulian... - nie przestawał błagać - nie zostawiaj mnie

tutaj.

Istotnie nie chciał - Europejczyk miał rację - samotnie udawać się do tego nigdzie. Sto razy bez skutku skamlał, by zostało mu oszczędzone doświadczanie tych wizji, ale dopiero teraz iluzja zaczęła ustępować. Płytki - niczym białe, nieśmiałe kraby - wracały na swoje miejsca pod jego stopami; znów uderzyła go woń własnego nieświeżego potu, powitany z większą radością niż najpiękniejszy zapach, jaki kiedykolwiek wdychał. A przed nim stał Europejczyk, tak jakby w ogóle się stamtąd nie ruszał.

- Porozmawiamy, Pielgrzymie? - spytał.

Whitehead miał dreszcze pomimo panującego w saunie gorąca. Szczękał zębami.

- Tak - powiedział.
- Spokojnie? Uprzejmie i z godnością?

250

Znowu: -Tak.

- Nie spodobało ci się to, co ujrzałeś?

Whitehead przebiegł palcami po swojej ziemistej twarzy, wbijając kciuk i palec wskazujący w zagłębienia po obu stronach nasady nosa, jakby próbował wypchnąć stamtąd zapamiętane obrazy.

- Nie, do cholery - odpowiedział. Obrazy nie dadzą się usunąć. Ani teraz, ani już nigdy.
- Może porozmawiamy gdzie indziej - zasugerował Europejczyk. - Nie masz jakiegoś pokoju, do którego moglibyśmy się teraz udać?
- Słyszałem Carys. Krzyczała.

Mamouliau zamknął na moment powieki, by przechwycić myśl dziewczyny.

- Z nią wszystko w porządku - oznajmił.
- Nie krzywdź jej. Jest dla mnie wszystkim.
 - Nie stała się jej żadna krzywda. Po prostu **znalazła jedno** z dzieł mojego przyjaciela.

Breer nie tylko odarł psa ze skóry, ale też go wypatroszył. Carys poślizgnęła się na porozrzucanych wnętrznościach i okrzyk wyrwał jej się z płuc, nim zdołała go powstrzymać. Gdy ucichło jego echo, nasłuchiwała kroków rzeźnika. Ktoś biegł w jej kierunku.

- Carys! - To był głos Marty'ego.

- Jestem tutaj.

Znalazł ją wpatrzoną w oskórowaną głowę psa.

- Kto to, kurwa, zrobił? - wrzasnął.
- On tu jest - wyjaśniła. - Gonił mnie. Dotknął jej twarzy.
- Nic ci się nie stało?
- To tylko ta głowa psa - odparła. - To był szok.

Gdy wracali w stronę domu, przypomniała sobie sen, który ją obudził. Mężczyzna bez twarzy, przemierzający, z falą gów-

na u stóp, ten właśnie trawnik, po którym teraz szli - czy szli jego śladami?

- Tu jest jeszcze ktoś - oświadczyła z całkowitą pewnością - oprócz zabójcy psów.

- Oczywiście.

Skinęła głową z kamienną twarzą, po czym ujęła Marty'ego pod ramię.

- Ten drugi jest gorszy, skarbie.

- Mam pistolet. Został w moim pokoju.

Dotarli do drzwi kuchennych; obok nich **wciąż leżała** porzucona skóra psa.

- Czy wiesz, kim oni są? - zapytał.

Pokręciła głową.

- Jeden jest gruby. - To było wszystko, **co potrafiła** powiedzieć. -

Wygląda idiotycznie.

- A drugi? Znasz go?

Drugi? Oczywiście, że go zna: był Carys tak znajomy, jak jej własna twarz. W ostatnich tygodniach myślała o nim tysiąc razy dziennie; coś mówiło dziewczynie, że zna go od zawsze. To on był Architektem paradującym w jej snach, zanurzającym palce w jej karku, a teraz przybył, by uwolnić falę brudu, podążającą za nim przez trawnik. Czy był kiedyś taki czas, gdy nie żyła w jego cieniu?

- O czym myślisz?

Patrzył na nią: wyglądał doprawdy uroczo, gdy tak próbował niewzruszonym wyrazem twarzy przesłonić kompletną dezorientację.

- Kiedyś ci powiem - odparła. - Teraz musimy znaleźć ten cholerny pistolet.

Szli przez pogrążony w absolutnej ciszy dom. Żadnych krwawych odcisków stóp, żadnych krzyków. Zabrał broń ze swego pokoju.

- Teraz do Papy - powiedział. - Sprawdźmy, czy z nim wszystko w porządku.

Z zabójcą psów, wciąż kręcącym się gdzieś w pobliżu, ich poszukiwania z konieczności były ukradkowe i stąd niespieszne. Whiteheada nie znaleźli w żadnej z sypialni ani w jego

252

garderobie. Łazienki, biblioteka, gabinet i duży **hol** też były puste.

To Carys pierwsza pomyślała o saunie.

Marty pchnął drzwi, a one otwarły się na oścież. Przed nim rozpostarła się ściana wilgotnego gorąca, a para krętymi smugami jąła wylewać się do holu. Z tego pomieszczenia ktoś z pewnością niedawno korzystał. Ale zarówno sama sauna, jak i jacuzzi wraz z solarium były puste. Gdy po pobieżnym przeszukaniu tych miejsc wrócił do Carys, ta stała na chwiejnych nogach, opierając się o framugę drzwi.

- Nagle poczułam nudności - powiedziała. - Po prostu do padło mnie to.

Marty podtrzymał ją, gdyż nogi całkiem odmówiły jej posłuszeństwa.

- Usiądź na chwilę. - Zaprowadził ją do ławki. Leżał na niej pokryty rosą pistolet.
- Już mi lepiej - zapewniła. - Idź poszukać Papy. A ja tu zostanę.
- Cholernie źle wyglądasz.
- Dzięki - powiedziała. - A teraz idź już, proszę. Wolałabym się wyrzygać, gdy nikt nie patrzy, jeśli nie masz nic przeciwko temu.
- Jesteś pewna?
- Idź już, do cholery. Zostaw mnie samą. Poradzę sobie.
- Zamknij drzwi na klucz, kiedy wyjdę - polecił z naciskiem.
- Tak jest - odparła, obrzucając go przyprawiającym o mdłości

spojrzeniem.

Zostawił ją w saunie i poczekał, aż usłyszy trzask zamykanego zamka. Nie uspokoiło go to całkowicie, ale było lepsze niż nic.

Ostrożnie wrócił do przedsionka i postanowił szybko rozejrzeć się przed domem. Lampy na trawniku były zapalone i jeśli stary gdzieś tam się podziewa, szybko go zauważy. To oczywiście wystawiało na cel również Marty'ego, ale teraz Marty przynajmniej miał broń. Otworzył frontowe drzwi i wyszedł

253

na żwirowy podjazd. Lampy zalewały trawnik niezachwianym strumieniem światła. Było bielsze niż światło słoneczne, lecz dziwnie martwe. Marty omiótł wzrokiem trawnik po prawej i lewej stronie. Nigdzie nie było widać starego.

Za jego plecami, w holu, Breer przyglądał się, jak bohater wychodzi na poszukiwanie swojego pana. Dopiero gdy ochroniarz całkiem zniknął mu z oczu, Połykacz Żyletek wylazł z ukrycia i pognał, z zakrwawionymi rękami, za pragnieniem swego serca.

38

Nasunąwszy zasuwę w drzwiach, Carys wróciła chwiejnym krokiem na ławeczkę i skoncentrowała się na pacyfikowaniu swego buntującego się organizmu. Nie była pewna, co wywołało u niej mdłości, ale zdecydowana je przezwyciężyć. Gdy jej się to uda, ruszy w ślad za Martym i pomoże mu szukać Papy. Stary był tu niedawno, to jasne. Fakt, że wyszedł, nie

zabierając pistoletu, nie wróżył nic dobrego.

Jakiś zniewalający głos wyrwał ją z zadumy. Podniosła wzrok. Przed nią w obłoku pary pojawiła się smuga, bladość rzucona w powietrze.

Zmrużyła oczy, próbując rozpoznać jej kształt. Wydawała się zbudowana z białych punktów. Carys wstała, a iluzja - zamiast się rozwiać - umocniła się tylko. Delikatne włókienka łączyły jedną kropkę z następną, i Carys niemal wybuchnęła śmiechem, gdy rozpoznała, czym jest to zagadkowe zjawisko. Patrzyła bowiem na kwiaty, których korony o lśniąco białej barwie skąpane były w świetle słońca lub gwiazd. Gałązki, poruszane nieposiadającym źródła wiatrem, zrzucały deszcz płatków. Dziewczynie zdawało się, że płatki muskają jej twarz, ale gdy dotknęła policzków palcem, nie znalazła tam nic.

Przez lata uzależnienia od heroiny nie śniła nigdy snu tak z pozoru miłego, a równocześnie tak naładowanego groźbą. To nie był jej wytwór, to drzewo. Nie stworzyła go we własnym umyśle. Należało do kogoś, kto był tu przed nią - do Architekta, nie miała co do tego wątpliwości. Pokazał to widowisko Papie i wciąż nie wygasły jego echa.

255

Próbowała odwrócić głowę i spojrzeć na drzwi, ale jej wzrok był przyklejony do drzewa. Carys wydawało się, że nie będzie w stanie go oderwać. Miała wrażenie, że ukwiecona korona nabrzmiewa, jak gdyby coraz więcej pąków zamieniało się w kwiaty. Biel drzewa - w swej przerażającej czystości - wypełniła jej oczy; tam zastygała i puchła.

I wtedy, gdzieś pod kołyszącymi się, ciężkimi gałęziami, poruszyła się jakaś postać. Kobieta o płonących oczach uniosła rozbitą głowę, kierując spojrzenie w stronę Carys. Na jej widok wróciły nudności. Carys poczuła

się słabo. Nie był to dobry moment, by tracić przytomność. Nie, gdy kwiaty wciąż eksplodują, a kobieta spod drzewa wychodzi z ukrycia i zmierza w jej kierunku. Była niegdyś piękną istotą - i przywykłą do zachwyków, jakie wzbudzała. Ale wmieszał się los. Ciało zostało okrutnie oszpecone, uroda na zawsze utracona. Gdy wreszcie całkiem wynurzyła się z kryjówek, Carys rozpoznała ją od razu.

- Mama.

Evangeline Whitehead otworzyła ramiona, ofiarowując córce uścisk, jakim nigdy za życia jej nie obdarzyła. Czy w śmierci odkryła zdolność kochania i bycia kochaną? Nie. Nigdy. Otwarte ramiona były pułapką. Carys wiedziała o tym. Jeśli wpadnie w objęcia matki, drzewo i jego Stwórca posiadają ją na zawsze.

Huczało jej w głowie; wyteżyła siły, by oderwać wzrok od iluzji. Jej kończyny były jak z galarety - Carys zastanawiała się, czy ma dość sił, by się poruszyć. Niepewnie zwróciła głowę w stronę drzwi. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu ujrzała, że są otwarte na oścież. Zasuwka została wyrwana - ktoś wyważył drzwi.

- Marty? - spytała.

-Nie.

Odwróciła się, tym razem w lewo, i ujrzała stojącego w odległości kilku jardów od niej zabójcę psów. Zdążył już zmyć plamy krwi z rąk i twarzy i mocno pachniał perfumami.

- Przy mnie jesteś bezpieczna - powiedział.

Spojrzała za siebie, na drzewo. Rozpływało się w powietrzu, pojawienie się prawdziwej bestii rozproszyło tamto iluzoryczne

życie. Matka Carys, z ramionami wciąż rozpostartymi, stawała się coraz chudsza, coraz węższa. W ostatniej chwili przed całkowitym zniknięciem otworzyła usta i wymiotowała czarną krwią w stronę córki. Potem drzewo zniknęło wraz ze swymi straszydłami. Pozostała tylko para, kafelki na ścianach i podłódze i stojący przy Carys mężczyzna z krwią psów za paznokciami. Nie słyszała żadnego odgłosu, gdy się włamywał - zauroczenie drzewem odgrodziło ją od dźwięków świata zewnętrznego.

- Krzyczałaś - wyjaśnił. - Usłyszałem twój krzyk. Nie pamiętała tego.
- Chcę do Marty'ego - powiedziała.
- Nie - odparł grzecznie.

- Gdzie on jest? - zapytała i przesunęła się nieznacznie w stronę otwartych drzwi.
- Powiedziałem: nie!

Zagroził Carys drogę. Nie potrzebował jej dotykać. Jego bliskość wystarczyła, by ją powstrzymać. Rozważała próbę prześlizgnięcia się koło niego i dalej na korytarz, ale z drugiej strony, jak daleko zdoła uciec, nim ją złapie? Dwie podstawowe zasady obchodzenia się z oszalałymi psami i psychopatami: po pierwsze, nie uciekać; po drugie, nie okazać strachu. Gdy wyciągnął w jej kierunku rękę, spróbowała opanować wstręt i nie cofnęła się.

- Nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić - rzekł.

Przesunął nasadą kciuka po wierzchu jej dłoni, znalazł kroplę potu i starł ją. Jego dotknięcie było lekkie jak piórko i zimne jak lód.

- Czy pozwolisz mi się sobą zaopiekować, piękna? - spytał.

Nie odpowiedziała; jego dotyk przerażał. Nie po raz pierwszy tej nocy zapragnęła nie być osobą nadwrażliwą - nigdy dotknięcie innego człowieka nie sprawiło jej tyle bólu.

- Chciałbym, żebyś czuła się swobodnie - mówił dalej.

- Dzielila ze mną... - przerwał, jakby zabrakło mu słów -
...swoje sekrety.

Spojrzała mu prosto w twarz. Mięśnie jego szczęk dygotały, gdy -
zducerwowany jak nastolatek - czynił tę propozycję.

257

- A w zamian - dodał - wyjawię ci moje tajemnice. Chcesz
zobaczyć?

Nie czekał na odpowiedź. Zanurzył rękę w kieszeni poplamionej
marynarki i wyciągnął garść żyłek. Ich ostrza lśniły. To było zbyt
absurdalne - jak jarmarczny pokaz, tyle że odegrany bez radosnego wigoru.
Pachnący drzewem sandałowym klaun miał zamiar połknąć żyłki, by
zdobyć jej miłość. Wysunął suchy język i położył na nim pierwsze ostrze.
Nie podobało jej się to; żyłki irytowały Carys od zawsze.

- Nie rób tego - powiedziała.
- Nic mi nie będzie - odparł, ciężko przelkując. - Jestem ostatnim z
plemienia. Widzisz? - Otworzył usta i wystawił język. - Nie ma.
- Niezwykłe - skomentowała. To, co zobaczyła, rzeczywiście takie było.
Odrażające, ale niezwykłe.
- To nie wszystko - zapowiedział, zadowolony z jej reakcji.

Doszła do wniosku, że najlepiej będzie pozwolić mu kontynuować ten
dziwaczny pokaz. Im dłużej będzie zajęty prezentowaniem swoich
perwersji, tym większe są szanse, że wróci Marty.

- Co jeszcze potrafisz robić? - spytała. Puścił jej rękę i zaczął odpinać pasek u spodni.

- Pokażę ci - odpowiedział, rozpinając guziki rozporka.

O Chryste, pomyślała, głupia, głupia, głupia. Jego podniecenie tym obnażaniem się było wyraźnie widoczne, jeszcze zanim opuścił spodnie.

- Nie czuję obecnie bólu - wyjaśnił uprzejmie. - Żadnego bólu, cokolwiek bym sobie zrobił. Połykacz Żyletek nie czuje nic.

Pod spodniami był nagi.

- Widzisz? - rzekł z dumą.

Widziała. Miał dokładnie wygolone krocze i całą okolicę łonową przybraną własnoręcznie wykonanymi ozdobami. Haki i pierścienie przebijały tłuszcz na podbrzuszu oraz genitalia. Jądra były najeżone igłami.

- Dotknij - zachęcił.

- Nie... dziękuję - odmówiła.

258

Zmarszczył brwi; jego górna warga wywinęła się, ukazując zęby, które przy bladej cerze wyglądały na jasnożółte.

- Chcę, żebyś mnie dotknęła - nalegał, wyciągając ku niej rękę.

- Breer!

Połykacz Żyletek zastygł w absolutnym bezruchu. Zatrzepotał jedynie powiekami.

- Zostaw ją.

Znała ten głos aż nazbyt dobrze. To był oczywiście Architekt, przewodnik po jej własnych snach.

- Nie zrobiłem nic złego - wybełkotał Breer. - Prawda? Powiedz mi, że cię nie skrzywdziłem.

- Zakryj się - powiedział Europejczyk.

Breer podciągnął spodnie jak chłopiec przyłapany na masturbacji i odsunął się od Carys, rzucając jej konspiracyjne spojrzenie. Dopiero teraz jego rozmówca wszedł do sauny. Był wyższy niż we śnie i smutniejszy.

- Bardzo mi przykro - rzekł tonem szefa pierwszorzędnej restauracji, zmuszonego przeproszać za zachowanie nieokrzesanego kelnera.

- Źle się poczuła - tłumaczył się Breer. - Dlatego się włamałem.

- Chora?

- Gadała do ściany. Wzywała matkę.

Architekt natychmiast zrozumiał **sytuację**. **Przyjrzał się** Carys z uwagą.

- A więc widziałaś? - rzekł.

- Co to było?

- Nic, co byłąbyś zmuszona znosić ponownie - odparł.

- Moja matka tu była. Evangeline.

- Zapomnij o tym wszystkim - powiedział. - To strachy dla innych, nie dla ciebie.

Słuchanie jego głosu było hipnotyzujące. Zauważyła, że trudno jej przypomnieć sobie nocny koszmar o nicości; zjawienie się Architekta wyczyściło jej pamięć.

- Sądzę, że powinnaś pójść ze mną.

259

- Dlaczego?

- Twój ojciec umrze, Carys.

- Och - westchnęła.

Poczuła się kompletnie oderwana od własnego ja. W obecności pełnego kurtuazji przybysza wszystkie jej lęki zdawały się raptem należeć do przeszłości.

- Jeśli tu zostaniesz, będziesz cierpieć razem z ojcem, a nie ma takiej potrzeby.

To była kusząca propozycja: nie być nigdy więcej pod władzą Papy, nie musieć znosić jego pocałunków o smaku starości. Carys spojrzała na Breera.

- Nie bój się go - uspokoił ją Architekt, kładąc dłoń na jej karku. - Jest nikim i niczym. Przy mnie jesteś bezpieczna.
- Może uciec - zaprotestował Breer, gdy Europejczyk pozwolił Carys pójść do pokoju po rzeczy.
- Ona mnie nigdy nie opuści - odrzekł Mamoulian. - Nie zamierzam wyrządzić jej krzywdy i ona wie o tym. Kołysałem ją kiedyś w swoich ramionach.
- Była naga?
 - Była maleństwem, bardzo kruchym. - Zniżył głos niemal do szeptu. - Zasłużyła na coś lepszego niż bycie z tamtym.

Breer nie odezwał się; oparty niedbale o ścianę, żyletką wydłubywał zaschłą krew z paznokci. Jego stan pogarszał się znacznie szybciej, niż przewidywał Europejczyk. Miał nadzieję, że Breer przetrwa do końca całego zamieszania. Ale stary, znając go, będzie się mizdrzył, będzie lawirował i to, co powinno zająć kilka dni, zajmie całe tygodnie, a do tego czasu Połykacz Żyletek znajdzie się w naprawdę opłakanym stanie.

Mamoulian poczuł się znużony. Szukanie, a później nadzorowanie, następcy Breera byłoby wyczerpujące przy jego i tak mocno uszczuplonych zasobach energii.

Carys wróciła właśnie na dół.

Europejczyk poniekąd żałował, że traci szpiega w obozie wroga, ale powstałoby zbyt wiele niewiadomych, gdyby nie zabrał dziewczyny ze sobą. Po pierwsze, miała o nim wiedzę

260

głębszą, niż sama sobie uświadamiała. Instynktownie wyczuwała jego lęk przed cielesnością; dowodem sposób, w jaki wypchnęła go ze swego umysłu, gdy była ze Straussem. Wiedziała też o jego zmęczeniu, o jego utracie wiary. Był jednak jeszcze jeden powód, by ją zabrać. Whitehead wyznał, że to ona jest jego jedyną pociechą. Jeśli odbiorą mu ją teraz, Pielgrzym pozostanie sam, co będzie oznaczało jego agonię. Mamoulian wierzył, że to okaże się nie do zniesienia.

39

Przeszukawszy cały oświetlony przez reflektory teren i nie znalazłszy śladu bytności Whiteheada, Marty wrócił na górę. Nastał czas, by złamać reguły i poszukać starego na zakazanym terytorium. Drzwi do pomieszczenia znajdującego się na końcu korytarza na piętrze, za sypialniami Carys i Whiteheada, były zamknięte. Z sercem w gardle Marty podszedł do tych drzwi i zapukał.

- Proszę pana?

Początkowo z wewnątrz nie dochodził żaden dźwięk. Potem dał się słyszeć głos Whiteheada; niewyraźny, jak głos człowieka wyrwanego ze snu:

- Kto tam?
- Strauss, proszę pana.
- Wejdz.

Marty delikatnie pchnął drzwi, a te otwarły się na oścież.

Ilekroć wyobrażał sobie ten pokój, zawsze przed oczyma umysłu pojawiał się skarbiec. Prawda jednak temu wizerunkowi stanowczo przeczyła. Panowały tu spartańskie warunki; białe ściany i skąpe umeblowanie tworzyły chłodną scenografię. Jedynym skarbem, jakim mogło poszczycić się to pomieszczenie, był oparty o nagą ścianę tryptyk ołtarzowy. Jego przepych nie pasował do surowej prostoty wnętrza. Tematem części środkowej tryptyku było ukrzyżowanie, przedstawione z wysublimowanym sadyzmem; całe w złocie i krwi.

Właściciel arcydzieła, odziany w elegancki szlafrok, siedział za wielkim stołem w odległym końcu pokoju, rozwalony bez-

262

ładnie na krześle jak worek. Spojrzał na Marty'ego, a na jego twarzy nie widać było ani zaproszenia, ani oskarżenia.

- Nie stój w drzwiach, człowieku. Wejdz.

Marty zamknął za sobą drzwi.

- Wiem, co mi pan mówił na temat zakazu przychodzenia tutaj. Ale obawiałem się, że coś się panu stało.
- Jestem żyw - powiedział Whitehead, rozkładając ręce. - Wszystko dobrze.

-Psy...

- ...są martwe. Wiem. Proszę usiąść.

Wskazał na puste krzesło po przeciwnej stronie stołu.

- Czy nie powinienem zawiadomić policji?

- Nie ma potrzeby.

- Tamci mogą wciąż być na terenie posiadłości.

Whitehead potrząsnął głową.

- Poszli sobie. Niech pan siada, Martin. Proszę nalać sobie kieliszek wina. Wygląda pan na zgonionego.

Marty wysunął ustawione starannie przy stole krzesło i usiadł. Naga żarówka, paląca się pośrodku sufitu, ukazywała wszystko w niekorzystnym świetle. Gęste cienie, upiorne światła - istny pokaz duchów.

- Może pan odłożyć pistolet. Nie będzie potrzebny.

Marty położył broń na stole obok talerza, na którym leżało kilka cienkich jak opłatek plasterków mięsa. Za talerzem stała miska truskawek, do połowy opróżniona, oraz szklanka wody. Skromność tego posiłku pasowała do otoczenia: mięso cienkie aż do granic przezroczystości, na wpół surowe i soczyste; niedbałe ustawienie szklanki i miski z truskawkami. Finezyjna gra przypadku rządziła tu wszystkim, nadając całości niesamowity rys przygodnego piękna. Pomiędzy Martym a Whiteheadem unosił się w powietrzu pyłek kurzu, oscylując między lampą i stołem, a najlżejszy oddech wpływał na kierunek jego lotu.

- Proszę spróbować mięsa, Marty.

- Nie jestem głodny.

- Jest znakomite. Mój gość je kupił.

- Wie pan zatem, kim oni są.

263

- Tak, oczywiście. A teraz proszę jeść.

Marty z ociąganiem odkroił kawałek leżącego przed nim plasterka i skosztował. Mięso rozpływało się na języku, delikatne, wyborne.

- Proszę zjeść wszystko - zachęcił Whitehead.

Zrobił tak, jak zasugerował stary - pełna wysiłku noc dodała mu apetytu. Kieliszek czerwonego wina już czekał na niego; Marty opróżnił go jednym haustem...

- Niewątpliwie pańska głowa pełna jest pytań - rzekł Whitehead. -

Proszę pytać. Dołożę wszelkich starań, by na te pytania odpowiedzieć.

- Kim oni są? - spytał Marty.

- Przyjaciółmi.

- Włamali się jak zabójcy.

- Czy nie jest możliwe, by przyjaciele z czasem stali się zabójcami? -

Marty nie był przygotowany na taki paradoks. - Jeden z nich siedział przed chwilą tam, gdzie pan teraz siedzi.

- Jak mogę być pana ochroniarzem, skoro nie jestem w stanie odróżnić pańskich przyjaciół od wrogów?

Whitehead milczał przez chwilę, bacznie przyglądając się Marty'emu.

- Przejmuje się pan tym? - spytał po chwili.

- Był pan dla mnie dobry - odparł Marty urażony tym pytaniem. - Za jak bezdusznego drania mnie pan uważa?

- Mój Boże... - Whitehead potrząsnął głową. - Marty...

- Proszę mi to wyjaśnić. Chcę służyć pomocą.

- Wyjaśnić co?
 - Jak może pan zapraszać na obiad człowieka, który chce pana zabić.
 Whitehead patrzył na pyłek kurzu krążący między nimi. Albo uznał pytanie za poniżej jego godności, albo nie miał na nie odpowiedzi.
 - Chce pan pomóc? - odezwał się w końcu. - Proszę zatem pogrzebać moje psy.
 - Czy tylko do tego się nadaję?
 - Może przyjdzie czas...

264

- Stale mi pan to powtarza - rzekł Marty, wstając od stołu. Wiedział, że nie otrzyma żadnych odpowiedzi; to było jasne. Tylko mięso i dobre wino. Jednak tej nocy to nie wystarczało. - Czy mogę już iść? - spytał i nie czekając na pozwolenie, odwrócił się od starego i podszedł do drzwi.

Gdy je otwierał, Whitehead powiedział: „Przebacz mi”, bardzo cicho. Tak cicho, że Marty nie był pewien, czy te słowa były skierowane do niego, czy nie.

Zamknął za sobą drzwi i ruszył na obchód domu, by sprawdzić, czy intruzi rzeczywiście sobie poszli. Nie znalazł ich. Sauna była pusta. Carys najprawdopodobniej wróciła do swojego pokoju.

W przypiływie zuchwałości wśliznął się do gabinetu i nalał sobie szklaneczkę whisky z karafki, po czym usiadł w fotelu Whiteheada przy oknie, pijąc i rozmyślając. Alkohol nie wpłynął na jasność jego umysłu, przytłumił jedynie bolesne poczucie frustracji. Marty poszedł spać, nim świt zdążył zbyt wyraźnie odmalować kłęby rozszarpanego futra na trawniku.

VII

Bez granic

40

To nie był poranek na grzebanie psów - niebo lśniło zbyt jasno i obiecująco. Odrzutowce w drodze do Ameryki smugami kondensacyjnymi znaczyły błękit, las żył pękaniem pąków i trzepotem skrzydeł. A jednak pracę należało wykonać, jakkolwiek niestosowna mogła się wydawać.

Dopiero w bezlitosnym świetle dnia można było w pełni ocenić rozmiar rzezi, jaka się tu dokonała. Oprócz zabicia psów biegających wokół domu intruzi włamali się do psiarni i działając systematycznie, wymordowali wszystkich jej mieszkańców, łącznie z Bella i jej potomstwem. Gdy Marty zbliżył się do klatek dla psów, Lillian już tam była. Wyglądała tak, jakby płakała od kilku dni. W dłoniach tuliła jedno ze szczeniąt. Jego głowa wyglądała jak zgnieciona w imadle.

- Patrz - odezwała się, pokazując truchło szczenięcia.

Marty nie dał rady zjeść nic na śniadanie - myśl o czekającej go robocie odebrała mu apetyt. Teraz żałował, że nie zmusił się do przełknięcia czegokolwiek. Jego żołądek sam sobie odpowiadał echem. Marty poczuł się niemal oszołomiony.

- Szkoda, że mnie tu nie było - powiedziała Lillian.

- Prawdopodobnie zostałąbyś zamordowana razem z psami

- uprzytomnił jej Marty. To była prosta prawda.

Odłożyła szczeniaka z powrotem na słomę i pogłaskała zmierzwiłone futro na ciele Belli. Marty brzydził się bardziej niż ona. Nawet w grubych

skórzanych rękawiczkach, które miał teraz na dłoniach, nie chciał dotykać psich zwłok. Ale brak sza-

266

cunku nadrobił wydajnością - odraza podziałała jak ostroga, ponaglając go w pracy. Lillian, chociaż upierała się, że będzie pomagać, gdy przyszło co do czego, okazała się bezużyteczna. Wszystko, na co ją było stać, to przyglądanie się, jak Marty pakuje zwłoki do czarnych plastikowych worków na śmieci, umieszcza ten ponury ładunek na tyle dżipa, po czym jedzie tak zaimprovizowanym karawanem na wybraną uprzednio polanę w lesie. Zabrał nawet dwie łopaty, mając nadzieję na pomoc ze strony Lillian, lecz ona była wyraźnie niezdolna do działania. Pozostało mu wykonać całą robotę samemu, podczas gdy kobieta stała z rękami w kieszeniach swej pobrudzonej kurtki, gapiąc się na wyciekające z worków płyny.

To było trudne zadanie. Gęstwa splecionych korzeni tworzyła w tym miejscu podziemną sieć między jednym drzewem a drugim i Marty, zmuszony rozcinać tę plątaninę ostrzem łopaty, wnet zalał się potem. Wykopawszy płytki grób, przetoczył do niego ciała psów i jął zasypywać je ziemią. Grudki zabębniły o plastikowe całuny niczym suchy deszcz. Po całkowitym wypełnieniu dołu Marty uklepał łopatą nadmiar ziemi, formując niewielki kopczyk.

- Wracam do domu na piwo - powiedział do Lillian. -

Idziesz?

Pokręciła głową.

- Ostatnia posługa - szepnęła.

Zostawił ją pomiędzy drzewami i ruszył przez trawnik w stronę domu.

Idąc, rozmyślał o Carys. Na pewno już się obudziła, chociaż zasłony w jej pokoju nadal były zaciągnięte. Jak miło być ptakiem, pomyślał, móc zerkać przez szparę w zasłonach, podglądać ją, gdy wyleguje się nago na łóżku, rozleniwiona, ramiona wyrzucone wysoko nad głowę, futerko pod pachami, futerko tam, gdzie zbiegają się uda. Wszedł do domu z uśmiechem i erekcją.

W kuchni zastał Pearl; oznajmił jej, że jest głodny, i udał się na górę wziąć prysznic. Gdy wrócił, czekał na niego zimny półmisek: wołowina, chleb, pomidory. Zabrał się ochoczo do jedzenia.

267

- Widziałaś rano Carys? - spytał z pełnymi ustami.
 - Nie - odparła. Była dziś skrajnie niekomunikatywna, z twarzą napiętą od jakiegoś fermentującego żalu. Gdy tak obserwował ją krzątającą się przy kuchni, zastanawiał się, jaka jest w łóżku - z niewiadomego powodu głowę miał dziś pełną sprośnych myśli, jak gdyby umysł, opierając się uczuciu przygnębienia narosłego przy grzebaniu psów, garnął się do podnoszących nastrój tematów. Przeżuwając kęs solonej wołowiny, Marty zapytał:
 - Czy to była cielęcina, to, co podałaś wczoraj wieczorem staremu?
- Pearl, nie odwracając się od swoich zajęć, odrzekła:
- Nie jadł nic zeszłego wieczoru. Zostawiłam mu rybę, ale jej nie tknął.
 - Ale jadł mięso - upierał się Marty. - Skończyłem je za niego. I były też truskawki.
 - Musiał zejść i przygotować to sobie samemu. Zawsze te truskawki - marudziła. - Udławi się nimi pewnego dnia.

Zastanawiając się nad tym teraz, Marty przypomniał sobie, że według Whiteheada, to jego gość dostarczył tamto mięso.

- Cokolwiek to było, było dobre - powiedział do Pearl.
- Nic z rzeczy przeze mnie przyrzadzonych - odparła, obrażona jak kobieta, która właśnie dowiedziała się o zdradzie męża.

Marty powstrzymał się od dalszej konwersacji; nie było sensu na siłę rozweselać Pearl, gdy była w takim nastroju.

Skończywszy posiłek, udał się do pokoju Carys. Dom zdążył odzyskać spokój po zabójczej farsie, która rozegrała się tu ubiegłej nocy - trwał pogrążony w takiej ciszy, że słyhać byłoby, gdyby ktoś upuścił szpilkę. Obrazy w równych rzędach na ścianach klatki schodowej, dywany pod stopami - wszystko to przemawiało przeciw pogłoskom o domniemanym zagrożeniu. Chaos był tu równie nie do pomyślenia jak zamieszki w galerii sztuki - niedopuszczalny po prostu z braku precedensu.

Zapukał do drzwi pokoju Carys, bardzo lekko. Nie było odpowiedzi, więc znów zapukał, tym razem głośniejsze.

268

- Carys?

Może nie chciała z nim rozmawiać. Nigdy nie umiał z dnia na dzień przewidzieć, czy nazajutrz będą kochankami, czy wrogami. Te dwuznaczności przestały go już jednak niepokoić. Wypróbowywała go w ten sposób i Marty'emu to nie przeszkadzało, o ile miała zamiar na koniec przyznać, że kocha go bardziej niż jakiegokolwiek innego palanta, stąpającego po powierzchni ziemi.

Nacisnął klamkę; drzwi nie były zamknięte na klucz. Pokój za nimi okazał się pusty. Marty nie tylko nie ujrzał w nim Carys, ale też

jakichkolwiek śladów jej bytności. Książki, przybory toaletowe, ubrania, ozdoby - wszystko, co czyniło ten pokój jej własnym, zostało usunięte. Zdjęto z łóżka prześcieradła i poszewki z poduszek. Obnażony materac wyglądał przygnębiająco.

Marty zamknął drzwi i ruszył na dół. Dotychczas wiele razy prosił o wyjaśnienia i oferowano mu ich niezmiernie mało. Ale dość już tego. Szkoda, że nie ma tu Toya - on jeden traktował Marty'ego jak istotę myślącą.

W kuchni siedział Luther, z nogami wyłożonymi na stół, pomiędzy archipelagi niepozmywanych talerzy. Pearl najwidoczniej oddała swe terytorium barbarzyńcom.

Pierwsze pytanie Marty'ego brzmiało:

- Gdzie jest Carys?
- Nigdy nie odpuszczasz, co? - odparł Luther. Zgasił papierosa na talerzu, z którego Marty niedawno jadł lunch, i przewrócił stronę czasopisma.

Marty czuł zbliżający się wybuch. Nigdy nie przepadał za Lutherem, ale przez całe miesiące w milczeniu znosił cwaniackie docinki drania, ponieważ system nie pozwalał mu na taką ripostę, jakiej naprawdę chciał udzielić. Ale teraz system rozpadał się gwałtownie. Toy odszedł, psy zostały zabite, podeszwy butów oparto na kuchennym stole - czy ktoś przejąłby się, gdyby Marty stłukł Luthera na miazgę?

- Chcę wiedzieć, gdzie jest Carys.

- Nie ma tu damy o tym imieniu.

Marty zrobił krok w stronę stołu. Luther wyczuł, że jego odpowiedź nie

została dobrze przyjęta. Odłożył czasopismo; uśmiech zniknął mu z twarzy.

- Nie denerwuj się, facet.

- Gdzie ona jest?

Luther wygładził stronę czasopisma, przesuwając dłonią po błyszczącym akcie.

- Odeszła - powiedział.

- Dokąd?

- Odeszła, człowieku. To wszystko. Jesteś głuchy czy głupi, czy może jedno i drugie?

Marty w sekundę znalazł się po drugiej stronie kuchni i zwłókł Luthera z krzesła. Jak większość spontanicznych aktów przemocy, i ten atak był pozbawiony wszelkiej gracji. Obaj stracili równowagę. Luther omal nie upadł na plecy; zaczepił wyrzuconym w bok ramieniem o filiżankę z kawą i zrzucił ją; rozbiła się o podłogę. Przetoczyli się przez całą szerokość kuchni. Luther pierwszy stanął pewnie na nogach i wyprowadził cios kolanem w krocze Marty'ego.

- Je-zu!

- Zabieraj ode mnie swoje pieprzone łapy, koleś! - wrzeszczał spanikowany Luther. - Nie chcę się z tobą bić, dobra? - Prośby przeszły w przywoływanie do rozsądku: - Spokojnie, człowieku. Opanuj się.

Marty odpowiedział, rzucając się na niego z pięściami. Cios, bardziej przypadkowy niż zamierzony, dosięgnął twarzy Luthera, a zaraz po nim nastąpiły trzy albo cztery uderzenia w brzuch i klatkę piersiową. Luther, cofając się przed atakiem, poślizgnął się na zimnej kawie i upadł.

Zdyszany i zakrwawiony, pozostał na podłodze, gdzie był w miarę

bezpieczny, a tymczasem Marty, z zażwawionymi po ciosie w jądra oczyma, rozcierał bolące dłonie.

- Powiedz mi tylko, gdzie ona jest... - wysapał.

Luther, nim przemówił, wypluł zabarwioną krwią kulkę flegmy.

270

- Całkiem ci, kurwa, odbiło, facet. Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Nie wiem, dokąd poszła. Spytaj wielkiego białego ojca.

To on faszeruje ją pieprzoną heroiną.

Oczywiście. W tej informacji leżało rozwiązanie pół tuzina zagadek. To wyjaśniało jej brak zdecydowania, by opuścić starego; wyjaśniało apatię, tę niezdolność wybiegnięcia myślą poza następny dzień, poza następną działkę narkotyku.

- Ale ty dostarczasz towar? Taki jest układ, hę?
- Może i dostarczam. Ale nie ja ją uzależniłem. Nigdy bym tego nie zrobił. To on; przez cały czas on! Robił to, by ją zatrzymać. By ją, kurwa, zatrzymać przy sobie. Bydlak. - Było to powiedziane z prawdziwą pogardą. - Jaki ojciec potrafiłby tak zrobić? Mówię ci, skurwiel mógłby nauczyć nas obu kilku niezłych lewych sztuczek. - Przerwał, by sprawdzić coś palcem w ustach; wyraźnie nie miał zamiaru podnosić się z podłogi, dopóki w Martym nie ostygnie żądza krwi. - Nie zadaję pytań - oznajmił. - Wszystko, co wiem, to to, że musiałem uprzątnąć pokój Carys dziś rano.
- Gdzie się podziały jej rzeczy?
Luther nie odpowiadał przez kilka sekund.
- Większość spalona - odezwał się w końcu.

- Na litość boską, dlaczego?
 - Rozkaz starego. Skończyłeś? Marty przytaknął.
 - Skończyłem.
 - Ty i ja - powiedział Luther - nie przepadamy za sobą od samego początku. Wiesz dlaczego?
 - Dlaczego?
 - Bo obaj jesteśmy gównem warci - odparł ponuro - Nic niewarte gówno. Z tą różnicą, że ja o tym wiem. Potrafię z tym żyć. Ale tobie, żaloszny palancie, wydaje się, że jak dość długo będziesz tu lizał dupę komu trzeba, to pewnego dnia ktoś wybaczy ci twoje sprawki.
- Marty wydmuchnął śluz z nosa do wnętrza dłoni, po czym wytarł ją o spodnie.

271

- Prawda boli, co? - dociął mu Luther.
- Dobrze więc - odparł Marty - jeśli tak znasz się na prawdzie, może powiesz mi, co tu jest grane.
- Już ci mówiłem: nie zadaję pytań.
- Nigdy cię to nie zastanowiło?
- Oczywiście, że się, kurwa, zastanawiam. Zastanawiam się codziennie, ilekroć przynoszę małej działkę albo gdy widzę, jak stary się poci, kiedy zaczyna się ściemniać. Ale dlaczego miałby tkwić w tym jakiś sens? To wariat; tu masz odpowiedź. Pomieszało mu się we łbie, gdy jego żona zmarła. Tak nagle. Nie dał sobie z tym rady. Świruje od

tamtej pory.

- I to ma być wyjaśnienie wszystkiego, co tu się dzieje?

Luther starł wierzchem dłoni krwawą plwocinę ze swego podbródka.

- Nic nie widzę, nic nie słyszę, nic nie mówię.
- Nie jestem małą - odparł Marty.

41

Dopiero wieczorem stary zgodził się porozmawiać z Martym. Ta zwłoka była prawdopodobnie przemyślanym fortelem; upływ czasu stępił ostrze gniewu ochroniarza. Tym razem White-head zapomniał o swoim gabinecie i fotelu przy oknie. Zamiast tego siedział w bibliotece. Jedyna zapalona lampa stała nieco z tyłu za jego fotelem. Uniemożliwiało to niemal całkowicie odczytanie wyrazu twarzy Whiteheada. Ponadto przemawiał głosem tak bezbarwnym, że żadnej wskazówki co do nastroju mówiącego nie dałoby się z niego wysnuć. Jednak Marty przeczuwał, że w użyciu znów będą tanie teatralne chwyt, i zdołał się na nie przygotować. Miał parę palących pytań i nie zamierzał dać się onieśmielić.

- Gdzie jest Carys? - zaczął zdecydowanym tonem.

Głowa w zagłębieniu fotela poruszyła się nieznacznie. Dłonie zamknęły książkę leżącą na podolku i odłożyły ją na stół. Jedna z tych powieści science fiction w miękkich okładkach; lekka lektura na ciemną noc.

- Czy to powinno pana obchodzić? - zdziwił się Whitehead.

Marty był pewien, że przewidział wszystkie możliwe reakcje starego - kręactwa, próbę przekupstwa - ale pytania przenoszącego ciężar

odpowiedzi na niego się nie spodziewał. Natychmiast pojawiły się kolejne niewiadome: choćby taka, czy Whitehead wie o jego związku z Carys? Zadręczał się przez całe popołudnie myślą, że dziewczyna powiedziała ojcu o wszystkim, że poszła do starego po ich pierwszej wspólnej

273

nocy i po następnych także, by zdać raport z całej niezdarności i całej naiwności swego kochanka.

- Muszę wiedzieć - powiedział.
- Cóż, nie widzę powodu, by pana o tym nie poinformować - rzekł martwy głos - choć, Bóg mi świadkiem, to sprawa osobista i bardzo dla mnie bolesna. Wszelako tak niewiele pozostało mi osób, którym mógłbym się zwierzyć...

Marty usiłował zlokalizować oczy Whiteheada, ale oślepiało go światło bijące od ustawionej za fotelem lampy. Mógł jedynie wsłuchiwać się w jednostajny ton głosu i próbować wyłowić przesłanie ukryte pod gładką powierzchnią strumienia słów.

- Zabrano ją, Marty. Na moją prośbę. Tam gdzie jej problemy zostaną potraktowane we właściwy sposób.
- Narkotyki?
- Musiał pan zauważyć, że jej uzależnienie pogorszyło się w ciągu ostatnich tygodni. Miałem nadzieję zapanować nad tym, podając zadowalającą ilość narkotyku przy równoczesnym stopniowym zmniejszaniu dawki. I to działało. Do niedawna. - Westchnął, uniósł dłoń ku twarzy. - Głupiec ze mnie. Powinienem był przyznać się do porażki już dawno temu i wysłać ją do kliniki. Lecz nie chciałem, by

mija odebrano; tylko tyle. Wreszcie nastąpiła ubiegła noc - nasi goście, rzeź psów - i zdałem sobie sprawę, jak samolubny jestem, narażając Carys na takie napięcia. Za późno na zaborczość czy dumę. Jeśli ludzie dowiedzą się, że moja córka to ćpunka, niechaj tak będzie.

- Rozumiem.

- Spodobała się panu.

- Tak.

- To piękna dziewczyna, a pan jest samotny. Ciepło wyrażała się o panu. Za jakiś czas znów będzie wśród nas, jestem tego pewien.

- Chciałbym ją odwiedzić.

- Wszystko w swoim czasie. Powiedziano mi, że przez pierwsze tygodnie leczenia wymaga się tam izolacji. Ale zapewniam pana, że Carys jest w dobrych rękach.

274

To wszystko brzmiało bardzo przekonująco. Lecz było kłamstwem. Kłamstwem z całą pewnością. Pokój Carys został огоłocony z jej rzeczy; czy tak uczyniłby ktoś, kto spodziewa się, że dziewczyna „będzie wśród nas” za kilka tygodni? Jeszcze jedna fikcja. Jednak zanim Marty zdążył zaprotestować, White-head już mówił dalej, z nieskazitelną wyrównaną intonacją:

- Jest pan teraz bardzo blisko mnie. Tak jak dawniej Bill.

Prawdę mówiąc, zastanawiam się, czy nie powinien pan zostać przyjęty do wewnętrznego kręgu. W przyszłą niedzielę wydaję obiad. Chciałbym, by wziął pan w nim udział. Jako nasz gość honorowy. - To była wyrafinowana, pochlebna mowa. Bez najmniejszego wysiłku stary odzyskiwał panowanie nad sytuacją.

- W tygodniu powinien pan udać się do Londynu, by kupić sobie coś przyzwoitego na tę okazję. Cóż, na moich obiadach obowiązują eleganckie stroje.

Sięgnął po leżącą na stole książkę i otworzył ją.

- Oto czek. - Leżał za zakładką książki, już podpisany, gotowy do wręczenia. - To powinno pokryć koszty zakupu dobrego garnituru, koszul, butów. I wszystkiego, czymkolwiek zechce się pan uraczyć. - Podał czek, trzymając go między palcem środkowym i wskazującym. - Proszę go przyjąć.

Marty podszedł i odebrał czek.

•Dziękuję.

•Może zostać spieniężony w moim banku przy Strandzie. Spodziewają się tam pana. Za to, czego pan nie wyda, chcę, żeby pan zagrał.

•Słucham? - Marty nie był pewien, czy właściwie zrozumiał propozycję.

•Nalegam, by przeznaczył pan resztę na hazard, Marty. Konie, karty, cokolwiek pan zechce. Niech się pan dobrze bawi. Zrobi pan to dla mnie? A kiedy pan wróci, wzbudzi pan zazdrość starego człowieka, opowiadając o swoich przygodach.

A jednak to było przekupstwo. Ten czek upewnił Marty'ego w przekonaniu, że stary kłamał na temat Carys. Nie miał jednak odwagi dalej go naciskać w tej kwestii. To nie tchórzostwo powstrzymało Marty'ego, lecz rosnące podniecenie. Został

przekupiony podwójnie. Po pierwsze, pieniędzmi; po drugie, przez zaproszenie do hazardu. Lata minęły od ostatniego razu, gdy miał podobną

okazję. Wolny czas i dużo pieniędzy. Być może przyjdzie dzień, w którym znienawidzi Papę za przebudzenie uspionego wirusa; ale zanim to nastąpi, może wygrać majątek, potem go przegrać i znów wygrać. Stał teraz przed starym i już był cały rozgorączkowany.

- Jest pan dobrym człowiekiem, Strauss.

Słowa Whiteheada uniosły się nad zaciemnionym fotelem jak słowa proroka nad rozszczepioną skałą. Chociaż Marty nie mógł widzieć twarzy potentata, wiedział, że ten się uśmiecha.

42

Pomimo lat spędzonych na słonecznej wyspie Carys miała zdrowe poczucie rzeczywistości. Albo raczej miewała wcześniej, zanim zabrali ją do tego zimnego, pustego domu przy Caliban Street. Tu nic już nie było oczywiste. Za sprawą Mamouliana. To akurat - i chyba tylko to - nie ulegało wątpliwości. Nie domy były nawiedzane przez duchy, lecz ludzkie umysły. Cokolwiek poruszało się tutaj w powietrzu lub przemykało po nagich deskach razem z kłębkami kurzu i karaluchami, cokolwiek mieniło się w kącikach jej oczu, jak światło na powierzchni wody - wszystko to było dziełem Mamouliana.

Przez trzy dni od przybycia do nowego domu odmawiała nawet zwykłej rozmowy ze swym gospodarzem czy też może porywaczem, kimkolwiek był w istocie. Nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego się tu znalazła, ale wiedziała, że to on ją do tego podstępnie nakłonił - przenikając umysłem jej kark

- i jego manipulacje budziły w niej sprzeciw. Breer, grubas,

przynosił jej jedzenie, a drugiego dnia dostarczył także narkotyki, lecz ona nie jadła i nie odzywała się ani słowem. Pokój, w którym ją zamknęli, był dość wygodny. Miała książki i telewizor, jednak w panującej tu atmosferze niepewności potrafiła się odprężyć. Nie dała rady ani czytać, ani oglądać telewizyjnych głupot. Czasami trudność sprawiało jej przypomnienie sobie własnego imienia; było tak, jakby ciągła bliskość tego mężczyzny wymazywała z niej wszystko do cna. On zapewne potrafił robić takie rzeczy. W końcu dostał się do jej głowy, czyż

277

nie? Potajemnie wślizgnął się do jej psychiki, Bóg jeden wie ile razy. Był w niej, w niej, na litość boską, a ona nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Nie bój się.

Była trzecia nad ranem czwartego dnia, kolejna bezsenna noc. Wszedł do jej pokoju tak cicho, że w pierwszej chwili mimowolnie spojrzała na jego stopy, by sprawdzić, czy w ogóle dotykają podłogi.

- Nienawidzę tego miejsca - oznajmiła.
- Nie chciałabyś rozejrzeć się trochę po domu, zamiast siedzieć tu zamknięta?
- Jest nawiedzony - powiedziała, spodziewając się, że wyśmieje ją za te słowa. Nie zrobił tego jednak, mówiła więc dalej. - Czy ty jesteś duchem?
- To, kim jestem, stanowi zagadkę - odrzekł - nawet dla mnie samego. - Introspekcja złagodziła nieco brzmienie jego głosu. - Lecz na pewno nie duchem. Nie lękaj się mnie, Carys. Cokolwiek czujesz, ja do pewnego stopnia czuję razem z tobą.

Przypominała sobie wyraźnie, jak odrażający był dla niego akt seksualny. Jaką okazał się - przy całej swojej mocy - bladą, słabowitą istotą. Nie potrafiła zdobyć się na nienawiść do niego, choć miała po temu tyle powodów.

- Nie lubię być wykorzystywana - powiedziała.
- Nie zrobiłem ci krzywdy. A czy teraz cię krzywdzę?
- Chcę zobaczyć się z Martym.

Mamoulian próbował zacisnąć w pięść okaleczoną dłoń.

- Obawiam się, że to niemożliwe - odparł. Zbliznowaciała skóra na jego dłoni błyszczała napięta, ale kalekie ciało nie poddawało się.
- Dlaczego nie? Dlaczego nie pozwolisz mi się z nim zobaczyć?
- Będiesz tu miała wszystko, czego ci potrzeba. Hojne dostawy żywności. I heroiny.

Nagle przemknęło jej przez myśl, że Marty może znajdować się na ułożonej przez Europejczyka liście osób przeznaczonych do egzekucji. Mogło też być tak, że już nie żył.

278

- Proszę, nie rób mu krzywdy - powiedziała.
 - Złodzieje przychodzą i odchodzą - odrzekł. - Nie mogę brać odpowiedzialności za to, co się z nim stanie.
- Nigdy ci nie wybaczę.
 - Owszem, wybaczysz. - Jego głos był teraz łagodny, niemal nierzeczywisty. - Dziś ja jestem twym obrońcą, Carys. Gdyby mi pozwolono, wychowywałbym cię od dziecka i oszczędzono by ci upokorzeń, które on kazał ci znosić. Ale jest za późno. Wszystko, co

mogę teraz zrobić, to uchronić cię przed dalszym zepsuciem.

Poniechał prób zaciśnięcia pięści. Zauważyła, jaką odrazą napęła go okaleczona dłoń. Uciałby ją, gdyby mógł, pomyślała; nie tylko seks budził w nim obrzydzenie, lecz wszystko, co cielesne.

- Dość już - powiedział, mając na myśli swą dłoń, albo ich rozmowę, a może w ogóle bez związku.

Gdy wyszedł, pozwalając jej zasnąć, nie zamknął za sobą drzwi na klucz.

Nazajutrz zaczęła poznawać dom. Miejsce nie wyróżniało się niczym szczególnym; była to zwyczajna duża, pusta, dwupiętrowa kamienica. Na ulicy za brudnymi szybami okien widać było zwyczajnych przechodniów, zbyt zamkniętych w sobie, by choć rozejrzeć się dokoła. W pierwszym odruchu chciała nawet zastukać w szybę, wyartykułować jakiś apel, ale pragnienie to zostało z łatwością pokonane przez rozsądek. Jeśli wymknęłaby się stąd, przed czym uciekałaby, i dokąd? Tu była poniekąd bezpieczna i miała narkotyki. Chociaż początkowo odmawiała ich sobie, okazały się zbyt atrakcyjne, by, ot tak, spłukać je w toalecie. Po kilku dniach brania tabletek sięgnęła i po heroinę. Przychodziła w stałych dostawach: nigdy za wiele, nigdy za mało i zawsze dobrej jakości.

Tylko Breer, tłuscioch, ją niepokoił. Przyłaził w niektóre dni i patrzył na nią tymi swoimi wodnistymi oczyma, wystającymi z głowy jak dwa jajka na miękko. Powiedziała o nim Mamoulii-nowi i nazajutrz gruby już nie ociągał się z wyjściem - po prostu

przyniósł tabletki i pośpiesznie opuścił pokój. I tak jeden dzień zlewa! się

z drugim; bywało, że zapominała, gdzie jest i jak się tu znalazła; czasami pamiętała, jak się nazywa, czasami nie. Raz, może dwa, próbowała myślami dosięgnąć Marty'ego, ale był od niej za daleko. A może to ten dom ograniczał jej zdolności. Cokolwiek stanowiło przyczynę, jej myśli gubiły drogę już kilka mil od Caliban Street i Carys wracała stamtąd spocona i wystraszona. Przebywała w nowym domu od tygodnia, gdy sprawy zmieniły się na gorsze.

- Chciałbym, żebyś zrobiła coś dla mnie - oznajmił Europejczyk.

- Co takiego?

 - Chcę, byś odnalazła pana Toya. Pamiętasz pana Toya?

 - Oczywiście, że pamiętała. Niezbyt dobrze, ale pamiętała.

Jego złamany nos, jego mądre oczy, które zawsze patrzyły na nią z takim smutkiem.

- Czy sądzisz, że potrafiłabyś go zlokalizować?

- Nie wiem jak.

- Pozwól umysłowi pójść do niego. Znasz sposób, Carys.

- Dlaczego ty tego nie zrobisz?

 - Ponieważ on się mnie spodziewa. Będzie się bronił, a ja jestem zbyt zmęczony, by z nim walczyć w tym momencie.

- Czy on się ciebie obawia?

- Prawdopodobnie.

- Dlaczego?

 - Byłaś niemowlęciem, gdy pan Toy i ja spotkaliśmy się po raz ostatni. Rozstaliśmy się jako wrogowie; on zakłada, że nadal jesteście sobie

wrodzy...

- Chcesz go skrzywdzić - powiedziała.
- To nie twoja sprawa, Carys.

Wstała, sunąc plecami po ścianie, o którą dotychczas się opierała, rozparta na podłodze.

- Nie sądzę, bym chciała go znaleźć dla ciebie.
- Czyż nie jesteśmy przyjaciółmi?
- Nie - odparła. - Nie. I nigdy nie będziemy.

280

- Dość tego.

Zrobił krok ku niej. Dotknął jej kaleką dłonią; dotyk był lekki jak piórko.

- Myślę, że jednak jesteś duchem - rzekła.

Zostawiła go na korytarzu i poszła do łazienki przemyśleć całą sprawę, zamykając za sobą drzwi na klucz. Wiedziała bez cienia wątpliwości, że wyrządziłaby krzywdę Toyowi, gdyby zaprowadziła doń tego człowieka.

- Carys - odezwał się cicho. Był pod drzwiami. Jego bliskość sprawiła, że ścierpła jej skóra na głowie.
- Nie możesz mnie zmusić - powiedziała.
- Nie prowokuj mnie.

Nagle twarz Europejczyka zamajaczyła w jej głowie. Przemówił ponownie:

- Znałem cię, gdy jeszcze nie umiałaś chodzić, Carys. Często trzymałem cię w ramionach. Ssałaś mój kciuk. - Mówił z ustami bardzo blisko drzwi; od jego niskiego głosu wibrowały deski, o które opierała się

plecami.

- Nie jest winą ani twoją, ani moją, że nas rozdzielono. Uwierz mi, cieszę się, że dary, które posiada twój ojciec, także ty nosisz w sobie. On nigdy ich nie używał. Nigdy nie pojął mądrości, która za nimi stoi. Roztrwonił wszystko - dla sławy, dla bogactwa. Ale ty... Mogę cię uczyć, Carys. Mogę cię nauczyć rzeczy wielkich.

Głos był tak uwodzicielski, że zdawał się przenikać przez drzwi i brać ją w objęcia, w sposób, w jaki czyniły to jego ramiona wiele lat temu. Nagle stała się malutka w jego uścisku; on gaworzył do niej, robił głupie miny, by uśmiech rozkwitł na twarzy maleńkiego aniołka.

- Znajdź dla mnie Toya, nic więcej. Czy to taka wielka prośba po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem?

Poczuła się kołysana w jego ramionach.

- Toy nigdy cię nie kochał - mówił - nikt nigdy cię nie kochał.

To było kłamstwo i taktyczna pomyłka. Słowa podziałały jak zimna woda na jej twarz. Była kochana! Marty ją kochał. Biegacz, jej biegacz.

281

Mamoulian spostrzegł swój błąd.

- Nie sprzeciwiaj mi się - powiedział. To już nie było gaworzenie.
- Idź do diabła - odrzekła.
- Jak sobie życzysz...

Słowa te wypowiedział z opadającą intonacją, jakby uznał sprawę za zakończoną i zamkniętą. Jednak nie opuścił swego stanowiska pod drzwiami łazienki. Carys nadal wyczuwała jego obecność. Czeka, aż mnie to zmęczy i wyjdę? - zastanawiała się. Perswazja przy użyciu przemocy

fizycznej nie była z pewnością w jego stylu; chyba że posłuży się Breerem. Zmobilizowała się w duchu przeciw takiej ewentualności. Wydrapałaby mu te wodniste ślepie.

Mijały minuty i przez cały czas czuła, że Europejczyk jest pod drzwiami, choć nie słyszała żadnego ruchu ni oddechu.

I wtedy zaczęło dudnić w rurach. Gdzieś w sieci kanalizacyjnej wzbierała fala. Z umywalki doleciał odgłos zasysania, chlupnęła woda w muszli klozetowej, pokrywa sedesu podniosła się, po czym z hukiem opadła, wypuszczając powiew cuchnącego powietrza. To on tym wszystkim w jakiś sposób sterował, choć wydawało się to bezsensownym ćwiczeniem.

Ponowne pierdnięcie muszli klozetowej - fetor był zabójczy.

- Co się dzieje? - wymamrotała.

Kleista masa fekaliiów zaczęła wyciekać spod wieka muszli i skapywać na podłogę. Wiły się w niej jakieś robakowate formy. Zamknęła oczy. To fałszerstwo, wszystko zostało wyczarowane przez Europejczyka, by ukrocić jej bunt - a zatem ona zignoruje całe to przedstawienie. Ale nawet przy zamkniętych oczach iluzja trwała nadal. Woda chlupała coraz głośniejsze, w miarę jak podnosił się jej poziom. A poprzez szum strumienia słychać było, że jakieś ciężkie, wilgotne twory spadają na podłogę łazienki.

- Cóż zatem? - spytał Mamoulian.

Przekląła na jednym jadowitym wydechu całe to złudzenie i jego twórcę.

i pozwoli zaatakować sobie jeszcze zmysł wzroku! Ale ciekawość okazała się silniejsza.

Krople wyciekające spod pokrywy sedesu zmieniły się w strumień, jak gdyby kanalizacja miejska zamierzała u jej stóp wyrzygać całą swoją zawartość. Nie tylko wodę i ekskrementy; zupa gorących odchodów wydała na świat potwory. Stworzenia nieznane zoologom, w każdym razie nie tym zdrowym na umyśle: istoty, które niegdyś były rybami, krabami; płody spłukane w ubikacjach klinik, zanim ich matki zdążyły obudzić się z krzykiem; bestie żywiące się odchodami, o ciałach stanowiących mozaikę tego, co pożarły. Zanurzone wszędzie w szlamie kawałki wydalonej materii, wnętrzności i męty - wszystko to dźwigało swe korpusy na przyprawiających o mdłości odnóżach, brodziło lub czołgało się w stronę Carys.

- Każ im odejść! - zawołała.

Stwory bynajmniej nie zamierzały się cofać. Spieniona fala wciąż parła do przodu, a okazy wyrzyganej przez toaletę fauny przybierały coraz większe rozmiary.

- Znajdź Toya - targował się głos po drugiej stronie drzwi.

Spoconą dłonią nacisnęła klamkę, ale drzwi zostały zablokowane. Nie było nadziei na złagodzenie wyroku.

- Pozwól mi wyjść.
- Wystarczy, że powiesz „tak”.

Przylgnęła płasko do drzwi. Wieko sedesu rozwarło się od jeszcze silniejszego niż dotychczasowe podmuchu cuchnących wyziewów i już pozostało otwarte. Zalewająca łazienkę ciecz gęstniała, a rury trzeszczały, jakby coś zbyt masywnego zaczęło przeciskać się nimi w stronę światła.

Carys usłyszała drapanie pazurów o wewnętrzne ściany rur, usłyszała grzechotanie zębów.

- Powiedz „tak”.

-Nie.

Lśniące ramię wynurzyło się gwałtownie z gulgoczącej muszli i młóciło na oślepie powietrze, aż natrafiło na krawędź umywalki i zacisnęło na niej palce. Wtedy stworzenie, podciągając

283

się na ramieniu, zaczęło wyłazić z muszli, **jego rozmiękczone** w wodzie, gnijące kości były jak z gumy.

- Proszę cię! - krzyknęła.
- Powiedz „tak”, nic więcej.
- Tak! Tak! Cokolwiek zechcesz! Tak!

Gdy tylko wyrzuciła z siebie te słowa, klamka u drzwi ustąpiła.

Dziewczyna natychmiast odwróciła się od wynurzającego się monstrum i nacisnęła na nią całym ciężarem, równocześnie drugą ręką mocując się z kluczem. Słyszała, jak za jej plecami cielsko potwora wygina się na wszystkie strony, by wydostać się na wolność. Przekręciła klucz w złą stronę, dopiero za drugim razem w prawidłową. Cuchnąca breja chlupnęła jej na goleń. Fala odchodów dosięgła pięt. Gdy otworzyła drzwi, rozmoknięte palce już chwyciły ją za kostkę, ale nim zdążyły się zacisnąć, Carys rzuciła się całym ciałem naprzód i wypadła z łazienki na korytarz, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Mamoulia, zwycięzcy, już tam nie było.

Po tym zdarzeniu nie potrafiła zmusić się do skorzystania z łazienki. Na jej żądanie Połykacz Żyletek zdobył wiadro, które przynosił i zabierał z

należytych uszanowaniem.

Europejczyk nie wspomniał więcej o incydencie. Tamtej nocy zrobiła to, o co ją prosił. Otworzyła swój umysł i ruszyła na poszukiwanie Billa Toya; znalazła go w ciągu kilku minut. Wkrótce odnalazł go również Ostatni Europejczyk.

43

Od tamtych dni chwały, od czasu swych wielkich wygranych w kasynach, Marty nigdy nie posiadał tylu pieniędzy, ile miał teraz przy sobie. Dwa tysiące funtów nie było fortuną dla White-heada, ale Marty'ego wynosiło na niebosiężne wyżyny. Może ta cała opowieść o Carys rzeczywiście była kłamstwem. Jeśli tak, wyłudzi od starego prawdę w późniejszym czasie. Poma-lutku, krok po kroczku, aż złapiemy małą, jak zwykły mawiać Feaver. Ciekawe, co by powiedział, gdyby zobaczył Marty'ego teraz, z pieniędzmi wysypującymi się z kieszeni.

Najpierw zostawił samochód w pobliżu Euston i wziął taksówkę na Strand, by spieniężyć czek. Następnie ruszył na poszukiwanie dobrego wieczorowego garnituru. Whitehead polecił mu sklepy z odzieżą w okolicy Regent Street. Z początku krawcy traktowali go nieco obcesowo, ale gdy zobaczyli jego pieniądze, zmienili ton na lizusowski.

Powstrzymując się od śmiechu, odegrał rolę kapryśnego klienta; płaszczyli się przed nim i nadszkwili mu - pozwolił im na to. Dopiero po trzech kwadransach przesadnych uprzejmości z ich strony dokonał ostatecznego wyboru: krój konserwatywny, ale w nienagannym stylu. Zakup garnituru i pozostałych części garderoby - butów, koszul, krawatów - uszczuplił jego

zasoby finansowe bardziej, niż Marty planował, ale były to pieniądze wydane lekką ręką. Garnitur i jeden zestaw dodatków zabrał ze sobą, resztę polecił odesłać do Sanktuarium.

Gdy wyszedł ze sklepu z odzieżą, była akurat pora lunchu, spacerował więc, rozglądając się za miejscem, gdzie mógłby

285

coś zjeść. Przy Gerard Street mieściła się chińska restauracja, do której zwykli zachodzić z Charmaine, kiedy tylko fundusze im na to pozwalały; postanowił znów tam zajrzeć. Choć fasada została zmodernizowana, by pomieścić wielki neon, wewnątrz było w zasadzie niezmienione, a jedzenie równie dobre jak dawniej. Usiadł w doskonałej izolacji od reszty gości i jadł i pił, zamawiając wszystko, co zaciekało go w jadłospisie - szczęśliwy, że może bez ograniczeń odgrywać bogatego człowieka. Po posiłku zamówił pół tuzina cygar, wlał w siebie kilka kieliszków brandy i zostawił napiwek, jakiego nie powstydziliby się milioner. Papa byłby ze mnie dumny, pomyślał. Syty i zadowolony, ruszył przed siebie, by zanurzyć się w ciepłe popołudnie. Nadszedł czas na wypełnienie pozostałych instrukcji Whiteheada.

Włóczył się chwilę po Soho, nim znalazł biuro przyjmujące zakłady. Wchodząc do zadymionego wnętrza, doznał nagłego poczucia winy, ale nakazał psującemu zabawę sumieniu, aby uciekało na drzewo. W końcu wykonywał tylko rozkazy.

Odbywały się właśnie wyścigi na torach w Newmarket, Kempton Park i Doncaster - każda z tych nazw wywoływała jakieś gorzko-słodkie skojarzenia - obstawiał więc swobodnie wszystkie gonitwy, jakie pojawiały się na tablicy. Niebawem dobrze znany z dawnych czasów

entuzjizm zabił ostatnie ślady wyrzutów sumienia. Ta gra była jak życie, tylko smakowała mocniej. Uosabiała - przez obietnice wygranych, przez zbyt łatwe przegrane - wyobrażenia, które będąc dzieckiem, miał na temat tego, czym musi być świat dorosłych. Przeświadczenie o tym, że gdy ktoś wyrasta z nudy i dojrzewa do wejścia w tajemny, brodaty i zdolny do erekcji męski świat, wówczas każde słowo naładowane jest ryzykiem i obietnicą, każdy oddech staje się zwycięstwem w grze o niezwykle wysokie stawki.

Z początku pieniądze odpływały od niego; nie obstawiał wysoko, ale częstotliwość przegranych zaczęła uszczuplać jego rezerwy. Potem, trzy kwadransy od rozpoczęcia sesji, sytuacja odmieniła się na lepsze; konie, które wybierał na chybił trafił, wygrywały teraz z łatwością, i to przy śmiesznie niskich stawkach. W jednej gonitwie odrobił z nawiązką przegrane z dwóch

286

poprzednich. Entuzjizm zmienił się w euforię. Była to emocja, którą tak usilnie starał się opisać Whiteheadowi - poczucie panowania nad przypadkiem.

W końcu wygrane zaczęły go nudzić. Schował pieniądze bez dokładniejszego ich przeliczania i wyszedł. Banknoty w kieszeni marynarki tworzyły gruby plik, prosiły się, by je wydawać. Działając instynktownie, przedarł się przez tłum, zmierzając w stronę Oxford Street, tam wybrał drogi sklep i kupił dla Charmaine futro za dziewięćset funtów, następnie zatrzymał taksówkę, by zawieźć prezent. Podróż trwała długo; niewolnicy tygodniówek właśnie rozpoczynali zbiorową ucieczkę i ulice były zakorkowane. Ale dobry nastrój Marty'ego nie pozostawiał miejsca

na irytację.

Kazał wysadzić się na rogu ulicy, zamierzając ostatni odcinek trasy przemierzyć pieszo. Otoczenie zmieniło się od jego poprzedniej wizyty. Wczesną wiosnę zastąpiło wczesne lato. O szóstej wieczorem wciąż utrzymywało się ciepło dnia; i nadal był to okres wzrostu. Nie tylko pora roku jest teraz dojrzała, rozmyślał Marty; on sam dojrzał przez ten czas.

Poczuł, że istnieje naprawdę. Boże na wysokościach, to było to. W końcu znów mógł działać w świecie, wpływać nań, kształtować go.

Charmaine, otwierając drzwi, sprawiała wrażenie czymś wzburzonej. Zdenerwowała się jeszcze bardziej, gdy Marty przekroczył próg, pocałował ją i wręczył jej pudło z futrem.

- Proszę. Kupiłem coś dla ciebie.

Zmarszczyła brwi.

-Co to jest, Marty?

- Sama zobacz. To dla ciebie.
- Nie - odparła. - Nie mogę.

Drzwi wejściowe były nadal otwarte. Skierowała go z powrotem w ich stronę, a w każdym razie próbowała tak uczynić. Ale on nie miał zamiaru wychodzić. Coś jeszcze kryło się pod wyrazem zakłopotania na jej twarzy: gniew, może nawet panika. Oddała mu pudło bez otwierania.

- Proszę, idź - powiedziała.

287

- To niespodzianka - odparł, usiłując nie dać się wyprosić.
- Nie chcę żadnych niespodzianek. Po prostu idź sobie. Zadzwoń do mnie jutro.

Nie miał zamiaru odebrać wciskanego mu prezentu i pudło upadło, otwierając się. Połyskliwe bogactwo futra wylało się na podłogę; Charmaine nie mogła się powstrzymać, by nie schylić się i go nie podnieść.

- Och, Marty... - szepnęła.

Gdy obserwował jej lśniące włosy, ktoś ukazał się u szczytu schodów:

- Co się dzieje?

Marty podniósł wzrok. Na półpiętrze stał Flynn, tylko w białych skarpetkach. Nieogolony. Przez kilka sekund nie mówił nic, żonglując w myślach wariantami zachowań możliwych w zaistniałej sytuacji. Potem uśmiech, sprawdzone lekarstwo na każdą dolegliwość, wypełził na jego twarz.

- Hej, Marty! - wykrzyknął. - Co słychać?

Marty popatrzył na Charmaine, ta wbiła wzrok w podłogę. W rękach trzymała futro zwinięte w kłębek jak martwe zwierzę.

- Rozumiem - powiedział Marty.

Flynn zszedł kilka schodków. Miał przekrwione oczy.

- To nie to, co myślisz, Marty. Naprawdę nie to - rzekł, zatrzymując się w połowie drogi na dół, by oszacować, w którą stronę Marty może skoczyć.

- To jest dokładnie to, co myślisz, Marty - sprostowała cicho Charmaine.

- Przykro mi, że dowiadujesz się o tym w ten sposób. Ale nie zadzwoniłeś. Mówiłam ci, zadzwoń, zanim się zjawisz.

- Od kiedy? - wymamrotał Marty.

- Dwa lata, mniej więcej.

Marty spojrzał na Flynn. Zabawiali się razem z tą czarną dziewczyną -

Ursulą czy jak jej tam - zaledwie kilka tygodni temu, a kiedy było po wszystkim, Flynn wymknął się z jej mieszkania. Wracił tutaj, do Charmaine. Czy chociaż się umył,

288

zaciekawilo Marty'ego, nim dołączył do Charmaine w ich dawnym małżeńskim łóżku. Najprawdopodobniej nie.

- Dlaczego on? - zapytał głośno. - Dlaczego on, na rany Chrystusa? Nie mogłaś znaleźć kogoś lepszego?

Flynn nie powiedział nic na swoją obronę.

- Sądzę, że powinieneś wyjść, Marty - nalegała Charmaine, niezdarnie próbując wepchnąć futro z powrotem do pudła.

- To takie gównno - nie dawał za wygraną Marty. - Nie widzisz, jakie z niego gównno?

- Był obecny - odpowiedziała z goryczą. - Ciebie nie było.

- To pieprzony alfons, na miłość boską!

- Tak. - Zostawiła pudło w spokoju i z pełnymi gniewu oczyma podniosła się w końcu z kucek, by wyrzucić z siebie całą prawdę: -

Tak, zgadza się. A jak myślisz, czemu się z nim zadałam?

- Nie, Char...

- Ciężkie czasy, Marty. Nie było za co żyć, nie było nic poza świeżym powietrzem i listami miłosnymi.

Kurwiła się dla niego; ten gnojek zrobił z niej kurwę. Twarz stojącego na schodach Flynn'a nabrała niezdrowych barw.

- Zaczekaj, Marty - odezwał się. - Nigdy nie zmuszałem jej do zrobienia żadnej cholernej rzeczy, której by sama nie chciała.

Marty zbliżył się do schodów.

- Czy nie tak było? - apelował Flynn do Charmaine. - Powiedz mu, kobieto! Czy zmusiłem cię do zrobienia czegoś, czego byś nie chciała robić?
- Nie! - zawołała Charmaine, ale Marty już wchodził po schodach. Flynn wytrwał na posterunku tylko do chwili, gdy Marty pokonał dwa stopnie, po czym zaczął się cofać.
- Hej, daj spokój... - Uniósł otwarte dłonie, by osłonić się przed spodziewanymi ciosami.
- Zrobiłeś kurwę z mojej żony?
- Czy ja zrobiłbym coś takiego?

289

- Zrobiłeś z mojej żony pieprzoną kurwę?

Flynn odwrócił się i umknął na piętro. Marty, potykając się, ruszył schodami za nim.

- Kanalia!

Manewr z ucieczką zadziałał - Flynn był bezpieczny za drzwiami i dosuwał pod drzwi krzesło, by zablokować klamkę, jeszcze zanim Marty dotarł na piętro. Wszystko, co mógł teraz zrobić, to walić pięścią w drzwi, nadaremno żądając, by Flynn go wpuścił. Gniew szybko minął. Nim Charmaine dotarła do szczytu schodów, Marty przestał przemawiać do zamkniętych drzwi i stał oparty o ścianę z piekącymi oczyma. Nic nie powiedziała; nie miała ani sposobu na to, ani chęci, by zasypywać przepaść między nimi.

- Jego, akurat jego... - To wszystko, co Marty potrafił z siebie wydusić.
- Był dla mnie bardzo dobry - odparła. Nie miała zamiaru tłumaczyć się

z niczego; to Marty powinien się tu czuć intruzem. Nie jemu należały się przeprosiny.

- To nie było tak, że sobie po prostu poszedłem.
- To twoja wina, Marty. Przegrałeś za nas oboje. Ja nigdy nie miałam nic do powiedzenia. - Dygotała, widział to, z gniewu, nie ze smutku. - Przepuściłeś wszystko, co mieliśmy. Każdą cholerną rzecz. I przegrałeś za nas oboje.
- Jeszcze nie umarliśmy.
 - Mam trzydzieści dwa lata. A czuję się, jakbym miała dwa razy tyle.
- To on cię męczy.
 - Jesteś taki głupi - powiedziała, nie czując nic; jej chłodna pogarda przygniatała go. - Nigdy nie zauważyłeś, jakie wszystko było kruche; po prostu żyłeś tak, jak ci pasowało. Głupi i samolubny.

Marty przygryzł górną wargę, patrząc na jej usta, wypowiadające prawdę o nim. Zaprażył ją uderzyć, ale to nie umniejszyłoby jej racji; byłaby posiniaczona i nadal miałaby rację. Kręcąc głową, przeszedł obok Charmaine i z łoskotem zbiegł ze schodów. Stała na górze w milczeniu.

290

Minął pudło i odrzucone futro. Będą się na nim pieprzyć, pomyślał. To się spodoba Flynnowi. Podniósł torbę ze swoim garniturem i wyszedł. Szyba w oknie zagrzechotała - tak mocno zatrzęsła za sobą drzwi.

- Możesz już wyjść - powiedziała Charmaine do zamkniętych drzwi sypialni. - Strzelanina skończona.

Jednej, szczególnej myśli nie mógł Marty przegnać ze swej głowy: że ona opowiedziała o nim wszystko Flynnowi, że zdradziła mu tajemnice ich wspólnego życia. Wyobrażał sobie Flyna leżącego na łóżku w jego skarpetkach i głaszczącego Charmaine, podczas gdy ona wyrzuca z siebie cały brud. To, jak Marty trwonił pieniądze na wyścigach lub grając w pokera; to, że zwycięska passa nie trwała u niego nigdy dłużej niż pięć minut (powinnaś zobaczyć mnie dzisiaj, chciał jej powiedzieć, teraz wszystko wygląda inaczej, teraz jestem na topie); to, że był dobry w łóżku jedynie przy tych rzadkich okazjach, kiedy wygrywał, a kompletnie niezainteresowany seksem przez resztę czasu; to jeszcze, że stracił na rzecz Macnamary samochód, potem telewizor, potem co lepsze meble, a i tak wciąż był mu winien fortunę. Że później poszedł kraść, by w ten sposób wyjść z długów. I nawet z tym poszło mu fatalnie.

Na nowo przeżywał chwile pościgu, wyraziście jak nigdy dotąd. Samochód wypełniony zapachem strzelby, którą Nyga-ard ścisnął w dłoniach; pot na twarzy, kłujący w każdym porze skóry, gdy schładzał go podmuch powietrza z otwartego okna, furkoczący jak płatki kwiatów. Wspomnienie było tak wyraźne, jakby zdarzyło się to nie dalej niż wczoraj. Wszystko, co nastąpiło potem, prawie dziesięć lat jego życia, zależało od tych kilku minut. I poszło na marne. Myśląc o tym, czuł się niemal fizycznie chory. Wszystko na marne.

To był dobry moment, by się napić. Pieniądze, które mu pozostały - nadal porządna, czterocyfrowa kwota - wypalały dziurę w kieszeni, domagając się wydania lub przepuszczenia na hazard. Szedł w dół Commercial Road, zatrzymał kolejną taksówkę, nie do końca pewien, co

zrobi. Była ledwie siódma; zaczynającą się noc należało skrupulatnie zaplanować. Co zrobiłby Papa? Co ten wielki człowiek, zdradzany i poniżany, zrobiłby w tej chwili?

Wszystko, czego tylko dusza zapragnie, nadeszła odpowiedź; czego tylko pieprzona dusza zapragnie.

Pojechał na dworzec Euston i spędził pół godziny w tamtejszej toalecie, myjąc się i przebierając w nową koszulę i nowy garnitur. Wyszedł odmieniony. Swoje stare ubranie dał pilnującemu toalet mężczyźnie, razem z banknotem dziesięciofuntowym.

Coś z dawnej swobody bycia wkradło się w niego wraz ze zmianą ubioru. Podobało mu się to, co zobaczył w lustrze: wieczór może się jeszcze okazać zwycięski, jeśli tylko nie będzie zbyt szarżował. Wypił trochę w Covent Garden, dość, by przyprawić alkoholem krew i oddech. Następnie posilił się we włoskiej restauracji. Gdy wyszedł, widzowie właśnie wylewali się z teatrów; zebrał garść pochlebnych spojrzeń, głównie od kobiet w średnim wieku i młodych mężczyzn o nienagannych fryzurach. Pomyślał sobie, że chyba wygląda na zigołaka; jego ubiór nie do końca pasował do twarzy, co zdradzało człowieka grającego jakąś rolę. Ta myśl sprawiła mu przyjemność. Od tej pory będzie - z całą brawurą, na jaką go stać - odgrywał postać Martina Straussa, światowca. Bycie sobą zaprowadziło go donikąd. Może fikcja poprawi jego notowania.

Spacerował bez celu po Charing Cross Road, by po chwili wmieszać się w tłum aut i pieszych na Trafalgar Square. Na schodach kościoła St Martin's-in-the-Field doszło do przepychanki - dwaj mężczyźni obrzucali się przekleństwami i oskarżeniami, a ich kobiety się temu przyglądały.

Poza placem, na tyłach The Mail, ruch zelżał. Zorientowanie się, gdzie

dokładnie jest, zabrało Marty'emu kilka minut.

293

Wiedział, dokąd zmierza, i wydawało mu się, że wie, jak tam dojść, ale teraz stracił tę pewność. Dawno nie odwiedzał tej dzielnicy i gdy w końcu w małym zaułku znalazł „Academy” - klub Billa Toya - była to raczej sprawa przypadku niż wynik planowych działań.

Serce zabiło mu żywiej, gdy wspinał się po schodach. Nadeszła pora na poważne zadanie aktorskie - jeśli sobie nie poradzi, reszta wieczoru legnie w gruzach. Zatrzymał się na moment, by zapalić cygaro, po czym wszedł do środka.

Swego czasu bywał w ekskluzywnych kasynach; to, do którego teraz wchodził, miało ten sam lekko staroświecki szyk co tamte; boazerie z ciemnego drewna, śliwkowe dywany, portrety zapomnianych luminarzy na ścianach. Z ręką w kieszeni i rozpiętą marynarką, by widać było połyskliwą podszewkę, przeszedł przez wyłożone mozaiką foyer do recepcji. Rygory bezpieczeństwa musiały być tu surowe - ci, co mają pieniądze, chcą czuć się bezpieczni. Nie był członkiem klubu, nie mógł też oczekiwać, że zostanie nim na poczekaniu, bez popleczników i referencji. Jedynym sposobem na spędzenie tego wieczoru przy dobrej grze był umiejętny blef.

Angielska róża za ladą recepcji uśmiechała się obiecująco.

- Dobry wieczór panu.
- Jak się pani dziś miewa?

Ani na moment nie osłabł jej uśmiech, choć z pewnością nie mogła wiedzieć, kim jest ów przybysz.

- Dobrze. A pan?

- Cudowny wieczór. Czy Bill już przyszedł?
- Słucham pana?
- Pan Toy. Czy już przyszedł?
 - Pan Toy - sprawdziła w księdze gości, przesuwając wyla-kierowanym palcem po nazwiskach obecnych tego wieczoru graczy. - Nie sędzę...
 - Nie podpisałby się - wyjaśnił Marty. - Jest członkiem klubu, na litość boską. - Lekka nuta irytacji w jego głosie zbiła dziewczynę z tropu.
- Och... rozumiem. Prawdopodobnie go nie znam.

294

- Cóż, nieważne. Pójdę od razu na górę. Proszę mu przekazać, że będę przy stołach.
- Proszę zaczekać. Nie jestem pewna, czy...
Wykonała gest, jakby chciała złapać Marty'ego za rękaw, ale w porę się zreflektowała. Obdarował ją rozbrajającym uśmiechem i ruszył schodami w górę.
- Jakie nazwisko mam przekazać panu Toyowi?
- Pan Strauss - rzucił, dodając szczyptę rozdrażnienia.
 - Ach tak, oczywiście. - Sztuczny wyraz nagłego olśnienia rozlał się po jej twarzy. - Bardzo przepraszam, panie Strauss, to wszystko przez to, że...
 - Nie szkodzi - odparł dobrodusznie i odszedł, zostawiając ją z zawieszonym na jego plecach spojrzeniem.

Zorientowanie się w rozkładzie sal do gry zajęło mu raptem kilka minut. Ruletka, poker, oczko - mieli tu wszystko. Atmosfera poważna; frywolność nie była pożądana w miejscu, gdzie wygrywano i przegrywano na tak

wielką skalę. Jeśli nawet mężczyźni i nieliczne kobiety, nawiedzające te wyciszone enklawy, przybyli tu, by dobrze się bawić, nie okazywali tego. To była praca; ciężka, wymagająca skupienia praca. Na schodach i w korytarzach rozmawiano przyciszonym głosem; oczywiście słyhać było zawołania krupierów przy stołach, lecz poza tym we wnętrzu panowała nabożna niemal cisza.

Przechadzał się z sali do sali, zatrzymując się na obrzeżach to jednej gry, to znowu innej, zaznajamiając się z obowiązującą tu etykietą. Nikt nie poświęcił mu więcej uwagi niż przelotne spojrzenie; zbyt dobrze pasował do raju ich obsesji.

Wyczekiwanie na moment, kiedy zasiądzie wreszcie, by przyłączyć się do gry, radośnie go podniecało; napawał się tym uczuciem jeszcze przez chwilę. Wszak miał dla siebie całą noc, a wiedział aż nazbyt dobrze, że pieniądze, które ma w kieszeni, znikną w ciągu kilku minut, jeśli nie będzie postępował roztropnie. Poszedł do baru, zamówił whisky z wodą i rzucił okiem na innych pijących. Wszyscy byli tu w jednym celu: wystawić swój rozum na próbę, zderzając go z przypadkiem. Większość piła samotnie, wprowadzając się w stosowny nastrój przed grą.

295

Później, gdy już zostaną wygrane fortuny, może będą tańce na stole, zaimprovizowany striptiz w wykonaniu czyjejś pijanej kochanki. Ale na to było jeszcze za wcześnie.

Pojawił się kelner- mężczyzna, najwyżej dwudziestoletni, z wąsikami, który wyglądał jak narysowany ołówkiem; mimo młodego wieku zdążył już przesiąknąć ową mieszanką służalczości i poczucia wyższości, tak typową dla jego profesji.

- Przepraszam pana... - zaczął.

Żołądek Marty'ego skurczył się gwałtownie. Czyżby ktoś miał zamiar zdemaskować jego blef? -Tak?

- Szkocka czy bourbon?
- Ach. Eee... Szkocka.
- Służę uprzejmie.
- Proszę podać do stołu.
- Gdzie pan będzie?
- Przy ruletce.

Kelner oddalił się. Marty podszedł do kasy i zakupił żetonów za osiemset funtów, po czym skierował kroki do sali z ruletką.

Nigdy nie był wytrawnym karciarzem. Karty wymagały techniki, a on był za leniwy, by się jej nauczyć. Z jednej strony, podziwiał umiejętności wielkich graczy, z drugiej, uważał, że umiejętności przesłaniają istotę konfrontacji. Dobry gracz wykorzystywał łut szczęścia, wielki gracz panował nad nim. Ruletka, choć i ona miała swoje techniki i systemy, była czystsza grą. Nic nie mogło przyćmić czaru wirującego koła: migających numerów, grzechoczącej kuli, sadowiącej się na moment w jednym otworze, by zaraz z niego wyskoczyć i gnać dalej.

Usiadł przy stole pomiędzy wyperfumowanym Arabem, mówiącym wyłącznie po francusku, a Amerykaninem. Żaden z nich nie zamienił z Martym ani słowa - tu nie celebrowało się powitań ani pożegnań. Wszelkie subtelności stosunków międzyludzkich zostały poświęcone dla sprawy, którą się tu zajmowano.

To była dziwna choroba. Jej symptomy przypominały zakochanie - kołatanie serca, bezsenność. Jedyne skuteczne lekar-

stwo stanowiła śmierć. Raz czy dwa Marty pochwycił swoje odbicie w lustrze koło baru albo w szybie budki kasjera i ujrzał głodną twarz zaszczonego człowieka. Jednak nic - ani odraza do samego siebie, ani pogarda ze strony przyjaciół - nie zdołało nigdy wykorzenić z niego tego głodu.

Kelner przyniósł whisky, lód zagrzechotał w szklance postawionej przy łokciu Marty'ego. Chłopak oddalił się obdarowany okazałym napiwkami.

Koło poszło w ruch. Marty zbyt późno się przysiadł i nie zdążył obstawić. Wszystkie oczy wpatrywały się nieruchomo w pędzące po okręgu numery...

Minęła godzina lub więcej, nim po raz pierwszy wstał od stołu, a i wtedy wyłącznie po to, by ulżyć pęcherzowi i zaraz powrócić na swoje miejsce. Gracze przychodzili i wychodzili. Amerykanin, folgując zachciankom towarzyszącego mu młodzieńca o orlich rysach, pozostawił kompanowi swobodę decyzji i nim odszedł od stołu, zdążył przegrać małą fortunę. Zasoby Marty'ego kurczyły się w szybkim tempie. Wygrał, następnie przegrał, by po chwili znów wygrać; potem przegrał, jeszcze raz przegrał i jeszcze raz przegrał. Porażki nie martwiły go zbyt. Nie stawiał swoich pieniędzy i - jak zwykł mawiać Whitehead - tam, skąd pochodziły, było ich jeszcze bardzo dużo. Mając dość żetonów, by ponownie obstawić, nie dbając o wynik, pozwolił sobie na chwilę wytchnienia. Już nieraz zauważył, że wycofując się na kilka minut z pola walki i powracając nań ze świeżym spojrzeniem, można odwrócić złą passę.

Gdy podnosił się z krzesła z oczyma pełnymi numerów, ktoś stanął w drzwiach sali ruletki, rzucił okiem do wnętrza i zaraz przeszedł do innego

pomieszczenia. Te kilka sekund wystarczyło, by go rozpoznać.

Poprzednim razem Marty widział tę twarz w świetle lamp przy ogrodzeniu Sanktuarium - była źle ogolona i blada z bólu. Teraz Mamoulian wydawał się odmieniony. Nie przypominał ofiary, udreżonej i przypartej do muru. Marty, jak zahipnotyzowany, ruszył ku drzwiom. W pobliżu znalazł się kelner: „Jeszcze jednego drinka, proszę pana?“, lecz jego pytanie pozostało bez

297

odpowiedzi - Marty opuścił salę ruletki i już był w korytarzu. Miał mieszane uczucia: trochę obawiał się potwierdzenia własnych przypuszczeń co do tożsamości tego mężczyzny, ale równocześnie był dziwnie podekscytowany jego obecnością w tym miejscu. To nie mógł być przypadek. Kto wie, czy nie ma tutaj także Toya. Może cała tajemnica wyjaśni się tu i teraz. Znow dostrzegł Mamouliana, gdy ten wchodził do sali z bakaratem. Odbywała się tu jakaś szczególnie gorąca rozgrywka i wciąż napływali widzowie, by przyglądać się końcowym starciom. Pokój był wypełniony ludźmi; grający przy innych stolikach porzucili swe partie, by nacieszyć się widokiem toczonej bitwy. Nawet kelnerzy zatrzymywali się na obrzeżach, próbując choćby przelotnie spojrzeć na zmagania graczy.

Mamoulian torował sobie drogę przez tłum, by mieć lepszy widok, a masa ludzka rozstępowała się przed tą szczupłą, szarą figurą. Znalazłszy dogodny punkt obserwacyjny, przystanął; światło odbite od sukna pokrywającego stół padło na jego bladą twarz. Okaleczona dłoń spoczywała w kieszeni marynarki, ukryta przed ludzkim wzrokiem; szerokie czoło pozbawione było jakiegokolwiek wyrazu. Marty obserwował mężczyznę przez ponad pięć minut. Ani na moment oczy Europejczyka nie oderwały

się od rozgrywanej przy stoliku partii. Był jak z porcelany: pokryta glazurą fasada, na której jakiś nonszalancki rzemieślnik nakreślił kilka niestarannych linii; wciśnięte w glinę ceramiczną oczy, niezdolne, jak się zdawało, do niczego poza nieustępliwym wpatrywaniem się. A jednak tkwiła jakaś *moc w tym* człowieku. To był niesamowity widok: ludzie zgromadzeni przy krawędzi stołu odsuwali się od Mamouliana, gotowi raczej posplatać się ze sobą w węzły, niż *stanąć* zbyt blisko niego.

Po drugiej stronie sali Marty zobaczył kelnera z ołówkowym wąsikiem. Przepchał się przez tłum gapiów do miejsca, gdzie stał ów młody człowiek.

- Można słówko? - szepnął.
- Słucham pana?
- Ten mężczyzna. W szarym garniturze.

298

Kelner spojrział w stronę stołu, potem znów na Marty'ego.

- Pan Mamoulian.
- Tak. Co pan wie o nim?

Kelner spojrział na Marty'ego z wyrzutem.

- Przykro mi, proszę pana. Nie wolno nam rozmawiać na temat członków klubu.

Obrócił się na pięcie i wyszedł na korytarz. Marty pośpieszył za nim. Na parterze dziewczyna z recepcji - nie ta sama, z którą Marty wcześniej rozmawiał - chichotała, gawędząc z szatniarzem.

-Poczekaj.

Gdy kelner się obejrzał, Marty wyciągał już swój portfel, wciąż dość

obficie wypełniony, by zaproponować godziwą łapówkę. Chłopak spojrzał na banknoty z nieskrywaną chciwością.

- Chcę tylko zadać kilka pytań. Nie potrzebuję numeru jego konta.

-I tak go nie znam. - Kelner uśmiechnął się porozumiewawczo. - Czy jest pan z policji?

- Po prostu interesuję się panem Mamoulianem - wyjaśnił Marty, wyciągając pięć dziesięciofuntowych banknotów. - Po potrzebuję kilku podstawowych danych.

Kelner chwycił pieniądze i wsunął je do kieszeni z szybkością świadcząca o sporym doświadczeniu w przyjmowaniu łapówek.

- Proszę pytać - zachęcił.

- Czy jest tu stałym bywalcem?

- Kilka razy w miesiącu. -Gra?

Kelner zmarszczył brwi.

- Nie pamiętam, bym kiedykolwiek go widział przy grze.

- A zatem przychodzi popatrzeć?

- Cóż, mogę się mylić, sędzę jednak, że gdyby grał, zauważyłbym to.

Dziwne, że nie gra. Ale mamy jeszcze kilku innych członków, którzy zachowują się w podobny sposób.

- Czy ma przyjaciół? Ludzi, z którymi przychodzi, z którymi wychodzi...

- Osobiście nie przypominam sobie nikogo takiego. Daw

niej przyjaźnił się z pewną Greczynką, która u nas bywała.

Wygrywała krocie. I ani razu nie przegrała.

Opowieść o graczu, który wypracował tak doskonały system gry, że nigdy go nie zawiódł, była wśród hazardzistów tym, czym opowieść o „taaakiej rybie” wśród wędkarzy. Marty słyszał to już setki razy i zawsze bohaterem historyjki był jakiś przyjaciel przyjaciela, mityczna osoba, z którą nikt nigdy nie spotkał się twarzą w twarz. A jednak, gdy przywołał w myślach oblicze Ma-mouliana, o tak doskonale wykalkulowanym wyrazie skrajnej obojętności, bliski był uznania tamtej bajki za rzeczywistość.

- Dłaczego pan się nim interesuje? - spytał kelner.

- Wzbudza we mnie dziwne przeczucia.

- Nie w panu jednym.

- Tak?

- Nigdy nic złego mi nie powiedział ani nie zrobił, rozumie pan - wyjaśnił kelner. - Zawsze daje hojne napiwki, choć Bóg mi świadkiem, pije wyłącznie wodę destylowaną. Ale mieliśmy tu jednego gościa - będzie już kilka lat od tamtego czasu - Amerykanina z Bostonu. Zobaczył Mamouliana i, mówię panu, zbzikował. Zdaje się, że wcześniej już grał z facetem, który wyglądał jak wykapany Mamoulian, tyle że to było w latach dwudziestych. To wywołało spore poruszenie. To znaczy, on nie wygląda *na typa*, który ma ojca, no nie?

Coś było na rzeczy w tym, co mówił kelner. Niemożliwością było wyobrazić sobie tego Mamouliana jako dziecko albo pryszczatego nastolatka. Czy on w ogóle przeżył jakąś miłość, śmierć ukochanego zwierzątka, zgon rodziców? Wydawało się to tak nieprawdopodobne, że aż

śmieszne.

- To wszystko, co wiem. Naprawdę.

- Dziękuję - powiedział Marty. To mu wystarczyło.

Kelner odszedł, zostawiając Marty'ego z naręczem możliwych rozwiązań. Najprawdopodobniej były to apokryficzne opowieści, ta o Greczynce z niezawodnym systemem gry i ta o spanikowanym Amerykaninie. Człowiek taki jak Mamoulian inspirował powstawanie plotek; otaczająca go aura zrujnowanego arystokraty

300

zachęcała do wymyślania dykteryjek. Jak cebula - choć ją obierać, obierać i jeszcze raz obierać, każda kolejno zdejmowana warstwa miała odślaniającą następną podobną warstwę.

Zmęczony, z głową odurzoną nadmiarem alkoholu i niedoborem snu, Marty zdecydował się zakończyć wieczór. Ostatnią stówką, jaka mu została w portfelu, przekupi taksówkarza i każe się zawieźć prosto do posiadłości, a swój samochód zostawi w mieście i kiedy indziej po niego przyjedzie. Był zbyt pijany, by prowadzić. Jeszcze raz zajrzał do sali z bakaratem. Gra nadal trwała; Mamoulian nie ruszył się ze swego miejsca.

Marty zszedł do toalety. Było tam o kilka stopni chłodniej niż w salach klubu, a rokokowe stiuki wyglądały niepoważnie, zważywszy na przeznaczenie tego pomieszczenia. Spojrzał na zmęczoną twarz w lustrze i poszedł ulżyć sobie przy pisuarze.

W jednej z kabin ktoś zaczął łkać, bardzo cicho, jakby starając się stłumić odgłos płaczu. Pomimo pełnego pęcherza Marty nie był w stanie oddać moczu - rozpraszała go ta anonimowa rozpacz. Odgłos dochodził zza zamkniętych drzwi kabiny. Prawdopodobnie jakiś optymista stracił

przy grze w kości ostatnią koszulę i rozmyślał teraz o konsekwencjach tego faktu. Marty zostawił go z tym problemem. Nie było nic, co mógłby zrobić lub powiedzieć, zbyt dobrze znał to z własnego gorzkiego doświadczenia.

Gdy znalazł się w foyer, kobieta za kontuarem zawołała do niego:

- Panie Strauss! - To była angielska róża. Pomimo późnej pory nie widać było na niej śladów wędnięcia. - Czy odnalazł pan pana Toya?
- Nie, nie widziałem się z nim.
- Och, to dziwne. Był tutaj.
- Jest pani pewna?
 - Tak. Przeszedł z panem Mamoulianem. Powiedziałam mu, że pan jest u nas i że pytał pan o niego.
- I co on na to?
 - Nic - odparła dziewczyna. - Ani słowa. - Zniżyła głos. - Czy on jest zdrów? Chodzi o to, że - proszę mi wybaczyć te słowa - wyglądał naprawdę okropnie. Ten kolor jego twarzy...

301

Marty spojrzał w górę schodów, rozglądając się po piętrze.

- Czy nadal tu jest?
 - Co prawda nie przez cały wieczór byłam w recepcji, ale osobiście nie widziałam, by wychodził.

Marty wbiegł na piętro, przesadzając po dwa stopnie naraz.

Tak bardzo chciał zobaczyć się z Toyem. Tyle miał pytań, tyle zwierzeń. Przeszedł przez wszystkie sale, wypatrując twarzy wyglądającej jak zrobiona ze znoszonej skóry. Mamouli stał tam, gdzie

przedtem, sącząc swoją wodę destylowaną, lecz Toya przy nim nie było. Nie było go też w żadnym z barów. Najwidoczniej wszedł i wyszedł. Marty, rozczarowany, wrócił na dół, podziękował dziewczynie za pomoc, obdarował ją sutym napiwkem i opuścił budynek kasyna.

Już długo szedł środkiem jezdni, gotów zatrzymać pierwszą nadjeżdżającą taksówkę, i spory dystans dzielił go od „Acade-my”, gdy przypomniał sobie łkanie w toalecie. Zwolnił kroku. W końcu zatrzymał się na środku ulicy, w głowie słyszał echo uderzeń własnego serca. Czy to tylko złudzenie, czy ten umęczony głos rzeczywiście brzmiał znajomo, gdy tak rozpamiętywał swój ból? Czy to Toy siedział w kabinie toalety, płacząc w tym wątpliwym odosobnieniu jak zagubione dziecko?

Jak we śnie Marty spojrzał za siebie, na drogę, którą dopiero co przebył. Jeśli podejrzewa, że Toy jest nadal w klubie, czyż nie powinien wrócić i go odszukać? Lecz w jego głowie powstawały, jedno po drugim, nieprzyjemne skojarzenia: kobieta pod numerem telefonu w Pimlico, której głosu aż strach było słuchać; pytanie recepcjonistki: „Czy on jest zdrów?”; głęboka rozpacz, słyszalna w łkaniu za zamkniętymi drzwiami kabiny. Nie, nie był w stanie wrócić. Nic, nawet obietnica bezbłędnego systemu, zapewniającego wygraną przy każdym stole, nie skłoniłaby go do powrotu. Istniało w końcu coś takiego jak uzasadnione wątpliwości; w pewnych sytuacjach niosły nieocenioną pociechę.

VIII

Awantura

45

W dniu Ostatniej Wieczerzy -jak zwykł później w myślach nazywać to

wydarzenie - Marty ogolił się trzy razy: jeden raz rano i dwa razy po południu. Pierwotne uczucie wyróżnienia, jakie niewątpliwie wiązało się z zaproszeniem na obiad, uległo już dawno zatarciu. Wszystko, o co się teraz modlił, to wygodny pretekst do opuszczenia towarzystwa, jakaś uprzejma wymówka od uczestniczenia w tym z pewnością przygnębiającym spotkaniu. Nie było dla niego miejsca w otoczeniu Whiteheada. Nie wyznawał systemu wartości, obowiązującego wśród tych ludzi; nie należał do ich świata, był w nim co najwyżej funkcjonariuszem. Nie miał im do zaoferowania niczego, co nie byłoby dla nich zaledwie chwilową rozrywką.

Odzyskał śmiałość, dopiero gdy przywdział wieczorowe ubranie. Dlaczegoż w tym świecie pozorów nie miałby, wzorem większości, poprzestać na stwarzaniu iluzji? W końcu w „Aca-demy” mu się udało. Kluczem do sukcesu było zadbać o powierzchowność - odpowiednio dobrany strój, stosowne maniere. Zaczął myśleć o zbliżającym się wieczorze jak o swoistym teście na spryt i inteligencję, i natychmiast obudził się w nim duch współzawodnictwa, gotów stawić czoło wyzwaniu. Zagra z nimi wedle ich własnych reguł, pośród brzęku kieliszków, trajkotania o operze i wielkich finansach.

Trzykrotnie ogolony, ubrany i skropiony wodą kolońską zszedł do kuchni. Dziwne, ale Pearl nie było w domu - dziś wieczór Luther został obarczony odpowiedzialnością za sprawy

żołądka. Właśnie otwierał butelki z winem; rozmaite bukiety zapachowe, mieszając się ze sobą, wypełniły pomieszczenie. Marty sądził, że liczba osób na spotkaniu nie będzie wielka, a jednak na stole zgromadzono

kilkadziesiąt butelek wina. Nalepki na niektórych były do tego stopnia pokryte kurzem, że nie dało się odczytać nazw. Wyglądało to na opróżnianie piwnic z najlepszych roczników.

Luther obejrzał Marty'ego od stóp do głów.

- Komu ukradłeś ten garnitur?

Marty podniósł jedną z butelek i powąchał ją, ignorując pytanie. Dziś nie da się wyprowadzić z równowagi - ma pewne plany na ten wieczór i nie pozwoli nikomu tego zepsuć.

- Pytałem, komu...

- Słyszałem. Kupiłem go.

- Za co?

Marty ciężko odstawił butelkę. Stojące na stole kieliszki zadźwięczały.

- Czy mógłbyś się przymknąć? Luther wzruszył ramionami.

- Stary ci dał?

- Odpowiedziałem ci, więc się odczep.

- Wygląda na to, że wchodzisz w to coraz głębiej, facet. Wiesz, że jesteś gościem honorowym na tej balandze?

- Idę tam poznać kilku przyjaciół starego, to wszystko.

- Masz na myśli Dwoskina i tych pojebanych kretynów? Czyż nie szczęściarz z ciebie?

- A ty kim jesteś dziś wieczór, chłopcem od podawania wina?

Luther skrzywił się, wyciągając korek z kolejnej butelki.

- Nie zatrudniają kelnerów na te swoje specjalne bankiety. Są bardzo prywatne.

•Co to znaczy?

•A cóż ja mogę wiedzieć? - Luther ponownie wzruszył ramionami. -
Jestem tylko małpą, nie pamiętasz?

Samochody zaczęły zjeżdżać do Sanktuarium pomiędzy ósmą a ósmą
trzydzieści. Marty w swoim pokoju oczekiwał na wezwa-

304

nie, by dołączył do reszty gości. Słyszał głos Curtsingera i głosy kobiet;
było dużo śmiechu, czasem piskliwego. Zastanawiał się, czy
przyprawdzili ze sobą tylko żony, czy także córki. Zadzwoił telefon.

•Marty. - To był Whitehead.

•Tak, proszę pana?

•Proszę do nas dołączyć. Czekamy na pana.

•Oczywiście.

•Jesteśmy w białym pokoju. - Kolejna niespodzianka. Ten pusty pokój ze
swym paskudnym tryptykiem ołtarzowym nie wydawał się
odpowiednim pomieszczeniem na wystawny bankiet.

Za oknami zapadał zmierzch, więc przed udaniem się do białego pokoju
Marty zapalił reflektory na trawnikach. Zapłonęły, ich blade refleksy
pojawily się tu i ówdzie na wewnętrznych ścianach budynku.

Wcześniejsze obawy Marty'ego ustąpiły teraz miejsca mieszance przekory
i fatalizmu. Dopóki nie na-pluję do zupy, mówił sam do siebie, będzie
dobrze.

- Proszę wejść, Marty.

Pomieszczenia wypełnione było gęstym, dławiącym dymem z cygar i
papierosów. Nic nie zrobiono dla upiększenia tego wnętrza. Wciąż jedyną

dekoracją pozostawał tryptyk; scena ukrzyżowania wydała się Marty'emu równie okrutna jak za pierwszym razem. Kiedy wszedł do środka, Whitehead wstał i z ostentacyjnie radosnym uśmiechem na twarzy wyciągnął dłoń na powitanie.

- Proszę zamknąć drzwi. Zapraszam do stołu.

Jedno krzesło przy stole było wolne. Marty zbliżył się do tego miejsca.

- Feliksa już znasz, oczywiście.

Ottaway, Kuglarz, skinął głową na powitanie. Naga żarówka rzucała światło na czubek jego czaszki i eksponowała przedziałek w tupecyku.

- I Lawrence'a.

Dwoskin - trolłowaty chudzielec - właśnie przełykał wino. Wymamrotał coś na powitanie.

- Oraz Jamesa.

305

- Dobry wieczór - przywitał się Curtsinger. - Jak miło znów pana widzieć. - Cygaro, które trzymał w palcach, było bodaj największym, jakie Marty widział w swoim życiu.

Uporawszy się ze znajomymi twarzami, Whitehead przedstawił trzy siedzące pomiędzy mężczyznami kobiety.

- Oto nasi goście - powiedział.

- Dobry wieczór.

- A to mój były ochroniarz, Martin Strauss.

- Miło mi pana poznać, Martin. - Oriana, kobieta mniej więcej trzydziestopięcioletnia, obdarowała go niezbyt szczerym uśmiechem.

Whitehead nie wymienił jej nazwiska, co sprawiło, iż Marty zaczął się

zastanawiać, czy ta kobieta jest żoną któregoś z tych mężczyzn, czy tylko przyjaciółką. Była o wiele młodsza zarówno od Ottawaya, jak i od Curtsingera, pomiędzy którymi siedziała. Może to kochanka. Ta myśl nie dawała mu spokoju.

- To jest Stephanie.

Stephanie, starsza od pierwszej kobiety o dobre dziesięć lat, zaszczyliła Marty'ego takim spojrzeniem, jakby rozbierała go do naga od stóp do głów. Zrobiła to w żenująco jawny sposób i Marty ciekaw był, czy jeszcze ktoś z siedzących przy stole to zauważył.

- Wiele o panu słyszeliśmy - powiedziała, kładąc pieśczętliwie dłoń na dłoni Dwoskina. - Prawda?

Dwoskin uśmiechnął się półgębkiem. Odraza Marty'ego do tego człowieka była tak dogłębna jak zawsze. Trudno mu było wyobrazić sobie, jak albo dlaczego jakaś istota ludzka mogłaby chcieć go dotykać.

-1 wreszcie Emily.

Marty odwrócił się, by pokłonić się trzeciej nowej twarzy przy stole. Gdy to robił, Emily przewróciła kieliszek z czerwonym winem.

•O Jezu! - krzyknęła.

•Drobiazg - uspokoił ją Curtsinger, szczerząc zęby w uśmiechu. Jest już pijany, zorientował się Marty; jego uśmiech był zbyt szeroki jak na trzeźwego. - Nic nieznaczący drobiazg, skarbie. Doprawdy, nic nieznaczący.

306

Emily spojrzała na Marty'ego. Ona też już wypila za dużo, sądząc po zarumienionej cerze. Była zdecydowanie najmłodsza z trzech kobiet i ujmująco ładna, niemal piękna.

- Proszę usiąść. Proszę usiąść - powiedział Whitehead. - Kto by żałował rozlanego wina, na miłość boską? - Marty zajął miejsce obok Curtsingera. Wino rozlane przez Emily skąpywało z krawędzi stołu.
- Właśnie zgodnie uznaliśmy - wtrącił się Dwoskin - że to wielka szkoda, że Willy nie może być tu z nami.

Marty spojrzał ukradkiem na starego, by zorientować się, czy wzmianka o Toyu - wraz z tym imieniem powrócił, jak dalekie echo, odgłos tłumionego łkania - wywołała u niego jakąś reakcję. Nie było żadnej. On także - Marty zauważył to dopiero teraz - wyglądał na mocno wstawionego. Na stole stał las butelek - klarety, burgundy - które wcześniej otwierał w kuchni Luther; atmosfera bardziej przypominała tę panującą zwykle na zaimprovizowanym pikniku niż na wytwornym bankiecie. Nie było nic z ceremoniału, którego się spodziewał: skrupulatnego przestrzegania kolejności potraw, ułożonych rygorystycznie sztuców. Jedzenie - puszki kawioru z wetkniętymi weń łyżeczkami, sery, cienkie biszkopty - pełniło podrzędną funkcję wobec win. Choć Marty niewiele wiedział o winach, jego podejrzenie, że stary opróżnia swoją piwniczkę, potwierdziła gadanina zgromadzonych przy stole osób. Ci ludzie zebrali się dziś wieczór, by osuszyć Sanktuarium z najlepszych i najzaciejszych roczników.

- Proszę pić! - odezwał się Curtsinger. - To najlepsza rzecz, jaką pan kiedykolwiek przełknął, proszę mi wierzyć. - Usiłował znaleźć w gąszczu innych jakąś szczególną butelkę. - Gdzie jest latour? Nie skończyliśmy go chyba jeszcze, co? Stephanie, czy ty ją może ukrywasz, kochanie?

Stephanie podniosła wzrok znad swoich kieliszków. Marty nie był

pewien, czy rozumie cokolwiek z tego, co do niej mówi Curtsinger. Te kobiety nie są żonami, o tym był już przekonany. Teraz zaczynał powątpiewać, czy są choćby kochankami.

- Proszę bardzo! - Curtsinger niezdarnie napełnił kieliszek Marty'ego. - Zobaczmy, co pan na to powie.

307

Marty nigdy nie przepadał za winem. To był napój, który należało sączyć, opłukując nim usta, a do tego brakowało mu cierpliwości. Ale nawet dla jego niewprawnego nosa bukiet unoszący się nad kieliszkiem świadczył o klasie tego wina; bogactwo zapachów sprawiło, że Marty zaczął się ślinić, jeszcze zanim wychylił kielich, a i smak go nie rozczarował - wino było wyśmienite.

- Dobre, nie?
- Smaczne.
 - „Smaczne"! - zawył Curtsinger, udając oburzenie. - Chłopak mówi, że jest „smaczne”.
 - Lepiej podaj z powrotem butelkę, zanim całkiem ją opróżni - wtrącił Ottaway.
 - Wszystko ma być wypite - wtrącił się Whitehead. - Dzisiejszej nocy.
 - Wszystko? - zdziwiła się Emily, *patrzac na* dwa tuziny dodatkowych butelek pod ścianą, gdzie wśród win stały też likiery i koniaki.
 - Tak, wszystko. Za jednym zamachem rozprawimy się z tym, co najlepsze. O co tu chodziło? Zachowywali się jak wycofująca się armia, równająca wszystko z ziemią, by nic nie dostało się w ręce wroga.
 - Co będziecie pili w przyszłym tygodniu? - spytała Oriana, zawiesiwszy

kopiatą łyżkę kawioru nad swym dekoltem.

- W przyszłym tygodniu? - powtórzył pytanie Whitehead. - W przyszłym tygodniu nie będzie żadnych przyjęć. Wstępuję do klasztoru. - Spojrzał na Marty'ego. - Marty wie, jak udręczonym człowiekiem jestem.
- Udręczonym? - zdumiał się Dwoskin.
- Zatraskanym o los swojej nieśmiertelnej duszy - odparł Whitehead, nie zdejmując wzroku z Marty'ego.

Odpowiedź wywołała u Ottawaya, który w gwałtownym tempie tracił nad sobą kontrolę, wybuch soczystego śmiechu.

Dwoskin nachylił się, by ponownie napełnić kieliszek Marty'ego.

308

- Proszę pić - powiedział. - Dużo jeszcze zostało do wypicia.

Nikt nie delectował się powoli winem przy tym stole; kieliszki napełniano, opróżniano i ponownie napełniano, jakby to nie był trunek, tylko woda. Takie desperackie, zachłanne. Ale należało się tego spodziewać, wiedząc, że Whitehead nie robi nic połowicznie. By nie pozostawać w tyle, Marty opróżnił drugi kieliszek i natychmiast napełnił go znów po brzegi.

- Smakuje? - spytał Dwoskin.
- Willy nie byłby zachwycony - zauważył Ottaway.
- Panem Straussem? - spytała Oriana. Kawior wciąż nie mógł trafić do jej ust.
- Nie chodzi o Martina. Nie spodobałaby mu się nasza nieskrępowana konsumpcja...

Jego język z wielkim trudem poradził sobie z dwoma ostatnimi

słowami. Było to dość przyjemne oglądać prawnika, już w żadnym razie nie Kuglarza, z płaczącym się językiem.

- Toy może się wypchać - oznajmił Dwoskin.

Marty chciał coś powiedzieć na obronę Billa, ale alkohol spowolnił jego reakcje i zanim on sam cokolwiek zdołał z siebie wydusić, Whitehead uniósł kieliszek i oznajmił:

- Chciałbym wznieść toast.

Dwoskin z trudem stanął na chwiejnych nogach, przewracając przy tym jakąś pustą butelkę, która upadając, pociągnęła za sobą trzy następne. Wylewające się z jednej z nich wino meandrowało po stole, by po chwili spłynąć z pluskiem na podłogę.

-Za Willy'ego! - powiedział Whitehead. - Gdziekolwiek jest.

Kieliszki wzniosły się w górę i zderzyły się ze sobą, nawet ten należący do Dwoskina. Chór głosów zawtórował:

-Za Willy'ego!

...i kieliszki zostały hałaśliwie opróżnione. Ottaway znowu nalał Marty'emu.

-Pij, stary, pij!

Alkohol wypity na pusty żołądek pustoszył organizm Marty'ego, wywołując równocześnie w jego świadomości wra-

żeńię przebywania gdzieś obok tego wszystkiego: kobiet, Kuglarza, ukrzyżowania na ścianie. Pierwotny szok, spowodowany widokiem mężczyzn z winem na koszulach i podbródkach, gadających o sprośnościach, już dawno minął. Ich zachowanie nie miało znaczenia. Ale wlewanie w siebie coraz większych ilości tych starych roczników,

owszem. Marty wymienił złowrogie spojrzenie z Chrystusem.

- Pieprz się - wymamrotał pod nosem. Curtsinger posłyszał ten komentarz.

- Z ust mi to wyjąłeś - szepnął.

- A właściwie gdzie jest Willy? - spytała Emily. - Myślałam, że tu będzie.

Pytanie skierowane było do siedzących przy stole, ale nikt nie pokwapił się z odpowiedzią.

- Odszedł - odezwał się w końcu Whitehead.

- To taki miły człowiek - powiedziała dziewczyna. Dźgnęła Dwoskina palcem między żebra. - Czy nie twierdziłeś, że to miły człowiek?

Dwoskina zirytowała natarczywość Emily. Właśnie zaczął mocować się z zamkiem błyskawicznym na plecach sukni Stephanie, a kobieta wydawała się nie mieć nic przeciwko tym nieskrywanym awansom. Z kieliszka, który trzymał w drugiej dłoni, wino wylewało mu się na spodnie. Albo tego nie zauważył, albo było mu wszystko jedno.

Whitehead podchwycił spojrzenie Marty'ego.

- Rozbawiliśmy pana, prawda? - odezwał się. Rodzący się uśmiech zniknął nagle z twarzy Marty'ego.

- Nie pochwała pan tego? - spytał Ottaway.

- Nie mnie to oceniać.

- Zawsze miałem wrażenie, że klasy przestępcze są w głębi duszy bardzo purytańskie. Czy mam rację?

Marty zdjął wzrok z odętej od alkoholu twarzy Kuglarza i potrząsnął głową. To szyderstwo było poniżej jego godności, podobnie jak szyderca.

- Na pańskim miejscu, Marty - odezwał się Whitehead z dru

giego końca stołu - złamałbym mu kark.

310

Marty wzruszył ramionami.

•Kto by się tym przejmował? - powiedział.

•Wygląda na to, że wcale nie jest pan taki niebezpieczny -nie dawał Marty'emu spokoju Ottaway.

- Kto powiedział, że jestem niebezpieczny?

Uśmiezek na twarzy prawnika stał się jeszcze bardziej drwiący.

•Ja tak uważam. Bo wie pan, oczekiwaliśmy tu jakiegoś zwierzęcego aktu. - Ottaway przesunął butelkę, by lepiej widzieć Marty'ego. - Obiecano nam... - Rozmowy przy stole ucichły nagle, ale Ottaway zdawał się tego nie zauważać. - Nic nigdy nie jest takie, jak to reklamują, prawda? - rzekł. - Niech pan zapyta któregokolwiek z tych zapomnianych przez Boga dżentelmenów. - Stół wyglądał teraz jak martwa natura; Ottaway zakreślił ramieniem półkole, by włączyć wszystkich do swej tyrady. - My to wiemy, nieprawdaż? My wiemy, jak rozczarowujące może być życie.

•Zamknij się - warknął na niego Curtsinger. Wpatrywał się w Ottawaya mętным wzrokiem. - Nie chcemy tego słuchać.

•Możemy już nie mieć takiej okazji, mój drogi Jamesie - odparł Ottaway z pogardliwą uprzejmością. - Nie sądzisz, że wszyscy powinniśmy wyznać prawdę? Jesteśmy u kresu!

O tak, drodzy przyjaciele. Powinniśmy wszyscy paść na kolana i rozpocząć spowiedź!

- Tak, tak - podchwyciła Stephanie. Próbowwała wstać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Suknia, z rozpiętym suwakiem na plecach, groziła opadnięciem. - Spowiadajmy się wszyscy!
- zawołała.

Dwoskin przyciągnął ją z powrotem na krzesło.

- Mamy przed sobą całą noc - powiedział.

Emily zachichotała. Ottaway, niezrażony, mówił dalej.

- Wydaje mi się - rzekł - że on jest jedynym niewinnym pośród nas. - Tu wskazał na Marty'ego. - Spójrzcie tylko na niego. On nawet nie wie, o czym mówię.

Te uwagi zaczynały być irytujące. Jednak grożenie prawnikowi niewielką dałoby Marty'emu satysfakcję. W obecnym stanie

311

Ottaway rozsypałby się od jednego uderzenia. Jego zamglony wzrok niewiele różnił się od całkowicie nieprzytomnego.

- Rozczarowuje mnie pan - wymamrotał Ottaway z niekłamany żalem w głosie. - Myślałem, że zakończymy ten wieczór lepiej niż...

Dwoskin wstał.

- Chcę wnieść toast - oznajmił. - Zdrowie pań!
- Przednia myśl - wtrącił Curtsinger.
- Za kobiety! - ogłosił Dwoskin, wznosząc kieliszek.

Ale nikt go nie słuchał. Emily, która dotychczas zachowywała się jak potulna owieczka, wpadła na pomysł, by się rozebrać. Odepchnęła krzesło do tyłu i jęła rozpinąć bluzeczkę. Nie miała nic pod spodem; jej sutki były zaróżowione, jakby w oczekiwaniu na to odsłonięcie. Curtsinger zaczął bić

brawo; Ottaway i White-head przyłączyli się, wykrzykując chórem słowa zachęty.

- Co o tym sądzisz? - spytał Marty'ego Curtsinger. - W twoim typie? W dodatku są w całości jej własne, czyż nie mam racji, skarbie? - To ostatnie pytanie skierował do dziewczyny.
- Chcesz dotknąć? - zaproponowała Emily. Pozbyła się bluzki, była teraz naga od pasa w górę. - Śmiało - powiedziała. Chwyliła dłoń Marty'ego i, przyciskając ją sobie do piersi, zaczęła wykonywać nią okrężne ruchy.
- O tak - powiedział Curtsinger, spoglądając pożądliwie na Marty'ego. - Podoba mu się to. Mogę ci poświadczyć, że mu się podoba.
- Oczywiście, że mu się podoba - usłyszał Marty głos White-heada. Przeniósł wzrok, niezbyt ostry, na starego. Whitehead przyjął spojrzenie bez uniku; w jego półprzymkniętych oczach nie widać było ani rozbawienia, ani podniecenia. - Śmiało - zachęcił. - Należy do ciebie. Po to tu jest. - Marty usłyszał słowa, ale nie potrafił uchwycić ich właściwego sensu. Oderwał dłoń od ciała dziewczyny jak oparzony. - Idź do diabła - powiedział.

Curtsinger już stał.

- Hej, nie psuj zabawy - skarcił Marty'ego. - **Chcemy tylko** zobaczyć, z jakiej gliny jesteś ulepiony.

Po drugiej stronie stołu Oriana znów wybuchnęła śmiechem. Marty nie bardzo był pewien, z czego się śmiała. Dwoskin walił w stół wewnętrzną stroną dłoni. Butelki podskakiwały rytmicznie.

- Dalej, śmiało - zachęcał Whitehead.

Wszyscy patrzyli teraz na Marty'ego. On sam odwrócił się od nich, by

spojrzeć na Emily. Stała jard od niego, mocując się z klamerką u spódniczki. Było coś niezaprzeczalnie zmysłowego w tym jej ekshibicjonizmie. Marty poczuł, że spodnie nagle stały się za ciasne; głowa również. Curtsinger położył dłoń na jego ramieniu i próbował ściągnąć mu marynarkę. Od bębnienia Dwoskina o blat stołu, do którego przyłączył się teraz Ottaway, Marty'emu zawirowało w głowie.

Emily uporała się z zapięciem i spódniczka opadła jej do stóp. Następnie, bez zachęty ze strony innych, zdjęła majtki i stała teraz przed zebraniem towarzystwem ubrana wyłącznie w perły i buty na wysokich obcasach. Nago wyglądała dość młodo, by wziąć ją za małą: czternasto-, najwyżej piętnastolatkę. Jej skóra miała kremową barwę. Marty poczuł, że czyjaś dłoń - Oriany, jak przypuszczał - masuje jego erekcję. Zwrócił głowę w tę stronę: to nie była Oriana, lecz Curtsinger. Marty odepchnął jego rękę. Emily zbliżyła się i zaczęła rozpinać od dołu do góry guziki u koszuli Marty'ego. Próbował wstać i powiedzieć coś do Whiteheada. Nie miał jeszcze gotowych słów, ale uporczywie starał się je znaleźć; chciał wygarnąć staremu, jakim jest oszustem. Więcej niż oszustem - łajdakiem i szumowiną o brudnych myślach. To dlatego zaproszono tu Marty'ego, dlatego częstowano go winem i sprośną gadką. Stary chciał go zobaczyć nago i w akcie kopulacji.

Po raz drugi odepchnął dłoń Curtsingera; jego dotyk był przeraźliwie fachowy. Popatrzył nad stołem na Whiteheada nalewającego sobie kolejny kieliszek wina. Wzrok Dwoskina spoczywał na nagim ciele Emily; wzrok Ottaway'a na Martym. Obaj przestali bębnić po stole. Spojrzenie prawnika mówiło wszystko; był chorobliwie blady, z twarzą spoconą od wyczekiwania.

- Dalej - powiedział, jego oddech był postrzępiony - dalej, weź ją. Daj nam niezapomniane przedstawienie. Chyba że nie masz nic wartego pokazania?

Znaczenie tych słów dotarło do Marty'ego zbyt późno, by mógł odpowiedzieć; nagie dziecko tuliło się całym ciałem do niego, a ktoś (Curtsinger) próbował rozpiąć najwyższy guzik jego rozporka. Marty dokonał ostatniego nieudolnego zrywu, by odzyskać wewnętrzną równowagę.

- Proszę to przerwać - wymamrotał, patrząc na starego.
- W czym problem? - spytał bez troski Whitehead.
- Koniec żartów - rzekł Marty. Czyjaś dłoń tkwiła w jego spodniach, usiłując dotknąć zwiedzionego członka.
- Odpierdol się ode mnie! - Odepchnął Curtsingera mocniej, niż zamierzał. Potężny mężczyzna zatoczył się i uderzył o ścianę. - Co się z wami dzieje, ludzie?

Emily cofnęła się o krok, by uniknąć młóćącego powietrze ramienia Marty'ego. W jego brzuchu i gardle wrzało wino. Spodnie były mocno wybrzuszone. Zdawał sobie sprawę, że wygląda absurdalnie. Oriana nie przestawała się śmiać. Nie tylko ona, rechotali także Dwoskin i Stephanie. Ottaway tylko się gapił.

- Co, nigdy nie widzieliście cholernego wzvodu? - ryknął Marty na wszystkich.
- Gdzie pańskie poczucie humoru? - zapytał Ottaway. - Chcemy tylko małej scenki. Co w tym złego?

Marty wskazał palcem w stronę Whiteheada.

- Zaufałem panu - powiedział. Nie znalazł więcej słów dla wyrażenia swego bólu.

- I to był błąd, prawda? - skomentował Dwoskin. Mówił jak do imbecyla.

- A ty się, kurwa, zamknij! - Walcząc z pragnieniem rozkwieszenia komuś twarzy, wszystko jedno komu, Marty wciągnął marynarkę i jednym zamaszystym ruchem ręki zrzucił ze stołu tuzin butelek, w większości pełnych.

Emily wrzasnęła, gdy roztrzaskiwały się u jej stóp, ale on nawet nie popatrzył na szkody, jakie wyrządził, cofnął się od stołu i zataczając się, dotarł do drzwi. Klucz tkwił w zamku. Marty

314

otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Za jego plecami Emily znów zaczęła wrzeszczeć jak obudzone z koszmaru niemowlę; słyszał ją przez całą drogę ciemnym korytarzem. Modlił się, by jego rozdygotane nogi były w stanie go ponieść. Pragnął wyjść na zewnątrz: na powietrze, w noc. Gdy rozłożywszy szeroko ramiona, by trzymać się ścian, ruszył w dół tylnymi schodami, stopnie umykały mu spod stóp. Dotarł do kuchni, zaliczywszy tylko jeden upadek, i otworzył tylne drzwi. Noc czekała na niego. Nic go tu nie zobaczy, nikt go nie rozpozna. Zrobił głęboki wdech; zimne, czarne powietrze paliło w nozdrza i płuca. Pokuśtykał przez trawnik, niemal na oślep, nie wiedząc, dokąd się udać, dopóki nie pomyślał o lesie. Chwilę zajęło mu znalezienie właściwego kierunku, po czym pognał w stronę drzew, błagając je w duchu o dyskrecję.

Biegł, drąc nogami poszycie leśne, aż znalazł się tak głęboko między drzewami, że nie było widać ni domu, ni światła. Wtedy zatrzymał się, a całe jego ciało pulsowało niczym jedno wielkie serce. Głowa wydawała się luźno zawieszona na szyi; żółć bulgotała w przełyku.

- Jezu, Jezu, Jezu.

Na moment jego wirujący umysł stracił kontrolę: w uszach Marty usłyszał jazgot, przed oczyma ujrzał mgłę. Nagle nie był pewien niczego, nawet własnej fizycznej egzystencji. Paniczny lęk podniósł się z trzewi i pełzył w górę, przeorując po drodze jelita i żołądek.

- Uspokój się - nakazał lękowi. Tylko jeden raz w życiu czuł się równie bliski utraty zmysłów, gotów odrzucić do tyłu głowę i wrzeszczeć w głos, a było to pierwszej nocy - pierwszej z wielu setek nocy - w Wandsworth. Siedział na brzegu materaca i czuł to samo co teraz. Ślepa bestia wspinała się, wyciskając adrenalinę z nadnerczy. Wówczas opanował trwogę, może więc zrobić to i teraz. Brutalnie wetknął sobie palce w gardło, tak daleko, jak tylko dał radę, na co organizm zareagował falą nudności. Gdy pojawił się odruch wymiotny, pozwolił ciału zrobić resztę, pozbywając się z ustroju olbrzymiej ilości niestrawionego wina. To było paskudne, ale oczyszczające doświadczenie, nie starał się więc kontrolować spazmów, aż nie zostało nic więcej do wyrzycania.

Od gwałtownych skurczów rozboleły go mięśnie brzucha. Wyrwał kilka paproci i otarł nimi usta i podbródek, następnie

oczyścił dłonie o wilgotną ziemię i wyprostował się. Ostra kuracja przyniosła efekty; odczuł znaczącą poprawę.

Odwrócił się od miejsca, gdzie zostawił zawartość żołądka, i ruszył przed siebie, wciąż oddalając się od domu. Choć nad jego głową zadaszenie z liści i gałęzi było gęste, gdzieniegdzie sączyło się przez nie światło gwiazd - iluminacja wystarczająca, by pniom i krzewom nadać słabe pozory bryłowatości. Spacer po tym lesie duchów oczarował go. Pozwolił, by spektakl gwiazdnych światel i cieni listowia leczył jego zranioną próżność. Pojął teraz, jak złudne były jego marzenia o znalezieniu stałego i bezpiecznego miejsca w świecie Whiteheada. Jest i zawsze będzie naznaczonym człowiekiem.

Poruszając się bardzo cicho, dotarł do miejsca, gdzie gęściej rosły drzewa, a rzedło pozbawione światła poszycie. Małe zwierzątka umykały spod jego stóp; nocne owady furkotały w trawie. Zatrzymał się, by lepiej się wsłuchać w ten nokturn. I wtedy kątem oka złowił jakiś ruch. Spojrzał w tamtym kierunku, szukając punktu ostrości w korytarzu oddalających się pni drzew. To nie było złudzenie... Ktoś tam był, równie szary jak drzewa, stał jakieś trzydzieści jardów od niego - na przemian poruszał się i zastygał w bezruchu. Gdy Marty wyteńczył wzrok, udało mu się uchwycić tę postać w mozaice cieni i czerni.

To był z pewnością duch. Taki cichy, taki swobodny. Marty patrzył na niego tak, jak być może jeleń patrzy na myśliwego: nie wie, czy został dostrzeżony, ale nieśpieszno mu opuścić kryjówkę. Strach wpełzł pod skórę jego głowy. Nie przed otwartym atakiem jednak - takim lękiem Marty stawiał czoło już od dawna i nauczył się nad nimi panować. Ten lęk był inny. To był wywołujący poty strach czasów dzieciństwa; lęk pierwotny. I, paradoksalnie, opanował go bez reszty. Nie miało znaczenia, czy ma cztery, czy trzydzieści cztery lata, w głębi duszy był tą samą istotą.

Śniły mu się takie lasy, w objęciach takiej nocy jak ta. Z nabożną czcią dotykał tego lęku, przykuty do miejsca, w którym się zatrzymał, podczas gdy szara postać - zbyt zaabsorbowana własnymi sprawami, by go dostrzec - obserwowała ziemię u podnóża drzew.

317

Stali tak, on i duch, przez kilka, jak się zdawało, minut. Z pewnością sporo czasu upłynęło, zanim doleciał do niego ten sączący się spomiędzy drzew odgłos - nie krzyk sowy ani pisk gryzonia. Był słyszalny przez cały czas, Marty po prostu nie zdołał go rozpoznać. Odgłos kopania. Grzechotanie kamyków, łoskot spadającej ziemi. Dziecko w nim powiedziało: „Niedobrze, zostaw to, zostaw to w spokoju”. Ale ciekawość nie pozwoliła mu tego zrobić. Postąpił na próbę dwa kroki w stronę ducha. Duch zdawał się nie widzieć go ani nie słyszeć. Zebrawszy się na odwagę, Marty przeszedł jeszcze kilka kroków, starając się trzymać cały czas jak najbliżej pni drzew, aby szybko znaleźć kryjówkę, gdyby duch spojrzał w tę stronę. W ten sposób przybliżył się o dziesięć jardów do celu. Był wystarczająco blisko, by ujrzeć szczegóły w wyglądzie zjawy, które umożliwiły natychmiastowe rozpoznanie.

To był Mamoulian.

Europejczyk wpatrywał się w ziemię u swoich stóp. Marty wślizgnął się za pień najbliższego drzewa i mocno przywarł do niego plecami. Ktoś z całą pewnością kopał dół pod okiem Mamouliana; należało się domyślać, że w pobliżu znajdują się także inni z jego świty. Jediną bezpieczną rzeczą było przyczaić się i pokładać w Bogu nadzieję, że nikt nie szpiegował go w czasie, gdy on podglądał Europejczyka.

W końcu odgłos kopania ucichł; ucichły także, jakby posłuszne jakiemuś

milczącemu rozkazowi, wszystkie odgłosy nocy. To było niesamowite. Całe zgromadzenie owadów i zwierząt wydawało się wstrzymywać oddech w osłupieniu.

Marty, wciąż przytulony do pnia, osunął się do pozycji leżącej i wyteżył słuch, by złowić choć najmniejszą wskazówkę na temat rozgrywających się, a niewidocznych dlań teraz wydarzeń. Zaryzykował wychylenie się i zerknięcie zza pnia. Mamoulian oddalał się - w kierunku domu, jak domyślił się Marty. Poszycie przesłaniało widok, nie widział kopiącego ani innych towarzyszących Europejczykowi uczniów. Jednak słyszał, jak przechodzą, jak idą, powłócząc nogami. Niech sobie idą, pomyślał. Nie ochraniał już Whiteheada. Tamta umowa straciła ważność.

318

Usiadł z nogami przyciśniętymi do klatki piersiowej i czekał, aż kluczący między drzewami Mamoulian zniknie z pola widzenia. Wówczas policzył do dwudziestu i podniósł się z ziemi. Mrowienie przeszywało mu łydki i musiał je rozmasować, by przywrócić prawidłowe krążenie. Dopiero wtedy ruszył w stronę miejsca, w którym jeszcze przed chwilą stał Mamoulian.

Gdy się nieco zbliżył, natychmiast rozpoznał polanę, mimo iż poprzednim razem zjawiał się na niej od strony domu. Podczas swojego późnowieczornego spaceru zatoczył bowiem półokrąg. Znalazł się teraz w miejscu, w którym pochował psy.

Grób był otwarty i pusty; czarne plastikowe całuny leżały porozrywane, ich zawartość została bezceremonialnie usunięta. Marty stał, wpatrując się w wykop, nie do końca rozumiejąc, na czym miałby polegać ten żart. Jaki może być pożytek z martwych psów?

Coś poruszyło się w grobie; coś przemieściło się pod plastikowymi workami. Marty cofnął się od krawędzi, jego żołądek był na to zbyt wrażliwy. Prawdopodobnie gniazdo larw albo jakiś robak wielkości męskiego ramienia, spasiony na mięsie psów; któż może wiedzieć, co to takiego, do cholery?

Odwrócił się od dziury w ziemi i ruszył w stronę domu, idąc tropem Mamouliana, aż dotarł do miejsca, gdzie drzewa były rzadsze, a światło gwiazd jaśniejsze. Tu, na granicy pomiędzy lasem i trawnikiem, zatrzymał się i czekał, dopóki dźwięki nocy wokół niego nie odzyskały swej uprzedniej pełni.

47

Stephanie przeprosiła zebranych i wstała od stołu, by udać się do toalety, zostawiając na chwilę całe to rozhisteryzowane towarzystwo. Gdy zamykała drzwi, jeden z mężczyzn - Ottaway, jak się domyśliła - zasugerował, by wróciła i nasikała dla niego do butelki. Zignorowała tę propozycję. Choćby nie wiadomo jak dobrze płacili, nie miała zamiaru dać się wciągnąć w tego rodzaju zabawy; to nie było w porządku.

Korytarz tonął w półmroku. Lśniące wazony, bogate dywany pod stopami - wszystko to świadczyło o zamożności i przy poprzednich okazjach podobała jej się wykwintność tego miejsca. Ale dziś wieczór wszyscy zachowywali się tak niespokojnie - Dwoskin, Ottaway, a nawet stary - było coś z desperacji w tym ich picciu i w tych wszystkich niedomówieniach - że przebywanie tutaj nie sprawiało żadnej przyjemności. Przy innych okazjach tamci upijali się sympatycznie, a potem były zwyczajne pokazy dla

nich, czasem przechodzące w coś poważniejszego z jednym czy dwoma. Równie często zadowalali się samym patrzeniem. W dodatku pod koniec wieczoru czekało szczodre honorarium. Ale tej nocy było inaczej.

Wyczuwała jakieś okrucieństwo, które jej się nie spodobało. Za pieniądze czy nie, nie przyjdzie tu więcej. Zresztą i tak czas się wycofać, zostawić to młodszym dziewczętom, które przynajmniej nie wyglądają na tak steraną życiem jak ona.

Nachyliła się ku taflি lustra w łazience i próbowała poprawić tuszem linię wokół oczu, ale obsunęła się jej drżąca od nadmiaru

320

alkoholu ręka. Stephanie zakłęła i zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu chusteczki higienicznej, by za jej pomocą usunąć nierówności linii. Wtedy usłyszała dochodzący z korytarza odgłos szamotaniny. Dwoskin, domyśliła się. Nie chciała, by maszkaron dotykał jej znowu, przynajmniej dopóki nie będzie zbyt znieczulona przez alkohol, by się czymkolwiek przejmować. Podeszła na palcach do drzwi i zamknęła je na klucz. Hałas na zewnątrz ucichł. Wróciła do umywalki i odkręciła kurek z zimną wodą, aby spryskać umęczoną twarz.

Dwoskin rzeczywiście wyszedł w ślad za Stephanie. Zamierzał namówić ją, by zrobiła z nim coś naprawdę skandalicznego, coś obrzydliwego, coś godnego tego wieczoru wieczorów.

- Dokąd idziesz? - spytał go ktoś, gdy włókł się korytarzem; a może te słowa pojawiły się tylko w jego wyobraźni? Przed przyjęciem wziął kilka pigułek - to zawsze pomagało się rozluźnić - ale zdarzało mu się potem słyszeć głosy w głowie, przede wszystkim głos własnej matki.

Postanowił nie sprawdzać, czy ktoś faktycznie zadał pytanie, czy nie; po prostu poszedł dalej korytarzem, nawołując Stephanie. Ta kobieta była niezwykła, a przynajmniej tak uznało jego pobudzone narkotykiem libido. Miała cudowne pośladki. Chciał dusić się pod ich ciężarem; umrzeć przygwożdżony nimi.

- Stephanie! - zawołał, ale nie pojawiła się. - Daj spokój -przekonywał ją - to tylko ja.

W korytarzu unosił się jakiś nieprzyjemny zapach, jakby zalatywało z kanałów. Wciągnął powietrze w płuca.

Odrażający, stwierdził, nie bez pewnej dozy uznania. Zapach stawał się coraz silniejszy, jak gdyby jego źródło było niedaleko i cały czas się przybliżało. - Lampy - powiedział na głos sam do siebie i zaczął rozglądać się po ścianach korytarza w poszukiwaniu kontaktu.

Kilka jardów dalej coś zaczęło przemieszczać się w jego stronę. Światło świeciło zbyt słabo, by widzieć dokładnie, ale z pewnością nadchodził mężczyzna, i ten mężczyzna nie był sam. Dwoskin dostrzegł też inne kształty, sięgające mu do ko-

321

lan, gromadzące się w ciemności. Fetor stawał się obezwładniający. W głowie Dwoskina zaczęły tańczyć kolory; wstrętne obrazy zamigotały wokoło, towarzysząc tamtej woni. Potrzebował chwili, by się zorientować, że to powietrzne graffiti nie jest złudzeniem. Jego źródłem był ów mężczyzna na wprost niego. Kreski i kropki światła zapalały się i ulatywały, wirując w powietrzu.

- Kto to? - spytał Dwoskin. W odpowiedzi graffiti rozjarzyło się do pełnego blasku. Niepewny, czy potrafi wydobyć z siebie jakiś dźwięk, Król

Trolli zaczął piszczeć.

Gdy krzyk dotarł do jej uszu, Stephanie upuściła kredkę do oczu do umywalki. Nie rozpoznawała głosu. Był wysoki, jak głos kobiecy, ale nie należał ani do Emily, ani do Oriany.

Nagle zaczęła dygotać jeszcze bardziej. Chwyciła się krawędzi umywalki, by nie stracić równowagi; hałasy zwielokrotniły się - słychać było teraz wycie i odgłos biegnących stóp. Ktoś krzyczał, wydawał jakieś niespójne rozkazy. Domyśliła się, że to Ottaway, ale nie zamierzała wyjść, by to sprawdzić. Cokolwiek działo się za drzwiami - pościg, pojmanie, może nawet morderstwo - nie chciała mieć z tym nic wspólnego. Zgasiła światło w łazience, żeby nie było widoczne w szczelinie pod drzwiami. Ktoś przebiegł korytarzem, wzywając Boga; musiał naprawdę być w desperacji. Stopy zadudniły na schodach; ktoś upadł. Trzaskanie drzwiami - i jeszcze liczniejsze wrzaski.

Cofnęła się od drzwi i usiadła na brzegu wanny. Tu, w ciemnościach, bardzo cicho zaczęła śpiewać „Stój przy mnie, Panie” - a raczej te drobne urywki, które pamiętała.

Usłyszał krzyki, chociaż wcale nie chciał ich usłyszeć. Nawet na taką odległość niosły dość wielki ładunek ślepej paniki, by Marty oblał się potem.

Ukląkł pomiędzy drzewami i zatkał sobie uszy. Ziemia pod nim wydawała dojrzały zapach, a w jego umyśle wrzało od niechcianych myśli o tym, jak on sam leży na ziemi na wznak,

i jawy, zaniepokojony nadchodzącym dniem. Po chwili wrzawa ucichła, by powrócić jeszcze kilkakrotnie w przedzielonych ciszą wybuchach. Wkrótce, powiedział sobie, będzie musiał otworzyć oczy, wstać i wrócić do domu, zobaczyć, co się stało, skąd to całe zamieszanie. Wkrótce, ale jeszcze nie teraz.

Gdy hałas na korytarzu i schodach ucichł na dobre, Stephania podkrađła się pod drzwi łazienki, przekręciła klucz w zamku i wyjrzała na zewnątrz. Korytarz tonął w kompletnych ciemnościach. Lampy albo zostały wyłączone, albo stłuczone. Ale jej wzrok, przywykły do mroku w łazience, szybko się adaptował do słabego światła, dochodzącego z klatki schodowej. Hol-galeria był pusty. Wszędzie unosił się zapach jak u rzeźnika w upalny dzień.

Zsunęła buty i ruszyła ku schodom. Na stopniach leżała rozsypana zawartość czyjejś torebki; wyczuła coś mokrego pod stopami. Spojrzała w dół; dywan był poplamiony: albo od wina, albo od krwi. Zeszła szybko na dół, do holu. Wzdrygnęła się od chłodu. Zarówno frontowe drzwi, jak i te prowadzące do przedsionka były szeroko otwarte. Również tu nie zauważyła żadnych oznak życia. Samochody zniknęły z podjazdu; pomieszczenia na dole - biblioteka, pokoje gościnne, kuchnia - wszystko opustoszało. Pognała z powrotem po schodach na górę, by zabrać swoje rzeczy z białego pokoju i wynieść się stąd jak najprędzej.

Gdy była już na piętrze, usłyszała za plecami miękkie stąpanie. Obejrzała się. U szczytu schodów stał pies - przypuszczalnie wszedł tu za nią. Z trudem widziała go w słabym świetle, ale nie bała się.

- Dobry piesek - powiedziała. Ucieszyła ją obecność żywego stworzenia w tym opuszczonym domu.

Pies nie zawarczał ani nie pomachał ogonem, po prostu podreptał w jej kierunku. Dopiero wtedy zrozumiała, jaki błąd popełniła, przywołując zwierzę. Bo to właśnie był sklep rzeźnika. Biegł ku niej na czterech łapach. Cofnęła się.

323

-Nie... - powiedziała. - Nie chcę... o, Chryste... zostaw mnie.

Jednak podszedł do niej, a z każdym jego krokiem widziała coraz lepiej, w jakim zwierzę jest stanie. Splątane wnętrzności wleczone pod brzuchem. Rozkładający się pysk: tylko zęby i gnijąca reszta. Ruszyła w stronę białego pokoju, ale pies pokonał dystans między nimi w trzech susach. Gdy na nią skoczył, przesunęła dłońmi po jego ciele i ku jej obrzydzeniu sierść oddzieliła się od mięsa, jej palce zdarły skórę z boków zwierzęcia. Upadła na plecy; pies napierał z głową kołyszącą się niepewnie na resztkach szyi, jego szczęki zacisnęły się na jej krtani i jęły szarpać. Nie dała rady krzyknąć - pies pożerał właśnie jej narządy mowy - ale wbiła palce w zimne ciało zwierzęcia i wymacała kręgosłup. Instynktownie chwyciła za kręgi, rozszczepiając mięśnie wokół nich na obślizgłe nitki; bestia rozwarła szczęki, wygięła grzbiet w łuk; dłoń Stephanie przerwała połączenie między dwoma sąsiednimi kręgami. Pies zasyczał przeciągle, gdy wyszarpnęła rękę z jego ciała. Drugą dłoń przycisnęła do gardła, krew spadała na dywan z głuchym dudnieniem. Albo natychmiast uzyska pomoc, albo wykrwawi się na śmierć.

Zaczęła pełznąć z powrotem ku schodom. Daleko, całe mile od niej, ktoś otworzył drzwi. Spłynęło na nią światło. Zbyt odrętwiała, by czuć ból, rozejrzała się wokoło. W oddali, w otwartych drzwiach, ujrzała sylwetkę Whiteheada. W połowie drogi pomiędzy nią a nim znajdował się

pies. Jakoś zdołał się podnieść, a raczej podniosła się jego przednia część i ciągnięta łapami wlokła się teraz w stronę Stephanie po lśniącem dywanie. Choć większość ciała zwierzęcia była już bezużyteczna, głowa zaś ledwo unosiła się nad podłogą, pies wciąż się poruszał i miał się poruszać tak długo, aż ten, który go wskrzesił, pozwoli mu spocząć w pokoju.

Uniosła ramię, by pokazać Whiteheadowi, gdzie się znajduje. Nawet jeśli ją dostrzegł w półmroku, nie okazał tego w żaden sposób.

Dotarła do szczytu schodów. Nie pozostało w niej nic sił. Śmierć zbliżała się szybko. Dość, mówiło ciało Stephanie, wy-

324

starczy. Przystała na to, opadła ciężko na podłogę, a jej gasnące oczy obserwowały, jak krew uwolniona ze zranionej szyi spływa w dół schodów. Jeden stopień, dwa stopnie.

Zabawa w odliczanie to świetne lekarstwo na bezsenność.

Trzy stopnie, cztery.

Nie zobaczyła piątego stopnia ani żadnego kolejnego w tym powolnym zejściu.

Marty bardzo nie chciał wracać do domu, ale cokolwiek się tam działo, z całą pewnością już się zakończyło, a tu, gdzie klęczał, zaczynał zwyczajnie marznąć. Jego kosztowny garnitur był zabrudzony nie do oczyszczenia, koszula poplamiona i poszarpana, nieskazitelne buty oklejone błotem. Wyglądał jak włóczęga. Ta myśl omal nie sprawiła mu przyjemności.

Wracając, kluczył po trawniku. Widział światła domu gdzieś przed sobą. Świeciły uspokajająco, ale Marty wiedział, że taki spokój jest iluzją. Nie

każdy dom to schronienie. Czasami bywa bezpieczniej na otwartej przestrzeni, pod gołym niebem, tam gdzie nikt nie zapuka, nikt cię nie znajdzie, gdzie żaden dach nie spadnie na twą ufną głowę.

W połowie drogi pomiędzy lasem a domem wysoko, wysoko nad jego głową zahuczał odrzutowiec -jego światła przypominały dwie bliźniacze gwiazdy. Marty przystanął i patrzył, aż samolot znajdzie się dokładnie nad nim. Może to jedna z tych szpiegowskich maszyn, które - amerykańska lub rosyjska - ustawicznie przemierzają, jak gdzieś czytał, przestrzeń powietrzną nad Europą, obserwując elektronicznymi oczyma uśpione miasta; osądzające bliźnięta, od których dobrej woli zależy życie milionów. Odgłos odrzutowca przeszedł w pomruk, a w końcu całkiem ucichł. Poleciał szpiegować nad innymi głowami. Tej nocy grzechy Anglii nie okazały się śmiertelne, tak się przynajmniej wydawało.

Marty ruszył w stronę domu ze świeżym postanowieniem, że obierze trasę, która zaprowadzi go do wejścia frontowego, i w ten sposób znajdzie się w jasnym jak światło dnia świetle trawnikowych reflektorów. Gdy pokonywał ostatni fragment

325

dzielącej go od drzwi wejściowych przestrzeni, z budynku wyszedł Europejczyk.

Nie było sposobu, by skryć się przed jego wzrokiem. Marty zatrzymał się, jakby wrósł w ziemię, a wtedy z wnętrza wyłonił się Breer, po czym dwaj niesamowici towarzysze poczęli oddalać się od domu. Czymkolwiek było dzieło, którego przyszli tu dokonać, z całą pewnością już je ukończyli.

Zrobiwszy kilka kroków po żwirowym podjeździe, Mamoulian rozejrzał się. Jego wzrok momentalnie natrafił na Marty'ego. Przez długą chwilę

Europejczyk tylko patrzył ponad oświetlonym trawnikiem. Potem skinął głową - krótkie, ostre skinienie było sygnałem. Widzę cię, mówiło, i popatrz - nie robię ci krzywdy. Następnie odwrócił się i odszedł, a po chwili i jego, i grabarza przesłoniły rosnące wzdłuż podjazdu cyprysy.

Część czwarta

OPOWIEŚĆ ZŁODZIEJA

Cywilizacje degenerują się nie ze strachu; degenerują się, ponieważ zapominają, że strach istnieje.

Freya Stark, „Perseusz na wietrze”

48

Marty stał w holu i nasłuchiwał odgłosu kroków lub rozmów. Nie usłyszał nic. Kobiety zapewne odjechały, podobnie jak Ottaway, Curtsinger i Król Trolli. Może stary też.

Niewiele świateł paliło się w całym domu. W tym skąpym oświetleniu wewnątrz wydawało się płaskie, dwuwymiarowe. Uwolniona tu została moc. Jej pozostałości wciąż prześlizgiwały się po metalowych elementach wystroju; powietrze miało błękitny poblask.

Ruszył schodami w górę. Piętro tonęło w ciemnościach, ale instynktownie znajdował drogę i szedł, roztrącając stopami odłamki porcelany - zapewne jakieś stłuczone muzealne skarby. Nie tylko skorupy wyczuwał pod stopami. Było też coś wilgotnego, coś poszarpanego. Nie patrzył pod nogi, ale zmierzał w stronę białego pokoju, a jego zniecierpliwienie rosło z każdym krokiem.

Drzwi były otwarte, a wewnątrz, zamiast elektrycznego światła, paliła

się świeca. Przekroczył próg. Pojedynczy płomień dawał historyczną iluminację - sama obecność Marty'ego powodowała gwałtowne drganie światła - a mimo to widać było, że wszystkie butelki, znajdujące się w pokoju, zostały rozbite. Marty wdepnął w grzędawisko ze stłuczonego szkła i rozlanego wina; pokój cuchnął resztkami jedzenia i picia. Stół leżał odwrócony do góry nogami, a kilka krzeseł zostało zredukowanych do drewnianych szczap.

Stary Whitehead stał w rogu pokoju. Na twarzy miał krople krwi, ale trudno było powiedzieć, czy to jego krew. Wyglądał

329

jak człowiek sfotografowany zaraz po trzęsieniu ziemi; szok do tego stopnia pozbawił jego twarz kolorów, że barwą przypominała papier.

- Wcześniej się zjawił - powiedział, a w każdej wyszeptanej sylabie słyhać było niedowierzanie. - Proszę sobie wyobrazić. Myślałem, że przestrzega umów. Ale przyszedł wcześniej, by mnie przyłapać.
- Kim on jest?
Whitehead okaleczoną dłonią otarł łzy z policzków, rozmazując przy tym krew.
- Łajdak okłamał mnie.
- Jest pan ranny?
• Nie - odpowiedział Whitehead takim tonem, jakby pytanie było śmieszne. - Nie podniósłby na mnie ręki. Ma lepszy pomysł. Chce, żebym poszedł z własnej woli, rozumie pan?

Marty nie rozumiał.

- Na korytarzu są zwłoki - zauważył chłodno Whitehead.

-Przeciągnąłem je ze schodów.

- Czy je?
- Stephanie.
- Czy to on ją zabił?
- On? Nie. Jego ręce są czyste. Można z nich jeść.

- Zawiadomię policję.

-Nie!

Whitehead wykonał kilka nierozważnych kroków po potłuczonym szkle, by chwycić Marty'ego za ramię.

- Nie! Tylko nie policję.
- Ktoś zginął.
- Proszę o niej zapomnieć. Może ją pan przecież później gdzieś ukryć, he? - Jego głos był niemal przymilny. Jego oddech, teraz, gdy znajdował się blisko - toksyczny. - Zrobi pan to dla mnie, prawda?
- Po tym, co pan uczynił?
- To był mały żarcik - powiedział Whitehead. Próbował się uśmiechnąć; uścisk jego palców na ramieniu Marty'ego tamował przepływ krwi. - Dajmy temu pokój; żart, nic więcej. - Przy-

330

pomiął alkoholika na rogu ulicy, chwytającego przechodniów za ubranie. Marty wyswobodził rękę.

- Zrobiłem już dla pana wszystko, co miałem do zrobienia.
- Chce pan wrócić do domu, czy o to chodzi? - Słowa White-heada nabrały nagle cierpkiego tonu. - Chce pan wrócić za kraty, gdzie

będzie pan mógł schować głowę w piasek?

- Już pan próbował tej sztuczki.

- Zaczynam się powtarzać? O rany, o Chryste w niebiosach. - Pomachał ręką, jakby chciał odgonić Marty'ego od siebie. - Niech pan zatem idzie. Odpieprz się, człowieku; nie należysz do mojej klasy. -

Chwiejnym krokiem wrócił pod ścianę i oparł się o nią. - Co ja, kurwa, robię, spodziewając się, że stanie pan po mojej stronie?

- Wrobił mnie pan - warknął w odpowiedzi Marty. - Wrabiał mnie pan cały czas!

- Już mówiłem... to był żart.

- Nie chodzi tylko o dzisiejszy wieczór. Cały czas. Okłamywał mnie pan... przekupywał. Najpierw mówi pan, że potrzebuje kogoś, komu mógłby zaufać, a potem traktuje mnie pan jak gówno. Nic dziwnego, że wszyscy w końcu od pana uciekają!

Whitehead obrócił się do niego.

- Dobrze więc - zawołał - czego pan chce?

- Prawdy.

- Jest pan pewien?

- Tak, do cholery, jestem pewien!

Stary ssał przez chwilę wargę, bijąc się z myślami. Gdy znów przemówił, jego głos był spokojny.

- W porządku, chłopcze. W porządku. - Dawny ogień na powrót zapłonął w jego oczach i na moment klęska wydała się wypalona przez nowy przyływ entuzjazmu. - Jeśli tak się rwiesz, by to usłyszeć, powiem ci. - Trzęsącym się palcem wskazał Marty'ego. - Proszę zamknąć drzwi.

Marty kopniakiem usunął rozbitą butelkę z drogi i zatrzasnął drzwi. To dziwaczne uczucie tak zamykać drzwi na zbrodnię po to tylko, by wysłuchać opowieści. Ale ta historia zbyt długo czekała na opowiedzenie; nie można było tego dłużej odkładać.

331

- Kiedy się urodziłeś, Marty?
- W tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym. W grudniu.
- A zatem po wojnie. - Tak.
- Nie wiesz, co straciłeś.

To był dziwny początek jak na spowiedź.

- Wspaniałe czasy.
- Dobrze się panu wiodło podczas wojny?

Whitehead sięgnął po mniej zniszczone krzesło i naprosto-wał je, by na nim usiąść. Przez kilka sekund nie odezwał się ani słowem.

- Byłem złodziejem, Marty - powiedział w końcu. - Cóż... „spekulant czarnorynkowy” brzmi znacznie lepiej, jak miemam, ale w sumie na jedno wychodzi. Mówiłem płynnie trzema czy czterema językami i byłem nie w ciemną bity. Sprawy układały się *po* mojej myśli.
- Szczęście panu sprzyjało.
- Szczęście się tu nie liczy. Szczęście jest dla ludzi, którzy nie mają kontroli. Ja ją miałem, choć wówczas jeszcze nie byłem tego świadom. Lub jeśli pan woli, sam kształtowałem swój los. - Przerwał na chwilę. - Musi pan to zrozumieć, wojna nie wygląda tak, jak to widzi się w kinie; przynajmniej moja wojna taka nie była. Europa rozpadała się. Wszystko było płynne. Zmieniały się granice, ludzi wywożono w

zapomnienie, świat czekał, by go rozgrabić. - Pokręcił głową. - Nie jest pan w stanie tego pojąć. Całe życie przeżył pan w okresie względnej stabilizacji. Ale wojna zmienia reguły, wedle których żyjemy. Nagle okazuje się, że nienawidzić jest dobrze, że dobrze jest przyklasnąć zniszczeniu. Ludzie mogą pokazać swoje prawdziwe ja...

Marty zastanawiał się, dokąd zaprowadzi ich ten wstęp, ale opowieść Whiteheada właśnie nabierała rytmu. Nie był to dobry moment, by starego rozpraszać.

- ...kiedy wokół jest tyle niepewności, człowiek, który potrafi kształtować swoje przeznaczenie, może stać się królem świata. Proszę wybaczyć tę hiperbolę, ale tak się wówczas czułem. Jak

332

Król Świata. Byłem bystry, rozumie pan. Nie wykształcony, to przyszło później, ale bystry. Teraz nazwano by to: mądrość ulicy. I zdecydowany jak najlepiej wyjść na tej cudownej wojnie, którą Bóg mi zesłał. Spędziłem dwa, może trzy miesiące w Paryżu, tuż przed okupacją, i wycofałem się, póki jeszcze sprawy miały się dobrze. Wówczas udałem się na południe. Zabawiłem we Włoszech, nad Morzem Śródziemnym. Niczego mi nie brakowało. Im straszniejsza stawała się wojna, tym większe czerpałem z niej korzyści. Rozpacz innych czyniła mnie bogatym człowiekiem.

Pieniądze oczywiście trwoniłem. Nigdy tak naprawdę nie potrafiłem utrzymać zarobków dłużej niż przez kilka miesięcy. Kiedy myślę o tych obrazach, które przeszły przez moje ręce, tych dziełach sztuki... to był prawdziwy łup. To nie tak, że wiedziałem, szcziejąc do wiadra, że opryskuję Rafaela. Nie. Kupowałem to wszystko i sprzedawałem całymi ciężarówkami.

Pod koniec wojny w Europie przeniosłem się z Włoch na północ, do Polski. Niemcy znajdowali się w fatalnej kondycji; wiedzieli, że gra się dla nich kończy, a ja sądziłem, że uda mi się dokonać paru transakcji.

Ostatecznie - i to był rzeczywiście błąd - wylądowałem w Warszawie. Gdy się tam zjawilem, z miasta praktycznie już nic nie pozostało. To, czego nie wyburzyli naziści, zrównali z ziemią Rosjanie. Jeden wielki śmietnik od krańca do krańca. - Westchnął i skrzywił się, z trudem dobierając słowa. -

Nie jest pan w stanie sobie tego wyobrazić

- powiedział. - To było niegdyś wspaniałe miasto. Ale teraz?

Jak to panu wytłumaczyć? Musi pan patrzeć moimi oczyma, inaczej to nie będzie miało sensu.

- Staram się - powiedział Marty.

- Pan żyje wewnątrz własnego ja - mówił dalej Whitehead.

- Podobnie jak ja żyję wewnątrz mojego. Mamy mocne wyobrażenie o tym, kim jesteśmy. Dlatego wysoko cenimy sami siebie, czyli to, co w nas unikalne. Czy nadaża pan za mną?

Marty'ego zbyt mocno wciągnęła ta historia, by chciało mu się kłamać. Pokręcił głową.

- Nie, raczej nie.

333

- Istota rzeczy; o to mi chodzi. O fakt, że wszystko, co ma na tym świecie jakąś wartość, jest w bardzo szczególny sposób sobą. Celebrujemy niepowtarzalność wyglądu, istnienia i zakłada my - tak przypuszczam - że pewna część tej indywidualności trwa wiecznie, choćby tylko w pamięci ludzi, którzy się z nią zetknęli. Ceniłem kolekcję Evangeline, ponieważ zachwycają

mnie rzeczy wyjątkowe. Waza niepodobna do żadnej innej, dywan utkany ze szczególną maestrią.

Nagle znów znaleźli się w Warszawie.

- Wie pan, tam były różne wspaniałości. Eleganckie domy, piękne kościoły, cenne kolekcje malarstwa. Tak wiele tego. Ale w chwili, gdy tam dotarłem, nie zostało z tego nic; wszystko przepadło, starte na proch.

Gdziekolwiek się szło, było tak samo. Mierzwa pod stopami. Szare łajno. Przyklejało się do butów, w postaci pyłu wisiało w powietrzu, wdychane oblepiało gardło. Gdy kichnąłeś, twoje smarki były szare; takie samo było twoje gówno. A jeśli przyjrzałeś się z bliska temu plugastwu, zauważyłeś, że to nie tylko brud, lecz i ścierwo, i gruz, i kawałki porcelany, gazety. Cała Warszawa tonęła w tym błocie. Jej domy, jej mieszkańcy, jej dzieła sztuki, jej historia; wszystko zmielone na miazgę, którą zdrapywało się z butów.

Whitehead siedział zgarbiony. Wyglądał na swoje siedemdziesiąt lat; stary mężczyzna, zatopiony we wspomnieniach. Twarz miał gruzłowatą, dłonie zacisnął w pięści. Był starszy, niż ojciec Marty'ego byłby w tej chwili, gdyby przetrzymał kaprysy swego parszywego serca; tyle że jego ojciec nigdy nie potrafiłby przemawiać w ten sposób. Nie miał daru wysławiania się ani -jak sądził Marty - daru głębokiego przeżywania bólu. Whitehead był udręczony. Wspomnieniem plugawej mierzwy. Więcej - jej antycypacją.

Myśląc o swym ojcu i o przeszłości, Marty zatrzymał się na wspomnieniu, które nadawało sens wynurzeniom White-heada. Był pięcio-, może sześciolatkiem, gdy zmarła kobieta mieszkająca

trzy numery dalej w ich szeregowcu. Najprawdopodobniej nie miała żadnych krewnych, nikogo dość

334

bliskiego, by zatroszczył się o usunięcie z domu tych niewielu należących do niej rzeczy. Rada miejska przejęła posesję i pośpiesznie opróżniła mieszkanie, wywożąc meble, by wystawić je na aukcji. Dzień później Marty i jego koledzy znaleźli trochę pozostałych po zmarłej rzeczy, porzuconych przy alejce na tyłach szeregowca. Pracownicy miejscy nie tracili czasu - po prostu opróżnili szuflady z bezwartościowych rzeczy osobistych, wysypali je na stertę za domami i tam zostawili. Pliki starych listów, niedbale przepasane wyblakłą tasiemką; album fotograficzny (kobieta pojawiała się na zdjęciach wielokrotnie: jako dziewczynka, jako młoda żona, jako megiera w średnim wieku, coraz to niższego wzrostu, aż skurczyła się do rozmiarów wysuszonej staruszki); mnóstwo bezwartościowych bibelotów; воск do pieczętowania kopert, pióra pozbawione atramentu, otwieracz do listów. Chłopcy rzucili się na ten śmietnik jak wygłodniałe hieny. Nic nie znalazłszy, rozrzucaли potargane listy po alejce; rozerwali album i głupio naśmiewali się z fotografii, ale ich samych nie zniszczyli, powstrzymywani jakimś przesądem. Nie potrzebowali zresztą tego czynić. Żywioły wkrótce je zdewastowały o wiele skuteczniej niż największe wysiłki wandalii. Po tygodniu deszczy i nocnych przymrozków twarze na fotografiach uległy uszkodzeniu, wyblakły, aż w końcu zwyczajnie zniknęły. Być może to ostatnie istniejące zdjęcia dawno nieżyjących osób obracały się wniwecz na tej alejce, i Marty, przechodząc tamtędy codziennie, obserwował ich stopniową zagładę; widział, jak deszcze splukują atrament z potarganych listów, aż

pamięć o starej kobiecie przepadła całkowicie, tak jak rozpadło się jej ciało. Gdyby wysypać jej prochy na to, co pozostało po należących niegdyś do niej, a teraz zdeptanych przedmiotach, byłyby nie do odróżnienia: taki sam szary pył o znaczeniu nieodwracalnie utraconym. Miazga władająca wszystkim.

Marty przypominał sobie te fakty jak przez mgłę. Niezupełnie chodziło o to, że widział we wspomnieniach listy, deszcz, chłopaków - raczej ponownie doznawał uczuć wywołanych przez tamte wydarzenia, docierał do ukrytego przeczucia, że to,

335

co zdarzyło się w tamtej alejce, było nieznośnie przejmujące. Teraz jego wspomnienia splotły się ze wspomnieniami White-heada. Wszystko, co stary powiedział o mierzwie, o istocie rzeczy, miało jakiś sens.

- Rozumiem - powiedział cicho.

Whitehead spojrział na Marty'ego.

- Być może - powiedział. - W owym czasie byłem hazardzistą, o wiele bardziej zagorzałym niż teraz. Wojna budzi to w ludziach, tak sędzę. Cały czas słyszy się opowieści o tym, jak jakiś szczęściarz uniknął śmierci, bo sobie kichnął, albo że zginął z tego właśnie powodu. Opowieści o łaskawej opatrności i zabójczo niepomyślnej fortunie. I już po chwili człowiek patrzy na świat zupełnie innymi oczyma. Wszędzie zauważa działanie przypadku. Zaczyna uświadamiać sobie jego tajemnice. I, rzecz jasna, jego rewers - determinizm. Bo, proszę mi wierzyć, są ludzie, którzy potrafią formować przypadek jak glinę. Sam pan mówił o mrowieniu, które czuł pan na dłoniach. Jakby

tego dnia, cokolwiek pan zrobi, nie mógł pan przegrać.

-Tak... - Tamta rozmowa wydawała się tak odległa, jak zamierzchła historia.

- A zatem, będąc w Warszawie, usłyszałem o człowieku, który nigdy nie przegrał żadnej partii. O karciarzu.
- Nigdy nie przegrał? - nie dowierzał Marty.
- Tak, byłem cyniczny jak pan. Traktowałem zasłyszane historie jak bajki, przynajmniej do czasu. Lecz gdziekolwiek się znalazłem, ludzie mówili o tamym. Zaczęło mnie to ciekawić. Postanowiłem pozostać w mieście i samemu odnaleźć owego cudotwórcę, choć, Bóg mi świadkiem, bardzo niewiele mnie tam zatrzymywało.
- Z kim grywał?
- Zdaje się, że z każdym, kto miał na to ochotę. Niektórzy powiadali, że był w mieście już w przeddzień wkroczenia Rosjan, że grywał z Niemcami, a później pozostał na miejscu, gdy do Warszawy wkroczyła Armia Czerwona.
- Po co grać pośrodku takiego pustkowia? Nie mogło tam być wielu pieniędzy do wygrania.

336

- Praktycznie nie było żadnych. Rosjanie stawiali racje żywnościowe, własne buty.
- A zatem dlaczego?
- Właśnie to mnie zafascynowało. Ja też nie mogłem tego pojąć. Tak samo jak nie wierzyłem, że może wygrać każdą rozegraną partię, choćby nie wiadomo jak dobrym był graczem.

- Nie rozumiem, jak udawało mu się znajdować przeciwników.
- Zawsze będzie ktoś, kto pomyśli sobie, że może pokonać mistrza. Ja byłem jedną z takich osób. Ruszyłem na poszukiwanie karciarza, by udowodnić, że opowieści o nim są fałszywe. Obrażały moje poczucie rzeczywistości, jeśli pan woli. Każdą godzinę, oprócz czasu snu, spędzałem na przeczesywaniu miasta, próbując go wytropić. W końcu znalazłem żołnierza, który grał z nim wcześniej i, rzecz jasna, przegrał. Porucznika Konstantina Wasiliewa.
- A karciarz... jak on się nazywał?
- Myślę, że pan to wie... - odparł Whitehead.
 - Tak - przyznał Marty po chwili. - Tak. A czy wie pan, że go widziałem? W klubie Billa.
- Kiedy to było?
 - Jak pojechałem kupić garnitur. Poleciał mi pan zagrać za resztę pieniędzy.
- Mamoulian był w „Academy”? Grał?
- Nie. Zdaje się, że nigdy nie gra.
 - Próbowałem nakłonić go do gry, gdy był tu ostatnio, ale nie chciał.
- A w Warszawie? Zagrał pan tam z nim w końcu?
 - O tak. On właśnie na to czekał. Teraz to rozumiem. Wie pan, przez te wszystkie lata udawałem, że to ja pociągam za sznurki. Że poszedłem do niego i wygrałem dzięki moim własnym zdolnościom...
- Wygrał pan?! - wykrzyknął Marty.
 - Oczywiście, że wygrałem. Lecz on pozwolił mi wygrać. To był jego sposób na uwiedzenie mnie; i sposób zadziałał. Oczywiście postarał

się, żeby wyglądało to na trudną rozgrywkę,

337

by przydać złudzeniu odrobinę ciężaru rzeczywistości, ale ja zbyt byłem zapatrzony w siebie, aby to dostrzec, i nawet nie brałem pod uwagę możliwości, że Mamoulian przegrał celowo. To znaczy... on nie miał żadnego powodu, aby tak uczynić, żadnego. Przynajmniej ja tego nie rozumiałem. Nie wtedy.

- Dlaczego pozwolił panu wygrać?
- Powiedziałem już: to było uwiedzenie.
- Czy to znaczy, że chciał się z panem przespać? Whitehead prawie niezauważalnie wzruszył ramionami.

- To możliwe, tak. - Ta myśl zdawała się go bawić; próżność rozkwitła na jego twarzy. - Tak. Myślę, że mogłem stanowić dla niego pokusę. - Po chwili uśmiech zgasł mu na wargach. -Ale seks jest niczym, prawda? To znaczy, że gdy w grę wchodzi pełne posiadanie człowieka, pieprzenie staje się trywialne. To, czego ode mnie oczekiwał, szło o wiele dalej i było o wiele trwalsze niż jakikolwiek fizyczny akt.
- Czy grając z nim, zawsze pan wygrywał?
 - Nigdy potem z nim nie grałem, tylko ten jeden, pierwszy i ostatni raz. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie. On był hazardzistą i ja byłem hazardzistą. Lecz, jak już mówiłem, nie chodziło mu o wygraną.
- To był test.
 - Tak. By zobaczyć, czy jestem jego godzien. Czy będę w stanie zbudować imperium. Po wojnie, gdy zaczęto odbudowywać Europę,

zwykł mawiać, że nie ma już prawdziwych Europejczyków - zostali unicestwieni przez taki czy inny holokaust. Wierzyłem mu. Wierzyłem w całą tę mowę o imperiach i tradycji. Schlebiało mi, że traktuje mnie jak ważną osobistość. Był najlepiej wykształconym, najbardziej przekonującym i najprzenikliwszym ze wszystkich ludzi, jakich przedtem lub potem poznałem. - Whitehead zatracił się całkiem w tych rozważaniach, zahipnotyzowany przez własne wspomnienia. -To, co teraz zostało, to tylko zewnętrzna powłoka. Nie można prawdziwie ocenić, jak wielkie robił wtedy wrażenie. Mógł stać się wszystkim; nie istniało nic, czego nie byłby w stanie osiągnąć, gdyby tego zapragnął. Lecz kiedy go spytałem, cze-

338

mu zawraca sobie głowę takimi jak ja, czemu nie zajmie się polityką, dziedziną, w której mógłby sprawować bezpośrednią władzę, spojrzał na mnie i powiedział: „To wszystko już było”. W pierwszej chwili pomyślałem, że uważa życie tamtych ludzi za przewidywalne. Ale teraz sędzę, że miał na myśli coś innego. Myślę, że chciał przez to powiedzieć, że był tymi ludźmi, że już robił takie rzeczy.

- Jak to możliwe? Sam jeden?

- Nie wiem. To wszystko domysły. Tak było od początku. I oto czterdzieści lat później nadal żongluję domysłami.

Wstał. Z wyrazu jego twarzy dało się z łatwością wyczytać, że od pozostawania w pozycji siedzącej zeszywniały mu stawy. Stojąc, oparł się plecami o ścianę i odchyliwszy w tył głowę, wpatrywał się w pusty sufit.

- Miał jedną wielką miłość. Jedną wszechogarniającą namiętność.

Przypadek. To była jego obsesja. „Całym życiem rządzi przypadek -

mawiał - sztuka polega na tym, by nauczyć się nim posługiwać".

- I to wszystko miało dla pana jakiś sens?
- Potrzebowałem trochę czasu, by to pojąć. Tak. Ale po latach zacząłem podzielać tę jego fascynację. Nie z pobudek intelektualnych. Nigdy nie powodowała mną bezinteresowna ciekawość. Wiedziałem jednak, że to może dać mi władzę. Gdy uda się zmusić opatrność, by dla nas pracowała - spojrzał na Marty'ego - gdy uda się rozpracować jej system, jeśli pan woli, świat legnie u naszych stóp. - Głos starego załamał się. - Proszę spojrzeć na mnie. Widzi pan, dokąd mnie to zaprowadziło... - Zaśmiał się krótko, gorzko. - On oszukiwał - dodał, powracając do początku rozmowy. - Nie przestrzegał reguł.
- To miała być Ostatnia Wieczerza - wtrącił Marty. - Czy mam rację? Zamierzał pan uciec, zanim on po pana przyjdzie.
- Poniekąd.
- To znaczy?

Whitehead nie odpowiedział. Zamiast tego na nowo podjął opowieść, tam gdzie ją przerwał.

339

- Nauczył mnie bardzo wiele. Po wojnie przez jakiś czas podróżowaliśmy, tu i tam, zbijając małą fortunę. Ja dzięki swoim umiejętnościom, on dzięki swoim. Potem przybyliśmy do Anglii i ja zainwestowałem w przemysł chemiczny.

- I stał się pan bogaty.

- Bardziej niż Krezus mógłby zamarzyć. Zabrało mi to kilka lat, ale pieniądze przychodziły, przyszła też władza.

- Z jego pomocą.

Whitehead zmarszczył brwi na to niepożądane spostrzeżenie.

- Stosowałem jego zasady, to prawda - odparł. - Ale on czerpał z tego korzyści w takim samym stopniu jak ja. Dzielił ze mną moje domy, moich przyjaciół. Nawet moją żonę.

Marty chciał *coś* powiedzieć, ale Whitehead nie dopuścił go do słowa.

- Czy mówiłem panu o Poruczniku? - spytał.

- Wspomniał pan niejakiego Wasiliewa.

- On umarł. Czy to też panu mówiłem?

-Nie.

- Nie spłacił długów. Jego ciało wyciągnięto z miejskich kanałów w Warszawie.

- Mamoulia go zabił?

• Nie osobiście. Ale tak, zabił. Sądzę, że... - Whitehead zatrzymał się w pół zdania i gwałtownie uniósł głowę, nasłuchując. - Słyszał pan coś?

- Co takiego?

- Nic. W porządku. To w mojej głowie. O czym to ja mówiłem?

- O Poruczniku.

• Ach, tak. Ta część opowieści... nie wiem, czy to może mieć dla pana jakieś znaczenie... ale muszę to wyjaśnić, ponieważ bez tego reszta traci sens. Bo widzi pan, ta noc, kiedy znalazłem Mamoulia, była niezwykła. Nie sposób opisać jej prawdziwie, ale pewnie zna pan ten widok, kiedy ostatnie światło słońca zatrzymuje się na szczytach chmur. Nabierają wówczas koloru rumieńców, koloru miłości. A ja byłem tak zapatrzony w siebie, tak pewny, że nic złego nie może mnie spotkać... - Przerwał,

by oblizać wargi, po czym mówił dalej. - Byłem idiotą. - Słowa, które wypowiadał, naznaczała pogarda wobec samego siebie.

- Szedłem przez ruiny - wszędzie unosił się zapach rozkładu, plugastwo zalegało pod stopami - ale nie dbałem o to, ponieważ to były moje ruiny, mój proces rozkładu. Sądziłem, że jestem ponad to wszystko, zwłaszcza tej nocy. Czułem się zwycięzcą, ponieważ ja żyłem, a martwi byli martwi. - Na moment słowa przestały cisnąć mu się na wargi. Gdy znów przemówił, jego głos brzmiał tak cicho, że chwytanie go słuchem sprawiało ból.
- Cóż ja wtedy wiedziałem? Nic, absolutnie nic. - Zakrył twarz drżącymi dłońmi i wyszeptał w te dłonie: - Jezu.

W ciszy, która nastąpiła, Marty'emu zdawało się, że słyszy coś za drzwiami, jakiś ruch na korytarzu. Ale dźwięk był zbyt słaby, by mieć co do niego pewność, a atmosfera panująca w pokoju wymagała pełnej koncentracji. Poruszyć się teraz, powiedzieć coś, oznaczałoby udaremnić spowiedź, a Marty, niczym dziecko zauroczone przez wytrawnego gawędziarza, chciał usłyszeć koniec tej opowieści. W tej chwili to wydawało mu się najważniejsze.

Whitehead wciąż skrywał twarz w dłoniach, próbując powstrzymać łzy. Po chwili podjął na nowo przerwana opowieść - ostrożnie, jakby mogła go zabić.

-Nigdy nikomu tego nie mówiłem. Sądziłem, że jeśli uda mi się zachować milczenie, jeśli pozwolę, by stało się to jeszcze jedną plotką, niczym więcej - prędzej czy później to samo zniknie.

Na korytarzu znowu rozległ się hałas, jakby wycie wiatru w wąskiej

szczelinie. A potem drapanie w drzwi. Whitehead tego nie słyszał. Znalazł się na powrót w Warszawie, w domu, w którym paliło się ognisko, w którym był jeden bieg schodów, pokój ze stołem i światłem ociekającej parafiną świecy. Prawie jak ten pokój, tyle że tamten śmierdział wystygłym ogniem, a nie kwaśniejącym winem.

- Pamiętam - podjął opowieść - że gdy skończyliśmy grę, Mamoulian wstał i podał mi rękę. Zimną. Lodowatą. Wtedy za moimi plecami otwarły się drzwi. Odwróciłem się, by zobaczyć kto to. I to był Wasiliew.

341

- Porucznik?
- Straszliwie poparzony.
- Przeżył? - szepnął Marty.
- Nie - padła odpowiedź. - Był martwy.

Marty pomyślał, że coś musiało mu umknąć z tej opowieści, coś, co usprawiedliwiłoby to niedorzeczne stwierdzenie. Lecz nie, obłąkańcza myśl została przedstawiona jako najzwyczajniejsza prawda.

- Mamoulian był za to odpowiedzialny - kontynuował Whitehead. Drżał, ale łzy przestały płynąć z jego oczu, wysuszone płomieniem wspomnień. - Wskrzesił Porucznika z martwych, rozumie pan. Jak Łazarza. Przypuszczam, że robił tak, bo potrzebował pomocników.

Gdy ucichły słowa, znów rozległo się drapanie w drzwi. Niewątpliwie było prośbą o wpuszczenie do środka. Tym razem także Whitehead je usłyszał. Najwidoczniej jego chwila słabości minęła. Poderwał do góry

głowę.

- Nie otwieraj - polecił.
- Dlaczego nie?
- To on - powiedział, z oczyma pełnymi dzikiego strachu.
 - Nie. Europejczyka nie ma w budynku. Widziałem, jak odchodzi.
 - Nie Europejczyk - odrzekł Whitehead. - To Porucznik. Wasiliew.
- Marty spojrzał na niego z niedowierzaniem.
- Nie - zaprzeczył.
- Nie wie pan, do czego zdolny jest Mamoulian.
- Niech pan nie będzie śmieszny!

Marty wstał i ruszył ku drzwiom, torując sobie drogę wśród potłuczonego szkła. Za plecami usłyszał, jak Whitehead mówi: „Nie, proszę, Chryste, nie”, nacisnął jednak klamkę i otworzył drzwi. Słabe światło świecy ukazało czekającego na zaproszenie gościa.

To była Bella, psia madonna. Stała niepewnie w progu, jej oczy - to, co z nich zostało - spojrzały złowrogo na Marty'ego, jej język, zarobaczony kawał mięsa, zwisał z pyska, jakby zwie-

342

rzęciu brakowało sił, by go schować. Z jakiegoś miejsca w jamie ciała Belli wydobył się cienki pisk, skamlenie psa szukającego pociechy u człowieka.

Marty zrobił dwa lub trzy chwiejne kroki w tył.

- To nie on. - Whitehead się uśmiechnął.
- Jezu Chryste.
- W porządku, Martin. To nie on.

- Proszę zamknąć drzwi! - powiedział Marty, niezdolny ruszyć się z miejsca i zrobić to samemu. Odpychały go oczy suki, jej odór.
- Ona nie chce nikomu zrobić krzywdy. Zwykła przychodzić tu do mnie po smakołyki. Była jedynym psem, któremu ufałem. Podłe stworzenia.

Whitehead oderwał się od ściany i podszedł do drzwi, kopnięciami usuwając z drogi rozbite butelki. Bella przekrzywiła głowę, by na niego spojrzeć, i zaczęła merdać ogonem. Marty odwrócił się, przepelniony wstrętem, a jego umysł miotał się, próbując znaleźć dla tego wszystkiego jakieś rozsądne wytłumaczenie, ale nie znajdował żadnego. Suka była martwa, sam przecież spakował jej zwłoki do worka. Nie mogło być mowy o przedwczesnym pochówku.

Whitehead patrzył na stojącą za progiem Bellę.

- Nie, nie możesz wejść - przemówił do niej, jakby wciąż była żywym stworzeniem.
- Proszę ją odesłać - jęknął Marty.
- Jest taka samotna - odrzekł stary, strofując go za brak współczucia.

Marty'emu przeszło przez myśl, że Whitehead postradał zmysły.

- Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę - powiedział.
- Psy to dla niego drobiazg, proszę mi wierzyć.

Marty przypomniał sobie, jak Mamoulian stał w lesie, wpatrując się w ziemię przed sobą. Nie zauważył wtedy nikogo, kto rozkopywałby grób, bo nikogo takiego nie było. Psy ekshumowały się same; wygrzebały się spod plastikowych całunów i łapami utorowały sobie drogę na powierzchnię.

- Z psami jest łatwo - powtórzył Whitehead. - Prawda, Bella?

Jesteście przyuczone do posłuszeństwa.

Węszyła wokół niego, zadowolona, że zobaczyła Whiteheada. Jej Bóg nadal przebywał w swoim niebie, więc wszystko było dobrze na tym świecie. Stary zostawił drzwi otwarte i odwrócił się do Marty'ego.

- Nie ma się czego obawiać - powiedział. - Bella nie zrobi nam krzywdy.
- To on przyprowadził psy do domu?
- Tak, żeby zepsuć mi przyjęcie. Czysta złośliwość. Chciał w ten sposób przypomnieć mi, do czego jest zdolny.

Marty schylił się i podniósł krzesło. Trząśnięcie było tak gwałtowne, iż bał się, że upadnie, jeśli natychmiast nie usiądzie.

- Z Porucznikiem nie poszło tak łatwo - rzekł stary - ponie-
waż nie był równie posłuszny jak Bella. Wiedział, że to, co mu
zrobiono, jest wstrętne. To go rozgniewało.

Suka obudziła się głodna. To dlatego poszła do pokoju, z którym wiązały się najmiłsze wspomnienia; poszła tam, gdzie człowiek, który znał jej ulubione miejsce do drapania za uchem, przemawiał do niej pieszczotliwym głosem i karmił ją kawałkami jedzenia ze swego talerza. Ale tej nocy, gdy weszła na górę, zauważyła, że wszystko się zmieniło.

Mężczyzna zachowywał się dziwnie w stosunku do niej, jego głos brzmiał metalicznie, a w pokoju był ktoś jeszcze, ktoś, czyj zapach coś jej delikatnie sugerował, ale nie wiedziała co. Nadal czuła głód, ssący głód, a jakaś apetyczna woń unosiła się tuż koło niej. Woń mięsa, które przeleżało pewien czas w ziemi, takiego, jakie lubiła: na kości i na wpół zgniłego. Będąc niemal ślepą, węszyła, szukając źródła zapachu, a gdy je znalazła, zaczęła jeść.

- Niezbyt miły widok.

Pożerała własne ciało, odgryzając kawały szarego, tłustego mięsa z gnijącego mięśnia na udzie. Whitehead obserwował, jak suka rozszarpuje samą siebie. Jego bierność w obliczu tego nowego koszmaru załamała Marty'ego.

- Niech pan jej na to nie pozwoli! - Odepchnął starego na bok.

344

- Ale ona jest głodna - oponował Whitehead, jakby ten przebijający widok był czymś najnaturalniejszym na świecie.

Marty podniósł krzesło, na którym siedział, i z całych sił uderzył nim o ścianę. Było ciężkie, ale jego mięśniom, napiętym do granic bólu, ten przejaw gwałtowności przyniósł pożądaną ulgę. Krzesło złamało się.

Suka podniosła wzrok znad posiłku; przetykane mięso wypadło przez jej rozcięte gardło.

- Tego już za wiele - syknął Marty, podniósł z podłogi nogę od krzesła i podszedł do drzwi, zanim Bella zdążyła poznać jego zamiary. W ostatniej chwili, jak się wydawało, pojęła, że ten człowiek chce wyrządzić jej krzywdę, i spróbowała stanąć na nogi. Jedna z jej tylnych kończyn, ta, której udo zostało już niemal całkowicie ogryzione z mięsa, nie była w stanie dłużej utrzymać ciężaru ciała, i suka zatoczyła się, szczerząc zęby, gdy Marty zamachnął się swą naprędce zaimprovizowaną bronią. Siła ciosu roztrzaskała czaszkę zwierzęcia. Warczenie ucichło. Ciało cofało się, ciągnąc zmasakrowaną głowę na sznurze szyi i wciskając ze strachu ogon pomiędzy tylne łapy. Zrobiło dwa

albo trzy niepewne kroki i nie było w stanie iść dalej.

Marty czekał, modląc się do Boga, by nie musiał uderzać po raz drugi. Gdy tak patrzył, wydawało mu się, że z truchła psa uchodzi powietrze. Opuchlizna klatki piersiowej, szczątki głowy, wewnętrzne narządy, zawieszony w otwartej jamie tułowia, wszystko to rozpadło się w abstrakcyjną masę, jedna część nie dała się odróżnić od drugiej. Zamknął za suką drzwi i odrzucił na bok zakrwawioną broń.

Whitehead umknął na drugi koniec pomieszczenia. Jego twarz była szara, barwy ciała Belli.

- Jak on to zrobił? - spytał Marty. - Jak to możliwe?
- On ma moc - rzekł Whitehead. Najwidoczniej było to tak proste. - Potrafi kraść życie i potrafi nim obdarzać.

Marty wyjął z kieszeni płócienną chusteczkę, którą specjalnie zakupił na ten wieczór eleganckich rozmów przy stole. Potrząsnął nią, by rozłożyć nieskazitelnie czystą materię, i wytarł twarz. Na chusteczce po odjęciu od twarzy zostały

345

krople rozkładającej się substancji. Marty poczuł się pusty jak worek.

- Spytał mnie pan kiedyś, czy wierzę w piekło - powiedział.
- Pamięta pan?
- Tak.
- Czy tym, według pana, jest Mamouliau? Kimś... - zachciało mu się śmiać - ...kimś z piekła?
- Rozważałem i taką możliwość. Ale z natury nie daję wiary rzeczom nadprzyrodzonym. Piekło i niebo. Wszystkie te ich parafernalia. Mój organizm to odrzuca.

- Jeśli nie jest diabłem, to kim?
- Czy to takie ważne?

Marty wytarł spocone dłonie o spodnie. Czuł się skażony całym tym plugastwem. Będzie potrzebował dużo czasu, by zmyć z siebie przeżyty koszmar, jeśli w ogóle kiedykolwiek będzie to możliwe. Popełnił błąd, wchodząc w to tak głęboko; historia, którą usłyszał, oraz pies pod drzwiami były tego konsekwencją.

- Wygląda pan na chorego - zauważył Whitehead.
- Nigdy nie myślałem...
 - Co? Że umarli mogą wstać i chodzić? Och, Marty, brałem pana za chrześcijanina, pomimo pańskich deklaracji.
- Wynoszę się stąd - oznajmił Marty. - Oboje wyjeżdżamy.
- Oboje?
- Carys i ja. Uciekniemy. Od niego. Od pana.
 - Biedny Marty. Większe z pana cielę, niż przypuszczałem. Już jej pan nie ujrzy.
- Dlaczego?
 - Ona jest z nim, do cholery! Nie przyszło to panu do głowy? Odeszła z nim! - A więc to było rozwiązanie zagadki jej nagłego zniknięcia. - Z własnej woli, ma się rozumieć.
 - Nie.
 - Ależ tak, Marty. Rościł sobie do niej prawo od samego początku. Kołysał ją w ramionach prawie zaraz po jej urodzeniu. Kto wie, jak wielki ma na nią wpływ. Oczywiście, odzyskałem ją na pewien czas. - Westchnął. - Sprawilem, że mnie pokochała.

- Chciała uciec od pana.
- Nigdy. To moja córka, Strauss. Potrafi manipulować ludźmi tak jak ja. Cokolwiek istniało między wami, było wykalkulowane jak małżeństwo z rozsądku.
- Jest pan pieprzonym łajdakiem.
- To oczywiste, Marty. Jestem potworem, przyznaję. - Wyrzucił ręce w górę, wnętrzem dłoni na zewnątrz, niewinny we wszystkim poza własną niezaprzeczalną winą.
- Powiedział pan, zdaje się, że pana kochała. A jednak odeszła.
- Powiedziałem, że to moja córka. Myśli tak jak ja. Poszła z nim, by nauczyć się korzystać z mocy, jakie posiada. Ja uczyniłem tak samo, pamięta pan?

Ta linia argumentacji, nawet w ustach takiego robaka jak Whitehead, brzmiała racjonalnie. Czyż w rozmowach z Carys nie czaiła się zawsze pogarda dla Marty'ego, równa tej, jaką odczuwała wobec starego, pogarda wywołana przez ich niemożność zrozumienia jej? Czy Carys nie zatańczyłaby z diabłem, gdyby nadarzyła się okazja i gdyby czuła, że czyniąc to, zdoła lepiej zrozumieć samą siebie?

- Niech pan nie myśli o niej - powiedział Whitehead. - Proszę o niej zapomnieć; ona odeszła.

Marty próbował zatrzymać obraz jej twarzy, ale ten ulegał stopniowemu zatarciu. Nagle poczuł się zmęczony, wyczerpany do cna.

- Proszę odpocząć, Marty. Jutro możemy razem pogrzebać tamtą kurwę.
- Nie dam się w to zrobić.

- Czyż nie powiedziałem kiedyś panu, że jeśli zostanie pan ze mną, nie ma takiego miejsca, do którego nie byłbym w stanie pana zaprowadzić? Teraz to jest bardziej prawdziwe niż kiedykolwiek. Pan wie, że Toy nie żyje.
- Jak to się stało? Kiedy?
 - Nie pytałem o szczegóły. Rzecz w tym, że go nie ma. Zostaliśmy tylko my dwaj: pan i ja.
- Zakpił pan ze mnie.

347

Twarz Whiteheada nagle stała się obrazem uległości.

- Błąd w ocenie - powiedział. - Proszę mi wybaczyć.
- Za późno.
 - Nie chcę, żeby pan odszedł, Marty. Nie pozwolę na to! Słyszysz pan? - Jego palec dźgał powietrze. - Znalazł się pan tutaj, by mi pomagać! I co pan uczynił? Nic! Nic!

Pochlebstwa zmieniły się w oskarżenia w ciągu paru sekund. W jednej chwili łyzy, w następnej przekleństwa, a za tym wszystkim - ten sam lęk, by nie zostać opuszczonym przez wszystkich. Marty obserwował, jak stary na przemian zaciska pięści i otwiera swe drżące dłonie.

- Proszę - błagał - nie opuszczaj mnie.
- Chcę, żeby dokończył pan swoją opowieść.
- Grzeczny chłopiec.
- Chcę wiedzieć wszystko, rozumie pan. Wszystko.
 - Cóż więcej zostało do opowiedzenia? Stałem się bogaty. Wszedłem na jeden z najszybciej rozwijających się po wojnie rynków - na rynek

farmaceutyczny. W ciągu pięciu lat znalazłem się na szczycie, obok światowych liderów. - Uśmiechnął się sam do siebie. - Co więcej, sposób, w jaki zdobyłem swoją fortunę, był tylko w niewielkim stopniu nielegalny. W przeciwieństwie do wielu innych, grałem zgodnie z regułami.

- A Mamoulian? Czy on panu pomagał?

- Nauczył mnie nie zadrezczać się dylematami moralnymi.

- I czego żądał w zamian?

Oczy Whiteheada zwężyły się.

- Nie jest pan znowu taki głupi, prawda? - rzekł z uznaniem. - Potrafi pan uderzyć w czuły punkt, kiedy tylko pan zechce.

- To pytanie nasuwa się samo przez się. Zawarł pan z nim układ.

- Nie! - zaprzeczył stanowczo Whitehead. - Nie zawierałem żadnych układów, w każdym razie nie w sposób, o jaki panu chodzi. Może i wiązało nas jakieś dżentelmeńskie porozumienie, ale to już zamierzchła przeszłość. Otrzymał ode mnie wszystko, co mu się należało.

- To znaczy co?

348

- Mógł żyć przeze mnie - odparł Whitehead.

- Proszę to wyjaśnić - zażądał Marty. - Nie rozumiem.

- On chciał żyć jak każdy inny człowiek. Miał pragnienia. I zaspokajał je przeze mnie. Proszę nie pytać, jak to robił. Sam tego nie pojmuję. Ale czasami czułem go gdzieś z tyłu, za własnymi oczami...

- I pozwolił mu pan na to?

- Z początku nie wiedziałem nawet, co on robi; inne sprawy przykuwały moją uwagę. Z godziny na godzinę, jak się zdawało, stawałem się coraz bogatszy. Posiadałem domy, ziemię, dzieła sztuki, kobiety. Łatwo było zapomnieć, że on tam jest cały czas, obserwuje; żyje przez pośrednika.

Potem, w pięćdziesiątym dziewiątym roku, poślubiłem Evan-geline.

Nasz ślub mógłby zawstydzić rodziny królewskie - został opisany w gazetach od Londynu po Hongkong. Bogactwo i Wpływy żenią się z Inteligencją i Urodą, małżeństwo doskonałe. Ukoronowanie mojego szczęścia, naprawdę.

- Był pan zakochany.

- Nie sposób było nie kochać Evangeline. Myślę... - wydawał się zaskoczony własnymi słowami - ...myślę, że i ona mnie kochała.

- Co sądziła o Mamoulianie?

- Ha, w tym cały szkopuł - odparł Whitehead. - Nienawidziła go od samego początku. Twierdziła, że jest zbyt purytański; że przez samą jego obecność czuje się ustawicznie winna. I miała rację. On nie znosił ciała; jego funkcje napawały go obrzydzeniem. Ale nie potrafił uwolnić się od niego, od cielesnych pragnień. To było dlań torturą. A z upływem czasu ta skaza nienawiści do samego siebie pogłębiała się.

- Z jej powodu?

- Nie wiem. Być może. Gdy teraz się nad tym zastanawiam, myślę, że on jej pragnął, w taki sposób, jak dawniej pożądał piękna. A ona oczywiście pogardzała nim od samego początku. Gdy została panią mojego domu, ta wojna nerwów nasiliła się. W końcu kazała mi się go pozbyć. To było zaraz po przyjściu na świat Carys. Evangeline nie

podobało się, że Mamoulian

349

bawi się z dzieckiem - co on zdawał się uwielbiać. Po prostu nie chciała go widzieć w swoim otoczeniu. Znałem Mamouliana już wówczas od dwudziestu lat - mieszkał w moim domu, dzielił ze mną moje życie - gdy uświadomiłem sobie, że nic o nim nie wiem. Nadal pozostawał owym mitycznym karciarzem, którego spotkałem w Warszawie.

- Nigdy go pan o to nie pytał?

- O co?

- Kim jest? Skąd pochodzi? Jak doszedł do swoich umiejętności?
- O tak, pytałem. Przy każdej okazji odpowiedź różniła się troszkę od udzielonej poprzednim razem.
- A zatem okłamywał pana?
- Całkiem jawnie. To był rodzaj żartu, jak sądzę, jego sposób na bycie duszą towarzystwa: nigdy nie okazać się dwa razy tą samą osobą. Jak gdyby nie do końca istniał naprawdę. Jakby człowiek o nazwisku Mamoulian był konstrukcją przykrywającą coś zupełnie innego.
- Co takiego?

Whitehead wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Evangeline zwykła mawiać, że on jest pusty.

Jej zdaniem, to było w nim szczególnie odrażające. To nie jego obecność w tym domu ją trapiła, lecz jego nieobecność, jego nicość. Więc i ja zacząłem nabierać przekonania, że lepiej będzie się go pozbyć - ze względu na Evangeline. Wszystkie lekcje, których miał mi udzielić, już sobie przyswoiłem. Nie

był mi więcej potrzebny.

Poza tym w sytuacjach towarzyskich wprawiał wszystkich w zakłopotanie. Boże, gdy teraz o tym myślę, zastanawiam się - naprawdę się zastanawiam - jak mogło dojść do tego, że pozwoliliśmy mu rządzić sobą tak długo! Gdy siedział przy stole, wyczuwało się, że pogrąża gości w depresji, jakby rzucał na nich urok. A im starszy się stawał, tym bardziej rozmowa z nim pozbawiona była sensu.

Nie żeby starzał się w jakiś widoczny sposób. Obecnie nie wygląda ani o rok starzej, niż wyglądał wtedy, gdy go poznałem.

350

- W ogóle żadnych zmian?
 - Fizycznie - żadnych. Ale coś się chyba zmieniło. Teraz otacza go aura klęski.
- Nie wydawał mi się przegrany.
 - Gdyby widział go pan w jego szczytowym okresie, w jego najlepszych latach! Był wówczas przerażający, proszę mi wierzyć. Ludzie milkli, gdy przekraczał próg; zdawał się wysysać radość z każdego, unicestwiał ją na miejscu. Evangeline trafiała w sedno, gdy mówiła, że nie może znieść przebywania z nim w tym samym pomieszczeniu. Zaczęła ją prześladować myśl, że Mamoulian planuje zgładzenie jej i dziecka. Co noc kazała komuś siedzieć przy Carys, by mieć pewność, że on jej nie dotknie. Przypomniało mi się właśnie, że to Evangeline pierwsza namówiła mnie na kupno psów. Wiedziała, że on się ich brzydzi.
 - Ale nie posłuchał jej pan. To znaczy, nie wyrzucił go pan z domu.

- Och, wiedziałem, że będę musiał coś przedsięwziąć prędzej czy później; po prostu brakowało mi ikry, by to uczynić. Potem on rozpoczął te swoje drobne gierki o władzę, tylko po to, by mi udowodnić, że nadal go potrzebuję. To był błąd taktyczny. Urok idei posiadania domowego purytanina dawno się wyczerpał. Powiedziałem mu to. Powiedziałem mu też, że musi zmienić całe swoje zachowanie albo odejść. Oczywiście odmówił. Wiedziałem, że tak będzie.

Wszystko, czego potrzebowałem, to pretekst do zerwania moich relacji z nim, a on podał mi go jak na dłoni. Gdy patrzę na to z perspektywy lat, jestem pewien, że piekielnie dobrze wiedział, do czego zmierzam. Tak czy owak, cel został osiągnięty - wyrzuciłem go. Nie osobiście. Toy zrobił to za mnie.

- Toy zajmował się więc pana osobistymi sprawami?

- O tak. To też był pomysł Evangeline - zawsze bardzo troszczyła się o mnie. Zasugerowała, bym wynajął ochroniarza. Wybrałem Toya. Był niegdyś bokserem i człowiekiem nieskazitelnie uczciwym. I nigdy nie wahał się mówić, co myśli. Mamoulian nie zrobił na nim żadnego wrażenia. Gdy więc kazałem Toyowi

351

pozbyć się tego człowieka, po prostu to zrobił. Pewnego dnia przyszedłem do domu, a karciarza w nim nie było.

Tego dnia odetchnąłem z ulgą. Czułem się tak, jakbym dźwigał kamień uwiązany do szyi i nie zdawał sobie z tego sprawy. I nagle po kamieniu nie zostało śladu; byłem wręcz odurzony.

Wszelkie obawy, jakie żywiłem, zastanawiając się nad konsekwencjami tego kroku, okazały się bezpodstawne. Mój majątek nie wyparował. Bez

Mamouliana nadal odnosiłem sukcesy, jak przedtem. Może nawet większe. Zyskałem bowiem całkiem nową pewność siebie.

-I nie widział go pan więcej?

- Owszem, widziałem. Wraciał do tego domu dwa razy, zawsze bez zapowiedzi. Chyba nie wiodło mu się najlepiej. Nie wiem, co się stało, ale jakoś utracił całą magiczną aurę. Za pierwszym razem, gdy wrócił, był tak wyniszczony, że z trudem go rozpoznałem. Wyglądał na cierpiącego i brzydko pachniał. Gdyby zobaczył go pan wtedy na ulicy, przeszedłby pan na drugą stronę. Nie mogłem uwierzyć w tę jego przemianę. Nie chciał nawet wejść do domu - nie znaczy to bynajmniej, że pozwoliłbym mu na to - chciał tylko pieniędzy, a gdy mu je dałem, odszedł.

- Czy to było autentyczne?

- Autentyczne?

- Ten występ w charakterze żebraka - czy to było prawdziwe? To znaczy, czy to nie jeszcze jedna historyjka...?

Whitehead uniósł brwi.

-Przez wszystkie te lata... nigdy o tym w ten sposób nie myślałem. Zawsze zakładałem, że... - Przerwał i po chwili zaczął znowu od innego miejsca. - Wie pan, nie jestem wyrafinowanym człowiekiem pomimo takich pozorów. Jestem złodziejem. Mój ojciec był złodziejem i prawdopodobnie jego ojciec też. Cała ta wyrafinowana kultura, jaką się otaczam, to fasada. Wszystko to podpatrzyłem u innych. Gusta nabyte, jeśli pan woli.

Ale po kilku latach człowiek zaczyna wierzyć w wizerunek, jaki sam na potrzeby innych wykreował; zaczyna naprawdę uważać się za wytwornego

światowca. Wstydzi się instynktów, które przywiodły go tam, gdzie jest, ponieważ są one częścią

352

kompromitującej przeszłości. To właśnie stało się moim udziałem.

Utraciłem poczucie tego, kim jestem.

Cóż, sądzę, że najwyższy czas, by złodziej znów doszedł do głosu: czas użyć jego oczu, jego instynktu. Pan mnie tego nauczył, choć Bóg mi świadkiem, nie był pan tego świadom.

-Ja?

- Jesteśmy tacy sami. Nie widzi pan tego? Obaj jesteśmy złodziejami. Obaj jesteśmy ofiarami.

Tym użalaniem się nad sobą Whitehead przebrał miarę.

- Nie może pan twierdzić, że jest pan ofiarą - zaprotestował Marty - przy pańskim stylu życia.

- Co pan może wiedzieć o moich uczuciach? - odciął się Whitehead. - Niech pan nie wyciąga pochopnych wniosków, słyszy pan? Proszę sobie nie wyobrażać, że pan cokolwiek rozumie, bo nic pan nie rozumie! On zabrał mi wszystko; wszystko! Najpierw Evangeline, potem Toya, teraz Carys. Proszę mi nie mówić, czy cierpiałem, czy nie!

- Jak to zabrał Evangeline? Myślałem, że zginęła w wypadku.

Whitehead potrząsnął głową.

- Są granice tego, co mogę panu powiedzieć - odrzekł. -

Niektórych rzeczy nie sposób wyrazić. Nigdy tego nie zrobię.

- Jego głos stał się suchy jak popiół.

Marty nie naciskał, przeszedł do kolejnej kwestii.

- Powiedział pan, że Mamoulian wracał tu dwa razy.
- To prawda. Powtórnie przyszedł w rok lub dwa po pierwszej wizycie. Evangeline gdzieś wyszła tamtego wieczoru. To było w listopadzie. Toy otworzył drzwi i pamiętam, że choć nie usłyszałem głosu Mamouliana, wiedziałem, że to on. Zszedłem do holu. Stał w progu, oświetlony światłami na werandzie. Siąpił lekki deszcz. Wciąż to widzę; pamiętam, jak odnalazł mnie jego wzrok. „Czy jestem mile widziany w tym domu?” - spytał. Stał tam i pytał: „Czy jestem mile widziany w tym domu?”.

Nie wiem, dlaczego pozwoliłem mu wejść. Nie wyglądał już tak rozpaczliwie jak poprzednim razem. Może pomyślałem, że przyszedł z przeprosinami, nie pamiętam. Jeszcze wówczas

353

mogliśmy na nowo stać się przyjaciółmi, gdyby to zaproponował. Nie na starych zasadach. Być może jako partnerzy w interesach. Osłabły moje mechanizmy obronne. Zaczęliśmy rozmawiać o wspólnej przeszłości... - Whitehead przeżuwał te wspomnienia, starając się wydobyć z nich cały smak - .. i wtedy on zaczął narzekać, jaki jest samotny, jak bardzo potrzebuje mojego towarzystwa. Powiedziałem mu, że Warszawa to już zamierzchła przeszłość. Byłem człowiekiem żonatym, filarem społeczeństwa, i nie zamierzałem zmieniać swojego życia. Mamoulian zaczął zachowywać się obraźliwie, oskarżać mnie o niewdzięczność. Twierdził, że go oszukałem. Że zerwałem przymierze między nami. Wyjaśniłem, że nigdy nie zawieraliśmy żadnego przymierza, po prostu kiedyś wygrałem z nim w karty, w pewnym dalekim mieście, i w konsekwencji on postanowił mi pomagać, z jakichś sobie tylko znanych

powodów. Wyjaśniłem mu, iż moim zdaniem, dostatecznie często ulegałem jego żądaniom, by uznać dług za spłacony. Dzielił ze mną dom, przyjaciół, całe moje życie przez dekadę; miał udział we wszystkim, co posiadałem. „To za mało” - powiedział i zaczął swoje od początku: te same błagania, co wcześniej, te same żądania, bym porzucił swe ambicje do bycia szanowanym obywatelem i ruszył w drogę razem z nim, został włóczęgą, jego uczniem, bym nauczył się nowej, strasznej lekcji o świecie. I muszę przyznać, że w jego ustach ta propozycja brzmiała niemal atrakcyjnie. Bywało, że nużyła mnie ta cała maskarada; wtedy czułem zapach wojny, pyłu; wtedy znów widziałem chmury nad Warszawą i tęskniłem za złodziejem, którym niegdyś byłem. Ale nie miałem zamiaru porzucać wszystkiego z powodu tych tęsknot. Powiedziałem mu to. Domyślał się zapewne, że pozostanę niewzruszony, ponieważ zaczął zachowywać się jak desperat. Wygadywał jakieś brednie, że jest beze mnie strwożony, zagubiony. Że oddał mi całe lata swego życia i swoją energię, więc jak mogę być tak zimny i nieczuły. Dotykał mnie, łkał, próbował głaskać po twarzy. Byłem tym wszystkim przerażony. Zniesmaczył mnie jego melodra-matyczny popis; nie chciałem brać w tym udziału, nie potrzebo-wałem tego człowieka. Ale on nie chciał odejść. Jego żądania

354

zmieniły się w groźby i wtedy, jak przypuszczam, straciłem panowanie nad sobą. Nie przypuszczam - wiem to na pewno. Nigdy nie byłem tak wściekły. Chciałem skończyć z nim i z tym, co symbolizował - z moją brudną przeszłością. Uderzyłem go. Z początku niezbyt mocno, ale on nie przestawał wpatrywać się we mnie, i wtedy straciłem resztki samokontroli. Nie próbował się bronić, a jego bierność jeszcze bardziej mnie rozjuszyła.

Biłem go i biłem, a on po prostu przyjmował ciosy. Nadstawiał twarz do bicia... - Whitehead, drżąc, nabrał powietrza w płuca i mówił dalej: - Bóg wie, że robiłem gorsze rzeczy. Ale niczego tak się nie wstydzę jak tego. Nie przestałem go bić, aż popękała mi skóra na kłykciach. Wtedy oddałem go Toyowi i ten dopiero naprawdę go skatował. Przez cały czas Mamoulian nawet nie pisnął. Zimno mi się robi, gdy o tym myślę. Wciąż widzę go opartego o ścianę, z Billem wiszącym mu u gardła, i te jego oczy, niezwracające się tam, skąd miał paść kolejny cios, lecz nieprzerwanie wpatrzone we mnie. Tylko we mnie.

Pamiętam, że powiedział: „Czy wiesz, cóżeś uczynił?”. Tak po prostu. Bardzo cicho, a krew wypływała z jego ust razem ze słowami.

Wtedy stało się coś dziwnego. Powietrze zgęstniało. Krew na jego twarzy zaczęła krążyć wkoło jak żywa istota. Toy puścił go. Mamoulian osunął się po ścianie, zostawiając na niej krwawą smugę. Pomyślałem, że go zabiliśmy. To była najgorsza chwila mojego życia, gdy tak staliśmy tam z Toyem, wpatrzeni w ten worek pełen pogruchootanych przez nas kości. To był oczywiście nasz błąd. Nie powinniśmy się wtedy wahać. Powinniśmy wówczas skończyć z tym, zabić go.

- Jezu.

- Tak! Głupotą było tego nie dokończyć. Bill był lojalny - nie wrócilibyśmy nigdy więcej do sprawy. Ale brakło nam odwagi. Mnie brakło odwagi. Kazałem Toyowi obmyć Mamouliana, zawieźć go do miasta i tam porzucić.

- Nie zabiłby go pan - powiedział Marty.

- Nadal upiera się pan, by czytać w moich myślach - odparł Whitehead znużonym głosem. - Nie rozumie pan, że Mamoulian

tego właśnie chciał? Że po to przyszedł? Pozwoliłby mi stać się jego katem, gdybym tylko miał dość odwagi, by się do tego posunąć. Był znudzony życiem. Mogłem wybawić go z jego nieszczęścia, i na tym by się skończyło.

- Myśli pan, że on jest śmiertelny?
 - Wszystko ma swój czas. Jego czas należy do przeszłości. On o tym wie.
 - Więc teraz musi pan jedynie czekać, czyż nie? Gdy przyjdzie jego czas, on umrze. - Marty'ego mdliło już od tej opowieści, od tych złodziei, od filozofii przypadku. Cała ta żałosna historia, prawdziwa czy nieprawdziwa, mierzyła go. - Już mnie pan nie potrzebuje - oznajmił. Wstał i podszedł do drzwi. Odgłos szkła roztrącanego jego stopami zbyt głośno rozbrzmiewał w niewielkim pomieszczeniu.
- Dokąd pan idzie? - spytał stary.
- Odchodzę. Tak daleko stąd, jak się da.
- Obiecał pan zostać.
 - Obiecałem wysłuchać. I wysłuchałem. Nie chcę dłużej pozostawać w tym cholernym miejscu.

Marty odwrócił się, by otworzyć drzwi. Whitehead mówił do jego pleców:

- Myśli pan, że Europejczyk zostawi pana w spokoju? Widział go pan na własne oczy, zobaczył pan, do czego jest zdolny. Prędzej czy później będzie musiał pana uciszyć. Czy pomyślał pan o tym?
- Zaryzykuję.
- Tutaj jest pan bezpieczny.

- Bezpieczny? - powtórzył Marty z niedowierzaniem. - Chyba nie mówi pan poważnie. Bezpieczny? Jest pan żaloszny. Czy zdaje pan sobie z tego sprawę?
- Jeśli pan odejdzie... - ostrzegł Whitehead.
- ...to co? - Marty odwrócił się do niego, wyrzucając z siebie słowa pogardy. - Co pan robi, staruszk?
- W ciągu dwóch minut zacznie się pościg za panem; łamie pan reguły zwolnienia warunkowego.

356

- A gdy mnie znajdą, powiem im wszystko. O heroinie, o trupie w holu. Powiem im o każdej ciemnej sprawie, jaką sobie przypomnę. Pańskie pieprzone groźby nie są warte funta kłaków, słyszy pan?

Whitehead skinął głową.

- A zatem pat.
- Na to wygląda - odparł Marty i nie odwracając się za siebie, wyszedł na korytarz.

Czekała go tam makabryczna niespodzianka: szczeniaki odnalazły Bellę. Nie oszczędziła ich dłoń Mamouliana wskrzesiciela umarłych, chociaż nie mogły mu się przydać do żadnego celu. Były na to zbyt małe, zbyt ślepe. Leżały teraz w cieniu pustego brzucha matki, a ich pyszczki szukały nieistniejących sutków. Jednego szczenięcia brakowało, jak zauważył Marty. Czy to, co poruszyło się w grobie, kiedy do niego zajrzał, to było właśnie szóste szczenię, albo zbyt głęboko pogrzebane, albo

znajdujące się w stanie zbyt posuniętego rozkładu, by podążyć za pozostałymi?

Bella uniosła kark, gdy Marty próbował prześlizgnąć się obok niej. To, co pozostało z głowy, zakołysało się w jego kierunku. Odwrócił wzrok z obrzydzeniem, ale odgłos rytmicznego bębnienia sprawił, że jeszcze raz obejrzał się za siebie.

Najwidoczniej suka wybaczyła mu jego niedawne okrucieństwo. Zadowolona teraz, że kochające potomstwo tłoczy się przy jej brzuchu, wpatrywała się, bezoka, w Marty'ego, a jej nadpsuty ogon delikatnie uderzał o dywan.

Whitehead siedział z opadniętymi ze zmęczenia ramionami w pokoju, w którym zostawił go Marty.

Chociaż z początku ciężko mu było opowiadać tę historię, w miarę mówienia stawało się to coraz łatwiejsze, i teraz rad był, że zrzucił z siebie jej ciężar. Ileż razy chciał to wszystko wyjawić Evangeline! Ale na swój elegancki, subtelny sposób dawała mu do zrozumienia, że jeśli są jakieś sekretne sprawy, które przed nią skrywa, ona woli o nich nie wiedzieć.

Przez

357

wszystkie te lata, mieszkając w jednym domu z Mamoulia-nem, nigdy wprost nie zapytała Whiteheada „dlaczego”, jakby wiedziała, że jakakolwiek padnie odpowiedź, nie będzie wcale odpowiedzią, lecz co najwyżej kolejnym pytaniem.

Myślenie o niej przepęłniło go smutkiem, żal ścisnął mu gardło. To Europejczyk ją zabił, co do tego nie istniały wątpliwości. On lub jego

wysłannicy znaleźli się z nią wtedy na drodze; jej śmierć to nie dzieło przypadku. Gdyby to był przypadek, Whitehead wiedziałaby o tym. Jego nieomylny instynkt wyczułby słusność takiego zrządzenia losu, bez względu na to, jak wielkim napawałoby go ono żalem. Ale nie doznał takiego uczucia, uświadomił sobie za to własny pośredni współudział w jej śmierci. To przecież z zemsty na nim ją zabito. Jeden z wielu aktów odwetu, ale z pewnością najgorszy.

Czy Europejczyk zabrał ją po śmierci? Czy wślizgnął się do jej mauzoleum i tchnął w nią życie, tak jak uczynił to z psami? Myśl ta była odrażająca, ale Whitehead roztrząsał ją mimo wszystko, gotów wymyślać najgorsze do przewidzenia scenariusze, bojąc się, że jeśli tego nie uczyni, Mamoulian sam wynajdzie nowe koszmary, by nim wstrząsnąć.

- Nie zrobisz tego - powiedział na głos do pokoju pełnego szkła. - Nie uda ci się mnie zastraszyć, przepłoszyć, zniszczyć. - Były jeszcze środki i sposoby. Wciąż mógł uciec i ukryć się na końcu świata. Znaleźć miejsce, gdzie zapomniałby o dziejach swego życia.

Istniało coś, co pominął w swojej opowieści; mało istotny dla zrozumienia całości, niemniej bardzo interesujący fragment historii, którego nie wyjawiał Straussowi i który zataiłby przed każdym ciekawskim. Może dlatego, że był nie do opowiedzenia. Albo dlatego, iż dotykał zbyt celnie i zbyt głęboko dwuznaczności, które ścigały go przez pustkowiec jego życia, i mówić o nim byłoby jak odsłaniać barwy swej duszy.

Zastanawiał się teraz nad tą ostatnią tajemnicą i w dziwny sposób ożywiało go myślenie o niej.

Po skończonej grze, tej pierwszej i ostatniej partii kart, rozegranej z

Europejczykiem, wylazł przez na wpół zasypane

358

drzwi na plac Muranowski. Nie było widać gwiazd; jedynie blask ogniska za plecami.

Gdy tak stał w półmroku, próbując zorientować się w swoim położeniu, a chłód wpełzał przez podeszwy jego wojskowych butów, pojawiła się przed nim bezwarga kobieta. Skinęła na niego. Domyślił się, że chce mu pokazać drogę powrotną, więc ruszył jej śladem. Ona jednak miała inne zamiary. Wyprowadziła go z placu i przywiodła do budynku z zasłoniętymi oknami, a on -jak zawsze ciekawski - wszedł za nią do środka, pewien, że tej nocy nie może przytrafić mu się nic złego.

W trzewiach owego domu znajdował się maleńki pokoik, którego ściany zniszczono płatami wyszabrowanego płótna, jakimiś dywanami, płachtami zakurzonego aksamitu, zdobiącego niegdyś okna wytwornych kamienic. Tutaj, w tym prowizorycznym buduarze, był tylko jeden mebel. Łóżko, na którym w tej oto chwili martwy porucznik Wasiliew -jeszcze nie tak dawno widziany w pokoju gier u Mamouljana - uprawiał miłość. Kiedy złodziej przekroczył próg pokoju, a bezwarga kobieta stanęła tuż przy nim, Konstantin uniósł wzrok znad swego miłosnego znoju, lecz jego ciało nie przestawało napierać na kobietę leżącą na materacu przykrytym rosyjskimi, niemieckimi i polskimi flagami.

Złodziej stał, nie dowierzając własnym oczom, i chciał powiedzieć Wasiliewowi, że nieprawidłowo odbywa stosunek, że pomylił jedną dziurę z inną, że nie w naturalny otwór ciała tak brutalnie wchodzi, lecz w otwartą ranę.

Porucznik zapewne by nie posłuchał. Uśmiechał się przy swym wysiłku,

a jego zaczerwieniony członek zakorzeniał się i wynurzał, zakorzeniał i wynurzał. Zwłoki, które usiłował zadowolić, kołysały się pod nim, nieczułe na starania kochanka.

Jak długo złodziej się temu przyglądał? W tym akcie płciowym nie było żadnych oznak spełnienia. W końcu bezwarga kobieta szepnęła mu do ucha: „Wystarczy?“, on odwrócił się ku niej, a wtedy ona położyła mu dłoń na kroczu. Nie wydawała się wcale zdziwiona jego erekcją, chociaż on sam przez te wszystkie lata, które upłynęły od tamtej chwili, nie potrafił

359

zrozumieć, jak taka rzecz w ogóle mogła się wydarzyć. Dawno już zaakceptował fakt, że umarli powstają z grobów. Ale to, że czuł podniecenie w ich obecności - to było całkiem inną zbrodnią, straszliwszą od tamtej.

Piekła nie ma, pomyślał stary człowiek, wyrzucając z głowy tamten buduar ze zwęglonym Casanovą. Albo piekło jest pokojem i łóżkiem, nigdy nienasyconą żądzą; a ja w nim byłem i widziałem jego rozkosze, i jeśli dojdzie do najgorszego, zniosę to.

Część piąta

POTOP

Okręt w bitwie zapłonął; gaszeniem pożogi Zajęta, część załogi tonie z nim w głębinie; Druga za burtę skacze, i ta jednak ginie, Kiedy ogniem z muszkietów razi ją wróg srogi. Zguba jednaka, chociaż odwrotna metoda:

Tych w wodzie gubi ogień, tamtych w ogniu - woda.

John Donne, „Okręt płonący” (Przełożył Stanisław
Barańczak)

IX

Zła wiara

49

Wody potopu spadły na ziemię w najsuchszym lipcu, jaki przechowała pamięć ludzka, lecz w końcu żadna wizja Armagedonu nie byłaby kompletna bez choćby jednego paradoksu. Gromy spadające z jasnego nieba, ciało zamienione w sól, cisi biorący w posiadanie ziemię - to tylko niektóre z tych nieprawdopodobnych zjawisk.

Tego lipca żadne spektakularne przemiany nie miały jednak miejsca. Ognie niebiańskie nie pojawiały się wśród chmur. Nie było deszczu salamander ani deszczu niemowląt. Jeśli nawet aniołowie pojawili się w owym miesiącu - i jeśli w ogóle nastąpił wyczekiwany potop - było to, jak przystało na najprawdziwszy Armagedon, wyłącznie metaforą.

Należy odnotować, co prawda, kilka dziwacznych zdarzeń, ale większość rozegrała się gdzieś za kulisami, w słabo oświetlonych korytarzach, na omijanych z daleka wysypiskach, gdzieś pomiędzy nasiąkniętymi od deszczu materacami a popiołami dawno wygasłych ognisk. Były to zdarzenia lokalne, niemal prywatne. Ich fala uderzeniowa - w najlepszym razie - wywołała plotki wśród bezpańskich psów.

Większość tych cudów jednakowoż - gier, deszczy i zbawień - tak

sprytnie skryta została za fasadą codzienności, że tylko obdarzeni najbystrzejszym okiem albo poszukujący nieprawdopodobieństw zdołali dostrzec coś z tej apokalipsy, ukazującej swój przepych w zbielełym od słońca mieście.

50

Miasto nie przyjęło Marty'ego z otwartymi ramionami, ale i tak był rad, że oddalił się z tamtego domu raz na zawsze, zostawiając starego z jego szaleństwem. Jakiegokolwiek miałyby być długofalowe konsekwencje tego kroku - będzie musiał poważnie się zastanowić, czy nie powinien oddać się w ręce policji - miał teraz przynajmniej przestrzeń, w której mógł odetchnąć pełną piersią, i czas na przemyślenie wszystkiego dogłębnie.

Sezon turystyczny był w pełni. Turyści tłumnie najechali Londyn, znajome ulice wydawały się nie do poznania. Przez pierwsze dni Marty po prostu włóczył się tu i tam, przyzwyczajając się na nowo do swobody i braku zobowiązań. Zostało mu bardzo niewiele pieniędzy, ale mógł przecież nająć się do jakiejś pracy fizycznej, gdyby zaszła taka potrzeba. W środku lata branża budowlana odczuwała głód siły roboczej. Myśl o uczciwej, całodziennej pracy, o przelanyim pocie, za który płacono gotówką, była kusząca. W razie konieczności mógł też sprzedać citroena, zabranego z Sanktuarium w ostatnim, i prawdopodobnie nierozważnym, geście buntu.

Po dwóch dniach wolności jego myśli powróciły do starego tematu: Ameryki. Miał to słowo wytatuowane na ramieniu, przypominało o więziennych marzeniach. Teraz prawdopodobnie nadeszła pora na urzeczywistnienie marzeń. W wyobraźni przyzywało go Kansas, gdzie pola zboża ciągną się po horyzont, a w zasięgu wzroku nie ma żadnej

rzeczy wykonanej ludzką

364

ręką. Znalazłby tam bezpieczne schronienie. Nie tylko przed policją i Mamoulianem, ale przed historią, przed opowieściami powtarzаныmi w nieskończoność. W Kansas będzie nowa opowieść, opowieść, której zakończenia Marty znać nie mógł. Czyż nie była to robocza definicja wolności, niezmaconej europejską ręką, europejską pewnością?

By podczas planowania ucieczki nie mieszkać na ulicy, znalazł pokój w Kilburn - obskurny jednoosobowy pokoik z toaletą dwa piętra niżej, którą miał dzielić, jak poinformował go właściciel, z sześcioma innymi lokatorami. W rzeczywistości aż piętnaście osób mieszkało w siedmiu pokojach tego domu -w jednym z nich pomieściła się nawet czteroosobowa rodzina. Zawodzenie najmłodszego dziecka sprawiało, że Marty sypiał niespokojnie, wstawał więc wcześniej i pozostawiał dom jego sprawom na cały dzień, wracając dopiero, a i to z ociąganiem, gdy zamykano puby. Pocieszał się jednak myślą, że to jedynie tymczasowe rozwiązanie.

Z wyjazdem były, rzecz jasna, problemy, nie najmniejszy z nich stanowiło zdobycie paszportu z wbitą weń wizą. Bez tego nie pozwolą mu postawić stopy na amerykańskiej ziemi. Załatwienie dokumentów musiało być szybką operacją. Wiedział, że Whitehead zgłosił naruszenie reguł zwolnienia warunkowego, nie przejmując się tym, co Marty mógłby na jego temat powiedzieć. Niewykluczone, że władze już przeczesywały miasto w poszukiwaniu zbiega.

Trzeciego dnia lipca, półtora tygodnia od opuszczenia posiadłości, zdecydował się chwycić byka za rogi i odwiedzić dom Toya. Pomimo

zapewnień Whiteheada, że Bill nie żyje, nadzieja Marty'ego pozostawała nienaruszona. Papa kłamał już wcześniej, wiele razy - dlaczego nie miałby kłamać i w tym wypadku?

Dom usytuowany był w eleganckim zaułku w Pimlico; ulica cichych fasad, z wąskimi chodnikami, zastawionymi przez eleganckie samochody. Marty kilkakrotnie nacisnął przycisk dzwonka, ale nie zauważył żadnych oznak życia. Żaluzje w oknach na parterze były opuszczone; ze szpary w skrzynce na listy wystawał opasły klin przesyłek, głównie ulotek reklamowych.

365

Gdy tak stał na stopniu i wpatrywał się bezmyślnie w drzwi, wiedząc doskonale, że się nie otworzą, na schodkach sąsiedniego domu pojawiła się jakaś kobieta. Nie właścicielka, tego był pewien; raczej sprzątaczką. Na jej opalonej twarzy-któż nie miał opalonej twarzy tamtego upalnego lata? - malował się wyraz tłumionej radości, tak typowy dla głośiciela złych nowin.

- Przepraszam. Czy mogę w czymś pomóc? - spytała z nadzieją w głosie.

Marty nagle zdał sobie sprawę, jak dobrze zrobił, że wybierając się tutaj, włożył marynarkę i krawat; kobieta wyglądała na jedną z tych, co to zgłaszają policji każde najdrobniejsze podejrzenie.

- Szukam Billa. Pana Toya.

Okazała jawną dezaprobatę; jeśli nie w stosunku do Marty'ego, to na pewno wobec Toya.

- Nie ma go tu - powiedziała.
- Nie wie pani przypadkiem, gdzie się podziewa?

- Nikt nie wie. Porzucił ją. Tak po prostu. Porzucił i poszedł sobie.
- Kogo porzucił?
 - Swoją żonę. No... powiedzmy, przyjaciółkę. Została znaleziona w domu kilka tygodni temu, nie czytał pan? Było o tym we wszystkich gazetach. Zrobili ze mną wywiad. Opowiedziałam im wszystko; wyjaśniłam, że to nie był miły gość, ten Toy, wcale a wcale.
- Musiałem przegapić.
- Było we wszystkich gazetach. Teraz go szukają.
- Pana Toya?
- Aha. Wydział Zabójstw.
- Naprawdę?
- Pan nie jest reporterem?
- Nie.

- Chętnie wyjawię, no wie pan, za godziwym wynagrodzeniem, wszystko, co wiem. Rzeczy, o których mogę panu opowiedzieć...

- Doprawdy?
- Musiała być w okropnym stanie, bo...
 - O czym pani mówi?

Pamiętając o handlowych walorach swej opowieści, matrona nie miała zamiaru wdawać się w szczegóły - nawet jeśli je znała, w co Marty wątpił. Zamiast tego ochoczo zaprezentowała intrygujący zwiastun.

- Ciało było okaleczone - obiecywała sensacyjną zapowiedź - nie do poznania, nawet dla najbliższych.
- Czy jest pani pewna?

Kobieta wyglądała na urażoną tym powątpiewaniem w jej

wiarygodność.

- Albo sama sobie to zrobiła, albo kto inny jej to zrobił i trzy mał ją zamkniętą, aż się wykrwawi na śmierć. Przez wiele, wiele dni. Gdy wyważyli drzwi, fetor był taki...

Brzmienie rozwodnionego, zagubionego głosu osoby, która wtedy odebrała telefon, powróciło do Marty'ego, i już wiedział z całą pewnością, że przyjaciółka Toya była martwa w chwili, gdy z nią rozmawiał.

Okaleczona i martwa, ale wskrzeszona, by mogła niczym recepcjonistka odbierać telefony, pomagając sprawcom zachować przez jakiś czas korzystne dla nich pozory. Dwie sylaby dźwięczały Marty'emu w uszach: „Kto to?” - czyż nie tak właśnie zapytała? Pomimo żaru lejącego się z jasnego lipcowego nieba, zaczął się trząść. Mamoulian był tutaj. Przekroczył ten próg w poszukiwaniu Toya. Miał z Billem rachunki do wyrównania, Marty już o tym wiedział. Czegóż to człowiek, gdy poníženie jątrzy się w nim jak rana, nie wymyśli, by odpłacić za doznaną przemoc?

Marty zauważył, że kobieta bacznie mu się przygląda.

- Czy dobrze się pan czuje? - spytała.
- Tak, dziękuję.
- Potrzebuje pan snu. Mam ten sam problem. Marnie sypiam w takie gorące noce jak teraz.

Podziękował jej ponownie i nie oglądając się za siebie, pośpiesznie oddalił się od tamtego domu. Zbyt łatwo było wyobrazić sobie koszmary - pojawiały się znikąd, bez ostrzeżenia.

I nie znikną. Nie teraz. Wspomnienie Mamouliana towarzyszyło mu - nocą, w dzień i w kolejną niespokojną noc - przez

cały czas, od teraz na zawsze. Uświadomił sobie (a może był to tylko sen, wyłamujący się z oków bezsennych nocy, by rozciągnąć się także na jawę?) istnienie innego świata, unoszącego się gdzieś za fasadą rzeczywistości, głęboko lub tuż pod jej powierzchnią.

Nie było czasu na takie dywagacje, Marty musiał wyjechać - zapomnieć o Whiteheadzie, o Carys, zignorować prawo. Wymknąć się z kraju do Ameryki w jakikolwiek sposób; uciec tam, gdzie rzeczywistość jest rzeczywistością, a sny pozostają pod powiekami, gdzie ich miejsce.

51

Raglan był wirtuozem misternej sztuki fałszowania dokumentów. Wystarczyło wykonać dwa telefony, by go zlokalizować, i już Marty ubijał z nim interes. Paszport ze stosowną wizą da się sfalszować za skromną opłatą. Jeśli Marty zdoła przynieść swoją fotografię, robota zostanie wykonana w ciągu dnia, najwyżej dwóch.

Był piętnasty lipca. Miasto gotowało się na wolnym ogniu, tylko kilku stopni brakowało do temperatury wrzenia. Ryczące za ścianą radio obiecywało na cały dzień nieskazitelnie bezchmurne niebo, tak samo jak wczoraj i jak przedwczoraj. Nawet nie błękitne; białe. Niebo w tych dniach było białe jak oczy ślepcy.

Marty wcześniej wyruszył do domu Raglana, po części, by uniknąć najgorętszych godzin, po części dlatego, że palił się, by załatwić sprawę fałszerstwa, kupić bilet i znaleźć się daleko stąd. Nie zaszedł jednak dalej niż do stacji metra przy Kilburn High Road. To właśnie tam, na pierwszej

kolumnie „Daily Telegraph”, przeczytał nagłówek: „Milioner-samotnik znaleziony martwy w swoim domu”. Poniżej, zdjęcie Papy -młodszeo, bezbrodego Whiteheada - zrobione w okresie dlań szczytowym, zarówno gdy szło o wygląd, jak i o wpływy. Marty kupił tę i jeszcze dwie inne gazety, które zamieściły wiadomość o śmierci Whiteheada na pierwszych stronach, i czytał je, stojąc na środku chodnika, podczas gdy rozdrażnieni przechodnie, spływając szeroką falą po prowadzących na stację metra schodach, tręcali go i cmokali z dezaprobatą.

369

Ogłoszono dziś zgon Josepha Newzama Whiteheada, milionera stojącego na czele Whitehead Corporation, której produkty farmaceutyczne - aż do czasu niedawnego kryzysu - czyniły z niej jedną z najlepiej prosperujących firm w Europie Zachodniej. Pan Whitehead, lat 68, został znaleziony wczoraj przez swego szofera we wczesnych godzinach rannych, w swej ukrytej przed światem samotni w Oxfordshire. Uważa się, że przyczyną zgonu był atak serca. Policja utrzymuje, że okoliczności śmierci nie budzą żadnych podejrzeń. Wspomnienie o zmarłym: patrz s. 7.

Wspomnienie o zmarłym było typowym zlepkiem informacji wyszperanych na stronach rocznika biograficznego, z dodanym krótkim opisem sukcesów Whitehead Corporation; całość lekko przyprawiono domysłami, głównie na temat niedawnego upadku korporacji z wyżyn finansowego panteonu. Była tam skrócona historia życia Whiteheada. O wczesnych latach jedynie skąpe wzmianki, jak gdyby istniały wątpliwości co do niektórych szczegółów. Resztę życia przedstawiono dokładniej, lecz

opis wydarzeń nie wykraczał poza wyświechtane frazesy. Małżeństwo z Evan-geline; spektakularny rozkwit firmy w okresie boomu gospodarczego w późnych latach pięćdziesiątych; dekady ugruntowywania pozycji i nowych zdobyczy; późniejsze wycofanie się Whiteheada po śmierci Evangeline i jego tajemnicze, mroczne milczenie.

Umarł.

Pomimo całej zuchwałej gadaniny, całego buntu, całej pogardy dla machinacji Europejczyka, bitwa została przegrana. Czy była to śmierć z przyczyn naturalnych, jak donosiły gazety, czy dzieło Mamouliana, tego Marty nie wiedział. Ale nie mógłby się wyprzeć ciekawości, jaką ta śmierć w nim wzbudziła. I tego, że poczuł coś więcej niż ciekawość, że poczuł żal. Fakt, że zdolny jest do żalu po śmierci starego, był dla Marty'ego szokiem. Większym być może niż sam smutek. Nie spodziewał się bólu, jaki wywołała w nim ta strata.

Odwołał spotkanie z Raglanem i wrócił do swego pokoiku, by wciąż od nowa studiować gazety, by wycisnąć z tekstu każ-

370

dą najdrobniejszą informację na temat okoliczności śmierci Whiteheada. Niewiele było oczywiście wskazówek - wszystkie artykuły napisano w eleganckim, konwencjonalnym stylu, jakiego zwykło się używać w podobnych sytuacjach. Wyczerpawszy możliwości słowa pisanego, udał się do sąsiedniego pokoju, by poprosić o pożyczenie radia. Mieszkająca tam młoda kobieta, studentka, jak się domyślił, opierała się przez jakiś czas naleganiom, ale w końcu uległa. Od wczesnych, przedpołudniowych godzin mógł więc słuchać nadawanych co trzydzieści minut wiadomości, a tymczasem gorąc w jego pokoju robił się coraz większy. Do południa

informacja o śmierci Whiteheada miała charakter wydarzenia dnia, później jednak większość czasu antenowego wypełniły doniesienia z Bejrutu i wiadomość o udanym przechwyceniu narkotyków w Southampton; raport o śmierci Whiteheada spadał na coraz dalsze pozycje, wprawdzie przeniesiony do wydarzeń dnia w skrócie, by po południu zniknąć całkowicie.

Oddał radio, odmawiając wypicia filiżanki kawy z dziewczyną i jej kotem - w wąskim pokoiku zapach resztek kociego jedzenia wisiał w powietrzu jak zapowiedź burzy - i powrócił do swojego lokum, by się i rozmyślać. Jeśli Mamoulian rzeczywiście zamordował Whiteheada - a nie ulegało wątpliwości, że Europejczyk miał kwalifikacje niezbędne do dokonania tego czynu w taki sposób, by najbystrzejszy nawet koroner niczego nie wykrył - to pośrednio Marty ponosił za to odpowiedzialność. Być może, gdyby pozostał w domu, stary żyłby nadal. Mało to prawdopodobne. O wiele bardziej prawdopodobne, że i on by zginął. A jednak nie opuszczało go poczucie winy.

Przez następne parę dni robił niewiele; zamęt wlał ołów w jego trzewia. Myśli nawracały niemal obsesyjnie. W prywatnym kinie pod sklepieniem czaszki Marty wyświetlał sobie filmy, których nagromadził sporo, począwszy od pierwszych ujęć prywatnego życia człowieka posiadającego władzę, po ostatnie wspominki - nazbyt ostre, zbyt szczegółowe - osamotnionego mężczyzny, zamkniętego w klatce z podłogą zasypaną potłuczonym szkłem; wspomnienie psów; ciemności. W większości,

choć nie we wszystkich, pojawiała się twarz Carys, czasem zagadkowa, czasem beztroska - często szczelnie przed nim zamknięta, spoglądająca

spoza opuszczonych rzes, niczym zza prętów klatki, jakby z zazdrością. Późną nocą, gdy w mieszkaniu piętro niżej zasnęło niemowlę i jedynym hałasem był szum pojazdów na High Road, Marty odtwarzał sobie najintymniejsze wspólne chwile z Carys, zbyt cenne, by je bez umiaru wciąż przywoływać - lękał się, że ich ożywcza moc kurczy się z każdym powtórzeniem.

Próbował już o niej zapomnieć - tak byłoby wygodniej. Teraz uczeplił się myśli o tej osamotnionej twarzy. Zastanawiał się, czy ją jeszcze kiedyś ujrzy.

Wszystkie niedzielne gazety przynosiły kolejne doniesienia na temat śmierci Whiteheada. „Sunday Times” poświęcił pierwszą stronę swego „Przeglądu” na krótki szkic o „najbardziej Tajemniczym Milionerze Wysp Brytyjskich” pióra Lawrence'a Dwoskina, „długoletniego współpracownika i powiernika tego angielskiego Howarda Hughesa”. Marty dwukrotnie przeczytał artykuł, nie mogąc pozbyć się przy tym wrażenia, że przesuwając wzrok po wydrukowanych słowach, słyszy przymilny głos Dwoskina.

.. .pod wieloma względami był ideałem - pisał Dwoskin - choć niemal pustelniczy tryb życia, jaki wiódł w ostatnich latach życia, dał - co było nieuniknione - asumpt do powstania wielu plotek i pomówień, w lwiej części krzywdzących dla człowieka o wrażliwości Josepha Whiteheada. Mimo iż przez wszystkie lata swej działalności publicznej stanowił obiekt dociekań prasy, ukazującej go w nie zawsze korzystnym świetle, nigdy nie uodpornił się na krytykę, ukrytą czy jawną. Nam, nielicznym, którzy dobrze go poznaliśmy, ujawnił naturę bardziej wrażliwą na ciosy, niż okazywana na zewnątrz obojętność mogłaby sugerować. Gdy dowiadywał

się o krążących plotkach na temat jego rzekomo złego prowadzenia się lub zbyt kownego trybu życia, pomówienia te raniły go głęboko, zwłaszcza że od śmierci

372

swej ukochanej żony w 1965 roku był niezwykle wymagający w sprawach seksu i moralności.

Marty przeczytał tę obłudną laurkę, czując gorycz w gardle. Kanonizacja starego właśnie się zaczęła. Niebawem przypuszczalnie ukaza się biografie, autoryzowane - następnie wykastrowane - przez spadkobierców i zamienią jego życiorys w cykl pochlebnych bajeczek, zastępujących prawdziwą pamięć o nim. Cały ten proceder przyprawiał Marty'ego o mdłości. Czytając tekst Dwoskina, zdał sobie sprawę, że nieoczekiwanie dla samego siebie gotów jest z zapalem bronić słabostek starego, jakby wszystkim, co czyniło tego człowieka niepowtarzalnym - czyniło go autentycznym - groziło unicestwiające wybielenie.

Przeczytał artykuł Dwoskina aż do samego ckliwego końca i odłożył gazetę. Jedynym szczegółem, wartym zainteresowania, w całym tekście była wzmianka o uroczystościach pogrzebowych, planowanych na jutro w niewielkim kościółku w Minster Lovell. Zwłoki miały zostać spopielone. Choć mogło to być niebezpieczne, Marty poczuł, że musi tam pójść, by oddać zmarłemu ostatnią posługę.

52

Jak się okazało, uroczystości pogrzebowe przyciągnęły tak wielu gapiów,

począwszy od przygodnych obserwatorów, na wytrawnych łowcach skandali kończąc, że obecność Marty'ego nie została zauważona. Smutne wydarzenie otaczała aura nie-rzeczywistości, jak gdyby zostało wymyślone wyłącznie po to, by cały świat dowiedział się, że zmarł wielki człowiek. Oprócz ekipy z Fleet Street obecni byli dziennikarze i fotoreporterzy z całej Europy; a wśród żałobników - najślynniejsze twarze życia publicznego: politycy, zawodowi mędracy, kapitanowie przemysłu, nawet garstka gwiazd filmowych, sławnych głównie z tego, że są sławne. Obecność tylu znakomitości przyciągnęła setki zdeklarowanych podglądaczy. Cały kościół, przylegający doń cmentarz i otaczająca go droga wypełnione były ludźmi. Dla tych stojących na zewnątrz nabożeństwo nadawane było przez głośniki - dziwny, wprowadzający zamęt szczegół. Głos celebrującego mszę księdza brzmiał przez ten system nagłaśniający metalicznie i teatralnie, a jego błogosławieństwo wypunktowane zostało wzmocnionymi akustycznie efektami dźwiękowymi kaszlu i szurania stopami.

Marty'emu nie podobało się, że jest zmuszony w ten sposób słuchać nabożeństwa, jeszcze mniej podobały mu się hordy turystów, ubranych niestosownie na tę okazję, opierających się o nagrobki i zaśmiecających trawnik, oczekujących z ledwo tłumioną niecierpliwością, aż skończy się męcząca przerwa w oglądaniu gwiazd. Whiteheadowi udało się ożywić drzemią-

cą w Martym mizantropie - zagościła teraz na dobre w jego spojrzeniu na świat. Rozglądając się po cmentarzu, patrząc na zarumienioną od upału, tępooką kongregację, czuł, jak wzbiera w nim pogarda. Korciło go, by

zostawić całą tę zbieraninę i oddalić się czym prędzej. Jednak pragnienie ujrzenia, jak rozegrana zostanie scena finałowa, przeważało chęć ucieczki, czekał więc pośrodku tłumu, osy brzęczały wokół lepkich głów dzieci, a jakaś kobieta o fizjonomii patyczaka flirtowała z nim z wysokości nagrobka, na którym stała.

Ktoś czytał teraz lekcję. Aktor, sądząc po nucie samouwielbienia w głosie. Zapowiedziano fragment z Psalmów, ale Marty go nie rozpoznał.

Gdy czytanie dobiegało końca, przed główną bramę zajechał samochód. Wsiadły z niego dwie osoby, głowy wszystkich zwróciły się w tamtą stronę, kliknęły aparaty fotograficzne. Szmer przeszedł przez tłum; ci, którzy wcześniej położyli się na ziemi, powstali teraz, by zobaczyć, ile się da. Coś obudziło Marty'ego z letargu, w jaki popadł, i on także stanął na palcach, by rzucić okiem na spóźnialskich; wejście mieli zaiste znakomite. Marty zerkał pomiędzy głowami tłumu, starając się cokolwiek dojrzeć. Widział nowo przybyłą parę przez moment, potem znów stracił ją z pola widzenia. „Nie” - powiedział cicho sam do siebie, nie wierząc własnym oczom. Zaczął przepychać się przez tłum, by zrównać się z Mamoulianem i zawoalowaną Carys przy jego boku; sunęli ścieżką prowadzącą od furtki do kruchty, a po chwili zniknęli we wnętrzu kościoła.

- Kto to był? - spytał go ktoś z gapiów. - Czy wie pan, kto to był?

Diabeł, chciał odpowiedzieć. *Diabeł we własnej osobie.*

Oto i Mamoulian! W biały dzień, ze słońcem na karku, z Carys pod rękę, jak mąż i żona, pozwala, by robiono im zdjęcia do jutrzejszych gazet. Niczego się nie boi, to jasne. To spóźnione przybycie, tak wykalkulowane, tak ironiczne, było ostatnim gestem pogardy dla zmarłego. Ale dlaczego ona bierze udział w tej grze? Dlaczego nie odrzuci

jego dłoni i nie zdemaskuje go jako istoty nie z tej ziemi? Ponieważ weszła do jego świty

375

dobrowolnie, dokładnie tak jak przedstawił to Whitehead. Czego szukała? Kogoś, kto będzie pielęgnował rys nihilizmu w jej naturze; kto wyedukuje ją w pięknej sztuce umierania? A cóż ona mogła dać w zamian? Ach, to było drażliwe pytanie.

Wreszcie długie nabożeństwo dobiegło końca. Nagle, ku zadowoleniu jednych, a oburzeniu pozostałych, chrapliwy głos saksofonu przełamał nastrój powagi i z głośników ryknęła jazzowa wersja piosenki „Głupcy się garną”. Ostatni, pośmiertny żart Whiteheada. Nagrodzono to śmiechem; byli nawet tacy, co zaczęli klaskać. We wnętrzu kościoła rozległ się łoskot - ludzie wstawali z ławek. Marty wysunął głowę, by lepiej widzieć wrota świątyni, a gdy mu się to nie udało, przecisnął się z powrotem do nagrobka, który okazał się najlepszym punktem obserwacyjnym. W zwiotczących z gorąca koronach drzew kryły się ptaki; ich gonitwy, zlatywanie z gałęzi na gałąź, odwróciły uwagę Marty'ego. Gdy ponownie spojrzął za siebie, trumna z ciałem zmarłego, dźwigana na barkach, między innymi, Ottawaya i Curtsingera - była już na wysokości miejsca, w którym Marty się znajdował. Prosta skrzynia wydawała się nieprzyzwoicie naga. Ciekawe, w co ubrali starego na tę ostatnią drogę; czy przycięli mu brodę i czy zaszyli mu powieki.

Procesja żałobników podążała za niosącymi trumnę - czarny korowód, rozdzielający na pół morze turystów w cukierkowych barwach. Z lewej i prawej błyskały flesze; jakiś cholerny idiota zawołał nawet: „O, ptaszek!”. Nadal grano jazz. Wszystko to było w zadowalającym stopniu absurdalne.

Stary, domyślił się Marty, pewnie się uśmiecha w swojej skrzyni.

W końcu Carys i Mamoulian wyszli z cienia kruchty w jasność popołudnia i Marty był pewien, że zauważył, jak dziewczyna ostrożnie, lękając się, by jej towarzysz tego nie zobaczył, rozgląda się po zgromadzonych. Jasne, że to właśnie jego szukała. Wiedziała, że tu będzie, i próbowała go znaleźć. Jego umysł zaczął galopować, w podnieceniu potykając się i koziołkując. Jeśli da jej jakiś znak, choćby najsubtelniejszy, istnieje wielkie ryzyko, że Mamoulian go spostrzeże, a to z całą pewnością oznaczałoby niebezpieczeństwo dla nich obojga. Lepiej więc

376

skryć głowę, choć bolesne było nie móc wymienić z nią choćby spojrzenia.

Z ociąganiem zszedł z nagrobka, gdy główna część konduktu zrównała się z nim i, kryjąc się pod osłoną tłumy, szpiegował dalej. Europejczyk prawie nie podnosił schylonej w pokłonie głowy, i z tego, co Marty mógł dostrzec pomiędzy podrygującymi głowami gapiów, Carys poniechała poszukiwań - zapewne utraciłszy nadzieję na jego obecność na pogrzebie. Gdy trumna, ciągnąc za sobą wijący się czarny orszak, opuściła teren cmentarza, Marty przesunął się w stronę muru i wystawił zza niego głowę, by z lepszego punktu obserwacyjnego kontrolować rozwój wypadków.

Gdy kondukt znalazł się na drodze, Mamoulian zamienił parę słów z jednym czy dwoma żałobnikami. Uścisnęli sobie dłonie; złożono Carys kondolencje. Marty obserwował niecierpliwie. Może dziewczyna i Europejczyk rozdzielią się w tłumie, a wtedy on zyska szansę, by się

ujawnić, choćby tylko na chwilę, i dodać jej otuchy swoją obecnością. Ale taka okazja się nie pojawiła. Mamoulian okazał się opiekunem doskonałym - nie odstępował Carys ani na moment. Wymieniano uprzejmości i pożegnania, potem para wsiadła do ciemnozielonego rovera i odjechała. Marty pognął do citroena. Nie mógł jej teraz zgubić, cokolwiek miałyby się wydarzyć - to była prawdopodobnie jego ostatnia szansa, by odkryć miejsce jej pobytu. Pościg okazał się trudny. Gdy opuścili wąską wiejską drogę i wjechali na autostradę, rover przyśpieszył z bezczelną łatwością. Marty ścigał go o tyle dyskretnie, o ile pozwalały mu na to dwa jednak silne imperatywy: taktyczna rozważa i podniecenie.

W głowie siedzącej na tylnym siedzeniu samochodu Carys pojawiła się dziwna, migotliwa myśl. Ilekroć zamknęła powieki, mrugając albo przymykając oczy przed oślepiającym słońcem, tylekroć pojawiała się przed nimi postać: biegacz. Rozpoznała go w ciągu kilku sekund: szary dres, chmura pary, wyłaniająca się spod kaptura; znała jego imię, nim zobaczyła twarz. Chciała obejrzeć się za siebie, by sprawdzić, czy przypadkiem nie

377

jedzie gdzieś za nimi, jak można się było domyślać. Ale była rozsądna. Mamoulian - jeśli jeszcze na to nie wpadł - zaraz odgadłby, że coś się dzieje.

Europejczyk spojrział na nią. Tajemnicza, pomyślał. Nigdy tak naprawdę nie wiedział, o czym ta dziewczyna myśli. Pod tym względem wdała się w matkę. Choć z czasem nauczył się czytać z twarzy Josepha, Evangeline rzadko pozwalała sobie na ujawnienie choćby cienia swych prawdziwych

uczuć. Przez kilka miesięcy był pewien, że jego obecność w ich domu jest kobiecie obojętna; dopiero upływ czasu odsłonił jej machinacje przeciwko niemu. Niekiedy podejrzewał o podobne skłonności Carys. Czy przypadkiem nie jest zbyt uległa? Nawet teraz na jej twarzy błąkał się ledwo dostrzegalny ślad uśmiechu.

- Czy to cię rozbawiło? - zapytał. - Co?
- Pogrzeb.
- Nie - odpowiedziała swobodnie. - Oczywiście, że nie.
- Uśmiechałaś się.

Ślad uśmiechu wyparował w tym samym momencie; twarz rozluźniła się.

- Było w tym coś groteskowego - powiedziała matowym głosem. - W obserwowaniu ich wszystkich, jak stroją miny do zdjęć.
- Nie wierzysz w szczerłość ich żalu?
 - Nigdy go nie kochali.
 - A ty?

Wydawała się rozważać to pytanie.

- Czy go kochałam... - powtórzyła, zawieszając te słowa w gorącym powietrzu, jakby chciała zobaczyć, jaką prawdę objawią. - Tak. Sądzę, że tak.

Mamoulian stał się w jej obecności niespokojny. Pragnął mieć większą władzę nad *umysłem* dziewczyny, ale umysł ten opierał się jego najusilniejszym staraniom. Strach przed iluzjami, które potrafił wywoływać, z pewnością wymusił na niej pozory uległości, ale Mamoulian wątpił, by naprawdę zrobił z niej niewolnika. Trwoga dopóty jest skutecznym ościeniem,

dopóki jej ostrze się nie stępi - tu też stosuje się prawo zmniejszających się nawrotów. Przeto za każdym razem zmuszony był wynajdywać nowe, straszniejsze koszmary, a to w poważnym stopniu nadwerężało jego siły.

A teraz, jakby tego wszystkiego nie było dość, zmarł Joseph. Odszedł - jak to określano w mowach pogrzebowych - „spokojnie, we śnie”. Nawet nie „umarł”; to pospolite określenie zostało wymazane ze słownika wszystkich zainteresowanych. Odszedł, opuścił nas, dokonał żywota. Zasnął. Ale nigdy „umarł”. Obłuda i sentymentalizm, jakie towarzyszyły złodziejowi w jego ostatniej drodze, napełniały Europejczyka odrazą. Pozwolił Whiteheadowi odejść. Nie raz, ale dwa razy przegrał, a wszystko przez tę jego troskę o to, by zakończyć grę ze stosowną dbałością o szczegół. A także przez pragnienie, by przekonać złodzieja do dobrowolnego wejścia w nicość. Bawienie się w niuanse przypieczętowało klęskę. Podczas gdy on groził, zonglował wizjami, stary cap po prostu mu się wymknął.

To wszystko nie musiało się tak zakończyć. Miał w końcu możliwości, by pójść za Whiteheadem w śmierć, wyciągnąć go z jej objęć. Gdyby tylko był w stanie dotrzeć do ciała... Ale stary chytrze przewidział i taką możliwość. Zwłok nie pokazano nawet najbliższym kompanom. Zostały zamknięte w bankowym sejfie (jakże na miejscu!) i były strzeżone dzień i noc - ku uciechu pismaków z brukowców, zawsze ukontentowanych takimi przejawami ekscentryzmu. Do wieczora ciało zostanie spopielone, a szanse Mamoulia na wieczne połączenie - bezpowrotnie utracone.

A jednak...

Skąd to uczucie, że gry, w które grali przez te wszystkie lata: w

kuszenie, w objawienie, w odrzucenie, w oczernianie i w potępienie - nie zostały rozegrane do końca? Intuicja, podobnie jak Mamouliańska moc, kurczyła się, ale mimo to był pewien, że coś jest nie tak. Pomyślał o uśmiechu kobiety siedzącej przy jego boku; o tajemnicy wypisanej na jej twarzy.

- Czy on nie żyje? - zapytał znienacka.

Wydawała się zaskoczona tym pytaniem.

379

• Oczywiście, że nie żyje - odparta.

• *Na pewno, Carys?*

• Właśnie byliśmy świadkami jego pogrzebu, na miłość boską.

Poczuła na karku umysł Mamouliański, silną obecność tego człowieka. W minionych tygodniach odgrywali podobną scenę niezliczoną ilość razy - taka próba sił pomiędzy jego i jej wolą - i wiedziała, że przeciwnik jest z dnia na dzień coraz słabszy. Nie dość jednak słaby, by go lekceważyć - nadal potrafił rozsiewać koszmary, jeśli naszła go ochota.

- Powiedz mi, co ci chodzi po głowie... - rzekł - ...bym nie musiał sam dokopywać się do twych myśli.

Jeśli nie odpowie mu na to pytanie, wejdzie w nią przemocą, a wtedy ona z pewnością zobaczy biegacza.

- Proszę - powiedziała z udawanym przestrawieniem - nie rób mi krzywdy.

Jego umysł cofnął się nieznacznie.

- Czy on nie żyje? - zapytał ponownie Mamouliański.

- W noc, kiedy umarł... - zaczęła. Cóż może powiedzieć innego niż prawdę? Kłamstwo na nic się nie zda: Europejczyk wykryje je

natychmiast. - Otóż w noc, kiedy, jak powiedzieli, umarł, nie czułam nic. Żadnych zmian. Inaczej niż po śmierci mamy.

Rzuciła Mamoulianowi zastraszone spojrzenie, by wzmocnić złudzenie uległości.

- Jak to tłumaczysz? - spytał.
- Nie wiem - odparła zgodnie z prawdą.
- Czego się domyślasz?

I znów uczciwa odpowiedź:

- Że wcale nie umarł.

Po raz pierwszy Carys ujrzała uśmiech na twarzy Europejczyka. Och, zaledwie cień domniemania, ale to już było coś. Czuła, jak Mamoulian wycofuje ostrze swego umysłu i oddaje się rozmyślaniom. Nie będzie bardziej na nią naciskał. Zbyt wiele ma planów do obmyślenia.

380

- Cóż, Pielgrzymie - powiedział bezgłośnie, besztając swego niewidzialnego przeciwnika jak ukochane, lecz niegrzeczne dziecko - omal mnie nie wykiwałeś.

Marty zjechał za nimi z autostrady i śledził trasę samochodu przez miasto, aż zatrzymali się przed domem przy Caliban Street. Był wczesny wieczór, gdy zakończył się ten pościg. Marty zaparkował w rozsądnej odległości i obserwował, jak tamci wysiadają z auta. Europejczyk zapłacił kierowcy, następnie zmagął się przez chwilę z zamkami przy frontowych drzwiach, po czym on i Carys zniknęli we wnętrzu domu, którego brudne koronkowe firanki i odłóżająca płatami farba nie były niczym niezwykłym w okolicy, gdzie wszystkie domy wymagały remontu. Na środkowej

kondygnacji zapaliło się światło; ktoś zaciągnął żaluzje.

Jeszcze przez godzinę Marty siedział w samochodzie, obserwując budynek, ale nic się nie wydarzyło. Nie pojawiła się w oknie; nie rzuciła swemu wyczekującemu bohaterowi żadnego listu, owiniętego w papier opieczętowany pocałunkami. Nie, nie oczekiwał takich znaków; były literackimi wymysłami, a to, co się tu działo, działo się naprawdę. Brudne mury, brudne okna, parszywy lęk, gnieźdzący się w lędźwiach.

Nie jadł porządnego posiłku od chwili, gdy dowiedział się o śmierci Whiteheada; teraz, po raz pierwszy od tamtego ranka, poczuł zdrowy głód. Zostawił dom, na którego fasadę powoli wpełzał zmierzch, i udał się na poszukiwanie pożywienia.

53

Luther pakował walizki. Przez te kilka dni od śmierci White-heada żył jak we wnętrzu trąby powietrznej i wirowało mu już od tego w głowie. Gdy się ma tyle pieniędzy w kieszeni, co minutę przychodzą do głowy nowe pomysły, fantazje nagle możliwe do urzeczywistnienia. Na razie zdecydował się pojechać na długie wakacje do domu, na Jamajkę. Wyjechał jako ośmioletni chłopiec, a było to dziewiętnaście lat temu. We wspomnieniach zachował wyidealizowany obraz wyspy i teraz był przygotowany na rozczarowanie; jeśli nawet mu się tam nie spodoba, cóż to szkodzi? Człowiek tak bogaty jak od niedawna on nie musi robić ścisłych planów - może się przemieszczać. Są inne wyspy, inne kontynenty.

Już prawie skończył przygotowania do wyjazdu, gdy jakiś głos zawołał

go z parteru. Głos, którego nie znał.

- Luther? Jesteś tam?

Zbliżył się do szczytu schodów. Kobieta, z którą niegdyś dzielił to małe mieszkanko, odeszła sześć miesięcy temu, zabierając ze sobą ich dzieci. W domu nie powinno być zatem nikogo. Ale niewątpliwie ktoś znajdował się w holu; i to nie jeden, lecz dwóch ludzi. Ten, który na niego zawołał, był wysokim i, chciałoby się rzec, dostojnym mężczyzną; spoglądał teraz w górę, a jego szerokie, gładkie czoło lśniło w świetle lampy na półpiętrze. Lutherowi twarz wydała się znajoma; może z pogrzebu? Za jego plecami, w cieniu, kryła się postać zdecydowanie bardziej masywna.

382

- Chciałbym zamienić z tobą dwa słowa - odezwał się pierwszy.
- Jak tu weszliście? Kim, do cholery, jesteście?
- Tylko dwa słowa. Na temat twojego pracodawcy.
- Jesteście z prasy, co? Posłuchaj, powiedziałem wam wszystko, co wiem. A teraz wyście się z mojego mieszkania, zanim wezwę policję. Nie macie prawa się tu włamywać.

Drugi mężczyzna wyszedł z cienia i spojrzał ku górze. Miał na twarzy makijaż, co widoczne było nawet z tej odległości. Skóra została pokryta pudrem, policzki uróżowane - wyglądał jak kobieta mim. Luther cofnął się o krok od schodów, jego myśli galopowały.

- Nie bój się - uspokoił go pierwszy mężczyzna, a sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że Luther zaczął się bać jeszcze bardziej. Jakież możliwości mogły drzemać za fasadą takiej uprzejmości?

-Jeśli nie wyjdziecie stąd w ciągu dziesięciu sekund... -ostrzegł ich.

- Gdzie jest Joseph? - spytał ten uprzejmy.
- Nie żyje.
- Czy jesteś pewien?
 - Jasne, że tak. Widziałem cię na pogrzebie, prawda? Nie wiem, kim jesteś...
- Nazywam się Mamoulian.
- Więc sam tam byłeś. Widziałeś na własne oczy. On nie żyje.
- Widziałem trumnę.
- Człowieku, on jest martwy - obstawał przy swoim Luther.
 - To ty go znalazłeś, jak rozumiem - rzekł Europejczyk, robiąc kilka bezszelestnych kroków w stronę schodów.
 - Zgadza się. W łóżku - odparł Luther. Może oni rzeczywiście są z prasy? - Znalazłem go w łóżku. Zmarł podczas snu.
 - Zejdź tu do nas, proszę. Podaj nam parę szczegółów, jeśli możesz.
- Dobrze mi tu, gdzie jestem.

Europejczyk przyjrzał się zmarszczonej twarzy szofera; dotknął na próbę jego karku. Było tu jednak za gorąco i za dużo

383

kurzu; nie czuł się na siłach podjąć penetracji. Istniały przecież inne, surowsze metody. Skinął niemal niezauważalnie na Poły-kacza Żyletek, którego obecność znaczył zapach drzewa sandałowego.

- To jest Anthony Breer - przedstawił drugiego mężczyznę. -

W swoim czasie wysyłał na tamten świat dzieci i psy - pamiętasz psy, Luther? - z godną podziwu starannością. Nie boi się śmierci.

Co więcej, cieszy się jej niezwykłą wyrozumiałością.

Twarz kobiety-mima błysnęła u podnóża schodów, oczy wypełniało pożądanie.

- A teraz błagam - rzekł Mamoulian - dla dobra nas obu, powiedz prawdę.

Gardło Luthera było tak suche, że słowa z trudem przez nie przechodziły.

- Stary nie żyje - powtórzył. - To wszystko, co wiem. Gdy bym wiedział więcej, powiedziałbym wam.

Mamoulian przytaknął; na jego twarzy malował się wyraz współczucia, jakby istotnie lękał się tego, co musi niebawem nastąpić.

- Mówisz mi to, w co chcesz, bym wierzył, i czynisz to z takim przekonaniem, że niemal ci wierzę. W zasadzie mógłbym teraz odejść ukontentowany tym, co usłyszałem, i pozostawić cię twoim sprawom. Ale... - westchnął ciężko - ale rzecz w tym, że nie dość ci wierzę.

- Posłuchaj, to jest, kurwa, mój dom! - Luther zdobył się na brawurę, czując, że nadeszła pora na zastosowanie radykalnych środków.

Mężczyzna zwany Breerem rozpiął marynarkę. Nie miał pod spodem koszuli. Tłuszcz na jego piersi przebijały stalowe igły, przesywając sutki na krzyż. Wyszarpnął dwa z tych szpikulców; nie pojawiła się ani kropla krwi. Tak uzbrojony poczłapał ku schodom.

- Nic nie zrobiłem! - zawołał Luther błagalnym głosem.

- Ty tak uważasz.

Połykacz Żyletek zaczął wspinać się po schodach. Jego nie-upudrowana pierś była bezwłosa i żółtawa.

- Zaczekaj!

Słyszając krzyk Luthera, Breer zatrzymał się.

- Tak? - odezwał się Mamoulian.
- Trzymaj go z dala ode mnie!
 - Jeśli masz mi coś do powiedzenia, wyrzuć to z siebie. Jestem więcej niż ciekaw usłyszeć twe słowa.

Luther przytaknął. Na twarzy Breera pojawiło się rozczarowanie. Luther przełknął z trudem ślinę, zanim zaczął mówić. Zapłacono mu niemałą, w jego pojęciu, fortunę za to, że nie zdradzi tego, co właśnie miał wyjawiać, ale Whitehead nie ostrzegł go, że sprawy mogą przybrać taki obrót. Luther spodziewał się co najwyżej gęgania wścibskich reporterów, może jakiejś intratnej propozycji w zamian za opowieść do niedzielnych wydań gazet, ale nie tego: nie ogra o twarzy lalki i niekrwawiących ranach. Są granice milczenia, jakie można kupić za pieniądze, na miłość boską.

- Co masz mi do powiedzenia? - nalegał Mamoulian.
 - On nie umarł - rzekł Luther. No i proszę, nie takie to trudne, prawda? - Wszystko zostało sfingowane. Tylko dwie lub trzy osoby o tym wiedzą. Ja jestem jedną z nich.
- Dlaczego ty?

Luther nie miał pewności w tej kwestii.

- Przypuszczam, że stary mi ufał. - Wzruszył ramionami.

- Ach.

- Poza tym ktoś musiał znaleźć ciało, a ja byłem najbardziej wiarygodnym kandydatem do tej roli. Chciał po prostu zręcznie się wywinąć. Zacząć wszystko od nowa, tam gdzie nikt go nie znajdzie.

- A gdzie to jest?

Luther pokręcił głową.

- Człowieku, nie wiem. Gdziekolwiek. Tam gdzie nikt nie zna jego twarzy, tak myślę. Nigdy mi nie mówił.

- Musiał coś zasugerować.

-Nie.

Małomówność Luthera obudziła nowe nadzieje w Breerze; jego twarz rozpogodziła się.

385

•Pomyśl tylko - przymilał się Mamoulian. - Wyjawiłeś już sedno sprawy; cóż stanie się złego, jeśli powiesz mi resztę?

•Nie ma żadnej reszty.

-I po co narażać się na ból?

- *Człowieku, on nigdy mi tego nie powiedział!*

Breer pokonał jeden stopień schodów; potem jeszcze jeden i jeszcze jeden.

- Musiał wyrazić ci jakieś sugestie - naciskał Mamoulian.

- Myśl! Myśl! Mówiłeś, że ci ufał.

•Nie aż tak! Hej, trzymaj go z dala ode mnie, proszę cię. Błysnęły szpikulce.

•Na rany Chrystusa, trzymaj go z daleka ode mnie!

Bardzo przykre doświadczenie. Po pierwsze, dlatego, że jeden człowiek jest zdolny dopuścić się z uśmiechem na ustach takiego okrucieństwa wobec drugiego człowieka. Po drugie, Luther rzeczywiście nic nie wiedział. Jego dostęp do informacji był, jak sam utrzymywał, ściśle limitowany. Jednak

nim Europejczyk upewnił się co do ignorancji Luthera, nie dało się go już przywrócić między *żywych*. No cóż; *to nie* do końca prawda. Wskreszenie było całkowicie w zasięgu ręki. Ale Mamoulian miał ważniejsze sprawy, na które należało spożytkować zanikające siły; poza tym pozostawienie tego człowieka martwym stanowiło jedyny sposób zrekompensowania mu tych cierpień, których niezasłużenie doświadczył.

- Josephie. Josephie. Josephie - powiedział Mamoulian to nem nagany. A ciemności nadciągały.

X

Nic - i później 54

Zapewniwszy sobie wszystko, czego potrzebował na czas długiego nocnego czuwania pod domem przy Caliban Street - coś do czytania oraz jakieś jedzenie i picie - Marty wrócił w tamto miejsce i przez większą część nocy obserwował budynek, butelkę chivas regal i samochodowe radio mając za całe towarzystwo. Tuż przed świtem opuścił swój punkt obserwacyjny i po pijanemu dojechał jakoś do swojego domu, gdzie spał prawie do południa. Gdy się obudził, głowa wydawała mu się wielka jak balon, i to balon nadmuchany stęchłym powietrzem; ale miał przed sobą zadania wyznaczone na ten dzień. Żadnych snów o Kansas; tylko twarda rzeczywistość domu, w którym uwięziono Carys.

Po śniadaniu złożonym z hamburgerów wrócił na wiadomą ulicę, parkując niezbyt blisko, by nie rzucać się w oczy, i niezbyt daleko, by widzieć, co się dzieje. Spędził w tym miejscu kolejne trzy dni, podczas których temperatura powietrza podniosła się z niemal trzydziestu do ponad

trzydziestu stopni Celsjusza. Czasami udawało mu się złapać kilka minut odrętwiałego snu w samochodzie; częściej wracał do Kilburn, by przespać się godzinkę lub dwie. Poznał palenisko ulicy we wszystkich jego postaciach. Widział je tuż przed świtem, jak drżąc, wyłania się z niebytu. Widział w pełni poranka, gdy młode, zagonione matki wychodziły ze swymi dziećmi; widział w jaskrawe popołudnia i widział w wieczory, gdy słodkoróżowe słońce, nim skryło się za horyzontem, radowało czerwonym blaskiem cegły i dachów-

387

ki. Powoli odsłaniało się przed Martym prywatne i publiczne życie mieszkańców Caliban Street. Zaburzone neurologicznie dziecko spod numeru sześćdziesiątego siódmego, którego skrywaną przywarą był gniew. Kobieta spod numeru osiemdziesiąt jeden, przyjmująca w domu mężczyznę, codziennie o dwunastej czterdzieści pięć; swego męża - policjanta, sądząc po koszuli i krawacie - witała każdego wieczoru w progu domu z żarliwością wprost proporcjonalną do czasu spędzonego z kochankiem w porze lunchu. I wiele więcej, dziesiątki historii splatających się ze sobą lub od siebie niezależnych.

Co do samego domu, Marty sporadycznie dostrzegał w nim jakiś ruch, ale ani razu nie zauważył Carys. Żaluzje w środkowym oknie były przez cały dzień zaciągnięte i podnoszone tylko późnym popołudniem, kiedy słońce już tak nie doskwierało. Pojedyncze okno na najwyższym piętrze wyglądało na stale zasłonięte od środka.

Marty doszedł do wniosku, że oprócz Carys w domu znajdują się jeszcze tylko dwie osoby. Jedną był, rzecz jasna, Europejczyk, drugą zaś ten rzeźnik, na którego omal się nie natknęli wtedy w Sanktuarium -

zabójca psów. Wychodził z domu raz, czasem dwa razy dziennie, zwykle w jakiejś codziennej sprawie. Niesmaczny był to widok, gdy tak kuśtykał, z tymi swoimi podkreślonymi makijażem rysami twarzy i spojrzeniami rzucanymi ukradkiem na bawiące się opodal dzieci.

Przez te trzy dni Mamoulian nie opuszczał domu; przynajmniej Marty nie zauważył, by wychodził. To prawdopodobnie on pojawiał się przelotnie w oknie na parterze, wyglądając na zalaną słońcem ulicę, a i to nieczęsto. Dopóki był w domu, Marty nie zaryzykowałby przeprowadzenia odsieczy. Żadne zasoby odwagi - a Marty nie miał ich w nieograniczonych ilościach - nie uzbroiłyby go przeciw mocom, jakimi władał Europejczyk. Nie; musi siedzieć i czekać, aż bezpieczniejsza okazja sama się nadarzy.

Piątego dnia obserwacji, przy wzmagającym się upale, szczęście uśmiechnęło się do Marty'ego. Około ósmej pięćdziesiąt wieczorem, gdy zmierzch zalewał ulicę, przed dom zajechała

388

taksówka i wsiadł do niej Mamoulian, ubrany jak do kasyna. Mniej więcej godzinę później w drzwiach pojawił się drugi mężczyzna: jego twarz wyglądała jak plama w gęstniejącym mroku nocy, ale i tak widać było czający się na niej jakiś nieokreślony głód. Marty obserwował, jak tamten zamyka drzwi na klucz, następnie rozgląda się w prawo i w lewo i dopiero rusza w drogę. Począł, aż powłócząca nogami sylwetka zniknie za rogiem Caliban Street, i dopiero wtedy wysiadł z auta. Nie chcąc ryzykować najmniejszego błędu przy tej pierwszej i prawdopodobnie jedynej szansie na odsiecz, zbliżył się do rogu ulicy, by sprawdzić, czy rzeźnik nie wybrał się przypadkiem tylko na krótką późnowieczorną

przechadzkę. Ale bezbłędnie rozpoznawalne cielsko tamtego, trzymając się cienia, zmierzało w stronę miasta. Dopiero gdy całkiem zniknęło mu z oczu, Marty wrócił przed dom.

Wszystkie okna były zamknięte od środka, zarówno te od frontu, jak i te na tyłach. Wewnątrz nie było widać żadnych świateł. Być może - dręczyła go wątpliwość - nie ma jej nawet w domu; może wyszła, gdy uciął sobie drzemkę w aucie. Modlił się, by to była nieprawda. I modląc się, sforsował tylne drzwi za pomocą krótkiego łomu, który kupił razem z latarką w tym właśnie celu. Łom i latarka: podręczny zestaw każdego szanującego się włamywacza.

Wewnątrz panowała sterylna atmosfera. Poszukiwania zaczął na parterze, sprawdzając pokój za pokojem, starając się robić to tak systematycznie, jak tylko się dało. Nie było miejsca na nieprofesjonalne działania - żadnych nawoływań, żadnej bieganiny; jedynie ostrożne, skuteczne przeszukiwanie budynku. Wszystkie pokoje stały puste - nie było w nich ludzi, nie było też mebli. Kilka drobiazgów porzuconych przez poprzednich lokatorów pogłębiało tylko, zamiast zmniejszać, wrażenie pustki. Wspiął się po schodach na piętro.

Tam odnalazł pokój Breera. Cuchnęło w nim niezdrową mieszanką perfum i gnijącego mięsa. W kącie stał włączony czarno-biały telewizor z dużym ekranem; głos ściszonego do świszczącego szeptu - właśnie szedł jakiś teleturniej. Prowadzący

wył bezgłośnie w udawanej rozpaczce po porażce uczestnika. Migoczące, metaliczne światło ekranu padało na nieliczne sprzęty, znajdujące się w pokoju: łóżko z nagim materacem i kilkoma poplamionymi poduszkami;

lustro oparte o krzesło, którego siedzenie zastawione było kosmetykami i buteleczkami z wodą toaletową. Na ścianach wisiały fotografie wyrwane z książek o okropnościach wojny. Marty ledwie rzucił na nie okiem, ale to wystarczyło, by dostrzec szczegóły - przerażające nawet w panującym tu półmroku. Zamknął drzwi, zostawiając za nimi całe to plugastwo, i zajrzał za następne. To była toaleta. Obok niej mieściła się łazienka. Ostatnie, czwarte drzwi kryły się za załomem korytarza. Zamknięto je na klucz. Nacisnął klamkę raz, potem drugi, szarpał nią w górę i w dół, następnie przyłożył ucho do drewna, spodziewając się, że usłyszy z wewnątrz jakieś wskazówki.

- Carys?

Brak odpowiedzi; żadnego dźwięku, który potwierdziłby jej obecność w pokoju.

- Carys? To ja, Marty. Słyszysz mnie? - Zagrzechotał klamką jeszcze raz, gwałtowniej. - To ja, Marty.

Ogarnęło go zniecierpliwienie. Była tam, za tymi drzwiami - nagle opanowało go niezachwiane przekonanie o tym, że ona tam jest. Kopnął w drzwi, bardziej z frustracji niż z jakiegoś konkretnego powodu. Następnie uniósł piętę na wysokość zamka i uderzył z całej siły. Od ciosu powstały pierwsze pęknięcia w drewnie. Jeszcze kilka uderzeń i zamek został wyłamany. Marty naparł barkiem na drzwi, by dokończyć dzieła.

W pokoju czuć było jej zapach, ciepło jej ciała. Jednak poza tym zapachem i ciepłem pomieszczenie było właściwie puste. Tylko wiadro w kącie i kilka pustych talerzy; trochę książek, koc, mały stolik, a na nim jej sprzęt: igły, strzykawka, spo-deczki, zapalki.

Leżała z podkurczonymi nogami w rogu pokoju. W innym kącie stała

lampa ze słabą żarówką, a jej klosz przesłonięto częściowo kawałkiem tkaniny, by światło było jeszcze słabsze. Carys miała na sobie tylko majtki i podkoszulek z krótkim ręk-

390

kawern. Inne części garderoby leżały porozrzucane dookoła w nieładzie. Gdy podniosła na niego wzrok, zobaczył posklejane od potu włosy na jej czole.

- Carys.

W pierwszej chwili zdawała się go nie rozpoznawać. -To ja. Marty.

Niewielka pionowa zmarszczka pojawiła się na czole błyszczącym od potu.

- Marty? - powtórzyła niepewnie. Zmarszczka pogłębiła się; nawet nie był pewien, czy ona go widzi; miała rozgonione oczy. - Marty - powtórzyła i tym razem imię wywołało w jej pamięci jakieś skojarzenia.

-Tak, to ja.

Podszedł do niej, a ona zdawała się zszokowana szybkością, z jaką się do niej zbliżył. Otworzyła szeroko oczy, rozpoznanie napłynęło w nie falą - wraz z towarzyszącym mu strachem. Uniosła się nieco, koszulka lepiała się do jej spoconego ciała. W zgięciu ramienia widać było ukłucia i sińce.

- Nie zbliżaj się do mnie.
- Co się dzieje?
- *Nie zbliżaj się!*

Jej rozkaz był tak gwałtowny, że Marty cofnął się o krok. Co oni, do cholery, jej zrobili?

Usiadła i schowała głowę między nogi, wspierając łokcie na kolanach.

- Zaczekaj... - powiedziała szeptem.

Oddychała teraz bardzo regularnie. Marty zastygł w oczekiwaniu i wtedy po raz pierwszy uświadomił sobie, że w pokoju słychać buczenie. Może nie tylko w pokoju: ten szum -jak gdyby pracujący gdzieś w budynku generator prądu pomrukiwał sam do siebie - mógł wisieć w powietrzu już wcześniej. Jeśli tak było istotnie, Marty po prostu nie zwrócił na niego uwagi. Teraz hałas zaczynał go drażnić, gdy stał, czekając, aż Carys skończy rytuał, jaki zdawała się właśnie odprawiać. Dźwięk był przenikliwy, lecz cichy, i po chwili wsłuchiwania się nie mógł już mieć pewności, czy to nie jest wyłącznie szum w uchu.

391

Marty z trudem przełknął ślinę, usłyszał jakby trzaśnięcie w zatokach. Nadal słychać było monotony dźwięk. Wreszcie Carys podniosła wzrok.

- W porządku - powiedziała. - Nie ma go tu.
- Wiem. Wyszedł dwie godziny temu. Widziałem, jak wychodził.
- On nie musi tu być fizycznie - odrzekła, rozcierając dłonią kark.
- Dobrze się czujesz?
- Nic mi nie jest. - Z tonu jej głosu można by wnosić, że ostatnio widzieli się nie dalej niż wczoraj.

Poczuł się głupio, jakby jego przybycie z odsieczą, a teraz pragnienie, by zabrać ją stąd i uciekać, było czymś niepotrzebnym, a nawet niestosownym.

- Musimy iść - odezwał się do niej. - Oni mogą zaraz wrócić. Potrząsnęła głową.
- To nie ma sensu - powiedziała.

- Jak to: nie ma sensu?
- Gdybyś widział, co on jest w stanie zrobić!
- Widziałem, uwierz mi.

Pomyślał o Belli, biednej, martwej Belli, ze szczeniakami ssącymi gnijącą materię jej ciała. Widział dość, widział aż zanadto.

- Uciekanie na nic się nie zda - trwała przy swoim. - On ma dostęp do mojej głowy. Może czytać we mnie jak w książce.

- Przesadziła trochę. Był coraz mniej zdolny ją kontrolować.

Lecz ona czuła się zmęczona walką prawie tak jak Europejczyk. Zastanawiała się czasami, czy przypadkiem nie wpoił jej swego znużenia światem; czy jakiś ślad jego bytności w jej korze mózgowej nie skaził wszystkich otwierających się przed nią możliwości wiedzą o ich nieuchronnym unicestwieniu. Uświadomiła sobie to teraz, wraz z widokiem Marty'ego, którego twarz jej się śniła, którego ciała pożądała. Zrozumiała, że on się zestarzeje, zwiędnie i umrze, tak jak wszystko wędnie i umiera. Po co w ogóle się podnosić, pytała choroba tkwiąca

392

w jej organizmie, skoro i tak prędzej czy później znów trzeba będzie upaść?

- Nie potrafisz go powstrzymać? - spytał Marty.
- Jestem zbyt słaba, by stawić mu opór. Przy tobie będę jeszcze słabsza.
- Dlaczego? - Jej słowa przeraziły go.
- Gdy tylko się rozluźnię, on wejdzie we mnie. Rozumiesz? W chwili gdy się czemuś oddam, komuś oddam, on będzie mógł się włamać.

Marty przypomniał sobie Carys z głową spoczywającą na poduszce i tę inną twarz, którą przez jedną obłąkańczą chwilę wydawało mu się, że widzi pomiędzy jej palcami. To obserwował Ostatni Europejczyk, nawet wtedy, dzieląc ich przeżycia. *Menage a trois*: mężczyzna, kobieta i nawiedzający ją duch. Wulgarny charakter tego zdarzenia poruszył głębsze struny jego gniewu - odczuwał nie tylko powierzchowne oburzenie prawego człowieka, ale głęboką potrzebę odrzucenia Europejczyka, z całą jego dekadencją naturą. Bez względu na konsekwencje nic go nie przekona, by zostawił Carys na pastwę Mamoulia. Jeśli zajdzie potrzeba, zabierze ją stąd wbrew jej woli. Gdy dziewczyna wydostanie się z tego buczonego domu, gdzie rozpacz zdiera tapety ze ścian, przypomni sobie, jak dobre może być życie; on, Marty, już się o to postara. Podszedł do niej bliżej i przykucnął, by jej dotknąć. Wzdrygnęła się.

- Jest zajęty... - próbował ją uspokoić. - W kasynie.
- Zabije cię - oznajmiła bez ogródek - jeśli odkryje, że tu byłeś.
- Zabije mnie tak czy owak. Przeszkodziłem mu. Widziałem jego kryjówkę i zamierzam, nim pójdziemy, narobić tu takich szkód, żeby mnie popamiętał.
- Rób, co chcesz. - Wzruszyła ramionami. - To twoja sprawa. Ale mnie zostaw w spokoju.
- Więc Papa mówił prawdę - skonstatował Marty z goryczą.
- Papa? Co ci powiedział?

393

- Że cały czas chciałaś być z Mamoulia. - Nie.
- Chcesz być taka jak on! - Nie, Marty, nie!

- Domyślam się, że dostarcza towar najwyższej klasy, he?

A ja-nie.

Nie próbowała zaprzeczać, sposepniała jedynie.

- Co ja tu, kurwa, robię? - zdenerwował się Marty. - Jesteś szczęśliwa, prawda? Chryste, przecież ty jesteś szczęśliwa.

Aż śmieszne wydawało się teraz, jak bardzo się mylił, decydując się przybyć tu z odsieczą. Dobrze jej tu było, w tej norze, dopóki dostawała towar. Cała ta gadka o szaleństwie Mamoulia to zwyczajne mydlenie oczu. W głębi serca Carys gotowa była przebaczyć mu każdą popełnioną zbrodnię, jeśli tylko zaopatrywał ją w herę.

Wyprostował się.

- Gdzie jest jego pokój?
- Nie rób tego, Marty.
- Chcę zobaczyć, gdzie sypia. Gdzie to jest?

Wstała, wspierając się na jego ramieniu. Jej dłonie były gorące i wilgotne.

- Proszę cię, idź stąd, Marty. To nie zabawa. To nie tak, że wszystko zostanie nam wybaczone, kiedy to się skończy, wiesz o tym? To się nie kończy nawet ze śmiercią. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?
- O tak - odpowiedział. - Rozumiem. - Dotknął wnętrzem dłoni jej twarzy. Miała kwaśny oddech. Marty też, jak się sam domyślał, tyle że od whisky.
- Nie jestem już niczego nieświadomym niewiniątkiem. Wiem, co się dzieje. Nie wszystko wiem, ale wystarczająco dużo. Widziałem rzeczy, których wolałbym już nigdy więcej nie oglądać; słyszałem historie... Chryste, ja to rozumiem. - Jak do niej przemówić, by mu uwierzyła? -

Sram ze strachu. Nie bałem się tak w całym moim życiu.

- Masz powody - skomentowała chłodno.
- Nie obchodzi cię, co się z tobą stanie?

394

- Nie za bardzo.
 - Znajdę ci narkotyki - powiedział. - Jeśli tylko to cię tu trzyma, zdobędę je dla ciebie.

Czyżby cień wątpliwości pojawił się na jej twarzy? Marty brnął dalej:

- Widziałem cię na pogrzebie.
 - Byłeś tam?
 - Dlaczego mnie szukałaś, skoro nie chciałaś, bym się zjawił?
- Wzruszyła ramionami.
- Nie wiem. Myślałam, że może odszedłeś z Papą.
 - Że jestem martwy, to chciałaś powiedzieć? Zmarszczyła brwi.
 - Nie. Że wyjechałeś. Tam gdzie on.

Upłynęła spora chwila, nim Marty uchwycił sens tych słów. W końcu odezwał się:

- Chcesz przez to powiedzieć, że on nie umarł?

Pokiwała głową.

- Myślałam, że wiesz. Sądziłam, że byłeś zaangażowany w jego zniknięcie.

Oczywiście, że stary drań nie umarł. Wielcy ludzie, tacy jak on, nie kładą się po prostu i nie umierają za kulisami. Przeczekują cierpliwie środkowe akty - czczeni, oplakiwani i oczerniani - by pojawić się i odegrać finałową scenę. Taką czy inną: scenę śmierci; scenę małżeństwa.

- Gdzie on jest? - spytał Marty.
 - Nie wiem i nie wie też Mamoulian. Próbował mnie zmusić, bym go odnalazła, w taki sam sposób, jak znalazłam Toya, ale nie dam rady tego zrobić. Straciłam ostrość widzenia. Raz próbowałam znaleźć ciebie. Na próżno. Ledwo udało mi się wyjść myślą poza frontowe drzwi.
- Ale Toya udało ci się znaleźć?
 - To było na początku. Teraz... jestem wypompowana. Mówiłam mu, że to boli. Jakby coś miało pęknąć w środku. - Ból, ten przywołany w pamięci i ten rzeczywisty, odmalował się na jej twarzy.
- I nadal chcesz zostać?

395

- To wszystko wkrótce się skończy. Dla nas wszystkich.
 - Chodź ze mną. Mam przyjaciół, którzy mogą nam pomóc - nalegał, trzymając ją za przegub. -Na miły Bóg, nie widzisz, że cię potrzebuję?
Proszę cię. Jesteś mi potrzebna.
- To nie *ma sensu*. Jestem słaba.
- Ja też. Też jestem słaby. Pasujemy do siebie.
Ta myśl, z całym swoim ładunkiem cynizmu, spodobała się jej.
Zastanowiła się przez chwilę, nim powiedziała bardzo cicho:
- Może to prawda.
Na jej twarzy niezdecydowanie mieszało się z narkotycznym zamroczeniem i zwątpieniem.
- Ubiorę się - oznajmiła w końcu.
Przytulił ją mocno, wdychając nieświeży zapach jej włosów, wiedząc, że

to pierwsze zwycięstwo może okazać się jego jedynym triumfem, a mimo to ciesząc się z niego. Delikatnie oswobodziła się z objęć Marty'ego i zajęła się przygotowaniami do wyjścia. Przyglądał się, jak wkłada spodnie, ale jej skrępowanie kazało mu zostawić ją samą. Wszedł na korytarz. Z dala od jej obecności buczenie znów wypełniło mu uszy. Zapalił latarkę i zaczął wchodzić na najwyższe piętro, gdzie był pokój Mamouliana. Z każdym pokonanym stopniem, zawodzenie wydawało mu się głośniejsze. Rozbrzmiewało w deskach schodów i w ścianach -jakby dom był żywą istotą.

U szczytu schodów zobaczył tylko jedne drzwi; mieszczący się za nimi pokój niewątpliwie zajmował całą powierzchnię najwyższego piętra. Mamoulian, urodzony arystokrata, wybrał dla siebie najlepsze pomieszczenie. Drzwi były otwarte. Europejczyk nie obawiał się intruzów. Gdy Marty pchnął je, rozwarły się na kilka cali, ale niepewne światło jego latarki rozświetlało ciemność za drzwiami nie dalej niż na wyciągnięcie ręki. Stał w progu jak dziecko wahające się przed przejeżdżką kolejką przez gabinet strachów w wesołym miasteczku.

Niebezpośrednie powiązania Marty'ego z Mamoulianem wzbudziły w nim silną ciekawość tego człowieka. Tkwiło w nim zło, to nie ulegało wątpliwości: być może przerażające pokłady przemocy. Skoro twarz Mamouliana pojawiła się pod twarzą Carys,

to i pod jego twarzą mogło istnieć jakieś inne oblicze. Może nawet więcej niż jedno. Pół setki twarzy, każda kolejna dziwniejsza od poprzedniej, a cały ten ciąg cofający się w przeszłość do niepamiętnych czasów. Marty musiał na to przynajmniej rzucić okiem. Jedno spojrzenie, by było co

wspominać. Zebrawszy się na odwagę, wkroczył w żyjącą ciemność pokoju.

- Marty!

Coś zamigotało mu przed oczyma, czar prysł jak bańka mydlana, w chwili gdy Carys zawołała go z dołu.

- Marty! Jestem gotowa. - Buczenie w pokoju zdawało się narastać, gdy do niego wszedł. Teraz, gdy się wycofywał, osłabło do jęku rozczarowania. *Nie idź*, zdawało się szeptać. *Dlaczego odchodzisz? Ona może poczekać. Niech poczeka. Zostań tu przez chwilę i zobacz, co jest do obejrzenia.*

- Nie ma czasu - dodała Carys.

Nieomal zagniewany, że go przywołała, Marty zamknął drzwi na tamten głos i zszedł na dół.

- Nie czuję się dobrze - odezwała się, gdy dołączył do niej na niższym piętrze.

- Czy to z jego winy? Próbuje się do ciebie dostać?

- Nie. Po prostu kręci mi się w głowie. Nie zdawałam sobie sprawy, że tak osłabłam.

- Na zewnątrz mam samochód - wyjaśnił, podając jej ramię, ale nie skorzystała z pomocy.

- W pokoju jest pakunek z moimi rzeczami - powiedziała.

Wrócił, by zabrać rzeczy Carys, i właśnie podnosił pakunek z podłogi, gdy usłyszał, jak na korytarzu dziewczyna wydaje cichy jęk skargi i potyka się na schodach.

- Wszystko w porządku?

- Tak - odparła.

Gdy pojawił się na schodach obok niej, z jej rzeczami zapakowanymi w poszewkę, zwróciła ku niemu poszarzałą twarz.

- Dom chce, bym została - szepnęła.

- Musimy zachować spokój - powiedział Marty i zaczął schodzić przed nią, na wypadek gdyby znów się potknęła. Dotarli do holu na parterze bez dalszych przeszkód.

397

- Nie możemy wyjść przez drzwi frontowe - ostrzegła Carys. - Są zamknięte od zewnątrz na dwa zamki.

Gdy przechodzili przez hol, usłyszeli charakterystyczny odgłos otwierania tylnych drzwi.

- Cholera - zaklął Marty pod nosem. Puścił ramię Carys i pod osłoną ciemności pomknął z powrotem do drzwi frontowych, by spróbować je otworzyć. Tak jak mówiła Carys, zamknięto je na podwójny zamek. Panika narastała w Martym, ale w tym zamieszaniu jakiś spokojny głos, który był - Marty wiedział to - głosem tamtego pokoju na górze, mówił: *Nie ma potrzeby się niepokoić. Uspokój się. Bądź bezpieczny we mnie. Schowaj się we mnie.* Oddalił tę pokusę. Przed sobą ujrzał twarz Carys, zwróconą w jego stronę.

- To Breer - wyszeptała.

Zabójca psów był w kuchni. Marty słyszał go, czuł jego zapach. Carys dotknęła rękawa Marty'ego i wskazała na zamknięte na zasuwkę drzwi pod schodami. Piwnica, domyślił się. Z twarzą bielejącą w półmroku Carys uczyniła dłonią wyraźny ruch ku dołowi. Przytaknął.

Zajęty czymś Breer śpiewał. To było dziwne uczucie, pomyśleć o tym ociężałym rzeźniku, że jest szczęśliwy; dość zadowolony ze swego losu,

by sobie podśpiewywać.

Carys odsunęła zasuwę i otworzyła drzwi do piwnicy. Od wejścia prowadziły w dół słabo oświetlone padającym z kuchni światłem schody. Czuć było woń środka dezynfekującego i trocin - zdrowe zapachy. Schodzili powoli, kuląc się przy każdym szurnięciu podeszwą buta, przy każdym trzeszczącym stopniu. Ale Połykacz Żyletek był zbyt zajęty, by to usłyszeć - tak się przynajmniej wydawało. Nie było w każdym razie okrzyków pogoni. Marty zamknął za sobą drzwi piwnicy i nasłuchiwał, rozpaczliwie trzymając się nadziei, że Breer nie zauważy odciągniętej zasuwki.

Po jakimś czasie z góry doleciał szum lejącej się wody, brzęk filiżanek, może jeszcze dzbanka na herbatę. Potwór parzył sobie rumianek.

Zmysły Breera nie były już tak wyostrzone jak niegdyś. Letni skwar czynił go apatycznym i słabym. Jego skóra śmierdzia-

398

ła, wypadały mu włosy, a kiszki nie wykonywały prawie żadnych ruchów. Zdecydował, że potrzebne mu wakacje. Gdy tylko Europejczyk odnajdzie Whiteheada i go zlikwiduje - a to z całą pewnością kwestia kilku dni - wówczas on, Breer, pojedzie zobaczyć Aurora Borealis - północną zorzę poranną. To będzie oznaczało opuszczenie gościa - czuł jej bliskość, zaledwie kilka stóp od siebie - ale do tego czasu ona i tak utraci swój powab. Był teraz bardziej kapryśny niż dawniej, a piękno przemijało tak szybko. W ciągu dwóch tygodni, a przy chłodniejszej pogodzie trzech, po wdziękach nie zostawało ani śladu.

Usiadł przy stole i nalał sobie do filiżanki rumianku. Ten zapach, który niegdyś sprawiał mu wielką radość, teraz był zbyt subtelny dla jego

zaczopowanych zatok, ale on, wierny tradycji, pijał ziółko nadal. Później pójdzie do swojego pokoju i obejrzy telenowełe, które tak uwielbia; może zajrzy do Carys i popatrzy na nią, gdy śpi; namówi ją, by oddała przy nim mocz, kiedy się zbudzi. Zagubiony w tych marzeniach o przyuczaniu dziewczyny do korzystania z nocnika, siedział i sączył rumianek.

Marty miał nadzieję, że Breer pójdzie ze swoją herbatką do pokoju i otworzy się droga do tylnych drzwi, ale tamten najwyraźniej zamierzał posiedzieć jeszcze chwilę w kuchni.

W ciemności Marty wyciągnął rękę ku Carys. Stała na stopniach za jego plecami, drząc cała, podobnie jak on. Głupio zrobił, zostawiając swój łom, jedyną broń, gdzieś w mieszkaniu; prawdopodobnie w pokoju Carys. Jeśli dojdzie do konfrontacji twarzą w twarz, będzie bezbronny. Co gorsza, czas płynął. Jak długo Mamoulian będzie poza domem? Serce zamarło mu na samą myśl o tym. Ostrożnie zszedł ze schodów, dotykając dłońmi zimnych cegieł ściany, minął Carys i wszedł do właściwego pomieszczenia piwnicy. Może znajdzie tu jakąś broń dla siebie? Może nawet - o nadziejo! - jeszcze jedno wyjście z budynku. Było tu jednak bardzo mało światła. Nie dostrzegał żadnej szczeliny, która mogłaby wskazywać na klapę włazu lub otwór do wrzucania węgla. Upewniwszy się, że nie znajduje się w linii prostej z drzwiami piwnicy, zapalił latarkę. Wnętrze było całkiem puste. Pośrodku rozpięto kawał brezentu,

399

dzieląc pomieszczenie na dwie części tym prowizorycznym przepierzeniem.

Podniósł rękę, by dotknąć niskiego stropu, i szedł powoli przez piwnicę, stawiając jeden ostrożny krok za drugim. Przytrzymał się rur na suficie

dla równowagi. Odsunął na bok brezent i skierował snop światła latarki w przestrzeń poza zasłoną. Żołądek podskoczył mu do gardła. Marty omal nie krzyknął; zdusił krzyk ułamek sekundy wcześniej, nim wydobył się z jego płuc.

Jakiś jard od niego, może dwa, stał stół. Przy stole siedziała mała dziewczynka. Patrzyła wprost na niego.

Przyłożył palec do ust, chcąc dać jej znak, by milczała, by nie zaczęła krzyczeć. Ale niepotrzebnie. Nie poruszyła się ani nie przemówiła. Jej szkliste spojrzenie nie było przejawem upośledzenia. Dziecko było martwe, teraz to pojął. Ciało pokrywał kurz.

- Chryste - powiedział bardzo cicho.

Carys usłyszała go. Odwróciła się i zeszła ze schodów.

•Marty? - szepnęła.

•Nie zbliżaj się - ostrzegł, nie mogąc oderwać oczu od martwej dziewczynki. Nie tylko widok zwłok przyciągał spojrzenie. Na stole przed nią leżały sztucce i talerz, a na jej udach starannie rozpostarto serwetkę. Na talerzu zauważył mięso, pokrajane na cieniutkie plasterki wprawna ręką jakiegoś doświadczonego rzeźnika. Marty przeszedł obok zwłok, próbując wymknąć się spod ich spojrzenia. Gdy mijał stół, niechcący zaczepił o śliską serwetkę. Zsunęła się między nogi dziewczynki.

Dwie grozy, jak dwa brutalne bliźnięta, przyszły jedna po drugiej. Serwetka, spadając, odkryła wewnętrzną stronę uda dziewczynki, z którego wykrojono mięso leżące teraz na talerzu. I natychmiast nastąpiło drugie uświadomienie: że on sam jadł to mięso, za zachętą Whiteheada, w białym pokoju w Sanktuarium. Było najprzedniejszym rarytasem; Marty

opróżnił wówczas talerz do czysta.

Opanowały go nudności. Próbując zahamować torsje, upuścił latarkę, ale utrzymanie odruchu wymiotnego pod kontrolą okazało się fizyczną niemożliwością. Cierpka woń kwasu żołąd-

400

kowego wypełniła wnętrze piwnicy. Nagle okazało się, że nie ma ucieczki, nie ma żadnego innego ratunku przed tym szaleństwem, niż tylko wyrzucić z siebie to wszystko bez względu na konsekwencje.

Nad nim Połykacz Żyłek wstał od swojej herbatki, odepchnął krzesło i wyszedł z kuchni.

- Kto tam? - zabrzmiał jego gruby głos. - Kto tam jest na dole?

Skierował się bezbłędnie ku drzwiom piwnicy i pociągnął je ku sobie. Martwe, fluorescencyjne światło zalało schody.

- Kto tam jest? - zapytał ponownie i ruszył schodami w dół, jego stopy zadudniły na drewnianych stopniach. - *Co ty tam robisz?* - wrzeszczał, a jego głos osiągnął histerycznie wysoką nutę. - *Nie wolno ci tam schodzić!*

Marty podniósł wzrok; oszołomiony brakiem oddechu, ujrzał Carys idącą ku niemu. Jej oczy spoczęły na kompozycji wokół stołu, ale pozostała zadziwiająco opanowana. Ignorując ciało, sięgnęła po nóż i widelec, leżące obok talerza. Chwyliła je, ale w pośpiechu zawadziła o obrus. Talerz wraz z upstrzoną przez muchy zawartością potoczył się na podłogę; obok niego rozsypały się sztuce.

Breer zatrzymał się na moment u podnóża schodów, chłonał w siebie widok sprofanowanej świątyni. Zbulwersowany pognał w stronę

niewiernych, masa jego ciała użyczyła temu atakowi przerażającego impetu. Carys, wyglądająca przy nim jak karlica, wykonała półobrót, gdy napastnik z rykiem spróbował ją pochwycić. Przesłonił ją swym cielskiem i Marty nie mógł się zorientować, kto gdzie się znajduje. Ale to zamieszanie trwało tylko kilka sekund. Bo oto Breer uniósł swe poszarzałe dłonie, jakby chcąc odepchnąć Carys, a jego głowa kiwała się w przód i w tył. Wydał z siebie skowyt, bardziej skargi niż bólu.

Carys zrobiła kilka uników przed wymachami jego ramion i czmychnęła w bok, poza zasięg ciosów. Nie miała już w dłoniach noża ni widelca. Breer nadział się wprost na nie. Nie wydawał się świadom, że wbiły mu się w brzuch. Jego uwaga skoncentrowała się na dziewczynce, której ciało właśnie prze-

401

wróciło się i runęło bezwładnie na podłogę piwnicy. Popędził jej na ratunek, zapominając w swej udręce o świętokradcach. Carys spostrzegła Marty'ego - jego twarz wyglądała jak naoliwiona; by utrzymać się w wyprostowanej pozycji, zawisł na biegnących pod sufitem rurach.

- *Rusz się!* - krzyknęła do niego. Poczekała, by się upewnić, że zareagował, po czym ruszyła ku schodom. Jej stopy załomotały na stopniach, gdy pobiegła w górę ku światłu; usłyszała za sobą głos Połykacza Żyletek, wrzeszczącego:

-Nie! Nie!

Obejrzała się. Marty dotarł do najniższych stopni akurat w chwili, gdy dłonie Breera - wymanikiurowane, wyperfu-mowane zabójcze dłonie - go pochwyciły. Uderzył sierpowym na odlew do tyłu i Breer zwolnił uścisk. Ale był to zaledwie moment łaski, nic więcej. Marty zdążył dobiec

zaledwie do połowy wysokości schodów, a napastnik znów deptał mu po piętach. Jego twarz pokryta rozmazanym różem spoglądała z głębi piwnicy, tak wykrzywiona przez wściekłość, że aż nieludzka.

Tym razem Breerowi udało się chwycić Marty'ego za spodnie i zatopić palce głęboko w mięsień jego łydki. Marty zawył, gdy pękł materiał i pociekła krew. Wyciągnął rękę ku Carys, a ta użyła resztek sił, by przyciągnąć go do siebie. Breer, nie mogąc utrzymać równowagi, rozluźnił chwyt i Marty pokuśtykał po schodach w górę, popychając przed sobą dziewczynę. Wpadła do holu, za nią podążył Marty z Breerem wiszącym mu niemal na plecach. U szczytu schodów Marty nagle odwrócił się i kopnął. Jego pięta trafiła w podziurawiony brzuch Połykacza Żyletek. Breer runął do tyłu, palcami drapiąc powietrze w poszukiwaniu punktu oparcia; nie znalazł żadnego. Jego paznokcie zarysowały jedynie cegły w ścianie, gdy przewrócił się i osunął ciężko po schodach, by po chwili z głuchym tąpnięciem uderzyć o kamienną podłogę piwnicy. Pozostał tam, leżąc nieruchomo z rozrzuconymi bezładnie kończynami; umalowany gigant.

Marty zatrzasnął za sobą drzwi i zasunął rygiel. Odczuwał zbyt wielkie nudności, by spojrzeć na rozdarcie na nodze, ale

402

czując ciepło spływające mu do skarpetki i buta, wiedział, że rana mocno krwawi.

-Czy możesz... coś znaleźć... - wydusił. - ...żeby czymś to przykryć.

Zbyt zdyszana, by mu odpowiedzieć, Carys skinęła tylko głową i zniknęła za załomem korytarza, udając się do kuchni. Na suszarce do naczyń leżał ręcznik, jednak zbyt brudny, by położyć go na otwartą ranę.

Zaczęła szukać czegoś czystego, choćby ścierki. Najwyższy czas stąd odejść, Mamoulian nie zostanie przecież poza domem przez całą noc.

W holu Marty nasłuchiwał odgłosów z piwnicy. Nic nie usłyszał.

Jednakowoż sączył się inny dźwięk, ten, o którym już niemal zapomniał. Buczenie domu powróciło do jego głowy, a przenikał je ów łagodny głos, niby senny, podskórny nurt. Rozsądek nakazywał otrząsnąć się z tego. Ale gdy Marty słuchał głosu, próbując odróżnić poszczególne sylaby, wydawało mu się, że ustępują nudności i ból w nodze.

Na oparciu kuchennego krzesła Carys znalazła jedną z błękitnoszarych koszul Mamouliana. Europejczyk był bardzo pedantyczny, jeśli chodzi o czystość odzieży. A ta koszula została niedawno uprana; idealnie nadawała się na bandaż. Rozerwała ją - mimo że wysokiej jakości bawełna stawiała opór - następnie nasączyła kawałek tkaniny wodą, by tym przemyć ranę, a resztę podarła na pasy, żeby obwiązać nimi nogę. Gdy skończyła, wróciła do holu. Ale Marty'ego tam nie było.

55

Musiał to zobaczyć. A jeśli patrzenie nie wystarczy - czymże w końcu jest patrzenie? Po prostu jednym ze zmysłów - nauczy się nowego sposobu poznania. Taka była obietnica, którą pokój wyszeptał mu do ucha: poznasz nową rzecz i nowy sposób jej poznania. Wspinał się po schodach, podciągając się na barierce, przekładając dłoń za dłonią, coraz mniej czując bólu, im bliżej był buczonej ciemności. Tak bardzo pragnął tej przejażdżki po gabinecie strachów. Tam były sny, jakich nie śnił nigdy, jakich już nigdy nie będzie miał okazji śnić. Krew chlupała w bucie - śmiał się z tego. W nodze zaczęły się spazmatyczne skurcze - zignorował je. Już tylko kilka stopni dzieliło go od szczytu schodów, pokonał je, nie

zwalniając kroku. Drzwi do pokoju były uchylone. Pokuśtykał w ich stronę.

Choć w piwnicy było całkiem ciemno, Połykacz Żyletek wcale się tym nie przejął. Już od wielu tygodni jego oczy nie pracowały tak dobrze jak dawniej - nauczył się zastępować wzrok dotykiem. Wstał i spróbował trzeźwo pomyśleć. Wkrótce wróci Europejczyk. I ukarze go za pozostawienie domu bez nadzoru i dopuszczenie do tej ucieczki. Co gorsza, on nie zobaczy więcej dziewczyny; nie będzie już mógł na nią patrzeć, gdy oddaje mocz, ten pachnący mocz, który przechowywał później na specjalne okazje. Był zdruzgotany.

Usłyszał jej kroki w holu nad swą głową; wchodziła po schodach. Znał rytm tych małych stopek, całymi dniami i nocami

404

wsluchiwał się w jej kroki, gdy chodziła w kółko po swojej celi. W jego umyśle sufit piwnicy stał się przezroczysty; spoglądał teraz w górę, pomiędzy jej nogi, wspinające się po schodach; szparka otwierała się szczerze dla niego. Rozzłościło go, że to wszystko utraci wraz z dziewczyną. Owszem, była stara, nie tak jak ślicznotka przy stoliku w piwnicy albo te inne na ulicach, ale zdarzały się chwile, gdy jej obecność stawała się jedyną rzeczą, chroniącą go przed popadnięciem w obłęd.

Potykając się w ciemnościach, wrócił tam, gdzie znajdowała się jego malutka, pożerająca samą siebie kanibalka, której ucztę w tak arogancki sposób przerwano. Nim tam dotarł, jego stopa kopnęła jeden z noży do krajania mięsa, które zostawił na stoliku, na wypadek gdyby mała chciała się jeszcze poczęstować. Opadł na czworaki i tak długo macał po

podłódze, aż znalazł nóż. Wówczas wdrapał się po schodach na górę i zaczął rozłupywać drewno drzwi w miejscu, gdzie wpadające przez szparę światło ukazywało zasuwę.

Carys nie chciała wchodzić na najwyższe piętro domu. Zbyt wiele obaw wiązało się z tym miejscem. Domysłów raczej niż faktów, ale i to wystarczało, by poczuła się osłabiona. Nie pojmowała, dlaczego Marty poszedł na górę - a przecież tylko tam mógł pójść. Pomimo upartych zapewnień, że wszystko rozumie, wiele musiał się jeszcze nauczyć.

- Marty? - zawołała, stojąc u podnóża schodów i żywiąc nadzieję, że Marty pokaże się na górze i z uśmiechem pokuśtyka na dół do niej, a ona nie będzie musiała tam po niego wychodzić. Ale na jej wołanie odpowiedziała jedynie cisza, a pora stawała się coraz późniejsza. Europejczyk mógł zjawić się pod drzwiami lada moment.

Niechętnie zaczęła wchodzić po schodach.

Marty nic nie rozumiał aż do tej chwili. Był niewiniątkiem, żyjącym w świecie, w którym nie znano tej głębokiej i rados-

405

nej penetracji, sięgającej nie tylko w głąb ciała, lecz i umysłu. Powietrze w pokoju zamknęło się wokół jego głowy, gdy tylko przekroczył próg. Kości czaszki wydawały się trzeć jedna o drugą; głos tego pomieszczenia nie potrzebował dłużej szeptać, krzyczał teraz wprost do jego mózgu. *A więc przyszedłeś? Oczywiście, że przyszedłeś. Witaj w Krainie Czarów.* Miał niejasną świadomość, że to jego własny głos wypowiada te słowa. To prawdopodobnie przez cały czas był jego głos. A zatem Marty gadał do

siebie jak wariat. Nawet teraz, gdy zdemaskował tę sztuczkę, głos pojawił się znowu, nieco niższy tym razem: *Znalazłeś się w naprawdę pięknym miejscu, nie uważasz?*

Usłyszawszy to pytanie, rozejrzał się wokół. Nie było nic widać, nawet ścian. Jeśli znajdowały się w tym pokoju jakieś okna, zostały hermetycznie zapieczętowane. Ani jedna szczelina nie łączyła tego miejsca z zewnętrznym światem.

- Nic nie widzę - wymamrotał w odpowiedzi na przechwałki pokoju.

Głos roześmiał się; Marty zaśmiał się razem z nim.

Me ma tu nic, czego należałoby się obawiać, powiedział głos. Następnie po szyderczej pauzie dodał: *Tu w ogóle nie ma nic*.

I to była prawda, czyż nie? W ogóle nic. To nie tylko ciemność pozbawiała go jakiegokolwiek widoku, sam pokój to sprawiał. Lekkomyślnie obejrzał się za siebie; drzwi też już nie było widać, choć wiedział na pewno, że zostawił je otwarte. Powinien wlewać się przez nie do pokoju choćby najslabszy przebłysk światła z dołu. Ale ta iluminacja została pochłonięta przez pustkę, podobnie jak światło latarki. Przytłaczająca wszystko szara mgła dotarła tak blisko oczu, że nawet gdy wyciągnął przed siebie dłoń, nie widział nic.

Dobrze ci tu, uspokajał go pokój, tu nie ma sędziów, nie ma krat.

- Czy jestem niewidomy? - spytał.

Nie, odpowiedział pokój. *Przeciwnie ~ po raz pierwszy widzisz naprawdę*.

- To... to mi się nie podoba.

Oczywiście, że ci się nie podoba. Ale z czasem nauczysz się to lubić. Życie nie jest dla ciebie. Duchy duchów, oto czym są żyjący. Ty chcesz się położyć; skończyć z tymi głupstwami. Nic się nie liczy; a skoro nic się nie liczy, liczy się tylko nicość, chłopcze.

- Chcę stąd odejść. *Czy cię okłamuję?*
- Chcę wyjść... proszę. *Jesteś w bezpiecznych rękach.*
- Proszę.

Zrobił niepewny krok do przodu, nie będąc pewny, gdzie są drzwi. Przed nim czy za nim? Wyciągnąwszy przed siebie ramiona jak ślepiec na krawędzi urwiska, chwiał się, szukając jakiegoś punktu oparcia. To nie była przygoda, jakiej się spodziewał; to była nicość. *Nic się nie liczy, więc liczy się tylko nicość.* Gdy raz się tu weszło, to niekończące się nigdzie nie miało ani odległości, ani głębokości, kierunku północnego ni południowego. A wszystko na zewnątrz - schody, podest piętra, niższy bieg schodów, hol na parterze, Carys - wszystko to było jak zmyślenie. Sen o namacalnej rzeczywistości, a nie prawdziwe miejsce. Poza tym tutaj, *nigdzie* nie było prawdziwego miejsca. Wszystko, co przeżył i czego doświadczył, wszystko, czym się radował, wszystko, co sprawiło mu ból - wszystko to okazało się nieprawdziwe. Namiętność była prochem. optymizm - samooszukiwa-niem się. Wątpił teraz nawet w pamięć zmysłów: w szorstkość powierzchni, w temperaturę. W kolor, formę, wzór. Wszystko to dla odwrócenia uwagi - zabawy wymyślone przez umysł dla ukrycia tego nieznośnego zera. A dlaczego nie? Zbyt długie spoglądanie w otchłań sprowadziłoby obłąd na człowieka.

Chyba nie jesteś obłąkany? - rzekł pokój, delektując się tą myślą.

Nawet w najczarniejszych chwilach (gdy Marty leżał na pryczy w

więziennej celi, a człowiek na pryczy poniżej łkał przez sen) istniało coś, czego można było oczekiwać: list, świt, wolność; jakiś przebłysk znaczenia.

407

Lecz tutaj znaczenie było martwe. Przyszłość i przeszłość były martwe. Nawet sama śmierć była martwa, bo dla niczego, co wywołuje emocje, nie przewidziano tu miejsca. Tylko nicość; raz na zawsze - nicość.

- Pomóż mi - poprosił jak dziecko, które się zgubiło.

Idź do diabła, odpowiedział z powagą pokój; i po raz pierwszy w życiu Marty dokładnie wiedział, co to znaczy.

Na pierwszym piętrze Carys przystanąła. Słyszała głosy; nie, teraz gdy wsłuchiwała się dokładniej, nie były to różne głosy, lecz jeden i ten sam - głos Marty'ego - zadający sobie pytania i odpowiadający na nie. Trudno było ustalić, gdzie toczy się ta rozmowa; słowa zdawały się rozbrzmiewać wszędzie i nigdzie. Zajrzała do swojego pokoju, potem do pokoju Breera. W końcu, przygotowawszy się na powtórkę koszmaru, zajrzała do łazienki. Marty'ego nie było w żadnym z tych pomieszczeń. Nie dało się dłużej unikać niemiłej konkluzji. Marty wrócił na górę, do pokoju Mamoulia.

Gdy korytarzem pierwszego piętra zmierzała na powrót w stronę schodów, inny odgłos przykuł jej uwagę: gdzieś na dole ostrze wbijało się w drewno. Od razu wiedziała, że to Połykacz Żyletek. Stał na nogach i świerbiło go, by ją dopaść. Cóż to za dom, pomyślała, kryje się za tą banalną fasadą. Trzeba by drugiego Dantego, by opisać jego otchłanie i jego niebosiężne wyżyny: martwe dzieci, Połykacze Żyletek, narkomani,

szaleńcy i wszystko, wszystko. Na pewno gwiazdy wiszące wprost nad nim drżały w swych oprawach, a w ziemi pod nim ścinała się magma.

W pokoju Europejczyka Marty wykrzyczał jakąś gwałtowną prośbę. Wołając go w odpowiedzi po imieniu i modląc się, by ją usłyszał, weszła na najwyższe piętro i z sercem w gardle ruszyła ku drzwiom.

Osunął się na kolana; wszystko, co pozostało z jego instynktu samozachowawczego, to była wystrzępiona i beznadziejna myśl, szara myśl na szarym tle. Nawet głos ucichł. Znudziło

408

go to przekomarzanie się. *Nic się nie liczy, więc liczy się tylko nicość*, wyjaśnił i pokazał Marty'emu jak i dlaczego. Albo raczej wydobył na wierzch tę część jego ja, która wiedziała to przez cały czas. Pozostało tylko czekać, aż autor tego eleganckiego sformułowania przyjdzie i pozbędzie się Marty'ego, który leżał teraz nie bardzo pewien, czy jest żywy, czy martwy, i czy człowiek, który niebawem przyjdzie, zabije go czy wskrzesi. Pewien był tylko tego, że najłatwiej jest leżeć w tym najbardziej pustym ze wszystkich możliwych do pomyślenia światów.

Carys już kiedyś była w Nigdzie. Zakosztowała jego nijakiego, jałowego powietrza. Ale w ciągu ostatnich kilku godzin dostrzegła coś poza tą jałowością. Świeciła tu dziś małe triumfy - niezbyt wielkie, a jednak zwycięstwa. Myślała o przybyciu Marty'ego do tego domu, o jego oczach, w których było coś więcej niż pożądanie. To było zwycięstwo, czyż nie? Zdobyła jego uczucie, zyskała je w jakiś wykalkulowany, naturalny sposób. Nie da się więc pokonać temu ostatniemu prześladowcy, tej zatechłej bestii, która dławi jej zmysły. To przecież były tylko resztki

Europejczyka. Wylinka pozostawiona dla udekorowania gniazdka. Łupież, odpadki. Bez najmniejszej wartości, jak i on sam.

- Marty - powiedziała. - Gdzie jesteś?
- Nigdzie... - usłyszała głos.

Potyając się, ruszyła w jego kierunku. Pustka naciskała, napierała na nią...

Breer przerwał na chwilę. Gdzieś daleko usłyszał głosy. Nie rozumiał słów, ale ich znaczenie było nieistotne. Nie zdołali jeszcze uciec, to najważniejsze. Żywił wobec nich pewne zamiary, które zrealizuje, gdy tylko stąd wyjdzie; zwłaszcza wobec mężczyzny. Podzieli go na coraz mniejsze kawałeczki, tak że w końcu nawet jego ukochani nie będą w stanie powiedzieć, która część była niegdyś palcem, a która twarzą.

Wziął się do rąbania drzwi ze świeżym zapalem. Pod jego niestrudzonym atakiem drewno zaczęło w końcu pękać.

409

Carys podążyła przez mgłę za głosem Marty'ego, ale mężczyzna jej umykał. Albo to on chodził wokół niej, albo to pokój jakoś ją zwodził, odbijając echem jego głos od ścian, czy nawet podszywając się pod niego. Wtedy ten głos wypowiedział jej imię, całkiem blisko niej. Odwróciła się w mroku, zupełnie pozbawiona poczucia kierunku. Po drzwiach, przez które tu weszła, nie było śladu - zniknęły, podobnie jak okna. Jej determinacja jęła się kruszyć, rozpadać na kawałki. Zaczęło się w nią wsączać szydercze zwątpienie.

Proszę, proszę. A kim ty jesteś? - spytał ktoś. Może ona sama.

- Wiem, jak się nazywam - szepnęła. Nie da się w ten sposób

zbić z pantałyku. - Wiem, jak się nazywam.

Była pragmatyczką, do cholery! Nie miała predylekcji do wierzeń, że świat istnieje wyłącznie w jej umyśle. To dlatego sięgnęła po herę: świat był dla niej *zbyt realny*. A teraz ten opar w jej uszach mówi jej, że ona jest nicością, że wszystko jest nicością, bezimienną mierzwą.

- Gównem - powiedziała oparowi. - Jesteś gównem. *Jego gównem!*

Nie raczył się odezwać; postanowiła wykorzystać przewagę, póki ją miała.

- Marty. Słyszysz mnie? - Żadnej odpowiedzi. - To tylko pokój, Marty. Słyszysz? To wszystko. Zwyczajny pokój.

Byłaś już kiedyś we mnie, zauważył głos w jej głowie. Pamiętasz?

O tak, pamiętała. Gdzieś w tej mgle było drzewo; widziała je w saunie. Dziwaczne, obsypane kwiatami drzewo - pod nim ujrzała rzeczy tak straszne. Czy to tam odszedł Marty? Czy wisiał teraz na tym drzewie - jako nowy owoc?

Do diaska, nie! Nie wolno jej ulegać takim myślom. To zwyczajny pokój. Jeśli się skoncentruje, znajdzie ściany, może nawet okno.

Nie dbając o to, że może się na czymś potknąć, zrobiła cztery kroki, potem jeszcze piąty, nim wyciągniętymi przed siebie rękami uderzyła o ścianę; ściana była zaskakująco i cudownie

twarda. „Ha!” pomyślała - pierdol się razem ze swoim drzewem! Patrz, co znalazłam”. Przyłożyła dłonie płasko do ściany. Teraz - w lewo czy w prawo? W wyobraźni podrzuciła nieistniejącą monetę. Wypadł orzełek - zaczęła powoli przesuwając się w lewo.

Nie rób tego, wyszeptał pokój.

- Spróbuj mnie powstrzymać.

Nie masz dokąd iść, odgryzł się, *tylko w kółko i w kółko. Zawsze chodziłaś w kółko, czy nie mam racji? Słaba, leniwa, żalonna kobieto.*

- Ty mnie nazywasz żalonną. Ty. Gadająca mgła.

Ściana, wzdłuż której nieustannie się przesuwała, zdawała się rozciągać w nieskończoność. Po kilku krokach Carys zaczęła wątpić w teorię, której prawdziwość właśnie sprawdzała. Może tą przestrzenią dało się mimo wszystko manipulować. Niewykluczone, że oddalam się teraz od Marty'ego wzdłuż jakiegoś nowego muru chińskiego, pomyślała. Ale wytrwale trzymała się chłodnej powierzchni, jak amator wspinaczki stromej urwiska. Jeśli będzie trzeba, obejdzie cały pokój, aż znajdzie drzwi lub Marty'ego, albo jedno i drugie.

Zwyczajna pizda, odezwał się pokój. *Oto czym jesteś. Nie potrafisz nawet znaleźć wyjścia z niewielkiego labiryntu, takiego jak ten. Już lepiej połóż się i przyjmij to, co ci się trafi, jak przystało na grzeczną pizdę.*

Czy wyczuwała nutkę desperacji w tym nowym ataku?

Desperacja? - zdziwił się pokój. *Ja się nią żywię. Pizdo.*

Dotarła do kąta, skręciła i szła teraz wzdłuż drugiej ściany.

Nie rób tego, powiedział pokój.

Właśnie, że zrobię - pomyślała Carys.

To nie najlepszy pomysł. O nie. Naprawdę kiepski. Połykacz Żyletek jest już na górze. Nie słyszysz go? Dzieli was zaledwie kilka cali. Nie, nie rób tego! Nie idź dalej! Nie znoszę zapachu krwi.

Czyste aktorstwo; to wszystko, na co potrafił się zdobyć. Im bardziej pokój wpadał w panikę, tym pewniej się czuła.

Zatrzymaj się! Dla własnego dobra! Stój!

411

W jej głowie rozbrzmiewał jeszcze ten krzyk, gdy dłonie natrafiły na okno. To tego odkrycia głos się tak obawiał.

PIZDA! - wrzeszczał. *Pożałujesz tego. Obiecuję ci. O tak.*

Nie było zasłon ani żaluzji; okno szczelnie zabito deskami, tak by nic nie mogło zakłócić tej doskonałej nicości. Palce Carys obmacywały deski, szukając jakiegoś punktu zaczepienia; czas najwyższy wpuścić tu trochę świata zewnętrznego. Jednak drewno zostało bardzo solidnie przybite. Choć szarpała, nie puszczało.

- Porusz się, do cholery!

Deska zaskrzypiała, odskoczyła od niej drzazga.

- Tak, tak - próbowała udobruchać deskę - dobrze nam idzie.

- Rozszczepioną, wciąż zbyt niepewną smużką światło zaczęło sączyć się między deskami. - Jeszcze troszeczkę, proszę - przymi-
lała się Carys, ciągnąc coraz mocniej. Końce jej palców wygięły się na zewnątrz, gdy usiłowała oderwać drewno, ale nic światła zamieniła się już w snop. Padał prosto na nią i przez woal brudnego powietrza zaczęła widzieć zarys własnych dłoni.

To nie jasność dnia przelewała się pomiędzy deskami. Za ledwie odbłask lamp ulicznych i reflektorów samochodowych, może jeszcze poświata gwiazd lub telewizorów, których ekrany jarzyły się w kilkunastu domach przy Caliban Street. To jednak wystarczało. Z każdym calem poszerzanej szpary światło pewniej wdzierało się do pokoju; w jego formy i materię.

Gdzieś w innej części pomieszczenia Marty także odczuł jasność.

Irytowała go - odebrał to tak, jakby w wiosenny poranek ktoś dziarsko

odsunął zasłony w pokoju umierającego człowieka. Przeczłgał się kawałek po podłodze, próbując zagrzebać się we mgle, zanim ta się rozproszy, i nasłuchiwał uspokajającego głosu, który powie mu, że liczy się tylko nicość. Ale głos zamilkł. Opuścił go, a światło spadało coraz szerszymi smagnięciami. Na tle okna Marty zobaczył zarys ciała kobiety. Oderwała właśnie jedną z desek zasłaniających okno i rzuciła ją na podłogę. Teraz zabrała się do drugiej. „No chodź do mamusi” - mówiła, i znów więcej światła napłynęło, rzeźbiąc kobiecą postać w jeszcze bardziej mdlących szczegółach. Nie

412

chciał ich; to był ciężar, to całe bycie. **Wypuścił powietrze** z płuc z jękiem bólu i rozdrażnienia. Odwróciła się w jego stronę.

- A więc tu jesteś - przemówiła, podchodząc do niego i pomagając mu podnieść się na nogi. - Musimy się pośpieszyć.

Marty gapił się na pokój, który teraz odsłaniał się przed nim w całej swej banalności. Materac na podłodze; odwrócona do góry nogami porcelanowa filiżanka; obok niej - dzbanek na wodę.

- Obudź się - powiedziała Carys, potrząsając Martym.

Nie ma potrzeby nigdzie iść, pomyślał; nic nie straci, jeśli zostanie tu, gdzie jest, i szarość powróci.

- Na miłość boską, Marty! - krzyknęła na niego. Z dołu doleciał trzask pękającego drewna. On nadchodzi, czy są na to gotowi, czy nie, on nadchodzi, pomyślała.
- Marty! - krzyczała. - Słyszysz? To Breer.

To nazwisko przywołało koszmar. Zimna dziewczynka przy stoliku, na którym podano mięso z jej własnego ciała. Straszliwy, nie do opisania

żart. Ten obraz przegnał mgłę z głowy Marty'ego. Istota, która zainscenizowała ów koszmar, była na parterze; pamiętał ją aż nadto dobrze. Spojrzał na Carys trzeźwymi, choć załzawionymi, oczyma.

- Co się stało?
- Nie ma na to teraz czasu - odparła.

Pokuśtykał za nią w stronę drzwi. Carys nadal trzymała w dłoniach jedną z wyrwanych z okna desek, z gwoźdźmi wciąż tkwiącymi na swoich miejscach. Odgłos z dołu cały czas narastał - łoskot wyważanych drzwi i wrzaski niezrównoważonego umysłu.

Ból w poszarpanej łydce, tak umiejętnie uśmierzony przez pokój, odezwał się teraz na nowo. Marty potrzebował wsparcia Carys, by pokonać pierwszy bieg schodów. Schodzili razem, a jego zakrwawiona od dotykania rany dłoń znaczyła na ścianie trasę ich zejścia.

Gdy byli w połowie biegu pomiędzy pierwszym piętrzem a parterem, ucichła kakofonia w piwnicy.

413

Stali nieruchomo, czekając na następny ruch Breera. Z dołu doleciało piskliwe skrzypnięcie - to Połykacz Żyletek otwierał drzwi. Poza słabym światłem z kuchni, które, nim dotarło do holu, musiało pokonać kilka załomów korytarza, nic nie oświetlało scenerii tych zdarzeń. Myśliwy i jego ofiary, zakamuflowani przez ciemność, kurczowo trzymali się tej wątpliej chwili, nie wiedząc, czy następna przyniesie im katastrofę, czy wybawienie. Carys zostawiła Marty'ego z tyłu i pokonała pozostałe pięć stopni, dzielące ją od parteru. Jej kroki były niemal bezgłośnie na niewyłożonych chodnikiem schodach, ale po odzyskaniu zmysłów utraconych w pokoju Mamouliana Marty słyszał teraz każde uderzenie jej

serca.

W holu nie zauważyła żadnego ruchu; skinęła na swego towarzysza, by szedł za nią. W przejściu panowała cisza. Breer czał się w pobliżu, wiedziała o tym, ale gdzie? Był wielki i ociążały - niełatwo przyszłoby mu znaleźć dla siebie kryjówkę. Może, modliła się w duchu, nie udało mu się mimo wszystko uwolnić z piwnicy i wyczerpany dał za wygraną. Zrobiła krok do przodu.

Bez ostrzeżenia Połykacz Żyletek wynurzył się z rykiem zza drzwi frontowego pokoju. Rzeźnicki nóż zatoczył łuk w poprowadzonym z góry na dół cięciu. Carys zdołała uskoczyć w bok przed ciosem, ale niemal straciła przy tym równowagę. To ręka Marty'ego podtrzymała ją i pociągnąwszy ku sobie, uchroniła przed drugim atakiem Breera. Siła zamachu rzuciła Połykacza Żyletek do przodu. Minął dziewczynę i zderzył się z frontowymi drzwiami. Zagrzechotało szkło.

- Na zewnątrz! - zawołał Marty, widząc, że droga do tylnego wyjścia stoi otworem.

Lecz tym razem to Carys nie miała zamiaru uciekać. Był czas na ucieczkę i był czas na konfrontację; może już nie mieć okazji odplacić Breerowi za wszystkie upokorzenia. Odtrąciła dłoń Marty'ego i chwyciła oburącz deskę, którą cały czas niosła ze sobą.

Połykacz Żyletek wyprostował się, wciąż dzierżąc nóż w ręce, i ogarnięty wściekłością zrobił krok w stronę dziewczyny.

414

Uprzedziła jednak jego atak. Uniosła deskę i zamachnęła się na niego, zadając cios w bok głowy. Trzasnęła pęknięta już przy upadku kość.

Wystające z deski gwoździe przebiły czaszkę. Carys musiała puścić swoją

broń i zostawić ją, sterczącą z głowy Breera niczym piąta kończyna. Połykacz Żyletek opadł na kolana. Wstrząsana drgawkami dłoń upuściła nóż, podczas gdy druga po omacku odszukała deskę i po chwili zmagania wyrwała ją z głowy. Carys nie żałowała, że jest ciemno. Chłupot krwi i bębnienie podrygujących stóp grubasa o gołą podłogę - to wszystko było wystarczająco przerażające. Klęczał wyprostowany przez kilka chwil, po czym runął twarzą w przód, wbijając do końca tkwiące w jego brzuchu sztucce.

To zadowoliło Carys. Tym razem, gdy Marty pociągnął ją ku drzwiom, podążyła za nim.

Gdy szli korytarzem, rozległo się ostre stukanie w ścianę. Przystanęli. Co znowu? Jeszcze jeden opętańczy duch?

- Co to jest? - spytał Marty.

Pukanie ucichło, po chwili rozległo się ponownie, lecz tym razem towarzyszył mu głos:

- Będziecie cicho? Tutaj ludzie usiłują zasnąć.
- Sąsiedzi - wyjaśniła Carys. Ich narzekania wydały jej się nagle bardzo śmieszne, i jeszcze nim wydostali się z domu, mijając po drodze zdruzgotane drzwi do piwnicy i stygnący rumianek Breera, oboje wybuchli śmiechem.

Przemknęli ocienioną alejką, ciągnącą się na tyłach zabudowań, i dotarli do samochodu. Siedzieli w nim przez kilka minut, a łzy i śmiech spadały na nich naprzemiennymi falami; dwoje szaleńców, jak zapewne domniemywali mieszkańcy Caliban Street, albo para cudzołożników, rozbawionych swymi nocnymi przygodami.

Chad Schuckman i Tom Loomis już od trzech tygodni nieśli ludowi Londynu przesłanie Kościoła Zmartwychwstałych Świętych - i mieli tego powyżej uszu. „Niezły sposób na spędzenie wakacji” - marudził co rano Tom, gdy planowali marszrutę na cały dzień. Memphis było tak daleko od nich, a oni obaj tęsknili za domem. Poza tym cała kampania powoli okazywała się fiaskiem. Grzesznicy, których napotykali na progach ich domów w tym zapomnianym przez Boga mieście, byli równie obojętni na ostrzeżenie Wielebnego o nadciągającej apokalipsie, co na obietnicę zbawienia.

Pomimo pogody (a może właśnie z jej powodu) grzech nie był gorącym tematem w Anglii. Chad nie krył pogardy: „Nie wiedzą, co ich czeka” - powtarzał Tomowi, który znał na pamięć wszystkie opisy potopu, ale wiedział też, że o wiele lepiej brzmią one w ustach takiego złotowłosego chłopaka, jakim jest Chad, niż w jego własnych. Podejrzewał nawet, że ci nieliczni ludzie, którzy zdecydowali się ich wysłuchać, robili to raczej dlatego, że Chad wyglądał jak dobrze odżywiony anioł, a nie z chęci usłyszenia natchnionych słów Wielebnego. Większość po prostu zatrząskiwiała przed nimi drzwiami.

Ale Chad był niezłomny. „Tu jest grzech - zapewniał Toma - a tam gdzie jest grzech, jest i poczucie winy. A gdzie jest poczucie winy, tam znajdują się pieniądze na dzieło Pańskie”. To było proste równanie i nawet jeśli Tom żywił pewne wątpliwości co do jego wymowy etycznej, zatrzymał je

dla sie-

416

bie. Lepiej zachować milczenie, niż narazić się na dezaprobatę ze strony Chada; w tym obcym mieście mieli tylko siebie, a Tom nie zamierzał ryzykować utraty swej gwiazdy przewodniej.

Czasami jednak niełatwo było zachować wiarę. Zwłaszcza w takie skwarne dni jak dzisiaj, gdy garnitur z poliestru drapał w kark, a Pan, jeśli nawet przebywał w swoim niebie, trzymał się poza zasięgiem wzroku. I nie było najłżejszego podmuchu bryzy, który schłodziłby twarz; ni jednej deszczowej chmurki na niebie.

- Z czego to jest? - spytał Tom Chad.
- Co? - Chad liczył broszurki, które pozostały im jeszcze dzisiaj do rozdania.
- Nazwa ulicy - powiedział Tom. - Caliban. To chyba jest z czegoś wzięte.
- Doprawdy? - Chad skończył liczyć. - Pozbyliśmy się zaledwie pięciu broszurek.

Wręczył garść druków Tomowi i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyłowił grzebień. Pomimo gorąca wyglądał na rozluźnionego i opanowanego. W przeciwieństwie do niego Tom czuł się brudny, spocony i obawiał się, że łatwo może ulec pokusie zejścia ze ścieżki prawości. Co miałoby go skusić, nie bardzo wiedział, ale był otwarty na propozycje. Chad przecesał włosy, jednym eleganckim pociągnięciem grzebienia przywracając doskonały blask swej aureoli. Ważne jest, nauczał Wielebny, by wyglądać jak najlepiej. „Jesteście posłańcami Pana - mawiał. - A On chce, byście byli schludni i eleganccy. Byście błyszczeli od stóp do głów”.

- Masz - powiedział Chad, wymieniając z Tomem grzebień na broszury. - Jesteś kompletnie rozczochrany.

Tom wziął grzebień, na którego zębach osiadł złoty brokat, i podjął chaotyczną próbę uporządkowania swej czupryny, a Chad mu się przyglądał. Włosy Toma nie chciały leżeć płasko jak jego, Chada. Pan z pewnością cmokał na ich widok z dezaprobatą, nie spodobałyby mu się wcale. Ale z drugiej strony, co się Panu podobało? Nie pochwalał palenia, picia,

417

cudzołóstwa, herbaty, kawy, pepsi, kolejki górskiej w wesołym miasteczku, masturbacji. A nad głowami tych słabych stworzeń, które pobłazają sobie w niektórych albo - Boże, miej ich w swej opiece - we wszystkich wyżej wymienionych rzeczach, zawisły wody potopu.

Tom modlił się tylko, by te wody, gdy już spadną, były chłodne.

Facet w ciemnym garniturze, który otworzył drzwi pod numerem 82 przy Caliban Street, przypominał Tomowi i Cha-dowi Wielebnego. Oczywiście nie fizycznie. Wielebny Bliss był opalonym, tęgim mężczyzną, podczas gdy ten gościu był szczupły i miał ziemistą cerę. Ale z obu emanował ten sam niekwestionowany autorytet; takie samo poczucie wagi własnych zamierzeń. Broszurki przyciągnęły jego uwagę, pierwsze prawdziwe zainteresowanie, jakie ktokolwiek okazał im tego ranka. Przytoczył nawet cytaty z Księgi Powtórzonego Prawa - jakiś fragment, którego nie znali - i zaprosił ich do środka, proponując coś do picia.

Wyglądało to jak czyjś drugi dom. Nagie ściany i podłogi; zapach

środków dezynfekujących i kadzidła, jakby dopiero co tu posprzątało. Prawdę mówiąc, Tom pomyślał sobie, że ten facet doprowadził ascetyzm do ostatecznych granic. Pokój na tyłach domu, do którego ich zaprowadził, mógł poszczycić się tylko dwoma krzesłami, niczym więcej.

- Nazywam się Mamoulian.

- Bardzo mi miło. Jestem Chad Schuckman, a to jest Tom Loomis.

- Obaj święci, co?

- Młodzi mężczyźni wyglądali na zaskoczonych.

- Wasze imiona. Oba są imionami świętych.

- Święty Chad? - zdziwił się blondyn.

- Ależ oczywiście. Był angielskim biskupem; mówimy o siódmym wieku. Tomasz to rzecz jasna wielki Niewierny.

Opuścił ich na chwilę, by przynieść wodę. Tom poruszył się niespokojnie na krześle.

418

- O co ci chodzi? - warknął na niego Chad. - To nasz pierwszy potencjalny nawrócony w tym mieście.

- Jest jakiś dziwny.

- Myślisz, że dla Pana ma znaczenie, czy ktoś jest dziwny?

To było dobre pytanie, lecz nim Tom sformułował na nie odpowiedź, wrócił gospodarz.

- Wasza woda.

- Mieszka pan sam? - spytał Chad. - To duży dom jak na jedną osobę.

- Od pewnego czasu jestem sam - wyjaśnił Mamoulian, podając im szklanki z wodą. -1 muszę przyznać, że bardzo poważnie potrzebuję

pomocy.

O tak, założę się, że potrzebna ci poważna pomoc, pomyślał Tom. Mężczyzna spojrzał na niego dokładnie w chwili, gdy ta myśl błysnęła mu w głowie; wyglądało to niemal tak, jakby wypowiedział ją na głos. Tom zaczerwienił się i - by pokryć zmieszanie - wypił łyk wody. Była ciepła. Czy Anglicy nie słyszeli o lodówkach? Mamoulian na powrót skierował uwagę na świętego. Chada.

- Jakie macie plany na najbliższe kilka dni?
 - Kontynuować dzieło Pańskie - odpowiedział bez zająknięcia Chad. Mamoulian skinął głową.
- To dobrze - przyznał.
- Głosimy Słowo Boże.
- „Zrobię was rybakami ludzi”.
- Mateusz. Rozdział czwarty - uzupełnił Chad.
 - A jeśli pozwolę wam zbawić moją duszę, czy moglibyście mi pomóc? - spytał gospodarz.
- W czym?
Mamoulian wzruszył ramionami.
- Potrzebuję pomocy dwóch zdrowych, młodych zwierząt, takich jak wy.

Zwierząt? To nie brzmiało zbyt ortodoksyjnie. Czy ten biedny grzesznik nie słyszał o ogrodach Edenu? Nie, pomyślał Tom, patrząc na oczy tamtego, prawdopodobnie nigdy nie słyszał.

- Obawiam się, że mamy już inne zobowiązania - odparł uprzejmie

Chad. - Ale będziemy bardzo radzi ujrzeć pana, gdy przyjedzie
Wielebny. Będzie pan mógł przyjąć chrzest.

- Chciałbym poznać Wielebnego - odpowiedział mężczyzna. Tom nie był pewien, czy to wszystko nie jest zwykłą farsą. -Tak niewiele czasu nam zostało, nim spadnie na nas gniew Stwórcy - mówił dalej Mamoulian.

Chad przytakiwał żarliwie.

- Później będziemy jedynie jak szczątki rozbitego statku -
czyż nie? -jak szczątki rozbitego statku na wodach powodzi.

Te słowa były niemal dokładnie słowami Wielebnego. Tom słyszał, jak padają z wąskich ust mężczyzny, i tamto oskarżenie o bycie Niewiernym nagle okazało się całkiem trafne. Chad natomiast był urzeczony. Jego twarz przybrała ten ewangeliczny wyraz, jaki zwykle pojawiał się na niej podczas kazań; Tom zawsze mu tego zazdrościł, ale tym razem uznał to za przejaw zacieklego fanatyzmu.

- Chad... - próbował coś wtrącić.
 - Szczątki rozbitego statku na wodach powodzi - rzekł Chad.
- Alleluja.

Tom postawił szklankę na podłodze.

- Myślę, że powinniśmy już iść - oświadczył i podniósł się z krzesła. Z jakiegoś powodu zdawało mu się, że nagie deski, na których stał, znajdują się dalej od jego oczu niż zwykle, dziesięć razy dalej. Jakby był walącą się wieżą, której podkopano fundamenty. - Musimy jeszcze obejść wiele ulic - powiedział, próbując skoncentrować się na bieżącym problemie, czyli: jak wydostać się z tego domu, nim coś strasznego

się wydarzy.

- Potop - oznajmił Mamoulian - wisi już niemal nad naszymi głowami.

Tom wyciągnął dłoń w stronę Chada, by wybudzić go z transu. Palce jego własnej ręki wydały mu się oddalone o tysiące mil od oczu.

- Chad - powiedział na głos imię przyjaciela. Święty Chad; ten od aureoli, sikający tęczą.

420

- Czy dobrze się czujesz, chłopcze? - spytał nieznajomy, zwracając swoje rybnie oczy w stronę Toma.

-Ja... czuję...

- Co czujesz? - spytał Mamoulian.

Chad też na niego patrzył, z twarzą wolną od zatroskania; właściwie wolną od jakichkolwiek uczuć. Może - ta myśl zaświtała w głowie Toma po raz pierwszy - to dlatego twarz Chada jest taka doskonała. Biała, symetryczna i kompletnie pusta.

- Usiądź - polecił nieznajomy. - Zanim upadniesz.
- Już dobrze - uspokoił go Chad.
 - Nie - odparł Tom. Kolana odmawiały mu posłuszeństwa. Podejrzewał, że wkrótce ugną się pod nim.
- Zaufaj mi - powiedział Chad.

Tom chciałby mu zaufać. W przeszłości Chad zwykle miał rację.

 - Uwierz, jesteśmy na drodze ku dobru. Usiądź, jak ci radzi ten pan.
 - Czy to z upału?
 - Tak - odpowiedział Chad na pytanie mężczyzny w imieniu Toma. - To

przez upał. W Memphis też bywa gorąco, ale tam mamy klimatyzację. -
Odwrócił się do swego kompana i położył mu dłoń na ramieniu.

Tom poddał się słabości i usiadł. Czuł jakieś trzepotanie na karku, jak gdyby zawisł tam koliber - brakowało mu tylko siły woli, by go odgonić.

- Nazywacie siebie posłańcami? - spytał mężczyzna niemal niesłyszalnym szeptem. - Nie sądzę, byście znali znaczenie tego słowa.

Chad, nie zwlekając, ripostował:

- Wielebny mówi...
- Wielebny? - przerwał mu mężczyzna z nutą pogardy w głosie. - Sądzicie, że Wielebny ma jakiegokolwiek pojęcie o tym, ile jesteście warci?

To zbiło Chada z tropu. Tom usiłował przestrzec przyjaciela, by nie dał się zwieść pochlebstwom, ale nie potrafił wydusić z siebie ani słowa. Język leżał w jego ustach jak martwa ryba.

421

Cokolwiek się teraz stanie, pomyślał, przynajmniej stanie się nam obu. Byli przyjaciółmi od pierwszej klasy; wspólnie zakosztowali dojrzewania i metafizyki; Tom wierzył, że są nierozłączni. Miał nadzieję, że mężczyzna zrozumie, że tam, gdzie jest Chad, tam jest i Tom. Trzepotanie na karku ustało; ciepłe uspokojenie powoli ogarniało głowę Toma. Sprawy nie wyglądały tak źle mimo wszystko.

- Potrzebuję waszej pomocy, młodzieńcy.
- W czym mielibyśmy pomóc? - spytał Chad.
- W wywołaniu potopu - odpowiedział Mamoulian. Uśmiech, zrazu niepewny, lecz coraz szerszy w miarę jak

myśl uruchamiała wyobraźnię, pojawił się na obliczu Chada. Jego twarz, zbyt często trzeźwa w swej żarliwości, zapłonęła.

- O tak - powiedział. Spojrzał na Toma. - Słyszysz, co mówi ten człowiek?

Tom skinął głową.

•Słyszysz, stary?

•Słyszę. Słyszę.

Przez całe życie u boku Wielebnego Chad czekał na takie zaproszenie. Po raz pierwszy mógł wyobrazić sobie dosłowną rzeczywistość, stojącą za wizją katastrofy, przed którą przestrzegał w progach setek domów. W jego umyśle wody - czerwone, ryczące wody - piętrzyły się i spienionymi falami spadały na to pogańskie miasto. Jesteśmy jak szczątki rozbitego statku na wodach powodzi, powtórzył w duchu, i słowa te przywołały obrazy. Mężczyźni i kobiety - głównie kobiety - uciekali nadzy przed kłębiącymi się falami. Woda była gorąca; spadała deszczem na ich twarze, na ich błyszczące, podrygujące piersi. To właśnie przez cały czas obiecywał Wielebny; i oto ten mężczyzna prosi ich o pomoc, by to wszystko mogło się dopełnić, by ów spieniony Dzień Dni stał się faktem. Jak mogliby odmówić? Poczul gwałtowną potrzebę podziękowania mężczyźnie za to, że uznał ich za godnych dzieła. Myśl zrodziła czyn. Ugiął nogi w kolanach i padł na podłogę u stóp Mamouliana.

- Dziękuję - powiedział do mężczyzny w ciemnym garni turze.

422

•Pomożecie mi zatem?

• Tak... -odparł Chad; czyjego hołd nie był dość czytelnym znakiem? -
Oczywiście.

Za jego plecami Tom wymamrotał swoją zgodę.

- Dziękuję - powtórzył Chad. - Dziękuję.

Ale kiedy podniósł wzrok, mężczyzna, najwidoczniej dostatecznie przekonany o ich oddaniu, zdążył już opuścić pokój.

57

Carys i Marty spali razem w jego pojedynczym łóżku; spali długim, zasłużonym snem. Jeśli nawet niemowlę w pokoju piętro niżej płakało w nocy, oni tego nie słyszeli. Nie słyszeli też syren aut policyjnych i wozów strażackich, pędzących przez Kilburn High Road do pożaru w Maida Vale. Przenikający przez brudne szyby świt także ich nie obudził, choć zasłony nie były zaciągnięte. Raz tylko, o brzasku, Marty przewrócił się przez sen z boku na bok i mrugając powiekami, otworzył oczy na pierwsze promienie dnia. Nie odwrócił się od niego, lecz pozwolił światłu padać na powieki, gdy ponownie się zamknęły.

Spędzili pół dnia w jego ciasnym pokoiku, nim pojawiła się potrzeba; wykąpali się, wypili kawę, mówili niewiele. Carys przemyśla i opatrzyła ranę na nodze Marty'ego; przebrali się i wyrzucili ubrania, które mieli na sobie ubiegłej nocy.

Było już późne popołudnie, gdy zaczęli rozmawiać. Zaczęło się od spokojnej wymiany zdań, ale nerwowość dziewczyny pogłębiała się, w miarę jak rósł narkotyczny głód, i nagle rozmowa przekształciła się w

żałosną próbę odwrócenia uwagi od rozdygotanego ciała. Carys opowiedziała Marty'emu, jak wyglądało życie z Europejczykiem: o upokorzeniach, oszustwach, o wrażeniu, że on zna jej ojca i ją samą lepiej, niż przypuszczała. Marty z kolei próbował streścić dziewczynie opowieść, którą usłyszał od Whiteheada ostatniej nocy

424

w posiadłości, **ale** była zbyt rozkojarzona, by móc się w pełni skoncentrować. Jej wypowiedzi stawały się coraz bardziej niespokojne.

- Muszę wziąć działkę, Marty.

- Teraz?

-Jak najszybciej.

Spodziewał się tej chwili i bał się jej. Nie dlatego, że nie byłby w stanie zdobyć dla niej narkotyku; wiedział, że może. Ale dlatego, iż miał nadzieję, że jakimś cudem Carys da radę oprzeć się pokusie, teraz, kiedy jest z nim.

- Naprawdę źle się czuję - powiedziała.

- W porządku. Jestem przy tobie.

- On przyjdzie, wiesz.

- Nie teraz; teraz nie przyjdzie.

- Wścieknie się i przyjdzie.

Umysł Marty'ego wracał raz po raz do własnych doświadczeń w pokoju na najwyższym piętrze domu przy Caliban Street. To, co tam widział, a raczej, czego nie widział, przerażało go bardziej niż zmartwychwstałe psy czy Breer. Oni stanowili zwyczajne fizyczne zagrożenie, to zaś, co zdarzyło się w tamtym pokoju, było niebezpieczeństwem należącym do

całkiem już innego porządku. Poczuł wówczas, być może po raz pierwszy w życiu, że jego dusza - pojęcie, które dotychczas odrzucał jako chrześcijańską bzdurę - jest w zagrożeniu. Nie był pewien, jak sam rozumie to słowo; podejrzewał, że nie tak samo, jak rozumie je papież. Lecz jakaś część jego jestestwa, istotniejsza niż członki ciała, ważniejsza niż samo życie, nieomal uległa zaćmieniu, i Mamouliau był za to odpowiedzialny. Jakże jeszcze zło potrafi ta kreatura uwolnić, jeśli znajdzie się pod presją? Ciekawość Marty'ego była teraz czymś więcej niż czczym pragnieniem ujżenia, co skrywa zasłona; stała się koniecznością. Jakże mogli uzbroić się przeciwko temu władcy dusz, nie mając żadnych wskazówek co do jego natury?

- Nie chcę nic wiedzieć - oświadczyła Carys, czytając w jego myślach. - Jeśli zechce przyjść, to przyjdzie. Nic na to nie poradzimy.

425

- Zeszłej nocy... - zaczął, pragnąc przypomnieć jej, że jednak udało im się wygrać wczorajsze starcie.

Ucięła tę myśl, nim zdołał ją do końca wypowiedzieć. Na jej twarzy malowało się napięcie nie do zniesienia. Głód żywcem odzierał ją ze skóry.

-Marty...

Spojrzał na nią.

- ...obiecałeś - powiedziała oskarżycielskim tonem.
- Pamiętam.

W myślach wykonywał działania arytmetyczne, lecz nie kalkulował ceny narkotyku, tylko utraconej dumy. Będzie musiał pójść do Flynna po

tę heroinę; nie znał nikogo innego, komu mógłby zaufać. A przecież teraz obydwójce, on i Carys, byli uciekinierami - przed Mamoulianem i przed prawem.

- Muszę zatelefonować - powiedział.
- Zrób to - odparła.

Wydawało się, że w dziewczynie zaszły fizyczne zmiany w ciągu ostatnich trzydziestu minut. Jej skóra stała się woskowa, w oczach pojawił się błysk desperacji, dreszcze nasilały się z minuty na minutę.

- Nie ułatwiał mu tego - powiedziała. Zmarszczył brwi.
- Nie ułatwiać? Czego?
- Może mnie zmusić do zrobienia rzeczy, których nie chcę zrobić. - Po jej policzkach pociekły łzy. Nie towarzyszyło im łkanie, po prostu swobodnie wylewały się z jej oczu. - Może zmusić mnie, bym cię skrzywdziła.
- Nie przejmuj się tym. Pójdę już. Jest taki facet, który żyje z Charmaine. On zdobędzie dla mnie towar, nie martw się. Chcesz iść ze mną?

Oplotła samą siebie ramionami.

- Nie - odparła. - Tylko bym cię spowalniała. Idź już.

Włożył marynarkę, starając się nie patrzeć na dziewczynę; przerażało go to pomieszanie kruchości i łaknienia. Świeży pot wystąpił na jej ciało; zbierał się w miękkich zagłębieniach nad obojczykami, zalewał twarz.

- Nie wpuszczaj nikogo, dobrze?

Skinęła głową, jej spojrzenie parzyło.

Gdy wyszedł, zamknęła drzwi na klucz i z powrotem usiadła na łóżku. Łzy znów zaczęły niepoohamowanie napływać jej do oczu. Nie łzy smutku, po prostu słona woda. Cóż, może zresztą i było w nich nieco smutku - z powodu tej na nowo odkrytej kruchości i z powodu tego mężczyzny, który właśnie schodził po schodach.

To on był odpowiedzialny za jej obecny dyskomfort. Tak uważała. To on ją skusił, by uwierzyła, że może się z tego wszystkiego podźwignąć. I dokąd ją to zaprowadziło? Dokąd zaprowadziło ich oboje? Do tej dusznej celi, pewnego lipcowego popołudnia, a wokół czyhało na nich niewyobrażalne morze zła.

To nie miłość do niego czuła. Ta stałaby się zbyt wielkim ciężarem emocji - nie do udźwignięcia. W najlepszym razie było to zauroczenie, zmieszane z poczuciem zbliżającej się utraty, której smak zawsze czuła, będąc z kimś blisko, jak gdyby w każdej chwili spędzonej w obecności tej osoby wewnętrznie oplakiwała czas, gdy już jej przy niej nie będzie.

Trzasnęły drzwi na dole. Marty wyszedł na ulicę. Położyła się na łóżku, rozmyślając o tym, jak po raz pierwszy się kochali. O tym, że nawet w tym najintymniejszym akcie byli podglądani przez Europejczyka. Myśl o Mamoulianie, gdy już się pojawiła, była jak śnieżna kula, puszczona stromym zboczem. Toczyła się, nabierając prędkości i zwiększając swą objętość, aż osiągnęła monstrualne rozmiary. Stała się lawiną, oślepiającą bielą.

Przez moment miała wątpliwości, czy sobie to wszystko tylko przypomina; doznanie było zbyt rzeczywiste. Po chwili wątpliwości już

się rozwiały.

Wstała, jęknęły sprężyny łóżka. To wcale nie są wspomnienia.

On tu jest.

58

Flynn?

- Halo. - Głos na drugim końcu linii był ochrypły od snu. - Kto mówi?
- Tu Marty. Obudziłem cię?
- Czego chcesz, do cholery?
- Potrzebuję pomocy.

Po drugiej stronie zapadło długie milczenie.

- Jesteś tam?
- Taaa, taaa.
- Potrzebuję heroiny.

Senność zniknęła z głosu, zastąpiło ją niedowierzenie.

- Bierzesz?
 - Potrzebuję dla przyjaciela. - Marty niemal widział, jak uśmiech pojawia się na twarzy Flynnna. - Musisz coś dla mnie znaleźć.
- Natychmiast.

-Ile?

- Mam sto funtów.
- Da się zrobić.
- Szybko?
- Taaa. Jeśli ci na tym zależy. Którą mamy teraz godzinę? -Myśl o

łatwym zarobku i o zdesperowanym frajerze naoliwiła tryby w mózgu Flynna, gotów był do działania. - Pierwsza piętnaście? Dobra. - Zrobił pauzę na obliczenia. - Wpadnij za jakieś trzy kwadransy.

To wyglądało na dużą operatywność, chyba że, jak Marty podejrzewał, facet tak mocno siedzi w branży, że może zdo-

428

być towar naprawdę szybko: na przykład sięgając do kieszeni własnej marynarki.

- Nie mogę nic zagwarantować, rzecz jasna - dodał Flynn wyłącznie dla podgrzania desperacji na wolnym ogniu. - Ale zrobię, co w mojej mocy. Chyba stawiam sprawę uczciwie, he?
- Dzięki - odparł Marty. - Jestem ci wdzięczny.
- Po prostu przynieś gotówkę, Marty. To cała wdzięczność, jakiej oczekuję.

Telefon zamilkł. Flynn zawsze musiał mieć ostatnie słowo. „Łajdak” - rzucił Marty do słuchawki i odłożył ją z trzaskiem. Dygotał lekko; miał zszargane nerwy. Podszedł do kiosku z gazetami, kupił paczkę papierosów i wrócił do samochodu. Była pora lunchu; ruch w centrum Londynu będzie duży i dotarcie na stare miejsce spotkań zajmie mu większą część tych czterdziestu pięciu minut. Nie miał czasu, by wrócić i sprawdzić, co u Carys. Zresztą, domyślał się, nie byłaby zadowolona z tej zwłoki w dostarczeniu towaru. Potrzebowała narkotyku bardziej niż jego.

Europejczyk pojawił się zbyt nagle, by Carys mogła zatrzymać jego natrętną obecność z dala od siebie. Ale mimo iż czuła się tak osłabiona, *musiała walczyć*. W obecnym ataku było coś, co różniło go od

poprzednich. Czy o to chodzi, że jego napaść jest tym razem bardziej desperacka? Wydawało się dziewczynie, że jego wtargnięcie było niemal fizyczne, że zostawiło siniaki na jej karku. Pomasowała to miejsce spoconą dłonią.

Znalazłem cię, odezwał się wewnątrz jej głowy.

Rozejrzała się po pokoju, szukając sposobu, by pozbyć się intruza.

Nie masz szans, powiedział intruz.

- Zostaw nas w spokoju.

Źle mnie potraktowałaś, Carys. Powinienem cię ukarać. Ale nie zrobię tego; nie, jeśli dasz mi swojego ojca. Czy proszę o zbyt wiele? Mam do niego prawo. Wiesz o tym w najgłębszym zakamarku swego serca. On należy do mnie.

Była zbyt rozsądna, by zaufać temu przymilnemu głosowi. Jeśli ona znajdzie mu Papę, to co on wówczas zrobi? Pozwoli

429

jej żyć swoim życiem? Nie; ją też zabierze, w taki sam sposób, w jaki zabrał Evangeline i Toya, i któż poza nim samym wie, ilu jeszcze; zabierze ją do tamtego drzewa, do tamtego Nigdzie.

Jej wzrok spoczął na niewielkiej elektrycznej kuchence w kącie pokoju. Wstała, jej kończyny dygotały, niepewnym krokiem ruszyła w tamtym kierunku. Jeśli Europejczyk przejrzał jej plan, tym lepiej. Był słaby, czuła to. Zmęczony i smutny, był rozkojarzony, jego zdolność koncentracji - chwiejna. Ale obecność Europejczyka nadal była dostatecznie męcząca, by zamulić jej proces myślowy. Gdy dotarła do kuchenki, nie mogła sobie przypomnieć, po co się tam znalazła. Przystawiła umysł na szybsze obroty. Sprzeciw! Tak, to było to! Kuchenka miała ułatwić jej sprzeciw. Włączyła

jedną z dwóch spirali grzejnych.

Nie, Carys, przemówił do niej. To niemądre.

W myślach ujrzała jego twarz. Była olbrzymia i przesłaniała sobą cały pokój. Potrząsnęła głową, by się jej pozbyć, ale nie dało się usunąć tego obrazu. Oprócz tej twarzy pojawiło się jeszcze jedno złudzenie. Czuła zaplatające się wokół niej ramiona - nie był to mocny uścisk, lecz opiekuńcze tulenie. I te ramiona zaczęły ją kołysać.

- Nie należę do ciebie - powiedziała, walcząc z pokusą, by poddać się temu kołysaniu. Gdzieś z tyłu głowy usłyszała piosenkę, jej rytm pasował do tempa usypiającego bujania. Słowa piosenki nie były angielskie, lecz rosyjskie. To kołysanka, wiedziała o tym, nie rozumiejąc słów, a gdy piosenka rozbrzmiewała, gdy się w nią zasluchwała, zniknęły wszystkie bóle. Była znów niemowlęciem tulonym w ramionach - w jego ramionach. Mamoulian bujał ją, nucąc kołysankę.

Za koronkową zasłoną spadającego na nią snu dostrzegła jaskrawy wzór. Choć nie mogła uchwycić znaczenia, pamiętała, że w jakiś sposób była dla niej ważna ta pomarańczowa spirala w pobliżu. Ale cóż mogła oznaczać? Dręczyło ją to pytanie i nie pozwalało zasnąć. Otworzyła więc oczy nieco szerzej, by przyjrzeć się jej porządnie i zrozumieć, czym jest ów wzór, a potem skończyć z tym raz na zawsze.

430

Wyostrzył się obraz kuchenki i rozżarzonej spirali. Migotało rozgrzane powietrze. Teraz dopiero przypomniała sobie, i to wspomnienie całkiem przegnało senność. Wyciągnęła rękę w stronę żaru.

Nie rób tego, radził głos w jej głowie. Zranisz się tylko.

Ale ona wiedziała swoje. Drzemka w jego ramionach była

niebezpieczniejsza niż cały ból, jaki następne chwile miały jej przynieść. Gorąco paliło nieprzyjemnie, choć skóra dłoni wciąż oddalona była o kilka cali od źródła ciepła i na jedną rozpaczliwą chwilę wola Carys zachwiała się.

Zostanie ci blizna na całe życie, powiedział Europejczyk, wyczuwając wahanie dziewczyny.

- Zostaw mnie.

Po prostu nie chcę, byś cierpiała, dziecinko. Zbyt mocno cię kocham. To kłamstwo podziałało jak ostroga. Znalazła w sobie tę brakującą odrobinę odwagi, uniosła dłoń i przycisnęła wewnętrzną stroną do elektrycznej spirali.

Europejczyk krzyknął pierwszy; usłyszała, jak rośnie w niej jego głos, nim sama zaczęła krzyczeć. Oderwała dłoń od kuchenki, gdy w nozdrza uderzył zapach spalenizny. Mamoulian ją opuścił, wyczuła jego ucieczkę. Uczucie ulgi rozlało się po jej organizmie. Potem przyszedł ból, a z nim natychmiastowa ciemność. Lecz nie bała się tej ciemności. Była bezpieczna. Jego w niej nie było.

- Poszedł sobie - powiedziała i upadła.

Gdy odzyskała przytomność, niecałe pięć minut później, jej pierwszą myślą było, że trzyma w ręce garść żyletek.

Doczołgała się do łóżka i złożyła na nim głowę, aż w pełni oprzytomniała. Zebrała się na odwagę i spojrzała na rękę. Na wewnętrznej stronie dłoni miała wyraźnie wypalony wzór, odbicie pierścieni grzejnych kuchenki, spiralny tatuaż. Wstała i podeszła do zlewu, by spłukać ranę zimną wodą. Ten zabieg złagodził nieco ból; oparzenie okazało się mniej poważne, niż można było przypuszczać. Choć dla Carys trwało to wieki,

najprawdopodobniej jej dłoń pozostawała w bezpośrednim kontak-

431

cie z pierścieniem najwyżej przez sekundę, może dwie. Owinęła dłoń jakimś podkoszulkiem Marty'ego. Później przypomniała sobie - pewnie gdzieś to czytała - że oparzenia najlepiej pozostawić nieprzykryte, i ściągnęła prowizoryczny opatrunek. Wyczerpana położyła się na łóżku i czekała, aż Marty przyniesie jej kawałek słonecznej wyspy.

59

Grubo ponad godzinę spędzili chłopcy Wielebnego w pokoju na tyłach domu przy Caliban Street, zatopieni w snach o wodnej śmierci. W tym czasie Mamoulian wyruszył na poszukiwanie Carys, odnalazł ją, po czym został odepchnięty ponownie. Ale odkrył miejsce jej pobytu. Poza tym dowiedział się, że Strauss - człowiek, którego tak głupio zignorował w Sanktuarium - wyszedł właśnie, by zdobyć heroinę dla dziewczyny. Najwyższy czas, pomyślał Mamoulian, skończyć z przesadnym współczuciem.

Czuł się jak zbity pies; wszystko, czego pragnął, to położyć się i umrzeć. Dziś wydawało mu się - zwłaszcza od chwili gdy dziewczyna tak sprytnie go przegoniła - że czuje w kościach każdą godzinę swojego bardzo, bardzo długiego życia. Spojrzał na dłonie, wciąż piekące od oparzenia, które za pośrednictwem Carys stało się i jego udziałem. Może ta dziewczyna w końcu zaakceptuje to co nieuniknione. Finałowa rozgrywka, do której właśnie przystępował, była ważniejsza niż życie

Carys, Straussa, Breera czy tych dwóch idiotów z Memphis, których zostawił pogrążonych w marzeniach dwa piętra niżej.

Zszedł do pokoju Breera. Połykacz Żyłek spoczywał na swym materacu w kącie, z nienaturalnie wygiętą szyją i z podziurawionym brzuchem, i wlepił w Mamouliana swoje spojrzenie obłąkanej ryby. W nogach materaca, przysunięty blisko z powodu zawodzącego Breera wzroku, telewizor plół zwykle telewizyjne głupoty.

433

- Wkrótce wyjeżdżamy - oznajmił Mamoulian.
- Znalazłeś ją?

-Tak. Znalazłem. Ulica nazywa się Bright Street. Dom... - ta myśl wydawała się go bawić - pomalowany jest na żółto. Pierwsze piętro, jak sądzę.

- Bright Street - powtórzył Breer rozmarzonym głosem. -Idziemy więc po nią?
- Nie, nie my.

Breer zwrócił się bardziej w stronę Europejczyka; usztywnił szyję prowizorycznymi szynami, co znacznie utrudniało ruchy.

- Chcę ją zobaczyć - powiedział.
- Przede wszystkim nie powinieneś być pozwolić jej uciec.
- Ale on przyszedł, ten z posiadłości. Mówiłem ci.
- O tak - rzekł Mamoulian. - Mam też pewne zamiary wobec Straussa.
- Czy mogę go dla ciebie odszukać? - spytał Breer. W głowie pojawiły mu się nagle stare obrazy egzekucji, jakby prosto z książki o okropnościach wojny. Jedna czy dwie z nich były wyrazistsze niż

dotychczas, jak gdyby zbliżał się czas ich urzeczywistnienia.

- Nie ma potrzeby - odrzekł Europejczyk. - Mam tu dwóch gorliwych akolitów, którzy palą się do tej roboty.
- Co ja mam w takim razie zrobić? - nadał się Breer.
 - Możesz przygotować dom na nasze odejście. Chcę, żebyś spalił te nieliczne rzeczy, jakie mamy. Chcę, by to wyglądało tak, jakbyśmy nigdy nie istnieli, ani ty, ani ja.
- Koniec jest blisko, prawda?
- Teraz, gdy znam miejsce jej pobytu.
- Ona może uciec.
 - Jest zbyt słaba. Nie będzie w stanie się ruszyć, dopóki Strauss nie przyniesie jej narkotyku. A on oczywiście nigdy tego nie zrobi.
- Każesz im go zabić?
 - Jego i od tej chwili każdego, kto stanie na mojej drodze. Brak mi już sił na współczucie. To był mój częsty błąd: pozwa-

434

lać, by niewinni uciekali. Dostałeś instrukcje, Anthony. Rób, co do ciebie należy.

Opuścił cuchnący pokój i udał się do swoich nowych agentów.

Amerykane podnieśli się z szacunkiem, gdy otworzył drzwi.

- Jesteście gotowi? - spytał.

Blondyn - od początku bardziej uległy niż ten drugi - zaczął znów wypowiadać swoje nieustające podziękowania, lecz Mamoulian go uciszył. Wydał im rozkazy, a oni przyjęli je, jak gdyby rozdawał cukierki.

- W kuchni są noże - powiedział. - Weźcie je i zróbcie z nich

użytek.

Chad uśmiechnął się.

- Chce pan, byśmy żonę także zabili?
- Potop nie zostawia czasu na wybiórcze traktowanie.
 - A jeśli nie zgrzeszyła? - wtrącił Tom, nie bardzo pewny, dlaczego taka myśl w ogóle przyszła mu do głowy.
 - Ależ powiadam wam, zgrzeszyła - zapewnił mężczyzna z błyskiem w oku.

I to chłopcom Wielebnego wystarczyło.

Na piętrze Breer nie bez trudności podźwignął się z materaca i powłókł się do łazienki, by przyjrzeć się sobie w pękniętym lustrze. Z ran dawno przestała sączyć się krew, ale wyglądał okropnie.

- Ogolić się - nakazał sam sobie. - A potem olejek sandałowcy.

Obawiał się, że sprawy toczą się teraz zbyt szybko i że on sam, jeśli nie będzie rozważny, wypadnie poza nawias. Czas zacząć działać na własny rachunek. Znajdzie czystą koszulę, krawat i marynarkę, i uderzy w konkury. Skoro koniec gry jest tak blisko, że należy niszczyć dowody, tedy lepiej się pośpieszyć. Trzeba sfinalizować romans z dziewczyną, nim ta uda się w drogę, którą w końcu odchodzi wszystko, co cielesne.

60

Przejazd przez Londyn zajął znacznie więcej czasu niż trzy kwadranse. Trwał właśnie wielki antynuklearny marsz; poszczególne sekcje pochodu

zbierały się w różnych częściach miasta, następnie maszerowały w kierunku Hyde Parku, by tam spotkać się na tłumnym wiecu. Centrum miasta, w którym nawet w najspokojniejsze dni trudno się poruszać, było dziś tak zakorkowane przez demonstrantów i wstrzymany ruch uliczny, że przejazd był praktycznie niemożliwy. Marty nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki sam nie znalazł się w środku wielkiego korka, a wówczas za późno było na wycofanie się i szukanie objazdu. Przeklinał swą nieuwagę - z pewnością były po drodze policyjne znaki, ostrzegające nadjeżdżających kierowców o ograniczeniach ruchu. Nie zauważył żadnego z nich.

Nic się jednak nie dało zrobić, chyba jedynie porzucić samochód i udać się dalej pieszo albo metrem. Nie uśmiechała mu się żadna z tych opcji. Metro będzie zatłoczone, a spacer w tak upalny dzień z pewnością wycieńczający, Marty zaś potrzebował tych resztek energii, jakie mu zostały. Żył na adrenalinie i papierosach, i to od zbyt długiego już czasu. Był osłabiony. Miał jedynie nadzieję - płonną nadzieję - że przeciwnik jest jeszcze słabszy.

Dopiero grubo po południu dotarł do domu Charmaine. Objechał cały kwartał domów, szukając miejsca do parkowania, w końcu znalazł je w bocznej uliczce. Jego stopy niechętnie wysunęły się z auta; ponizenie, jakiego miał za chwilę doznać, nie było szczególnie pociągające. Lecz Carys czekała.

Drzwi frontowe zastał lekko uchylone. Mimo to nacisnął przycisk dzwonka i czekał na chodniku, zamiast po prostu wejść do środka. Może byli na górze w łóżku albo brali wspólnie prysznic dla ochłody. Wciąż

panował wściekły upał, mimo iż było już późne popołudnie.

W głębi, u wylotu ulicy, pojawiła się furgonetka z lodami i grając nieczysto „Nad pięknym modrym Dunajem”, zatrzymała się przy krawężniku w oczekiwaniu na klientów. Marty rzucił okiem w tamtym kierunku. Walc zdołał zwabić już dwóch klientów. Na moment przyciągnęli uwagę Marty'ego - elegancko ubrani młodzieńcy, zwróceni do niego plecami. Jeden z nich szczyił się jasnopłową czupryną, rozświetloną przez słońce. Odebrali właśnie lody od sprzedawcy, wręczyli mu pieniądze. Zadowoleni, zniknęli za rogiem, nie oglądając się za siebie.

Straciwszy nadzieję, że ktoś odpowie na jego dzwonienie, Marty pchnął drzwi wejściowe. Otworzyły się, dolną krawędzią trąc o matę z włókna kokosowego z wytartym napisem „Witamy”. Broszurka wciśnięta do połowy w otwór na listy wysunęła się i upadła na podłogę przedpokoju wierzchem do dołu. Klapka otworu na listy wróciła na miejsce z głośnym trzaśnięciem.

- Flynn? Charmaine?

Jego głos był intruzem w tym domu, wzniósł się po schodach do góry, gdzie unoszące się w powietrzu pyłki kurzu zbierały światło słoneczne, wpadające przez okno na półpiętrze; pobiegł też do kuchni, gdzie na blacie obok zlewu kwaśniało wczorajsze mleko.

- Jest tu kto?

Stojąc w przedpokoju, usłyszał muchę. Krążyła wokół jego głowy, więc odgonił ją ruchem ręki. Odleciała beztrąsko w kierunku kuchni, najwyraźniej czymś skuszona. Marty podążył za nią, idąc, wołał Charmaine.

Czekała na niego w kuchni. Flynn też. Oboje z poderżniętymi gardłami.

Charmaine osunęła się na podłogę obok pralki. Siedziała zjedną nogą podkurczoną, wpatrując się w ścianę naprzeciw-

437

ko. Flynn znieruchomiał z głową zwieszoną nad zlewem, jakby pochylił się, by przemyć twarz. Złudzenie życia było niemal doskonałe, rozległ się nawet odgłos spadających kropli.

Marty zatrzymał się w drzwiach, podczas gdy mucha, nie tak wybredna jak on, oblatywała kuchnię w ekstazie raz za razem. Marty tylko patrzył. Nic już nie mógł zrobić, mógł tylko patrzeć. Byli martwi. Marty bez zastanowienia wiedział, że zabójcy mieli na sobie szare ubranie i zniknęli za tamtym odległym rogiem, z lodami w dłoniach i przy akompaniamencie walca „Nad pięknym modrym Dunajem”.

Marty'ego nazywali - ci, co w ogóle go jakoś nazywali - Tancerzem z Wandsworth, bo Strauss był Królem Walca. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek powiedział o tym Charmaine, może napisał w którymś z listów? Nie, prawdopodobnie nigdy, a teraz było za późno. Łzy zaczęły kłuć w kącikach oczu. Powstrzymał je. Przesłoniłyby widok, a nie skończył jeszcze patrzeć.

Mucha, która go tu przywiodła, zataczała teraz na powrót ciasne kręgi wokół jego głowy.

- Europejczyk - wyszeptał w jej kierunku. - On ich nasłał. Mucha podniecona zakreśliła zygzak w locie.
- Jasne, że on - zabzyczała.
- Zabiję go.

Mucha roześmiała się.

- Nie masz pojęcia, kim on jest. Może być samym diabłem.

- Pieprzona mucha. Co ty możesz wiedzieć?
- Nie wywyższaj się. Stąpasz po gównie, tak samo jak ja. Patrzył, jak mucha krąży, szukając miejsca, by gdzieś przysiąść. Wylądowała w końcu na twarzy Charmaine. To było nieludzkie, że ta nie uniosła ręki, by ją przepędzić; straszne, że po prostu siedziała tam z podkurczoną nogą, z poderżniętym gardłem, i pozwalała musze łązić po swoim policzku, wchodzić do oka, do nozdrzy, ucztować to tu, to tam beztróska.

Mucha miała rację. Marty był ignorantem. Jeśli mają przeżyć, on musi dokopać się do tajemnego życia Mamouliana, ponieważ ta wiedza da im siłę. Carys miała rację. Nie można po prostu zamknąć oczu i odwrócić się do Europejczyka ple-

438

cami. Jedyne sposob, by się od niego uwolnić, to poznać go; przyglądać mu się tak długo, jak długo na to pozwoli odwaga, i ujrzeć go w każdym upiornym szczególe.

Zostawił kochanków w kuchni i ruszył na poszukiwanie heroiny. Nie musiał szukać długo. Pacuszka była w wewnętrznej kieszeni marynarki Flyna, niedbale rzuconej na sofę w pokoju od frontu. Wsunąwszy narkotyk do kieszeni, Marty podszedł do drzwi wejściowych, świadom, że wyjście z tego domu na słoneczne światło dnia jest równoznaczne ze ściąganiem na siebie oskarżenia o morderstwo. Zostanie zauważony i z łatwością rozpoznany, policja znajdzie się na jego tropie w ciągu kilku godzin. Lecz nie było na to rady, ucieczka tylnymi drzwiami wyglądałaby równie podejrzanie. Przy drzwiach schylił się i podniósł broszurkę, która wypadła z otworu na listy. Widniała na niej uśmiechnięta twarz

kaznodziei, niejakiego Blissa, stojącego z mikrofonem w dłoni i oczyma wzniesionymi ku niebu. *Przylącz się* - głosił nagłówek. - *Poczuj moc Boga w działaniu. Wsłuchaj się w Słowo! Poczuj Ducha!* Wsunął ją do kieszeni, by później przeczytać dokładniej.

W drodze powrotnej do Kilburn zatrzymał się przy budce telefonicznej i zgłosił dwa morderstwa. Zapytany, kim jest, powiedział prawdę, przyznając się na dodatek do pogwałcenia reguł zwolnienia warunkowego. Gdy kazano mu się zgłosić na najbliższy posterunek policji, odpowiedział, że zrobi to, ale wpierw musi załatwić pewną sprawę osobistą.

Gdy wracał do Kilburn zaśmieconymi po marszu ulicami, jego umysł analizował każdy potencjalny trop, mogący prowadzić do miejsca pobytu Whiteheada. Gdziekolwiek przebywa obecnie ten człowiek, tam prędzej czy później zjawi się Ma-moulian. Marty mógłby oczywiście spróbować namówić Carys, by zaprowadziła go do ojca. Ale miał do niej inną prośbę, taką, która może będzie wymagała czegoś więcej niż zwykłej perswazji, by uzyskać zgodę dziewczyny na jej spełnienie. Będzie więc musiał zlokalizować starego na własną rękę.

I kiedy, wracając, zobaczył drogowskaz do Holborn, przypomniał sobie o panu Halifaksie i jego truskawkach.

61

Marty poczuł zapach Carys, gdy tylko otworzył drzwi, ale przez kilka sekund brał go za woń gotującej się wieprzowiny. Dopiero gdy podszedł bliżej łóżka, zauważył oparzenia na jej dłoni.

- Nic mi nie jest - zapewniła bardzo spokojnie.
- Był tutaj. Skinęła głową.
- Ale już go nie ma.

- Nie zostawił dla mnie żadnych wiadomości? - spytał z cierp-
kim uśmiechem.

Usiadła. Coś z nim było straszliwie nie tak. Miał dziwny głos i twarz
koloru rybiego mięsa. Nie zbliżał się do niej, jakby miał się rozpaść na
kawałki od najbliższego dotknięcia. Przyglądając mu się, niemal
zapomniała o głodzie, który wciąż ją trawił.

- Wiadomości - zdziwiła się - dla ciebie? - Nie rozumiała. - Dlaczego?

Co się stało?

- Oni nie żyją.

- Kto?

- Flynn. Charmaine. Ktoś poderzwał im gardła.

Jego twarz marszczyła się jak w ataku płaczu. To był nadir ich losu. Niżej
nie mogli już upaść. - Och, Marty...

- Wiedział, że wrócę do domu - rzekł.

Próbowała dopatrzeć się w jego głosie oskarżycielskiego tonu, ale nie
znalazła go. A jednak zaczęła się bronić.

440

- To nie moja wina. Nawet nie wiem, gdzie mieszkasz.

- Och, ale on wie. Zdaje się, że bardzo dba o to, by wiedzieć wszystko.

- Dlaczego ich zabił? Nie widzę w tym żadnego sensu.

- Pomylił osobę.

- Breer cię zna.

- To nie Breer to zrobił.

- Widziałeś kto?

- Tak mi się wydaje. Dwaj gówniarze. - Wyjął z kieszeni broszurkę

znalezioną za drzwiami domu. Domyślał się, że to zabójcy przynieśli ją ze sobą. Coś w ich eleganckich garniturach i w tym błysku aureoli blond włosów wskazywało na chodzących od drzwi do drzwi kaznodziejów, zabójców o świeżych twarzach. Czy Europejczyk nie byłby zachwycony takim paradoksem?

- Popelnili błąd - powiedział, zrzucając marynarkę i rozpinając guziki przepoconej koszuli. - Po prostu przyszedli do mojego domu i zamordowali pierwszego napotkanego mężczyznę i pierwszą napotkaną kobietę. Tyle że to nie byłem ja, tylko Flynn. - Wyciągnął koszulę ze spodni i zrzucił ją z siebie. - To takie proste, no nie? On nie przejmuje się prawem - wydaje mu się, że jest ponad tym wszystkim. Marty z całą mocą uświadomił sobie, jakie to wszystko jest pełne przewrotnej ironii. Oto on, były skazaniec, gardzący wszelkimi mundurami, ucieka się teraz do idei prawa. To nie było piękne schronienie, ale najlepsze, jakim dysponował w tym momencie. - Kim on jest, Carys? Co czyni go tak przekonanym o swej nietykalności?

Wpatrywała się w płomienną twarz Wielebnego. „Chrzest w Duchu Świętym!” - obiecywał Bliss radośnie.

- Jakie to ma znaczenie, kim on jest? - spytała.
- Bo inaczej koniec z nami.

Nie zareagowała na te słowa. Podeszedł do zlewu i zimną wodą ochlapał twarz i klatkę piersiową. Jeśli chodzi o Europejczyka, byli jak owce w zagrodzie. Nie tylko w tym pokoju, w jakimkolwiek pokoju.

Gdziekolwiek się przed nim schowają, znajdzie w końcu ich kryjówkę i przyjdzie po nich. Może i odbędzie się krótka walka - Marty zastanawiał się, czy owce

stawiają opór, gdy zbliża się ich egzekucja. Powinien był zapytać muchy. Mucha by to wiedziała.

Odwrócił się od umywalki z podbródkiem ociekającym wodą i spojrzał na Carys. Patrzyła w podłogę, drapała się.

- Idź do niego - powiedział prosto z mostu.

Jadąc tu samochodem, rozważał na dziesiątki sposobów, jak zacząć tę rozmowę, lecz czy rzeczywiście osładzanie gorzkiej pigułki miałoby sens?

Skierowała na niego swój pusty wzrok.

- Co powiedziałeś?

- Idź do niego, Carys. Wejdź w niego, tak jak on wchodził w ciebie.

Odwróć proces.

Omal nie wybuchnęła śmiechem; szyderczy grymas zaczął wypływać na jej twarz w odpowiedzi na tę obrzydliwą propozycję.

- W niego? - powtórzyła. - Tak.

- Jesteś szalony.

- Nie możemy pokonać tego, czego nie znamy. Nie poznamy zaś, dopóki nie zobaczymy. Możesz to zrobić, możesz to: ić dla nas obojga. - Ruszył przez pokój w jej stronę, ale ona znów spuściła głowę. - Odkryj, kim on jest. Czym on jest. Znajdź jego słaby punkt, choćby cień słabości, coś, co pomoże nam przetrwać.

-Nie.

- Bo jeśli tego nie zrobisz, cokolwiek spróbujemy uczynić, dokądkolwiek spróbujemy pójść, on tam przyjdzie, on albo któryś z jego pomagierów, i poderżnie mi gardło, tak jak zro

bił to Flynnowi. A ty? Bóg wie, czy nie będziesz życzyła sobie umrzeć w taki sposób jak ja. - To były brutalne słowa i czuł się zbrukany samym ich wypowiedzeniem, ale wiedział, jak żarliwie Carys będzie się opierać. Jeśli groźby nie pomogą, nadal ma heroinę. Przykucnął przed dziewczyną i spojrzał jej w oczy.

- Przemyśl to, Carys. Daj szansę temu pomysłowi.

Jej twarz stężała.

442

•Widziałeś jego pokój - rzekła. - To byłoby tak, jakbym sama zamknęła się w wariatkowie.

•On się nawet nie zorientuje - powiedział. - Nie będzie na to przygotowany.

-Nie zamierzam dyskutować na ten temat. Daj mi herę, Marty.

Podniósł się z kucek, z rozluźnioną twarzą. Nie zmuszaj mnie, bym był okrutny, pomyślał.

•Po prostu chcesz dać sobie w żyłę, a ja mam czekać, tak? Czy o to chodzi?

•Tak - odparła słabym głosem. Po chwili powtórzyła bardziej stanowczo: - Tak.

•Czy według ciebie tylko tyle jesteś warta?

Nie odpowiedziała. Nic nie można było wyczytać z jej twarzy.

•Jeśli tak uważasz, to dlaczego poparzyłaś sobie rękę?

•Nie chciałam odchodzić. Nie chciałam, dopóki... cię znowu nie zobaczę. Dopóki znów nie będę z tobą. - Drżała, mówiąc te słowa. - I

tak z nim nie wygramy.

- Skoro nie możemy wygrać, to co mamy do stracenia?
- Jestem zmęczona - rzekła, kręcąc głową. - Daj mi herę. Może pomówimy o tym jutro, kiedy będę czuła się lepiej. - Spojrzała na niego oczyma błyszczącymi w sinych obwódkach oczodołów. - A teraz daj mi herę!
- I wtedy będziesz mogła o tym wszystkim zapomnieć, tak?
- Marty, proszę cię, przestań... To popsuje... - Przerwała nagle.
- Co popsuje? Nasze ostatnie kilka godzin razem?
- Potrzebuję działki, Marty.
- To bardzo wygodne. Masz gdzieś to, co stanie się ze mną. - Nagle stało się bezdyskusyjnie prawdziwe, że ona nie przejmuje się jego cierpieniem. Wdarł się do życia Carys, a teraz, gdy już dostarczył dziewczynie narkotyk, mógł rozpląnąć się w powietrzu i pozostawić ją jej snom. Chciał ją uderzyć. Odwrócił się, by tego nie zrobić.

443

Za jego plecami odezwała się:

- Moglibyśmy oboje wziąć działkę, ty też, Marty, czemu nie?

Potem bylibyśmy razem.

Nie odpowiadał przez długą chwilę. W końcu przemówił:

- Nie będzie działki.
- Marty?
- Nie będzie działki, dopóki do niego nie pójdziesz.

Trwało kilka sekund, nim w pełni uświadomiła sobie, co oznacza ten szantaż. Czy kiedyś, dawno temu, nie powiedziała sama sobie, że Marty

rozczarowuje ją, ponieważ spodziewała się kogoś brutalniejszego? Zrobiła to w złą godzinę.

- On zauważy - szepnęła. - Zauważy, gdy tylko się do niego zbliżę.

- Podejść dyskretnie. Potrafisz, wiesz, że potrafisz. Jesteś sprytna.

Wystarczająco często wkradałaś się do mojej głowy.

- Nie mogę - protestowała. Czy on nie rozumie, o co prosi?

Skrzywił się, westchnął i podszedł do swojej marynarki,

która leżała na podłodze, tam gdzie ją rzucił. Pogrzebał chwilę w kieszeni,

aż znalazł heroinę. Była to żałośnie mała paczuszka, a jeśli dobrze znał

Flynną, heroina nie była czysta. Ale to teraz jej zmartwienie, nie jego.

Carys wpatrywała się w paczuszkę jak zahipnotyzowana.

- Jest twoja - powiedział i rzucił narkotyk w jej kierunku;

heroina upadła na łóżko obok dziewczyny. - Poczęstuj się.

Nadal wpatrywała się w jego pustą teraz dłoń. Przerwał to, schylając się po swoją przepoconą koszulę i wkładając ją na siebie.

- Dokąd idziesz?

- Widziałem cię już naćpaną. Słyszałem bzdury, jakie wtedy wygadujesz. Nie chcę cię takiej zapamiętać.

- Muszę wziąć.

Nienawidziła go w tej chwili. Patrzyła, jak stoi pośrodku plamy popołudniowego słońca, z obnażonym brzuchem i klatką piersiową, i nienawidziła każdego włókna jego mięśni. Mogła zrozumieć szantaż.

Choć okrutny, służył konkretnemu celowi. Ta dezercja jednak była o wiele gorszą sztuczką.

- Nawet gdybym miała zrobić tak, jak mówisz... - zaczęła; zdawała się kurczyć pod naporem tej myśli - ...i tak niczego się nie dowiem.

Wzruszył ramionami.

- Posłuchaj, dostałaś działkę - powiedział. - Masz, czego chciałaś.

• A ty? Czego ty chcesz?

• Chcę żyć. I uważam, że mój pomysł to nasza jedyna szansa.

Ale ta szansa byłaby i tak znikoma; za ledwie wąziutką szczeliną w ścianie, przez którą, jeśli los by im sprzyjał, mogliby się wymknąć.

Rozważała opcje. Dlaczego w ogóle się nad tym zastanawia, tego nie była pewna. Kiedy indziej pewnie powiedziałyby: z miłości. W końcu odezwała się.

- Wygrałeś.

Siedział i obserwował, jak Carys przygotowuje się do czekającej ją podróży. Najpierw się umyła. Nie tylko twarz, lecz całe ciało, stojąc na rozpostartym na podłodze ręczniku, przy małej umywalce w kącie, z piecykiem gazowym, huczącym podczas nalewania wody do miednicy. Obserwując dziewczynę, miał erekcję i zawstydził się w pierwszej chwili, że myśli o seksie, gdy tak ważne rzeczy mają się rozstrzygnąć. Ale to były tylko purytańskie brednie; powinien czuć to, co czuł w danym momencie. Ona go tego nauczyła.

Gdy skończyła się myć, włożyła majtki i podkoszulek. Zauważył, że to samo miała na sobie, gdy on zjawił się na Caliban Street: proste, niekrępujące ubranie. Usiadła na krześle. Jej ciało pokryła gęsia skórka. Marty chciał, by mu wybaczyła, by powiedziała, że jego manipulacje były usprawiedliwione i - cokolwiek stanie się od tej chwili - rozumie, że on

działał w dobrej wierze. Ale ona nie zaoferowała mu takiego rozgrzeżenia. Oznajmiła tylko:

- Sądzę, że jestem gotowa.
- Co mam robić?
- Bardzo niewiele - odparła. - Ale bądź tutaj, Marty.

445

- A jeśli... no wiesz... jeśli coś pójdzie nie tak? Czy potrafię ci pomóc?
- Nie - odparła.
- Skąd będę wiedział, że tam jesteś?

Popatrzyła na niego, jakby to było pytanie idioty, i powiedziała:

- Będiesz wiedział.

62

Nie było trudno znaleźć Europejczyka; jej umysł pomknął ku niemu z niepokojącą gotowością, jakby wpadał w ramiona odnalezionego po latach krajana. Wyraźnie czuła przyciąganie z jego strony, ale przyjęła, że nie jest to zamierzony magnetyzm. Gdy jej myśl dotarła na Caliban Street i weszła do pokoju na najwyższym piętrze, potwierdziły się podejrzenia Carys co do bierności Mamouliana. Europejczyk leżał na nagich deskach podłogi w pozie dobitnie wskazującej na wyczerpanie. Może, pomyślała, mimo wszystko uda mi się to zrobić. Jak uwodzicielska kochanka podpetzła do jego boku i wślizgnęła się do wnętrza.

Zamruczała.

Marty wzdrygnął się. W jej gardle coś się poruszało, a skóra na nim była

tak cienka, że niemal widać było, jak formują się w nim słowa. Mów do mnie, próbował nakłonić ją siłą woli. Powiedz, że wszystko w porządku. Ciało Carys zeszywniało. Dotknął jej. Mięśnie dziewczyny były jak z kamienia, jakby spojrzała w oczy bazyliuszka.

- Carys?

Zamruczała ponownie, jej gardło pulsowało, ale nie wydobyło się z niego żadne słowo, tylko oddech.

- Słyszysz mnie?

Nawet jeśli słyszała, nie okazała tego. Sekundy przeszły w minuty, a ona nadal była jak ściana, jego pytania rozbijały się o nią i wpadały w otchłań milczenia.

447

I wtedy się odezwała:

- Jestem tutaj. - Jej głos był nierzeczywisty. Jak obcojęzycz na stacja radiowa przypadkiem znaleziona na skali odbiornika. Słowa dochodziły z jakiegoś niemożliwego do zidentyfikowania miejsca.

- Z nim? - spytał.

-Tak.

Teraz żadnych wahań, pouczył sam siebie. Poszła do Europejczyka, tak jak on, Marty, ją prosił. Teraz musi użyć jej odwagi tak skutecznie, jak to tylko możliwe, i przywołać ją z powrotem, nim stanie się coś złego. Na początek zadał najtrudniejsze pytanie i zarazem takie, na które odpowiedzi najbardziej potrzebował.

•Kim on jest, Carys?

•Nie wiem - powiedziała.

Wysunęła na moment koniuszek języka, by rozprowadzić warstewkę śliny na wargach.

- Jest tak ciemno - wyszeptała.

Rzeczywiście było w nim ciemno - ta sama namacalna ciemność, co w pokoju przy Caliban Street. Ale cienie tutaj, przynajmniej w tym momencie, były bierne. Europejczyk nie spodziewał się intruzów. Nie postawił żadnych strachów na straży u bram swego umysłu. Weszła głębiej w jego głowę. Strzałki światła rozbłysły w rogach pola widzenia jej umysłu, jak kolory, które pojawiają się po potarciu oczu palcami, tylko mocniejsze i bardziej krótkotrwałe. Pojawiały się i znikwały tak szybko, że nie była pewna, czy coś w nich widzi lub czy dostrzega coś w ich świetle, ale w miarę jak posuwała się naprzód, a rozbłyski stawały się częstsze, zaczęła zauważać określone wzory: przecinki, kratki, paski, kropki, spirale.

Głos Marty'ego przerwał tę feerię - jakieś głupie pytanie, na które nie miała cierpliwości odpowiadać. Zignorowała je. Niech poczeka. Układ światel stawał się coraz bardziej zawiły, wzory zapładniały się wzajem, zyskiwały głębię i ciężar. Teraz zdawało jej się, że widzi tunele i toczące się sześciany; całe morza falującego światła; otwierające się i zamykające

448

szczeliny; deszcze białego szumu. Obserwowała zauroczona sposobem, w jaki te zjawiska rosną i powielają się, a świat jego myśli wyświetlał się na migotliwym niebie nad jej głową i stamtąd deszczem spływa na nią i wokół niej. Olbrzymie bloki zachodzących na siebie geometrycznych brył o wadze małych księżyców grzmiąły, wisząc kilka cali nad sklepieniem jej czaszki.

Nagle zjawiska zniknęły. Wszystkie. Znow ciemność, równie nieustępliwa

jak poprzednio, napierała na nią ze wszystkich stron. Przez moment miała uczucie, że się dusi; w panice zaczęła łapczywie chwytać ustami powietrze.

- Carys?

- Nic mi nie jest - odparła szeptem dalekiemu rozmówcy. Był oddalony od niej o cały świat, a mimo to troszczył się o nią, a przynajmniej tak to niewyraźnie zapamiętała.

- Gdzie jesteś? - dopytywał się.

Nie miała pojęcia, jak odpowiedzieć na to pytanie, więc pokręciła tylko głową. W którą stronę ma iść, czy w ogóle powinna iść dalej? Czekwała w ciemnościach, przygotowując się na to, co miało zaraz nastąpić.

Nagle znów pojawiło się światło, na horyzoncie. Tym razem - w tym drugim przedstawieniu - wzory stały się bryłami. Zamiast spirali widziała teraz wznoszące się ku niebu kolumny rozżarzonego dymu. W miejsce mórz światła - krajobraz z pręgami słonecznych promieni, znaczącymi stoki odległych wzgórz. Ptaki ulatywały na płonących skrzydłach, po czym zmieniały się w karty ksiąg, trzepotały w płomieniach buchających naraz ze wszystkich stron.

- Gdzie jesteś? - pytał znów Marty.

Gałki oczne poruszały się z obłąkańczą prędkością pod zamkniętymi powiekami Carys, jej wzrok chłonał rozrastający się pejzaż. Marty nie mógł dzielić z nią żadnego z tych doznań inaczej niż poprzez jej słowa, lecz ona oniemiała - nie wiedział, czy z podziwu, czy ze strachu.

Były też dźwięki. Nie za dużo; wzniesienie, po którym stąpała, doświadczyło zbyt wielu zniszczeń, by krzyczeć. Jego

życie niemal całkiem zgasło. Ciała ścielące się pod stopami były tak straszliwie zdeformowane, jakby spadły z samego nieba. Widziała też broń, konie, koła. Czowała się jak na pokazie upiornych fajerwerków, a żadnego obrazu nie ujrzała więcej niż jeden raz. W chwilach ciemności pomiędzy jednym wybuchem światła a drugim zmieniał się cały pejzaż. Oto ona stoi na otwartej drodze, a ku niej, zawodząc, biegnie naga dziewczynka. W następnej chwili, już jest na wzgórzu, spoglądając przez obłok dymu na zrównaną z ziemią dolinę. Teraz znów zagajnik srebrzystych brzoź, lecz po chwili już go nie ma. Są ruiny, bezgłowy mężczyzna na czworakach; i naraz to wszystko znika. Lecz zawsze gdzieś blisko jest pożar; sadze i wrzaski zanieczyszczają powietrze; wrażenie niezmordowanego pościgu. Czowała, że to może trwać w nieskończoność, te zmieniające się sceny przed jej oczyma - w jednej chwili krajobraz, w drugiej okrucieństwo - a nie miała czasu, by odkryć, co łączy te tak różne obrazy.

Nagle, równie gwałtownie jak przy znikaniu pierwszych wzorów, skończyły się pożary i wszędzie wokół niej znowu zapanowały ciemności.

- Gdzie jesteś?

Odnalazł ją głos Marty'ego, który był tak wzburzony w swym braku orientacji, że zdecydowała odpowiedzieć na jego pytanie.

- Życie się we mnie ledwie tli - powiedziała bardzo cicho.
- Carys? - Przerazało go, że wołając ją po imieniu, może zaalarmować Mamouliana, ale musiał wiedzieć, czy dziewczyna mówi we własnym imieniu, czy to Europejczyk przez nią przemawia.
- Nie jestem Carys - odparła. Jej usta zdały się tracić swój pełny kształt; wargi poczęły się zwężać. To były usta Mamouliana, nie jej.

Uniosła rękę z uda, jak gdyby zamierzała dotknąć twarzy.

- Prawie trup - powiedziała znowu. - Przegrana bitwa, rozumiesz. Cała ta cholerna wojna przegrana.
- Która wojna?

450

- Przegrana od samego początku. Nie żeby to miało jakieś znaczenie, nie, nie. Poszukam sobie innej wojny. Zawsze się jakaś znajdzie.

- Kim jesteś? Zmarszczyła brwi.

- A tobie co do tego? - warknęła. - Nie twój interes.
- Nieważne - odparł Marty. Bał się naciskać pytaniami zbyt mocno. Ale jak się okazało, odpowiedź przyszła z następnym oddechem.
- Nazywam się Mamoulian. Jestem sierżantem trzeciego korpusu fizylierów. Poprawka: byłem sierżantem.
- Teraz już nie?
- Nie, teraz już nie. Teraz jestem nikim. Bezpieczniej jest być nikim w dzisiejszych czasach, nie uważasz?

Jego ton był dziwnie swobodny, jakby Europejczyk doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje, i zdecydował się porozmawiać z Martym za pośrednictwem Carys. Czyżby kolejna gra?

- Gdy pomyślę o rzeczach, które robiłem - powiedział -by trzymać się z dala od kłopotów! Jestem tchórzem, rozumiesz? Zawsze taki byłem. Nie znoszę widoku krwi. - Zaczął śmiać się w Carys szyderym, niekobiecy m śmiechem.
- Jesteś człowiekiem? - dziwił się Marty. Z trudem wierzył w to, co

słyszcy. Nie było zatem diabła ukrytego w korze mózgowej Europejczyka, tylko ten na poły obłąkany sierżant, zagubiony na jakimś polu bitwy. - Tylko człowiekiem? - powtórzył.

- A kim chcesz, żebym był? - błyskawicznie zripostował sierżant. - Z radością się dostosuję. Wszystko, byle wydostać się z tego gówna.
- Jak ci się wydaje, z kim rozmawiasz?

Sierżant zmarszczył brwi Carys, nie mogąc znaleźć odpowiedzi na to pytanie.

- Tracę rozum - powiedział z bólem. - Co chwila mówię sam do siebie, już od wielu dni. Bo widzisz, nikt poza mną nie przeżył. Trzeci korpus wybity. Tak samo czwarty. I piąty. Wszystkich pochłonęło piekło! - Przerwał i zrobił skwaszoną

451

minę. - Nie mam z kim grać w karty, do cholery. Nie mogę przecież grać z nieboszczykami. Nie mają nic, co chciałbym od nich wygrać... - Głos osłabł, aż całkiem ucichł.

- Co to za dzień?
- Któregoś tam października, chyba - przemówił ponownie sierżant. - Straciłem rachubę czasu. W każdym razie nocami jest kurewsko zimno, tyle ci mogę powiedzieć. Tak, musi być co najmniej październik. Wczoraj wiatr niósł śnieg. A może to było przedwczoraj?

- Który to rok?

Sierżant roześmiał się.

- Aż tak nie zwariowałem - powiedział. - Tysiąc osiemset jedenasty. Zgadza się. Dziewiątego października skończę trzy

dzieści dwa lata. A nie wyglądam na więcej niż czterdzieści.

1811. Jeśli sierżant odpowiedział zgodnie z prawdą, Mamo-ulian będzie miał teraz dwa wieki.

- Jesteś pewien? - dopytywał się Marty. - Czy to na pewno rok tysiąc osiemset jedenasty?
- Stul pysk! - usłyszał w odpowiedzi.
- Co jest?
- Mamy kłopoty.

Carys przycisnęła ramiona do klatki piersiowej, jakby coś ją dusiło. Czowała się osaczona - nie była jednak pewna przez co. Otwarta droga, na której stała, zniknęła, i nagle Carys poczuła, że leży gdzieś w ciemnościach. Ciepłej tu niż na drodze, ale nie jest to przyjemne ciepło. Cuchnie padliną. Splunęła, nie raz, ale trzy, może cztery razy, by pozbyć się plugastwa z ust. Gdzie ona jest, na litość boską?

Gdzieś w pobliżu usłyszała zbliżające się konie. Odgłos kopyt był przytłumiony, ale wywołał w niej, a raczej w mężczyźnie, którego umysł okupowała, panikę. Na prawo od niej ktoś jęknął.

- Szsz... - syknęła. Czy ten jęczący nie słyszy koni? Odkryją ich; i chociaż nie wiedziała dlaczego, była pewna, że to odkrycie okaże się dla nich zabójcze.
- Co się dzieje? - zapytał Marty.

452

Nie odważyła się odpowiedzieć. Jeźdźcy byli zbyt blisko, by ważyła się na wypowiedzenie choćby słówka. Słyszała, jak zsiadają z koni i zbliżają się do jej kryjówki. Bezgłośnie powtarzała modlitwę. Jeźdźcy rozmawiali

teraz między sobą; to żołnierze, odgadła. Pokłócili się, kto ma wykonać jakieś odrażające zadanie. Może, modliła się, poniechają poszukiwań, nim je na dobre rozpoczną. Spór zakończono i kilku z nich, stękając i marudząc, zabrało się do roboty. Słyszała, jak podnoszą worki i rzucają je na dół. Tuzin worków; dwa tuziny. Do miejsca, w którym leżała, prawie nie oddychając, wdarło się światło. Usunięto więcej worków; padało na nią coraz więcej światła. Otworzyła oczy i wreszcie poznała, jakie schronienie obrał dla siebie sierżant.

- Wielki Boże - powiedziała.

To nie worki leżały wokoło, lecz trupy. Ukrył się pod stertą zwłok. Ciepło ich rozkładu sprawiło, że się spociła.

Teraz żołnierze rozbierali stertę, kłując każde z wyciąganych z niej ciał, by pośród zmarłych odnaleźć tych, którzy wciąż żyli. Kilku oddychających wskazano oficerowi. Uznał wszystkich za nierokujących nadziei na wyzdrowienie: pozbyto się ich niezwłocznie. Sierżant, uprzedzając moment, w którym bagnet przebije jego skórę, sam przeturlał się, by się ujawnić.

- Poddaję się - powiedział.

Dźgnęli go w bark mimo to. Zawył z bólu. Carys również.

Marty wyciągnął rękę, by jej dotknąć; ból miała wypisany na twarzy koślawym pismem. Ale Marty okazał dość rozsądku, by nie ingerować w tym najwyraźniej kluczowym momencie; mógł więcej zaszkodzić, niż pomóc.

• Proszę, proszę - powiedział z wysokości końskiego grzbietu oficer. -

Na martwego za bardzo mi nie wyglądasz.

• Przyzwyczajalem się - ripostował sierżant.

Za ten dowcip nagrodzono go kolejnym dźgnięciem. Sądząc po wyglądzie otaczających go ludzi, miał szczęście, że uniknął wyprucia wnętrzości. Byli przygotowani na jakąś rozrywkę.

- Nie umrzesz - orzekł oficer, poklepując swego wierzchowca po lśniącej szyi. Obecność takiej ilości gnijących ciał drażni-

453

ła tego rumaka czystej krwi. - Potrzebujemy najpierw odpowiedzi na kilka pytań. Potem i dla ciebie znajdzie się miejsce w dole.

W tyle za zwieńczoną pióropuszem głową oficera niebo pociemniało. Jeszcze w czasie trwania jego przemowy scena utraciła spójność, jakby Mamoulian zapomniał, co działo się potem.

Oczy Carys znów poczęły błądzić pod powiekami w prawo i w lewo. Spadła na nią nowa plątanina wrażeń, w której obrazy nakreślone były z absolutną precyzją, ale następowały po sobie zbyt szybko, by dziewczyna mogła uchwycić ich sens.

- Carys. Czy wszystko w porządku?

- Tak, tak - rzekła bez tchu. - To tylko chwile... Żywe chwile. Zobaczyła pokój, krzesło. Poczowała pocałunek, uderzenie w twarz. Ból, ulga, znowu ból. Pytania, śmiech. Nie miała pewności, ale domyśliła się, że pod presją sierżant powiedział wrogom wszystko, co chcieli wiedzieć, a nawet więcej. Jedna doba przechodziła w następną w czasie pojedynczego uderzenia serca. Pozwoliła dniom przelewać się przez palce, wyczuwając, że śniący umysł Europejczyka mknie z coraz większą prędkością ku jakiemuś krytycznemu zdarzeniu. Najlepszym rozwiązaniem było dać mu się prowadzić; on lepiej niż ona znał znaczenie tego zejścia.

Podróż zakończyła się zaskakująco nagle i niespodziewanie.

Niebo o barwie zimnego żelaza rozpostarło się nad głową Carys. Śnieg spływał z niego - leniwe opadanie gęsiego puchu, który miał grzać, przyprawiał o ból kości. W klaustrofobicznie ciasnym, przegrzanym pokoiku, gdzie Marty pocił się, pomimo że był nagi od pasa w górę, Carys zaczęła dzwonić zębami.

Ci, którzy pojмали sierżanta, zakończyli swoje przesłuchania, jak się wydawało. Powiedli go wraz z pięcioma innymi obszarpanymi jeńcami na mały czworokątny dziedziniec. Rozejrzał się wokoło. Dziedziniec przynależał do monasteru, a przynajmniej do zabudowań, które były monasterem, zanim zajęło je wojsko. Jeden, może dwóch skrytych w cieniu klasztornej krużganku

454

mnichów z wyrazem filozoficznej zadumy na twarzach obserwowało rozwój wypadków na podwórku.

Śnieg padał na sześciu więźniów, czekających w szeregu. Nie zostali związani. Z tego placu nie było ucieczki. Sierżant, na końcu szeregu, ogryzał paznokcie i usiłował nie poddać się przygnębieniu. Umrą tutaj, to nieuniknione. Nie byli pierwsi - tego popołudnia już wykonano tu egzekucję. Pod murem leżały ciała pięciu mężczyzn - starannie ułożone czekały na pośmiertną inspekcję. Odrąbane głowy złożono im - w geście ostatecznego poniżenia - na łędźwiach. Z otwartymi oczyma, jak gdyby zaskoczeni śmiertelnym ciosem, patrzyli na padający śnieg, na okna, na jedyne drzewo, zasadzone w jedynym pośród bruku kwadracie gołej ziemi. Latem z pewnością dawało owoce, ptaki oddawały się na nim swym bezsensownym śpiewom. Teraz było bezlistne.

- Zabiją nas - poinformowała rzeczowo Carys.

Wszystko odbywało się w całkowicie bezceremonialny sposób.

Dowodzący oficer, z futrem zarzuconym na ramiona, stał tyłem do skazańców i grzał dłonie nad buchającym płomieniami koksownikiem. Obok niego przystanął kat z opartą nonszalancko na ramieniu zakrwawioną szablą. Był to gruby mężczyzna o powolnych ruchach drwala; śmiał się teraz z żartów oficera i wychylił kubek jakiegoś rozgrzewającego napoju, nim powrócił do swego zajęcia.

Carys uśmiechnęła się.

- Co się teraz dzieje?

Nie odpowiedziała. Jej oczy spoczywały na mężczyźnie, który miał ich zabić; nie przestawała się uśmiechać.

- Carys. Co się dzieje?

Żołnierze ustawili się wzdłuż szeregu skazańców i zmusili ich do klęknienia na środku dziedzińca. Carys schyliła głowę, odsłaniając kark.

- Umrzemy - wyszeptała do dalekiego powiernika.

Na drugim końcu szeregu kat uniósł miecz i opuścił go, dokonując jednego, fachowego cięcia. Głowa jeńca odskoczyła od jego szyi, odepchnięta, jak się wydawało, przez gejzer

455

krwi, której czerwień jaskrawo odcinała się od szarych murów i od bieli śniegu. Głowa upadła twarzą w dół, potoczyła się kawałek i znieruchomiła. Ciało skuliło się na ziemi. Kątem oka Mamoulian obserwował wypadki, starając się nie szczekać zębami. Nie bał się i nie chciał, by tamci pomyśleli, że się boi. Następny w kolejności skazaniec zaczął wrzeszczeć. Dwaj żołnierze przystąpili do niego i przytrzymali go,

gdy tylko oficer wypluł w ich kierunku stosowny rozkaz. Nagle, po ciszy, w której słyhać było, jak płatki śniegu spadają na ziemię, szereg eksplodował błaganiami i modlitwami - to trwoga tamtego mężczyzny otworzyła śluzy. Sierżant nie odezwał się ani słowem. To szczęście, że umierają w takim pięknym stylu, pomyślał; ścięcie było zarezerwowane dla arystokratów i oficerów. Wszystko dlatego, że rosnące tu drzewo nie było jeszcze dość wysokie, by powiesić na nim dorosłego mężczyznę. Mamouliau obserwował, jak szabla spada po raz drugi. Zastanawiał się, czy zaraz po śmierci język nadal się porusza, przylegając do schnącego podniebienia w odciętej głowie nieboszczyka.

- Nie boję się - powiedział. - Jaki pożytek ze strachu? Nie można go kupić, nie można go sprzedać, nie można się z nim kochać. Nie możesz nawet się w niego przyodziać, gdy zedrą z ciebie koszulę i jest ci zimno.

Głowa trzeciego więźnia potoczyła się po śniegu, potem czwartego. Zaśmiał się jakiś żołnierz. Krew dymiała. Jej zapach wydawał się apetyczny człowiekowi, który nie jadł od tygodnia.

- Nie tracę nic - powiedział zamiast modlitwy. - Wiodłem bezużyteczny żywot. Jeśli tutaj się zakończy, cóż z tego?

Jeniec po jego lewej ręce był młody, nie miał więcej niż piętnaście lat. Dobosz, domyślił się sierżant. Chłopiec łkał cicho.

- Spójrz tam - zwrócił się do niego Mamouliau. - Oto dezercka, jakiej nigdy nie oglądał.

Skinął głową w stronę rozłożonych na ziemi ciał, opuszczanych właśnie przez rozmaite zamieszkujące je dotychczas pasożyty. Pchły i wszy, doskonale świadome, że ich gospodarze nie żyją, wyskakiwały i

wypełzały z włosów i spod brzegów

456

ubrań, niecierpliwie szukając nowej siedziby, zanim dopadnie je chłód.

Chłopak spojrział i uśmiechnął się. Widok odwrócił jego uwagę akurat na tę chwilę, której kat potrzebował, by ustawić się i zadać śmiertelny cios. Głowa odskoczyła, ciepło spłynęło na pierś sierżanta.

Mamoulian spojrział beznamiętnie na kata. Oprawca był tylko lekko opryskany krwią, nic poza tym nie wskazywało na jego profesję. Bezmyślna twarz ze zmierzwioną brodą, która domagała się przycięcia, i oczyma okrągłymi jak smażone jajka. Więc ma mnie zamordować takie coś? - pomyślał sierżant, no cóż, żaden to dla mnie dyshonor. Wyciągnął ramiona wzdłuż tułowia w uniwersalnym geście uległości i skłonił głowę. Ktoś szarpnął go za koszulę, by odsłonić kark.

Czekał. Jakiś hałas, jak odgłos wystrzału, zabrzmiał mu w głowie. Otworzył oczy, spodziewając się ujrzeć, jak zbliża się śnieg, gdy jego głowa odskakuje od szyi; lecz nie. Pośrodku dziedzińca jeden z żołnierzy osuwał się na kolana, z klatką piersiową otwartą od kuli wystrzelonej z jednego z górnych okien monasteru. Mamoulian obejrzał się. Żołnierze wyroili się ze wszystkich stron podwórca; kule siekły zalegający na bruku śnieg. Raniony dowódca osunął się niezdarnie na koksownik, jego futro zajęło się ogniem. Dwóch żołnierzy, złapanych w pułapkę pod drzewem, skosiła palba; legli pod nagimi konarami, wtuleni w siebie jak kochankowie.

- Uciekać! - szepnęła rozkazująco Carys głosem Europejczyka. - Teraz, szybko. Uciekać.

Gdy wrogie oddziały starły się nad jego głową, przeczołgał się po

zamarzniętym bruku, ledwo mogąc uwierzyć, że umknął spod ręki kata. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Nieuzbrojony i chudy jak szkielet, nie stanowił zagrożenia dla nikogo. Gdy opuścił dziedziniec i znalazł się gdzieś na tyłach klasztornego budynku, zatrzymał się dla zaczerpnięcia tchu. Dym zaczął snuć się po lodowatych korytarzach monasteru. Najwidoczniej któraś z walczących stron podłożyła ogień. A może obie naraz. Wszyscy byli jednakimi imbecylami - Mamoulian nie

457

kochał tu nikogo. Ruszył labiryntem korytarzy, żywiąc nadzieję, że znajdzie wyjście, nie napatoczywszy się wcześniej na jakichś zbłąkanych fizylierów.

W pasażu odległym od miejsca potyczki usłyszał za sobą kroki - kogoś w sandałach, nie w żołnierskich buciorach. Odwrócił się do goniącego. Był to mnich o wychudłym obliczu wytrawnego ascety. Złapał sierżanta za wystrzępiony kołnierz koszuli.

- Jesteś darem od Boga - wysapał. Brakowało mu tchu, ale jego uchwyt był żelazny.
- Puść mnie. Chcę się stąd wydostać.
- Walka szerzy się w całym budynku, nigdzie nie jest bezpiecznie.
- Zaryzykuję jednak. - Sierżant wyszczerzył zęby w uśmiechu.
- Zostałeś wybrany, żołnierzu - odrzekł mnich, nadal trzymając Mamouliana za kołnierz. - Szala przechyliła się na twoją korzyść. Niewinne chłopię oddało ducha przy twym boku, lecz ty przetrwałeś. Nie pojmujesz? Sam sobie zadaj pytanie dlaczego.

Mamoulian próbował odepchnąć braciszka; zapach kadzidła, zmieszany

z wonią zastarzałego potu, był nie do zniesienia. Ale tamten trzymał mocno i pośpiesznie mówił dalej:

- Są pod celami sekretne tunele. Możemy wymknąć się tamtędy, nim nas tu zaszlachtują.
- Doprawdy?
- Oczywiście. O ile mi pomożesz.
- W jaki sposób?
- Mam zapiski, które pragnę ocalić; dzieło całego żywota. Potrzebne mi twoje mięśnie, żołnierzu. Nie frasuj się, dostaniesz coś za fatywę.
- Maszli coś takiego, czego mógłbym zapragnąć? - spytał sierżant. Cóż mógł posiadać ów flagelant z dzikim błyskiem w oku.
- Potrzebny mi uczeń - odparł mnich, - Ktoś, komu mógłbym przekazać mą naukę.

458

- Oszczędź mi duchowych pouczeń.
- Mogę nauczyć cię bardzo wiele. Jak żyć wiecznie, jeśli tego zapragniesz.

Mamoulian wybuchnął śmiechem, ale mnich nie przerwał snucia swych mrzonek: - Jak odbierać życie irinym i zagarniać dla siebie. Albo gdy zechcesz, jak dawać je zmarłym, by powstali z martwych.

- Nigdy.
- To prastare mądrości - wyjaśnił mnich. - Ale ja odnalazłem je na powrót, spisane przystępną greką. Tajemnice, które już były starożytne, gdy świat był jeszcze młody. Wielkie sekrety.
- Jeśli to wszystko, jak powiadasz, potrafisz, czemu to nie ty jesteś

carem Wszechrusi? - dociekał Mamoulian.

Mnich puścił kołnierz koszuli i spojrzał na sierżanta oczyma pełnymi pogardy.

- Jakiż człowiek - rzekł powoli -jakiż człowiek o prawdziwych ambicjach chciałby być zaledwie carem?

Ta odpowiedź zmiotła uśmiech z twarzy żołnierza. Dziwne słowa, których wyjaśnienie - gdyby go spytano - sprawiłoby mu niemałą trudność. Ale tkwiła w nich obietnica i nie mogły ich z niej ograbić jego wątpliwości. Cóż, pomyślał, może to jest ścieżka, którą przychodzi mądrość; wszak szabla nie spadła na mój kark, temu nie można zaprzeczyć.

- Wskaż mi drogę - powiedział.

Carys uśmiechnęła się nikłym, ale promiennym uśmiechem. W czasie potrzebnym na jedno machnięcie ptasich skrzydeł zima spłynęła z wodą roztopów i rozkwitła wiosna, zieleniąc ziemię wszędy dokoła, a zwłaszcza na kurhanach zbiorowych mogił.

- Dokąd idziesz? - spytał Marty.

Z radosnego wyrazu jej twarzy odczytał, że okoliczności uległy radykalnej zmianie. Przez kilka minut wyrzucała z siebie uwagi na temat życia Europejczyka, które z nim dzieliła, tkwiąc w jego głowie. Marty z trudem orientował się w tym, co się działo. Miał nadzieję, że Carys będzie później

w stanie uzupełnić brakujące szczegóły. Jaki to był kraj, jaka wojna.

Nagle powiedziała:

•Skończyło się. - Jej głos był lekki, niemal wesoły.

•Carys?

•Carys? Kto to jest Carys? Nigdy o nim nie słyszałem. Prawdopodobnie nie żyje. Wszyscy polegli prócz mnie.

•Co się skończyło?

•Nauczanie oczywiście. Nauczył mnie wszystkiego, czego był w stanie. I to była prawda. Cokolwiek obiecał, okazało się prawdą. Prastare mądrości.

•Czego się nauczyłeś?

Uniosła dłoń, tę poparzoną, otwarła ją.

- Potrafię skraść życie - powiedziała. - Z łatwością. Wystarczy znaleźć odpowiednie miejsce i pić. Łatwo wziąć, łatwo dać.

-Dać?

- Na jakiś czas. Na tak długo, jak mi pasuje. - Wysunęła do przodu palec, jak Bóg, gdy mówił do Adama. - Niech stanie się życie.

Mamoulian znów zaczął się poprzez nią śmiać.

•A mnich?

•Co chcesz o nim wiedzieć?

- Czy nadal jest z tobą?

Sierżant potrząsnął głową Carys.

- Zabiłem go, gdy już nauczył mnie wszystkiego, czego mógł mnie nauczyć. - Wysunęła dłonie i wykonała nimi gest, jakby dusiła powietrze przed sobą. - Po prostu udusiłem go pewnej nocy, gdy spał. Oczywiście obudził się, czując moje dłonie, zaciskające się na jego gardle. Ale nie walczył, nie uczynił naj

mniejszego wysiłku, by się ratować. - Sierżant łypał przebiegle okiem, opisując ten akt. - Pozwolił mi się zamordować. Ledwo mogłem uwierzyć we własny szczęśliwy traf. Planowałem ten czyn tygodniami, bojąc się, że on potrafi czytać w moich myślach. Gdy poszło tak łatwo, wpadłem w ekstazę... - Nagle zniknęło przebiegłe spojrzenie. - Głupiec - wymamrotał w głębi jej gardła. - Takim byłem głupcem.

460

- Dlaczego?

- Nie zorientowałem się, że zastawił na mnie pułapkę. Planował to od samego początku, troszczył się o mnie jak o syna, wiedząc, że gdy przyjdzie pora, stanę się jego katem. Ani razu nie powstało w moim umyśle, że jestem tylko jego narzędziem. On chciał umrzeć. Pragnął przekazać mi całą swą mądrość - szyderstwo zabrzmiało w głosie Mamouliana przy słowie „mądrość” - bym następnie położył kres jego życiu.

- Dlaczego pragnął śmierci?

- Nie pojmujesz, jak strasznie jest żyć, gdy wszystko wokół ciebie ulega zagładzie. A im więcej lat mija, tym bardziej myśl o śmierci mrozi twe trzewia, bo im dłużej jej unikasz, tym gorszą w twojej imaginacji się staje. I zaczynasz tęsknić - och, jakże mocno zaczynasz tęsknić - za kimś, kto okaże ci litość, kto cię obejmie i podzieli z tobą twe lęki. I kto na koniec odejdzie wraz z tobą w ciemność.

- I ty wybrałeś Whiteheada - powiedział Marty niemal bezgłośnie - w ten sam sposób, w jaki sam zostałeś wybrany - przez przypadek.

- Wszystko jest dziełem przypadku; i nic nim nie jest - oznajmił śniący mężczyzna, potem znów się zaśmiał gorzko, z samego siebie. - Tak, wybrałem go, grając z nim w karty. A następnie zawarłem z Whiteheadem pakt.

- Lecz on cię oszukał.

Carys skinęła głową, bardzo powoli, jej ręce zakreśliły w powietrzu okrąg.

- Oszukiwał mnie cały czas - powiedziała. - Na okrągło.

- Co teraz zrobisz?

- Odnajdę Pielgrzyma. Gdziekolwiek jest, znajdę go! Zabiorę go ze sobą. Nie pozwolę mu uciec, przysięgam. Zabiorę go i pokażę mu.

- Co mu pokażesz?

Nie padła żadna odpowiedź. Zamiast tego Carys westchnęła i przeciągnęła się nieznacznie, poruszając głową w prawo i w lewo. Ku swojemu zaskoczeniu Marty zdał sobie nagle sprawę, że ona wciąż powtarza ruchy Mamoulia - że Europejczyk,

461

do tej pory przez cały czas uśpiony, nabrawszy sił, przygotowuje się właśnie do przebudzenia. Jeszcze raz Marty wyrzucił z siebie te słowa, zdecydowany za wszelką cenę uzyskać odpowiedź na swoje ostatnie, istotne pytanie:

- Co mu pokażesz?

- Piekło* - odpowiedział Mamoulia. - Oszukał mnie! Roztrwonił całe moje nauczanie, całą moją wiedzę, wyrzucił ją z chciwości, żądzy władzy, dla uciech cielesnych. Żądza! Wszystko przepadło przez

žadzę. Cała moja bezcenna miłość poszła na marne! - Marty słyszał w tej litanii głos purytanina -może mnicha? - gniew istoty, która pragnęła świata czystszeo, niż był w rzeczywistości, i cierpiała katusze, ponieważ widziała tylko brud i ciała pocące się w znoju, by stworzyć więcej ciał i więcej brudu. Jakaż nadzieja na zachowanie pełni władz umysłowych w takim miejscu? Chyba że znajdzie się duszę, gotową dzielić te tortury, kochanka, z którym będzie się współniena-widzić świata. Whitehead był takim partnerem. I Mamoulian pozostał szczery wobec duszy swego kochanka: pragnął wejść w śmierć z jedyną istotą, jakiej kiedykolwiek ufał. - Pójdziemy w nicość... - wyszeptała Carys, a w tym szepcie była obietnica. - Wszyscy odchodzimy w pustkę. W dół. Schodzimy w dół.

Budził się. Brakło już czasu na dalsze pytania, bez względu na to, jak bardzo Marty ciekaw był odpowiedzi.

- Carys.

-W dół! W dół!

•Carys! Słyszysz mnie? Wyjdź z niego! Szybko! Jej głowa kołysała się na boki.

•Carys! Jęknęła.

•*Szybko!*

W głowie Mamouliana znów pokazały się wzory, równie urzekające jak zawsze. Wytryski światła, które za moment, Carys wiedziała o tym doskonale, staną się obrazami. Czym okażą się tym razem? Ptakami, kwiatami, drzewami obsypanymi kwieciami? Cóż to była za czarowna kraina.

- Carys.

Głos kogoś, kogo niegdyś znała, przywoływał ją z bardzo daleka. Ale wzywały ją też światła. Przekształcały się przed nią przez cały czas. Zamarła w oczekiwaniu, ale tym razem to, co wybuchło, to nie były wspomnienia...

- *Carys! Szybko!*

...to był rzeczywisty świat, który zjawił się przed jej oczyma W sekundzie, w której Europejczyk uniósł powieki. Ciało Carys stężało. Marty chwycił ją za rękę. Powoli wypuściła powietrze z płuc, a wydech wyszedł spomiędzy jej warg wraz z cienkim zawodzeniem, i nagle zdała sobie sprawę, jak blisko jest niebezpieczeństwo. Wyrzuciła swe myśli z głowy Europejczyka i pognąła je kilka mil z powrotem do Kilburn. Na jedną, pełną udręki chwilę jej wola uległa zachwianiu i Carys już mknęła z powrotem do czekającej na nią głowy Europejczyka. Przerażona, łapała powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba, a jej umysł walczył o impuls, który pozwoli mu się wyrwać.

Marty podniósł Carys do pozycji stojącej, ale nogi się pod nią ugięły. Oplótł ją ramionami w talii.

- Nie opuszczaj mnie - wyszeptał w jej włosy. - Na miły Bóg, nie opuszczaj mnie.

Nagle zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy.

- Marty - wybełkotała. - Marty.

To była ona - zbyt dobrze znał jej spojrzenie, by Europejczyk mógł go oszukać.

- Wróciłaś - powiedział.

Nie odzywali się do siebie przez kilka minut, po prostu trzymali się

nawzajem w objęciach. Gdy zaczęli rozmawiać, Carys nie miała ochoty opowiadać o tym, czego doświadczyła. Marty poskromił ciekawość. Dość było wiedzieć, że to nie diabeł depta im po piętach.

Jedynie zwyczajne stare człowieczeństwo, oszukane w miłości i gotowe przewrócić świat do góry nogami.

63

Więc może mieli szansę na przeżycie mimo wszystko. Ma-moulian, pomimo swych nadnaturalnych zdolności, był człowiekiem. Może i liczył sobie ze dwie setki lat, ale cóż znaczy wiek wśród przyjaciół?

Najważniejszą teraz rzeczą było odnaleźć Papę i ostrzec go o zamiarach Mamouliana, a potem zaplanować skuteczną obronę przeciw atakom Europejczyka. Jeśli Whitehead nie zechce pomóc -jego wybór. Marty ze względu na stare czasy przynajmniej spróbuje go przekonać. A w świetle zamordowania Charmaine i Flynnna zbrodnie Whiteheada przeciw Marty'emu skurczyły się do rozmiarów grzechu nieuprzejmości. Z dwojga złego na pewno był tym mniejszym złem.

Jeśli idzie o to, jak znaleźć Whiteheada, jedynym punktem zaczepienia, jaki Marty miał do dyspozycji, były truskawki. To Pearl powiedziała mu, że stary nigdy nie przepuścił dnia bez truskawek. Ani jednego przez dwadzieścia lat, jak utrzymywała. Czyż nie jest zatem możliwe, że nawet ukrywając się, nie przestanie sobie dogadzać? To był słaby trop. Ale nienasycony apetyt stanowił przecież sedno tej zagadki, jak Marty dopiero co się dowiedział.

Próbował namówić Carys, by szła z nim, ale była wycieńczona do

granic możliwości. Koniec z podróżami, powiedziała; już i tak widziała za dużo jak na jeden dzień. Wszystko, czego teraz chciała, to jej słoneczna wyspa, i w tej kwestii pozostała nieugięta. Marty niechętnie zostawił jej działkę i wy-

464

ruszył, by podyskutować o truskawkach z panem Halifaksem z Holborn.

W samotności Carys szybko znalazła zapomnienie. Sceny, jakich była świadkiem w głowie Mamouliana, zostały odsunięte w głęboką przeszłość, z której przyszły. Przyszłość, jeśli w ogóle była dla nich jakaś przyszłość, została w tym momencie zignorowana. Carys płała się w słońcu nonsensów, a na dworze właśnie zaczął siąpić drobny deszcz.

XII

Grubas tańczy

64

Nie przeszkadzała mu zmiana pogody. Na ulicach panowała zbyt wielka duchota, a deszcz, niosąc symboliczne oczyszczenie, sprawił, że Breer poczuł się znacznie lepiej. Choć już wiele tygodni minęło od czasu, gdy przestał czuć najmniejsze skurcze bólu, gorąco wywoływało u niego swędzenie. Nie było to nawet prawdziwe swędzenie. Raczej podrażnienie o bardziej pierwotnym charakterze: pełzające po skórze lub tuż pod nią doznanie, którego nie uśmierzały żadne maści. Mżawka wydawała się łagodzić nieco te objawy, i był jej za to wdzięczny. Nie tylko deszcz działał kojąco - także fakt, że szedł właśnie odwiedzić kobietę, którą

kochał. Carys atakowała go, co prawda, kilka razy (rany obnosił jak trofea), lecz on wybaczył jej przewiny. Rozumiała go lepiej niż ktokolwiek inny. Była wyjątkowa, niepowtarzalna - prawdziwa bogini, pomimo owłosienia tu i ówdzie na ciele - i wiedział, że jeśli tylko będzie mógł ją ponownie ujrzeć, obnażyć się przed nią, dotknąć jej, wszystko będzie dobrze.

Lecz najpierw musi dostać się do tamtego domu. Dość długo trwało, nim jakaś taksówka się zatrzymała, a gdy w końcu któraś raczyła go zabrać, kierowca kazał mu wysiadać, przejechawszy zaledwie część trasy, bo, jak utrzymywał, odór jest tak odpychający, że uniemożliwi mu znalezienie klienta do końca dnia. Zawstydzony tym publicznym, zbyt publicznym, odrzuceniem - odjeżdżając, taksówkarz zwymyślał go bowiem przez

466

okno auta - Breer trzymał się odtąd bocznych uliczek, mając nadzieję, że tam nie będą uśmiechać się drwiąco ani parskać śmiechem na jego widok.

Zdarzyło się w jednym z takich zaułków, zaledwie kilka minut marszu od miejsca, gdzie czekała na niego Carys, że młody mężczyzna z błękitnymi jaskółkami, wytatuowanymi na szyi, wyszedł z jakiejś bramy, by zaoferować Połykaczowi Żyletek swoją pomocną dłoń.

- Hej, człowieku. Wyglądasz na chorego, wiesz o tym? Pozwól, że ci pomogę.
- Nie, nie - mruknął Breer w nadziei, że miłosierny samarytanin zostawi go w spokoju. - Nic mi nie jest, naprawdę.
- Ale ja nalegam - powiedział tamten i przyśpieszył kroku, by wyprzedzić Breera, stanąć mu na drodze. Rozejrzał się w obie

strony, sprawdzając, czy na ulicy nie ma świadków, po czym wepchnął grubasa do bramy jednej z ceglanych kamienic.

- Morda w kubek, koleś - powiedział, wyciągając błyskawicznym ruchem nóż i przyciskając jego ostrze do zabandażowanej szyi Breera - a wszystko będzie git. Po prostu opróżnij kieszenie. Szybko! Szybko! Breer nie wykonał żadnego gestu, który wskazywałby, że zamierza wykonać polecenie. Nagłość ataku dezorientowała go, a sposób, w jaki młodzieniec potraktował jego zranioną szyję, przyprawiał go o zawroty głowy. By postawić sprawę jasno, Swallows - takie bowiem jaskółcze nazwisko nosił ów młodzieniec - przycisnął ostrze nieco mocniej do bandażu. Ofiara cuchnęła paskudnie, więc złodziej miał ochotę załatwić sprawę najszybciej, jak to możliwe.

- Kieszenie, koleś! Głuchy jesteś? - Pchnął nóż jeszcze głębiej. Mężczyzna ani drgnął. - Zrobię to, człowieku - ostrzegwał złodziej. - Poderżnę ci to pieprzone gardło.

- Och - powiedział Breer, nieporuszony Bardziej by uspokoić narwańca niż ze strachu, pogrzebał w kieszeni płaszcza, znajdując tam garść drobiazgów. Kilka monet, parę miętówek, które ssał, dopóki jego ślinianki produkowały ślinę, i butelkę

467

płynu po goleniu. Pokazał je z lekko przeproszającym wyrazem swej uróżowanej twarzy.

- To wszystko, co masz? - Swallows był oburzony. Rozwarł poły płaszcza Breera.
- Nie rób tego - zasugerował Połykacz Żyletek.

•Troszkę za gorąco na płaszcz, nie? - skomentował złodziej.

- Co tam ukrywasz?

Guziki puściły, gdy szarpnął marynarkę, którą Breer nosił pod płaszczem, i złodziej patrzył teraz z otwartymi ustami na trzonki noża i widelca, wciąż tkwiące w brzuchu Połykacza Żyletek. Smugi wyschniętych płynów wyciekłych z ran były tylko odrobinę mniej obrzydliwe od brązowych plam opadowych, rozpościerających się w dół spod pach i w górę znad lędźwi. W panice złodziej wcisnął nóż głębiej w gardło Breera.

- Chryste, facet...

Anthony, utraciwszy już wcześniej godność, szacunek dla samego siebie oraz, gdyby tylko o tym wiedział, własne życie

- miał do stracenia jedynie cierpliwość. Wyciągnął tłustą dłoń i złapał za atakujący go nóż. Złodziej sekundę za późno wypuścił go z ręki. Breer, szybszy niż wskazywałaby na to jego tusza, wygiął dłoń razem z nożem, łamiąc napastnikowi nadgarstek.

Swallows miał siedemnaście lat. Żył dotąd - tak sobie wyobrażał - pełnią życia, przynajmniej jak na siedemnastolatka. Widział dwie nagłe śmierci, stracił cnotę - ze swą przyrodnią siostrą - w wieku lat czternastu, hodował psy wyścigowe, oglądał filmy z autentycznymi, nieinscenizowanymi scenami gwałtów i zabójstw, zażywał wszelkie rodzaje prochów, na jakich udało mu się położyć swe roztrzęsione ręce - było to, jak sam uważał, zajmujące życie, pełne nabytej mądrości. Ale tu było coś nowego. Nic takiego nie widział nigdy dotąd. Zaczął go od tego boleć pęcherz.

Breer nadal trzymał niesprawną już rękę złodzieja.

- Puść mnie... proszę.

Grubas jedynie spojrzał na niego, poły jego marynarki wciąż były rozchylone, ukazując dziwaczne okaleczenia.

- Czego chcesz, człowieku? To boli.

468

Marynarka Swallowsa także była rozpięta. Wewnątrz, w głębokiej kieszeni, miał ukrytą jeszcze jedną broń.

- Nóż? - spytał Breer, patrząc na wystającą rękojeść.

- Coś ty, facet, nie.

Gdy Breer po nią sięgnął, młodzieniec, usilnie pragnąc być usłuznym, wy dobył broń z kieszeni i upuścił u stóp Breera. To była maczeta. Miała nieco przyrdzewiałą klingę, ale z dobrze naostrzoną krawędzią.

- Jest twoja, facet. Weź ją sobie. Tylko puść moją rękę.

- Podnieś. Schył się i podnieś - rozkazał Breer, puszcżając uszkodzony nadgarstek chłopaka.

Ten schylił się, podniósł maczetę i wręczył ją Breerowi. Połykacz Żyletek wziął broń do ręki. Ten obrazek - on stojący z ostrzem w dłoni nad klęczącą ofiarą - przywiódł mu coś na myśl, ale nie mógł sobie przypomnieć, co dokładnie. Może jakiś obrazek z jego książki o okrucieństwach wojny.

- Mógłbym cię zabić - stwierdził rzeczowo.

Przekaz dotarł do Swallowsa. Zamknął oczy i czekał. Lecz cios nie padł. Męczyzna powiedział po prostu:

- Dziękuję - i odszedł.

Klęcząc w bramie kamienicy, Swallows zaczął się modlić. Zupełnie

zaskoczył samego siebie tym przejawem pobożności, tym recytowaniem z pamięci modlitw, które on i Hosanna, jego przyrodnia siostra, wspólnie odmawiali, i przed, i po tym, jak zgrzeszyli.

Modlił się jeszcze dziesięć minut później, gdy deszcz rozpadał się na dobre.

65

Kilka minut zajęło Breerowi odszukanie żółtego domu przy Bright Street. Gdy już go znalazł, stał przed budynkiem kilka minut, by się przygotować. Tu była ona - jego zbawienie. Pragnął, by ich powtórne spotkanie przebiegło tak doskonale, jak to tylko możliwe.

Drzwi do budynku były otwarte. W progu bawiła się gromadka dzieci, którym nadejście deszczu przerwało grę w klasy i zabawy ze skakanką. Przecisnął się między nimi, bacząc, by jego ciężkie stopy nie przygniotły czyjejś malutkiej rączki. Jedną szczególnie apetyczną dziewczynkę obdarował uśmiechem, nie odwzajemniła go jednak. Zatrzymał się w korytarzu, próbując przypomnieć sobie, co Europejczyk powiedział mu na temat kryjówki Carys. Czy to nie było przypadkiem pierwsze piętro?

Usłyszała, że ktoś się pod drzwiami kręci, ale w tej chwili korytarz ze swoją podłogą z wypaczonych desek i ścianami z odklejającą się tapetą był daleko, leżał na drugim brzegu nieprzebytej cieśniny, dzielącej go od wyspy. Wyspy, na której Carys czuła się całkiem bezpieczna.

Wtedy ktoś zapukał do drzwi - dyskretne, eleganckie pukanie. Z początku nie odpowiedziała, ale gdy stukanie rozległo się ponownie, rzuciła w stronę drzwi:

- Proszę odejść.

Po kilku sekundach wahania ktoś lekko poruszył klamką.

- Proszę... - powiedziała tak grzecznie, jak tylko potrafiła

- odejdz. Marty'ego tu nie ma.

Klamka znów szczęknęła, tym razem ktoś szarpnął nią mocniej. Carys usłyszała, jak miękkie palce próbują sforsować drewno, a może to tylko szum fal uderzających o brzeg wyspy? Nie potrafiła znaleźć w sobie ani strachu, ani nawet zainteresowania tym, co się dzieje. To była dobra heroina - ta, którą ; przyniósł Marty. Nie najlepsza -jaką dostawała jedynie od Papy

- ale i tak uwolniła ją od najmniejszego włókna strachu.

- Nie możesz teraz wejść - oznajmiła domniemanemu intruzowi. - Proszę odejść i przyjść później.

- To ja - spróbował przemówić Połykacz Żyletek.

Nawet poprzez słoneczną mgiełkę rozpoznała ten głos. Czy to możliwe, by Breer stał za tymi drzwiami i szeptał do niej? To raczej umysł płatał jej niemiłe figle.

Usiadła na łóżku, tymczasem odgłos napierania na drzwi stawał się coraz głośniejszy. Nagle intruz, znużony bawieniem się w subtelności, naparł na drewno całym ciałem. Raz, drugi. Zamek poddał się z niespodziewaną łatwością i do pokoju wtoczył się Breer. A zatem to nie gra złudzeń - on tu był w całej okazałości.

- Odnalazłem cię - powiedział. Księżę doskonały.

Ostrożnie zamknął za sobą drzwi i zaprezentował się jej w pełnej krasie. Popatrzyła na niego z niedowierzaniem: na jego złamany kark, usztywniony przyrządem domowej roboty z drewna i bandaży, na jego niechlujne ubranie. Mocował się z jedną ze skórzanych rękawiczek,

by ją zdjąć, ale nie chciała zejść z dłoni.

- Przyszedłem zobaczyć się z tobą - oznajmił łamiącym się głosem.

-Aha.

Ściągnął wreszcie rękawiczkę. Towarzyszył temu miękki, obrzydliwy odgłos. Carys popatrzyła na dłoń Połykacza Żyletek. Większość skóry zeszała razem z rękawiczką. Wyciągnął ku niej tę mozaikę sączących się ran.

- Musisz mi pomóc - powiedział.

471

- Przyszedłeś sam? - spytała.

-Tak.

To już było coś. Europejczyk mógł nawet nie wiedzieć o wizycie Breera, który przybył tu, by się zalecać, sądząc z żalosnego silenia się na grzeczność. Te jego umizgi sięgały wstecz aż do pierwszego spotkania z Carys. Wtedy w saunie nie wrzeszczała ani nie zwymiotowała, czym zaskarbiła sobie jego nieśmiertelne oddanie.

- Pomóż mi.
- Nie potrafię ci pomóc. Nie wiem jak.
- Pozwól mi się dotknąć.
- Jesteś chory.

Jego dłoń wciąż była wyciągnięta w jej kierunku. Zrobił krok do przodu. Czy myślał, że ona jest jak jakaś ikona, jak talizman, który raz dotknięty, potrafi uleczyć ze wszystkich chorób?

- Śliczna - powiedział.

Jego zapach był przytłaczający. Ale rozleniwiony przez narkotyki umysł Carys nie pracował, jak należy. Wiedziała, że trzeba uciekać, ale którądy? Pewnie drzwiami, a może przez okno? Czy też po prostu poprosić go, by sobie poszedł i wrócił nazajutrz?

- Proszę cię, idź sobie.
- Tylko dotknąć.

Ręka znalazła się kilka cali od jej twarzy. Ogarnął ją wstręt, spłynął na nią, ominąwszy letarg wywołany pobytem na wyspie. Odtrąciła jego dłoń - brzydził ją choćby najkrótszy kontakt z jego ciałem. Breer wyglądał na obrażonego.

- Próbowałaś mnie skrzywdzić - przypomniał jej. - Tyle razy. Ja nie zraniłem cię nigdy.
- Ale chciałeś.
- To on; nie ja. Chciałem, byś była z wszystkimi moimi pozostałymi przyjaciółmi, tam gdzie nic złego nie mogłoby cię spotkać.

Ręka, którą opuścił wzdłuż ciała, wystrzeliła nagle do przodu i chwyciła dziewczynę za szyję.

- Nigdy mnie nie opuścisz - powiedział.

472

- Anthony, to boli.

Przyciągnął ją bliżej do siebie i pochylił ku niej głowę, o tyle, ile mógł, zważywszy na stan jego szyi. Na skórze pod prawym okiem Breera Carys dostrzegła jakiś ruch. Im bardziej on zbliżał się do niej, tym wyraźniej widziała tłuste białe larwy, które wykluły się ze złożonych tam jaj i dojrzewały teraz, oczekując na skrzydła. Czy zdawał sobie sprawę, że jest

domem dla robaków? A może był to dla niego powód do dumy - być zarobaczonym? Zamierzał ją pocałować - co do tego nie miała wątpliwości. Jeśli wsadzi język w moje usta, myślała na pół świadoma, odgryzę go. Nie pozwolę mu tego zrobić. Na miły Bóg, prędzej umrę.

Dotknął wargami jej ust.

- Jesteś niepoprawny - odezwał się jakiś cienki głos. Drzwi były otwarte.
- Puść ją.

Połykacz Żyłek zwolnił uścisk na szyi Carys i odsunął się od jej twarzy. Splunęła, by zmyć z siebie ten pocałunek, i podniosła wzrok.

W progu stał Mamoulian. Za nim widać było dwóch dobrze ubranych młodych mężczyzn; jeden z nich miał złote włosy, a obaj zniewalające uśmiechy na twarzach.

- Niepoprawny - powtórzył Europejczyk i przeniósł swoje puste spojrzenie na Carys. - Widzisz, co się dzieje, gdy wymykasz się spod mojej opieki? - powiedział. - Same horrory.

Nie zareagowała.

- Zostałaś sama, Carys. Twój były opiekun nie żyje.
- Marty? Nie żyje? Gdzie jest?

- We własnym domu, wstąpił tam po heroinę dla ciebie.

Miała nad nim kilkusekundową przewagę, wiedząc, jaki błąd Mamoulian popełnił. Może to da Marty'emu fory, jeśli będą myśleli, że nie żyje. Ale nie byłoby rozsądnie udawać łzy. Nie była dobrą aktorką tragiczną. Lepiej udawać niedowierzanie, a przynajmniej wątpliwości.

- Nie - odezwała się. - Nie wierzę ci.

- Dzieło mych sprawiedliwych rąk - powiedział zza pleców

- Nie - upierała się.
 - Uwierz mi - przekonywał Europejczyk - on nie wróci. Przynajmniej w tym mi zaufaj.
 - Zaufać ci? - wyszeptwała. Było to niemal zabawne.
 - Czyż nie uratowałem cię przed gwałtem?
 - On jest twoim dziełem.
 - Tak, i zostanie ukarany, możesz być tego pewna. A teraz, tuszę, odwzajemnisz moją dobroć i przybycie z odsieczą, znajdując dla mnie swego ojca. Nie ścierpię najmniejszej zwłoki. Wrócimy na Caliban Street i ty go odnajdziesz albo, na Boga, wywrócę cię na drugą stronę. To obietnica. Święty Tomasz zaprowadzi cię do samochodu.
- Brązowo włosy uśmiech wystąpił przed swego jasnowłosego towarzysza i podał rękę Carys.

- Mam niewiele czasu do stracenia, dziewczyno - powiedział Mamouliań, a zmieniony ton jego głosu podkreślił wagę tego oświadczenia. - Proszę więc, miejmy już za sobą tę paskudną sprawę.

Tom poprowadził Carys schodami w dół. Gdy odeszli, Europejczyk skierował swą uwagę na Połykacza Żyletek.

Breer nie bał się go; nikogo się już nie bał. W tym ciasnym pokoiku, w którym stali twarzą w twarz, było gorąco; zorientował się, jak gorąco, widząc pot na policzkach i górnej wardze Mamouliań. On tymczasem był okazem chłodnego opanowania, ba, najbardziej opanowanym człowiekiem

na całym bożym świecie. Nic nie mogło go przestraszyć. Mamoulian z pewnością to pojmował.

- Zamknij drzwi - polecił Europejczyk blondynowi. - I znajdź coś, czym można by związać tego człowieka.

Breer uśmiechnął się.

- Okazałeś mi nieposłuszeństwo - rzekł Europejczyk. - Zostawiłem cię w domu przy Caliban Street, byś dokończył pracę.
- Chciałem ją zobaczyć.
- Ona nie jest dla ciebie do oglądania. Zawarłem z tobą umowę, lecz ty, jak wszyscy inni, zawiodłeś moje zaufanie.
- Taka mało znacząca gra - tłumaczył się Breer.

474

- Żadna gra nie jest mało znacząca, Anthony. Byłeś ze mną przez cały ten czas i nadal tego nie rozumiesz? Każdy czyn niesie ze sobą ciężar jakiegoś znaczenia. Zwłaszcza gra.
- Nie dbam o to, co mówisz. To wszystko słowa, wyłącznie słowa.
- Jesteś niegodziwy - oznajmił Europejczyk.

Breer zwrócił ku niemu swą rozmazaną twarz, na której nie widniał najmniejszy choćby ślad lęku czy skruchy. Choć Europejczyk świadom był swojej przewagi, coś w spojrzeniu Breera sprawiło, iż poczuł się nieswojo. W swoim czasie Mamoulianowi usługiwały znacznie podlejsze kreatury. Na przykład nieszczęsny Konstantin, którego pośmiertne apetyty wykaczały daleko poza pocałunki. Dlaczego zatem zaniepokoił go Breer?

Święty Chad podarł jakieś ubrania; to, oraz pasek i krawat, wystarczało dla celów Mamouliana.

- Przywiąż go do łóżka.

Chad ledwo był w stanie zmusić się do dotknięcia Breera, ale grubas przynajmniej nie stawiał oporu. Przystąpił do tej gry w ukaranie winnego z tym samym idiotycznym uśmiechem, który ciągle wykrzywiał mu twarz. Jego skóra - pod dotknięciem Chada - wydawała się ustępować, jakby mięśnie pod jej napiętą, błyszczącą powierzchnią zamieniły się w galarete i ropę. Święty dokładał wszelkich starań, by jak najszybciej wykonać zadanie, podczas gdy więzień zabawiał się obserwowaniem much orbitujących wokół jego głowy.

W ciągu trzech lub czterech minut ręce i nogi Breera zostały unieruchomione. Mamoulian pokiwał głową z zadowoleniem.

- Pięknie. Możesz dołączyć do Toma w samochodzie. Zejdę do was za kilka chwil.

Chad wycofał się posłusznie, wycierając dłonie w chusteczkę do nosa. Breer nadal obserwował muchy.

- Muszę cię teraz zostawić - zwrócił się do niego Europejczyk.
- Kiedy wrócisz? - spytał Połykacz Żyletek.
- Nigdy.

Breer uśmiechnął się.

475

- Jestem zatem wolny - powiedział.
- Jesteś martwy, Anthony - odparł Mamoulian.
- Co? - Uśmiech zaczął zamierać na twarzy Breera.
- Jesteś martwy od dnia, gdy znalazłem cię wiszącego pod sufitem.

Myślę, że jakoś przeczuwałeś moje przybycie i zabiłeś się, by przede

mną umknąć. Ale ja cię potrzebowałem. Dałem ci więc trochę swojego życia, aby cię zatrzymać na służbie.

Uśmiech Breera zniknął zupełnie.

- To stąd twoja niewrażliwość na ból; jesteś chodzącymi zwłokami. Rozkład, jakiemu uległoby twoje ciało w tych gorących miesiącach, został powstrzymany. Niestety, nie udało się zapobiec mu całkowicie, ale został znacznie spowolniony.

Breer pokręcił głową. Czy to cud odkupienia?

- Teraz już cię nie potrzebuję. Więc odbieram mój dar...

-Nie!

Próbował wykonać jakiś błagalny gest, ale miał skrępowane nadgarstki; więzy wrzynały mu się w mięśnie, odkształcając je i marszcząc jak miękką glinę.

- Powiedz mi, jak mam odpokutować - zaproponował. - Zrobię wszystko.
- Nie ma takiej możliwości.
- Zrobię wszystko, co zechcesz. *Proszę.*
Chcę, byś cierpiał - odrzekł Europejczyk.
- Dlaczego?
 - Za zdradę. Za to, że, koniec końców, okazałeś **się taki sam** jak inni.
- ...nie... to tylko mało znacząca gra...
 - Więc niech i to będzie dla ciebie grą, jeśli cię to bawi. Sześć miesięcy rozkładu skrócone do sześciu godzin.

Mamoulian podszedł do łóżka, położył dłoń na łkających ustach Breera i wykonał jakiś przypominający chwytanie gest.

- To koniec, Anthony - powiedział.

Breer poczuł coś w dole brzucha, jakby jakaś drgająca w tym miejscu istota skurczyła się i zamarła. Powiódł za wychodzącym Europejczykiem wywróconymi oczyma. Kleista substancja zebrała się w ich kącikach miast łez.

476

- Przebacz mi - błagał swego zbawcę. - Proszę, wybacz mi.

Ale Europejczyka już nie było - wyszedł po cichu, zamykając za sobą drzwi.

Na parapecie okna doszło do szamotaniny. Breer spojrział w tamtym kierunku ze swego miejsca pod drzwiami. Dwa gołębie posprzeczały się o jakiś kąsek i właśnie odfruwały. Małe białe piórka osiadły na parapecie jak śnieg w środku lata.

66

Pan Halifax, prawda?

Mężczyzna przeglądający zawartość skrzynek z owocami na pozbawionym przewiewu, pełnym os podwórzu na tyłach sklepu odwrócił się do Marty'ego.

- Tak. Czym mogę służyć?

Pan Halifax dużo ostatnio przebywał na słońcu, niezbyt rozważnie. W kilku miejscach na jego twarzy, wyglądającej na podrażnioną, schodziła skóra. Było mu gorąco i czuł się źle. Jak przypuszczał Marty, łatwo dałby się wyprowadzić z równowagi. Taktowne zachowanie stawało się zatem nakazem chwili, jeśli zamierzał zdobyć zaufanie tego człowieka.

- Jak interesy? W porządku?

Halifax wzruszył ramionami.

- Jakoś leci - odpowiedział, nie chcąc kontynuować tematu. - Dużo stałych klientów jest na wakacjach o tej porze roku. -Przyjrzał się Marty'emu. - Czy my się znamy?
- Tak. Byłem tu kilka razy - skłamał Marty. - Po truskawki dla pana Whiteheada. Właśnie po nie przyszedłem. Zamówienie takie jak zwykle.

Halifax nie dał nic po sobie poznać, odłożył skrzynkę z brzoskwiniami, którą miał w rękach, i rzekł:

- Przykro mi, ale nie jestem dostawcą żadnego pana Whiteheada.
- Truskawki - podpowiedział Marty.

478

- Słyszałem, co pan powiedział - odparł Halifax z irytacją w głosie - ale nie znam nikogo o takim nazwisku. Musiał się pan pomylić.
 - Ale mnie pan sobie przypomina?
 - Nie, nie przypominam sobie. Jeśli chce pan dokonać zakupu, Therese pana obsłuży. - Skinął głową w kierunku sklepu. - Chciałbym skończyć robotę tutaj, zanim ugotuję się w tym cholernym upale.
 - Ale kazano mi odebrać truskawki.
 - Może pan ich wziąć, ile zechce - zapewnił Halifax, rozkładając ramiona. - Mamy tego towaru aż za dużo. Wystarczy poprosić Therese.
- Marty wyczuł w tych słowach zapowiedź porażki. Tamten nie miał zamiaru ustąpić ani na cal. Postanowił spróbować ostatni raz, zmieniając taktykę.

- Nie ma pan zatem owoców odłożonych dla pana Whiteheada? Zwykle czekają na niego zapakowane.

Ten znaczący detal zaczął zmiękczać grymas odmowy na twarzy Halifaksa. Zaświtała na niej niepewność.

- Proszę posłuchać... - zaczął - ..nie sędzę, by pan to w pełni rozumiał... - Ściszył głos, mimo że na podwórzu nie było nikogo, kto mógłby go usłyszeć: - Joe Whitehead nie żyje. Nie czyta pan gazet?

Wielka osa usiadła na ramieniu Halifaksa, poruszając się wśród rudych włosków z dużą trudnością. Pozwolił jej tam łązić bez przeszkód.

- Nie wierzę we wszystko, co piszą w gazetach - powiedział cicho Marty.

- A pan?

- Nie wiem, o czym pan mówi - odrzekł tamten.

- O jego truskawkach - wyjaśnił Marty. - Nic innego mnie nie interesuje.

- Pan Whitehead nie żyje.

- Nie, panie Halifax, Joe żyje. Obydwaj o tym wiemy.

Osa poderwała się z ramienia Halifaksa i krążyła teraz w powietrzu między nimi. Marty odgonił ją ruchem dłoni; wróciła z głośniejszym bzyczeniem.

479

- Kim pan jest? - spytał Halifax.

- Ochroniarzem pana Whiteheada. Mówiłem panu, że już tu byłem.

Halifax schylił się po skrzynkę brzoskwiń; większa gromada os skupiła się na obtłuczonym miejscu jednego z owoców.

- Przykro mi, nie mogę panu pomóc - rzekł Halifax.

- A więc już pan je dostarczył. - Marty położył dłoń na ramieniu Halifaxa. - *Dostarczył pan?*

- Nie mogę nic panu wyjawić.

- Jestem przyjacielem.

Halifax spojrział na Marty'ego przez ramię.

- Przysięgłem - powiedział tonem doświadczonego kupca zamykającego transakcję.

Marty miał przemyślany scenariusz tej rozmowy aż do takiego impasu jak ten, który właśnie nastąpił: Halifax przyznaje się, że coś wie, ale odmawia podania szczegółów. I co teraz? Czy ma się dobrać do tego człowieka? Wydobyć to z niego biciem?

- Joe jest w wielkim niebezpieczeństwie.

- O tak - westchnął Halifax. - Myśli pan, że nie zdaję sobie z tego sprawy?

- Jestem w stanie mu pomóc.

Halifax pokręcił głową.

- Pan Whitehead jest znakomitym klientem, już od bardzo wielu lat - wyjaśnił. - Truskawki kupuje tylko u mnie. Nie znam człowieka, który uwielbiałby truskawki tak bardzo jak on.

- Używa pan czasu terażniejszego - zauważył Marty.

Halifax mówił dalej, tak jakby mu nie przerwano:

- Zwykł tu przychodzić osobiście, dopóki jego żona żyła.

Po jej śmierci przestał. Ale nadal kupował owoce. Zawsze ktoś przyjeżdżał i zabierał je dla niego. A na Boże Narodzenie nigdy nie zapomniał o czeku dla dzieciaków. Nic się pod tym wzglę

dem nie zmieniło. Wciąż przysyła dla nich pieniądze.

Osa usiadła na grzbiecie jego dłoni, w miejscu gdzie zasechł sok z jakiegoś owocu. Halifax pozwolił jej tam zostać i najeść się do syta. Marty'emu spodobał się ten człowiek. Gdyby Ha-

480

lifax nie zechciał dostarczyć informacji po dobroci, Marty nie byłby w stanie wydobyć ich z niego przemocą.

- Teraz przychodzi pan tutaj i mówi, że jest jego przyjacielem - rzekł Halifax. - Skąd mam wiedzieć, że to prawda? Ludzie mają przyjaciół, którzy podrzynają im gardła.
 - Zwłaszcza on.
 - To prawda. Tyle pieniędzy i tak niewiele osób, które troszczyłyby się o niego. - Halifax miał smutny wyraz twarzy. - Wydaje mi się, że powinienem zachować w tajemnicy jego kryjówkę, nie sądzi pan? Bo inaczej komu miałby zaufać na całym świecie?
 - Tak - zgodził się Marty. To, co powiedział Halifax, miało sens - logiczny i moralny, a on nie był przygotowany na zrobienie niczego, co sprawiłoby, że tamten zmieni zdanie. - Dziękuję - powiedział, z pokorą przyjmując tę lekcję. - Przepraszam, że oderwałem pana od pracy. - Ruszył w stronę sklepu.
- Uszedł kilka kroków, gdy Halifax odezwał się:
- To był pan.
- Marty obrócił się na pięcie.
- Słucham?
 - To pan przyszedł tu kiedyś po truskawki. **Przypominam** sobie pana.

Tyle że wtedy wyglądał pan inaczej.

Marty przejechał dłonią po swoim kilkudniowym zarostie; golenie było zapomnianym zajęciem przez kilka **ostatnich** poranków.

- Nie chodzi o zarost - wyjaśnił Halifax. - Był pan twardszy.

Nie przekonałem się wówczas do pana.

Marty czekał nieco zniecierpliwiony, aż Halifax zakończy swoje usprawiedliwienie. Jego umysł dostrajał się już do innych opcji. Dopiero gdy przełączył się z powrotem na odbiór słów Halifaxa i dotarł do niego ich sens, zdał sobie sprawę, że tamten zmienił zdanie. Miał zamiar mówić. Gestem przywołał Marty'ego z powrotem.

- Pan sądzi, że może mu pomóc?
- Prawdopodobnie.
- Mam nadzieję, że ktoś może.
- Widział się pan z nim?

481

- Opowiem panu o tym. Zadzwoił do sklepu, chciał rozmawiać ze mną. Zabawne, ale od razu rozpoznałem jego głos, po tylu latach. Poprosił, bym dostarczył mu trochę truskawek. Wyjaśnił, że nie może sam po nie przyjść. To było okropne.
- Dlaczego?
- On jest tak przerażony... - Halifax zawahał się, szukając właściwych słów. - Pamiętam go, gdy był kimś wielkim, wie pan. Robił wrażenie. Wchodził do sklepu i ludzie rozstępowali się przed nim. A teraz? Skurczył się do zera. Strach z nim to zrobił. Widziałem już raz, jak to się dzieje. Moja szwagierka - jej przytrafiło się to samo. Miała raka.

Strach zabił ją na wiele miesięcy przed guzem.

- Gdzie on jest?
 - Mówię panu, wróciłem do domu i nie powiedziałem ani słowa do nikogo. Wypiłem pół butelki szkockiej, nierozcieńczo-nej. Nie zdarzyło mi się to nigdy w życiu. Chciałem po prostu pozbyć się z głowy tego widoku. Żołądek dosłownie przewracał się we mnie, gdy go słyszałem i widziałem w takim stanie. Chodzi o to, że jeśli ktoś taki jak on się boi, jakie szanse ma reszta z nas?
 - Pan jest bezpieczny - uspokoił go Marty, pokładając w Bogu nadzieję, że zemsta Europejczyka nie obejmie dostawcy truskawek starego. Halifax był dobrym człowiekiem. Marty uchwycił się tej myśli, patrząc na okrągłą, czerwoną twarz. Oto jest dobroć. Skazy też, bez wątpienia - być może całe naręcza grzechów. Ale to dobro zdawało się warte uczczenia, jakkolwiek wiele plam byłoby na tym człowieku. Marty zapragnął wytatuować sobie na dłoni datę tego odkrycia.
 - Jest taki hotel - mówił dalej Halifax. - Dawniej chyba nazywał się „Orfeusz”. Trzeba jechać Edgware Road, aż do Staple Corner. Okropnie zapuszczone miejsce. Nie zdziwiłbym się, gdyby budynek przeznaczony był do wyburzenia.
- Jest tam sam?
 - Tak - westchnął Halifax, zadumawszy się nad upadkiem możliwych tego świata. - A może - zaproponował po chwili - weźmie pan też dla niego kilka brzoskwiń?

„Atlasem ulic Londynu. A-Z". Przekartkował pożółkłe stronicę, szukając właściwej mapy, cały czas wyrażając swoje przerażenie takim obrotem spraw i nadzieję, że wciąż nie jest za późno na poprawę stanu rzeczy.

- Wokół hotelu wyburzono całe kwartały - wyjaśnił. - Obawiam się, że te mapy są przestarzałe.

Marty przyjrzał się stronie, którą wskazał Halifax. Deszczowa chmura, która zdążyła już zmoczyć Kilburn i miejsca położone dalej na północny zachód, skryła słońce, gdy poplamiony palec wskazujący Halifaxa wytyczał na mapie trasę z ruchliwych ulic Holborn do hotelu „Pandemonium".

XIII

W hotelu „Pandemonium"

67

Każde pokolenie tworzy na nowo obraz piekła. Przeczesuje jego terytorium w poszukiwaniu absurdów i ponownie kształtuje je według świeżych matryc; gruntownie analizuje jego strachy i, jeśli to niezbędne, wymyśla je na nowo, by odpowiadały aktualnemu klimatowi okrucieństwa; przeprojektowuje jego architekturę, by porażała oko współczesnego potępieńca. We wczesnej epoce Pandemonium - pierwsze miasto piekła - stało na górze lawy, błyskawice rozrywały chmury nad nim, a latarnie płonęły na jego murach, by wskazywać drogę upadłym aniołom. Teraz takie scenografie należą do Hollywood. Piekło zmieniło się. Żadnych błyskawic, żadnych wypełnionych ogniem czeluści.

Na pustkowiu kilkaset jardów od estakady z autostradą piekło znajduje

swoje nowe ucieleśnienie: obskurne, zaniedbane, zapomniane. Lecz tutaj, gdzie spaliny zagęszczają atmosferę, pomniejszych strachy nasiąkają nową brutalnością. Nocą niebo nad tym miejscem ujawni wszystkie konfiguracje piekła. Podobnie hotel „Orfeusz”, który od tej pory nazywać będziemy hotelem „Pandemonium”.

Niegdyś był to imponujący budynek i mógłby znów taki być, gdyby właściciele zechcieli w niego zainwestować. Ale odrestaurowanie i wyposażenie tak wielkiego i staroświeckiego hotelu byłoby prawdopodobnie przedsięwzięciem finansowo

484

niepewnym. Swego czasu wybuchł tu pożar i nim go ugaszono, zdążył zniszczyć parter, pierwsze i drugie piętro. Wyższe kondygnacje zostały osmolone przez dym, tak że przetrwały tylko niewielkie ślady dawnej świetności hotelu.

Wybryki miejskiego departamentu planowania dodatkowo uszczupliły szanse na renowację budynku. Zgodnie z opisem Halifaksa, teren po obu stronach hotelu został oczyszczony pod przyszłą rozbudowę. Żadne prace w tym kierunku nie zostały jednak podjęte. Hotel stał w doskonałej izolacji, opleciony labiryntem wjazdów i zjazdów autostrady M1, nie dalej niż trzysta jardów od jednego z najbardziej ruchliwych pasów betonu i asfaltu w południowej Anglii. Tysiące kierowców spoglądały co dzień w tę stronę, ale zdewastowana świetność budynku stała się im już tak znajoma, że ledwo dostrzegali jego istnienie. To sprytnie, pomyślał Marty, ukryć się w tak eksponowanym miejscu.

Zaparkował najbliżej hotelu, jak się dało, następnie prześliznął się przez

dziurę w otaczającym parcelę ogrodzeniu z blachy falistej i ruszył przez pustkowie. Napisy na płocie - „Przeście wzbronione” oraz „Zakaz wysypywania śmieci” - były jawnie ignorowane. Czarne, pękate plastikowe worki leżały ułożone w sterty pośród gruzu i śladów po ogniskach. Wiele worków zostało rozerwanych przez psy lub dzieci. Wysypywały się z nich domowe i przemysłowe odpady: setki skrawków tkaniny - ścinków z jakiejś fabryczki - gnijąca żywność, wszędobylskie puszki po konserwach, poduszki, abażury i samochodowe silniki - wszystko to walało się pod nogami porzucone na łożu z gruzu, pyłu i szarej trawy.

Niektóre z psów - dzikich, jak przypuszczał Marty - odrywały wzrok od rozgrzebywanych śmieci i spoglądały na niego, gdy się zbliżał; ich wyliniałe boki pokryte były kurzem, a ślepia świeciły żółto w gasnącym świetle zmierzchu. Pomyślał o Belli i jej lśniącym potomstwie - tutejsze kundle z trudem można było zaliczyć do tego samego gatunku. Gdy spojrział w ich stronę, zwieszały głowy i obserwowały go dalej, nie jawnie, ale spode łba, jak nieudolni szpiedzy.

485

Podszedł do głównego wejścia do hotelu; słowo ORFEUSZ, wryte nad drzwiami, wciąż było widoczne, po obu stronach prowadzących do wejścia schodków wznosiły się pseudo-doryckie kolumny, a próg pokryty był wymyślną mozaiką z ceramicznych płytek. Ale same drzwi zabito deskami, a umieszczone na nich tabliczki ostrzegały o bezzwłocznej karze dla tych, którzy odważą się wejść do środka. Nie wydawało się zresztą, aby na dostanie się do środka były duże szanse. Okna na pierwszym, drugim i trzecim piętrze zabito deskami z taką samą pieczołowitością jak

drzwi; okna na parterze zwyczajnie zamurowano. Z tyłu budynku znajdowały się jeszcze jedne drzwi, tych nie zasłonięto deskami, tylko zaryglowano od środka. To prawdopodobnie tędy Halifax dostał się do budynku, ale Whitehead musiał go wpuścić. Bez włamywania się nie było sposobu, by wejść do środka.

Dopiero przy drugim okrążeniu budynku Marty przyjrzał się uważniej schodom przeciwpożarowym. Pięły się zygzakiem po wschodniej ścianie budynku i stanowiły imponujące dzieło z kutego żelaza, zżerane teraz przez rdzę. Dodatkowe okaleczenie było znakiem rozpoznawczym jakiejś przedsiębiorczej firmy zajmującej się pozyskiwaniem surowców wtórnych, która widząc zysk w tych kawałkach metalu, zaczęła odcinać schody od ściany, po to tylko, by zarzucić to zajęcie po osiągnięciu pierwszego piętra. Brakowało najniższych stopni, a pozostały po tamtej operacji amputowany ogon schodów zwisał jakieś dziesięć, jedenaście stóp nad ziemią. Marty przeanalizował problem. Drzwi przeciwpożarowe na większości kondygnacji były zabite gwoździami; jednakowoż te na trzecim piętrze nosiły ślady włamania. Czy to w ten sposób staremu udało się wejść do środka? Przypuszczalnie potrzebował pomocy, może ze strony Luthera.

Marty przyjrzał się ścianie poniżej odciętych schodów przeciwpożarowych. Była pokryta graffiti, ale gładka. Nie dałoby się o nic zaczepić dłoni lub stopy i wspiąć się do najniższych stopni. Szukając inspiracji, odwrócił się w stronę wysypiska i już

wyrzuconych mebli, wśród nich stół - o trzech nogach, ale nadający się do użycia. Marty przyciągnął go ku schodom przeciwpożarowym, a następnie w miejsce brakującej nogi wepchnął kilka worków ze śmieciami. Stół okazał się dość chybliwą konstrukcją, w dodatku, gdy Marty nań wszedł, nadal nie sięgał palcami do dolnego brzegu schodów. Zmuszony był skakać, by zaczepić dłonią o krawędź najniższego stopnia. Udało się za czwartym razem. Kołysał się na wyciągniętym ramieniu. Deszcz drobin rdzy posypał mu się na twarz i włosy. Schody zaskrzypiały. Zmobilizował całą swą wolę i podciągnął się o kilka cennych cali, a następnie wyrzucił w górę lewą rękę, by zaczepić ją o drugi stopień. Jego stawy barkowe protestowały, ale podciągał się dalej, ręka za ręką, aż był w stanie unieść nogę wystarczająco wysoko, by wywindować całe ciało na stopnie.

Po zakończeniu tego etapu przystanął na chwilę na schodach dla złapania oddechu, po czym ruszył dalej. Konstrukcja w żadnym razie nie była stabilna - zbieracze złomu z pewnością trudzili się tu, próbując poluzować mocowania do ściany. Przy każdym kroku zgrzytliwy pisk zdawał się wieszczyc ostateczny upadek schodów przeciwpożarowych.

- Trzymaj się - szeptał do metalowej konstrukcji, stawiając kroki tak lekko, jak tylko potrafił. Jego wysiłki zostały nagrodzone na trzecim piętrze. Jak się domyślał, drzwi były otwarte, i to całkiem niedawno. Z uczuciem niemałej ulgi opuścił złudne bezpieczeństwo schodów przeciwpożarowych i znalazł się w hotelu.

Budynek nadal cuchnął pożarem, który go pokonał; cierpki zapach spalonego drewna i zwęglonych dywanów. Poniżej Marty ujrzał - przy nikłym świetle, wpadającym przez drzwi przeciwpożarowe - zniszczone piętra. Ściany były spalone, farba na balustradach pokryta pęcherzami. Ale

zaledwie kilka stopni wyżej atak pożaru został powstrzymany.

Marty ruszył schodami na czwarte piętro. Jego oczom ukazał się długi korytarz z pokojami po prawej i po lewej stronie.

487

Przeszedł się nim, zaglądając pobieżnie do wszystkich mijanych pokoi. Pomieszczenia za ponumerowanymi drzwiami były puste - całe umeblowanie i wyposażenie, które nadawało się do odratowania, zostało usunięte lata temu.

Być może dzięki izolowanemu położeniu i utrudnieniom przy wejściu budynek nie został doszczętnie zdemolowany ani zasiedlony przez bezdomnych. Pokoje były niemal absurdalnie czyste, ich długowłose, beżowe dywany - zapewne zbyt kłopotliwe do usunięcia - sprężynowały pod stopami jak darń na klifach. Marty sprawdził wszystkie apartamenty na czwartym piętrze, zanim wrócił na schody i wszedł piętro wyżej. Sceneria była tutaj taka sama, tyle że apartamenty tej kondygnacji - które niegdyś miały zapewne jakiś podnoszący ich cenę widok z okna - były przestronniejsze i mniej liczne, a dywany w nich chyba bardziej puszyste. Dziwnie było tak wchodzić ze zwęglonych otchłani hotelu do tych nieskazitelnych, zapierających dech w piersiach pomieszczeń. Być może jacyś ludzie umierali na zaciemnionych korytarzach niższych pięter, zaczadzeni lub spaleni żywcem w swoich nocnych koszulach i piżamach. Ale tu, na górne kondygnacje, nie wdarł się żaden ślad tamtej tragedii.

Zostało jeszcze do przebadania jedno piętro. Gdy Marty pokonywał ostatni bieg schodów, oświetlenie nagle stało się silniejsze, aż zrobiło się niemal tak widno jak w dzień. Źródłem tej iluminacji były światła

autostrady, docierające tu przez świetliki w dachu i niedbale przysłonięte deskami okna. Spenetrował labirynt pokoi tak szybko, jak się dało, zatrzymując się tylko po to, by raz wyjrzeć przez okno. Daleko w dole ujrzał swój zaparkowany za płotem samochód i psy zajęte zbiorowym gwałtem. W drugim apartamencie spostrzegł nagle, że ktoś przygląda mu się z odległego końca ogromnego salonu, ale szybko się okazało, że to tylko jego umęczona twarz, odbita w wielkim na całą ścianę lustrze.

Drzwi trzeciego apartamentu na tym najwyższym piętrze okazały się zamknięte na klucz, i było to pierwsze niedostępne

488

pomieszczenie, jakie Marty tu napotkał. Mocny dowód, jeśli w ogóle jakiś był potrzebny, że hotel ma lokatora.

Marty, zadowolony z tego odkrycia, zastukał w drzwi.

- Halo! Panie Whitehead?

Ze środka nie doleciał żaden odgłos ruchu, żadna odpowiedź na jego pytanie. Zapukał ponownie, mocniej, oglądając równocześnie drzwi, by ocenić, czy włamanie się byłoby możliwe, ale wyglądały zbyt solidnie, by bez dużego wysiłku dało się je wyważyć. Jeśli będzie to konieczne, musi wrócić do samochodu po jakieś narzędzia.

- Panie Whitehead, to ja, Strauss. Marty Strauss. Wiem, że pan tam jest. Proszę mi odpowiedzieć. - Nasłuchiwał. Gdy i tym razem nie doczekał się odpowiedzi - zastukał po raz trzeci, tym razem nie kłykciami, lecz pięścią.

I nagle nadeszła odpowiedź, z zaskakująco bliskiego miejsca. Stary stał tuż za drzwiami, prawdopodobnie był tam cały czas.

- Idź do diabła - powiedział głos, był trochę niewyraźny, ale niewątpliwie należący do Whiteheada.
- Muszę z panem pomówić - odparł Marty. - Proszę mnie wpuścić.
- Jak mnie, kurwa, znalazłeś? - zapytał Whitehead. - Łajdaku.
- Popytałem tu i ówdzie, to wszystko. Jeśli ja mogłem pana znaleźć, każdy da radę.
- Nie zrobi tego, jeśli będziesz trzymał swój parszywy język za zębami. Chcesz pieniędzy, o to chodzi, tak? Przyszedłeś tu po pieniądze?
-Nie.
- Możesz je mieć. Dam ci, ile zechcesz.
- Nie chcę pieniędzy.
 - Więc jesteś cholernym głupcem - oświadczył Whitehead i zaśmiał się sam do siebie bezmyślnym, poszarpanym chichotem. Był pijany.
- Mamoulian pana szuka - powiedział Marty. - Wie, że pan żyje.

489

Śmiech umilkł.

- Skąd?
- Carys.
- Widziałeś się z nią?
- Tak. Jest bezpieczna.
- Cóż... Nie doceniałem cię. - Przerwał.

Marty usłyszał cichy dźwięk, jakby Whitehead oparł się o drzwi. Po chwili przemówił znowu. Głosem zmęczonego człowieka:

- Po co przyszedłeś, jeśli nie po pieniądze? Ona ma kilka kosztownych

nawyków, wiesz o tym.

- Dzięki panu.

- Jestem pewien, że z czasem uznasz to za tak samo wygodne dla siebie, jak było dla mnie. Ona dla działki zrobi wszystko.

- Jest pan śmieciem, wie pan o tym?

- Ale mimo wszystko przyszedłeś mnie ostrzec. - Stary uczeplił się tego paradoksu z szybkością światła, jak zwykle gotów wywiercić dziurę w czyimś boku. - Biedny Marty... - Rozmyty głos oddalił się, stłumiony przez udawane współczucie. Potem powrócił ostry jak brzytwa: - Jak mnie znalazłeś?

- Truskawki.

Z apartamentu doleciał odgłos jakby tłumionego kaszlu, ale to tylko Whitehead śmiał się znowu, tym razem z siebie samego. Minęło kilka chwil, nim odzyskał panowanie nad sobą.

- Truskawki... - wymamrotał. - Do diaska! Musisz mieć dar przekonywania. Czy połamałeś mu rękę?

- Nie. Przekazał mi informacje z własnej woli. Nie chce widzieć, jak pan się kurczy i umiera.

- Nie mam zamiaru umierać - warknął stary. - To Mamoulian umrze. Zobaczysz. Kończy mu się czas. Wszystko, co muszę teraz zrobić, to czekać. To miejsce jest dobre jak każde inne. Niczego mi tu nie brak. Z wyjątkiem Carys. Tęsknię za nią. Może przysłałbyś ją do mnie, Marty? Teraz byłoby to ze wszech miar mile widziane.

- Nigdy pan jej nie zobaczy.

Whitehead westchnął.

- Owszem - powiedział. - Wróci, kiedy się tobą znudzi. Gdy zatęskni za kimś, kto naprawdę doceni jej serce z kamienia. Zobaczysz. No cóż.... dzięki, że wpadłeś. Dobranoc, Marty.
- Niech pan poczeka.
- Powiedziałem, dobranoc.
- Mam pytania... - zaczął Marty.
- Pytania, pytania... - Głos już się oddalał.

Marty przycisnął się mocniej do drzwi, by zarzucić swą ostatnią przynętę.

- Odkryliśmy, kim jest Europejczyk, czym jest!

Ale nie usłyszał odpowiedzi. Stracił zainteresowanie Whi-teheada.

Wyprawa okazała się bezowocna, właśnie zdał sobie z tego sprawę. Nie było tu żadnej mądrości do zdobycia, był jedynie pijany starzec, rozgrywający w nieskończoność swoje stare gry o władzę. Gdzieś w głębi apartamentu zamknęły się drzwi. Tak oto urwał się wszelki kontakt między tymi dwoma mężczyznami.

Marty zszedł dwa piętra niżej, do otwartych drzwi przeciwpożarowych, i opuścił budynek tą samą drogą, jaką do niego wszedł. W porównaniu z zapachem martwego ognia we wnętrzu, nawet przesiąknięte wylęgami autostrady powietrze pachniało świeżo i lekko. Stał przez kilka minut na schodach i obserwował nieustannie przesuwany sznur samochodów na autostradzie - przyjemnie było skierować uwagę na zmieniających pasy ruchu kierowców. Poniżej dwa znudzone gwałtem psy walczyły o jakieś odpadki. Ani kierowców, ani psów nie obchodził upadek potentatów - dlaczego więc on miałby się przejmować? Whitehead, podobnie jak hotel,

był przegraną sprawą. Marty zrobił, co mógł, by ratować starego, i nie udało mu się. Teraz on i Carys wymkną się do nowego życia i pozwolą Whiteheadowi zaaranżować swój koniec wedle własnego widzimisię. Niechby i podciął sobie żyły, zamroczony przez wyrzuty sumienia, albo udławił się własnymi wymiotami podczas snu - Marty'ego przestało to obchodzić.

491

Zszedł po schodach przeciwpożarowych, zeskoczył na stół i przeciąwszy pustkowie, dotarł do samochodu, tylko raz odwracając się za siebie, by sprawdzić, czy Whitehead go obserwuje. Nie trzeba dodawać, że w oknach na najwyższym piętrze nie było nikogo.

68

Gdy dotarli na Caliban Street, dziewczyna była wciąż tak odurzona przez zażyty z opóźnieniem działkę, że trudno było się z nią porozumieć przez jej wprowadzone w stan euforii zmysły. Europejczyk pozostawił apostołom zadanie posprzątania domu i spalania rzeczy, wcześniej zlecone Breerowi, a sam zaprowadził Carys do pokoju na najwyższym piętrze. Tam przystąpił do namawiania jej, by odnalazła swego ojca, i to szybko. Z początku uśmiechał się do niego jedynie narkotyk w jej organizmie. Jego frustracja powoli zgęstniała w gniew. Gdy dziewczyna zaczęła śmiać się z jego gróźb - tym powolnym, niezakorzenionym w niczym śmiechem, tak podobnym do śmiechu Pielgrzyma; tak jakby znała jakiś żart na jego temat, a nie chciała go opowiedzieć - stracił panowanie nad sobą i spuścił

ze smyczy koszmary o tak niepohamowanym okrucieństwie wobec niej, że ich brutalność jego samego napełniła odrazą w takim samym stopniu, jak ją przeraziła. Patrzyła, nie dowierzając oczom, na tę samą błotnistą breję, którą Mamoulian kiedyś wyczarował w łazience, teraz wyciekającą i tryskającą z jej własnego ciała.

- Zabierz to ode mnie - prosiła, ale on tylko wyniósł iluzję na wyższy poziom, i na jej łonie zaczęły więc się potwory. Nagle prysła bańka narkotycznej błogości. Błysk szaleństwa przyczał się w oczach Carys, gdy dziewczyna skuliła się w kącie pokoju, a stwory wypełzały z każdego otworu jej ciała, walcząc o to, by wydostać się na powierzchnię, a gdy już się wydostały,

493

pryczepiając się do jej skóry wszelakimi odnóżami, jakich tylko dostarczyła im inwencja Mamouliana. Carys była o włos od szaleństwa, ale on zaszedł zbyt daleko, by teraz wycofywać swój atak, chociaż niegodziwość tego gwałtu budziła w nim wstręt.

- Znajdź Pielgrzyma - powiedział - a wszystko to zniknie.
- Tak, tak, tak - błagała - co tylko zechcesz.

Stał i patrzył, jak wykonując jego polecenie, dziewczyna wpada w taki sam stan odrętwienia, jaki osiągnęła, szukając Toya. Znalezienie Pielgrzyma zajęło jej jednak więcej czasu, tak dużo, że Europejczyk zaczął już podejrzewać, że zerwała wszystkie więzi, łączące ją z ciałem - woląla zostawić je na pastwę pomysłowości Mamouliana, niż do niego powrócić. Lecz w końcu wróciła. Odnalazła ojca w hotelu położonym jakieś pół godziny jazdy od Caliban Street. Mamoulian nie był tym zaskoczony. Nie leżało w naturze lisa zbytnio oddalać się od swego

naturalnego otoczenia. Whitehead po prostu schował się do nory.

Wykończona przez tę mentalną podróż i przez strachy, którymi została wcześniej poszczuta, Carys została zwleczona po schodach przez Chada i Toma na dół, do samochodu. Europejczyk dokonał jeszcze pożegnalnego obchodu całego domu, by sprawdzić, czy wszelkie ślady jego obecności zostały usunięte. Martwa dziewczynka z piwnicy i jakieś fragmenty rozpadającego się ciała Breera nie dały się usunąć w tak krótkim czasie, ale to był drobiazg. Niech ci, co przyjdą, sami wyciągają wnioski z fotografii z okropnościami wojny na ścianie albo z buteleczek perfum z taką troską poustawianych w szeregi. Liczyło się jedynie to, by ślady bytności Europejczyka w tym miejscu - w jakimkolwiek miejscu - zostały pieczołowicie zatarte. Wkrótce znów stanie się tylko plotką, pogłoską powtarzaną przez załęcznionych ludzi.

- Czas ruszać - oznajmił, zamykając drzwi na klucz. - Potop już niemal wisi nad naszymi głowami.

Podczas jazdy Carys zaczęła powoli odzyskiwać siły. Balsamiczne powietrze, wpadając przez otwarte okno auta, pieściło

494

jej twarz. Spod lekko przymkniętych powiek spojrzała ukradkiem na Europejczyka. Nie patrzył na nią, wyglądał przez okno, a jego arystokratyczny profil zmęczenie uczyniło łagodniejszym niż zwykle.

Zastanawiała się, jak jej ojcu powiedzie się w nadciągającej ostatecznej rozgrywce. Był stary, ale Mamouliau - o wiele starszy; czy podeszły wiek stanowił w tej konfrontacji zaletę, czy wadę? A co będzie - ta myśl nawiedziła ją po raz pierwszy - jeśli ich szanse są wyrównane? Co będzie,

jeśli gra, która rozgrywają, zakończy się bez zwycięzcy i pokonanego? Typowe dwudziestowieczne rozstrzygnięcie - same dwuznaczności. Nie chciała czegoś takiego, pragnęła zdecydowanego zamknięcia.

Jakkolwiek potoczą się losy tej rozgrywki, wiedziała, że jej szanse na przetrwanie nadciągającego potopu są znikome. Jedynie Marty mógł przeważyć szalę na jej korzyść, ale gdzie on się podziewał? Jeśli wróci do Kilburn i znajdzie opuszczone mieszkanie, czy nie pomyśli, że ona odeszła od niego dobrowolnie? Nie potrafiła przewidzieć, jak Marty się zachowa. To, że okazał się zdolny do szantażu z heroiną, było dla niej szokiem. Pozostawało jeszcze tylko jedno desperackie posunięcie: przedostać się do niego myślą i powiedzieć mu, gdzie się znajduje i dlaczego. Takie zagranie wydawało się jednak ryzykowne. Wyłapywać jego zabłąkane myśli to była jedna rzecz, niewiele więcej niż salonowa sztuczka. Próba wdarcia się do jego głowy i świadomego komunikowania się z nim - umysł z umysłem - wymagałaby większej mentalnej mocy. Nawet zakładając, że Carys miałyby na to dość sił, jakie byłyby konsekwencje takiego wtargnięcia dla Marty'ego? Rozważała ten dylemat, pełna obaw, wiedząc, że minuty płyną nieubłaganie i wkrótce będzie za późno na jakąkolwiek próbę ucieczki, choćby najbardziej desperacką.

Marty jechał samochodem na południe w stronę Crickle-wood, gdy poczuł ból w karku. Ból natychmiast zaczął promieniować w górę, na całą czaszkę, urastając w ciągu dwóch minut do bólu głowy o niewyobrażalnym nasileniu. Instynkt nakazywał mu dodać gazu i jak najszybciej wracać do Kilburn,

ale na Finchley Road był duży ruch i wszystko, co Marty mógł w tej chwili uczynić, to przesuwając się wolno razem z całą kolumną innych aut, przy dolegliwości natężającej się z każdym przejechanym jadem. Jego świadomość - w coraz większym stopniu opanowana przez wznoszącą się spiralę bólu - skupiała się na coraz mniejszych strzępach informacji, a percepcja skurczyła się do rozmiarów łebka od szpilki. Droga przed maską citroena wydawała się rozmazaną plamą. Marty był niemal ślepy; uniknął kolizji z przewożącą mięso ciężarówką-chłodnią tylko dzięki umiejętnościom jej kierowcy. Zdał sobie wtedy sprawę, że dalsza jazda może się zakończyć fatalnie. Wyłączył się z ruchu najszybciej, jak potrafił - przy jazgocie klaksonów z przodu i z tyłu - i zaparkował, niezbyt elegancko, przy krawężniku, po czym wygramolił się z samochodu, by zaczerpnąć nieco powietrza. Kompletnie zdezorientowany, wkroczył prosto pomiędzy jadące auta. Światła nadjeżdżających pojazdów wyglądały jak ściana migających kolorów. Poczuł, że kolana się pod nim uginają, i od upadku pod koła samochodów uratowało go tylko to, że zawisł na otwartych drzwiczkach citroena, a następnie opierając się o karoserię, przesunął się na znacznie bezpieczniejszy dla niego chodnik.

Pojedyncza kropla deszczu spadła mu na dłoń. Spojrzał na nią, wyteżając uwagę, by uzyskać ostry obraz. Była jasnoczerwona. Krew, pojawiła się niejasna myśl. To nie deszcz, to krew. Przyłożył dłoń do twarzy. Jego nos krwawił obficie. Ciepły strumień spłynął po przedramieniu, pod podwinięty rękaw koszuli. Marty pogrzebał w kieszeni i wyciągnął z niej chusteczkę. Zmiał ją i przytknął do nosa, po czym pokuśtykał przez chodnik ku oknu wystawowemu jakiegoś sklepu. W szybie dostrzegł własne odbicie. Zobaczył ryby pływające poza

płaszczyzną jego oczu. Próbował zwalczyć to złudzenie, ale nie ustępowało: jaskrawo ubarwione egzotyczne okazy wypuszczały bańki powietrza wewnątrz jego czaszki. Odsunął się nieco od szyby i wtedy dostrzegł wymalowane na niej słowa: SKLEP AKWARYSTYCZNY w Cricklewood. Odwrócił się plecami do gupików i ozdobnych karp i usiadł na wąskim parapecie wystawowego okna. Zaczął

496

dygotać. To sprawka Mamouliana - to było wszystko, co w tym momencie przychodziło mu do głowy. Jeśli się temu poddam, umrę. Muszę walczyć. Za wszelką cenę walczyć.

Carys przemówiła do niego, słowa oderwały się od jej warg, nim zdążyła je powstrzymać.

- Marty.

Europejczyk spojrzał na nią. Czy coś jej się śni? Na jej spuchniętych wargach widać było pot; tak, coś się jej przyśniło. Bez wątpienia śni się jej współzycie ze Straussem. To dlatego wymawia jego imię z takim naleganiem w głosie.

- Marty.

Tak, na pewno, śni się jej sen o strzale i o ranie. Patrzcie tylko, jak drży. Jak wciska dłonie między uda: bezwstydné przedstawienie.

- Jak daleko jeszcze? - zapytał świętego Tomasza, który szukał drogi na mapie.
- Pięć minut - odpowiedział młodzieniec.
- Wspaniała noc dla naszych celów - odezwał się Chad.

Marty?

Podniósł głowę, mrużąc powieki, by wyostrzyć obraz ulicy, ale nie dostrzegł rozmówcy. Głos odezwał się w jego głowie.

Marty?

To był głos Carys, straszliwie zniekształcony. Gdy się rozlegał, zdawało mu się, że jego czaszka trzeszczy w szwach, a mózg rozrasta się do rozmiarów arbuza. Ból był nie do zniesienia.

Marty?

Zamknij się, chciał powiedzieć, ale jej przecież przy nim nie było. Poza tym to nie ona, to był on, to było to, to był Europejczyk. W miejsce mowy pojawił się teraz odgłos czyjegoś oddechu. Nie był to jego własny oddech. Nie, jego oddech był chorobliwie płytki i przyspieszony, a tamten senny, powolny. Rozmazany obraz ulicy stawał się coraz ciemniejszy, ból w głowie zamieniał się w niebo i ziemię. Marty wiedział, że jeśli nie uzyska pomocy, umrze.

497

Wstał, nie widząc na oczy. Syczenie wypełniło teraz jego uszy, całkiem zagłuszając zgiełk ulicznego ruchu w promieniu kilku jardów. Zataczając się, ruszył przed siebie. Krew popłynęła z jego nosa obfitym strumieniem.

- Niech ktoś mi pomoże...

Anonimowy głos przebił się przez mętlik w głowie Marty'ego. Nie zrozumiał słów, które padły, ale przynajmniej już nie był sam. Czyjaś dłoń dotykała jego klatki piersiowej, inna pod--trzymywała go za ramię. W podniesionym głosie, który doń przemówił, słyszał panikę. Nie był pewien, czy coś tamtemu głosowi odpowiedział. Nie był nawet pewien, czy wciąż jeszcze stoi, czy właśnie upada na ziemię. Jakie to zresztą

mogło mieć znaczenie?

Oślepiiony i ogłuszony, czekał na jakąś życzliwą osobę, która mu powie, że już może umierać.

Zatrzymali się na ulicy w pobliżu hotelu „Orfeusz”. Mamoulian wysiadł, pozostawiając wyprowadzenie Carys apostołom. Zauważył, że zaczęła wydzielać dojrzały zapach, który kojarzył mu się z menstruacją. Ruszył przodem, przechodząc przez rozerwany parkan i wkraczając na otaczającą hotel ziemię niczyją. Ten obraz spustoszenia sprawił mu radość. Góry gruzu, sterty porzuconych mebli: w mdłym świetle autostrady to miejsce miało w sobie coś z przepychu. Jeśli należało odprawić ostatnie rytuały, jakież lepsze dla nich miejsce niż to? Pielgrzym dokonał właściwego wyboru.

- Czy to tu? - spytał święty Chad, idąc za Europejczykiem.
- To tu. Czy zechciałbyś znaleźć dla nas jakieś wejście?
- Z przyjemnością.
- Tylko, jeśli łaska, zrób to po cichu.

Młodzieniec pognał przez pełen dołów teren, zatrzymując się tylko po to, by wybrać pośród rupieci kawałek pogiętego metalu dla sforsowania wejścia. Jacy zaradni ci Amerykanie, rozmyślał Mamoulian, idąc w ślad za Chadem, nic dziwnego, że władają światem. Zaradni, ale mało subtelni. Chad odrywał deski przesłaniające drzwi frontowe, nie dbając zbytnio o prze-

prowadzenie ataku z zaskoczenia. Czy słyszysz? - Mamoulian spytał w duchu Pielgrzyma. Czy wiesz, że jestem tu na dole, nareszcie tak blisko

ciebie?

Zwrócił swe zimne oczy ku szczytowej kondygnacji hotelu. W żołądku ścisnęło go od niecierpliwego wyczekiwania, na dłoniach i czole lśniła warstewka potu. Zachowuję się jak niespokojny kochanek, pomyślał. To takie dziwne, że romans kończy się w ten sposób i nie ma nikogo przy zdrowych zmysłach, kto byłby świadkiem tego końcowego aktu. Kto będzie o tym pamiętał, gdy to się już skończy, któż opowie? Na pewno nie Amerykanie. Ci w ciągu najbliższych kilku godzin utracą te resztki zdrowych zmysłów, jakie im jeszcze pozostały. Nie Carys - ta w ogóle nie przetrwa. Nie będzie nikogo, kto opowiedziałby tę historię, i tego - z jakichś ukrytych powodów - Mamoulian bardzo żałował. Czy to właśnie czyniło zeń Europejczyka? Pragnienie, by jego historia została opowiedziana raz jeszcze, przekazana następnemu z kolei gorliwemu słuchaczowi, który w swoim czasie zlekceważy jej przesłanie i dozna tych samych cierpień? Ach, jakże on kochał tradycję.

Drzwi frontowe stały otworem. Obok nich święty Chad uśmiechał się zadowolony ze swego dzieła, pocąc się w garniturze, pod krawatem.

- Prowadź - zachęcił go Mamoulian.

Gorliwy młodzieniec wszedł do środka, w ślad za nim - Europejczyk. Carys i Tom szli na końcu.

Wewnątrz smród był powalający. Skojarzenia to jedno z przekleństw podeszłego wieku. W tym wypadku woń zwęglonego drewna i odpadki zalegające pod stopami przywołały na myśl dziesiątki miast, przez które Mamoulian wędrował, a jedno z nich, rzecz jasna, w szczególności. Czy to dlatego Pielgrzym przybył do tego miejsca, bo zapach dymu i wspinanie się po skrzypiących schodach przywoływały wspomnienia tamtego pokoju

przy placu Muranowskim? Umiejętności złodzieja dorównywały jego umiejętnościom tamtej nocy, czyż nie tak było? Coś błogosławionego tkwiło w tamtym młodzieńcu o błyszczących oczach, tamtym lisie, który tak niewiele lękliwego respektu okazał,

499

gdy zasiadł do stołu, gotów zaryzykować własne życie, byle tylko móc zagrać. Mamoulian sądził, że Pielgrzym zapomniał Warszawę, w miarę jak rósł w siłę, zdobywając fortunę za fortuną, ale wchodząc po tych spalonych schodach, Europejczyk znajdował mocny dowód na to, że było inaczej.

Wspinali się w ciemności, święty Chad przodem - rozpoznając teren i rzucając za siebie wskazówki: tu brakuje poręczy, a tu stopnia. Pomiędzy trzecim a czwartym piętrem, tajn gdzie kończyły się ślady pożaru, Mamoulian zawołał, by się zatrzymali, i czekał, aż dołączą do nich Tom i Carys. Gdy tak się stało, rozkazał przyprowadzić dziewczynę do siebie. Na tej kondygnacji było jaśniej niż na niższych. Mamoulian mógł więc zauważyć wyraz zagubienia na delikatnej twarzy Carys. Dotknął jej, nie dlatego, że pragnął kontaktu, lecz dlatego, że uznał to za stosowne.

- Twój ojciec jest tutaj - wyjaśnił.

Nie odpowiedziała; z jej twarzy nie zniknął też wyraz smutku.

- Carys... czy ty mnie słuchasz?

Zamrugnęła. Przyjął, że istnieje jakaś możliwość porozumienia z nią, choćby bardzo nikła.

- Chcę, żebyś pomówiła z Papą. Rozumiesz? Chcę, byś mu powiedziała, żeby otworzył dla mnie drzwi.

Potrząsnęła delikatnie głową.

- Carys - rzekł z wyrzutem. - Wiesz przecież, że nie warto mi się sprzeciwiać.
- On nie żyje - powiedziała.
- Ależ skąd - odparł Europejczyk twardo- - Jest tutaj, kilka pięter nad nami.
- Zabiłam go.
Cóż to za nowy pomysł?
- Kogo? - zapytał ostro. - Kogo zabiłaś?
- Marty'ego. Nie odpowiada. Zabiłam go.
- Ciii... ciii... - Zimne palce pogładziły ją po policzku. - A zatem czy on nie żyje? No cóż, nie żyje. To wszystko, co można powiedzieć.

500

- ...ja to zrobiłam...
- Nie, Carys. To nie ty. Tak po prostu musiało się stać, nie zamartwiaj się tym.
Ujął w dłonie jej bladą twarz. Kiedy była dzieckiem, często w taki sposób tulił jej głowę, dumny, że była owocem Pielgrzyma. Tymi pieszczotami sycił moce, które w niej rosły, czując, że nadejdzie czas, gdy będzie jej potrzebował.
- Po prostu otwórz drzwi, Carys. Powiedz mu, że tu jesteś, a on otworzy je dla ciebie.
- Nie chcę... go widzieć.
- Ale ja chcę. Wyświadczysz mi wielką przysługę. I gdy to się już stanie, nigdy więcej nie będziesz się musiała niczego obawiać. Obiecuję ci to. Zdawała się dostrzegać w tym jakiś sens.

- Drzwi... - odpowiedział.
- Tak.

Uwolnił jej twarz, a ona odwróciła się od niego, by dalej wspinać się po schodach.

W komfortowym odosobnieniu swego apartamentu, wypełnionego dźwiękami jazzu odtwarzanego na przenośnym sprzęcie hi-fi, który sam przytargał tu przez te kilka pięter, Whitehead nie słyszał nic. Miał tu wszystko, czego potrzebował. Alkohol, książki, płyty, truskawki. Człowiek mógł tu przeczekać apokalipsę i krzywda by mu się nie działa. Zabrał ze sobą nawet kilka obrazów: wczesnego Matisse'a - „Akt w pozycji leżącej, Quai St Michel”; jeden obraz Miro i jeden Francisca Bacona. Z tym ostatnim to był błąd. Zdawał się nazbyt chorobliwie sugestywny ze swymi motywami odartego ze skóry ciała; Whitehead odwrócił go do ściany. Ale Matisse to była czysta przyjemność, nawet w świetle świecy. Wpatrywał się w niego, nie mniej niż zawsze oczarowany jego prostotą, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Wstał. Minęło zapewne wiele godzin - Whitehead stracił poczucie czasu - odkąd był tu Strauss; czyżby wrócił? Trochę podchmielony wypitą wódką, przeszedł po cichu przez przedpokój apartamentu i nasłuchiwał pod drzwiami.

501

- Papo...

Carys. Nie odezwał się. To było podejrzane, ta jej obecność tutaj.

- To ja, Papo, to ja. Jesteś tam?

W jej głosie było tyle niepewności, brzmiał znów jak głos dziecka.

Może to Strauss posłuchał go jednak i przysłał dziewczynę, a może po prostu przyszła z własnej inicjatywy, tak samo jak dawniej przychodziła Evangeline, gdy się pokłócili?) Tak, to było to. Przyszła, bo tak jak jej matka, nie mogła nic na to poradzić - musiała przyjść. Zaczął otwierać zamek przy drzwiach, palcami niezdarnymi ze zniecierpliwienia.

-Papo...

W końcu uporał się z kluczem i klamką, otworzył drzwi. Nie było jej tam. Nikogo nie było, a przynajmniej tak mu się w pierwszej chwili zdawało. Ale gdy cofnął się o krok do przedpokoju swojego apartamentu, drzwi otwarły się z hukiem na oścież, a on sam został pchnięty na ścianę, do której przyspiliły go za szyję i krocze dłonie jakiegoś młodzieńca. Upuścił butelkę wódki, którą trzymał w dłoni, i uniósł ręce, by pokazać, że się poddaje. Gdy otrząsnął się z szoku wywołanego atakiem, spojrzał ponad ramieniem napastnika, a jego załzawione oczy spoczęły na mężczyźnie, który wszedł za młodzieńcem.

Cicho i zupełnie bez ostrzeżenia zaczął płakać.

Zostawili Carys w garderobie przy głównej sypialni apartamentu.

Pomieszczenie było puste, jeśli nie liczyć szafy wbudowanej w ścianę i sterty zasłon, które ktoś zdjął z okien i zapomniał zabrać. Umościła sobie gniazdko w zbutwiałych zwojach tkaniny i położyła się. Pojedyncza myśl krążyła po jej głowie: Zabiłam go. Czowała jego opór, gdy próbowała wtargnąć w jego umysł, czowała narastające w nim napięcie. A potem - nic.

Apartament zajmujący jedną czwartą powierzchni najwyższego piętra mógł poszczycić się dwoma widokami. Jednym na autostradę, z jej migotliwą wstęgą samochodowych reflektorów. I drugim, bardziej ponurym, na teren na wschód od hotelu. Okno niewielkiej garderoby

wychodziło właśnie na ten drugi

502

widok: kawał śmietniska, dalej ogrodzenie, a za nim miasto. Ale dla leżącej na podłodze Carys wszystko to było poza zasięgiem wzroku. Widziała jedynie niebiańskie pola, po których pełzły migające światła odrzutowca.

Obserwowała, jak zataczając kręgi, schodzi do lądowania, a w myślach powtarzała jedno imię.

- *Marty.*

Wnosili go do ambulansu. Nadal na dnie żołądka czuł nudności, jak po szaleńczej jeździe kolejką górską w wesołym miasteczku. Nie chciał być przytomny, bo wtedy zbierało mu się na wymioty. Syczenie w uszach umilkło jednak, także wzrok był w nienagannym stanie.

- Co się stało? Potracił pana samochód? - wypytywał go ktoś.
- Po prostu upadł - wyjaśnił jakiś świadek. - Widziałem go. Upadł na środku chodnika. Wychodziłem z kiosku z gazetami, kiedy...

• *Marty.*

• ...go ujrzałem.

• *Marty.*

W głowie rozbrzmiewało mu jego własne imię, wypowiedane tonem czystym jak dźwięk dzwonu o wiosennym poranku. Krew znowu pociekła mu z nosa, ale tym razem nie towarzyszył temu żaden ból. Chciał unieść dłoń do twarzy, by powstrzymać krwotok, ale jakaś dłoń już tam była, tamując krew i wycierając mu twarz.

- Wszystko będzie dobrze - odezwał się męski głos.

Jakimś sposobem Marty wiedział, że to niepodważalna prawda, choć to przekonanie nie miało nic wspólnego z zabiegami tamtego mężczyzny. Ból minął, a wraz z bólem minął strach. To Carys odzywała się w jego umyśle. Przez cały czas. Teraz jakaś ściana gdzieś w nim została obalona - prawdopodobnie na siłę i boleśnie, ale najgorsze było za nim. Carys powtarzała w swojej głowie jego imię, on zaś chwycił jej myśl jak łatwą piłkę w tenisie. Jego uprzednie wątpliwości teraz wydawały

503

się naiwne. To była prosta sztuczka, to chwytywanie myśli, **gdy** już pojawiłeś, o co w tym chodzi.

Poczuła, że się przed nią otwiera.

Przez kilka sekund leżała na skłębionych zasłonach, a odrzutowiec mrugał do niej zza okna, i nie miała odwagi uwierzyć w to, co podpowiadał jej instynkt - że Marty ją słyszy, że żyje.

Marty? - jeszcze raz powtórzyła w myślach. Tym razem słowo, miast przepaść w ciemnościach pomiędzy jej umysłem a jego, trafiło bezbłędnie do celu i zawitało w zwojach kory mózgowej Marty'ego. Nie miał umiejętności sformułowania odpowiedzi, ale to nie było w tym momencie potrzebne. Skoro ją słyszał i rozumiał, mógł przyjść jej na pomoc.

Hotel, pomyślała. Czy mnie rozumiesz, Marty? Jestem z Europejczykiem w jakimś hotelu. Usiłowała przypomnieć sobie jego nazwę dostrzeżoną nad frontowymi drzwiami. „Orfeusz”, tak, to była ta nazwa. Nie знаła adresu, ale dołożyła wszelkich starań, by przesłać mu wyobrażenie budynku, w nadziei że będzie umiał wyciągnąć właściwe wnioski z jej mglistych wskazówek.

Usiadł na noszach w karetce.

- Proszę się nie martwić. Ktoś zaopiekuje się pańskim samochodem - powiedział sanitariusz, naciskając dłonią na jego bark, by skłonić go do położenia się z powrotem na noszach. Okryli Marty'ego szkarłatnym kocem. Czerwony kolor, żeby nie było widać krwi, pomyślał, odrzucając koc.
- Nie może pan teraz wstać - zaprotestował sanitariusz. - Jest pan w kiepskim stanie.
- Nic mi nie jest - oświadczył z naciskiem Marty, odpychając pomocną dłoń. - Był pan wspaniały. Ale jestem już umówiony.

Kierowca właśnie zamykał podwójne drzwiczki z tyłu karetki. Przez zwiężającą się szparę Marty ujrzał krąg zawodowych gapiów, wychylających się, by rzucić ostatnie spojrzenie na całe to widowisko. Dał nura w stronę drzwi.

Widzowie nie byli zadowoleni, widząc powstałego z martwych Łazarza, co gorsza, uśmiechającego się jak głupek, gdy

504

z przeprosinami na ustach wyłonił się z tyłu wozu. Czy ten człowiek nie miał za grosz wyczucia chwili?

- Nic mi nie jest - powiedział do kierowcy, przeciskając się między gapiami. - Musiałem zjeść coś niedobrego. - Kierowca patrzył na niego, nic nie pojmując.
- Pan jest cały zakrwawiony - zdołał wymamrotać.
- Nigdy nie czułem się lepiej - odparł Marty: w pewnym sensie, pomimo wyczerpania, jakie czuł w kościach, była to prawda. Ona tu była, w jego

głowie, i jeśli on się teraz pośpieszy, wciąż jest czas, by wszystko naprawić.

Citroen stał kilka jardów dalej; plamy krwi ubarwiły chodnik koło auta. Kluczyki wciąż tkwiły w stacyjce.

- *Zaczekaj na mnie, kochanie* - powiedział, zawracając w stronę hotelu „Pandemonium”.

69

Nie po raz pierwszy Sharon została wygoniona z domu, w czasie gdy jej matka podejmowała mężczyznę, którego dziewczynka nigdy wcześniej nie widziała na oczy, ani nigdy później, po fakcie, nie miała zobaczyć; tej nocy jednak to wygnanie było jej szczególnie niemiłe. Czuła, że chwyta ją letnie przeziębienie, i wolała siedzieć w domu przed telewizorem, niż włóczyć się o zmroku po ulicy, próbując nadaremno wymyślić nową zabawę dla samej siebie. Powędrowała w dół ulicy, zaczęła samotną grę w klasy, ale porzuciła ją już na piątym polu. Właśnie znalazła się przed budynkiem numer osiemdziesiąt dwa. Matka kazała jej trzymać się z daleka od tego domu. Na parterze mieszkała rodzina Azjatów - spali w dwunastu w jednym łóżku, a przynajmniej tak jej matce powiedziała pani Lennox - w warunkach przypominających złodziejską spelunkę. Ale pomimo takiej reputacji budynek pod numerem osiemdziesiąt dwa rozczarowywał przez całe lato; aż do dzisiaj. Dziś Sharon była świadkiem niecodziennych zajęć w tym domu. Nieznani jej ludzie przyjechali wielkim samochodem i odjechali, zabierając ze sobą jakąś chyba chorą kobietę. A teraz, gdy Sharon nudziła się, grając w klasy, ktoś przywoływał ją z

jednego z okien środkowego piętra -jakaś duża, tajemnicza postać.

Sharon miała dziesięć lat. Była jakiś rok przed pierwszą miesiączką i chociaż uzyskała już jakieś strzępy informacji o sprawach między mężczyzną i kobietą od swej przyrodniej siostry, brała je jednak za zwyczajne zawracanie głowy. Chłopcy

506

grający w piłkę na ulicy byli niechlujni i mieli niewyparzone gęby; z trudem mogłaby sobie wyobrazić, że kiedyś zatęskni za ich względami.

Ale przyzywająca ją postać w oknie była płci męskiej, i ten fakt obudził coś w Sharon; odwrócił w niej jakiś głaz. Pod głazem można było dostrzec pierwsze poruszenia życia, jeszcze niegotowego na słońce. Wiły się; od tego zaczęły ją swędzieć nogi. To po to, by powstrzymać owo swędzenie, złamała wszelkie zakazy, dotyczące domu pod numerem osiemdziesiąt dwa, i wślizgnęła się do środka, gdy tylko ktoś otworzył frontowe drzwi, a następnie pognęła na górę, tam gdzie według jej obliczeń powinien znajdować się nieznajomy.

- Halo? - odezwała się, stojąc na korytarzu pod drzwiami pokoju.
- Możesz wejść - usłyszała głos mężczyzny.

Sharon nigdy wcześniej nie czuła zapachu śmierci, ale rozpoznała go instynktownie - nie trzeba było go przedstawiać. Stała w progu i patrzyła na mężczyznę. Wiedziała, że nadal w każdej chwili może uciec, jeśli tylko zechce. Jeszcze bezpieczniej poczuła się, widząc, że mężczyzna jest przywiązany do łóżka. Tyle była w stanie zobaczyć pomimo mroku panującego w pokoju. Jej dociekliwy umysł nie dopatrywał się w tym niczego niezwykłego; dorośli, podobnie jak dzieci, też mają swoje gry i zabawy.

- Zapal światło - zasugerował mężczyzna. Sięgnęła do przełącznika przy drzwiach i przekręciła go. Słaba żarówka zalała pomieszczenie dziwnym światłem; w tym świetle mężczyzna wyglądał na bardziej schorowanego niż ktokolwiek, kogo Sharon widziała w swoim dotychczasowym życiu. Najprawdopodobniej przeciągnął łóżko przez cały pokój pod okno, a gdy to robił, krępujące go sznury werznęły się w jego szarą skórę i teraz połyskliwa brązowa ciecz - nie całkiem podobna do krwi - pokrywała mu dłonie i spodnie i obryzgała podłogę wokół jego stóp. Czarne plamy pokrywały jego równie połyskliwą twarz, przez co wydawała się łaciata.
- Cześć - przywitał się.

507

Jego głos był zniekształcony, jakby dobywał się z taniego radia. Ta dziwaczna cecha bawiła Sharon.

- Cześć - odpowiedziała.

Obdarzył ją krzywym uśmiechem, a światło żarówki wydobyło wilgotność jego oczu, tak głęboko osadzonych w głowie, że ledwo je było widać. Ale kiedy się poruszały, tak jak w tej chwili, skóra wokół nich pulsowała.

- Przepraszam, że oderwałem cię od twoich zabaw - powiedział.

Zatrzymała się w drzwiach, niepewna, czy ma odejść, czy zostać.

• Nie powinnam tu przychodzić. - Postanowiła podroczyć się z nim trochę.

• Och... - odrzekł, przewracając oczami, aż widać było same białka. - Proszę, nie odchodź.

Pomyślała, że mężczyzna wygląda komicznie w tej swojej marynarce, całej poplamionej, i z tym przewracaniem oczyma.

- Gdyby Marilyn dowiedziała się, że tu byłam...
- Twoja siostra?
- Moja matka. Uderzyłaby mnie.

Mężczyzna zrobił taką minę, jakby za chwilę miał się rozpłakać.

- Nie powinna tego robić - powiedział.
- Ale robi.
- Powinna się wstydzić - odparł ze smutkiem w głowie.
 - Och, nie dowie się - uspokoiła go Sharon. Zmartwiła go tą informacją o biciu bardziej, niż zamierzała. - Nikt nie wie, że tu jestem.
 - To dobrze. Nie chciałbym, żeby przeze mnie spotkała cię jakaś krzywda.
 - Dlaczego jest pan cały związany? - dopytywała się. - Czy to zabawa?
- Tak. Zgadza się. Powiedz, jak masz na imię?
- Sharon.
 - Masz rację, Sharon, to zabawa. Tylko że nie chce mi się już w nią bawić. Zaczęło mnie boleć. Sama widzisz.

508

Uniósł ręce tak wysoko, jak mógł, by pokazać, jak mocno wrzynają się więzy. Wataha much, którym przeszkadzono w składaniu jaj, zabzyczała wokół jego głowy.

- Czy znasz się na rozsupływaniu węzłów?
- Nie bardzo.
- Mogłabyś spróbować? Zrobisz to dla mnie?

- Chyba tak - odpowiedziała.

- Tylko że ja jestem bardzo zmęczony. Wejdz, Sharon. Zamknij drzwi.

Zrobiła, jak kazał. Nie było tu żadnego zagrożenia. Jedynie tajemnica (albo i dwie: śmierć i mężczyzna), a ona chciała wiedzieć więcej. Poza tym ten człowiek był chory - w obecnym stanie nie mógł wyrządzić jej krzywdy. Im bliżej do niego podchodziła, tym wyraźniej widziała, jak kiepsko mężczyzna wygląda. Jego skóra pokryta była pęcherzami, a koraliki jakiejś cieczy, niby krople czarnego oleju, znaczyły mu twarz. Pod wonią perfum, mimo iż ta była bardzo mocna, wyczuwała coś cierpkiego. Nie chciała go dotykać pomimo całego współczucia, jakie dlań żywiła.

- Proszę... - Wyciągnął ku niej swe spętane ręce. Muchy krążyły wkoło podenerwowane. Było ich mnóstwo, i wszystkie zainteresowane mężczyzną, jego oczami, jego uszami.

- Powinnam pójść po doktora - powiedziała Sharon. - Nie czuje się pan dobrze.

- Nie ma na to czasu - ponaglił ją. - Po prostu rozwiąż mnie, a potem sam sobie znajdę doktora. Nikt nie musi wiedzieć, że tu byłaś.

Przytaknęła, widząc w tym jakąś logikę, i podeszła do niego przez rój much, by rozwiązać jego więzy. Nie miała silnych palców, paznokcie ogryzione do żywego mięsa, ale z uporem zmagala się z węzłami, a podczas tych zmagania wdzięczna zmarszczka przecięła idealnie gładką płaszczyznę jej czoła. Wysiłki Sharon utrudniała wyciekająca z pęknięć na skórze mężczyzny kleista substancja, od której wszystko się lepilo. Od czasu do czasu dziewczynka podnosiła na niego migdałowe oczy; zastanawiało go, czy ona dostrzega oznaki rozkładu dokonującego się na jej

oczach. Nawet jeśli dostrzegała, była zbyt zaabsorbowana wyzwaniem, jakie stanowiły dla niej węzły, by odejść; albo to, albo naumyślnie uwalniała go, wiedząc, jaką daje jej to władzę.

Tylko raz okazała niepokój, gdy z jego klatki piersiowej doleciał odgłos, jakby kawałek wewnętrznej maszyny ciała wpadał do jeziora wokół jego kiszek. Zakaszał i wypuścił z siebie oddech, przy którym ścieki pachniały jak pierwiosnki. Krzywiąc się, odwróciła głowę. Przeprosił uprzejmie, a orfa poprosiła go, by więcej tego nie robił, po czym wróciła do przerwane zajęcia. Czekał cierpliwie, wiedząc, że wszelkie próby pośpieszania mogą jedynie zakłócić jej koncentrację. Lecz z czasem znalazła metodę i więzy zaczęły puszczać. Ciało, które miało teraz konsystencję rozmoczonego mydła, odpadło mu od nadgarstków, gdy wyswobodził dłonie.

- Dziękuję - powiedział. - Dziękuję. Byłaś dla mnie bardzo dobra.

Zgiął się, by rozwiązać sznury krępujące mu stopy, jego oddech, lub to, co go obecnie zastępowało, brzmiał jak grzechotanie żwiru wewnątrz płuc.

- Pojdę już - oświadczyła dziewczynka.
- Jeszcze nie, Sharon - powstrzymał ją; mówienie było teraz dla niego udręką. - Proszę, nie odchodź jeszcze.
- Ale muszę już być w domu.

Połykacz Żyletek spojrzał na jej kremową twarzyczkę - wyglądała na bardzo delikatną, gdy dziewczynka stała w świetle żarówki. Odsunęła się nieco od niego, kiedy węzły zostały już rozwiązane, tak jakby powróciły jej początkowe obawy. Próbował się uśmiechnąć, by przekonać ją, że

wszystko jest w jak najlepszym porządku, ale twarz odmówiła mu posłuszeństwa. Tłuszcz i mięśnie po prostu zwisały bezwładnie na kościach czaszki, wargi stały się niezdarne. Słowa, jakie znał, niemal go opuściły. Teraz pozostaną mu tylko znaki. Wkraczał do czystszej świata - świata symboli, rytuałów - świata, do którego Połykacz Żyletek tak naprawdę przynależał.

Uwolnił stopy. Teraz w kilku susach mógł znaleźć się tam, gdzie stała dziewczynka. Nawet gdyby się odwróciła i zaczęła

510

uciekać, byłby w stanie ją złapać. Nikt nie zobaczyłby nic ani nie usłyszał, a nawet jeśli - w jaki sposób mogliby go ukarać? Jest przecież martwym człowiekiem.

Przeszedł przez pokój i znalazł się przy niej. Mała istotka stała w jego cieniu i nie uczyniła żadnego wysiłku, by uciec. Czyżby oceniła swoje szanse i zrozumiała daremność wszelkich prób ucieczki? Nie, po prostu mu ufała.

Wyciągnął swą plugawą dłoń, by pogłaskać Sharon po głowie. Zatrzepotała powiekami i wstrzymała oddech przy tej jego bliskości, ale nie uczyniła nic, by uniknąć kontaktu. Pragnął dotyku pod opuszkami palców, pragnął poczuć gładkość jej skóry. Zdawała się tak doskonała; jakimże błogosławieństwem byłoby mieć w sobie jakąś cząstkę tej doskonałej istoty, by okazać ją jako dowód miłości przy wrotach raju.

Ale wystarczy mu jej wygląd. Zabierze ze sobą jej obraz i uzna się za szczęśliwego, weźmie ze sobą tę jej mroczną słodycz jako znak, jako monety na powiekach na opłacenie przewoźnika.

- Żegnaj - powiedział i ruszył nierównym krokiem ku drzwiom.

Poszła przodem i otworzyła mu drzwi, potem sprowadziła go na dół po schodach. W jednym z przyległych pokoi płakało dziecko, zachłystywało się płaczem, jak niemowlę, które wie, że i tak nikt do niego nie przyjdzie. Na progu frontowych drzwi Breer ponownie podziękował Sharon i tam się rozstali. Patrzył za nią, jak biegnie w stronę domu.

Dokąd on sam się teraz uda i po co, tego Breer nie wiedział - a przynajmniej nie był tego świadom. Ale gdy już znalazł się na chodniku, nogi poniosły go w kierunku miejsc, w których nigdy przedtem nie był, lecz nie zgubił się, mimo iż rychło wkroczył na nieznane mu terytorium. Ktoś go przywoływał. Jego, jego maczetę i jego rozmazaną, poszarzałą twarz. Szedł szybko - o tyle, o ile pozwalała mu na to zdegenerowana anatomia - jak człowiek przyzywany przez historię.

70

Whitehead nie bał się śmierci, bał się jedynie, że umierając, może odkryć, iż nie dość żył. To tym tak bardzo się przejął, stanąwszy twarzą w twarz z Mamoulianem w przedpokoju apartamentu na poddaszu, i nadal dręczyło go to, gdy zasiedli w saloniku, z autostradą buczącą za ich plecami.

- Koniec z uciekaniem, Joe - rzekł Mamoulian.

Whitehead nie odpowiedział. Zabrał z kąta pokoju wielką miskę najwyborniejszych truskawek Halifaksa i wrócił na swoje krzesło. Przebierając owoce palcami znawcy, wybrał z miski szczególnie apetyczną truskawkę i ugryzł kawałek.

Europejczyk obserwował go, nie zdradzając się ze swymi myślami. Pościg został zakończony; teraz, nim nastąpi koniec, miał nadzieję, że uda

się przez chwilę porozmawiać o dawnych czasach. Ale nie wiedział, od czego zacząć.

- Powiedz mi - odezwał się Whitehead, wgrzyzając się w mięsz truskawki aż po szypułkę - przyniosłeś karty?

Mamoulian spojrział na niego.

- Oczywiście - odpowiedział. - Zawsze mam je przy sobie.
- A czy ci śliczni chłopcy grają? - Wskazał gestem na Chada i Toma, stojących przy oknie.
- Przybyliśmy na potop - wyjaśnił Chad. Zmarszczka przecięła czoło starego.
- Coś ty im naopowiadał? - zapytał Europejczyka.
- To wszystko ich pomysły - odparł Mamoulian.

512

- Zbliża się koniec świata - rzekł Chad. Stał zwrócony plecami do obu mężczyzn i przeczesując włosy z obsesyjną starannością, wyglądał na autostradę. - Nie wiedział pan?
- Doprawdy? - rzucił Whitehead.
- Niegodziwi zostaną zgładzeni. Stary odstawił miskę z truskawkami.
- I kto ich osądzi? - spytał.
Chad zostawił w spokoju swoją fryzurę.
- Bóg w niebie - odpowiedział.
- Czy możemy o to zagrać? - rzekł na to Whitehead. Chad odwrócił się od

okna i spojrział na starego z wyrazem zmieszania na twarzy, lecz pytanie nie było skierowane do niego, tylko Europejczyka.

- Nie - odparł Mamoulian.

- Za stare dobre czasy - nalegał Whitehead. - Tylko jedną partyjkę.

- Twoje zagrywki imponowałyby mi, Pielgrzymie, gdyby nie były w tak oczywisty sposób obliczone na zwłokę.

- Nie zagrasz więc?

Powieki Mamouliana zdrząły. Niemal się uśmiechając, odpowiedział:

- Tak. Oczywiście, że zagram.

- W sypialni obok jest stół. Czy zechciałbyś posłać któregoś ze swoich kochasiów, by przyniósł go tutaj?

- To nie są kochasie.

- Za stary na to jesteś, co?

- Bogobojni chłopcy, obaj. Czego nie można powiedzieć o tobie.

- To zawsze był mój problem - przyznał Whitehead, przyjmując docinek z uśmiechem. Wyglądało to jak za dawnych czasów: wymiana ironicznych uwag, słodko-gorzkie riposty i świadomość, którą dzielili ze sobą w każdej spędzonej razem chwili, że te słowa skrywają głębię uczuć, jaka zawstydziłaby poetów.

- Przyniesiesz stół? - zwrócił się Mamoulian do Chada.

Ten nie poruszył się. Zbyt interesowała go walka woli pomiędzy tymi dwoma mężczyznami. Umykała mu większość

straszego czaiło się za horyzontem. Może to była fala, a może nie.

- Ty idź - zwrócił się Chad do Toma; ani na chwilę nie chciał tracić walczących z oczu.

Tom usłuchał, szczęśliwy, że może oderwać umysł od swych wątpliwości.

Chad poluzował supeł krawata, co było dla niego niemal równoznaczne z obnażeniem się. Uśmiechał się szeroko do Ma-moulia.

- Zamierza pan go zabić, prawda? - spytał.

- A jak myślisz? - odrzekł Europejczyk.

- Kim on jest? Antychrystem?

Whitehead zarechotał z absurdalności tego pomysłu.

- Powiedziałeś im... - rzekł z wyrzutem do Europejczyka.

- Czy to on? - dopytywał się Chad. - Proszę mi powiedzieć. Jestem gotów na przyjęcie prawdy.

- To ktoś jeszcze gorszy, mój chłopcze - oznajmił Whitehead.

- Gorszy?

- Chcesz truskawkę? - Whitehead podniósł miskę, by poczęstować młodzieńca owocami.

Chad rzucił spojrzenie w bok, na Mamoulia.

- Nie zatruł ich - uspokoił go Europejczyk.

- Są świeże. Poczęstuj się. Idź do sąsiedniego pomieszczenia i zostaw nas w spokoju.

Tom powrócił z małym nocnym stolikiem. Ustawił go na środku pokoju.

- Jeśli pójdziecie do łazienki, znajdziecie tam pełno alkoholi. Głównie wódkę. Myślę, że znajdzie się też trochę koniaku.

- My nie pijemy - odezwał się Tom.
- Zróbcie raz wyjątek - zasugerował Whitehead.
- Czemu nie? - podjął Chad z ustami pełnymi truskawek. - Czemu, kurwa, nie? To przecież koniec świata, tak?
- Racja - potwierdził Whitehead, kiwając głową. - Teraz idźcie, jedzcie, pijcie i zabawcie się ze sobą.

514

Tom popatrzył na Whiteheada, a ten odwzajemnił spojrzenie z nieszczerym wyrazem skruchy na twarzy.

- Och, przepraszam. Pewnie nie wolno wam się także masturbować?

Tom wydał z siebie odgłos obrzydzenia i wyszedł z pokoju.

- Twój towarzysz jest nieszczęśliwy - zwrócił się Whitehead do Chada. - Śmiało, weź resztę truskawek. Kuś go nimi.

Chad nie był pewien, czy stary kpi sobie z niego, czy nie, ale wziął miskę i podążył w ślad za Tomem.

- Umrze pan - rzucił na pożegnanie i zamknął za sobą drzwi.

Mamouliau położył na stole talię kart. To nie była pornograficzna talia - tamtą kazał zniszczyć przy Caliban Street, wraz ze swymi nielicznymi książkami. Ta leżąca teraz na stole liczyła sobie o wiele stuleci więcej. Karty ręcznie kolorowane, surowe rysunki figur.

- Czy muszę? - zapytał Whitehead, nawiązując do pożegnalnej uwagi Chada.
- Musisz co?
- Umrzeć.

- Pielgrzymie, proszę cię...
- Josephie. Mów do mnie Josephie, tak jak dawniej.
- ...oszczędź tego nam obu.
- Chcę żyć.
- Oczywiście, że chcesz.
 - To, co się wydarzyło między nami - to cię nie zraniło, prawda?

Mamouliau podał Whiteheadowi karty, by je potasował i przełożył. Gdy ten zignorował jego gest, sam to zrobił, używając tylko jednej - sprawnej - ręki.

- No więc? Skrzywdziłem cię?
- Nie - odpowiedział Europejczyk. - Nie; raczej nie.
- A zatem po cóż krzywdzić mnie?
 - Źle interpretujesz moje motywacje, Pielgrzymie. Nie przyszedłem tu dla zemsty.
- Dlaczego więc?

Mamouliau zaczął rozkładać karty do blackjacka.

515

- By dopełnić naszego przymierza, oczywiście. Czy to **tak** trudno pojąć?
- Nie zawierałem żadnego przymierza.
 - Oszukałeś mnie, Josephie, zabrałeś mi sporo życia. Wyrzuciłeś mnie, gdy już nie byłem ci do niczego potrzebny, pozwoliłeś, bym gnił. Wybaczyłem ci to wszystko. To zresztą przeszłość. Ale śmierć, Josephie... - Skończył tasować karty. - ... to jest przyszłość. Niedaleka przyszłość. I nie będę sam, gdy w nią wejdę.
- Przeprosiłem. Jeśli chcesz aktu skruchy, powiedz, co mogłoby się nim

stać.

-Nic.

- Chcesz moich jaj? Moich oczu? Zabierz je!

•Graj, Pielgrzymie. Whitehead wstał od stolika. -Nie chcę grać!

•Sam prosiłeś.

Whitehead patrzył z góry na karty wyłożone na inkrustowanym stoliku.

•To w ten sposób mnie w to wciągnąłeś - powiedział cicho. - Przez tamtą pieprzoną grę.

•Usiądź, Pielgrzymie.

•Sprawiłeś, że cierpiałem potępięncze męki.

•Doprawdy? - zdziwił się Mamoulian, a w jego głosie wyczuwało się troskę. - Czy ty naprawdę cierpiałeś? Jeśli tak, szczerze mi przykro. Przy pokusie to ważne, by niektóre dobra warte były swej ceny.

•Czy ty jesteś diabłem?

•Wiesz, że nim nie jestem - odparł Mamoulian, utrapiony tym nowym melodramatem. - Każdy człowiek jest swoim własnym Mefistofešem, nie uważasz? Gdybym ja się nie zjawił, zawarłbyś przymierze z jakąś inną potęgą. I miałbyś swoją fortunę, swoje kobiety i swoje truskawki. To są wszystkie cierpienia, jakie ci zadałem.

Whitehead słuchał łagodnego głosu, wypowiadającego te ironiczne uwagi. Oczywiście, nie cierpiał: wiódł życie pełne rozkoszy. Mamoulian wyczytał tę myśl z jego twarzy.

- Gdybym rzeczywiście chciał, byś cierpiał - ciągnął w śli

maczym tempie - mógłbym mieć tę wątpliwą satysfakcję wiele lat temu. I ty o tym dobrze wiesz.

Whitehead przytaknął. Ze świecy, którą Europejczyk ustawił na stole obok rozdanych kart, ściekały krople wosku.

- To, czego od ciebie chcę, to coś o wiele trwalszego niż cierpienie - rzekł Mamoulian. - A teraz graj. Aż świerzbiamnie palce.

71

Marty wysiadł z auta i stał przez kilka sekund, przyglądając się ciemnej bryle hotelu „Pandemonium”. Budynek nie był pogrążony w całkowitej ciemności. W jednym z okien poddasza migotało światło, jakkolwiek bardzo słabe. Szedł, po raz drugi tego dnia, przez wysypisko, drżąc na całym ciele. Carys nie skontaktowała się z nim, odkąd wyruszył ku temu miejscu. Nie próbował zgłębiać przyczyn jej milczenia - istniało zbyt wiele możliwych powodów i żaden z nich nie był przyjemny.

Gdy się zbliżył, zauważył, że drzwi frontowe hotelu zostały sforsowane. Przynajmniej będzie mógł wejść normalną drogą, zamiast wdrapywać się po schodach przeciwpożarowych. Przeszedł po oderwanych deskach i przez monumentalne odrzwia dostał się do holu, zatrzymał się na chwilę, by przyzwyczaić wzrok do ciemności, po czym rozpoczął ostrożną wspinaczkę po spalonych schodach. W mroku każdy stawiany przezeń krok był jak wystrzał z broni palnej na pogrzebie - szokująco głośny. Choć starał się wyciszyć swe kroki, ciemności kryły zbyt wiele przeszkód, by zachować kompletną ciszę; za każdym razem, gdy stawiał stopę, był przekonany, że Europejczyk to słyszy i przygotowuje się, by tchnąć w niego zabójczą pustkę.

Wreszcie dotarł do miejsca, w którym znajdowały się znajome drzwi przeciwpożarowe; dalej poszło łatwiej. Dopiero gdy znalazł się na wyłożonej dywanami podłodze, zdał sobie sprawę - i myśl ta wywołała uśmiech na jego ustach - że przyszedł tu zarówno bez broni, jak i bez jakiegokolwiek, choćby prymitywnego,

518

planu uprowadzenia Carys. Wszystko, na co mógł liczyć, to to, że nie stanowiła już ważnego punktu w planach Europejczyka, że przez kilka zbawczych sekund może pozostawać poza głównym kręgiem jego uwagi. Gdy wchodził na ostatni bieg schodów, dostrzegł swoje odbicie w jednym z luster na korytarzu: chudy, nieogolony, z plamami krwi na twarzy i z czarną od krwi koszulą, wyglądał jak szaleniec. Ten wizerunek, oddający tak dokładnie to, w jaki sposób sobie sam siebie wyobrażał - jako zdesperowanego barbarzyńcę - dodał mu odwagi. Odbicie pozostawało w zgodzie z rzeczywistością: Marty był szalony.

Drugi raz w czasie swej długiej znajomości zasiedli twarzą w twarz przy małym stoliku i zagrali w blackjacka. Gra była monotonna, umiejętności graczy wydawały się bardziej wyrównane niż jakieś czterdzieści lat wcześniej przy placu Muranowskim. Grając, rozmawiali. Również ich rozmowa była spokojna i pozbawiona dramatyzmu: mówili o Evangeline, o tym, jak rynek ostatnio się załamał, o Ameryce, a nawet, w miarę postępów gry, o Warszawie.

- Wróciłeś tam kiedyś? - spytał Whitehead. Europejczyk pokiwał głową.
- To straszne, co oni zrobili z tym miastem.

- Niemcy?
- Urbaniści.

Grali dalej. Tasowali i rozdawali karty, i znów je tasowali, i znów rozdawali. Podmuch powietrza wprawiał płomień świecy w drzenie. Szala zwycięstwa chyliła się raz na jedną, raz na drugą stronę. Rozmowa gasła i rozpoczynała się od nowa - swobodna, trywialnie błaha. Było tak, jakby w tych ostatnich chwilach spędzonych razem - gdy mieli sobie naprawdę wiele do powiedzenia - nie potrafili powiedzieć nic, co miałyby choćby cień znaczenia; obawiali się pewnie, że może to otworzyć śluzę powodzi. Tylko raz rozmowa nabrała kolorów - wznosząc się z poziomu banalnej uwagi na wyżyny metafizyki.

- Myślę, że oszukujesz - zauważył niefrasobliwie Europejczyk.

519

- Wiedziałbyś, gdyby tak było. Wszystkich sztuczek nauczyłem się od ciebie.
- Och, daj spokój.
 - To prawda. Wszystkiego, czego nauczyłem się o oszukiwaniu, nauczyłem się od ciebie.
 Europejczyk wydawał się tym mile połączony.
- Nawet teraz - dodał Whitehead.
- Co nawet teraz?
 - Wciąż oszukujesz, prawda? Nie powinieneś już żyć, **nie** w twoim wieku.
- To prawda.

- Wyglądasz tak samo jak w Warszawie, jedna blizna więcej, może dwie.
Ile masz lat? Sto? Sto pięćdziesiąt?
- Więcej.
- I na co ci to było? Bardziej się boisz ode mnie. Potrzebujesz kogoś, kto pottrzymałby cię za rękę, gdy będziesz umierał, i wybrałeś mnie.
- Razem moglibyśmy nigdy nie umrzeć.
- Czyżby?
- Moglibyśmy zakładać światy.

- Wątpię w to. Mamoulian westchnął.
- A zatem chodziło wyłącznie o żądzę? Od samego początku.
- Przeważnie.
- Nigdy nie pragnąłeś dopatrzeć się w tym wszystkim sensu?
- Sensu? Nie ma żadnego sensu. Ty mi to powiedziałeś: pierwsza lekcja. *Wszystko jest dziełem przypadku.*
Europejczyk rzucił karty na stół, przegrawszy to rozdanie.
- Tak... - potwierdził.
- Jeszcze partyjka? - zaproponował Whitehead.
- Tylko jedna, potem naprawdę musimy iść.

U szczytu schodów Marty się zatrzymał. Drzwi apartamentu Whiteheada były lekko uchylone. Nie miał pojęcia o topografii pomieszczeń za tymi drzwiami - dwa inne apartamenty, które

podstawie tamtych dwóch przewidzieć rozkładu tego. Powrócił w myślach do wcześniejszej rozmowy z Whiteheadem. Gdy się zakończyła, odniósł wrażenie, że stary przeszedł spory dystans, zanim rozległo się trzaśnięcie wewnętrznych drzwi, kładąc kres ich konwersacji. A zatem długi przedpokój, być może dający możliwość znalezienia kryjówki.

Nie było czasu na domysły; stojąc tam i żonglując myślami, tylko pogarszał nerwowe przeczucia. Musiał działać.

Tuż pod drzwiami zatrzymał się ponownie. Z wnętrza dobiegał szmer głosów, stłumionych, jakby rozmówcy znajdowali się za jeszcze jednymi, zamkniętymi tym razem drzwiami. Dotknął palcami drzwi apartamentu i pchnął je lekko. Otworzyły się na szerokość kilku cali, mógł więc zajrzeć do środka. Było tak, jak się domyślał: pusty korytarz, prowadzący do właściwych pomieszczeń, w nim czworo drzwi. Troje z nich było zamkniętych, jedno uchylone. Głosy, które słyszał, rzeczywiście dobiegały zza zamkniętych drzwi. Skupił się, by wychwycić jakiś sens z tych szmerów, ale udało mu się wyłapać ledwie co drugie słowo. Rozpoznał jednak rozmówców: jednym był Whitehead, drugim Mamoulian. Równie wyraźnie dał się rozpoznawać ton rozmowy - uprzejmy, kulturalny.

Nie po raz pierwszy Marty zapragnął umieć dotrzeć do Carys w sposób, w jaki ona dotarła do niego; odszukać jej położenie samym umysłem i omówić najlepszy sposób na ucieczkę. Jednak wszystko - jak zawsze - zależało teraz wyłącznie od przypadku.

Ruszył wzdłuż korytarza w stronę pierwszych zamkniętych drzwi i ostrożnie je otworzył. Chociaż zamek przy otwieraniu narobił trochę hałasu, głosy w odległym pokoju mruczały nadal, niezaalarmowane jego obecnością. Pomieszczenie, do którego właśnie zaglądał, było zaledwie

dużą szafą na ubrania, niczym więcej. Zamknął ją i przeszedł jeszcze kilka kroków po wyłożonej dywanem podłodze. Zza tych drzwi, które od początku były otwarte, doleciał odgłos ruchu, a następnie brzęk szkła. Cień od świecy, rzucony przez kogoś wewnątrz, przemknął po ścianie. Marty stał absolutnie nieruchomo; niechętnie wy-

521

cofałby się teraz, gdy już zaszedł tak daleko. W przyległym pokoju odezwały się czyjeś głosy.

- Do cholery, Chad - głos mówiącego był niemal płaczliwy

- co my tu, kurwa, robimy? Nie mogę logicznie myśleć.

Jego skarga spowodowała wybuch śmiechu. -Nie potrzebujesz myśleć.

Wykonujemy tu dzieło boże, Tommy. Napij się.

- Stanie się coś strasznego - prorokował Tom.

- Jasne, że się stanie. Cholernie jasne - odparł Chad. -A jak myślisz, po co tu jesteśmy? Teraz pij.

Marty natychmiast rozpoznał tych dwóch. Wykonywali tu dzieło boże - łącznie z zabójstwem. Widział ich, jak kupowali lody w blasku popołudniowego słońca, z zakrwawionymi nożami, bezpiecznie ukrytymi w kieszeniach. Strach pokonał w nim jednak pragnienie zemsty. W obecnej sytuacji miał niewielkie szanse, by wyjść stąd żywym.

Został tylko jeden pokój do przeszukania, bezpośrednio naprzeciwko pomieszczenia zajmowanego przez dwóch Amerykanów. By go sprawdzić, musiałby przejść przed ich otwartymi drzwiami.

Ospały głos znowu przemówił:

- Wyglądasz, jakbyś miał się zaraz porzygać.

• Czemu nie zostawisz mnie w spokoju? - odpowiedział mu drugi głos.

Wydawało się, a może było to tylko pobożnym życzeniem Marty'ego, że mówiący te słowa osobnik się oddala. Wtedy rozległ się niedający się z niczym pomylić odgłos wymiotów. Marty wstrzymał oddech. Czy ten drugi pośpieszy swemu towarzyszowi z pomocą? Marty modlił się, by tak właśnie się stało.

- W porządku, Tommy? - Zmieniło się brzmienie głosu, a za tem mówiący przesunął się w inne miejsce. Tak, właśnie odszedł od drzwi. Chwyając szansę za gardło, Marty błyskawicznie odepchnął się od ściany, otworzył ostatnie drzwi i zamknął je za sobą.

Pokój, w którym się znalazł, nie był duży i panowała w nim ciemność. Dzięki odrobinie światła, jaka doń wpadała, zobaczył

522

postać zwiniętą w kłębek na podłodze. To była Carys. Spała; jej równy oddech wyznaczał łagodny rytm.

Podszedł do miejsca, gdzie leżała. Jak ją obudzić? To był problem. W sąsiednim pokoju, oddzielonym tylko pojedynczą ścianą, znajdował się Europejczyk. Jeśli dziewczyna wyda najmniejszy odgłos, gdy się przebudzi, tamten na pewno ją usłyszy. A jeśli nawet nie on, usłyszą Amerykanie.

Przykucnął i delikatnie położył dłoń na jej ustach, następnie potrząsnął ją za ramię. Wydawała się odporna na budzenie. Zmarszczyła przez sen czoło i wymamrotała jakieś słowa skargi. Pochylił się nad nią niżej i nie bacząc na ryzyko, syknął ponaglająco do ucha dziewczyny jej imię. Zadziałało. Otworzyła nagle oczy, szeroko jak zaskoczone dziecko; jej

usta uformowały krzyk na wewnętrznej stronie jego dłoni. Ułamek sekundy wcześniej nim wydobyła z siebie głos, nastąpiło rozpoznanie.

Zdjął rękę z jej ust. Nie ujrzał powitalnego uśmiechu; twarz Carys była blada i zacięta, ale dziewczyna na przywitanie dotknęła opuszkami palców jego warg. Wstał i podał jej rękę.

W sąsiednim pomieszczeniu nagle wybuchła kłótnia. Łagodnie dotąd głosy podniosły się, ciskając wzajemne oskarżenia, przewracano meble. Mamoulian przywołał Chada. W odpowiedzi od strony łazienki rozległ się tupot stóp.

- Cholera. - Nie było czasu na taktyczne rozważania. Muszą spróbować uciec i brać, co chwila im zaoferuje, na dobre i na złe. Marty pomógł Carys stanąć na nogach i podszedł do drzwi. Gdy nacisnął klamkę, odwrócił się, by sprawdzić, czy dziewczyna nadal idzie za nim. Na jej twarzy malowało się teraz przecucie katastrofy. Odwrócił się do drzwi i poznał powód tej zmiany -świętego Tomasza z błyszczącym od wymiocin podbródkiem stojącego zaraz za progiem. Chłopak był prawdopodobnie równie zaskoczony widokiem Marty'ego, co tamten jego. Korzystając z tego, Marty zrobił krok do przodu i pchnął Amerykanina w klatkę piersiową. Ten upadł na plecy, a słowo „Chad!” wymknęło się pomiędzy jego warg, gdy zatoczył się i wpadł z impetem przez otwarte drzwi do pokoju naprzeciwko, przewracając przy tym miskę z truskawkami. Owoce poturlały się pod jego stopy.

523

Marty przemknął koło drzwi garderoby i dalej do przedpokoju, ale Amerykanin szybko odzyskał równowagę i wyciągnął rękę, by złapać tył jego koszuli. Próba była na tyle udana, że spowolniła Marty'ego i gdy

odwrócił się, by uderzyć trzymającą go dłoń, ujrzał drugiego Amerykanina, wyłaniającego się z pokoju, w którym siedzieli obaj starsi mężczyźni. Jakaś przerażająca łagodność była w oczach tego młodzieńca, gdy zbliżał się do Marty'ego.

- Uciekaj! - zdołał jedynie krzyknąć do Carys, ale jasnowłosy bóg zatrzymał ją, gdy tylko przedostała się do przedpokoju, i popchnął wstecz, tam skąd przyszła, szepnął jedno słowo:
- Nie - po czym ruszył dalej w stronę Marty'ego. - Trzymaj ją - polecił swemu towarzyszowi, przejmując odeń Straussa.

Tom zniknął w pomieszczeniu, w którym znajdowała się Carys.

Dobiegły stamtąd odgłosy szamotaniny, ale Marty niewiele miał czasu, by rozpoznawać, co się tam dzieje, gdyż Chad powalił go ciosem w brzuch. Zbyt zaskoczony nagłym rozwojem wypadków, żeby przygotować się na ból, jęknął i runął plecami na drzwi wejściowe do apartamentu, zatraskując je swoim ciężarem. Blond chłopię ruszyło za nim, przecinając przedpokój. Załamionymi oczyma Marty zdołał ujrzeć następny cios, zanim spadł na jego korpus. Trzeciego i czwartego nie zobaczył. Pomiedzy uderzeniami pięścią i kopniakami nie było dość czasu, by się wyprostować i nabrać powietrza w płuca. Tłukące w niego ciało, nabite od kukurydzy, było gibkie i silne, o wiele dla niego za silne. Na próżno wymachiwał rękami, by osłonić się przed gradem ciosów. Czuł się cholernie zmęczony i chory. Krew znów poleciała mu z nosa, a na dodatek tamte łagodne oczy nieprzerwanie wpatrywały się w niego, podczas gdy pięści tłukły go na kwaśne jabłko. Oczy tak spokojne, że mogłyby należeć do kogoś modlącego się. Lecz to Marty osunął się na kolana. Marty, którego głowa została odciągnięta do tyłu w geście wymuszonego uwielbienia, gdy

tymczasem chłopiec pluł mu w twarz; Marty, który upadając, wypowiedział słowa: „Pomóż mi” - lub jakąś posiniaczoną ich namiastkę.

524

Z pokoju gry wynurzył się Mamoulian, pozostawiając Pielgrzyma jego łzom. Zrobił to, o co stary prosił - zagrali partyjkę kart przez pamięć dawnych dobrych czasów. Ale na tym koniec pobłażliwości. Lecz cóż to za rozgardiasz w przedpokoju; płatanina kończyn przy drzwiach wejściowych, krew rozprysnięta na ścianie? Ach, to Strauss. Jakimś trafem Europejczyk spodziewał się spóźnionego gościa, nie przewidział tylko, kto nim będzie. Wolnym krokiem obszedł przedpokój, by oszacować szkody, i z westchnieniem przyjrzał się zmasakrowanej, upstrzonej plwocinami twarzy Marty'ego. Święty Chad z zakrwawionymi pięściami spocił się nieco: zapach młodego lwa był słodki.

- Omal nie uciekł - powiedział.
- Doprawdy? - rzekł Europejczyk i gestem nakazał chłopakowi usunąć się z drogi.

Ze swej pozycji na podłodze przedpokoju Marty spoglądał na Europejczyka. Powietrze pomiędzy nimi zdawało się wywoływać swędzenie. Marty czekał. Śmiertelny cios z pewnością niebawem nań spadnie. Ale nie nastąpiło nic, poza obojętnym spojrzeniem tamtych oczu bez wyrazu. Nawet znajdując się w tak opłakanym stanie, Marty widział tragedię wypisaną na masce twarzy Mamouliana. Nie przerażało go już to oblicze, lecz zwyczajnie fascynowało. Ten człowiek był źródłem nicości, przed którą Marty ledwo uszedł w domu przy Caliban Street. Czy to nie duch tamtego szarego powietrza czaił się teraz w oczodołach Europejczyka, sączył się z nozdrzy i ust, jak gdyby w jego czaszce tlił się

ogień?

W pokoju, gdzie grał z Europejczykiem w karty, White-head zbliżył się bezszelestnie do poduszek na swym prowizorycznym posłaniu.

Wydarzenia w przedpokoju przyciągnęły na jedną korzystną chwilę uwagę wszystkich. Wsunął dłoń pod poduszki i wyciągnął ukryty tam pistolet, następnie prześliznął się do przyległej garderoby i ukrył za szafą. Z tego miejsca, samemu będąc poza zasięgiem wzroku, widział świętego Toma i Carys, stojących w przedpokoju i przyglądających się wypadkom pod drzwiami wejściowymi. Oboje zbyt zaabsor-

525

bowani byli zmaganiem walczących gladiatorów, by dostrzec go w ciemności.

- Czy on nie żyje...? - spytał Tom z daleka.
- Kto wie? - usłyszał Whitehead odpowiedź Mamoulia. - Trzeba go usunąć z drogi. Zanieść do łazienki.

Whitehead patrzył, jak wnoszono bezwładną masę ciała Straussa przez drzwi pomieszczenia naprzeciwko i tam porzucono. Mamoulia zbliżył się do Carys.

- Ty go tu sprowadziłaś - rzekł po prostu.

Nie odpowiedziała mu. Ręka z pistoletem świerzbiła White-heada. Stamtąd, gdzie się ukrył, Mamoulia był dla niego łatwym celem, tyle że Carys stała na drodze. Czy kula wystrzelona w jej plecy przeszłaby przez nią i dosięgła Europejczyka? Myśl, jakkolwiek odrażająca, warta była rozważenia - chodziło wszak o przetrwanie. Ale moment wahania odebrał mu tę szansę. Europejczyk poprowadził Carys do pokoju gry i wyszedł poza zasięg strzału. Nie szkodzi, droga była wolna.

Wysunął się z ukrycia i rzucił w stronę drzwi garderoby. Już w przedpokoju usłyszał głos Mamoulia:

- Josephie?

Whitehead przebiegł kilka jardów w stronę drzwi wejściowych, wiedząc, że szanse na ucieczkę bez użycia przemocy są wątle jak pajęcza nić. Chwycił za klamkę, przekręcił ją...

- Josephie - usłyszał za swoimi plecami.

Dłoń Whiteheada zamarła, gdy poczuł niewidzialne palce, szarpiące skórę na jego karku. Zignorował ich uścisk i mocno przekręcił gałkę u drzwi. Ślizgała się w spoconej dłoni. Myśl, która oddychała na jego karku, zacisnęła się wokół kręgów szyjnych w niedwuznacznej groźbie. Cóż począć, pomyślał, nie pozostawiono mi wyboru. Puścił klamkę i obrócił się wokół własnej osi, by stanąć twarzą w twarz z karciarzem. Ów stał na przeciwległym końcu korytarza, w którym robiło się coraz ciemniej i który zdawał się tunelem wychodzącym wprost z oczu Mamoulia. Tak potężna iluzja. Ale zarazem tylko iluzja. Mógł się opierać wystarczająco długo, by pokonać jej twórcę. Whitehead uniósł broń i wycelował w Europejczyka. Wypalił,

526

nie zostawiając karciarzowi czasu na pomieszenie mu szyków. Pierwsza kula ugodziła Mamoulia w klatkę piersiową, druga w brzuch. Zakłopotanie pojawiło się na twarzy Europejczyka, krew wylewała się z ran przez dziury w koszuli. Nie zwałił się jednak z nóg. Zamiast tego, głosem tak opanowanym, jakby żaden strzał nie padł, spytał:

- Czy chcesz stąd wyjść, Pielgrzymie?

Klamka przy drzwiach za plecami Whiteheada zagrzechotała.

- *Czy to tego właśnie chcesz?* - zapytał Mamouliau. - Wyjść na zewnątrz?
- Tak.
- Idź zatem.

Whitehead odstał od drzwi, a te wówczas otwały się z tak wściekłą siłą, że klamka wbiła się w ścianę. Stary odwrócił się od Mamouliau, by na dobre zacząć uciekać, ale nim zdołał wykonać krok, światło w przedpokoju zostało zassane przez czarną jak smoła ciemność za drzwiami, i ku swemu przerażeniu Whitehead zdał sobie sprawę, że za progiem nie ma już hotelu. Nie ma dywanów ani luster, nie ma schodów opadających spiralnie ku światu na zewnątrz. Tylko pustkowie, przez które wędrował pół życia wcześniej: plac, niebo upstrzone drżącymi gwiazdami.

- Idź - zachęcił go Europejczyk. - To wszystko czeka na ciebie od tylu lat. Ruszaj! Idź!

Podłoga wydawała się śliska. Whitehead poczuł, jak ześlizguje się w stronę przeszłości. Twarz owiało mu świeże powietrze, wpadające do przedpokoju, jemu na spotkanie. Pachniało wiosną; Wisła toczyła się z rykiem w stronę morza jakieś dziesięć minut marszu stąd, pachniało też kwiatami. Oczywiście, że pachniało kwiatami. To, co wziął za gwiazdy, okazało się płatkami, białymi płatkami kwiatów, unoszonymi przez bryzę i miotanymi w jego kierunku. Widok płatków był zbyt natrętny, by go zignorować. Pozwolił im prowadzić się z powrotem w tę sławetną noc, gdy przez kilka migotliwych godzin cały świat obiecywał oddać mu się we władanie. Kiedy już przyzwy-

czaił swe zmysły do nocy, pojawiło się drzewo, tak zjawiskowe, jakim często bywało w jego snach, z białą koroną, drżącą nieznacznie. Ktoś czaił się w cieniu pod obciążonym kwieciami, których najmniejsze poruszenie wywoływało nowe kaskady bieli. Jego wprowadzony w stan transu umysł wykonał ostatnią próbę pochwycenia realności hotelu; Whitehead wyciągnął rękę, by dotknąć drzwi apartamentu, ale jego dłoń nie trafiła na nie w ciemności. Nie było czasu szukać dalej. Skrywany przez cień obserwator wynurzał się spod osłony gałęzi. Uczucie déjà vu ogarnęło Whiteheada; z tą tylko różnicą, że za pierwszym razem człowieka pod drzewem widział zaledwie przez mgnienie. Tym razem niezdecydowany wartownik całkiem wyszedł z *ukrycia*. Uśmiechając się na powitanie, Konstantin Wasiliew ukazał swą spaloną twarz człowiekowi, który przybył z wizytą z przyszłości. Dziś wieczór Porucznik nie uda się na schadzkę z martwą kobietą; dziś wieczór uściskiem powita złodzieja, którego twarz pokryły zmarszczki i broda, ale na którego przyjscie czekał całe życie.

- Myśleliśmy, że już nigdy się nie zjawisz - powiedział Wasiliew. Odepchnął od siebie gałąź i ukazał swą postać w martwym świetle tej fantastycznej nocy. Czuł dumę, że może zaprezentować się w całej okazałości, choć jego włosy były całkiem spalone, jego twarz czarno-czerwona, ciało pełne dziur. Miał rozpięte spodnie; członek znajdował się w stanie wzwodu. Może później pójdą razem do kochanki. On i złodziej. Napiją się wódki jak starzy przyjaciele. Uśmiechnął się do Whiteheada. - Mówiłem im, że w końcu przyjdiesz. Wiedziałem, że przyjdiesz. Żeby nas znów zobaczyć.

Whitehead uniósł pistolet, który wciąż trzymał w dłoni, i wypalił w

Porucznika. Złudzenie nie zostało zakłócone przez ten atak, przeciwnie - uległo wzmocnieniu. Okrzyki - po rosyjsku - rozległy się gdzieś poza obrębem placu.

- Patrz, co narobiłeś - skarcił go Wasiłiew. - Zaraz się zjawia żołnierze.

Złodziej zrozumiał swój błąd. Nigdy nie używał broni palnej po godzinie policyjnej - to było jak prośba o aresztowanie.

528

Usłyszał odgłos biegnących stóp w ciężkich butach, całkiem blisko.

- Musimy się pośpieszyć - poganiał go Porucznik, mimochodem wypluwając nabój pistoletowy, który złapał między zęby.
- Nie idę z tobą - powiedział Whitehead.
- Ale my czekaliśmy tak długo - odrzekł Wasiliew i potrząsnął gałęzią, by dać sygnał do rozpoczęcia drugiego aktu.

Drzewo uniosło konary jak pana młoda ramiona, strząsając z siebie welon kwiatów, W ciągu kilku mgnień powietrze wypełniła śnieżyca płatków. Gdy opadły, zalewając swym blaskiem ziemię, złodziej zaczął dostrzegać znajome twarze, oczekujące pod gałęziami. Ludzie, którzy lata temu przybyli na to pustkowie, do tego drzewa, zgromadzili się pod jego koroną, by razem z Wasiliewem gnić tu i szlochać. Evangeline była wśród nich; rany tak pieczołowicie i elegancko zamaskowane, gdy składano ją do trumny, teraz całkiem się odsłoniły. Nie uśmiechała się, ale wyciągała ku niemu ramiona, by go objąć, a gdy postąpiła krok do przodu, jej usta uformowały jego imię - Jo. Za nią stał Bill Toy w wieczorowym ubraniu, jakby szykował się do wyjścia do „Aca-demy”. Z uszu ciekła mu krew. Była przy nim kobieta w nocnej koszuli, z twarzą otwartą od warg po brwi.

Byli i inni, niektórych rozpoznawał, wielu nie. Była kobieta, która zaprowadziła go do karciarza, z obnażonym biustem, tak jak ją zapamiętał. Jej uśmiech wciąż zdawał się równie niepokojący. Byli też żołnierze, którzy - podobnie jak Wasiliew - przegrali z Mamoulianem. Jeden z nich, oprócz dziur po kulach, miał na sobie spódniczkę. Spod jej fałdów wysunął się pysk zwierzęcia. Saul - a raczej jego zmasakrowane truchło - obwąchał swego pana i zawarczał.

- Widzisz, jak długo już czekamy? - odezwał się Wasiliew.

Wszystkie zagubione twarze wpatrywały się w Whiteheada z otwartymi ustami. Nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

- Nie mogę wam pomóc.
- Chcemy odejść - powiedział Porucznik.
- Idźcie więc.
- Nie bez ciebie. On bez ciebie nie umrze.

529

Wreszcie złodziej zrozumiał. To miejsce, którego obraz ujrzał już w saunie w Sanktuarium, istniało w Europejczyku. Te duchy to istoty, które pożarł, wchłonął w siebie. Evangeline! Nawet ją. Teraz czekali - czekały ich zniekształcone szczątki - na tej ziemi niczyjej pomiędzy ciałem i śmiercią, aż Mamo-ulianowi obrzydnie egzystencja i położy się, by umrzeć. Wtedy i oni przypuszczalnie uzyskają wolność. Do tego czasu ich twarze będą zwracać się do niego z tym bezdźwięcznym O, z tym melancholijnym apelem.

Złodziej pokręcił głową.

- Nie - powiedział.

Nie odda oddechu. Nie dla całego sadu takich drzew. Nie dla całego narodu zrozpaczonych twarzy. Odwrócił się plecami do placu Muranowskiego i jego skarżących się duchów. Żołnierze nawoływali się gdzieś w pobliżu, wkrótce tu będą. Spojrzał w tył, w stronę hotelu. Przedpokój na poddaszu nadal tam był, zaraz za progiem zbombardowanego domu: surrealistyczne zestawienie ruiny i luksusu. Ruszył przez gruzy w tamtą stronę, nie zważając na okrzyki żołnierzy, by się zatrzymał. Najgłośniejszy jednak był wrzask Wasiliewa.

- Łajdak! - skrzeczał Porucznik.

Złodziej pozostał głuchy na to wołanie. Opuścił plac i wkroczył z powrotem do ciepłego przedpokoju, unosząc przy tym broń.

- Stara śpiewka - powiedział. - Nie przestraszysz mnie tym.

Mamoulian nadal stał na drugim końcu korytarza; minuty, które złodziej spędził na placu, tu nie upłynęły wcale.

- Nie boję się! - zawołał Whitehead. - Słyszysz mnie, ty bezduszny łajdaku? Nie boję się!

Znów wystrzelił, tym razem celując w głowę Europejczyka. Kula uderzyła w policzek. Polała się krew. Nim Whitehead zdążył wypalić jeszcze raz, Mamoulian wziął odwet.

- Dla tego, co zrobię - oznajmił drżącym głosem - nie ma granic!

Jego myśl pochwyliła złodzieja za gardło i skrzyła mu kark. Kończynami starego wstrząsnęły konwulsje, broń wypadła mu

z ręki; zawiódł go pęcherz, puściły zwieracze. Za jego plecami, na placu,

duchy zaczęły bić brawo. Drzewo zatrzęsło się tak gwałtownie, że te kilka płatków, które wciąż trzymały się gałęzi, zostało porwanych w powietrze. Kilka z nich uleciało w stronę otwartych drzwi, topiąc się w progu pomiędzy przeszłością i teraźniejszością jak płatki śniegu. Whitehead uderzył plecami o ścianę. Kątem oka pochwycił obraz Evangeline, plującej w jego kierunku krwią. Z plecami przyciśniętymi do ściany zaczął osuwać się na podłogę. Jego ciało podrygiwało niby przy ataku padaczki. Spoza grzechoczących szczęk wydostało się tylko jedno słowo:

- *Nie!*

Leżąc na podłodze łazienki, Marty posłyszał ten zawodzący głos sprzeciwu. Próbował się poruszyć, ale jego świadomość była zbyt powolna, a pobite ciało przeszywał ból od czubka głowy po golenie. Uczepiwszy się krawędzi wanny, podźwignął się na kolana. Z pewnością o nim zapomniano -jego udział w wydarzeniach był zaledwie komediowym przerywnikiem. Próbował stanąć na nogach, ale dolne kończyny okazały się zdradzieckie - ugięły się pod nim, upadł więc ponownie, czując przy zderzeniu z podłogą każdy siniak.

W przedpokoju Whitehead siedział w kucki, z rozdziawionymi jak u idioty ustami. Europejczyk zbliżył się, by zadać *coup de grace*, ale przeszkodziła mu Carys.

- Zostaw go - powiedziała.

Mamouliau, podenerwowany, odwrócił się do niej. Krew na jego policzku nakreśliła pojedynczą linię, sięgającą szczęki.

- Ty też - wyszeptał. - Żadnych granic.

Carys wycofała się do pokoju gry. Świeca na stole rozbliła jasnym płomieniem. W apartamencie została uwolniona energia i trzaskający

płomień, sycąc się nią, stał się gruby i biały. Europejczyk patrzył na Carys z głodem w oczach. Obudził się w nim apetyt - instynktowna reakcja na utratę krwi - i wszystko, co w niej teraz widział, to pożywkę dla siebie. Jak złodziej - łakomy na jeszcze jedną truskawkę, mimo że ma już pełny brzuch.

- Wiem, kim jesteś - oznajmiła Carys, unikając jego wzroku.

531

Marty usłyszał z łazienki jej zagranie. Głupio, pomyślał, mówić mu o tym.

- Wiem, co zrobiłeś.

Przydymione oczy Europejczyka otworzyły się szeroko.

- Jesteś nikim - dziewczyna podniosła głos. - Jesteś tylko żołnierzem. Który spotkał mnicha i udusił go we śnie. Jaki masz więc powód do dumy? - Jej furia uderzała go prosto w twarz.

- Jesteś nikim! Nikim i *niczym!*

Wyciągnął rękę, by ją pochwycić. Zrobiła unik dookoła karcianego stolika, lecz on go przewrócił, rozsypując talię, i złapał dziewczynę. Poczula jego uchwyt jak olbrzymią pijawkę wysysającą z niej krew i pozostawiającą w to miejsce jedynie próżnię, bezcelową ciemność. Europejczyk znów stał się architektem jej snów.

- Boże, pomóż mi - wyszeptała.

Jej zmysły wykruszyły się i szarość strumieniem wlała się w ich miejsce. Wyrwał ją z jej ciała jednym zuchwałym szarpnięciem i wchłonął w siebie, porzucając pustą powłokę na podłodze obok przewróconego stolika. Wierzchem dłoni wytarł usta i spojrzał na apostołów. Stali w drzwiach i gapili się na niego. Niedobrze mu się zrobiło od własnej

zachłanności. Ona znalazła się teraz w nim - cała za jednym zamachem - i tego było zbyt wiele. A święci to tylko pogarszali, patrząc na niego jak na jakąś odrażającą istotę; ten ciemnowłosy po trząsał w dodatku głową.

- Zabiłeś ją - mówił. - Zabiłeś.

Europejczyk odwrócił się od oskarżyciela. W jego organizmie wrzało, oparł się łokciem i przedramieniem o ścianę jak pijak, który zaraz zwymiotuje. Obecność Carys w nim była torturą. Nie chciała się uspokoić, szalała i szalała. A jej niesforny opór uwolnił znacznie więcej: Straussa przebijającego jego trzewia; ścigające go psy, krew i dym; a potem przeniósł go daleko w przeszłość, w czasy na długo przed tymi kilkoma okropnymi miesiącami, gdy innym poddany był próbom: dziedzińce zasypane śniegiem, światło gwiazd, kobiety i głód, zawsze głód. A na plecach wciąż czuł spojrzenie młodych chrześcijan.

532

Jeden z nich przemówił; blondyn, którego kiedyś być może pożądał. On, i ona, i wszyscy.

- Czy to już koniec? - chciał wiedzieć Chad. - Czy to już wszystko, pieprzony kłamco? Obiecałeś nam potop.

Europejczyk przycisnął dłoń do ust, by powstrzymać wydobywający się z nich dym, i wyobraził sobie falę załamującą się nad hotelem, nad miastem, spadającą, by zmieść Europę.

- Nie kuście mnie - ostrzegł.

W przedpokoju Whitehead ze skrzyżowanym karkiem wyczuł niewyraźny zapach perfum w powietrzu. Ze swojego położenia widział hotelowy

korytarz za drzwiami apartamentu. Plac Muranowski ze swym fatalnym drzewem już dawno się rozplynał, pozostały lustra i dywany. Rozciągnięty na podłodze tuż przy drzwiach Whitehead usłyszał, jak ktoś wchodzi po schodach. W cieniu dostrzegł ruch postaci; to ona była źródłem zapachu. Wyperfumowany przybysz zbliżał się powoli, ale wytrwale. Zawahał się tylko na moment w progu, nim przestąpił skulone ciało Whiteheada i ruszył w stronę pokoju, gdzie dwaj mężczyźni rozegrali partię kart. Gdy wówczas gawędzili, była taka chwila, kiedy Whitehead wyobraził sobie, że mógłby zawrzeć nowy pakt z Europejczykiem; odsunąć nieuchronną katastrofę jeszcze o kilka lat. Ale wszystko poszło źle. Pokłócili się o błahostkę, jak kochankowie, i na skutek jakiejś niepojętej arytmetyki sprzeczka urosła do takich właśnie rozmiarów: do rozmiarów śmierci.

Przewrócił się na drugi bok, by móc widzieć, co się dzieje po drugiej stronie, na końcu korytarza, za progiem pokoju gry. Carys leżała na podłodze pośród rozsypanych kart. Widział jej zwłoki przez uchylone drzwi. Europejczyk ją wchłonał.

Teraz przybysz dowlókł się do drzwi i zasłonił widok. Ze swego miejsca Whitehead nie mógł zobaczyć jego twarzy. Ale dostrzegł błysk na ostrzu maczety przy jego boku.

Tom zauważył Połykacza Żyletek wcześniej niż Chad. Jego rozregulowany żołądek zaprotestował przeciwko mieszance

zapachów drzewa sandałowego i rozkładu i wyrzucił całą swą zawartość na łóżko starego, gdy tylko Breer wkroczył do pokoju. Ten ostatni przybył z daleka i droga nie była dlań łaskawa, ale w końcu tu dotarł.

Mamoulian oderwał się od ściany i wyprostowany zwrócił się w stronę Breera.

Nie do końca zaskoczył go widok tej gnijącej twarzy, choć nie potrafiłby wyjaśnić dlaczego. Może dlatego, że jego umysł nie do końca uwolnił ze swych objęć Połykacza Żyłek i ten zjawił się jakoś na jego polecenie? Breer gapił się na Mamo-uliana przez rozświetlone powietrze, jakby oczekiwał na nowe instrukcje, zanim znów podejmie jakieś działanie. Mięśnie na jego twarzy uległy takiej degradacji, że każde drgnienie gałki ocznej groziło rozerwaniem skóry wokół oczodołu. Wygląda, pomyślał Chad - którego umysł uległ wpływowi dużej ilości koniaku - jak mężczyzna wypełniony do granic możliwości motylami. Ich skrzydła uderzają o wewnętrzne ściany ciała, a w swej zapalczowości rozcierając jego kości na pył. Wkrótce ich niezmordowane ruchy rozerwą go i w powietrzu zaroi się od motyli.

Europejczyk spojrział na maczetę w dłoni Breera.

- Dlaczego przyszedłeś? - zapytał.

Połykacz Żyłek próbował odpowiedzieć, ale język zbuntował się przeciw swym obowiązkom. Pojawiło się tylko uformowane na miękkim podniebieniu słowo, którym mogło być: „gont”, „kąt” lub „kat”, ale nie było.

- Czy przyszedłeś, żeby cię zabić? Czy o to chodzi?

Breer potrząsnął głową. Nie takie miał zamiary i Mamoulian o tym wiedział. Śmierć była najmniejszym z jego problemów. Uniósł ostrze trzymane przy boku, by zasygnalizować swe zamiary.

- Mogę cię zmieść z powierzchni ziemi - zagroził Mamo ulian.

Breer ponownie potrząsnął głową.

- Uchachak - powiedział, co Mamoulian zinterpretował i głośno powtórzył jako: „Umarlak”.

534

- Umarlak... - rzekł w zadumie Chad. - Boże święty. Ten mężczyzna nie żyje.

Europejczyk mruknął coś na potwierdzenie.

Chad uśmiechnął się. Może nie doczekają się niszczącej fali. Może obliczenia Wielebnego były błędne, a potop nie nastąpi jeszcze przez kilka miesięcy. To teraz bez znaczenia. Miał historie do opowiedzenia - i to jakie historie. Nawet Bliss, ze swoją gadką o demonach w duszy całej półkuli, nie słyszał o takich zdarzeniach. Święty patrzył, oblizując wargi ze zniecierpliwienia.

W przedpokoju Whitehead zdołał odsunąć się trzy lub cztery jardey od drzwi wejściowych i zobaczył Straussa, któremu udało się stanąć na nogach. Marty stał, opierając się o framugę drzwi do łazienki, gdy poczuł na sobie spojrzenie starego. Whitehead uniósł rękę w przyzywającym geście. Strauss wtoczył się niezdarnie do przedpokoju; jego obecność pozostała niezauważona przez aktorów sceny rozgrywanej w pokoju gry. Było ciemno, światło z pokoju gry, to żywe światło świecy, ledwo tu docierało zza częściowo przymkniętych drzwi.

Marty przyklęknął przy boku Whiteheada. Stary chwycił go za połą koszuli.

- Musisz po nią pójść - szepnął zamierającym głosem. Miał wytrzeszczone oczy, po brodzie ściekała mu krew, z każdym słowem napływało jej coraz więcej, ale uścisk miał nadal mocny. - Idź po nią,

Marty - wysyczał.

•O czym pan mówi?

•On ją ma - rzekł Whitehead. - W sobie. Idź po nią, na miłość boską, albo zostanie tam na zawsze, jak reszta. - Jego oczy zwróciły się w stronę schodów, przypomniał sobie zmory z placu Muranowskiego. Czy ona tam już jest? Uwięziona pod drzewem, gdy Wasiliew kładzie na niej swe ochocze dłonie? - Wargi starego zaczęły drżeć. - Nie mogę... pozwolić mu jej zabrać, chłopcze - ciągnął. - Słyszysz mnie. Nie pozwolę mu jej zabrać.

Marty miał trudności z poskładaniem tego w jakąś logiczną całość. Czy Whitehead sugerował mu, by spróbował znaleźć

535

drogę do wnętrza Mamouliana i zabrać stamtąd Carys? To było niemożliwe.

- Nie mogę - powiedział.

Stary zauważył obrzydzenie na jego twarzy i puścił koszulę Marty'ego, jakby nagle odkrył, że trzyma w dłoniach odchody. Zrozpaczony odwrócił głowę w przeciwnym kierunku.

Marty patrzył w stronę pokoju gry. Przez szczelinę w drzwiach widział Mamouliana zbliżającego się do postaci, która mogła być tylko Połykaczem Żyletek. Na twarzy Europejczyka pojawił się wyraz słabości. Marty wpatrywał się w ten grymas przez chwilę, a następnie spojrzął na stopy Mamouliana. Tam leżała Carys, zaskoczenie nagłym zgonem malowało się na jej twarzy, skóra jaśniała w mroku. Nie był w stanie już nic zrobić; dlaczego Papa nie pozwoli mu uciec w mrok nocy i wylizać się z ran? Tak, tutaj nie potrafił nic zrobić.

A jeśli by uciekł; jeśli znalazłby sobie jakieś miejsce, gdzie się ukryje, wyleczy, czy kiedykolwiek zmyje z siebie tę woń tchórzostwa? Czy ta chwila - te rozstaje dróg, te rozwidlenia następujące jedno po drugim - nie zostanie wypalona na zawsze w jego snach? Spojrzał znów na Papę. Gdyby nie ledwo zauważalny ruch warg, Whitehead mógłby uchodzić za martwego.

- Idź po nią. - Powtarzał te słowa jak wyznanie wiary, które wypowiada się znowu i znowu, póki starcza tchu. - Idź po nią. Idź po nią.

Marty poprosił kiedyś Carys o coś podobnego - by weszła do siedziby szaleńca i powróciła z opowieścią. Jak mógłby teraz nie zrewanżować się jej za tamto? Idź po nią. Idź po nią. Słowa Papy zamierały z każdym uderzeniem jego umierającego serca. Może udałoby się ją odzyskać, pomyślał Marty, odnaleźć gdzieś w niestałej materii ciała Mamouliana. A jeśli nie... Jeśli nie, czy tak trudno byłoby umrzeć, próbując ją ratować? Skończyć z rozstajami dróg i wyborami obracającymi się w popiół?

Ale jak to zrobić? Próbował sobie przypomnieć, jak ona to uczyniła, ale procedury były zbyt skomplikowane - mycie się, milczenie - a on, rzecz jasna, miał nikłe szanse na odbycie tej podróży, zanim zmienią się okoliczności. Jedyne źródło

536

nadziei stanowiła dlań jego zakrwawiona koszula - owo poczucie, jakiego doznał, jadąc tutaj, że Carys pokonała jakąś barierę w jego głowie i że to uszkodzenie, raz dokonane, pozostanie tam na zawsze. Może jego umysł będzie w stanie dotrzeć do niej przez ranę, którą otworzyła; podążać za jej zapachem tak niestrudzenie, jak ona ściagała jego zapach.

Zamknął oczy, odcinając się od widoku przedpokoju, White-heada i ciała leżącego u stóp Europejczyka. Obraz był pułapką; ona mu to kiedyś powiedziała. Wysiłek również. Musi się rozluźnić. Niech instynkt i wyobraźnia zabiorą go tam, gdzie zmysły i intelekt pójść nie mogą.

Wyczarował obraz Carys, bez wysiłku, pozbywając się posępnego obrazu zwłok, a w to miejsce przywołując jej żywy uśmiech. Wymówił w myślach imię dziewczyny, a ona przyszła do niego w dziesiątkach mgnień: roześmiana, naga, zmieszana, skruszona. Ale pozwolił odejść tym poszczególnym wizjom, pozostawiając tylko jej zasadniczą obecność w swej obolałej głowie.

Wyśnił ją.

Rana była otwarta i ponowne jej dotykane sprawiało ból. Krew ściekała Marty'emu do otwartych ust, ale to doznanie było odległym zjawiskiem. Niewiele miało wspólnego z jego obecnym stanem, z narastającym poczuciem zakłócenia równowagi. Czuł się tak, jakby wyzuwał się z ciała. Stało się zbędne: niepotrzebna materia. Łatwość tego procesu zadziwiła go. Jego jedyną troską było nie dać się porwać entuzjazmowi; kontrolował swą radość ze strachu, że porzuci ostrożność i zostanie nakryty.

Nic nie widział, nic nie słyszał. Stan, w jaki przeszedł - czy w ogóle przechodził? - nie poddawał się zmysłom. Teraz, choć nie miał na to żadnych namacalnych dowodów, był pewien, że został oddzielony od własnego ciała. Zostawił je za sobą, pod sobą, jak niezamieszkaną muszlę. Przed nim była Carys. Wyśni do niej drogę.

I wtedy, dokładnie w chwili, gdy pomyślał, że ta niezwykła podróż mogłaby mu sprawić przyjemność, otwarło się przed nim piekło...

Mamouliau, zbyt zaabsorbowany Połykaczem Żyletek, nie poczuł nic, gdy Marty w niego wtargnął. Breer podbiegł do przodu, zamachnął się maczetą i wymierzył cios w Europejczyka. Ten wykonał krok w bok z zachowaniem doskonałej ekonomii ruchów i uniknął ciosu, ale Breer obrócił się wokół swojej osi i z zaskakującą szybkością zadał drugie cięcie, i tym razem, bardziej zrzędzeniem losu niż na skutek świadomego manewru, maczeta ześlizgnęła się po ramieniu Mamouliana, rozcinając materiał jego ciemnoszarego garnituru.

- Chad - powiedział Europejczyk, nie spuszczać Breera z oczu.
- Tak? - odparł blondyn. Wciąż stał oparty o ścianę opodal drzwi, w pozie gnuśnego bohatera; znalazł ukryte zapasy cygar Whiteheada, kilka schował do kieszeni, a jedno zapalił. Wypuścił z ust chmurę szarobłękitnego dymu i zamglonymi od alkoholu oczyma obserwował walczących. - Czego pan chce?

• Znajdź pistolet Pielgrzyma.

• Po co?

• Dla naszego gościa.

- Sam go pan zabij - odparł Chad nonszalancko. - Potrafi pan to zrobić.

Umysł Mamouliana wzdrygnął się na myśl, że miałby dotknąć takiego rozkładu; lepsza byłaby kula. Wystrzelona z bliska zrobiłaby z Połykacza Żyletek kupę śmiecia. Bez głowy nawet martwi nie mogą chodzić.

• Przynieś pistolet! - zażądał.

- Nie - odrzekł Chad. Wielebny zawsze powtarzał, że mówienie prosto z mostu jest najlepsze.

• Nie czas teraz na zabawy - powiedział Mamouliau, odrywając na moment uwagę od Breera, by spojrzeć na Chada. To był błąd. Umarlak

jeszcze raz zamachnął się maczetą i tym razem cios dosięgnął barku Europejczyka, ostrze utknęło w mięśniu tuż koło szyi. Europejczyk nie wydał żadnego dźwięku poza stęknieniem w momencie, gdy poczuł uderzenie, i jeszcze jednym, gdy Breer wyciągnął ostrze z rany. - Przestań - odezwał się do napastnika.

538

Breer potrząsnął głową. Czyż nie po to tu przyszedł? To było za ledwie preludium do aktu, na którego odegranie czekał tak długo.

Mamouliau uniósł dłoń do rany na barku. Kule mógł przyjmować i żyć dalej; ale poważniejszy uraz, taki, który naruszał integralność jego ciała, był niebezpieczny. Musiał skończyć z Breerem, i jeśli święty nie przyniesie pistoletu, wówczas on będzie musiał zabić Połykacza Żyletek gołymi rękami.

Breer zdawał się wyczuwać jego zamiary.

- Nie możesz mi nic zrobić - próbował powiedzieć, ale słowa wychodziły z jego ust w postaci bełkotu. - Jestem martwy.

Mamouliau potrząsnął głową.

- Kończynę za kończyną - wymamrotał. - Jeśli będę musiał, kończynę za kończyną.

Chad uśmiechnął się, słysząc tę obietnicę Europejczyka. Słodki Jezu, pomyślał, to jest sposób, w jaki świat się skończy. Labirynt hotelowych pokoi, samochody na autostradzie, wracające do domu ze swej ostatniej podróży, martwi i prawie martwi, wymierzający sobie ciosy przy świetle świecy. Wielebny był w błędzie. Potop nie jest falą, o nie. To ślepcy z siekierami; to wielcy tego świata, błagający na kolanach, by nie ginąć z ręki idiotów. To pragnienie irracjonalnego, rozrośnięte do rozmiarów

epidemii. Przyglądał się i obmyślał, jak opowie tę scenę Wielebnemu, i po raz pierwszy w ciągu dziewiętnastu lat życia jego piękną głową wstrząsnął spazm czystej radości.

Marty nie poznał w pełni, jak przyjemne może być doświadczenie podróży, gdy jest się pasażerem czystej myśli, bo oto został wrzucony w ciało Mamouliana. Poczuł się niczym człowiek obdarty ze skóry, zanurzony we wrzącym oleju. Miotał się, jego esencja, wrzeszcząc, domagała się końca tego piekła fizyczności innego człowieka. Ale tu była Carys. Musiał nieść tę myśl przed wszystkimi innymi, jak kamień probierczy.

W całym tym zawirowaniu uczucie do niej miało wręcz matematyczną klarowność. Jego równania - złożone, ale eleganckie

539

w swych dowodach - oferowały dokładność podobną niemal do prawdy. Marty musiał trzymać się tego odkrycia. Gdyby choć raz się go wyrzekł, byłby zgubiony.

Chociaż pozbawiony zmysłów, poczuł, że ten nowy stan usiłuje narzucić mu własną wizję. W kąciakach oślepyłych oczu Marty'ego błyskało światło - głębie widzenia otwierały się i zamykały w jednej chwili - słońca groziły zapłonięciem nad jego głową, lecz były gaszone, nim zdołały uronić ciepło czy jasność. Coś zaczęło go drażnić: pragnienie szaleństwa. Ulegnij mi, mówiło, a nie będziesz musiał się więcej pocić. Zrównoważył pokusę myśleniem o Carys.

Odeszła, mówiło pragnienie, głębiej, niż odważysz się zejść. O wiele głębiej.

To stwierdzenie było zapewne prawdą. Mamoulian połknął ją całą, zabrał tam, gdzie trzymał swoich ulubieńców. Do miejsca, skąd brało początek to zero, którym zabawiał się przy Caliban Street. Gdyby Marty stanął twarzą w twarz z taką próżnią, usechłby na wiór - nie byłoby tym razem ułaskawienia. Takie miejsce, mówiło pragnienie, takie straszne miejsce. Chcesz zobaczyć?

Nie.

Śmiało, popatrz! Patrz i drzyj! Zobacz i umrzyj! Chciałeś wiedzieć, czym on jest, cóż, teraz masz okazję przyjrzeć się mu z perspektywy glisty.

Nie słucham tego, pomyślał Marty. Postępował dalej, i choć - podobnie jak przy Caliban Street - nie było tu ani góry, ani dołu, ani przodu, ani tyłu, odczuwał to jako schodzenie w dół. Czy to tylko metafory, które przyniósł tu ze sobą, wyobrażenie piekła jako czeluści? Czy może pełził przez wnętrzości Europejczyka, by dostać się do jelita, gdzie ukryta była Carys?

Oczywiście nigdy się nie wydostaniesz, uśmiechnęło się pragnienie szaleństwa. Nigdy, skoro już raz tu wlałeś. Nie ma drogi powrotnej. On cię nigdy nie wysra. Zostaniesz tu zamknięty na zawsze.

Carys się wydostała, rozumował.

540

Ona była w głowie, przypomniało mu pragnienie szaleństwa. Kartkowała książki w jego bibliotece. Ty jesteś pogrzebany pod stertą łajna; głęboko, o tak, stary, bardzo głęboko.

Nie!

Z całą pewnością.

Nie!

Mamoulian potrząsnął głową. Było w niej pełno dziwnych bólów, pełno głosów. A może to przeszłość przemawiała do niego? Tak, to przeszłość. Przez ostatnie tygodnie buczała i plotkowała mu do ucha głośniejsze niż w minionych dziesięcioleciach. Ilekroć jego umysł się rozleniwił, siła ciężkości historii rościła sobie do niego prawa i Mamoulian znów był na dziedzińcu klasztornym, padał śnieg, na prawo od niego trząsał się doboosz, a pasożyty opuszczały stygnące zwłoki skazańców. Dwieście lat życia wzięło początek z tego spisku chwil. Gdyby strzał, który powalił kata, opóźnił się o kilka zaledwie sekund, topór spadłby, głowa Mamouliana potoczyłaby się po dziedzińcu, a stulecia, w których żył, nie mieściłyby się w nim; ani on w nich.

A dlaczego ten ciąg myśli powracał teraz, gdy patrzył na Anthony'ego stojącego po drugiej stronie pokoju? Byli oddaleni od tamtych wypadków o tysiąc mil i sto siedemdziesiąt lat. Nic mi nie grozi, skarcił sam siebie, dlaczego więc się trzęsę? Breer balansował na krawędzi totalnego rozpadu; pozbycie się go było odrażającym, lecz łatwym zadaniem.

Mamoulian wykonał nagły ruch, zdrową ręką łapiąc Breera za gardło, nie dając mu szans na kontratak. Wąskie palce Europejczyka wbiły się w kleistą masę i zacisnęły wokół przełyku Breera. Mocne szarpnięcie ręką i spory fragment szyi Breera oderwał się w potokach tłuszczu i płynów. Rozległ się dźwięk przypominający odgłos ulatniającej się pary.

Chad klaskał, z cygarem w ustach. W kącie pokoju, tam gdzie wcześniej upadł, Tom przestał łkać i przyglądał się teraz temu okaleczeniu. Jeden człowiek walczący o swoje życie, drugi o swoją śmierć. Alleluja! Święci i grzesznicy - wszyscy razem.

Mamoulian odrzucił zgniłą substancję, która została mu w dłoni. Pomimo poważnego okaleczenia Połykacz Żyletek nadal trzymał się na nogach.

- Czy muszę rozerwać cię na kawałki? - spytał Mamoulian. Gdy to mówił, coś poruszyło się wewnątrz niego. Czy to dziewczyna ciągle walczy ze zniewoleniem? - Kto tam? - zapytał łagodnie.

Carys odpowiedziała. Nie Mamoulianowi, lecz Marty'emu. Tutaj, powiedziała. Usłyszał ją. Nie, nie usłyszał: *poczuł*. Ona go wzywała, a on poszedł za jej wołaniem.

Pragnienie szaleństwa w Martym *znalazło się teraz w siódmym niebie*. Już za późno, by jej pomóc, mówiło, za późno na cokolwiek.

Ale Carys była teraz blisko, wiedział o tym, jej obecność zdusiła w nim panikę. Jestem z tobą, mówiła Carys. Jest nas teraz dwoje.

Pragnienie szaleństwa pozostało nieporuszone. Uśmiechało się ironicznie na myśl o ucieczce. Jesteście zapieczętowani na zawsze, mówiło, lepiej się z tym pogodzić. Skoro dziewczyna nie potrafi się wydostać, dlaczego tobie miałyby się to udać?

Dwoje, powiedziała Carys. Jest nas dwoje. W jednej, najbardziej ulotnej z chwil, pojął myśl ukrytą w jej słowach. Byli teraz razem, a razem stanowili coś więcej niż sumę ich poszczególnych części. Pomyślał o zamkniętych we wzajemnym uścisku ciałach - o fizycznym akcie - metaforze tej ich innej jedności. Nigdy tego nie rozumiał aż do teraz. Jego umysł triumfował. Ona była z nim; on był w niej. Byli niepodzielną myślą, wyobrażając sobie siebie nawzajem.

Uciekaj!

I piekło się podzieliło; nie miało wyboru. Jego terytorium rozpadło się na kawałki, gdy wyrwali się z objęć Europejczyka. Doświadczyli kilku wspaniałych chwil jako jeden umysł, a potem siła ciężkości - czy cokolwiek to było - upomniała się o swoje prawa. Nastąpiło rozdzielenie - brutalne wydalenie z tego chwilowego rajy - i oboje spadali teraz w kierunku swych ciał; oto bowiem zakończyła się koniunkcja.

542

Mamoulian odczuł ich ucieczkę jako ranę dotkliwszą niż którekolwiek z dotychczasowych uderzeń Breera. Uniósł palec do ust, na twarzy pojawił się wyraz bolesnej straty. Łzy polały się swobodnie, rozcieńczając krew na policzku. Breer zdawał się wyczuwać w tym wskazówkę dla siebie: jego chwila nadeszła. Obraz pojawił się spontanicznie w jego zmieniającym się w płyn mózgu, taki jak na ziarnistej fotografii w książce o okropieństwach wojny, poza jednym szczegółem: ten w jego wyobraźni był ruchomy. Padał śnieg, na koksowniku tańczyły płomienie.

Maczeta w jego dłoni z każdą sekundą stawała się cięższa, przypominała teraz bardziej topór. Uniósł ją; cień padł na twarz Europejczyka.

Mamoulian popatrzył na zrujnowane rysy twarzy Breera i rozpoznał je; zrozumiał, jak to wszystko doprowadziło go do tej chwili. Ugiął się pod ciężarem swych lat, opadł na kolana.

W tej samej chwili Carys otworzyła oczy. To był niedobry, wyczerpujący powrót, straszniejszy dla Marty'ego niż dla niej, już przyzwyczajonej do takich doznań. Nigdy nie było to przyjemne: czuć, jak mięśnie i tłuszcz tężeją wokół ducha.

Marty również otworzył oczy i spoglądał w dół na ciało, które

zajmował, ciężkie i nieświeże. Bardzo wiele z niego - niektóre warstwy skóry, włosy, paznokcie - było martwą tkanką. Jego substancja napawała go obrzydzeniem. Bycie w tym stanie stanowiło parodię wolności, której dopiero co zakosztował. Wyprostował się ze swej skulonej pozycji z okrzykiem niesmaku, jak gdyby obudził się ze snu i zobaczył, że po jego ciele pełzają insekty.

Spojrzał na Carys, by się uspokoić, ale jej uwaga zajęta była widokiem niedostępnym dla jego oczu, przesłoniętym przez na wpół zamknięte drzwi.

Oglądała widowisko, które skądś znała. Teraz miała jednak inny punkt widzenia i zabrało jej sporą chwilę, nim udało się zlokalizować scenę: mężczyzna na kolanach, z wysuniętą szyją, ramionami nieco odsuniętymi od tułowia i palcami rozpostartymi w uniwersalnym geście uległości; kat, z rozmazaną twarzą, unosi ostrze, by odciąć głowę niestawiającej oporu ofierze; ktoś śmieje się w pobliżu.

543

Ostatnim razem, gdy widziała ten żywy obraz, skrywała się za oczyma Mamoulia, żołnierza czekającego na zaśnieżonym dziedzińcu na cios, który unicestwi jego młode życie. Na cios, który nigdy nie padł, a raczej został odroczone aż do teraz. Czy kat czekał tak długo, żyjąc w jednym ciele, by porzuciwszy je, przenieść się do następnego, w ten sposób podążając za Ma-moulia przez dekady, aż w końcu los pozwolił na ponowne spotkanie? Czy może to sprawka samego Mamoulia? Czy to on wezwał Breera, by zakończył historię przypadkowo przerwana wiele pokoleń wcześniej?

Nigdy się nie dowie. Akt, zaczęty po raz drugi, nie miał być odroczone.

Broń cięła w dół, niemal całkowicie oddzielając głowę od szyi jednym ciosem. Połączona z tułowiem przez kilka nieustępliwych ścięgien, kołysała się - z nosem przy klatce piersiowej -jeszcze przez dwa uderzenia, nim odpadła i potoczyła się między nogami Europejczyka, by zatrzymać się w końcu przy stopach Toma. Chłopiec odkopnął ją od siebie.

Mamoulian nie wydał żadnego dźwięku, ale teraz w jego pozbawionym głowy tułowiu puściły wentyle. Z rany razem z krwią wydobywał się dźwięk; odgłosy skarg, zdało się, wychodziły każdym porem ciała. A wraz z dźwiękiem wydostawały się dymne duchy niedokończonych obrazów, ulatujące z niego jak para. Żałosne istoty pojawiały się i umykały; sny, być może, lub fragmenty przeszłości. Wszystko to teraz stało się jednym. Zawsze takie było, w gruncie rzeczy. On powstał z plotki, on - legendarny, nieuchwytny, którego samo imię było kłamstwem. Czy to miało jakieś znaczenie, że jego biografia, odchodząc w nicość, zostanie uznana za fikcję?

Breer, nienasycony, zaczął pastwić się maczetą nad otwartą raną w szyi trupa, tnąc najpierw w dół, potem poprzecznie, nie ustając w wysiłkach, by rozszcześcić ciało przeciwnika na coraz mniejsze kawałki. Ramię zostało w końcu całkiem odrąbane. Podniósł je, by odrąbać dłoń od nadgarstka, przedramię od ramienia. W kilka chwil pokój, który był miejscem niemal pogodnym, gdy dokonywała się egzekucja, zamienił się w rzeźnię.

544

Marty dokuśtykał do drzwi, akurat by zobaczyć, jak Breer odrąbuje drugie ramię Mamouliana.

- Patrz! Ale zasuwa! - zachwycił się amerykański chłopiec,

wódką Whiteheada wznosząc toast za tę krwawą łaźnię.

Marty obserwował jatkę bez zmrużenia oka. To był koniec. Europejczyk był martwy. Jego głowa leżała pod oknem przewrócona na bok; wydawała się taka mała, zanikająca.

Carys, przytulona do ściany koło drzwi, chwyciła Marty'ego za rękę.

- Papa! Co z Papą? - spytała.

Gdy to mówiła, zwłoki Mamoulia zwały się do przodu ze swej klęczącej pozycji. Duchy i wrzawa, jaka się z nich wydobywała - wszystko ucichło. Teraz wylewała się tylko ciemna krew. Breer, schylony, zabrał się do dalszej rzeźniczej roboty. Dwoma cięciami otworzył brzuch. Mocz trysnął fontanną z przekłutego pęcherza.

Carys, pełna obrzydzenia, wymknęła się z pokoju. Marty zabawił chwilę dłużej. Ostatnim obrazem, jaki ujrzał, nim poszedł w ślad Carys, był Połykacz Żyletek podnoszący za włosy głowę Mamoulia niczym egzotyczny owoc i zadający jej boczne cięcia maczetą.

W przedpokoju Carys ukucnęła przy boku ojca, Marty dołączył do niej. Pogłaskała starego po policzku.

- Papo? - odezwała się.

Nie umarł jeszcze, lecz nie był też w pełni żywy. Oczy miał zamknięte.

- Na nic się to nie zda... - powiedział Marty, gdy Carys po trząsnęła starego za ramię. - On już tak jakby nie żył.

W pokoju gry Chad zaczął się zanosić wrzaskliwym śmiechem. Najwidoczniej scena rzezi osiągnęła nową kulminację brawurowej niedorzeczności.

- Nie chcę być tutaj, gdy mu się to znudzi - rzekł Marty. Carys nie poruszyła się.

- Nic dla starego nie możemy już zrobić - dodał. Spojrzała na niego oszołomiona dylematem.
- On odszedł, Carys. My też powinniśmy stąd odejść.

545

W rzeźni zapanowała cisza. Była w pewnym sensie gorsza niż tamten śmiech albo odgłos krwawego znoju Breera.

- Nie możemy tu czekać - powiedział Marty.

Nie siląc się na delikatność, podźwignął Carys na nogi i pchnął ją w stronę drzwi wejściowych do apartamentu. Jej opór był nikły.

Gdy umykali schodami na dół, gdzieś nad ich głowami jasnowłosy Amerykanin ponownie zaczął bić brawo.

72

Umarlak długo trudził się swym dziełem; dopóki ruch na autostradzie nie zmalał do rozmiarów wąskiej strużki, pozostawiając w niej więc tylko dalekobieżne ciężarówki, z rykiem mknące na północ. Breer nie słyszał żadnej z nich. Jego uszy dawno temu przestały funkcjonować, a wzrok, niegdyś tak bystry, z trudem orientował się w pozostałościach po masakrze, które leżały na podłodze wokół niego. Ale gdy wzrok zawiódł kompletnie, pozostawał jeszcze szczątkowy zmysł dotyku. Użył go, by ukończyć swoje zadanie, dzieląc na coraz mniejsze części ciało Europejczyka, aż stało się niemożliwym odróżnienie tej części, która służyła do mówienia, od tej, którą szczał.

Chada znużyła ta rozrywka znacznie wcześniej, nim osiągnęła ów

punkt. Rozgniółł obcasem drugie już cygaro i przeszedł się zobaczyć, jak sprawy wyglądają w innych miejscach. Dziewczyny nie było, bohatera także. Bóg ich miłuje, pomyślał. Stary nadal leżał w przedpokoju, ścisnął jednak teraz w dłoni pistolet, który jakoś odzyskał w toku wydarzeń. Od czasu do czasu jego palcami poruszał spazm, nic więcej. Chad wrócił do krwawej komnaty, gdzie Breer klęczał pośród mięsa i rozrzuconych kart do gry, wciąż tnąc maczetą, i podniósł Toma z podłogi. Ten był pogrążony w apatii, miał prawie niebieskie usta i przekonanie go do jakichkolwiek działań wymagało długich perswazji. Ale Chad został obdarzony wrodzonym talentem do nawracania i krótka rozmowa przywróciła Tomowi jakiś cień entuzjazmu.

547

- Nie ma teraz nic, czego nie mogliśmy zrobić - powiedział mu Chad. - Zostaliśmy ochrzczeni. Chodzi mi o to, że widzieliśmy *wszystko*, czyi nie tak było? Nie ma nic jak świat długi i szeroki, czym diabeł mógłby nas pokonać, bo my tam byliśmy. Czyż nie byliśmy tam?

Czuł się mocno podekscytowany swoją nowo odnalezioną wolnością. Chciał udowodnić swe racje i przyszedł mu do głowy ten piękny pomysł - „spodoba ci się, Tommy” - by wypróżnić się na klatkę piersiową starego. Tomowi było wszystko jedno i tylko się przyglądał, jak Chad opuszcza spodnie, by odwalić brudną robotę. Kiszki z początku nie chciały go posłuchać. Jednak, gdy już miał się podnieść, otwarło się nagle oko Whiteheada i wypalił jego pistolet. Kula minęła jądra Cha-da o włos, zarysowała piękny czerwony ślad na wewnętrznej stronie śnieżnobiałego uda, świsnęła koło twarzy i uderzyła w sufit. Wtedy puściły kiszki młodzieńca,

ale stary już nie żył; umarł wraz z oddaniem strzału, który niemal pozbawił Chada męskości.

- Mało brakowało - zauważył Tom, którego to cudem unik-nięte okaleczenie Chada wyrwało z katatonii.
- Chyba mam fart - odparł blondyn.

Później obaj zemścili się najlepiej, jak potrafili, i ruszyli w swoją drogę.

Jestem ostatnim z plemienia, pomyślał Breer. Kiedy mnie nie będzie, Połykacze Żyłek staną się przeszłością.

Wywłókł się z hotelu „Pandemonium”, mając świadomość, że to, co pozostało ze spójności jego ciała, szybko zanika. Palce ledwo mogły uchwycić puszkę z benzyną, którą ukradł z bagażnika jakiegoś samochodu, nim przyszedł do hotelu, i zostawił w holu, by czekała na odprawienie tych ostatnich rytuałów. Trudność uchwycenia tego wszystkiego umysłem dorównywała trudności chwytania palcami, ale robił, co mógł. Nie potrafił nazwać istot, które obwąchiwały jego truchło, gdy przykucnął pośród odpadków; nie pamiętał nawet, kim jest, poza tym jednym, że niegdyś oglądał piękne i zachwycające widoki.

548

Odkręcił zakrętkę kanistra i wylał na siebie jego zawartość tak starannie, jak tylko dał radę. Większość benzyny po prostu rozlał wokół siebie. Następnie odrzucił kanister i zaczął po omacku zmagać się z zapalkami. Pierwsze dwie nie zapaliły się. Dopiero trzecia. Płomienie spowiły go natychmiast. W ogniu jego ciało skuliło się, przyjmując pozę bokserską, typową dla ofiar spalenia, gdyż ugotowane stawy skurczyły się, przyciągając ramiona i nogi bliżej korpusu w postawie obronnej.

Kiedy płomienie wreszcie zagasły, psy podeszły, by wygrzebać dla siebie, co się dało. Kilka z nich odeszło jednak, skamląc, z podniebieniami pociętymi przez kęsy mięsa, w których, niczym perły w ostrydze, skrywały się ostrza żyletek połykanych przez Breera jak najwyborniejsze smakołyki.

XIV

Po fali

73

Wiatr zawładnął światem.

Wiał dokładnie ze wschodu na zachód tego wieczoru i niósł zwiewne po całym dniu deszczu chmury w kierunku zachodzącego słońca; zdało się, że gnają ku jakiejś apokalipsie, rozgrywającej się zaraz za linią horyzontu. A może - ta myśl była nawet gorsza - śpieszyły przekonać słońce, by cofnęło się z tej strefy zapomnienia jeszcze na godzinę, choćby na minutę, byle tylko opóźnić noc. A ono oczywiście nie powróci, wykorzysta jedynie wełnistogłową panikę chmur i skradnie je podstępnie tam, na krawędzi świata.

Carys próbowała przekonać Marty'ego, że wszystko jest w porządku, ale jej się to nie udało. Teraz, gdy śpieszą jeszcze raz w stronę hotelu „Orfeusz”, miał nad głową samobójcze obłoki i zbliżającą się noc, czuł zasadność swych podejrzeń. Cały widzialny świat nosił dowody spisku.

Poza tym Carys nie przestała mówić przez sen. Może nie był to głos Mamouliana, ten uważny, monotony, ironiczny głos, który Marty dobrze zdążył poznać i znienawidzić. Ona nie formułowała nawet słów jako takich. Tylko skrawki dźwięków: odgłos wydawany przez kraby, odgłos ptaków

uwięzionych na strychu. Pomruki i skrzypienia, jakby coś w niej trudziło się, by zrekonstruować zapomniane słownictwo. Dotychczas jednak nie było w tym nic ludzkiego, ale Marty był pewien, że kryje się za tym Europejczyk. Im dłużej słuchał, tym wyraźniej zdawał się dostrzegać w tym mamrotaniu jakiś ład, tym

550

bardziej dźwięki produkowane przez jej śpiący język brzmiały tak, jakby czyjeś podniebienie pragnęło przemówić. Marty pocił się na samą myśl o tym.

A wówczas, w noc poprzedzającą ten wieczór pędzących chmur, został wyrwany ze snu o czwartej nad ranem. Śniły mu się oczywiście okropne rzeczy i przypuszczał, że będą mu się śniły jeszcze przez długie lata. Ale tej nocy nie ograniczyły się do jego głowy. Były tu i teraz.

Carys nie leżała obok niego na ich wąskim łóżku. Stała pośrodku pokoju z zamkniętymi oczyma i z twarzą opanowaną przez maleńkie, niewytłumaczalne tiki. Znowu mówiła, a przynajmniej usiłowała, i tym razem Marty *wiedział*, wiedział bez cienia wątpliwości, że jakimś sposobem Mamoulian jest z nią nadal.

Marty wypowiedział jej imię, ale nie okazała żadnych oznak przebudzenia. Wstał z łóżka i ruszył w jej kierunku, a gdy się przemieszczał, powietrze wokół nich zdawało się krwawić ciemnością. Gaworzenie Carys przybrało bardziej niespokojny ton i Marty wyczuł, że ciemność zaczyna tężeć. Poczuł swędzenie na twarzy i na klatce piersiowej i szczypanie w oczach.

Ponownie zawołał ją po imieniu, teraz już krzycząc. Nie usłyszał odpowiedzi. Cienie zaczęły przemykać po ciele dziewczyny, choć nie było w

pokoju źródła światła, które mogłoby je rzucać. Przyjrzał się jej gadającej twarzy - cienie przypominały te, które słońce rzuca, świecąc poprzez ukwiecone gałęzie, tak jakby Carys stała pod koroną jakiegoś drzewa.

Ponad jego głową coś westchnęło. Spojrzał do góry. Sufit zniknął. Zamiast niego Marty zauważył rozprzestrzeniającą się arabeskę ciągle rosnących gałęzi. Słowa Carys były u korzeni drzewa, nie miał co do tego wątpliwości, a ono nabierało siły i stawało się coraz bardziej złożone z każdą wypowiedzianą przez nią sylabą. Konary marszczyły się i puchły, wypuszczając gałązki, które w kilka sekund pokrywały się gęstym listowiem. Ale pomimo pozornego zdrowia drzewo było zepsute w każdym swym pąku. Jego czarne liście lśniły nie od życiodajnych soków, lecz od trupiego potu. Robactwo pełzało po gałęziach

551

w górę i w dół, cuchnące kwiaty opadały jak śnieg, obnażając owoce.

Co za przerażające owoce! Pęk noży przewiązanych wstążką, jak podarunek dla zabójcy. Główka dziecka, powieszona za warkoczyki. Jedną gałąź owiało ludzkie jelito, na innej wisiała klatka, w której ptaki płonęły żywem. Wszystko to pamiątki, wspomnienia dawnych okrucieństw. A czy kolekcjoner też tu był, pośród swoich eksponatów?

Coś poruszyło się w niespokojnej ciemności nad głową Marty'ego, ale nie szczur. Słyszał rozmowy prowadzone szeptem. Rozmawiały ludzkie istoty, znajdujące się w stanie rozkładu. I właśnie schodziły w dół, by zaprosić Marty'ego do swego grona.

Wyciągnął rękę przez wrzące powietrze i chwycił Carys za ramię. Wydało mu się gąbczaste w dotyku, jak gdyby ciało miało odejść od kości i zostać w jego dłoni. Pod zamkniętymi powiekami gałki oczne

dziewczyny poruszały się w prawo i w lewo jak u scenicznego wariata; jej usta nadal formowały słowa, które wyczarowywały drzewo.

- *Przestań!* - zawołał, ale ona gaworzyła dalej.

Chwycił ją obiema rękami i potrząsając nią, krzyknął, by się zamknęła. Nad nimi zatrzeszczały konary, posypał się grad gałązek.

- Obudź się, do cholery! - wołał. - Carys! To ja, Marty; ja, Marty! Obudź się, na Chrystusa!

Poczuł coś we włosach. Podniósł wzrok i zobaczył kobietę wypluwającą na niego perłową nitkę śliny. Rozprysła się na jego twarzy, lodowato zimna. Panika w nim narosła i zaczął drzeć się na Carys, by przestała, a gdy to zawiodło, mocno uderzył ją otwartą dłońią w twarz. Na moment strumień czarów został przerwany. Drzewo i jego mieszkańcy wydali jęk skargi. Uderzył ją jeszcze raz, mocniej. Zauważył, że gorączkowe ruchy pod jej powiekami zaczynają tracić na intensywności. Zawołał ją jeszcze raz i znów nią potrząsnął. Rozdziawiła usta. Tiki i wyraz strasznego zapamiętania zniknęły z jej twarzy. Drzewo zadrżało.

552

- Proszę cię... - błagał Marty. - Obudź się.

Czarne liście zwinęły się, rozgorączkowane konary przestały rosnać.

Otworzyła oczy.

Mamrocząc słowa skargi, zgnilizna sczezła i obróciła się wniwecz.

Ślad jego dłoni wciąż dojrzewał na jej policzku, ale ona najwidoczniej nie była świadoma tamtych uderzeń. Rozespanym głosem spytała:

- Co się stało?

Objął ją mocno, nie znajdując słów, które miałby odwagę wypowiedzieć. Powiedział tylko:

- Coś ci się śniło.

Popatrzyła na niego, nie rozumiejąc.

• Nie pamiętam - rzekła, a następnie, spostrzegłszy **jego** drżące dłonie, powtórzyła: - Co się stało?

• Koszmar - odparł.

• Dlaczego nie jestem w łóżku?

- Próbowałem cię obudzić.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Nie chcę, by mnie budzono - oświadczyła. - I bez tego jestem wystarczająco zmęczona. - Uwolniła się z jego objęć. - Chcę wrócić do łóżka.

Pozwolił jej wrócić do pomiętej pościeli i położyć się. Nim sam doszedł do posłania, ona już spała. Nie położył się przy jej boku, lecz przesiedział do rana, obserwując ją we śnie i próbując pozbyć się natrętnych wspomnień.

- Wracam do hotelu - powiadomił ją w połowie następnego dnia; tego dnia. Miał nadzieję, że usłyszy od niej jakieś wyjaśnienie na temat wydarzeń ubiegłej nocy - płonne nadzieje! - że dowie się, iż to jakaś zabłąkana iluzja, której wreszcie udało jej się pozbyć. Ale ona nie miała mu do powiedzenia nic uspokajającego. Gdy spytał ją, czy pamięta cokolwiek z minionej nocy, odpowiedziała, że nic jej się ostatnio nie śni i że bardzo ją to cieszy. Nic. Powtarzał to słowo jak wyrok śmierci, myśląc

strachu.

Cary, widząc niepokój Marty'ego, wyciągnęła ku niemu ręce i dotknęła jego twarzy. Miał rozpaloną skórę. Na zewnątrz padało, ale w pokoju było duszno.

- Europejczyk nie żyje - uspokajała go.
- Muszę zobaczyć to na własne oczy.
- Nie ma potrzeby, kochanie.
- Jeśli umarł i nie ma go, to dlaczego mówisz przez sen?
- Mówię przez sen?
- Mówisz. I stwarzasz iluzje.
 - Może piszę książkę - powiedziała. Próba obrócenia problemu w żart była martwa w chwili narodzin. - Mamy mnóstwo problemów i bez wracania w tamto miejsce.

To była prawda, należało podjąć tyle decyzji! Jak opowiedzieć tę historię, to po pierwsze; jak być przy tym wiarygodnym, to po drugie. Jak oddać się w ręce sprawiedliwości, unikając oskarżenia o morderstwa znane i nieznanne. Gdzieś czekała na Carys fortuna - była jedyną spadkobierczynią swego ojca. To także stanowiło część rzeczywistości, z którą należało się zmierzyć.

- Mamouliau nie żyje - rzekła z naciskiem. - Czy nie możemy zapomnieć o nim na chwilę? Kiedy odkryją ciała, opowiemy całą historię. Ale jeszcze nie teraz. Chcę odpocząć kilka dni.
- Wywołałaś wczoraj jakąś wizję. Tu, w tym pokoju. Widziałem to.
- Skąd pewność, że to ja? - odparowała. - Dlaczego to ciągle ja mam być tą opętaną? Jesteś pewien, że to nie ty utrzymujesz to coś przy życiu?
-Ja?

- Nie potrafisz się tego pozbyć.
- Nic nie uszczęśliwiłoby mnie bardziej!
 - Więc zapomnij o tym, do cholery! Zostaw to, Marty. On odszedł. Umarł i już go nie ma! Koniec, kropka!

Wyszła, zostawiając go samego z tymi podejrzeniami. Może to rzeczywiście on, może to on po prostu wyśnił drzewo, a ją

554

obwinał o swoją własną paranoję? Ale pod jej nieobecność wątpliwości znów zaczęły swe knowania. Jak może jej ufać? Gdyby Europejczyk rzeczywiście żył - gdzieś, jakoś - czy nie podsuwałby jej argumentów, które miałyby trzymać Marty'ego z daleka, sprawić, by się nie mieszał? Czas do jej powrotu stał się agonią niezdecydowania - Marty nie znał ni jednej drogi naprzód, która nie byłaby naznaczona podejrzeniem, ale nie starczało mu sił, by zmierzyć się z hotelem raz jeszcze i rozstrzygnąć kwestię na tak lub na nie.

Wróciła późnym popołudniem. Nie mówili do siebie nic lub prawie nic, a po chwili ona położyła się do łóżka, narzekając na ból głowy. Po półgodzinie przebywania w pokoju w śpiącej obecności Carys, słysząc jedynie jej równy oddech (żadnego gaworzenia tym razem), Marty wyszedł kupić whisky i gazetę, by przejrzeć ją w poszukiwaniu informacji o znalezieniu zwłok i ewentualnym śledztwie. Ani słowa. Dominowały wydarzenia ze świata: gdzie nie było mowy o huraganach i wojnach, był humor obrazkowy i rezultaty gonitw. Skierował kroki w stronę mieszkania, gotów zapomnieć o swych wątpliwościach, powiedzieć jej, że przez cały czas to ona miała rację, lecz znalazł drzwi sypialni zamknięte, a ze środka dochodził jej głos - zmiękczone snem - krok po kroku

pokonujący trudności na drodze ku odzyskanej na nowo spójności.

Włamał się i próbował ją obudzić, ale tym razem ani potrząsanie, ani wymierzanie policzków nie zrobiło wrażenia na jej opętanej drzemce.

74

Już prawie był na miejscu. Nieubrany odpowiednio na to nadciągające zimno, trząśł się, przemierzając pustkowie otaczające hotel „Pandemonium”. Jesień wcześniej dawała odczuć swą obecność tego roku, nie czekając z ochłodzeniem powietrza nawet na początek września. W ciągu tych tygodni, które upłynęły, od dnia, gdy po raz ostatni stanął na tym miejscu, lato ustąpiło pod naporem deszczu i wiatru. Nie unieszczęśliwiła go ta dezercja lata. Letnie upały w małych pokojach już nigdy nie będą budzić w nim miłych skojarzeń.

Spojrzał na bryłę hotelu. W tym zsuwającym się za widnokrąg światła budynek miał kolor koralowca - ślady pożaru i graffiti, widoczne w najdrobniejszych szczegółach, wyglądały aż nazbyt realnie. Jak portret namalowany przez maniaka - każdy detal doskonale wyrazisty. Marty obserwował przez chwilę fasadę, sprawdzając, czy nie dostrzeże wysyłanych do niego sygnałów. Może jakieś okno zamruga albo drzwi wykrzywią się w porozumiewawczym grymasie, może da się dojrzeć jakiś znak, który przygotowuje go na to, co zostanie wewnątrz. Ale hotel zachował kamienne oblicze. Zwyczajny, solidny budynek, nadpsuty przez czas i płomień, chwytający ostatnie promienie dnia.

Drzwi od frontu zostały zamknięte przez ostatniego gościa, opuszczającego hotel, ale nikt nie zadał sobie trudu, by na powrót przybić

deski. Marty pchnął drzwi; otwały się, zgrzytając o tynk i piach na podłodze. W środku nic się nie zmieniło. Kan-

556

delabr zadzwonił, gdy podmuch z zewnątrz wtargnął do tego sanktuarium; suchy deszcz pyłu spłynął na posadzkę.

Gdy Marty wszedł na drugie piętro, poczuł sączący się smród - coś znacznie dojrzalszego niż wilgoć i popiół. Przypuszczalnie ciała nadal znajdowały się tam, gdzie je zostawiono. Nastąpił już z pewnością znaczny rozkład. Nie wiedział, jak długa trwa taki proces, ale po doświadczeniach ostatnich tygodni był przygotowany na najgorsze. Niezbyt się przejął nawet tą nasilającą się, w miarę jak wchodził coraz wyżej po schodach, wonią.

W połowie drogi na najwyższe piętro zatrzymał się, wyjął z kieszeni butelkę szkockiej, odkręcił ją i nie spuszczać z oczu biegnących w górę schodów, przyłożył do ust. Spory łyk alkoholu opłukał mu dziąsła i gardło, nim wypalił sobie drogę do żołądka. Marty oparł się pokusie pociągnięcia następnego haustu. Zakręcił butelkę i wsunawszy ją do kieszeni, ruszył dalej.

Wspomnienia zaczęły go osaczać. Miał nadzieję utrzymać je na dystans, ale nadeszły nieproszone, a on nie czuł się dość silny, by dać im odpór. Nie widział obrazów, słyszał tylko głosy. Odbijały się echem w jego czaszce, jakby była pusta, jak gdyby był tylko bezrozumnym bydlęciem, odpowiadającym na wezwanie wyższego umysłu. Opadła go chęć podwinienia ogona i dania nogi, ale wiedział, że jeśli teraz skapituluje i wróci do Carys, niepokoję się tylko pogłębią. Wkrótce każde drgnienie jej dłoni zacznie budzić w nim podejrzenia, sprawi, że będzie się zastanawiał,

czy przypadkiem Europejczyk nie przygotowuje jej do morderstwa. To będzie jeszcze jeden rodzaj więzienia - ze ścianami zbudowanymi z podejrzeń, z kratami wątpliwości - i Marty zostanie na nie skazany na resztę swego życia. Nawet jeśli Carys odejdzie od niego, miną lata, a on wciąż będzie oglądał się za siebie, wypatrując kogoś, kto ukaże mu drugą twarz, ukrytą za swoją twarzą, i nieprzebaczące oczy Europejczyka. Czyż nie tak właśnie się stanie?

A jednak z każdym krokiem mnożyły się jego lęki. Chwycił mocno za brudną poręcz i zmusił się do parcia do przodu, do góry. Nie chcę tam iść, marudziło dziecko w nim. Nie

557

zmuszaj mnie, proszę. Tak łatwo się odwrócić, łatwo odłożyć to na później. Spójrz! Twoje stopy to zrobią, powiedz tylko słowo. Zawróć! Ona się w końcu obudzi; wystarczy, że będziesz cierpliwy. Zawróć!

A jeśli ona się nie obudzi? - odpowiadał głos rozsądku. I nakazywał mu iść dalej.

Gdy Marty pokonał kolejny stopień, coś poruszyło się na piętrze nad nim. Delikatnie jak skacząca pchła, nie głośniej, ledwo słyszalnie. Może szczur? Chyba tak. Wszelkiej maści padlinożercy pewnie się tu już zesłi w nadziei na prawdziwą ucztę. Tego rodzaju koszmar Marty również przewidział i zdołał zahartować się przeciw niemu.

Dotarł do podestu kolejnego piętra. Szczury musiały uciec na dźwięk jego kroków, w każdym razie żadnego nie zauważył. Było za to coś innego. U szczytu schodów mały brązowy robak sunął po dywanie, zwijając się w kłębek, to znów rozwijając, w pełnym zapału zdążaniu do jakiegoś miejsca. W dół schodów zapewne, w mrok. Marty nie przyglądał

mu się zbyt dokładnie. Cokolwiek to było, nie stanowiło zagrożenia. Niech sobie znajdzie jakąś szczelinę, gdzie nabierze ciała i stanie się w swoim czasie muchą, jeśli to jest jego ambicją.

Przeciął podest przedostatniego piętra i ruszył w górę ostatniego biegu schodów. Kilka stopni wyżej smród gwałtownie się pogorszył. Nozdrza Marty'ego zaatakował fetor zepsutego mięsa i teraz, pomimo szkockiej i całego mentalnego przygotowania, wnętrzności się w nim zakotłowały, wijąc się i obracając jak ten robak na dywanie.

Przystanął dwa lub trzy stopnie wyżej, wyjął whisky i pociągnął z butelki dwa solidne hausty; przełknął je tak szybko, że aż oczy zasłyły mu łzami. Następnie kontynuował wspinaczkę. Pod podeszwą buta wyczuł coś śliskiego. Popatrzył w dół. Jeszcze jeden robak, większy brat tego poprzedniego, został przez ludzką stopę zatrzymany podczas schodzenia ze schodów i zmieniony w oleistą miazgę. Marty popatrzył na niego przez sekundę zaledwie i pośpieszył dalej, czując, że podeszwa buta jest śliska - może, idąc, rozdeptywał jeszcze inne larwy.

558

Te kilka łyków alkoholu rozśpiewało mu duszę; ostatnie kilkanaście stopni pokonał niemal biegiem, usilnie pragnąc najgorsze mieć już za sobą. Gdy dotarł do wierzchołka schodów, brakowało mu tchu. W głowie miał absurdalne wyobrażenie o sobie samym, pijacką fantazję, że jest posłańcem przybywającym z wieściami - przegrane bitwy, wymordowane dzieci - do pałacu jakiegoś bajkowego króla. Tyle że król także został zamordowany, jego bitwy przegrane.

Ruszył w stronę apartamentu; smród był tu tak gęsty, że niemal jadalny. Jak poprzednio, tak i teraz Marty ujrzał w lustrze swoje odbicie;

zawstydzony, szybko spuścił wzrok, by nie oglądać swej przerażonej twarzy, i - Boże! - dywan pełzał. Nie dwie albo trzy, ale dziesiątki tłustych, niekształtnych larw usiłowało, najprawdopodobniej na oślep, znaleźć drogę przez dywan, mocno już poznaczony śladami ich wędrówek. Nie były podobne do niczego, co Marty dotychczas oglądał, pozbawione jakiegokolwiek dającej się rozpoznać anatomii, a każda innej wielkości: niektóre cienkie jak palec, inne rozmiaru niemowlęcej pięści; bezkształtne ciała miały barwę fioletową poznaczoną żółtymi pręgami. Zostawiały za sobą ślad śluzu i krwi, jak zranione ślimaki. Marty przeszedł między nimi. Utuczyły się na mięsie, z którym on, Marty, wiódł niegdyś debaty. Nie zamierzał przyglądać im się z bliska.

Lecz gdy pchnął drzwi wejściowe do apartamentu i ostrożnie wszedł do przedpokoju, odrażająca myśl wpełzła do jego głowy i utknęła tam, szepcząc obrzydlistwa. Stworzenia były wszędzie; co ambitniejsze wspinały się po pastelowych ścianach, przyklejając partie swych ciał do tapety za pomocą sączących się z nich cieczy, kurcząc się i rozkurczając, jak gąsienice, na całej długości swych ciał. Kierunek obierały dowolny, niektóre, sądząc po pozostawionych śladach, pełzały w kółko.

W przyćmionym świetle przedpokoju najgorsze podejrzenia Marty'ego zaledwie dusiły się na wolnym ogniu. Zaczęły wrzeć, gdy tylko okrążył rozłożone na podłodze ciało Whiteheada i wszedł do pokoju-rzeźni, gdzie sodowe światła autostrady dawały namiastkę dnia. Tutaj stworzenia występowały w jeszcze

większej obfitości. Pokój pełen był istot o różnych gabarytach, od drobiazgów wielkości pchły po półcie rozmiaru ludzkiego serca, które

wyrzucały z siebie, niczym macki, postrzępione włókna materii, by podciągając się na nich, przeć do przodu. Larwy, pchły, robaki - całe nowe królestwo owadów, zgromadzone na miejscu egzekucji.

Poza jednym: to nie były owady ani ich larwy, Marty widział to teraz wyraźnie. To były kawałki ciała Europejczyka. On wciąż żył. We fragmentach, w tysiącach bezrozumnych fragmentów - ale żył.

Breer był bezlitośnie skrupulatny w swej destrukcji, unicestwił Europejczyka najdokładniej, jak na to pozwalała jego maczeta i słabnące ręce. Ale to nie wystarczyło. Zbyt wiele było skradzionego życia, wciąż buzującego w komórkach Ma-mouliana; nieugaszone tętniło dalej, wbrew wszelkim zasadom zdrowego rozsądku. Przy całej swojej zaciekłości Połykacz Żyletek nie zniszczył życia w Europejczyku, lecz jedynie podzielił je na drobne kawałeczki i zostawił, by krążyło w kółko bez celu. A gdzieś pośród tej wariackiej menażerii była bestia obdarzona wolną wolą, fragment nadal posiadający dość rozumu, by myślał - choćby i jękającą się - dotrzeć do umysłu Carys. Może nawet niejeden kawałek, może kilka naraz -jakaś suma wędrujących części. Marty'ego nie interesowała ich biologia. Pytanie, jak to obrzydlistwo zdołało przetrwać, byłoby dobrym tematem dla kółka przyrodniczego w domu wariatów.

Roztrzęsiony wrócił do przedpokoju. Wiatr uderzył w okno; szkło wyjęczało swą skargę. Marty stał, słuchając porywów wiatru i zastanawiając się, co ma teraz zrobić. W głębi korytarza kawałek paskudztwa odpadł od ściany. Chwilę walczył, by ponownie obrócić się na brzuch, a następnie podjął na nowo powolną wspinaczkę. Tuż obok tego miejsca leżał Whitehead. Marty zbliżył się do jego zwłok.

Zabójcy Charmaine porządnie się zabawili, nim sobie poszli. Spodnie i

bielizna Whiteheada zostały opuszczone, a krocze posiekane nożem. Miał otwarte oczy. Usunięto mu sztuczną szczękę. Wpatrywał się w Marty'ego, zuchwa opadła mu jak

560

u młodocianego przestępcy. Muchy łąziły po nim, na twarzy wystąpiły plamy rozkładu. Ale był martwy - to już coś znaczyło na tym świecie. Chłopcy w akcie ostatecznej zniewagi oddali kał na jego klatkę piersiową. Tu także gromadziły się muchy.

Swego czasu Marty nienawidził tego mężczyzny; kochał go również, choćby tylko przez jeden dzień; nazywał go Papą, nazywał łajdakiem; kochał się z jego córką i uważał się za Króla Stworzenia. Widział człowieka u władzy, lorda. Widział go też w strachu, szukającego drogi ucieczki jak szczur w czasie pożaru. Widział w działaniu ów dziwny rodzaj prawości starego i zauważył, że taka prawość popłaca. Równie owocna - być może - jak uczucia bardziej kochających ludzi.

Wyciągnął rękę, by zamknąć mu oczy, ale w swej nadgorliwości kaznodzieje odcięli powieki Whiteheada i palce Marty'ego natrafiły jedynie na śliską gałkę oczną. Nie łzy ją jednak zwilżały, lecz trupie wysięki. Skrzywił się i cofnął dłoń z obrzydzeniem.

Nie chcąc oglądać twarzy Papy, wsunął ręce pod jego zwłoki i spróbował przewrócić je na brzuch. Płyny w ciele zmarłego opadły i spodnia część tułowia była wodnista i lepka. Zaciskając zęby, Marty przeturlał korpus Whiteheada na bok i pozwolił, by siła ciężkości przewróciła go na drugą stronę. Teraz przynajmniej stary nie będzie musiał oglądać tego, co nastąpi.

Marty wstał. Jego ręce cuchnęły. Ochrzcił je obficie pozostałością

szkockiej, by pozbyć się fetoru. To obmycie służyło też innemu celowi - likwidowało pokusę wypicia reszty trunku. Zbyt łatwo byłoby wstawić się i stracić problem z pola widzenia. Wróg czaił się w pobliżu. Należało się nim zająć, pozbyć się go na zawsze.

Zaczął tam, gdzie stał, w holu, wbijając obcas w kawałki żywej tkanki, pełzające wokół ciała Whiteheada, wyciskając z nich to skradzione życie najlepiej, jak umiał. Nie wydawały oczywiście żadnych dźwięków, co ułatwiało zadanie. To po prostu robaki, mówił sobie, nieme ochłapy bezrozumnego życia. W miarę jak chodził wzdłuż i wszerz korytarza, rozgniatając żywe mięso na plamy żółtego tłuszczu i brązowych mięśni,

561

zadanie stawało się coraz łatwiejsze. Stworzenia poddawały się bez sprzeciwu. Zaczął się pocić, wyładowując swe obrzydzenie na tych ludzkich odpadkach, strzelając oczami na wszystkie strony, by upewnić się, że nie przegapił najmniejszego choćby skrawka paskudztwa. Poczul, jak uśmiech wykrzywia kąciki jego ust - czasem wyrwał mu się niski rechot, całkiem pozbawiony wesołości. To była łatwa eksterminacja. Czul się znowu chłopcem rozgniatającym kciukiem mrówki. Jedna! Dwie! Trzy! Tyle że te stworzenia były powolniejsze od najciężej obładowanej mrówki i Marty mógł je rozdeptywać w ślimaczym tempie. Cała potęga i mądrość Europejczyka weszła w to obrzydlistwo, a on - Marty Strauss - został wybrany, by zabawić się w Boga i zmieść je z powierzchni ziemi. Posiadł nareszcie straszliwą władzę.

Nic się nie liczy, więc liczy się tylko nicość. Słowa, które usłyszał - i wypowiedział - przy Caliban Street, w końcu nabrały bezwzględного sensu. Oto Europejczyk udowadnia własnym ciałem i własnymi kośćmi

ten gorzki sylogizm.

Skończywszy eksterminację w holu, Marty wrócił do głównego pokoju i podjął trud tam, a jego początkowe obrzydzenie dotykaniem ścierwa malało z każdą chwilą, aż z czasem zaczął zrywać kawałki przyssane do ścian, ciskać je na podłogę i rozgniatać. Gdy skończył w pokoju gry, poszedł przeszukać piętro i schody. W końcu, gdy nic już się nie poruszało, wrócił do apartamentu i rozpałił ognisko z zasłon zabranych z garderoby, podsycając ogień kawałkami stolika, przy którym stary grał w karty, dorzucając także same karty, a następnie chodził w koło, wrzucając do ognia większe kawałki mięsa, gdzie pryskały, kurczyły się, aż całkiem szczyły. Mniejsze kawałki zdrapywał, śmiech wciąż pojawiał się od czasu do czasu, gdy ciskał całe garście mięsa w środek płomieni. Pokój szybko wypełnił się nieznanym ujścia dymem i gorącem. Serce zaczęło dudnić Marty'emu w uszach; jego ramiona błyszczały od potu. Wykonywał żmudną pracę, a musiał być przecież skrupulatny, czyż nie? Nie wolno było zostawić ni jednej żyjącej drobinki, najmniejszego fragmentu, z obawy, że to coś będzie

562

żyło dalej, że stanie się mityczną istotą - może nawet urośnie -i w końcu go odnajdzie.

Gdy ogień przygasał, Marty podsyczał go poduszkami, płytami, książkami w miękkich okładkach, aż nie zostało nic, co jeszcze dałoby się spalić - poza nim samym. Były chwile, gdy jak zaczarowany wpatrywał się w płomienie, a myśl o wkroczeniu w środek ognia wydawała mu się całkiem atrakcyjna. Ale oparł się tej pokusie. To zmęczenie go mamiło. Kucnął więc tylko w kącie i obserwował grę płomieni na ścianie. Ten

widok sprawił, że Marty zapłakał; w każdym razie był to jakiś powód.

Kiedy, nieco przed świtem, Carys weszła po schodach, by wyrwać go z tego snu na jawie, Marty nie usłyszał jej ani nie zauważył. Ogień już dawno wygasł. Tylko kości dawały się jeszcze rozpoznać, strzaskane podczas ćwiartowania przez Breera, szerniałe i spękane w płomieniach. Odłamki kości udowej, pojedyncze kręgi, miseczka czaszki Europejczyka.

Zakradła się tutaj po cichu, jakby w obawie, że zbudzi śpiące dziecko. Może Marty rzeczywiście spał. W jego głowie tkwiły ulotne obrazy, które mogą się objawić tylko w snach; życie nie jest aż tak przerażające.

- Obudziłam się - oznajmiła. - Wiedziałam, że tu będziesz.

Ledwo ją widział przez zadymione powietrze; była jak rysunek kredą na czarnym papierze, zbyt łatwy do zamazania. Łzy znów napłynęły mu do oczu, gdy o tym pomyślał.

- Musimy iść - powiedziała; nie chciała nakłaniać go do wyjaśnień. Może kiedyś zada mu jakieś pytanie, gdy już melancholijne spojrzenie zniknie z jego oczu; może nie spyta o nic nigdy. Po kilku minutach czułych próśb i przytulania go mocno do siebie wyrwała Marty'ego z medytacji, w której tkwił, obejmując ramionami własne kolana. Poddał się troskliwej opiece Carys.

Gdy wyszli z hotelu, wiatr uderzył w nich, nieprzyjazny jak zawsze. Marty podniósł wzrok, by sprawdzić, czy podmuchy nie zmiotły gwiazd z ich szlaków, ale gwiazdy trwały nieustępliwie. Wszystko było na swoim miejscu pomimo szaleństwa,

które poszarpało życie ich dwojga, i chociaż Carys ponaglała go, ociągał się i z zadartą głową wpatrywał się w gwiazdy. Nie było tam nic do odkrycia. Po prostu ukłucia światła na gładzi nieba. Lecz po raz pierwszy w życiu Marty zauważył, jakie to piękne. To, że w świecie 2był przepelnionym utratą i gniewem gwiazdy są odległe; najniższy wymiar chwały. Gdy Carys prowadziła go tak przez pozbawioną światła ziemię, nie potrafił okiełznać swego spojrzenia, błędzącego raz po raz po niebie.

Spis treści

Część pierwsza

TERRA INCOGNITA 9

Część druga

AZYL	33
I Opatrzność	35
II Lis	61
III Ostatni Europejczyk	118
IV Taniec szkieletów	134

Część trzecia

DEUCE	187
V Przesąd	189
VI Drzewo	226
VII Bez granic	266
VIII Awantura	303

Część czwarta

OPOWIEŚĆ ZŁODZIEJA 327

Część piąta

POTOP	361
IX Zła wiara	363
X Nic - i później	387
XI Przyjdz, królestwo	416
XII Grubas tańczy	466

XIIIW hotelu „Pandemonium" 484

XIVPo fali 550